

1918: GDY POLSKA WRÓCIŁA NA MAPY

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

INFORMATOR
KULTURALNY

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 11 (157) • ROK XIV • LISTOPAD 2008

Jak pisać i mówić po śląsku – ankieta redakcyjna

Rozmowa z ELŻBIETĄ BIEŃKOWSKĄ minister rozwoju regionalnego

EDWARD DŁUGAJCZYK – Śląsk na przełomie

KRYSTYNA

HESKA-

KWAŚNIEWICZ

– Noc listopadowa
w Cieszynie

MARIA LIPOK-
BIERWIACZONEK

– Pomędzy tym
a tamtym światem

ANTONI BARCIAK

– Instytut Śląski,
na który czekamy

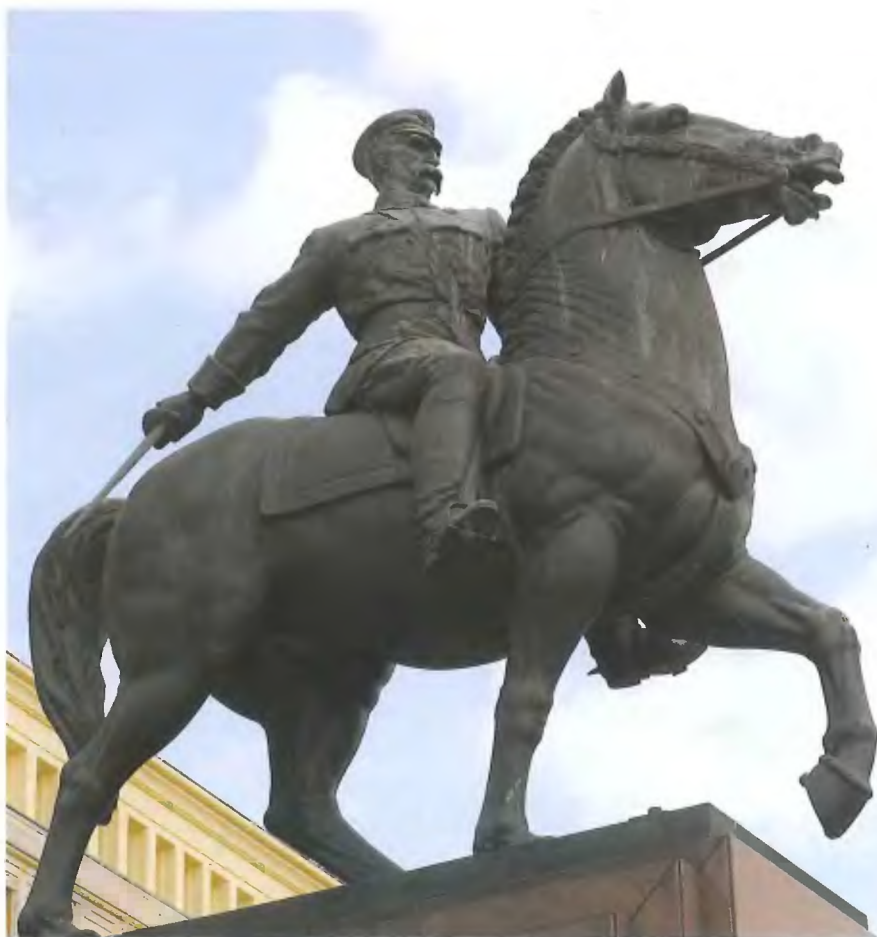
WŁADYSŁAW

REMBEK

– W polu

ZBIGNIEW FIGAT

– Dolnoślązacy?



ISSN 1425-3917



9 771425 391806



Śląskie. Pozytywna energia



Nowy rok akademicki katowicka Akademia Sztuk Pięknych rozpoczęła jubileuszem 60-lecia Wydziału Grafiki na Śląsku, a także innowacjami organizacyjnymi – utworzony został Wydział Artystyczny (grafika artystyczna i malarstwo) oraz projektowy (projektowanie graficzne, wzornictwo). Inauguracja odbyła się 8 października w Rondzie Sztuki, a towarzyszyła jej wystawa dorobku 60-lecia śląskich grafików pt. „Przyloty. Odloty”. Wykład inauguracyjny pt. „Smutek śmierci” wygłosił Marek Zieliński, dyrektor Instytucji Ars Cameralis Silesiae Superioris.

Zakończył się najważniejszy, choć nie ostatni, etap przebudowy chorzowskiego Teatru Rozrywki. Po wielu miesiącach, za ok. 18 milionów złotych, doprowadzono nie tylko do zewnętrznego liftingu, gołym okiem widocznego od strony ulicy Katowickiej i Konopnickiej. Nie naruszając struktury zabytkowej kamienicy dawnego hotelu Reden, zmieniono i poszerzono ciągi komunikacyjne, krojąc we wnętrzu piękne i obszerne foyer, w części przysłonięte wielkimi tafłami szkła. Poniekąd „z niczego” powstała nowa scena kameralna, której zarys zobaczyć można tylko od strony zaniedbanego niegdyś podwórza. Ta nowa przestrzeń działań artystycznych, bardzo potrzebna chorzowskiemu teatrowi, od razu ożyła. Pierwszy pojawił się w niej Ingmar Villqist. Chorzowski dramaturg i reżyser, w tym przypadku także scenograf, w połowie września wystawił tu swą prapremierową „Czarodziejkę z Harlemu” (na zdjęciu jedna z końcowych scen spektaklu).



Foto: AFC Teatru Rozrywki (Tomasz Zakrzewski)



Henryk Waniek za książkę „Sprawa Hermesa” otrzymał Śląski Wawrzyn Literacki 2007 – nagrodę czytelników Biblioteki Śląskiej. Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się 25 września br. w Bibliotece Śląskiej w Katowicach.

Wydana przez Wydawnictwo Literackie *Sprawa Hermesa* jest powieścią historyczną z sensacyjną intrygą umieszczoną pod koniec osiemnastego wieku. Akcja toczy się wokół prac anielskiego trybunału pracującego nad rozwiązaniem i osądzeniem sprawy odwołania przez wstępującego na tron Fryderyka Wilhelma III działającego w tajnej inkwizytorskiej komisji pastora. I z tego to powodu Henryk Waniek na uroczystości pojawił się w przebraniu, a konkretnie w peruce „z epoki” (czym wywołał niemałe poruszenie) bohatera jego książki – Hermesa, który widnieje na jej okładce.



Foto: Krzysztof Lisia

Od 12 września w galerii Teatru Śląskiego można oglądać wystawę malarstwa Anny Lampe – absolwentki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi na Wydziale Tkaniny a także w pracowni malarstwa prof. Romana Modzelewskiego i tkaniny u prof. Antoniego Starczewskiego. Od lat maluje miniatury i obrazy olejne. Tematyką jej prac są kwiaty i pejzaże. Od 1973 r. jest członkiem ZPAP.

ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

Nr 11 (157). Rok XIV. LISTOPAD 2008 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 032-253-62-21

e-mail: slask@neostrada.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT

dział kulturalny

BOGDAN WIDERA

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROSLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA

ANNA STRUMIŁOWSKA

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,

tel./fax 032-206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032-354-09-88,
032-781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI

43-190 MKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł., półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazanym adresem bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

<i>Wiesława Konopelska</i> CO KOMU PO DZIELE SZTUKI?	3
<i>Tadeusz Kijonka</i> PO WOJNIE LUDÓW	5
<i>Rozmowa z minister Elżbietą Bienkowską, kierującą Ministerstwem Rozwoju Regionalnego</i> PUDŁA DOKUMENTÓW, MILIONY I PROSTE FUNDUSZE	6
<i>Józef Wycisk</i> DOKĄD POSZĘDE ŚWIAT?	9
<i>Grażyna Bednarek</i> GÓRNICZA PAMIĘĆ W SIECI	10
<i>Zbigniew Figat</i> DOLNOŚLĄZACY?	12
KALENDARIUM WYDARZEŃ NA GÓRNYM ŚLĄSKU Z KOŃCA 1918 ROKU (oprac. Paweł Parys)	17
<i>Edward Długajczyk</i> ŚLĄSK NA PRZEŁOMIE WOJNY I POKOJU 1918 ROKU	18
<i>Krystyna Heska-Kwaśniewicz</i> NOC LISTOPADOWA W CIESZYNIE	24
<i>Rozmowa z Dariuszem Walerjańskim, historykiem i kierownikiem Międzynarodowego Ośrodka Badań i Dokumentacji Dziedzictwa Przemysłowego dla Turystyki</i> OŻYWIĆ DUCHA	28
<i>Rozmowa z Beatą Kalińską</i> PO CO NAM POEZJA	31
<i>Tadeusz Kijonka</i> GÓRY ZAPŁAKAŁY	32
<i>Harry Duda</i> POŻEGNANIE JANA NA POTOKACH PYSZKI	33
<i>Jan Pyszko</i> WIERSZE	34
<i>Feliks Netz</i> WYGNANI Z ŻYCIA	36
<i>Elżbieta Borkowska, Aniela Jonderko</i> WYPADEK	38
<i>Antoni Halor</i> TAJEMNICZY BOBOSZÓW	41
<i>Maria Lipok-Bierwaczonek</i> POMIĘDZY TYM I TAMTYM ŚWIATEM	42
<i>Stanisław Rembek</i> W POLU	46
POEZJA LEGIONÓW	50
<i>Włodzimierz Wójcik</i> „DZIADEK”, KOMENDANT I NIEPODLEGŁA POLSKA	52
<i>Jan Cofalka</i> NASI W WARSZAWIE	55
<i>Piotr Drzygza</i> BEATLESI W KATOWICACH	56
<i>Antoni Barciak</i> INSTYTUT, NA KTÓRY CZEKAMY	60
<i>Aneta Głowacka</i> KOSTIUMY JAK PĘDZLEM MALOWANE	64
<i>Bogdan Widera</i> „ABRAHAM” ARTYSTÓW Z KOPALNI „KATOWICE”	65
JAK PISAĆ I MÓWIĆ PO ŚLĄSKU. ANKIETA „ŚLĄSKA”	66
<i>Rozmowa z Georgijem Safronowem</i> POŁOWA ŻYCIA NA ŚLĄSKU	95
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	97
<i>Grażyna Bednarek</i> SZLAKIEM 116 WIEŻ	112
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
LISTY	4
NOTATNIK SPÓZNIONEGO PRZYBYSZA	
<i>Marek S. Szczepański</i> WIDZIANO TAKŻE OSŁA... (I)	23
POZA KADREM	
<i>Feliks Netz</i> BOISKO BEZDOMNYCH	27
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA	
<i>Jan Miodek</i> PATRZĄC NA GRODZIEC I ŚNIEŻKĘ...	59
EKOLOGIA	
<i>Jolanta Matiakowska</i> LIDERZY POLSKIEJ	
EKOLOGII	62
<i>Jan Cofalka</i> HISTORIA FATALNEGO GESTU	82
PODKOPKI	83
FESTIWAL	
<i>Marcin Halaś</i> PUBLICYSTYKA I BRUTALIZM	84
TEATR	
<i>Krzysztof Karwat</i> EKSTRAWAGANCKA FRIDA K.	86
<i>Magdalena Dziadek</i> MIĘDZY NUTAMI	87
KSIAŻKI	
<i>Mirella Siedlaczek-Mikoda</i> KŁOPOT Z SENNOŚCIĄ	88
<i>Krzysztof Karwat</i> SIKORSKI W KATOWICACH	89
<i>Katarzyna Tałuć</i> POWIĘKSZYĆ OBSZAR, GDZIE	
DOCIERA ŚWIATŁO	90
<i>Krystyna Heska-Kwaśniewicz</i> POWIDOK	91
<i>Jan Kwaśniewicz</i> MĘCZENNICZY	91
<i>Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak</i> „NIE PYTAJ.	
NIE WYPADA. DAR”	92
<i>Katarzyna Krzan</i> NIE TYLKO CYNK	92
<i>Feliks Netz</i> PRZYJACIÓŁKA DĄBROWSKIEJ	93
<i>Bogdan Widera</i> KRÓTKO O KSIAŻKACH	94
NOTATNIK KULTURALNY	
<i>Wiesława Konopelska</i> KATOWICE	106
<i>Jan Picheta</i> BIELSKO	108
<i>Elżbieta Kot</i> CZĘSTOCHOWA	109
<i>Janusz Wójcik</i> OPOLE	110
<i>Jacek Sikora</i> ZAOLZIE	111

Dotowane przez
URZĄD MIASTA
KATOWICE



Zrealizowano w ramach
PROGRAMU
OPERACYJNEGO
PROMOCJA
CZYTELNICTWA
ogłoszonego przez
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze:

• „Pani Barbary kunszt i czar. Inspiracje i kreacje teatralno-filmowe Barbary Ptak” – wystawa w centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego w Katowicach (str. A) • „Gwarek ‘58. Powroty” – wystawa w Muzeum Śląskim (str. B) • Georgij Safronow – akwarele (str. C).

Na okładce:

Pomnik Józefa Piłsudskiego w Katowicach

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.

www.ruch.com.pl

■ **BIURA** podróży odwołują wycieczki do Gruzji ze względu na sytuację w tym kraju. A bielski PKS odwołał nawet wycieczkę na Krym. Tłumaczył, że turyści boją się teraz zaszczać w ten rejon.

■ **MUZEUM** w Mysłowicach uratowało od rozstrzelania na poligonie wysłużony wojskowy śmigłowiec. Maszyna służy jako kolejna atrakcja tworzonego w mieście parku militarnego.

■ **PONAD 4,1 tys.** siedmiolatków z województwa śląskiego spędziło 1 września swój pierwszy dzień w szkole. Wrześniey dzwonek obwieścił koniec wakacji ponad 621 tys. śląskich uczniów.

■ **WIEŻA** szybu wentylacyjnego zawałiła się 4 IX nad ranem w kopalni „Szczygłowice”. Ewakuowano ponad 500 górników. Na szczęście nikomu nic się nie stało. 19-metrowa wieża wpadła do 30-metrowego szybu.

■ **CO** się stało z kłozardami z katowickiego dworca? Przenieśli się na gliwicki. A tu handlowcy mają ich już serdecznie dość. Jak ktośś ekspedientka zwróci uwagę, to słyszy rzucone w swoją stronę „Ty k... policyjna”. Boimy się, że nam spalą kioski – mówią sklepikarze. Menele rano wynurają się z dworca albo schodzą się na plac przed nim z miasta. I tu uprzykrzają życie handlowcom, podróżnym, mieszkańcom. Kolei nie stać na ochroniarzy a policjantów jest niewiele.

■ **DO** wypadku doszło 5 IX po południu 650 m pod ziemią w kopalni „Piast” w Bieruniu. 46-letniego górnika przysypały skały, gdy pracował przy zabudowie stropu. Był doświadczonym pracownikiem, pracował w zawodzie 25 lat. Wkrótce miał przejść na emeryturę.

■ **MARSZAŁEK** Bogusław Śmigielski spotkał się 5 IX z ambasadorem Meksyku w Polsce Raphaelcem Stegerem. Wiele mówiono o wymianie naukowo-gospodarczej.

■ **POLSKIE** Towarzystwo Kardiologiczne po raz pierwszy w swojej historii przyznało doroczną nagrodę kardiologom dziecięcym. Laureaci to lekarze ze Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze. Kliniką kieruje prof. Jacek Białkowski i to właśnie on razem z dwoma współpracownikami – doc. Małgorzata Szutkun i dr. Jackiem Kusym zostali nagrodzeni przez PTK, gdyż jako jedni z pierwszych podjęli się zamykania podwojnych ubytków (czyli dziur) w przegrodzie między przedsiódnkami serca przy wycięciu jednego tylko implantu. Udowodnili też, że u chorych dzieci z takimi ubytkami zabieg cewnikowania serca jest skuteczniejszą metodą leczenia niż operacja kardiochirurgiczna.

■ **PONAD 20 tys.** mkw. powierzchni wystawiennej, rekordowa liczba firm, oficjalne delegacje rządowe, tysiące zwiedzających – w Sosnowcu rozpoczęła się 9 IX Światowa Wystawa Górnictwa i Miedzi Expo. Organizatorzy zapewniali, że to największa tego typu wystawa na świecie. Przyjechało 280 firm z 28 krajów.

■ **PREZYDENT** Katowic Piotr Uszok dokonał 9 IX otwarcia Jarmarku Jesiennego na ulicy Staromiejskiej. Przy kramach zbudowano scenę, na której każdego dnia będzie występował inny zespół.

■ **ZEGNAJ** wieź! 10 IX rozpoczęła się robota wieży dyspozytorskiej na Stadionie Śląskim. Robotnicy kilkadziesiąt metrów nad ziemią czują się jak gwiazdy filmowe, są w centrum zainteresowania widzów i dziennikarzy. Nie może być inaczej, bo rozbiegają symbol – zbudowana w 1962 r. jest młodsza od stadionu o sześć lat. Świadek niegdyś świetności śląskiego futbolu.

■ **POMNIK** ku czci 167 żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych ze zgrupowania „Bartka” zamordowanych 62 lata temu odsłonięto 10 IX w centrum Szczyrku. Kamienna Pieta jest dziełem bielskiego rzeźbiarza Mieczysława Hańdkerka. Historia wymordowania żołnierzy do dzisiaj nie została do końca wyjaśniona.

■ **BIELSKI** Park Techniki Lotniczej oficjalnie zainaugurował 11 IX działalność. Siedziby znajdzie tutaj kilkanaście firm związanych z branżą lotniczą. To jedyny tego typu obiekt w kraju. Park powstał na haldzie nicopodal czechowickiej „Silecii”. Jest też 700-metrowy betonowy pas umożliwiający start i lądowanie samolotów.

■ **KATOWICKI** Kopex, specjalizujący się w produkcji maszyn górniczych otwiera fabrykę w Chinach. Firma ma zatrudniać ponad tysiąc osób i produkować obudowy do kopalni.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

■ **OŁTARZ** Europejski w Beskidach na Kotarzu już gotowy. Ta niezwykła budowla powstała z setek kamieni pochodzących ze wszystkich kontynentów, spod ziemi, a nawet z kosmosu. Książd Jan Byrt, proboszcz ewangelicki ze Szczyrku Salmopoli, chce żeby Ołtarz Europejski stał się miejscem modlitwy ludzi wszystkich wyznań.

■ **ŻOŁNIERZ** Armii Krajowej, więziennika obozu koncentracyjnego Łucja Zabrzeńska zmarła 13 września. Żyła 90 lat.

■ **ORGANIZATOR** Instytutu i Wydziału Transportu Politechniki Śląskiej, jego dyrektor i dziekan profesor Józef Przybylski zmarł 12 września w wieku 83 lat.

■ **DZIAŁACZOM** zabrzańskie klubu Górnik Zabrze udało się pozyskać najslawniejszego polskiego trenera Henryka Kasprczaka, który 16 IX podpisał dwuletni kontrakt. Zatarło to nieco przykre wspomnienie o burdach podczas meczu (przegranego) Górnika z gliwickim Piastem 14 IX. Ośmiem osób (na razie) trafiło do policyjnej izby zatrzymań.

■ **AKTORKA** Liliana Czarska, przez czterdzieści lat związana z Teatrem Śląskim w Katowicach, zmarła 16 września. Była pierwszą prezenterką Telewizji Katowice.

■ **NARESZCIE** mamy w Polsce drugą, obok zakopiańskiej Wielkiej Krokwi, dużą skocznię narciarską. Stała ona w Wiśle Malinca, a pierwszy skok 17 IX oddał na niej jej patron Adam Malysz, lądując na 126 metrów.

■ **SIEDEM** tysięcy biletów na koncert „Budujemy nadzieję” w katowickim Spodku rozeszło się błyskawicznie. Każdy z nich to cegiełka, która pomoże poszkodowanym w sierpniowej katastrofie. Koncert odbył się 17 IX. Artysty grali z sercem.

■ **CIERPLIWOŚĆ** katowickich działaczy „Gieksy” wyczerpała się. Jedno zwycięstwo zespołu w dziesięciu meczach to dla nich zdecydowanie za mało. Trener Jan Zurek został 17 IX zwolniony z GKS-u. Na następcę czekają te same przeszkody, których trener Zurek nie mógł pokonać.

■ **ŚLĄSKIE** pielęgniarki dostają średnio o 500 zł mniej niż ich koleżanki ze stolicy, a podwyżki jakie wywalczyły, są dziesięć razy niższe od tych, jakie zapewnili sobie lekarze – wynika z danych Ministerstwa Zdrowia. Zebrano je na podstawie informacji z 384 szpitali.

■ **ZMARŁ** Michał Caputa. Na początku lat 80. był liderem żywieckiej „Solidarności”. W czerwcu 1981 r. został posłem z ramienia „Solidarności”. Żył 81 lat.

■ **ŚLĄSKA** Izba Lekarska będzie pomagać lekarzom alkoholikom w wyjściu z nałogu. Od fałszywej zawodowej solidarności skuteczniejszy jest wstrząs, nawet zwolnienie z pracy – przekazuje powołana przez izbę pełnomocniczka do spraw zdrowia lekarzy dr Dorota Rzepniowska.

■ **PROMOWANIE** Sosnowca przy pomocy Edwarda Gierka to najbardziej absurdalny pomysł, jaki przyszedł do głowy polskiemu radnym. Taki werdykt wydał specjalista od marketingu. – Przynajmniej się o nas mówi – ripostują w Sosnowcu.

■ **DWIE** trzecie wypadków w kopalniach na dole to wina ludzi – twierdzą eksperci Wyższego Urzędu Górniczego i żądają, by kandydaci do górników przechodzili szczegółowe badania psychologiczne. Wśród tysięcy kandydatów na górników są ludzie, którzy nie mają predyspozycji do pracy na dole. Piją w pracy, nie zachowują bezpieczeństwa. By ich wyłapać już na początku rekrutacji, potrzebne są solidne psychotesty – uważają eksperci.

■ **KATOWICE** przypominają mi Bilbao sprzed kilkunastu lat – mówi Ibon Areso Mendiguren, wiceprezydent hiszpańskiego Bilbao, spacerując 22 IX po zabytkowym Nikiszu i Giszowcu. 24 IX wygłosił wykład w Bibliotece Śląskiej, o tym jak Bilbao z miasta uznawanego za najbrzydsze w Hiszpanii stało się mekką dla turystów i biznesu.

■ **WIELOLETNIA** szefowa działu reportażu „Gazety Wyborczej” Małgorzata Szejnert za książkę o Giszowcu i Nikiszu „Czarny ogród” dostała 22 IX przyznawaną po raz pierwszy nagrodę Mediów Publicznych „Cogito” w dziedzinie literatury. Odebrała czek na 200 tys. zł.

■ **DO** Bestwiny ma wrócić zabytkowy dzwon zrabowany przez hitlerowców. Odnalazł się w jednym z niemieckich kościołów w Bawarii, ale żeby go przewieźć do Polski, trzeba najpierw rozebrać kościelną wieżę. Bestwiński dzwon jest starszy niż słynny dzwon Zygmunta – został odlany w 1504 roku.

■ **ZNÓW** można zwiedzać wnętrza gliwickiego Zamu Piastowskiego. Remont trwał półtora roku i kosztował 3 mln zł.

■ **JEST** coś optymistycznego w kulturalnej działalności na katowickich osiedlach. Takim optymistycznym wydarzeniem był na katowickim os. Tysiąclecia 27 września koncert. Kameralnie, nastrojowo i pięknie śpiewali Olivia OHL-Szulik i Marcin Hutek (zapamiętajmy te nazwiska), którym akompaniowała pianistka Joanna Steczek. Młodzieżowy Dom Kultury na os. Tysiąclecia otaczają wznoszone nowoczesne wieżowce. Wśród nich nie tracą na urodzie utwory wielkich mistrzów. A chętnych słuchaczy jest sporo. Oby znalazli naśladowców.

■ **BESKIDZKIE** lasy sprzątane bez granic. Kilkusset uczniów polskich, czeskich i słowackich szkół sprzątało 26 IX lasy rosnące u zbiegu trzech państw. W ciągu zaledwie półtorej godziny uczniowie zebrali w górskich lasach dziesięć worków pełnych śmieci. To smutne, że turyści traktują lasy jak wysypisko.

■ **CHOĆ** mistrzem Polski w skokach Adam Malysz został 27 IX już po raz 33., to po raz pierwszy udało mu się to na skoczni jego imienia. Bowiem 27 września uroczyście otwarto skocznice w Wiśle Malinca. Many teraz w Polsce dwie duże skocznie, co bardzo ułatwi treningi i przysporzy więcej imprez.

■ **TO** był ciężki rok dla górniczych orkiestr dętych. Przetwały tylko te najbardziej zdeterminowane, których muzycy chcieli z własnych kieszeni dokładać do autokarów czy mundurów. Na szczęście jest światło w tunelu: kopalnie będą finansować orkiestry, ale na innych zasadach. Bo bez górniczych orkiestr trudno sobie wyobrazić Śląsk.

■ **JANUSZ** Świąt przez siedem lat cierpliwie pisał swoje wspomnienia, wystukując je trzymanym w ustach ołówkiem na klawiaturze komputera. – Wreszcie zrzuciłem to wszystko z siebie – mówił sparaliżowany mężczyzna podczas promocji swojej książki „12 odchodów na minutę”.

■ **UNIwersytet** Śląski, jako pierwsza uczelnia w regionie, rozpoczął 30 września nowy rok akademicki. Obejmujący funkcję rektora prof. Wiesław Banyś odebrał z rąk swego poprzednika prof. Janusza Janeczka nowe insygnia rektorskie – pierścienie i berło.

■ **POMALOWANE** na żółto-niebieskie kolory dwa nowe FLIRTY pojawiły się 30 IX na dworcu w Katowicach, gdzie uroczyście przekazano je samorządowcom. Potem przyszedł czas na przejazdki superpociągami do Sosnowca i z powrotem. Na razie. A jazda nowym FLIRTEM to rzeczywistość przyjemność.

■ **ŚLĄZAK**, który podczas wojny uratował więcej Żydów niż Oskar Schindler czy szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg, będzie miał w Katowicach pomnik. Powstaje właśnie stowarzyszenie, które chce przywrócić pamięć o Henryku Ślawiku.

Zmarł JAN RÓŻEWICZ

Foto. Zbigniew Sawicz



8 października br. zmarł we Wrocławiu w wieku 55 lat JAN RÓŻEWICZ, urodzony w Gliwicach reżyser i wykładowca teatralny, którego wiersze, opowiadania i eseje, ukazywały się na łamach „Śląska”.

Panu
TADEUSZOWI
RÓŻEWICZOWI
Ojcu JANA
oddanemu Przyjacielowi
naszego pisma,
Członkowi Honorowemu
Górnośląskiego
Towarzystwa Literackiego,
i Jego Małżonce,
Pani Wiesławie,
składamy
głębokie wyrazy
współczucia.

Jesteśmy sercem
i pamięcią
z Wami
w tych dniach
smutku i żałoby

Zespół Redakcji „Śląska”

Katowicki dworzec czyli...

Co komu po dziele sztuki?

Jaki ostatecznie los czeka katowicki dworzec PKP, wkrótce się okaże. Powtarzane od lat, jak mantra, opinie o fatalnym wyglądzie tej „reprezentacyjnej” budowli stolicy Śląska, a co za tym idzie o konieczności zmiecienia go z powierzchni ziemi (co nasiliło się zwłaszcza po 90. roku, kiedy wszystko co rodem z epoki PRL-u powinno zapaść się pod ziemię), stały się coraz bardziej dominujące. Kiedy zaczęto mówić o przebudowie dworca (a nawet o innej jego lokalizacji, zaś to miejsce miało być przeznaczone pod budowę kolejnego marketu, zwanego teraz elegancko „galerią”), wreszcie rwetes podnieśli architektki, historycy sztuki i mieszkańcy Katowic. Swoje codzienne lamy do wielkiej dyskusji o przyszłości dworca udostępniła katowicka „Gazeta Wyborcza”. O tym, dlaczego należy zachować dworzec napisano już wszystko. Argumenty powinny trafić nawet do największych laików w dziedzinie sztuki nowoczesnej. Bitwa (bo jak inaczej nazwać kampanię prowadzoną na łamach „GW” i w śląskich mediach) zdaje się być wygrana – ale jak zwykle ostatnie słowo należy do właściciela obiektu. A ten udowodnił, że papier może wszystko wytrzymać, powiedziec też można wiele, a on i tak swoje robi.

Okna naszej redakcji wychodzą na ulicę Dworcową, na piękny budynek starego dworca – patrzymy na niego z wysokości trzeciego piętra i wierzyć się nie chce, że z roku na rok popada w coraz większą ruinę. Kiedy sprzedawcy wielkich i małych sklepików ostatecznie opuścili hale, powiało nadzieją, że oto może wkrótce rozpocznie się remont i tylko patrzeć, jak niezwykła architektura dworca odzyska blask, jaki ostatnio widziano na przedwojennych pocztówkach, a renowacja hotelu „Monopol” i zapowiadana przebudowa ulic Mariackiej i Dworcowej będzie prelude do przywrócenia reprezentacyjnego charakteru temu kwartałowi miasta. I co? Po latach złudzeń (i dyskusji) stary dworzec rozpada się, a jego jedynymi „stróżkami” są pijacy. Znajdujący schronienie w ciemnych zakamarkach. W końcu jedna z hal stała się parkingiem dla wytwornego „Monopolu” (nie wydano chyba złotówki na jakikolwiek remont, chociażby tylko zewnętrzny), a druga od niedawna służy handlarzom, o czym donosi rozciągnięty nad wejściem baner z napisem Hala Targowa. Jak za pamiętnych lat 80. minionego wieku, rozstawiono łózka, stopy kartonów i stragany, na nich handlarze poukładali swoje towary. No, w końcu coś się dzieje! Nic nie wskórała Fundacja dla Śląska, która jakiś czas temu w zamiecionych, ale oblażonych z farby halach próbowała pokazywać „wysoką” sztukę. Ten dworzec był po prostu paskudny – smród i brud. Dobrze mu tak... Czy już został stracony na zawsze?

Oby takiego samego losu nie podzielił nowy dworzec. Co z tego że brudny, że śmierdzący, że handlarze, że margines społeczny...to wszystko można zmienić – wystarczy zajrzeć np. do Wrocławia. Kiedy dzieło sztuki architektonicznej (tak!) zniknie z powierzchni ziemi, będzie to dla Śląska największym skandalem pierwszych lat XXI wieku! Wiadomo – grunt pod dworcem to lasy kąsek, na dodatek w centrum miasta! Zawsze może powstać jeszcze jedna Silesia City Center, kiczowaty twór przyciągający tłumy. W końcu Skarbek i Zenit (choćby obydwa po liftingu) to za mało, jak na jeden ka-



Foto. Zbigniew Sawicz

Betonowe kielichy – dzieło polskich architektów i konstruktorów – wpisały się na listę architektonicznych „cudów świata”.

towicki Rynek (a tego też nie ma). A zresztą te socjalistyczne klocki też powinna zepchnąć koparka (do tego trzeba by dolożyć jeszcze Dom Prasy, BWA, Pałac Ślubów, dawne Centrum, „U Michałika” – znalazłoby się jeszcze kilka kandydatów). Można iść dalej – Spodek też wcale nie jest piękny, a budynek PKP, Superjednostka, to gorsze? W końcu zawsze można wybudować coś innego, ładniejszego – by po latach zburzyć, itd...

Kiedyś prof. Ewa Chojecka, historyk sztuki, powiedziała, że Katowice mają od zawsze wpisany w swój charakter pęd do nowoczesności – objawem tego była (i dzięki Bogu, nadal jest) architektura okresu międzywojnia, którą dziś Katowice się szczygą. To Śląsk „nowoczesną architekturą stoi”, tu powstają pomysły godne światowego uznania, tu młodzi projektanci myślą nad wypracowaniem nowej, charakterystycznej dla tego regionu architektury. Zaufajmy im. Trzeba mieć oko i słuch na te głosy – niech decydują co ważne dla wizerunku miasta, co uczyni je wyjątkowym – nie tylko na dziś, ale na pokolenia! Nie każda budowla powstała gdzieś w Europie jest klasycznie „piękna” – ale zachwyca, określa tożsamość miejsca i nikomu nie przyjdzie do głowy pozbawiać się jej. Wręcz odwrotnie. Tak samo katowicki dworzec, zachowując wyjątkowość, niech wreszcie w świetle reflektorów pokaże niepowtarzalny kształt. Nie pochylajmy się tylko nad przeszłością, pochylajmy się nad tym co na Śląsku nowoczesne i wartościowe – także nad tym co zostało po przemyśle, czego nigdzie w kraju (a i w Europie) już nie ma, pochylmy się nad wyjątkowymi dziełami sztuki współczesnej (uwierzmy fachowcom), nad dworcem kolejowym i jego „brutalnymi” kielichami, dostrzeżmy je i doceniśmy, by nie podzieliły losu kina „Śląsk” (kto je jeszcze pamięta?) przy niedgdyjszej ulicy Wawelskiej, albo kurczącego się starszego brata z ulicy Dworcowej.

Z okien naszej redakcji widać także i nowy dworzec, a pomiędzy nimi, przy torach, wieże kolejowe i inne zabudowania – jakie nikomu niepotrzebne. Nikomu niepotrzebny szmat historii miasta?...

WIESŁAWA KONOPELSKA



Pożegnanie bpa ADAMA ŚMIGIEŁSKIEGO (1933-2008)

11 października 2008 r., w Sosnowcu, odbył się pogrzeb bpa Adama Śmigiełskiego pierwszego ordynariusza, utworzonej w 1992 roku, diecezji sosnowieckiej. W uroczystości pogrzebowej wzięło udział 24 biskupów oraz abp Damian Zimoń metropolita katowicki i abp Stanisław Nowak metropolita częstochowski, którzy celebrowali msze św. Bpa Śmigiełskiego żegnali m.in. nuncjusz apostolski bp Józef Kowalczyk, kard. Franciszek Macharski i bp Tadeusz Piernok.

Bp dr Adam Śmigiełski urodził się 24 grudnia 1933 roku, w Przemyślu. W 1951 roku wstąpił do Towarzystwa Salezjańskiego. Studiował filozofię w Wyższym Seminarium Duchownym Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie i teologię w Wyższym Seminarium Duchownym w Lublinie. Święcenia kapłańskie otrzymał 30 czerwca 1957 roku. Był prefektem studiów w Wyższym Seminarium Duchownym Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie, wykładowcą Pisma św. i języków biblijnych w tymże seminarium, sekretarzem, a później członkiem Komisji Episkopatu Polski do spraw Seminarium Duchownych. Doktorat obronił w 1979 r. w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Biskupem sosnowieckim został mianowany 25 marca 1992 roku, a 30 maja tegoż roku przyjął sakrę biskupią w katedrze sosnowieckiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny z rąk kard. Józefa Glempa, Prymasa Polski.

W obronie historycznej nazwy naszej szkoły

Szanowna Redakcjo

W imieniu absolwentów Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach, wyrażam głębokie oburzenie arbitralną decyzją Ministerstwa Edukacji Narodowej, zmieniającą nazwę naszej szkoły na świadectwach szkolnych. Jest to bezprzykładny wybrzyk ministerialnych urzędników, którzy w imię wykonywanych przez siebie biurokratycznych argumentów depczą zrodzone 77 lat temu znakomite tradycje szkoły.

Czy komuś przeszkadza w nazwie szkoły słowo „ŚLAŃSKIE”, albo fakt, że nazwa szkoły została przyjęta Ustawą Sejmu Śląskiego z 30 marca 1931 roku?

Rodzice zapisywali i zapisują dzieci do Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych. Chcą, aby ukończyły one szkołę, która samą swoją nazwą na świadectwie nadaje wysoki prestiż absolwentom.

Jako absolwenci nie mamy nic przeciw temu, aby do liczącej blisko 80 lat nazwy szkoły dopisanie zostało oznaczenie „Technikum nr 17”, skoro taka jest konieczność. Jednak stanowczo protestujemy przeciw nierozsądnej decyzji niszczącej historię, dzień dzisiejszy i przyszłość drogiej nam szkoły.

Proszę redakcję o podjęcie tej sprawy. Służę szczegółowymi informacjami.

LECH BANASIK

Prezes Stowarzyszenia Absolwentów
i Przyjaciół Śląskich Technicznych
Zakładów Naukowych w Katowicach

Listopadowy numer zawierający list w obronie historycznej nazwy szkoły przesyłamy do kilku parlamentarzystów ze Śląska z prośbą o skuteczną interwencję.



XVIII Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego

Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego ogłasza ogólnopolski konkurs na zestaw poetycki, o łącznej objętości do stu wersów, stanowiący spójną warsztatowo propozycję. Jury będzie rozpatrywać jedynie utwory dotąd nie nagradzane.

Nadesłany zestaw poetycki należy oznaczyć godłem. Tym samym godłem prosimy oznaczyć także dołączoną do przesyłki zaklejoną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i adres Autora (z numerem telefonu, adresem e-mailowym) oraz odcinek potwierdzenia wpłaty 15 zł (piętnastka złotych) na konto Stowarzyszenia: Bank Pekao SA i o/Łódź, 08 1240 3015 1111 0000 3412 3850. Biorący udział w konkursie są zobowiązani również do dołączenia podpisanego przez siebie oświadczenia o własnym autorstwie nadesłanych prac.

Jury będzie rozpatrywać jedynie prace nadesłane w pięciu egzemplarzach narysowanych do 31 grudnia 2008 roku pod adres: Śródmiejskie Forum Kultury, 90-056 Łódź, ul. Roosevelta 17; z dopiskiem XVIII Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego.

Organizatorzy nie odsyłają nadesłanych prac. Stowarzyszenie zastrzega sobie prawo do publikacji nadesłanych tekstów w materiałach informacyjnych i promocyjnych.

Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w Łodzi 7 marca 2009 roku. O dokładnym miejscu i czasie uroczystości laureaci będą powiadomieni indywidualnie, dane te zostaną także zamieszczone na stronie Stowarzyszenia: <http://silkkb.fice.art.pl>. Decyzję o rozdaniu nagród i wyróżnień oraz o ich wysokościach jury podejmie na posiedzeniu zamykającym Konkurs. Werdykt Jury zostanie następnie opublikowany w prasie oraz na stronie internetowej Stowarzyszenia.

Takiego listu nie było...

Szanowna Redakcjo!

Jako rodowity Ślązak z zainteresowaniem przeczytałem wypowiedź prof. Marka S. Szczepańskiego („Śląsk”, nr 7 (153) lipiec 2008) na temat reaktywowania Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, zlikwidowanego z przyczyn politycznych w 1992 roku.

W pełni zgadzam się z wyżej wymienionym, że była to bardzo wartościowa Śląska placówka naukowa. Powstała jeszcze przed wojną, m.in. dla obrony polskości Górnego Śląska. Oprócz nazwisk ludzi zasłużonych dla rozwoju nauki polskiej, które wymienił prof. Szczepański, dodałbym tu także np. doc. Rudolfa Buchała, który prowadził badania watykanistyczne i niemieckozawcze, doc. Szczepana Wysockiego, który był znanym i cenionym niemieckozawcą. W Instytucie sporządzano ekspertyzy nie tylko dla władz wojewódzkich, ale także dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W Zakładzie Badań Politycznych pracowali obok siebie zarówno naukowcy działacze lewicy, jak i działacze katolicycy w tym m.in. doc. Rudolf Buchała i dr Henryk Wuitke. W pełni popieram głos prof. Marka S. Szczepańskiego za reaktywowaniem Instytutu, w czym wielką rolę odegrać powinni współcześni gospodarze i działacze Ziemi Śląskiej.

Na tym jednak moja zgodność z profesorem Markiem S. Szczepańskim się kończy. Dalej pi-

wsze on bowiem, że „doskonale pamięta” „poruszający, czy mówiący wprost – wstrząsający, list jednego z pracowników Instytutu, zredagowany i podpisany przez grupę akolitów w trudnych latach pierwszej Solidarności, nawołujący towarzyszy radzieckich i ich zbrojnych przedstawicieli do interwencji w Polsce, trapiłonej kryzysem socjalizmu”.

Prof. Marek Szczepański nie wymienia nazwiska i organizacji o której pisze, ale wszyscy pamiętający tamte czasy wiedzą, że chodzi o doc. dr. hab. Wsiewołoda Wolczewę i Katowickie Forum Partijne. Dla uwiarygodnienia swej wypowiedzi prof. Marek S. Szczepański napisał: „Z niezłym od lat twórcą tego adresu, istnym partyjniackim żelbetonem, łączyły mnie szczególne relacje”. Można by oczekiwać, że słowa „szczególne relacje” mają tu głębokie uzasadnienie. Okazuje się, że Marek S. Szczepański przeżył traumę intelektualną z powodu negatywnej recenzji wystawionej napisanemu przez niego artykułowi, której, palając ządzą odwetu, nie może jeszcze teraz zapomnieć: „Był bowiem recenzentem jednej z pierwszych moich publikacji. Radykalnie marksistowskim i jednoznacznie krytycznym”. (...)

Jako wieloletni przyjaciel W. Wolczewę uważam, że był postacią wybitną zarówno jako naukowiec, jak i działacz polityczny. Nawet jego wrogowie przyznają, że był człowiekiem uczciwym, pryncypialnym, otwarcie broniącym swego zdania, nienawidzącym intrygi i obłudy. W swojej książce, „Syn króla bezrobotnych”, wydanej w 2002 roku pisałem: „Nie miejsce tu na analizę poglądów W. Wolczewy. Historia ostatecznie rozstrzygnie kto się mylił, a kto nie. Ale już dziś widać, jak bardzo miał rację kiedy ostrzegł, że ówczesna polityka prosiła drogą zmierną do demontażu socjalizmu i że na końcu tej drogi przemian znajduje się stary, prymitywny, XIX-wieczny w swojej postaci, kapitalizm o wilczej twarzy”. (...)

Katowickie Forum powstało na fali rozwoju demokracji wewnątrzpartyjnej, obok szeregu klubów w innych regionach i struktur poziomych na uczelniach. Chyba Marek S. Szczepański nie odmawia dziś prawa do istnienia podobnych struktur?

Było strukturą seminaryjną, której członkowie chcieli się włączyć do dyskusji nad przyszłym programem i kształtem odrodzonej partii i państwa (...) zarówno w swoim składzie kierowniczym, jak też w kierunku programowym reprezentowało jasno wyrażoną, krytyczną orientację marksistowską i internacjonalistyczną, co w owym czasie nie było rzeczą powszechną (...). Nic więc dziwnego, że w 1981 roku Katowickie Forum zostało uznane za niebezpieczne przez ekipę Kani-Jaruzelskiego (...). O tym, że Katowickie Forum Partijne było nie do przyjęcia dla biurokratycznych struktur ówczesnej partii i państwa, na czele których stał W. Jaruzelski i S. Kania, świadczy rozwiązanie Forum po wprowadzeniu stanu wojennego i rozproszenie jego członków. W. Wolczew – w wyniku prowadzonej przeciw niemu nagonce, wręcz mściwości, nienawiści i brutalnemu przesładowaniu ze strony ówczesnych władz partyjnych – został usunięty z uczelni (...), musiał opuścić Górny Śląsk (...).

Jako aktywny członek Katowickiego Forum, brałem udział w redagowaniu wszystkich jego dokumentów i z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że takiego listu po prostu nie było (nawołującego „do interwencji towarzyszy radzieckich” – przyp. Redakcji). Odwrotnie, cała działalność Forum zmierzała do politycznej aktywizacji, zmian w ówczesnym kierownictwie partii i państwa i walki o poparcie społeczne tak, aby ustrzec się od „bratniej pomocy” z zewnątrz (...).

Z poważaniem
RUDOLF MARON
Katowice

Od redakcji

W październikowym wydaniu „Śląska”, na str. 49, w artykule Beaty Gdak pt. „O publiczności okupacyjnej Zofii Kossak-Szczuckiej” ukazał się niepełny podpis pod zdjęciem. Treść jego winna brzmieć: *Kamienica przy ulicy Francuskiej w Katowicach, w której w 1932 roku mieszkała Zofia Kossak-Szczucka.*

Czas i miejsce tego narodowego święta – historycznej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli i suwerennej państwowości – są wyjątkowe, bo też niewiele dat w naszych dziejach ma równorzędne znaczenie.

Po roku 1945 przez kilkadziesiąt lat dzień 11 listopada był wymazywany ze zbiorowej świadomości, bo kojarzył się z Józefem Piłsudskim i jego tryumfalnym powrotem z Magdeburga a także jego rolą jako naczelnego dowódcy polskich sił zbrojnych w rozgromieniu Armii Czerwonej, która podeszła już pod Warszawę. Ta data, choć na długo wyparta z historycznego kalendarza, ożywała w polskich domach, bo nie tylko w kombatanckich patriotycznych środowiskach. Wracaliśmy wciąż pamięcią do tamtego dnia, który symbolizował wolność i niepodległość a także spontaniczny dzień objawionej narodowej jedności, gdy przyszedł naczelnik państwa przybył do Warszawy, by przejąć przekazaną mu przez Radę Regencyjną władzę. Następne lata, gdy przyjdzie budować od podstaw strukturę państwa, a dojdzie i do narodowej tragedii po mordzie pierwszego prezydenta Gabriela Narutowicza, wykażą jak bardzo podzielone i politycznie zwaśnione jest nasze społeczeństwo. Ale to dzieje się już w Polsce niepodległej, w państwie które ustaliło w ciężkich bojach swoje suwerenne granice. Odtąd data ta symbolizowała akt najważniejszy – powrót Polski na mapę Europy oraz wielkie zbiorowe emocje, które towarzyszyły temu wydarzeniu.

Gdy w historycznym roku 1989 – już w Polsce wolnej i suwerennej – obchodziliśmy po raz pierwszy bez politycznych barier i ograniczeń pamiętną rocznicę odzyskania niepodległości wpisaną w datę 11 listopada 1918 roku, od tamtych wydarzeń dzieliło nas 70 lat i kilka epok, w tym lata wojny i okupacji oraz ponad 4 dziesięciolecia PRL-u. Wtedy wreszcie znów można było w pełni wyrazić i przeżywać zbiorowe uniesienia związane z powrotem odrodzonej Polski na mapę Europy po latach zaborów i niewoli. Żyli jeszcze ostatni uczestnicy tamtych wyjątkowych wydarzeń, w tym morderczych walk wojny polsko-bolszewickiej rozstrzygającej nie tylko o dalszych losach Polski a zakończonej po dniach trwogi i grozy wielkim militarnym zwycięstwem – „Cudem nad Wisłą”.

Sędziwi weterani tamtych wydarzeń pojawili się wreszcie na ekranach telewizorów i uroczystościach państwowych, by jeszcze raz poświadczyć prawdę i przemówić w imieniu swej młodszej generacji, pierwszej której pisane było dobić się z bronią w rękę wolnej Polski, z godnym miejscem na mapie, choć nie okazało się możliwe odwołanie przedzoborowych grauc i Rzeczpospolitej. A byli jeszcze w tym gronie weteranów nawet ostatni spośród 142 żołnierzy Pierwszej Kompanii Kadrowej, którzy 6 sierpnia 1914 roku o godzinie 3 nad ranem wyruszyli z krakowskich Oleandrów w stronę granicy austriacko-rosyjskiej, by przekroczyć ją w Michałowicach. Rosyjski posterunek strażnicy granicznej był pusty. Żołnierze przewrócili słup z dwugłowym orłem. Kilku weszło do strażnicy, by strącić ze ściany portret najjaśniejszego imperatora – i ten symboliczny akt zwyciężył również przeszedł do historii. Jak wszystko co działo się w tych dniach i latach, gdy z niewielkiego oddziału „szaleńców” rozwinię się z czasem wojsko polskie, w przyszłości waleczna narodowa armia, która po zwycięskiej wojnie z Ukraińcami w 1919 roku pokona i upokorzy Armię Czerwoną, zaś operacje militarne obejmą rozległe obszary dawnych ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów (w szczytowym okresie wojny siły polskie zbliży się do stanu miliona żołnierzy).

Na początku przeważały akty i gesty symboliczne, które odwoływały się do wyobraźni i patosu historii. Wcześniej dokładnie co do dnia – 50 lat przed wymarszem I Kadrowej na rozpoczęcia w takich okolicznościach „wojnę” z Rosją – zostało zdławione powstanie styczniowe a Romuald Traugutt i członkowie ostatniego Rządu Narodowego zawiśli w warszawskiej cytadeli na szubienicach. Tego lata 1914 roku, gdy Europa stanęła przed nieuniknionym starciem wielkich mocarstw, które parły do militarnej konfrontacji, co spowoduje, że runie wreszcie niepodważalny ład narzucony na Kongresie Wiedeńskim uciemżonym państwom i narodom, przede wszystkim unicestwienie rozbiorami Rzeczypospolitej, zegar historii wybił tę pamiętną dla Polaków datę. A nastąpił już czas, gdy większość została się z myślą o własnym państwie i zjednoczeniu narodu. Niewielu pamiętało i traktowało z uwagą – jak się teraz okazało – prorocze przeczucia Adama Mickiewicza, który w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego” w roku 1832 w paterystycznej Litanii Pielgrzymstwa wołał: *O wojnę powszechną za wolność ludów. I Prosimy Cię Panie...* I oto właśnie tak się teraz stało: doszło do – wydawało się niemożliwe – wojny powszechnej ludów, z której wyłoni się nowa mapa Europy, jak to przewidywał przed ponad 82 laty w akcie poetyckiego natchnienia poeta-tulacz.

Przypomnijmy jak wyglądało w pierwszych dniach tej oczekiwanej wojny powszechnej „wojsko Piłsudskiego”, gdy konkurujące ze sobą, poróżnione mocarstwa rzuca przeciw sobie potężne siły. W Europie zostanie wówczas zmobilizowanych, uzbrojonych i wyposażonych we wszystko 65 mln żołnierzy. Już w początkach sierpnia 1914 roku dochodzi do uroczystego połączenia i wojskowej jedności organizowanych od roku 1908, najpierw konspiracyjnych, następnie paramilitarnych organizacji, utworzonych głównie z inicjatywy Piłsudskiego. Na placu przed Oleandrami stanęły 75-osobowe oddziały reprezentujące Związki Strzeleckie i Polskie Drużyny Strzeleckie, które znajdują się pod

Po wojnie ludów

TADEUSZ
KIJONKA

jego komendą. Dochodzi do wymiany organizacyjnych odznak, natomiast znakiem wspólnym będzie odtąd Orzeł Biały. Tak dokonało się uformowanie historycznej Pierwszej Kompanii Kadrowej. Niewielkie srebrne orzelki pojawiają się teraz na maciejówkach – nakryciach głowy, gdy Kompania Kadrowa w szarych mundurach wyruszy na „podbój historii”. Jak w kontekście realnych sił przedtawiały się patetyczne zapowiedzi komendanta, gdy stwierdził: *Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójście do Królestwa i przestąpić granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć o oswobodzenie ojczyzny. (...) Patrzcie na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska i pozdrawiam was jako Pierwszą Kadrową Kompanię!”*

Wokół tej garstki desperatów z upływem dni zaczęła skupiać się coraz liczniej ochotnicy, z reguły licho ubrodzeni, w cywilnych ubraniach – słowem: jak i kto do zaciągu stanął. Zapisał uczestnik tych wydarzeń, iż dochodziło i do tego, że można było zobaczyć nawet *parobczaka, bosego, w poszarpanym ubraniu, z wątpliwym nakryciem głowy, z karabinem na sznurku i workiem na plecach.*

Tak rodziło się i narodziło polskie wojsko. Koniec zapowiadanej Mickiewiczowskiej „wojny powszechnej za wolność ludów” spowoduje upadek panujących mocarstwowych dynastii: Romanowów, Habsburgów i Hohenzollerów, a jednocześnie wyłonienie się na mapie Europy szeregu nowych państw: Czechosłowacji, Jugosławii, Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii. Po orędziu prezydenta USA z 22 stycznia 1917 roku T. W. Wilsona, który upomniął się o powołanie „zjednoczonej, niepodległej i samodzielnej” Polski, stała się ona znowu podmiotem międzynarodowym. Lecz jej sytuacja była inna, jako że miało się wyłonić duże państwo z ziem wchodzących dotąd w skład trzech zaborczych monarchii. I tylko Polska będzie zmuszona ustalić swoje granice w znacznej części poprzez akty zbrojne, choć nie okaże się już możliwa restytucja wielonarodowościowej Rzeczypospolitej. Państwo, które przyjdzie stworzyć i zbudować, obejmie ziemie wyrabowane i zniszczone operacjami wojennymi oraz przemarszem wojsk. Spośród 3 milionów żołnierzy zmobilizowanych do armii zaborczych na ziemiach polskich – zginie około pół miliona. Przed państwem i narodem stoją teraz zadania ogromnego zbiorowego wysiłku i pracy na rzecz państwa, w czym uczestniczyć będą wszystkie podstawowe siły niezależnie od dzielących je często ostrych różnic. Także wysiłki niepodległościowe były podejmowane w latach I wojny światowej przez różne ugrupowania a obok Piłsudskiego znaczne zasługi oddadzą sprawie polskiej Roman Dmowski i mający dostęp do Białego Domu Ignacy Paderewski.

Data 11 listopada 1918 roku, która stała się narodowym świętem jako rocznica odzyskania niepodległości, kojarzy się odtąd z osobą Józefa Piłsudskiego, choć nie można uznać, że wszystko nastąpiło i rozstrzygnięto się tego dnia. Uwienienie przez Niemców po „kryzysie przysięgowym” w lipcu 1917 roku i osadzenie w Magdeburgu, umocniło autorytet Piłsudskiego jako symbolu idei i walk niepodległościowych. Jest wówczas jedynym człowiekiem, który może skupić wokół siebie naród. To, że dzień po przybyciu 10 listopada do Warszawy przejmują z rąk Rady Regencyjnej władzę, a 22 listopada 1918 roku obejmują stanowisko Tymczasowego Naczelnika Państwa a także naczelnego dowódcy sił zbrojnych, było wyrazem holdu złożonego twórcy idei legionowej i wojska polskiego. Te akty polityczne stały się podstawą przyszłej legendy Piłsudskiego, która doprowadzi do utożsamiania jego osoby z powstaniem scentralizowanego państwa – II Rzeczypospolitej.

Od tamtych dni mija 90 lat. Od dawna nie żyje już nikt spośród uczestników tych historycznych wydarzeń, w tym żołnierzy, którzy nie zawiedli w najcięższych dniach odradzającej się Polski. Po eksplozjach zbiorowych emocji roku 1989, gdy dzień 11 listopada 1918 roku został uznany za święto państwowe jako data odzyskania niepodległości, niewiele zostało z patriotycznych uczuć i manifestacji, o czym świadczą co roku chociażby i te coraz bardziej rzędzące flagi. Co stało się i dzieje z polskim patriotyzmem, tak trwałym i męcznym w przeszłości? Gdy piszę te słowa, główną uwagę skupiają żalodne zabiegi Pałacu Prezydenckiego wokół Balu Niepodległości, na który Prezydent Najjaśniejszej RP Lech Kaczyński zamierzał prosić niemal komplet głów państw tego świata. Wszystko wskazuje na to, że nie zjawia się ich wiele, więc jeśli do tego dojdzie, będzie to raczej bal nieobecnych. Czy patetyczna data 11 listopada i związane z nią historyczne wydarzenia mają być teraz narażone na taki blamaż i ośmieszenie? Kto i jak potem spłaca tę cenę wstydu.

Z minister ELŻBIETĄ BIEŃKOWSKĄ,
kierującą Ministerstwem Rozwoju Regionalnego
rozmawia JÓZEF WYCISK



Foto: Wiesława Konopelska

Pudła dokumentów, miliony i proste fundusze

– W westybulu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego została otwarta niecodzienna wystawa. Prezentowane są osiągnięcia Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego. Powiedzmy od razu, że część tych projektów to są w pewnym sensie pani dzieci...

– Nie chcę powiedzieć, że prawie wszystkie, ale może z dziewięćdziesiąt procent na pewno. Wszystkie te projekty były wybierane, a potem podpisywano umowy, kiedy tu, w Urzędzie pracowałam. Teraz patrzę na te nazwy i uświadamiam sobie, co z tych wszystkich papierów wyszło... Z tych pudeł pełnych dokumentacji... Zresztą kilka zestawów takich pudeł tu widać, bo tak właśnie wygląda projekt europejski. Sam projekt, potem wniosek, a wreszcie jego rozliczenie. Mieszkańcy regionu widzą oczywiście wiele z rezultatów ZPORR-u na co dzień, mam na myśli drogi, obiekty kultury, hale sportowe, bo codziennie z nich korzystają. Są również inne projekty, niemniej ważne, ale powiem przewrotnie: ukryte w ziemi. Czyli na przykład kanalizacja, sieci wodociągowe, informatyczne. Powstało ich w tym regionie bardzo dużo. Tak, to są wszystko zadania, które znam – powiedziałabym – detalicznie i każde z osobna.

– Zintegrowany Program Operacyjny Rozwoju Regionalnego oficjalnie zakończony zostanie trzynastego października, a tu nagle okazuje się, że mamy jeszcze jakieś czterdzieści i cztery miliony złotych do wydania...

– Obecnie trwa oficjalne kończenie programu w regionach, ale należy to traktować bardzo symbolicznie. Tak naprawdę, tak zupełnie ostatecznie ten termin zakończenia programu to ostatni dzień grudnia tego roku. Dodajmy jednak, że kończenie programów Unii Europejskiej trwa bardzo długo, to jeszcze będzie cały następny rok, kiedy pewne służby, szczególnie u wojewody, będą musiały ów program zamykać, jeśli mogą to tak nazwać kolokwialnie. Natomiast co do tych czterdziestu i czterech milionów... Rzeczywiście, udało nam się, nam – mówię pracownikom Ministerstwa Rozwoju Regionalnego no i mnie – nieskromnie powiem – wynegocjować z Ministerstwem Finansów jeszcze pewne dodatkowe pieniądze w tym kończonym właśnie zintegrowanym programie. Zwykle to mówię w sposób dość skomplikowany, ale postaram się wytłumaczyć to najprościej jak potrafię. Otóż głównie chodzi o oszczędności, które powstawały w pierwszej fazie realizacji programu, w wyniku oszczędności przetargowych. Chodzi także o tak zwane koszty niekwalifikowal-

ne, czyli coś, czego Unia nie zwracała. Tego wszystkiego trochę się ubierało i Ministerstwo Finansów wyraziło zgodę, żeby je jeszcze wykorzystać. Jeśli chodzi o kwoty, to jest to – powiemy – dziesięć procent ponad sto procent wartości programu. Mówiąc w uproszczeniu – wydatkowaliśmy, czy podpisaliśmy umowy na sto, czyli dokładnie na tyle, ile mieliśmy, więc w tej chwili mamy jeszcze na jakieś dziesięć procent dodatkowo. W przypadku województwa śląskiego to jest czterdzieści cztery miliony złotych. Można ich użyć w dwojaki sposób – to już jest decyzja samorządu województwa. Jest jednak kilka aspektów, o których należy pamiętać. Po pierwsze, mogą te środki otrzymać tylko te projekty, które są na listach, czyli przeszły cały etap kwalifikacji i nie starczyło na nie pieniędzy, jednak muszą to być projekty, które zostały zrealizowane, w tej chwili nie ma bowiem takiej możliwości, nie ma czasu, aby rozpocząć procedurę przetargową. Chodzi o to, aby były to projekty, które samorząd wybiera, wojewoda podpisuje umowę i od razu składa się wnioski o płatność. A drugi rodzaj projektów, które mogą się starać o te dodatkowe i nieoczekiwane środki, to te, którym z powodu wzrastających kosztów nagle stopniało dofinansowanie, to znaczy miały mieć siedemdziesiąt pięć procent z Unii, a z różnych powodów zrobiło im się z tego pięćdziesiąt i można im teraz dopełnić pewne pieniądze. Jednak, podkreślam, to jest decyzja samorządu województwa, co z tym prezentem uczyni. Zresztą, dla województwa śląskiego są to środki pewnie największe w kraju, albo drugie, po największych, ponieważ to był największy kawałek programu zintegrowanego. Te pieniądze, to jest taki prezent dla beneficjentów, bo rzeczywiście program się kończy, a tu pojawiają się dodatkowe środki, zupełnie nagle i niespodziewane. Ale wszędzie są przyjmowane z dużą radością.

– Pani minister, często pojawiają się w prasie takie informacje, że mamy opóźnienia w ogłaszaniu konkursów, w jednym programie o miesiąc w innym – o dziesięć. Jak pani odbiera tego rodzaju przekazy, bo w pewnym sensie to są zarzuty kierowane pod pani adresem...

– Tak, są takie zarzuty i pojawiają się regularnie. Niestety, nie mam w sobie takiej umiejętności zrzucania winy na kogoś innego, jednak naprawdę w tej materii mieliśmy, a właściwie przeżyliśmy ogromne opóźnienia. Chodzi o prawo środowiskowe, które było niedostosowane



Foto: Wiesława Konopelska

do prawa unijnego. Nie można było rozpoczynać żadnych konkursów. W tej chwili te ustawy są w Senacie, a właściwie już z niego wyszły, nie ma więc żadnych zagrożeń dla realizacji programów, natomiast przeszliśmy przez ten rok drogę przez mękę. Przez dziesięć miesięcy moje ministerstwo włożyło dokładnie taką samą ilość pracy w te ustawy jak Ministerstwo Środowiska, które teoretycznie je pilotuje. Przypomnę, że bez tych ustaw żadne programy nie były w stanie ruszyć z miejsca, szczególnie duże programy infrastrukturalne. Jeżeli do końca tego roku nie będziemy mieli tych ustaw przyjętych i działających w praktyce, to Komisja Europejska żadnego projektu nam nie zaakceptuje. Reasumując – w tej chwili zagrożeń już nie ma, ale naprawdę trzeba było dużo pracy włożyć, żeby można było przynajmniej podpisywać umowy, szczególnie jeżeli chodzi o dużą infrastrukturę. Przypomnę także, że wcale nie było tak, jak twierdzą niektórzy, że pod koniec zeszłego roku wszystko było gotowe. Musieliśmy dopracować wiele programów, negocjować je i doprowadzić do ich przyjęcia przez Komisję Europejską. Ostatni z nich sama negocjowałam w grudniu zeszłego roku. Jeśli z tej perspektywy spojrzymy na poprzedni harmonogram wdrażania – to był on harmonogramem z księżycą, ponieważ nie dałoby się go zrealizować. Z punktu widzenia tego nierrealizowalnego harmonogramu mamy, powiemy, opóźnienia. Jednak – jeszcze raz podkreślam – w dwa tysiące ósmym roku nie można mówić o jakichkolwiek opóźnieniach i stracie środków. Rok dwa tysiące ósmy to jest rok na wybór projektów i podpisywanie umów. Będziemy się mogli martwić, jeżeli w roku dwa tysiące dziewiątym pieniądze nie byłyby

wydawane, a pierwszy sprawdzian realizacji programów Unia planuje na dwa tysiące dziesiąty rok, tak, że jeszcze mamy dwa lata.

– A czy nie jest trochę szkoda, że środki, które na przykład mogły trafić na rozwój przetwórstwa rolno-spożywczego, trafią do rąk indywidualnych rolników w postaci rent?

– Po pierwsze – nie wiadomo, czy trafią. Po drugie, to jest program, którym nie zarządza Ministerstwo Rozwoju Regionalnego, bowiem w tym okresie programowania program rolniczy, Program Rozwoju Obszarów Wiejskich odcięto od programów rozwoju regionalnego – moim zdaniem – niestety, odcięto. Ten postulat, o którym pan mówi, to jest postulat Ministerstwa Rolnictwa, jednak na razie żadnej decyzji nie ma. Ministerstwo Rozwoju Regionalnego jest tutaj bardzo sceptyczne, po pierwsze dlatego, że Program Rozwoju Obszarów Wiejskich (a o tym się znacznie mniej mówi, w przeciwieństwie do programów zarządzanych przez nas) w ogóle jeszcze nie ruszył. Skoro nie ma naboru wniosków, nie ma co mówić o przesuwaniu środków, bowiem właściwie nie wiemy, jak one pójdą. To jeszcze nie ten moment, żeby przesuwac środki i to w takiej wysokości, w jakiej proponuje się ich przesunięcie. Po drugie – Polska zadeklarowała przekazanie, czy skierowanie sześćdziesięciu procent z wszystkich programów na tak zwane działania związane ze Strategią Lizbońską, czyli działania prorozwojowe kierowane głównie do przedsiębiorstw, działania tworzące miejsca pracy. W tej sytuacji przesuwanie około miliarda euro, bo tak slyszałam, z działań dla przedsiębiorców na renty strukturalne jest – jak się wydaje – nie do przelknięcia przez Komisję Europejską. Poza tym samo „przesuwanie” też ma swoją procedurę.

Najpierw taką decyzję dotyczącą programu musi zatwierdzić Komitet Monitorujący, potem to idzie do Komisji Europejskiej, a Komisja zwykle długo się zastanawia nad takimi decyzjami. A w momencie, kiedy program jeszcze nie ruszył, myślę, że będzie się zastanawiać jeszcze dłużej... Tak więc żadna decyzja jeszcze nie zapadła.

– **Stało się już chyba tradycją w dzieleniu środków unijnych, że przedsiębiorcy skarżą się na to, że są gnębieni przez administrację.**

– Od kilku lat wszyscy mówią o uproszczeniach, a jak się spojrzy z punktu widzenia beneficjenta, to cały czas widać, że ta ilość biurokracji, która tkwi w programach jest naprawdę ogromna. Myśleliśmy o tym, i w lipcu powołaliśmy, już oficjalnie, zespół – jak go nazywamy – „dotyczący uproszczeń”. Mamy specjalną linię telefoniczną, mamy stronę internetową www.prostefundusze.pl i każdy, kto uważa, że coś mu się nie podoba w procedurach, może do nas to napisać i będzie to wzięte pod uwagę w trakcie obrad tego zespołu. W ramach zespołu działają trzy grupy, które zbierają się często i regularnie. Jest to grupa dotycząca procedur Europejskiego Funduszu Społecznego, czyli tych najmniejszych projektów interesujących głównie organizacje pozarządowe. Druga grupa dotycząca przedsiębiorców no i trzecia – infrastruktury. I teraz jedno ważne przypomnienie – mamy programy centralne, czyli na przykład program operacyjny Innowacyjna Gospodarka i mamy bardzo duży kawałek dla przedsiębiorców w programach regionalnych. Muszę niestety powiedzieć coś, co może dla samorządów województwa nie będzie zbyt pochlebne, ale samorządy, które mają w tej chwili całkowitą odpowiedzialność za programy, przystąpiły do pracy z gorliwością neofitów i „uciskają” przedsiębiorców o wiele bardziej niż

programy centralne. A jeżeli chodzi o procedury, to najwięcej głosów i najwięcej skarg mamy właśnie w kwestii programów regionalnych, bo przecież to właśnie tam głównie kierują swe kroki mali i średni przedsiębiorcy. I pomimo tego że wspomniany zespół nie dotyczy programów regionalnych – to zapraszamy ich przedstawicieli, żeby też z tych naszych doświadczeń skorzystali, żeby zobaczyli, że da się nie gnębić przedsiębiorców wielką ilością papierów, podpisów, procedur. W porównaniu z poprzednim okresem planowania zmieniła się sytuacja. Dzisiaj Marszałek Województwa ponosi pełną odpowiedzialność za wydawanie środków. Poprzednio wygodniej było samorządom, można było recenzować rząd, mówić, że coś jest źle zrobione. Teraz to coś zupełnie innego. Ale jak się jest samemu odpowiedzialnym w całości za duże pieniądze, to, oczywiście, dochodzą do głosu różne obawy i chęć tworzenia coraz to nowych barier. Od razu dodam, że absolutnie nie zamierzam zmuszać samorządów województwa do pewnych działań, natomiast na pewno nadal będę im pokazywać, że da się prościej. W programach centralnych to robimy, Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości dokładnie tak postępuje i tam już nie ma takiej ilości skarg od przedsiębiorców, więc będziemy się starali namawiać samorządy, żeby korzystały z pomysłów jak to robić prościej i szybciej.

– **Prawdą jest, że jednym z wymogów w jednym z urzędów marszałkowskich było to, że dokumenty muszą być w zaklejonym pudle.**

– Ale wie pan, takie rzeczy w roku dwa tysiące czwartym też się zdarzały. Tylko że ta administracja, która już się tym zajmowała, czyli te programy, które w tej chwili są wdrażane przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości, mają tę chorobę

wieku dziecięcego za sobą, a urzędy marszałkowskie – nie, choć akurat nie śląski, bo nie wiem, czy pan widział takie zestawienie..

– **Śląski Urząd znalazł się w gronie najbardziej przychylnych przedsiębiorcom.**

– Tak, był chyba pierwszy, chociaż ta ilość dokumentów i tak była tam spora, ale rzeczywiście najmniejsza w Polsce. Jednak niestety ciągle wracają te drobne, ale dziwne uciążliwości, jak to bindowanie, i ten kolor długopisu i znowu powtarzają się te same błędy, które były w roku dwa tysiące czwartym; bez sensu.

– **Czy jest pani zadowolona z tego, w jakim stopniu instytucje kultury sięgają po środki unijne? Nie mam na myśli takich twardej inwestycji jak remont, czy modernizacja obiektów, bo przecież nie tylko na to można wykorzystywać unijne środki.**

– Jeżeli by spojrzeć na to porównując ilość środków z ilością projektów, to trzeba powiedzieć, że jesteśmy bardzo zadowoleni, ponieważ projektów jest zawsze więcej niż pieniędzy, czyli jest z czego wybierać. Natomiast gdy się spojrzy detalicznie na różne instytucje – i na zabytki i na instytucje kultury, to widać, że jednak jest pewna grupa beneficjentów, czy zarządzających tymi instytucjami, która w ogóle się jeszcze tym nie interesuje, która się nie stara... No, może się jeszcze „douczą” w ciągu tych siedmiu lat. Natomiast, jak mówię, i my nie mamy i regiony nie mają problemu z wydatkowaniem środków, czy z dzieleniem ich, ponieważ zawsze jest więcej chętnych niż pieniędzy.

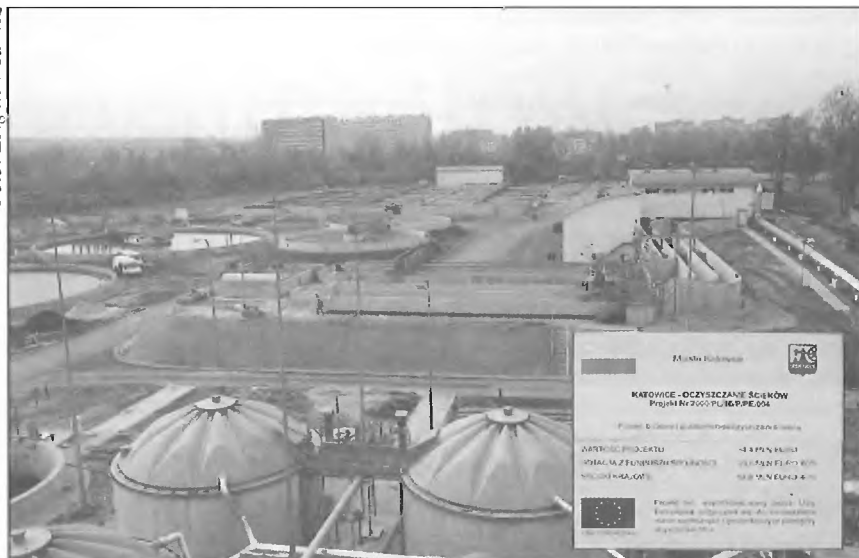
– **Śląski Zamek Sztuki w Cieszynie to taki przykład instytucji, która potrafi...**

– To jest w ogóle czołowy przykład i wszędzie się nim chwalimy, ponieważ to jest przykład przechodzenia z programu w program. Po pierwsze, sam zamek infrastrukturalnie był zrobiony jeszcze z programu pharowskiego, z Phare 2001 o ile pamiętam, bo też i ja się tym zajmowałam. Potem, na kolejne etapy działalności Zamek bierze z pieniędzy kolejnych programów i to jest naprawdę przykład, którym województwo śląskie się chwali. A i my też, w skali Polski pokazujemy go jako przykład tego, jak można aktywnie sięgać po pieniądze europejskie na działalność. Nie tylko na mury, ale również potem – na działalność.

– **Szkoda jednak, że takich przykładów jest mało.**

– Jest mało, ale ten przykład bardzo dobrze działa.

Foto: Zbigniew Sawicz



Po pięćdziesięciu latach Światowy Kongres Górniczy wrócił do Polski i obradował w Krakowie, kilka jego sesji odbyło się także w Katowicach, Lubinie, Belchatowie i Wieliczce. Otwarcie obrad kongresu uświetnił Zespół Śląsk, zresztą śląskich akcentów w Krakowie było jeszcze kilka. Oprócz górniczych orkiestr zaprezentowano bowiem widowisko artystyczne „Tradycje górnicze – Skok przez skórę”, a w kinie „Ars Studio” wyświetlono śląski tryptyk Kazimierza Kutza. Organizatorzy kongresu nie zapomnieli także o pozazawodowych pasjach polskich górników, czyli na przykład o malarstwie i filatelistyce. Wystawa „Naznaczeni węglem – śląscy artyści z górniczym rodowodem” prezentowała twórczość samorodnych plastyków-amatorów z Górnego Śląska, a Krajowa Wystawa Filatelistyczna „Kraków 2008” to górnictwo na polskich walorach pocztowych od odzyskania niepodległości po współczesność.

Górnikiem człowiekiem postępu?

Każdy z kolejnych kongresów (licząc z krakowskim było ich dwadzieścia jeden) każe także przypomnieć postać profesora Bolesława Krupińskiego, założyciela organizacji Światowych Kongresów Górniczych i pierwszego przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Światowej Organizacji Kongresów Górniczych. Szeroko były przy tej okazji cytowane jego słowa o roli nauki w tym codziennym borykaniu się człowieka z przyrodą. „Górnikiem zawsze był, jest i będzie człowiekiem postępu zarówno technicznego jak i społecznego, gdyż tylko postęp, bezustanne doskonalenie społecznych i technicznych warunków pracy pozwala górnikowi poznawać tajemnice ziemi, odkrywać jej skarby, zdobywać je ku pożytkowi powszechnemu, odwracać niebezpieczeństwa, którymi grozi przyroda, wyposażyć kraj w siłę tejże przyrody”. Ten postęp, w jego dosłownych, materialnych przejawach można było podziwiać w czasie Światowej Wystawy Górniczej Mining Expo w Sosnowcu, wystawie, która zawsze jest integralną częścią obrad kongresu. Na powierzchni ponad dwudziestu tysięcy metrów kwadratowych dwustu osiemdziesięciu wystawców z dwudziestu trzech krajów pokazało wszystko to, co... przeciętnego zjadacza chleba interesuje raczej rzadko. Dlatego jednym z sukcesów wystawy jest to, że odwiedziło ją dwadzieścia tysięcy osób, bo dla tak branżowego przedsięwzięcia to rezultat znakomity.

Ktoś, kto nie odróżnia przenośnika taśmowego od zgrzeblowego musi mieć problemy z opisaniem eksponatów zgromadzonych na wystawie. A na każdy z nich można było spoglądać na różne sposoby. O kombajnie ścianowym Zabrzeńskich Zakładów Mechanicznych KSW 2000 E można powiedzieć, że jest duży i żółty, a delikatne czerwone akcenty odważnie zastosowane na końcach tej instalacji dynamizują całą kompozycję. Można także, patrząc innymi oczami powiedzieć, że nowością w tym kombajnie jest sieć CAN, falowniki 1000-Voltowe, transformator chłodzony wodą, system tak zwanego skrawu kontrolnego czy zewnętrzne chłodzenie w ramionach. Na koniec, w charakterze pomyślnego można jeszcze dorzucić, że zastosowano w nim nowego rodzaju sterowniki, tej samej klasy, co te używane w łodziach podwodnych i śmigłowcach.

Jednak spacer po Mining Expo każe się zastanowić nad zupełnie innym fenomenem. Cofnijmy się do lat, kiedy w polskim górnictwie wylądowała „kotwica antyinflacyjna”, po której przychodzą kolejne programy restrukturyzacji tej branży. Pierwszymi ofiarami tych naprawczych programów nie były ani kopalnie, ani górnicy, tutaj obowiązywała zasada zachowania spokoju społecznego. Pierwszymi ofiarami były natomiast firmy okołogórnicze, zwane także firmami górniczego zaplecza. Scenariusz zawsze był taki sam, najpierw okazywało się, że kopalnia nie zapłaci, bo nie ma pieniędzy, no chyba, że firma weź-

Mining Expo
w Sosnowcu

Dokąd poszedł świat?

JÓZEF WYCISK

mie sobie kilka wagonów węgla. Potem kończyły się wszelkie zamówienia na nowe wyroby. Następnie pojawiła się propozycja nie do odrzucenia, czyli udział w postępowaniu układowym, co wiązało się z olbrzymimi stratami. Firmom zaplecza górniczego widmo likwidacji nie tylko zaglądało w oczy; ono po prostu bezczelnie i uparczywie się im przyglądało. Pracownicy tych firm, a i związkowcy, musieli szybko zrozumieć sens takich słów jak rynek, prywatyzacja, akcje, grupa kapitałowa, giełda. Dzisiaj polski przemysł zaplecza górniczego nie jest już młodszym bratem górnictwa. Jest na topie. Wspomniany wcześniej kombajn KSW 2000 E nie będzie pracował w polskim górnictwie, ponieważ polskie kopalnie nie są przygotowane na przyjęcie takich maszyn. Nie mają warunków do zasilania elektrycznego całego, tak dużego kompleksu ścianowego. Tymczasem w Zabrzeńskich pracują już nad kombajnem KSW 2500, większym, mocniejszym i szybszym. Po co? Aby umacniać światową pozycję grupy ZMM Kopex, aby konkurować z takimi firmami jak Joy Machinery, Eickhoff czy Bucyrus-DBT, ale nie o to, aby zaopatrywać polskie kopalnie, lecz o to, aby zdobywać takie rynki jak chiński, australijski, indonezyjski, meksykański, argentyński, czy – północnoamerykański.

Podobnie działa Grupa Famur, która podpisała kolejny już meksykański kontrakt na dostawę obudów zmechanizowanych. I powiedzmy od razu, że chodzi tu o duże pieniądze. Na przykład ostatni kontrakt Famuru to prawie 20 milionów Euro. Z kolei kombajn, ten duży, żółty, wart jest około trzech milionów Euro. Można jeszcze wspomnieć o tym, że grupa ZMM Kopex uruchomiła w chińskiej prowincji Shandong spółkę, której właścicielem jest w połowie, a która będzie produkowała rocznie 1200 sekcji obudów ścianowych wedle polskich standardów. Można jeszcze dodać, że specjaliści ze spółki innowacyjno-wdrożeniowej Dozut Tagor są autorami unikalnej w skali światowej technologii ekologicznych powłok Durachrom, za które otrzymali złoty medal Światowego Salonu Wynalazków „Eureka Brussels 2002”, by powtórzyć swój sukces, z innym wyrobem, w czasie Światowych Targów Wynalazczości, Badań Naukowych i Nowych Technik Brussels Eureka 2007.

Gdzieś, między tym wszystkim przechadzali się prezesi spółek węglowych, dyrektorzy i górnicy. Podziwiali siebie, dokąd zmierza świat. Dokąd poszedł. Owszem, prezesi trzymali fason, przekonywali, że wiele z tych „zabawek” mają już u siebie w kopalniach, że jednak inwestują. Kupują co nieco. Jakby powiedział Kubuś Puchatek, bardzo małe co nieco. Tymczasem liczby są powalające. Polskie górnictwo musi wydać dwadzieścia miliardów złotych na inwestycje, aby w najbliższych latach utrzymać poziom produkcji. Oczywiście nie jest w stanie wygenerować takich sum. Zaczęło się więc szukanie pieniędzy i znowu, pojawia się ta sama historia.

Wystarczą cztery związki

Kopalnia Bogdanka była swego czasu uznaną za „trwale nierentowną”. Przypomnijmy, że w owych czasach był to wyrok. Wspomniane już widmo likwidacji, uporczywie gapiące się w oczy pracowników zakładów zaplecza górniczego, czasami wpadało w okolice Lublina i przyglądało się tamtejszym górnikom. Ci zaś zaczęli udowadniać, że można zgodnie z rachunkiem ekonomicznym, że wystarczą tylko cztery związki zawodowe w kopalni, że trzeba szukać ratunku, czytaj – pieniędzy na Gieldzie Papierów Wartościowych. I nawet jeśli giełdowy debiut Bogdanki się opóźni, to wydaje się dosyć prawdopodobne, że spółka zgarbnie z emisji akcji oczekiwane trzysta do sześciuset milionów złotych, rozbuduje szyb i pole Stefanów i zwiększy produkcję z pięciu milionów dwustu tysięcy ton do dziesięciu milionów ton.

Być może przykład Bogdanki pozytywnie wpłynie na śląskie górnictwo. Na przykład na związkowców z czterdziestu ośmiu związków zawodowych działających w Kompanii Węglowej. Górnictwo śląskie ma w Warszawie słabe notowania. Nawet jeśli Unia Europejska pozwala na tak zwaną dozwoloną pomoc publiczną i na wspieranie inwestycji początkowych w górnictwie z budżetu państwa, to nagle okazało się, że minister finansów nie widzi potrzeby przekazania na ten cel „oszałamiającej” kwoty czterystu milionów złotych. Zresztą wicepremier i minister gospodarki Waldemar Pawlak otwierając Mining Expo nie krył zaskoczenia tą decyzją swego kolegi z rządowych ław. Od lat ciągnie się także inny serial, tym razem dotyczący Kompanii Węglowej, która jakoś nie może doczekać się pełnego i zgodnego z obietnicami dokapitalizowania. Wielu polityków, ale też i tak zwanych niezależnych ekspertów od gospodarki lubi mówić, że górnictwo jest dotowane, szczególnie wtedy, kiedy dotacji nie ma. Taki stereotyp się po prostu ukształtował, i już.

To pokazuje, że górnictwo, a mam tu na myśli trzy największe spółki, musi wziąć swoje sprawy w swoje ręce. Można oczywiście pojechać autobusami do Warszawy i kolejny raz zdemolować stalowe bariery na Wiejskiej, ale można też zacząć wyjaśniać sobie, co znaczą słowa: giełda, kapitał i akcje. O ile w Katowickim Holdingu Węglowym ta wiedza wydaje się niemal powszechna, wyłączając niektórych działaczy związkowych, o tyle w pozostałych spółkach jest jeszcze trochę do zrobienia. A trzeba to robić szybko, aby przy okazji kolejnego Światowego Kongresu Górniczego i kolejnej wystawy Mining Expo, żadnemu polskiemu górnikowi stojącemu obok kolejnego modelu jakiegoś dużego złotego KSW może wtedy już 4000 albo nawet 6000E żal nie ścisłał... gardła. Bo jeżeli tak będzie, nasi zwiedzający kolejne Mining Expo mają jedno wyjście: będą mogli udać się do zakątka, w którym zapewne, podobnie jak w tym roku, będzie miało swoją wystawę Muzeum Górnicztwa Węglowego, by poczuć się jak u siebie.



Pomnik ofiar katastrofy w kopalni „Makoszowy”

Górnicza pamięć w sieci

GRAŻYNA
BEDNAREK

W ramach programu europejskiego „Kultura 2000. Sieć miejsc pamięci” muzea w różnych krajach Europy upamiętniły na swych stronach internetowych wielkie katastrofy górnicze. Muzeum Górnicztwa Węglowego w Zabrze postanowiło przyłączyć się do tego programu i uczcić pamięć górników, którzy zginęli w podziemnych pożarach w kopalni „Makoszowy” i „Sośnica”.

Muzealnicy z Francji, Belgii, Włoch, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Polski stworzyli „Sieć miejsc pamięci”. Na stronach internetowych przywołali największe katastrofy w dziejach europejskiego górnictwa.

– Inicjatorami tego projektu są Belgowie. W 1956 roku w Charleroi wydarzyła się jedna z najtragiczniejszych katastrof górniczych. W pożarze zginęło 262 górników. Pracowało tam wielu emigrantów. Wśród ofiar śmiertelnych byli przedstawiciele 12 narodowości, w tym Polacy. Ta tragedia zatrzymała wówczas nasiloną emigrację Włochów do Belgii.

Centrum Górnicztwa Węglowego we Francji natomiast upamiętniło na swoich stronach internetowych śmierć ponad tysiąca górników – opowiada dr Zenon Szmidtke, kustosz Muzeum Górnicztwa Węglowego w Zabrzu.

Courrières, rok 1906. Pożar w kopalni wywołany robotami strzałowymi doprowadził do wybuchu metanu. Początkowo usiłowano ugasić go budując w chodnikach kolejne tamy. Mimo ostrzeżeń górników biorących udział w akcji kierownictwo kopalni poleciło kontynuować wydobywanie... W czwartym dniu tragedii doszło do kolejnego wybuchu pyłu węglowego. Pożar objął łącznie 110 km wyrobisk. Zginęło 1099 górników. Wśród ofiar były też i dzieci – zatrudniano je gdy kończyły 13 lat.

– Od 1904 roku Niemcy produkowali aparaty oddechowe Dräger, natomiast Francuzi takimi aparatami nie dysponowali.

Mimo napiętej wówczas sytuacji politycznej między państwami zostali sprowadzeni ratownicy z Zagłębia Ruhry. Niestety, gdy przybyli, ich rola skupiła się wyłącznie na wydobyciu na powierzchnię martwych ciał – dodaje kustosz muzeum.

Po katastrofie górniczej zwanej „Courrieres” (od nazwy kompanii górniczej, w której kopalniach nastąpiła) władze państwowe wprowadziły obowiązek organizowania służb ratowniczych.

– Wprowadzono centralne stacje ratownictwa górniczego (wcześniej były tylko drużyny ratownicze na poszczególnych kopalniach), nastąpił rozwój badań dotyczących wybuchowości pyłu węglowego, powstawania pożarów w kopalniach, prac konstrukcyjnych nad nowym sprzętem ratowniczym. Istotne znaczenie miały badania prowadzone przez prof. Wacława Cybalskiego, był twórcą polskiej szkoły badań wybuchowości pyłu węglowego – mówi Zenon Szmítke.

Czarne karty polskiego górnictwa

Na terenie Polski najpoważniejszy wybuch pyłu węglowego i pożar miały miejsce w kopalni „Rozbark” w Bytomiu w 1923 roku. Zginęło wówczas 145 osób. W historii polskiego powojennego górnictwa czarną kartą zapisał się rok 1954. W kopalni „Barbara Wyzwolenie” w Chorzowie wybuchł pożar – następstwo awarii systemu energetycznego. Oficjalnie wówczas dane mówiły o 82 ofiarach.

– Było ich znacznie więcej. Wśród nich byli żołnierze-górnicy, przymusowo wcieleni do służby wojskowej w kopalni.

Na terenie kopalni była tak duża infiltracja UB, że nie podawano do wiadomości, ilu politycznie niewygodnych żołnierzy pracuje „na dole”. Dlatego współcześni badacze, na podstawie zachowanych wspomnień, szacują, że wówczas zginęło około 120 osób – wyjaśnia rozmówca.

Polska strona internetowa <http://katastrofy.muzeumgornictwa.pl> poświęcona jest jednak dwóm innym katastrofom – w kopalniach „Sośnica” i „Makoszowy”. To tu znajdziemy zapiski, fotografie, wnikliwy opis katastrofy w kopalni „Sośnica” wykonany przez Bogdana Cwięka, ratownika górniczego i badacza zagadnień ratownictwa górniczego, byłego dyrektora naczelnego Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, fragment audycji telewizyjnej autorstwa Tomasza Orlicza zatytułowanej „Czarny serial – Makoszowy”, rekonstruującej wydarzenia katastrofy w KWK „Makoszowy”, czy plany dróg ewakuacyjnych.

Pożar w „Sośnicy”

Kopalnia Węgla Kamiennego „Sośnica”. 1955 rok. Prawdopodobnie w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z ogniem – zaproszenie ognia otwartym światłem lampy karbidowej lub papierosem – około godz. 17 wybuchł pożar. Grupa 34 górników przebywająca w pochylni, w której brak było obiegowego prądu powietrza, po stwierdzeniu niemożności wycofania się wskutek stopnia rozprzestrzeniania ognia, zorganizowała otamowaną przestrzeń w ślepych wyrobiskach, do którego był doprowadzony rurociąg sprężonego powietrza. W ten sposób powstał schron zabezpieczający ludzi przed wpływem dymów pożarowych i trującego tlenku węgla. Tam czekali na pomoc ratowników.

Do godz. 19 spieszące na pomoc zastępy ratownicze słyszały odgłos uderzeń po rurach dobiegające od odciętych górników. Był to jedyny środek łączności. Do czasu. Rury sprężonego powietrza, przywalone w miejscu zawału skał górotworu i uszkodzone, nie mogły przekazywać sygnału. Uniemożliwiał to szum wywołany częściowym wypływem sprężonego powietrza przez uszkodzenia. Powodowało ono podsycaenie ognia. Akcje ratowniczą utrudniały gęste dymy, wysoka temperatura i stężenie tlenku węgla. Dwóch ratowników poniosło śmierć.

– Po około 12 godzinach usiłowań utrzymania przepływu powietrza w rurach i równoczesnego gaszenia ognia, kierownictwo akcji ratowniczej błędnie oceniło możliwość przeżycia zagrożonych i podjęto decyzję zamknięcia dopływu sprężonego powietrza do rurociągu w celu ograniczenia podsycaenia ognia i przyspieszenia jego ugaszenia. Raz jeszcze potwierdziła się zasada mówiąca, że zawsze błędem jest upraszczanie

działań ratowniczych opierając się jedynie na założeniu zaistnienia skrajnie niekorzystnych warunków – stwierdza Zenon Szmítke.

Górnicy w schronie zginęli po dwóch godzinach od tego momentu. Katastrofa przyniosła 42 ofiary śmiertelne, wszystkie wskutek zatrucia tlenkiem węgla.

Dramat w „Makoszowach”

W historii kopalni „Makoszowy” najbardziej tragiczną w skutkach katastrofą był pożar, do którego doszło na nocnej zmianie 28 sierpnia 1958 roku, w przekopie IV, na poziomie 300 metrów. Podczas cięcia stalowej szyny palnikiem acetylenowym w sąsiedztwie drewnianego stosu, który wzmacniał obudowę wyrobiska, nastąpiło zaproszenie ognia...

– Z tej katastrofy wyciągnięto potem wiele wniosków, tak natury technicznej, jak i organizacyjnej. Przede wszystkim zdecydowano o wprowadzeniu oświetlenia elektrycznego w miejsce dotychczas stosowanych lamp karbidowych, wprowadzono obowiązek stosowania pochłaniaczy oraz zaostrzono zasady i wymogi przewietrzania kopalnianych wyrobisk – opowiada kustosz muzeum.

Najpierw zapaliła się drewniana opinka obudowy przekopu i kaszt drewniany, a następnie zalegający w pokładzie węgiel. W krótkim czasie ogień objął cały przekop IV na skrzyżowaniu z chodnikiem w pokładzie 412/2.

Wytwarzające się gazy i dymy, wraz z prądem świeżego powietrza, przedostawały się do innych oddziałów. Prawdziwy dramat rozegrał się na skrzyżowaniu przekopu III z wytyczną wschodnią na poziomie 175 m. Tam o godz. 2 dotarli ewakuujący się górnicy. Przekop III nie był jeszcze wtedy zadymiony, natomiast wytyczną na poziomie 175 m zalegał gęsty dym. Przedostał się on z poziomu 300 m, przez tzw. „dukłę” w pokładzie 412/2. Na skrzyżowaniu przekopu III z wytyczną było wówczas około 90 górników.

Kilka miesięcy wcześniej całą załogę dolową wyposażono w pochłaniacze ucieczkowe. Spowici dymami z obu stron mieli przed sobą 650-metrowy odcinek wiodący zadymioną wytyczną do przekopu III do szybu II. Na tym skrzyżowaniu przekopu III z wytyczną na poziomie 175 m aż 42 górników uległo wtedy śmiertelnemu zaccadeniu. W katastrofie zginęło 72 górników, w wieku od 18 do 64 lat. To była ich ostatnia sychta. Spośród 265 uratowanych, 87 doznało zatrucia. W akcji ratowniczej, która trwała od 28 sierpnia do 20 września, brały udział drużyny ratowników ze wszystkich kopalń Zabrzańskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, z Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu oraz z innych śląskich kopalń.

– Zakładając możliwość łatwej likwidacji pożaru, decyzję wycofania ludzi podjęto z godzinnym opóźnieniem. Wobec szybkiego wzrostu intensywności zadymienia wielu ludzi wycofywało się na własną rękę, używając pochłaniaczy ucieczkowych przeciw tlenkowi węgla. W efekcie zbyt długich dróg wycofywania się załogi z zadymionej przestrzeni 72 osoby uległy śmiertelnemu zatruciu tlenkiem węgla. Przebieg pożaru i akcji ratunkowej potwierdził tezę, że w warunkach wyrobisk podziemnych rozwój ognia może być zaskakujący, a o życiu ludzi mogą decydować minuty, a nawet sekundy – mówi kustosz.

Mimo że od tamtych dramatycznych dni minęło pół wieku, nie na wszystkie pytania znane są odpowiedzi. Badając archiwa Zenon Szmítke natknął się na liczne rozbieżności dotyczące tej katastrofy.

– Odbył się proces sądowy. I co zastanawia, to fakt, iż określona odpowiedzialność dyscyplinarna i karna danych osób, jak i zakres i charakter czynności jakie podejmowały w czasie pożaru, została inaczej określona w dokumentach Wyższego Urzędu Górniczego, a inaczej podczas trwającego procesu sądowego. Sprzeczności są. Archiwalia dotyczące tego okresu czasu są już odtajnione ze względu na ustawę o zasobie archiwalnym, nadal jednak obowiązuje wobec nich ustawa o ochronie danych osobowych – wyjaśnia badacz katastrof górniczych.

W Zabrzu w 50. rocznicę tragedii, odsłonięto okolicznościowy pomnik z wyrzniętymi 72 nazwiskami górników KWK „Makoszowy”, którzy zginęli w pożarze.

Nawet niezbyt zagorzałym śląskim autonomistom nie zależy na takich jak ja Ślązakach, a współczesnym twórcym wizerunku Dolnoślązaka nie bardzo pasuje mój portret własny. Do dolnych czy do górnych Ślązaków zalicza mnie grono profesorów i rachmistrzów? („Śląsk” Nr 150, kwiecień 2008 patrz: Ankieta: Ile jest dziś Śląsków?)

Wrocławskie gazety, radio, telewizja popularyzują wizerunek Dolnoślązaka, a więc człowieka mieszkającego w regionie, którego stolicą jest Wrocław. Prawdopodobnie chodzi też o mnie, a więc o faceta, który urodził się w tym mieście, wychował, wykształcił, zakochał, został ojcem, ale – i tu jest kłopot z moją tożsamością – prawie całe zawodowe życie reportera spędził na Górnym Śląsku. Ale co tam ja?!

Dolnoślązacy?

ZBIGNIEW FIGAT

A kim są starzy Wielkopolanie, których – wierzyć się nie chce – w powojennym Wrocławiu było najwięcej, bo przyjechali na Dolny Śląsk pierwsi, gdyż mieli tu bliżej do wolnych domów i ziemi niż wilniuki i Iwowiacy, nie mówiąc o milionach przybyszów z Centralnej Polski i Ścianny Wschodniej. Co im wpisać na świadectwie życia? Dolnoślązacy?

Chyba jednak nie za bardzo, skoro w 1947 roku 73,5% mieszkańców Wrocławia to byli migranci wewnętrzni. Prawie 15% z Poznańskiego i 14% z Warszawskiego. I dalej: Kieleckie – 8%, Rzeszowskie – 7,6%, Krakowskie – 7,7%, Łódzkie 6,5%, Pomorskie 4,4%, Śląskie 4,4%, Białostockie – 2,85%. Osadnicy przybywający do Wrocławia i na Dolny Śląsk pochodzili przeważnie z przeludnionych wsi i małych miast – 81,2% migrantów.

Wysiedleni z dawnych województw wschodniej Polski stanowili razem 20,5%, z czego najsilniejsza była reprezentacja lwowskiego 9,8%, podczas gdy z wileńskiego 2,8%, stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego – 6,4%, poleskiego i nowogródzkiego – 1,5%. Zabuzanie byli we Wrocławiu szczególnie widoczni; pielęgnowali swą regionalną odmiennosć, choć władza uważała to za polityczną prowokację, piszą historycy. Brzmi to wyjątkowo absurdalnie nawet teraz, gdy swą regionalną odrębność zachował bez najmniejszej skazy dziadek Jędrus, absolutnie jej nie pielęgnując. Wierny sobie starszek, po prostu.

**Jaki ze mnie Dolnoślązak?
Taż ja spode Lwowa...**

Czekał na mnie pod starym dębem i od niego zaczął opowieść: – Nie mówił ja nikomu o tym, ale to we

mnie narastało latami, jak słoje tego starego dębu przed domem. Sadził go niemiecki dziadek, o którego zeszcłe ciało z czapką na głowie potknął ja się w piwnicy, zaraz jak tu z ojcem my przyjechali w czterdziestym piątym. Ja nie wiedział, co z tym zrobić, więc zapytał ja ojca. A on do mnie: Ta ty nie wiesz, co się z trupem robi? No, chowa się, odpowiedziałem. Tak i pochowaj go, a ja się rozejrzę za chlebem – rzekł ojciec i pojechał na koniu do miasta, znaczy do Wrocławia. A ja poszedł w przeciwną stronę. Na cmentarzu, za rzędem grobów, był lej po bombie czyli ruski lotnik już mi pomógł, jako grabarzowi. Wracając po nieboszczyka pomyślał ja o krzyżu na jego grobie. Teraz to sobie tego strupiałego człowieka wyobrażam jako siebie żywego, także dziadka, który może tak jak ja swojej wnuczce tutaj powtarzał: – Umrę, to róbcie co chcecie w tym domu i w ogrodzie za stodołą, ale póki żyję, ja tu rządę – pan Jędrus otarł łzę, skarżąc się na oko, za wrażliwe na słońce i mówił dalej tak:

– Tamtego pierwszego dnia mojego tutaj życia, ze szpadłem i trupem na taczkach, dojechałem na ten mały cmentarzyk poniemiecki tuż przed zachodem słońca. Owinął ja jego w jakąś starą plandekę, zepchnął ja ciało do dołu, ale nie zasypał od razu. Ja się przeżegnał i powiedział do niego jak do żywego człowieka: – Tyś mi nic złego nie zrobił, ja tobie też nic, więc śpij w spokoju, i niech ci ta ziemia, na której teraz ja z ojcem będę gospodarował, lekką będzie. Zasypał ja lej z tym dziadkiem w czapce, wzgórek przyklepał szpadłem, wbił krzyż, znów się przeżegnał i wrócił do domu. Siadł ja na schodach i czekał wtedy na ojca jak dziś na pana, żeby

o tym opowiedzieć. To był zrujnowany, pusty dom. Widzieliśmy z ojcem, jak w sąsiednich, lepszych domostwach jeszcze niemieckie rodziny były, ale już ich wypędzali jak bydło z obory ci pazerni ludzie z centralnej Polski i z Poznańskiego, co po nas przyjechali. Raus, Szwaby jedne, won... – rolnik przerwał swą opowieść, zamyślił się, znów otarł łzę i dla niepoznaki poskarżył się na piekące od słońca oczy: – My na Wschodzie też to słyszeli: Won! Ale ja mam czyste sumienie, bo nikogo z tego ani żadnego innego domu my na tej wsi nie wyrzucili... Prosto od kozy mleko pan woli czy prosto od krowy? – zapytał mnie pan Jędrus, podobny do mego, świętej pamięci, ojca chrzestnego, stryja z mazowieckiej wsi.

Popijając kozie mleko prosto z lodówki, rozmyślaliśmy nad tym, kogo winić za wędrowki ludów w naszej historii. Stary rolnik spode Lwowa pytał siebie i mnie: – Komu mam darować winę za wyrządzoną mi krzywdę? Wszystko co tam miałem w dzieciństwie i młodości przepadło – nawet ten piękny księżyc – kalendarz. Nie taki jak ten tu, nad nami. Czy w pełni, czy nie – żadnych obrazów. I nasz dom, i tamten nasz sad, w którym rosły najlepsze jabłka na świecie – wszystko my tam zostawili. A tu co? Nawet nie taka jak tam woda; tamta z naszej studni była najczystsza, źródłana. Kogo winić? Chyba nie Łos – bo jemu wszystko wolno. Pan Jędrus z dolnośląskiej wsi powtarza: – Jaki ja Dolnoślązak, taż ja spode Lwowa jestem. Jak jego żona, która na Ukrainie uratowała starszego brata ubierając go w swoją sukienkę, chustkę i pantofle. Ów brat cudem przeżył morderstwa i egzekucje na młodych Polakach, urządzone przez banderowców, ale i tak zginął na Wale Pomorskim, o czym już po wojnie dotarła do niej ta wiadomość. Już tu, do wsi Trestno, tuż za granicą miasta Wrocławia. Tu, w małym ewangelickim kościółku wiejskim, poświęconym na rzymsko-katolicki, brali ślub, jako pierwsza para Polaków. On spode Lwowa, ona spod Kłomyi. Ona powtarza mi któryś raz: Jakby ja mogła, to by ja w każdej chwili tam wróciła.

Opowieść, o tym jak się spotkała ta para (Dolnoślązaków?) jest komiczna i zadziwiająco piękna jak życie, które jest zbiegiem okoliczności.

Nazajutrz po przyjeździe do wsi Trestno, ojciec z synem, młodzieńcem poborowym Jędrusiem, jak już się dobrze wyspali, pojechali wozem do stacji Brochów, gdzie pod wieczór miał przyjechać z Kresów kolejny pociąg towarowy z wygnańcami i ich zwierzętami.

– Mój ojciec kazał mi pilnować wozu i konia, a sam szedł wzdłuż pociągu z repatriantami i krzyczał: Ja wdowiec spode Lwowa, szukam kobiety z krową, szukam kobiety z krową!

– A z krową i córką może być? – zapytała i uśmiechnęła się niby żartem kobieta z kolorową chustką na głowie.

– A gdzie one, na Wschodzie? Bo coś ich nie widzę? – też zaśmiał się chłop spode Lwowa, co z niewielkiej odległości obserwował jego syn Jędrus.

– A lo, to i one – wskazała kobieta w chuście na córkę i krowę, które wyszły zmęczone podróżą towarowym pociągiem, tak jak wczoraj on z synem i koniem. Bractwo połączyło się we wsi Trestno nad Odrą i tak powstała kolejna rodzinka – Dolnoślązaków?

By tak o nich powiedzieć nie starcza nawet tych wszystkich lat po wojnie, w której zginęli ich bliscy. Ona, pani Anna, zgarbiona i ledwo chodząca, jak jej mąż, dziadek Jędrus, dziś by wrócili do rodzinnych wsi na Ukrainie. Rodzinę pani Anny oszukał tam proboszcz, do którego pieniądze za ciężką pracę słał z Argentyny jej ojciec, emigrant zarobkowy. Myślał, że ksiądz przekaże dolary jego żonie, ale on skorzystał z okazji, że wybuchła wojna i przepadł bez wieści z pieniędzmi. Nie wiadomo, czy jest w niebie, czy w piekle ten ksiądz. Jeśli Dolnoślązaków odróżniać tylko po miejscu aktualnego stałego zameldowania, to i ich wpisujemy na tę listę. Ale zaraz ich też skreślamy z tej listy, bo takimi się nie czują i jakby mogli, to wróciliby tam jeszcze dziś wieczorem autobusem kursującym na trasie Wrocław – Lwów. Podwoziłem ich trzy lata temu na dworzec autobusowy, bo bardzo chcieli zobaczyć przed śmiercią swoje wsie na Kresach Wschodnich. Wrócili zachwyceni powietrzem, wodą, ludźmi, a nawet księżycem, który tam, według pana Jędrusia, jest kalendarzem z obrazami.

– Jest na księżycu obraz chłopca za plugiem, wiadomo, pora orki – wspomina tę podróż dziadek Jędrus, który wie co mówi, bo całą pierwszą noc przesiedział w domu krewnych spode Lwowa na balkonie.

Wrocławianka z Wilna

Wielu jest takich, którzy ciągle na Dolnym Śląsku nadal czują się wygnańcami z Kresów, spode Lwowa czy z Wileńszczyzny. I wielu też ma z tym problemy, jak moja matka, która już tu, we Wrocławiu, nas troje urodziła i czuje się wrocławianką z Wilna, a nie Dolnoślązaczką. Ale tęskniła całe życie za tym magicznym i słynnym Wilnem, uczyła się tam w gimnazjum przy Ostrobramskiej, a potem tylko rok w liceum, bo wybuchła wojna. Nosila bibułę dla akowców do lasu, a jak któregoś dnia wracała z tajnych kompletów do domu, była oblawa i łapanka. Zawieźli ją do obozu pod Rygą, gdzie poznała mego przyszłego ojca, partyzanta AK z Mazowsza. Przeżyła koszmar, ale zawsze jak wspominała swe dzieciństwo i młodość



Anna i Andrzej Czuchniccy z Trestna nad Odrą czy z Kresów Wschodnich?

dość na Kresach, to często powtarzała, że było tam wszystko najpiękniejsze.

Za kulisy matczynych wspomnień z Wileńszczyzny postanowiłem zajrzeć dopiero za środkowego Gierka. Z góry założyłem, że obsadzę ją tam, w Wilnie, w roli głównej, podobnie jak Thornton Wilder swą dziewczęcą bohaterkę w sztuce „Nasze miasto”. Próbuje ona po wielu latach znów zaistnieć w swym rodzinnym mieście, gdzie nikt już jej nie poznaje; miasto nie czekało na nią, żyjąc swoim życiem, bez niej. Wileńszczyzna z lat dzieciństwa i wczesnej młodości mojej matki – to była sceneria najpiękniejszych historii, jakie w życiu usłyszałem z jej ust. Dlatego tam postanowiłem z nią pojechać.

W piękny majowy dzień przyjechałem z Katowic do Wrocławia i powiedziałem matce o naszej wspólnej wycieczce do Wilna, którą wykupiłem w Orbisie za honorarium i nagrodę Polskiego Radia za słuchowisko „Na nowej drodze”. Matka zapytała, o czym to jest, więc jej streściłem; młoda inżynier kieruje budową dwupasmowej drogi, która pod koniec tego odcinka przetnie, a więc unicestwi ogród i przedwojenną chałupę starego, samotnego człowieka, u którego firma budowlana wynajęła dla niej kwaterę. Staruszek już dostał odszkodowanie i mieszkanie w bloku, no ale do ostatniej chwili nie może się ani ze swym domem rozstać, ani

z młodą, dynamiczną dziewczyną, której w radiowym koncercie życzeń, zadedykował piosenkę Czerwonych Gitar „Nie spoczniemy, nim dojdziemy” z życzeniami szczęścia na tej nowej drodze. Radiowy prezenter koncertów życzeń rutynowo, tak od siebie, dopowiedział „życia”, no i wyszło na to, że staruszek z nią chce się żenić. Jakby na potwierdzenie tych mylnych przecieży przeczuć, młoda inżynier otrzymuje od starego miłośnika kanarków, zaproszenie na wykupioną już przez niego wycieczkę na Wyspy Kanaryjskie. Dziadek tylko chce tak uczcić ich wspólne życie na kwaterze i pogodne rozstanie. Pragnie, aby mu towarzyszyła, nic więcej. A ona nic z tego nie rozumie – bo ciągle tylko stare burzy i nowe buduje. Temat w sam raz na tamte czasy wielkich inwestycji, chociaż i dziś go polecam reporterom, bo mamy program budowy autostrad, Euro 2012 i tak dalej. Idealny temat w każdym sezonie politycznym.

– To jest cud nad Odrą – mówiła wtedy matka, gdy zśliśmy przez Mosty Pomorskie do Rynku. – Ja, po tylu latach, jadę ze swoim pierwotnym synem do Wilna!

Ze łzami w oczach patrzyła na Odrę jakby już wprawiała się w stan zachwyty na tym moście, pod którym płynie Wilia, a nie Odra. Nie radziła sobie z wyobrażeniami o tej podróży na Kresy. Tylko raz i tylko na Zachód

jechała tą trasą do Wrocławia pociągiem wraz z mnóstwem wygnańców. Mało tego – wtedy, gdy zamierzaliśmy jechać do Wilna, moja matka nigdy jeszcze, w żadną inną stronę świata, nie przekroczyła granicy Polski i jak miliony Polaków, nawet nie starała się o paszport. Wtedy oboje, żeby wyjechać, musieliśmy sobie załatwić tak zwane wkładki paszportowe PRL. Gdy w końcu, wyczekując w kolejkach, już ich odbiór pokwitowaliśmy, pozostał nam tylko jeden dzień do wyjazdu. Matka poświęciła go na zakup pięciu parasolek i kilku metrów sztucznego materiału zwanego bistorem, który tam idzie jak woda – do czego namówiła ją sąsiadka, która właśnie wróciła z ZSRR. Mieliliśmy to w Wilnie sprzedać, żeby kupić za ruble po złotej obrączce dla mnie i brata. Dla siostry planowaliśmy przemyścić złoty łańcuszek, a dla matki pierścionek z rubinowym oczkiem, matki, żeby miała pamiątkę z tej wyprawy do utraconej krainy dzieciństwa i wczesnej młodości. Plan ekonomiczny wykonaliśmy w stu procentach, a sentymentalny chyba w połowie.

Wyjechaliśmy z Warszawy Wschodniej dopiero pod wieczór, więc mieliśmy w stolicy sporo czasu, żeby sobie pospacerować po mieście. Moja matka,

wileńska wrocławianka, weszła do księgarni przy Marszałkowskiej i kupiła „Zmartwychwstanie” Lwa Tołstoja, informując mnie, że to będzie prezent dla kogoś, kto nam, tam, w Wilnie, najbardziej się spodoba. Jechała niby spokojnie drzemiąc, ale dobrze wiedziałem, że z wielkim trudem zachowuje spokój. Jak tylko wszedł do naszego przedziału radziecki, wyjątkowo chamski, pogranicznik, matka zwróciła mu delikatnie uwagę, żeby nie unosił głosu, bo tak się w stosunku do niej zachowywali tutaj okupanci, jak jego jeszcze na świecie nie było. No, pomyślałem sobie, mamy przechłapanie; za pięć parasolek i kilka metrów bistoru zaraz zajmie się nami KGB. Koniec nie tylko z tą naszą podróżą sentymentalną, ale i z tymi najbliższymi, do Szyndzielni czy Szklarskiej Poręby, że o Ustce nie wspomnę.

Młody pogranicznik, z Wileńszczyzny rodem, nic nie powiedział. Spojrzał matce prosto w oczy, uśmiechnął się, pieczętki postawił na naszych wkładkach paszportowych i wyszedł z przedziału, a ja z uczuciem ulgi wdrapałem się na swoją kuszetkę. Wjechaliśmy na Kresy. Już w Grodnie wpadli do przedziału handlarze i chcieli od nas brać wszystko, ale pouczeni przez współpasażerów,

nie daliśmy się wykiwać. W Wilnie, w hotelu Turistas to samo. Jeszcze się dobrze nie rozpakowaliśmy, a już do pokoju weszły dwie tęgie baby i dawaj pładnować nasze dwie walizki. Przegoniłem je, a gdy matka brała prysznic po podróży, zamknąłem pokój na klucz i wyszedłem do miasta. Czyjego?

Ja w tym swoim Wrocławiu byłem takim też trochę chłopcem z Kresów, jak wielu moich rówieśników z powojennego wyżu, którzy mówili z lwowskim akcentem i wileńskim zaśpiewem. Ież to razy słyszałem w dzieciństwie i wczesnej młodości, że mam kresowy akcent; ja, chłopak w trampkach, jeżdżący rowerem ulicami zgruzowanego Wrocławia, nie dziwiłem się sąsiadkom, które mówiły: – Zaciągasz jak twoja matka.

Nad Wilią kupiłem na targu ogromny bukiet chabrów, a w sklepie niedaleko hotelu butelkę najlepszego jaki tam był szampana. W pokoju było już wszystko uporządkowane, poukładane, a moja szczuplutka matka, przebrana w najładniejszą bluzkę i spódniczkę, w wiśniowych pantofelkach, stała przy oknie i patrzyła w spokojnie płynącą Wilię. To były święte chwile jej życia, więc bezselestnie przeszedłem w niebyt, żeby ani przez moment nie zakłócić matczynej mszy, podczas której ofiarowanie przenikało podniesienie, a wyznanie wiary mieszało się z radością przyjęcia najświętszego sakramentu wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości. Dłuższą chwilę to trwało.

– Powiem ci jedno – mówiła tuląc do piersi bukiet chabrów, których zapach wchłaniała, jak opary kadzidła podczas tej wzniosłej mszy – dla kobiety najważniejsze w życiu jest miejsce, w którym urodzi swe dzieci... Ciebie, twego brata i siostrę, ja urodziłam nie tutaj, ale we Wrocławiu, w przedwojennej, poniemieckiej kamienicy, w tej naszej wielkiej sypialni, pod obrazem Paniienki z Dzieciątkiem, który znalazłam na gruzach w pobliżu Dworca Nadodrze, tuż przy parku Staszica, gdzie was wozilałam w wózekkach... Uczylałam mówić, chodzić... Tam, a nie tu – podsumowała to wyznanie i uniosła hotelową szklankę z szampanem. – No, na zdrowie, dziękuję ci synu, obyśmy szczęśliwie wrócili do domu.

Już nie zaciągam; sześćdziesiąt lat z dala od Kresów zrobiło swoje z matczynym i moim zaciąganiem. Ale nie z lwowską mową pana Jędrusia, którą tego lata 2008 roku ocalałam od zapomnienia i wracam rowerem nie z jego rodzinnej wsi. Pochodzi on przecież spode Lwowa. Wracam rowerem ze wsi nie jego, także nie jego żony, ale już chyba jednak ich dzieci, trzech jego córek. I wnuków. I prawnuka, który tamtego lata urodził się we Wrocławiu, w rodzinie prawników, bo najstarsza wnuczka pana Jędrusia skoń-

Foto: Z. Figat



Irena i Zbigniew Dołgowie w swoim Ogrodzie Marzeń.

czyła prawo i wyszła za prawnika, rodem z Gdańska – wrocławianie, tak mówią o sobie ci młodzi ludzie. Pewnie tak kiedyś o sobie powie prawniczek. A pan Jędrus do śmierci, jak powiada, będzie pochodził spode Lwowa, a nie ze wsi Trestno pod Wrocławiem.

Ależ to Trestno było zalane! Wielka powódź z 1997 roku uczyniła tam największą szkodę, a ja do kresiek na domach, oznaczających poziom wody tamtego tragicznego lipca, nie potrafię sięgnąć palcami rąk, choć stoję na palcach i należę do wysokich facetów. W tym podwrocławskim Trestnie w większości mieszkańcy pochodzą z małych wielkopolskich miasteczek i wsi; stamtąd przyjeżdżają do nich krewni. Po wojnie byli tu szybsi od kresowiaków i zajęli pierwsi co lepsze domy poniemieckie. Mało tego; nawet jak jeszcze niemieccy właściciele mieszkali w niektórych domach, czekając na dzień, w którym mieli opuścić swą ojczyznę nad Odrą, to przybysze z wielkopolskich, przeludnionych wiosek i miasteczek, z Centralnej Polski, złaknieni życia i gospodarowania „wreszcie na swoim” przepędzali niemieckie rodziny z ich własnych domów, bo za bardzo ociągały się z wyjazdem raz na zawsze do Reichu.

Poletko pana Bronka

Ana granicy Trestna i Opatowie, gdzie przebiega granica miasta Wrocławia i gminy Święta Katarzyna, od prawie dziesięciu lat przystaję na rowerze przy płocie i pozdrawiam drugiego, mego starego przyjaciela, zza Buga. Poletko pana Bronka i cały on; z bielušką jak śnieg czupryną i ogorzałą, pomarszczoną, ale zdrową i czerstwą twarzą; coraz bardziej zgarbiony i bliższy umiłowanej ziemi. Ciężko na niej bez maszyn pracuje, a ona mu daje owoce, warzywa i kwiaty, które – aby dorobić do marnej renty rolnej – rozkłada w piątki i soboty na gazecie, przed sklepem. Dzieli się płodami swej ziemi z nami, mieszkańcami Biskupina, sprzedając je taniej, „żeby taka bidna staruszka miała ładniej w domu z moimi kwiatkami na stole i lepiej się czuła po zjedzeniu moich a nie innych ogórków, pomidorów, buraczków i ziemniaczków”. Na początku wszystko co zastał było ponemieckie, a gdzieś tam kiedyś piastowskie; potem dopiero, po wielu latach – jego. Czuje się wygnancom z Kresów; odzwyczajają go od nich miający Czas, który tej odwykowej kuracji nie skończy z życia pana Bronka. Umrze kresowiakiem, a nie Dolnoślązakiem. Skarzył mi się ostatnio, że jego syn sprzedał ziemię, którą jeszcze za Gierka mu przepisał; teraz popijają sobie z żoną za te pieniądze i śpią do południa. Taki stosunek do tej niby jego dolnośląskiej ziemi mają; teraz



Autor z matką, wrocławianką z Wilna.

warto ją sprzedać byle komu, aby jak najwięcej dał. I kto tu czuje się Dolnoślązakiem na takiej ziemi?

Towarowym z Warszawy do Breslau

Popadku Powstania Warszawskiego piętnastolatek Zbyszek Dołęga, wraz z rodzicami i siostrą, po trzech bezsennych nocach i dniach głodu w obozie pod Pruszkowem, przyjeżdża do Wrocławia, gdzie wraz z tysiącami innych cywilnych jeńców wojennych, buduje Festung Breslau i... zostaje tu do dziś. Ani Dolnoślązak, ani warszawiak. Jeśli już – to wrocławianin, bo tu zdobył dyplom mechanika, zakochał się w dziewczynie spod Siedlec, pobrali się, mają syna, wnuki i na prawnuki czekają. Zaproponowałem im (nie jemu lecz im, bo staruszkowie nigdy się nie rozstają), w jeden z wiosennych weekendów, udział w warsztatach dziennikarskich, które prowadziłem dla słuchaczy Podyplomowego Studium w wynajmowanej do tego celu szkole. Pan Zbyszek wraz ze swą rodziną i setkami innych więźniów przeżył właśnie w tej szkole ostatnie, najgorsze miesiące wojny.

Była to jego tutaj pierwsza wizja lokalna po sześćdziesięciu latach. Pierwsze, co powiedział drżącym głosem, nim otworzyliśmy bramę, to było niby proste pytanie: Nie ma żadnej pamiątkowej tablicy?

Piętnastoletniego wówczas Zbyszka Dołęgę przywieźli spod Warszawy wraz z matką, ojcem i siostrą do Breslau z powstańczej Warszawy, po obławie na Ochocie. Wtedy, w tej wojennej szkole przetrwania, ci ostatni niewolnicy Rzeszy, nocowali po całodziennych harówce na podłogach, w klasach i na korytarzach szkoły przy dzisiejszej ulicy Hauke-Bosaka. Ciężko pracowali na dzisiejszym placu Grunwaldzkim, sprzątając sterty gruzów i porządkując teren pod lotnisko

Twierdzy Breslau. Byli wycieńczeni i wiecznie głodni w tym zniechęcającym mieście. Nie czuli się wtedy, broń Boże, jego mieszkańcami i marzyli, żeby wrócić do domu. A po wojnie, gdy okazało się, że ich warszawska kamienica leżała w gruzach, zostali tutaj. Po kilku latach – proszę bardzo – okazało się, że dla pana Zbyszka Wrocław jest najpiękniejszym miastem. Gdy się słuchało jego opowieści o głodzie, haremie, nalotach, ofiarach i gruzach, chorobach – trudno w to uwierzyć.

Ślepa kiszka

- Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego miałem atak wyrostka robaczkowego i obłożono mi brzuch lodem – wspomina pan Zbigniew. – Czekam na dzień operacji, a tu na podwórko przy Szczeńliwickiej, gdzie zwozili rolnicy w hurtowych ilościach kartofle, kalafiory, kapustę i owoce, a sklepikarze i straganiarze warszawscy kupowali je od nich. Niemcy tam właśnie urządzili dla nas obóz przejściowy. Zamiast ogórków, kartofli i kalafiorów zwożono hurtowo warszawiaków wprost z zajmowanych przez Niemców ulic i dzielnic. Z dwa tysiące ludzi nas wtedy było na Zieleniaku. Bez jedzenia, spaliliśmy na ziemi, pod gołym niebem trzy noce. Rankiem, jak pędzili nas głodnych na Dworzec Zachodni, niektórzy zdążyli wyrwać z pola buraka i od razu go gryźli, bo nic nie jedliśmy przecież. Pociąg towarowy zawiózł nas do Pruszkowa. Tam wpędzono nas do hali napraw wagonów. Wieczorem otworzono tę halę i usłyszeliśmy strzał na postrach. I krzyki Niemców, żeby

szybciej z hali wychodzić i żeby szybciej wsiadać do wagonów towarowych. Wcisnęliśmy się, a mój ojciec, widząc że jest nas wystarczająco dużo, zamknął od wewnątrz drzwi wagonu, żebyśmy się w tłoku nie podusili. Pociąg ruszył przed północą, no i po dwóch godzinach zatrzymał się. Z peronów wołali jacyś ludzie: Gdzie są dzieci, mamy mleko dla nich! Usłyszeliśmy, że to Częstochowa.

W tę sierpniową noc jechaliśmy, nie wiedząc gdzie. Bez jedzenia tyle dni, to i potrzeby fizjologiczne były minimalne, tyle co tego siusiu troszkę w kacie wagonu – pan Zbyszek Dołęga przerywa swą opowieść i z wielkim trudem powstrzymuje wzruszenie, ale tylko przez chwilę... Studentki też mają łzy w oczach, a po chwili już ani pan Zbyszek, ani jego żona, ani co wrażliwsze dziewczyny, nie powstrzymują łez. Sluchacze Studium Dziennikarstwa patrzają na te parę jak na ludzi z innego świata, z jakiejś innej miłości niż ta, którą oni znają...

– Namslau, taki był pierwszy napis, który ujrzelśmy na jakiejś stacji o święcie – opowiada dalej pan Dołęga. – Dziś wiem, że to był Namysłów na Dolnym Śląsku. Drzwi wagonu szeroko otworzyliśmy, jedziemy i patrzemy na te Niemcy. Koło południa ujrzałem napis Burkweide, dziś wiem, że to podwrocławskie Sołtysovice. Z bocznic obstawionej niemieckimi żołnierzami z psami szliśmy pod eskortą ulicą obok cukrowni i przez ogrodzenie z kolezastych drutów patrzyliśmy na obóz z setkami uwięzionych tam ludzi, którzy pytali nas, z jakich ulic Warszawy jesteście. Chcieli wiedzieć, skąd Niemcy wywożą ludzi i jak blisko są centrum Warszawy, gdzie jeszcze walczą powstańcy. Więc mówiliśmy im: Z Ochoty jesteście, ze Szczęśliwickiej.

Weszliśmy na teren obozu i najpierw pod prysznic poszły kobiety. Po nich my, mężczyźni. Rano nas wszystkich wpędzali w wąską obozową uliczkę podwójnych drutów kolezastych, żeby komuś nie przyszło do głowy zawrócić i wziąć drugi kawałek chleba i kubek mięty. To był mój pierwszy od wielu dni posiłek w Breslau, znaczy we Wrocławiu! Wpisali nas na listy, dali niemieckie papiery... Któregoś dnia zapędzili nas aż za dziesięć ulicę Cybulskiego. Tam gdzie są teraz Mosty Mieszkańskie, były w pobliżu duże baraki i targ niewolników przy Magazinstrasse. Niemcy ranniutko przyjeżdżali i wybierali: ta czwórka ze mną, tamci do mnie i tak dalej. Czekając na to, jaki Niemiec, do jakiej roboty nas dziś weźmie, dostałem znów ataku ślepej kiszki, no i zawieźli mnie karetką do kliniki Wszystkich Świętych. To był szpital przy pl. 1 Maja. Gdy zoperowali mnie niemieccy lekarze, przed szpitalem czekała moja matka. Po kilku dniach wróciłem do roboty w fabryce przyczep samochodowych na Borowskiej, gdzie oj-

ciec, matka i siostra już pracowali. Wierciłem tam, spawałem, frezowałem, szlifowałem. Gdy Niemcy budowali Festung Breslau i prowadzili nas przez miasto w stronę placu Grunwaldzkiego, po drodze zauważyłem stary wózek na czterech kółkach. Wrzuciłem do niego nasze toboły, no i dociągnąłem ten wózek aż do szkoły przy dzisiejszej Hauke-Bosaka, gdzie nas wpędzano do klas.

Spotkanie (Dolnoślązaków?) Zbigniewa i Ireny Dołęgów z młodymi adeptami dziennikarstwa w tej samej klasie na trzecim piętrze, gdzie kiedyś pan Zbyszek był więziony, przerwał on sam, choć jego opowieść jeszcze się nie skończyła. Zapadła cisza. Były „tutejszy” więzień zaczął rozglądać się po oknach i ścianach. Usiadł przy stoliku i z plastikowej reklamówki zaczął wyjmować po kolei: zardzewiałą nóż ręcznej roboty, naszywkę ze znakiem P i teczkę z niemieckim Merkzettel. Vorname – Dolega. Pokazując te dowody swego uwięzienia, opowiadał o nich, a młodzi ludzie słuchając jego historii, widzieli, że gdy on z trudem powstrzymywał łzy, z jego żoną działo się to samo.

Zebrał się w sobie i ciągnął dalej, tę breslauerką opowieść. Jak ich przywieźli do tej szkoły, to niemieccy żołnierze wyłapywali z klas co ładniejsze dziewczyny, żeby na parterze je zamknąć w haremie dla komendantury. Danuta, piękna, dwudziestoletnia siostra Zbyszka zrobiła z siebie brudne czupiradło i do tego burdelu jej nie wzięli. W szkolnym budynku przy Hauke-Bosaka więzieni też byli Francuzi, Rosjanie, a nawet dwie włoskie rodziny. Na migi i mieszaniną słów jakoś się dogadywali, będąc dla siebie ludźmi naprawdę życzliwymi i wyrozumiałymi w tamtych dramatycznych dniach Twierdzy Breslau. Pracowali przy budowie lotniska, oczyszczając z gruzów od rana do nocy plac Grunwaldzki. Gdy tamtego majowego dnia bomby spadały na pobliskie domy, rodzina Dołęgów wpakowała swe tobołki w ten mały wózek Zbyszka. Nie zapomniał wtedy o własnoręcznie zrobionym w Breslau nożu. Teraz każdy może go potrzymać, obejrzyć, proszę bardzo, zachęcał młodych wrocławian stary wrocławianin.

A potem Dołęga obchodził z nami korytarze szkoły, mówiąc że teraz wydają mu się takie obszerne; wtedy były ciasne, pełne leżących na korytarzach i w klasach niewolników Rzeszy. I tak szedł z nami wśród wyobrażonych ludzi, tobołów i legowisk aż do auli, gdzie wtedy modlili się i spowiadali najczęściej sami sobie ci wygłodniały nędznicy. I tak zakończył to spotkanie:

– Byłem od początku, od pierwszego września trzydziestego dziewiątego, święcie przekonany, że przeżyję tę wojnę. Ja nigdy w to nie wątpiłem. Nawet wtedy, gdy padały bomby, a my

z tym wózkiem, całą rodziną, po prostu wyszliśmy z tej szkoły, by dojechać tam, gdzie nas przywieźli do tego nieznanego wtedy jakiegoś Breslau, na Kowale, w stronę Burkweide. Starsi państwo wzruszyli moich studentów dziennikarstwa, od których otrzymali piękny bukiet kwiatów. Można by rzec, że ci młodzi ludzie, urodzeni na tych ziemiach zwanych odzyskanymi byli bardziej niż oni Dolnoślązaczami; oni tu się urodzili, studiują, a ci starszyskowie skądś tu pierwsi od nich przyjechali, żeby co... stworzyć nowe plemię? Gdy już w domu oglądaliśmy albumy ze zdjęciami Dołęgów, ich oczy w tym samych chwilach wilgotnieją. Patrząc na tych starych ludzi, wyobrażałem ich sobie, jak są młodzi, jak ci z tego późniejszego zdjęcia, gdy tak idą w pięknej młodości swego życia Mostem Zwierzynieckim. On i jego pierwsza randka z nią, z Iżą, siostrą kolegi z gimnazjum. Gdy odłożyłem to zdjęcie, dyskretnie odczytałem na odwrocie, co wtedy napisał: „Kochana Iro, ja nie pragnę tego zdjęcia lecz Ciebie”.

W pierwszych tygodniu tamtego wrocławskiego lata 45 roku przebił sobie we Wrocławiu stopę gwoździem tkwiącym w desce. Już nie zajęli się nim niemieccy lekarze jak podczas ataku wyrostka robaczkowego lecz rosyjscy chirurdzy w szpitalu przy dzisiejszej Traugutta. Potem całą rodziną na Toruńskiej weszli do poniemieckiego mieszkania, zaraz jak tylko wyprowadzili się z niego żołnierze radzieccy. Pan Zbyszek Dołęga był już uczniem wrocławskiego gimnazjum z internatem, tuż przy Moście Uniwersyteckim. Zdał maturę pracując w Pafawagu i ożenił się z dziewczyną spod Siedlec, z Iżą, śliczną księżową z Akademii Medycznej.

Ona tam pracowała do emerytury, a on w fabryce silników lotniczych zakończył staż pracy. Jak wrocławskie mrówki robili co do nich należało, z dala od polityki, zawsze blisko siebie. Jak inni pracownicy mieszkańcy Wrocławia odgruzowali miasto, odbudowali je, tworząc ów niepowtarzalny klimat grodu ludzi zewsząd. Gdy jeszcze syn Dołęgów był na studiach kupili kawałek ziemi za tym miastem, żeby wspólnie z dziećmi i wnukami urządzić tam Ogród Marzeń. Udało im się. Mówić o nich Dolnoślązacy, to trochę tak, jakby im skreślić w życiorysie dzieciństwo i wczesną młodość, które przeżyli w swoich rodzinnych stronach, ale już o ich synu, wnukach – to co innego.

...Ostrożnie więc z tymi Dolnoślązaczami. Migracje ludnościowe były, są i będą udziałem Polaków, a tworzenie na siłę regionalnych tożsamości przypomina sztuczki iluzjonistów, którzy mnożą w kapeluszach i pokazują zdumionej publiczności takie same króliki niewiadomego pochodzenia.

• 25 – Wystąpienie posła Wojciecha Korfanteo w Reichstagu, na temat odbudowy Polski zjednoczonej z wszystkich trzech zaborów, z bezpiecznym dostępem do morza. Postulaty rewindykacyjne Korfanteo obejmowały również tereny Górnego i Średniego Śląska.

• 26 – Narada naczelników gniazd Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, zwołana do Załęża i podjęcie uchwały o utworzeniu Straży Obywatelskich.

listopad

• 9 – Wybuch strajku generalnego w Berlinie, abdykacja cesarza Wilhelma II, proklamowanie przez działacza socjalistycznego Philippa Scheidemanna, ustroju republikańskiego w Niemczech. Friedrich Ebert obejmuje stanowisko – urząd kanclerski. Dotarcie na Górnym Śląsku wieści o wypadkach berlińskich, co wywołało pierwsze, spontaniczne pochody, wiece, demonstracje i starcia z policją, rozbijanie oficerów, uwalnianie z więzień ofiar terroru wojennego, przypadki usuwania dyrektorów i wyższych urzędników administracji fabrycznej.

• 9, 10, 11 – Na Górnym Śląsku powstają pierwsze rady delegatów robotniczych i żołnierskich.

• 10 – Wielotysięczne manifestacje polskiej ludności w miastach górnośląskich pod hasłem przyłączenia Górnego Śląska do Polski, inspirowane przemówieniami Józefa Rymera i ks. Pawła Pośpiecha. Manifestacje odbyły się m.in. w Zabrzcu, Bytomiu, Królewskiej Hucie i na Zadolu.

• 11 – Rozejm w Compiègne, kończący I wojnę światową.

• 12 – W Bytomiu utworzono Polską Radę Ludową.

• 14 – Ujawnienie się Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i wydanie przez pierwszych instrukcji w sprawie współdziałania polskich rad ludowych z radami robotniczymi, żołnierskimi i chłopskimi. W Opolu zwołano zjazd delegatów Związku Rolników Polskich na Śląsku.

• 18 – „Porozumienie katowickie” pomiędzy przedstawicielami związków zawodowych i wielkie-

Kalendarium wydarzeń na Górnym Śląsku z końca 1918 roku

go przemysłu, które wprowadzało m.in. 8-godzinny dzień pracy i podwyżkę płac.

• 21 – Wybuch strajku górników o podwyżkę płac. Objął on 24 kopalnie.

• 23 – Początek strajku załóg w 17 kopalniach górnośląskich.

• 28 – Opublikowanie dekretu Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, w sprawie ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego; dekret przewidywał wybory w 11 okręgach, położonych na terenie zaboru pruskiego oraz Górnego i Średniego Śląska. Protest rządu niemieckiego przeciw tym postanowieniom. Na Górnym Śląsku przybywają pierwsze oddziały niemieckiej 117 Dywizji Piechoty, którą dowodził gen. Karl Hofer. Strajk górników na Górnym Śląsku rozszerza się na 22 kopalnie.

Grudzień

• 3 – Do Poznania zwołany zostaje Sejm Dzielnicowy – reprezentacja ludności polskiej zamieszkałej w Rzeszy Niemieckiej. Wybrana została Naczelna Rada Ludowa wraz z organem wykonawczym – poszerzonym Komisariatem. Do NRL z Górnego Śląska weszli Wojciech Korfanti i Józef Rymer. Korfanti pozostał nadal jednym z komisarzy.

• 10 – 117 dywizja piechoty Karla Hofera została przesunięta do okręgu przemysłowego Górnego Śląska, co miało związek z nasila-

jącymi się nastrojami strajkowymi. Dywizja zaliczona została do wojsk ochrony pogranicza, określonych jako Grenzschutz.

• 12 – Zebranie wybitniejszych działaczy Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Siemianowicach, zwołane przez naczelnika Józefa Dreyzę. Podjęcie decyzji w sprawie tworzenia legalnie działających Związków Wojackich odpowiedników niemieckich Kriegervereinów.

• 16 – Początek obrad ogólnoniemieckiego kongresu rad robotniczych i żołnierskich w Berlinie, podczas którego uzewnętrzniło się ich negatywne stanowisko wobec możliwości przyłączenia Górnego Śląska do Polski.

• 20 – Powstanie w Bytomiu Komunistycznej Partii Górnego Śląska (Związek Spartakusa).

• 22 – Na Górnym Śląsku odbyło się 36 wieców, na których zebrani żądali oderwania od Prus i przyłączenia go do Polski.

• 24 – Rozporządzenie pruskiego ministra spraw wewnętrznych, skierowane do dziewięciu pogranicznych rejencji, w sprawie niedopuszczenia, z zastosowaniem środków policyjnych, do wyboru posłów do Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej Polskiej na obszarach, które wchodzą w skład państwa niemieckiego.

• 27 – Na Górnym Śląsku wybuchają strajki w 63 kopalniach węgla.

• 30 – Wrocławska Rada Ludowa uchwaliła tzw. postanowienia wrocławskie, które zapowiadały uwzględnienie przez rząd pewnych postulatów z zakresu autonomii Górnego Śląska.

• 31 – Do Warszawy wyjechała pierwsza delegacja, mająca na celu wysondowanie, na jaką pomoc mogą liczyć Ślązacy w razie powstania przeciw Niemcom. Prezydent rejencji opolskiej, von Miquel, wydaje zarządzenie stwierdzające, że „wszelkie usiłowania zmierzające do oderwania Górnego Śląska od Rzeszy Niemieckiej uznaje się za zbrodnię stanu”.

• Koniec grudnia 1918 r. i początek stycznia 1919 r. – Strajk powszechny, starcia robotników z wojskiem. W Bytomiu uruchomiono biuro Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej z adwokatem Kazimierzem Czapłą.

Zestawił:
PAWEŁ PARYS

11 listopada obchodzimy Święto Niepodległości. Z dłuższego procesu kształtowania się odrodzonego państwa polskiego wybrano epizod istotny, choć może nie najważniejszy, powrotu z internowania Józefa Piłsudskiego i w następstwie przekazania mu władzy przez Radę Regencyjną.

Śląsk na przełomie wojny i pokoju 1918 roku

EDWARD
DLUGAJCZYK

w sferach wojskowych cieszył się niekwestionowanym autorytetem. Pojawiły się kłopoty z uznaniem Polski i jej władzy na arenie międzynarodowej. W Paryżu działał niechętny Piłsudskiemu Komitet Narodowy Polski, opanowany przez endecję z Romanem Dmowskim na czele. Polska nie miała ustalonych granic. W skład polskiego organizmu państwowego wchodziły wówczas dopiero ziemie byłych zaborów rosyjskiego i austriackiego. W Niemczech nadal pozostawała Wielkopolska, Pomorze i Górny Śląsk.

Śląsk Cieszyński,

właściwie księstwo cieszyńskie wraz z księstwem opawskim i karniowskim, wchodzącymi w skład Monarchii Austro-Węgierskiej, stanowiło tak zwany Śląsk austriacki. Jako kraj koronny na prawach autonomii Śląsk posiadał Sejm Krajowy w Opawie, Wydział Krajowy i Rząd z prezydentem. Sam Śląsk Cieszyński dzielił się na cztery powiaty polityczne (bielski, cieszyński, frysztacki i frydecki), w ich obrębie na powiaty sądowe. Gminy funkcjonowały w ramach ustaw samorządowych i obowiązków zleczanych przez administrację rządową.

Jak na ówczesne czasy, istniało dobrane rozwinięte szkolnictwo. Ewementem był spory odsetek ludności wyznania ewangelickiego. Swobodny rozwój życia narodowego wytworzył infrastrukturę społeczno-polityczną z licznymi stowarzyszeniami, organizacjami kulturalnymi, zawodowymi i partiami politycznymi. Wśród nich najstarszy staż miał działający od 1883 roku Związek Śląskich Katoликów, nieco młodsza Polska Partia Socjalno-Demokratyczna z wyodrębnionym w 1906 roku Komitetem Okręgowym Śląska Cieszyńskiego, oraz Polskie Zjednoczenie Narodowe powstałe w 1911 roku z połączenia Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polskiego Stronnictwa Narodowego. Pod wpływami niemieckimi rozwijał się ruch ślązakowski Józefa Koźdonia, uznawany po polskiej stronie za zbiorowisko renegatów i zaprzańców.

Wojna obnażyła wszystkie słabości monarchii Habsburgów. Pogłębiła tendencje odśrodkowe narodów wchodzących w jej skład. Nic nie zdołało już utrzymać rozpadu anachronicznego, jak się okazało, tworzenia państwowego. Narody bałkańskie, Polacy i Czesi deklarowały wolę tworzenia odrębnych państw. Zdało się, że proces odłączania się przebiegnie bez większych zakłóceń. Jeszcze w połowie 1918 roku

Rozpadowi centralnej władzy państwowej w Królestwie Polskim towarzyszyło spontaniczne rozbrajanie żołnierzy niemieckich, rzadko zresztą stawiających opór, porzucanie służby i pospieszne opuszczanie Polski. Tak przeważnie wówczas nazywano ziemie zaboru rosyjskiego, opanowane podczas wojny przez koalicję państw centralnych: Niemcy i Austro-Węgry. Z ich nadania utworzono zręby państwa polskiego, w istocie tworzącego satelickiego i buforowego, skierowanego przeciwko Rosji. Wybuch w 1917 roku rewolucji w Rosji i w ślad za tym wycofywanie się bolszewizowanej Rosji z wojny plany te zdezaktualizował. Zbliżająca się klęska państw centralnych spowodowała, że Rada Regencyjna straciła rację bytu. Nastroje rewolucyjne udzieliły się także społeczeństwu polskiemu. W większych skupiskach proletariackich, zwłaszcza w Zagłębiu Dąbrowskim, powstawały rady robotnicze. W nocy z 6 na 7 listopada 1918 roku w Lublinie socjaliści

i piłsudczycy powołali w Lublinie Tymczasowy Rząd Republiki Polskiej pod kierownictwem Ignacego Daszyńskiego.

Gdy Piłsudski wrócił do kraju opromieniony sławą bojownika o wolność Polski, Rada Regencyjna przekazała mu władzę. Lubelski rząd Daszyńskiego, który także postawił się do jego dyspozycji, był poczytywany za nazbyt lewicowy, a reformy społeczne przezeń zapowiedziane za nazbyt radykalne. Szukając szerszego oparcia w społeczeństwie Piłsudski 18 listopada powołał gabinet Jędrzeja Moraczewskiego, też zresztą socjalisty. Prawica zmianę uznała za kosmetyczną i nadal pozostawała w opozycji.

22 listopada ukazał się dekret o najwyższej władzy w Republice Polskiej. Na jego mocy Piłsudski został Tymczasowym Naczelnikiem Państwa z uprawnieniami niemal dyktatorskimi. Ogłosił się też Naczelnym Wodzem tworzącego się wojska polskiego. Inna sprawa, że

nic nie zwiastowało przyszłego ostrego sporu o Śląsk Cieszyński. W przeszłości dochodziło tam już do sporów między Polakami i Czechami, ale obecność Niemców zmuszała też do współdziałania. Rozmowy polsko-czeskie w maju 1918 roku i wypowiedzi czeskich polityków zdawały się uznawać realia wynikające z przewagi żywiołu polskiego na wschód od Ostrawicy. Jednak pod koniec wojny coraz częściej słyszało się ze strony czeskiej o prawach historycznych i tworzeniu państwa Czechów i Słowaków w granicach korony św. Wacława. We wrześniu 1918 roku Benes uzyskał od rządu francuskiego zapewnienie poparcia wysiłków wskrzeszenia państwa czechosłowackiego w granicach jego prowincji historycznych, wśród których nieuprawniony znalazł się także Śląsk Cieszyński.

Zasadnicze znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków miała konferencja polityków polskich w Krakowie 10 października z udziałem przedstawicieli Śląska Cieszyńskiego. Uzgodniono na niej działania zmierzające do oddzielenia się od Austro-Węgier i stworzenia pań-

stwa polskiego. Dwa dni później w Cieszynie zebrali się przywódcy miejscowych partii politycznych w celu wyłonienia wspólnej reprezentacji. 19 października ukonstytuowała się Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, pierwsza na ziemiach polskich organizacja, która bez warunków wstępnych uznała władzę rządu centralnego w Warszawie. Moment ten należy dobitnie uwypuklić, bo bywa pomijany i niedoceniany. Analogiczny organ w Krakowie, Polska Komisja Likwidacyjna, ujawnił się dopiero 28 października. Zdementować także należy twierdzenia upatrujące w Radzie cieszyńskiej twór w duchu manifestu cesarza Karola I z 16 października o prawie narodów do tworzenia własnej organizacji państwowej w obrębie monarchii.

Do Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego weszli delegaci trzech wymienionych polskich stronnictw politycznych. Działali zgodnie, w poczuciu powierzonej im misji dziejowej. Podobnie nieco później w Narodnim Yborze pro Slezsko zjednoczyli się Czesi. Rozpoczął się wyścig o zawłaszczanie administracji terenowej. Polacy

okazali się w tym sprawniejsi i lepiej zorganizowani. Władztwo Rady Narodowej uznał ustanowiony jeszcze z ramienia Austrii starosta cieszyński Zygmunt Żurawski, w Bielsku – starosta Jakub Podczaski. W starostwie frysztackim opór stawiali urzędnicy czescy. Szaleńczo przechylono około 60 przełożonych gmin, którzy – wezwani do Cieszyna – 30 października złożyli Radzie Narodowej ślubowanie wierności. Prokuratorzy i sędziowie Sądu Okręgowego w Cieszynie, podobnie jak wielu innych urzędników państwowych, zasnając się obowiązkiem dochowania wierności starej zwierzchności, jednocześnie deklarowało lojalność wobec nowej władzy.

Na Śląsku Cieszyńskim stacjonowało około 10 tys. wojska austriackiego, piechoty, dragonów, huzarów węgierskich, oddziałów rozmieszczonych po kopalniach Zagłębia Karwińsko-Ostrawskiego, najwięcej w samym Cieszynie, gdzie mieściło się dowództwo 31 pułku piechoty, a dowódcą garnizonu był niemiecki pułkownik Gerndt. Zanosilo się na zamach ze strony niemieckiej. Sprzeczne opinie nadchodziły o po-



Wiec niepodległościowy w Cieszynie, listopad 1918 r.

stawie oficerów i żołnierzy czeskich. Do zawładnięcia garnizonem cieszyńskim, za wiedzą Rady Narodowej spiskowcy mieli wystąpić w nocy z 30 października na 1 listopada. Prawdopodobnie przypadkowo 30 października w godzinach wieczornych do Cieszyna nadszedł telegram z Krakowa nowo ustanowionego tam dowódcy okręgu wojskowego, brygadiera Roi, upoważniający najstarszego stopniem oficera polskiego do objęcia dowództwa w garnizonach. Rozkaz odnosił się wprawdzie tylko do Galicji, ale usankcjonował zamiały cieszyńskich spiskowców. Nawiasem mówiąc, desperze odebrał kapral dyżurny Gustaw Morcinek, który natychmiast pobiegł z nią do siedziby Rady Narodowej, skąd dotarła do rąk szykujących się do wystąpienia oficerów polskich.

Zamach udał się bezkrwawo. General Gerndt, acz nie bez oporu, pogodził się z losem i wkrótce opuścił miasto. Tej nocy nikt w Cieszynie nie spał. Na ulicach pojawili się żołnierze z biało-czerwonymi kokardkami, zajęli pocztę i dworzec kolejowy. Nazajutrz rano oddział wojskowy wysłany do Skoczowa bez trudu opanował tamtejsze koszary. W Bielsku koszary same się wyludniły. Załoga, w dużej części złożona z Ukraińców, rozjechała się do domów. Opór stawiała bielska Bürgerwehra, która zdarła polskie chorągwy. Zmuszona do posłuszeństwa, przedfilowała przed polskim dowódcą wojskowym. Niemcy w Bielsku jeszcze przez pewien czas nie chcieli się pogodzić z nowym porządkiem. Widzieli się obywatelami Sudetenlandu, namiastki własnej państwowości, która miała się wyłonić na gruzach północnej części Austro-Węgier. Czesi, rozgromiwszy w Opawie, organizujące się siedlisko niemieczyny, skutecznie rozwiali te nadzieje.

5 listopada obie reprezentacje narodowe Śląska Cieszyńskiego podpisały umowę o tymczasowym ustanowieniu stref wpływów. Aczkolwiek niektórzy polscy narodowcy nie uznawali granicy polsko-czeskiej innej niż wzdłuż biegu Ostrawicy, umowa odzwierciedlała aktualny układ sił. Po stronie czeskiej pozostał cały powiat frydecki i niektóre gminy z powiatu frysztackiego. Umawiające się strony ostateczny kształt granicy pozostawiły decyzji władz centralnych w Warszawie i Pradze. Tymczasem Praga, inaczej niż lokalne czynniki czeskie, bardziej skłonne do kompromisu, sprzeciwiła się umowie z 5 listopada. Teraz do głosu miała dojść siła zbrojna.

Po kilku dniach, jakie upłynęły od przewrotu wojskowego, do Cieszyna przybył wysłany z Krakowa sędziwy generał Franciszek Aleksandro-

wiecz, który przejął komendę z rąk porucznika Matusiaka. Długo miejsca nie zagrał, bo wypomniano mu niezbyt taktowne postępowanie podczas wojny wobec robotników w zagłębiu węglowym. Jego następca, brygadier Franciszek Latinik, też dobrze znany na Śląsku Cieszyńskim, cieszył się, przynajmniej na razie, lepszą opinią, chociaż nie był jej w stanie przekuć na autorytet potrzebny dowódcy wojskowemu. Energicznie zabrał się do tworzenia wojska polskiego i od razu natknął się na pacyfistyczne opory socjalistów. Uzasadniał potrzebę przymusowego zaciągu, jedynej jego zdaniem drogi do zapewnienia krajowi skutecznej obrony. Stało na uchwalonym przez Radę Narodową ochotniczym werbunku. Żołnierz, jeśli nie musiał, niechętnie wracał z wojny do wojska, chociaż polskiego. Formowanie oddziałów nie przebiegało tak, jak sobie tego życzano.

Lansowane przez socjalistów strażę obywatelskie, a potem decyzja o utworzeniu Milicji Polskiej nie zaspokoili potrzeb obronnych. Milicja, słabo uzbrojona, została pomyślana jako służba bezpieczeństwa w miastach i gminach wiejskich. Biła się potem dzielnie, ale nie zdołała powstrzymać dobrze uzbrojonego regularnego żołnierza. Nad krajem zawisło niebezpieczeństwo interwencji zbrojnej ze strony Czechów. Latinik zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Robił wszystko, co było w jego mocy, aby przygotować kraj do obrony. Brakowało przede wszystkim żołnierza i wyposażenia. Warszawa stale z tego powodu alarmowana, stopniowo uodporniała się, gdy w spokoju miały kolejne terminy spodziewanej inwazji. Byłoby może nawet Naczelne Dowództwo w Warszawie wzmocniło Śląsk jakimiś zapasami, gdyby nie nagła potrzeba obrony Lwowa. Śląsk też wysłał tam w pierwszych dniach stycznia 1919 roku, co miał najlepszego ze swojego Pułku Ziemi Cieszyńskiej.

Czesi znaleźli się w lepszej sytuacji. Podczas gdy armia generała Józefa Hallera stała wciąż we Francji i dopiero zastanawiano się, jaką drogą przetransportować ją do Polski (niewykluczone, że celowo zwlekało), legiony czeskie z Włoch i Francji pospiesznie wracały do swojej ojczyzny. Na dodatek rząd praski powierzył sztabowcom francuskim dowodzenie swoimi wojskami na terenie kraju, czyniąc ich powiernikami interesów Republiki. Wkrótce miało się to potwierdzić w Cieszynie.

Przygrywką stała się zmasowana kampania propagandowa piętnująca rzekome nieporządki pod rządami polskimi, oskarżenia o łamanie po-

stanowień umowy listopadowej, tworzenie faktów dokonanych. Dogodnym pretekstem stała się zapowiedź przeprowadzenia dekretem Naczelnika Państwa z 28 października 1918 roku wyborów do Sejmu Ustawodawczego również na Śląsku Cieszyńskim, który miał tworzyć jeden okręg wyborczy. Miejscowe polskie ugrupowania przystąpiły do organizowania tych wyborów. Wystawiły wspólną listę kandydatów. Wybory zapowiedziano na 26 stycznia.

23 stycznia w Cieszynie zjawiła się delegacja oficerów podająca się za aliantów. Zrobiono z nich potem z naszej strony czeskich przebiezańców, choć wychodząc z istniejącej wówczas symbiozy wojskowej czesko-francuskiej, wcale nie musieli udawać. W imieniu koalicji zażądali od Latinika wycofania się z wojskiem poza obręb Śląska Cieszyńskiego. Gra na zwłokę i zastanianie się brakiem rozkazu z Warszawy niewiele zmieniły. Delegacja tymczasem niepostrzeżenie opuściła Cieszyn. Pierwsze oddziały czeskie wkroczyły już do akcji. Po tygodniu zaciętych walk front oparł się o Wisłę. Decydująca bitwa rozegrała się pod Skoczowem. Wtedy przyszło polecenie zobowiązujące dowódców, podpułkownika Josefa Snejdarka i brygadiera Franciszka Latinika, do podpisania rozejmu. To był decydujący moment, który przesądził o losie Śląska Cieszyńskiego. Umowa z 5 listopada przestała obowiązywać. Latinik wprawdzie wrócił do Cieszyna, ale linia demarkacyjna odsunęła Polaków na wschód, wypychając ich niechybnie ku Olzie, co też nastąpiło w 1920 roku. W gruzach leży mit Ostrawicy – polskiej granicy. Z trudem przyszło polknąć gorycz porażki.

Górny Śląsk

W zupełnie innych warunkach toczyło się życie polityczne na Górnym Śląsku. Słupy graniczne wyznaczył tu bismarckowski Kulturkampf, walka przeciwko Kościołowi katolickiemu, socjaldemokracji i budzącej się z uśpienia polskiej świadomości narodowej. W ostatecznym rozrachunku hakatyzm niczego nie zwojował. Wzmocnił przede wszystkim pozycję Kościoła i rozwijające się w symbiozie z nim polskiego ruchu narodowego. Stosunek do Centrum, partii niemieckich katolików, określał w późniejszym okresie orientację polityczną miejscowych Polaków. Podzielił ich na radykałów narodowych i lojalistów pokroju Adama Napieralskiego, właściciela

koncernu wydawniczego „Katolika”, który niemal do końca wojny trzymał się kurczowo partii centrowej. Szeregiem endeków, znacznie przereklamowanym po kapitulacji, jeszcze przed wojną, Wojciecha Korfantego, przewodził obrotny ksiądz Paweł Pośpiech.

Działając w warunkach ograniczonej wolności, Polacy wytworzyli mimo wszystko dość solidną bazę organizacyjną społeczno-polityczną i gospodarczą. Choć nie zawsze przemawiali jednym głosem, wspólne pozostawały pryncypia pielęgnowania ojczyznanego języka i obyczaju. Akcje wyborcze do ciał ustawodawczych (Reichstagu i pruskiego Landtagu) wymagały porozumienia ponad podziałami. Kierunek wskazywała Wielkopolska. W ślad za innymi prowincjami, w których znajdowały się większe skupiska Polaków, także na Górnym Śląsku od 1902 r. istniało Polskie Towarzystwo Wyborcze, przemianowane po dwóch latach na Polski Komitet Wyborczy Prowincjonalny dla Śląska. Sieć komitetów rozciągała się na powiaty, miasta i gminy wiejskie. Wszystkie działały w myśl wytycznych Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego na Rzeszę Niemiecką z siedzibą w Poznaniu.

Ruch polityczny znajdował oparcie w licznych stowarzyszeniach kulturalnych, oświatowych i gospodarczych. Wystarczy wymienić koła śpiewackie i teatralne, Towarzystwo Czytelni Ludowych, Towarzystwo Oświaty św. Jacka pod prezesurą księdza Aleksandra Skowrońskiego, Towarzystwo Polek i liczne gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, z którego w przełomowym momencie wyłoni się konspiracja wojskowa. Podstawy polskiego życia gospodarczego tworzyły banki ludowe, zrzeszone w poznańskim Związku Spółek Zaborkowych. Do zarządu tego związku ze Śląska należeli pod koniec wojny mecenas Kazimierz Czapla z Bytomia, dr Piotr Hylla z Katowic i Szukalski z Królewskiej Huty. Banki ludowe istniały z Bytomiu, Gliwicach, Katowicach, Koźlu, Królewskiej Hucie, Lublińcu, Oleśnie, Opolu, Pszczynie, Siemianowicach, Strzelcach, Tarnowskich Górach i Zabrze. Dopełnienie aktywności gospodarczej znajdowało wyraz w Towarzystwie Górnośląskich Przemysłowców i Towarzystwie Młodzieży Kupieckiej. Polską wielkoprzemysłową klasę robotniczą reprezentowało przede wszystkim Zjednoczenie Zawodowe Polskie, które w 1917 roku, w przewidywaniu przyszłych potrzeb, powołało swoją polityczną odnogę – Narodowe Stronnictwo Robotników

(późniejsza Narodowa Partia Robotnicza).

Śląsk wyszedł z wojny mocno okaleczony materialnie, a przede wszystkim moralnie. Praktycznie zamarło wtedy całe polskie życie narodowe. W swoich dążeniach emancypacyjnych ludność polska zaboru pruskiego i Górnego Śląska odwoływała się do orędzia prezydenta Stanów Zjednoczonych, Woodrowa Wilsona ze stycznia 1918 roku, które w definiowaniu celów i warunków zakończenia wojny zawierało ustęp o wskrzeszeniu państwa polskiego na ziemiach zamieszkałych w przeważającej części przez ludność polską, ze swobodnym dostępem do morza. Polacy ucałowali z orędzia prezydenckiego busołę, która miała ich prowadzić do niepodległości. Także na Górnym Śląsku, gdzie uznali, że tworzą tę wilsonowską większość. Niemcy, oczywiście, mieli prawo takie przechwałki na konkretnych przykładach kwestionować i tak też robili. Wraz z polskimi deklaracjami, powołującymi się na prezydenta Wilsona, pojawiały się proklamacje prezentujące niemiecki punkt widzenia. Magistrat i radni miejscy Kluczborka w proteście z 25 października generalnie sprzeciwiali się zaliczeniu Górnego Śląska do ziem o większości polskiej. Co do samego Kluczborka zapewnili, że „nie ma wcale polskich mieszkańców i jest czysto niemiecki”. Tu i ówdzie zbierano podpisy za pozostaniem w Niemczech.

Tymczasem wojna zmierzająca już ku końcowi nie oznaczała kresu prawa wyjątkowego dla Polaków. Prasa przytaczała liczne przykłady zakazywanych polskich imprez i zebrań. Werdykty w tym zakresie komenda wojskowa we Wrocławiu ferowała niekonsekwentnie i raczej wybiórczo. Zgadzała się, przykładowo, na przedstawienia teatralne, ale tylko w gwarze. 10 października prasa ogłosiła protest przeciwko takim i podobnym zarządzeniom władz wojskowych. Przy tej sposobności przypomniano stary wierszyk ks. Damrota o Wasserpolakach: *Zowią ci nas Wasserpolakami! / Ale chwala Bogu, tak źle nie jest z nami, / Wasser odplynęło przez niemieckie sity, / A Polak pozostał, nie dał się – i kwita.*

Kurs antypolski okazał się wodą na młyn orientacji narodoworadykalnej. Zakazywany kilkakrotnie zlot „sokołów” mógł się odbyć dopiero w niedzielę, 10 listopada, na boisku na Zadolu. Owładnęła nim atmosfera podniecenia na wiadomość o rozruchach rewolucyjnych w Berlinie. Mówcy poseł ks. Pośpiech i redaktor Edward Rybarz odwołując się do prezydenta Wilsona,

z nadzieją witali odradzające się niepodległe państwo polskie.

Ludność polska z uwagą wsluchiwała się w zapowiedzi władz rewolucyjnych zniesienia ograniczeń w zakresie zrzeszania się, wolności słowa, likwidacji cenzury, przewrócenia ustawodawstwa ochronnego dla robotników, podwyższenia zapomóg z kas chorych, sprawiedliwszego podziału żywności, wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy i wolnych, demokratycznych wyborów do ciał ustawodawczych. Wraz ze zniesieniem w całym kraju stanu wojennego (obleżenia), przestały funkcjonować sądy wojenne, a sprawy w nich zawieszę przejęły sądy powszechne.

Spółeczność polska była organizacyjnie przygotowana do nowych wyzwań. Zrazu ich ciężar wziął na siebie Polski Komitet Wyborczy Prowincjonalny dla Śląska, do którego wtedy wchodzili: aptekarz Michał Wolski z Bytomia, Józef Dreyza – dyrektor Banku Ludowego w Siemianowicach i w jednej osobie naczelnik okręgu śląskiego „Sokoła”, Feliks Orlicki – dyrektor banku w Gliwicach, ks. proboszcz Kukuczka z Wysokiej w powiecie oleśkim, Józef Rymar z Katowic, dr Leopold Skowroński z Bytomia, ks. proboszcz Jędrzejczyk z Boguszyca w powiecie opolskim, Franciszek Gabor – rolnik z Koźła i Jan Kędzior – dyrektor banku z Pszczyny.

W ślad za deklaracją Polskiego Kola Poselskiego w Reichstagu z 5 października prasa polska w Niemczech opublikowała oświadczenie poznańskiej Rady Ludowej, Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego i prowincjonalnych komitetów wyborczych, w którym wyrażono przekonanie, że: „Tylko zjednoczenie wszystkich części narodu, osiadłych na ziemiach polskich, w jedną całość, wyposażonych w pełni praw historycznych, stanowić może rękomię przymierza narodów”. Potem opublikowano pełny tekst wystąpienia Wojciecha Korfantego z 25 października w Parlamencie Rzeszy.

Śląsk miał pięciu polskich posłów do Reichstagu lub Landtagu pruskiego. Byli to ks. Paweł Pośpiech, Wojciech Korfanty, Wojciech Sosiński, Paweł Dombek i ks. proboszcz Brandys. Posłowie ci zostali potem doko-optowani do Sejmu Ustawodawczego. Bezspornie palma aktywności należy się księdzu Pośpiechowi. Korfanty przebywał wtedy w Poznaniu, gdzie należał do grona założycielskiego Naczelnej Rady Ludowej. Wraz z lawinowo tworzonymi radami ludowymi wyłoniła się potrzeba nowego kierownictwa. Funkcję tę miała spełniać ukonstytuowana na zebraniu w Bytomiu 19 listopada „Naczelna Władza dla Górnego Ślą-

ska” w składzie: ks. Józef Pośpiech, Michał Wolski, Józef Rymer, Ignacy Sikora, Kazimierz Czapla, Janina Omańkowska, Ludwik Konieczny z Rydułtów i Paweł Musioł z Markłowic.

Posumowaniem dotychczasowej działalności i wytyczeniem dróg na przyszłość miał się zająć zaplanowany na 3-5 listopada Sejm Dzielnicowy w Poznaniu. Delegaci byli wyłaniani na zebraniach powiatowych według zasady: jeden delegat na 2500 ludności polskiej. Podstawą miał dać spis ludności z 1910 roku. Polski Komitet Wyborczy Prowincjonalny dla Śląska zalecił, aby „stan włościański i robotniczy z miasta i wsi miał co najmniej połowę przedstawicieli”. Wraz z delegatami na Sejm Dzielnicowy zgromadzenia powiatowe wybierały członków powiatowych rad ludowych. Nie stosowano klucza partyjnego. Zatwierdzano przez aklamację ustanawiane wcześniej listy kandydatów. Kto je układał, dowiedzieć się z prasy nie można. Wszystko czyniono dla ugruntowania wrażenia, że ludność polska występowała zjednoczona w jednym obozie narodowym i nic tej jedności nie zamącało.

Reprezentacją narodową stała się wybrana na Sejmie Naczelna Rada Ludowa i jej organ wykonawczy – poszerzony Komisariat. Rozwój wypadków sprawił, że NRL już się w pełnym składzie nigdy nie zebrała. Korfany nadal pozostał jednym z komisarzy. Zmieniło się polskie naczelnictwo na Górnym Śląsku. Z końcem grudnia zaczął funkcjonować Podkomisariat NRL w Bytomiu, kierowany przez adwokata Czapłę.

Tworzenie rad robotniczych i żołnierskich zmusiło przywódców polskich na Śląsku do ustosunkowania się do tych tworów. Zarząd Centralny Zjednoczenia Zawodowego Polskiego (J. Rymer i W. Wiczorek) publicznie orzekł, że nie mają one nic wspólnego z dążeniami polskich robotników. Ludność polska miała się skupić w radach ludowych. Już po kilku dniach kierownictwo polskie na Śląsku, za wzorem Wielkopolski, zmieniło swój stosunek do rad robotniczych i żołnierskich. Nawoływało teraz, aby do nich wstępować i wpływać na ich działalność. Wezwanie okazało się spóźnione.

Także niektórzy przywódcy niemieccy zdawali sobie sprawę z niedogodności wynikającej z jednostronnego składu osobowego rad robotniczych i żołnierskich. Dał temu wyraz minister Hasse na spotkaniu z działaczami niemieckimi w Gliwicach. Uznał wręcz za nieszczęście, że doszło do takiej sytuacji. Z ust ministra padły gorzkie wymówki,

ale i zachęta do zjednywania Polaków, uznania ich za pełnoprawnych obywateli. Do zwolenników ostrego kursu antypolskiego skierował ostrzeżenie, że osłabiają pozycję Niemiec na arenie międzynarodowej przed zbliżającym się kongresem pokojowym.

Wezwania do zgodnego współistnienia potraktowano po stronie polskiej jako zachętę do odważniejszego artykułowania postulatów narodowych i tworzenia polskich rad ludowych. „Stójcie twardo przy naszych prawach – wzywała 23 listopada Naczelna Rada Ludowa dla Śląska – nie bójcie się landrata lub żandarma, nie zapominajcie, że dawny ucisk pruski się skończył i nowy rząd wyraźnie nasze prawa uznaje”. Nadal jednak obowiązywał kataster narodowy. Nie zważając na niemieckie rady chłopskie, przywódcy polscy w Opolu, redaktor Bronisław Koraszewski i Franciszek Kurpierz, przystąpili do tworzenia Związku Rolników.

Do obozu narodowego dołączyli polscy socjaliści. Ich przywódca, Józef Biniszkievicz, 20 listopada na wiecu założycielskim Powiatowej Rady Ludowej w Katowicach złożył następującą deklarację: „Zapytacie mnie, dlaczego nie należę do Rady Robotniczej. Jestem socjalistą od czasu, jak samodzielnie myśleć potrafię. Ale obecnie nie zawdzięczałbym na rękę przepaski czerwonej, zhańbionej przez niemiecką spółkę kapitalistyczno-socjalistyczną. Dla polskiego socjalisty jest i powinno być miejsce po stronie polskiej”. Polska Partia Socjalistyczna, odtąd mocniej niż kiedykolwiek wcześniej, osadziła się w obozie polskim, ale na prawach pewnej odrębności. Osobno poszła w następnym roku do wyborów komunalnych.

Trwała likwidacja skutków wojny. W obozach rozmieszczonych przy kopalniach pozostało wielu jeńców rosyjskich. Nim ich systematycznie zaczęto zwalniać i wysyłać do domów, jeszcze po podpisaniu rozejmu byli zmuszani do pracy. Wycieńczeni i niedożywieni buntowali się. W kilku miejscach doszło do brutalnych pacyfikacji obozów jenieckich. W przemyśle górnośląskim podczas wojny pracowało wielu robotników sprowadzonych z Królestwa Polskiego. Po wojnie zabrakło dla nich pracy. Gremialnie odsyłano ich do Polski.

W połowie listopada władze niemieckie utworzyły tzw. Heimatschutz Ost, (późniejszy Grenzschutz Ost) jako parawan do obrony prowincji wschodnich, a więc Księstwa Poznańskiego, Pomorza i Górnego Śląska. Jednocześnie skierowały na Śląsk zluźowaną z frontu 117 dywizję piechoty pod dowództwem gene-

rała Karla Hoefera. Śląsk był macierzystą prowincją tej dywizji. Wraz z Dowództwem VI Korpusu Armii we Wrocławiu, radami żołnierskimi i napływającymi stopniowo korpusami ochotniczymi z głębi Niemiec, dywizja tworzyła nie tylko osłonę wojskową przed wrogiem zewnętrznym, ale także system rządów, rodzaj dyktatury wojskowej, skierowany przede wszystkim przeciwko ludności polskiej i utrzymujący w ryzach zapędy komunistów, zwanych wówczas spartakusowcami. Płaszczyznę społeczną poszerzyło na założone z końcem 1918 roku Wolne Stowarzyszenie dla Obrony Górnego Śląska (Freie Vereinigung zum Schutze Oberschlesiens).

Między obydwojma kierunkami swoje miejsce usiłowała znaleźć trzecia propozycja dla przyszłości Śląska. Wychodziła z kręgów partii centrowej, przybierając różnorakie zabarwienia, zawsze w duchu wydobywania pewnych odrębności śląskich. W skrajnej odmianie lansowała utworzenie niezależnej republiki śląskiej w sercu Europy.

* * *

Koniec 1918 roku niczego na Górnym Śląsku nie przesądził. Postawił co najwyżej pytania, na które nie było jeszcze odpowiedzi. W nowy rok Śląsk wkroczył z bagażem niepokoju, ruchów od głodowych począwszy, strajków i zwyczajnego bandytyzmu, nadwątlonej powagi państwa. Najważniejsze ukrywało się jeszcze za horyzontem: kongres pokoju w Wersalu, pierwsze, a po nim dwa następne powstania, plebiscyt 20 marca 1921 roku, werdykt wielkich mocarstw o podzieleniu spornego terytorium. Od nowego roku władza, reprezentowana przez komisarza rządowego Ottona Hörsinga, szykowała się do pograżenia ludności polskiej gwałtem i terrorem.

W zaprezentowanym tu szkicu nie starczyło miejsca na poszukiwanie początków polskiej konspiracji wojskowej, wyjątkowo mocno poplątanych. Wprawdzie ostatnie badania historyczne rzuciły na te początki nieco nowego światła, ale niektóre twierdzenia uparcie się trzymają. Jak na przykład ów nie poparty żadnymi dowodami przekaz o zebraniu „Sokoła” 26 października 1918 roku, na którym miano przystąpić do zakładania straży obywatelskich, rzekomo pierwszego ogniwa polskiej organizacji wojskowej. Na pewno straże obywatelskie istniały, ale w zakładane przez kogo innego i w innych okolicznościach. Oczyszczenia wymagają inne skamieliny.

• Podzwonne dla Nabatejczyków

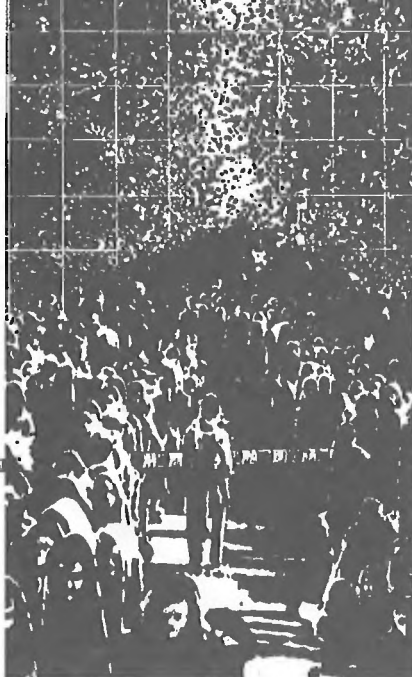
W Petrze, chlubie Haszemickiego Królestwa Jordanii, miejscu uznanym za jeden z siedmiu cudów świata, podróżnik odnajdzie ślady nabatejskie, helleńskie, rzymskie i bizantyjskie. Olśniewające wrażenie robią grobowce wykute w skale, ozdobione pięknymi kolumnadami, obeliskami, rzeźbami, pylonami, zastanawiającymi wykuszami i pilastrami. Nabatejczycy, którzy doprowadzili do świetności miasta, przybyli do Jordanii z Półwyspu Arabskiego ponad 2200 lat temu, nazwali Petrę *Rqm*, co oznacza *wielobarwna*. Tę jej cechę i wielowymiarowość dostrzec można oglądając rozległą nekropolię. Jest ona nie tylko świadectwem potęgi Nabatejczyków na przelomie starej i nowej ery, ale dowodem na odwieczne nierówności społeczne. Władca czy bogaty mieszczanin wykupwał w piaskowcu grobowce ogromne, fantazyjne, wielkości solidnej kamienicy, a posługacze, drobni kupcy, pasterze zadowolić się musieli kwaterą na komunalnym cmentarzu, maleńką, wąską, jak lupina orzecha, bez żadnych zdobień.

Ta niewzyciążna dbałość antycznych mieszkańców o grobowce pozostaje w sprzeczności ze współczesną kulturą cmentarną w świecie arabskim. Szybkie pogrzeby, żadnych niemal zdobień, kamień oznaczający miejsce pochówku, surowa i spalona słońcem ziemia. To tutaj standard. Gdyby nie niewielka, zniszczona tabliczka informująca o cmentarzu w pryncypalnej części stołecznego Ammanu, nigdy bym nie przypuścił, że stoję na ziemi tych, których zaprosił do siebie Allah. Ciekawe jest i to, że grobowce pozostały, a resztę miasta zmiotły kolejne trzęsienia ziemi. To szczególnie triumf śmierci nad życiem.

• Makijaż naturalny i pyłek szafranu

Kilka kilometrów za Petrą natrafiam na budynki Beduinów, autochtonów, ongiś koczowników, dzisiaj osadzonych przez króla Jordanii Abdullaha II w solidnych domach. Nie wypadają, aby w dostojnych murach i skalach Petry kręcili się ubogo ubrani ludzie, a powietrze zdominował, i tak już obecny, zapach końskich, oslich i wielbłądzych odchodów. Dopełniają je nuty skalne i teleryczne tworząc niezapomniany obłok zapachowy. Blisko beduińskiej sadyby dobrze zakonserwowane mozaiki z wpływami helleńskimi i romańskimi przysłonięte brezentowym dachem. Zachowały naturalne kolory i budzą podziw, ale nie u młodzianka pędzącego stado wychudłych kóz, śmiesznie zawieszono na krzepkim osle. Jego interesuje tylko brezentowy cień i wytchnienie stada. Wszak w powietrzu 40 stopni, a do tego kąśliwe słońce.

Lokalne elegatki, szczerlnie zakryte przed cudzoziemcem, ze skał robią specjalny użytek. W zaciszu własnych przestrzni przygotowują makijaż naturalny. Skala nadaje skórę piękną brzoźkwini-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Widziano także osła... (I)

wą barwę. Kiedy przewodnik Fathi Sabatini demonstrował te niezwykle możliwości na twarzy Europejki, miałem jedno tylko skojarzenie. Przyznaję, odległe. Z książką Michaela Ondaatje *Angielski Pacjent* i szafranem, którym policzki zmarłej ukochanej nacierał tytułowy bohater, aby przypomnieć jej urodę i blask.

• Lekarze na bruku

Król Abdullah, Haszemita, czyli członek klanu dynastycznego uważany za potomka Proroka Mahometa, spogląda na wizytanta wraz z niezującym ojcem, Husajnem, z dziesiątków posterów, plakatów, fotografii, rysunków i kiczowatych makatek. To rodzaj adresu holdowniczego dla władcy, którego troska nad losem poddanych jest tutaj doceniona. Już na samym początku, chwilę po inżynierii (1999), roztropny Abdullah, chcąc poznać dolę, a raczej niedolę ludu, udał się w przebraniu do największej stacji ratownictwa medycznego i czekał na pomoc Eskulapów. W tej badawczej wyprawie towarzyszył mu brat w pokrwawionej galabiji. Obaj nieszczęśni, a raczej symulujący w najlepszej wierze, pomocy się nie doczekali.

Decyzje króla zelektryzowały poddanych. Pięćdziesięciu lekarzy i pracowników personelu administracyjnego przy-

witało się z brukiem, a władca zapowiedział dalsze wizyty kontrolne. Od tej pory, mówi przewodnik, bez mrugnienia okiem, z wiarą i przekonaniem Królestwo Jordanii rozpoczęło sanację, walkę z ludźmi o kamiennych sercach, korupcją i na końcu z bezrobociem. Podaje cyfry. Mamy 13% bezrobocie, pełną i darmową edukację na poziomie podstawowym oraz średnim, kartezjańskie zasady przyjęcia na studia, niemal pełne równoprawnienie płci. Przestrzega też życzliwie aby, nie daj Boże, funkcjonariuszowi publicznemu oferować łapówkę. To karane więzieniem, o zaostrzonym rygorze.

• Mim w policyjnym uniformie

Tych elukubracji słucha i niemo im przytakuje oddelegowany do pomocy podróżnikom policjant turystyczny. To unikatowa formacja zatroskana o dobrostan gości w Haszemickim Królestwie i ich prawie niezagrożone bezpieczeństwo. Dbą o nie tuzin służb jawnych i sekretnych, wspomaganych przez firmy ochroniarskie. Zastanawiający jest widok pana młodego, wybranki jego serca oraz setki gości weselnych poddawanych w eleganckiej restauracji ammańskiej oględzinom i badanych na okoliczność rzeczy metalowych przez rosłego osiłka i uroczą współpracowniczkę. Wszak nieprzyzwoite byłoby indagowanie kobiety, zwłaszcza na wydaniu, przez obcego mężczyznę. Trzeba jednak przyznać, że w Jordanii nie ma żebraków, ludzi sprawiających wrażenie głodnych i zaniedbanych czy agresywnych. Ale tysiące młodzieńców przechadzających się bez celu w większych miastach, plotkujących w kafeteriach, leżących na trawnikach czy siedzących na stopniach i oczekujących na Godota, pozwalają wątpić w precyzyjnie podaną informacją o bezrobociu.

Pewne niedowierzenie budzi też deklaracja równouprawnieniowa, albowiem lawy rządowe, parlamentarne i jordańskie *high ranks* zajmują bardzo nieliczne kobiety. A to one są, wedle ogłoszanych rankingów, najlepszymi studentkami i absolwentkami renomowanych uczelni. Na koniec tej guidowskiej mowy Fathi przygważdża informację: w Polsce macie 40% poziom rozwodów, a w mojej ojczyźnie z trudem przekracza marne 3%. Pełen podziwu dla polihistorycznej wiedzy mojego jordańskiego komilitona cicho i pośrednio prostuję, że w Najjaśniejszej wskaźnik ten wynosi w rzeczywistości 33.5%. Co oznacza, że jest tylko dziesięć razy wyższy niż w Jordanii, a nie trzydzieście. Nie przynosi to ulgi bo rodzime statystyki są naprawdę przygnębiające i z każdym rokiem coraz gorsze. Nie pociesza też fakt, że blisko 30% jordańskich małżeństw jest aranżowanych przez starszyzną, a to oznacza nierozzerwalność związków. Ich rozpad grozi bowiem naruszeniem niezwykle tutaj ważnych więzi rodowych.



„Wietrzny, mroczny miesiąc tętni rocznicami. My, Polacy, posiadamy na ogół więcej rocznic bolesnych niż szczęśliwych, a bywa że te, co do niedawna uchodziły za szczęśliwe są dziś tym bardziej bolesne. Wartość ich przez to nie ulega zmianie, a znaczenie- kto wie- może rośnie? Każda rocznica jest skrótem, syntezą pewnego odcinka czasu. Z jej perspektywy można spojrzeć na swe dzieje niby na drzewo odarte z gałęzi, ujawniające przeżyte burze, klęski, załamania, wytrwałe zalecenia i ponowny pęd w górę”

Zofia Kossak (Rok polski)

Noc listopadowa w Cieszynie

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

PO zakończeniu I wojny światowej najszybciej do Polski powrócił Śląsk Cieszyński. Już w lecie 1918 osoby narodowości słowiańskiej (Czesi, Polacy, Słowacy, i inni) zamieszkujące ziemie CK Austrii zaczynały się burzyć i żądać od Wiednia suwerennych organizmów państwowych i choć Polska jeszcze wtedy formalnie nie istniała, był to początek rozpadu monarchii Austro-Węgierskiej.

W pierwszej dekadzie października 1918 r. załamał się front na Bałkanach i nasiliła się degrengolada armii austriackiej. Wprawdzie cesarz Karol i bliscy mu politycy sądzili, że przekształcenie Austrii w sojusz suwerennych państw narodowych, pozwoli zapobiec kataklizmowi, ale było już za późno, nie chciano tylko namiastki wolności.

Taka idea pojawiała się zresztą już wcześniej, bo w okolicach 1848 roku, Wiosny Ludów, ale była konsekwentnie odrzucana przez Najjaśniejszego Pana, Franciszka Józefa, choć w tamtym czasie mogła spotkać się z przychylnym przyjęciem poddanych narodów. Siódmego października 1918 posłowie ze Śląska do Parlamentu Wiedeńskiego: ks. Józef Londzin, Jan Michejda i Tadeusz Reger, złożyli w Radzie Państwa oświadczenie o zakończeniu swej powinności poselskiej w stolicy Austrii; stwierdzili, że należą do Polski, która już się odradza, a którą we Wiedniu dotąd reprezentowali. Wkrótce potem o ich deklaracji wiedzano w Cieszynie. Szesnastego października 1918 roku cesarz Karol ogłosił oświadczenie *Do moich wiernych, austriackich ludów*, w którym wyraził zgodę na powstanie i przejmowanie

władzy politycznej przez narody należące do monarchii mając nadzieję, że uda się zrekonstruować cesarstwo, jako federację zjednoczonych narodów z zachowaniem hegemonii Austrii, obiecując umiarkowaną suwerenność poszczególnych narodowości, nie uciszyło to jednak społecznego wzburzenia, które jak wzbierająca fala powodziowa, zalewało kolejne przestrzenie mocarstwa. Ani Polacy, ani Czesi nie czuli się „wiernym austriackim ludem”.

W konsekwencji tych wszystkich wydarzeń i nastrojów 19 października 1918 roku powstała na Śląsku Cieszyńskim Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, na czele z wymienionymi już trzema posłami jako prezydentami (tak to określano). Przez władze wiedeńskie została ona formalnie uznana w dniu 21 tegoż miesiąca, ale rzeczywiste rządy mogła zacząć sprawować dopiero po podporządkowaniu sobie aparatu administracyjnego i wojska.

W tej sytuacji porucznik Klemens Matusiak, znakomity społecznik, z wykształcenia nauczyciel, późniejszy pierwszy komendant polskiego garnizonu wojskowego w Cieszynie, już od miesięcy letnich prowadził rozmowy z miejscowymi politykami. Omawiano sposób przyszłej współpracy wojska z polskim rządem. Matusiak wkrótce znalazł poparcie poruczników Franciszka Barteczka (1891-1983) i Ludwika Skrzyпка (1891-1965) i tak właśnie zaczęła się kształtować „wielka Trójka”, decydująca o dalszych poczynaniach, i wpływająca na pozostałych oficerów Polaków. Oni też podjęli prace nad planem zamachu wojskowego

i sposobem przejścia władzy oraz przygotowaniem Ziemi Cieszyńskiej na spotkanie z Najjaśniejszą Rzeczypospolitą. Wnikliwie przeanalizowali różne warianty przeprowadzenia działań wojskowych.

Z początkiem października spotkało się konspiracyjnie grono oficerów Polaków opracowując plan pozyskania jeszcze pewnej ilości osób dla narodowej sprawy, a w jeszcze późniejszym czasie przyjęli oni nazwę „liga Oficerska”. Ich działania poparli masowo Cieszyniacy, zarówno ludność obszarów przemysłowych: hutnicy i górnicy i inni robotnicy, jak i górale z okolicznego Beskidu, z Koniakowa, Jaworzynki, Istebnej organizując zgromadzenia i wiece, a także powstającą w gminach samorządnie „straż obywatelską” posiadającą nieblahe znaczenie wojskowe i polityczne.

Dzień 27 października miał charakter przełomowy. Odbył się w Cieszynie ogromny wiec, spontaniczny i masowy. Austriacka komenda wojskowa zarządziła dla garnizonu pogotowie, wszystkim bez względu na szereg, zakazano wychodzenia z budynku. Sztab garnizonu zachowywał stosowny dystans, ale porucznik (czy pułkownik? Źródła podają różnie!) J. Gerndt z okna obserwował pochód idący w stronę Rynku dzisiejsza, przy której obecnie mieści Liceum im. Mikołaja Kopernika. Edward Buława pisał „Szlif mężczyźni, kobiety i młodzież, często w strojach ludowych, z orkiestrami, sztandarami i transparentami. Momentem najbardziej deprymującym oficerów, zdecydowanie niechętnych Radzie Narodowej, były rozmiary manifestacji. Sam plk J. Gerndt, wi-

dząc pojawiające się stale nowe kolumny w zdenerwowaniu powtarzał: „Schauts – noch, noch!” (Patrzcie – jeszcze, jeszcze!). Podobnie zszokowani byli urzędnicy starostwa i ogół niemieckiego mieszczanstwa”.

Na usytuowanych w różnych miejscach mównicach przemawiali ks. Józef Londzin, niezwykle kapłan, o ogromnym autorytecie społecznym, Jan Michejda, pastor cieszyński i Tadeusz Reger, socjalista i społecznik, oraz inni członkowie Rady Narodowej. Głosili treści nie nowe, uznane za swoje już przed wojną. Zapowiadali koniec wojny, pokój, powstanie Niepodległej Polski, poprawę sytuacji materialnej, a przede wszystkim: wolność.

Wtedy wójtowie złożyli następującą Rotę Przysięgi: „W obliczu Boga wszechmogącego ślubuję, że Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego jako organ rządu narodowego odtąd uznawać będę za moją prawowitą władzę państwową i ślubuję jej wierność i posłuszeństwo, sumienne wypełnianie wszystkich jej rozkazów i zleceń, jak przystało prawemu obywatelowi, wiernie Ojczyźnie służącemu. Tak mi, Panie Boże, dopomóż!”

Tyle suchych faktów. Zachowały się jeszcze inne świadectwa tych chwil: literackie i pamiętnikarskie.

* * *

Tak się złożyło, że od 15 sierpnia 1918 roku w komendzie stacyjnej wojsk austriacko-węgierskich w Cieszynie jako radiotelegrafista pełnił dyżur „jednoroczny” – Gustaw Morcinek, z zawodu nauczyciel. W nocy z 31 października na 1 listopada, którą będzie później określał jako własną „noc listopadową”, przejął z Krakowa następujący rozkaz generała Bolesława Roi: „Najstarszy rangą oficer Polak ma natychmiast objąć dowództwo garnizonu Cieszyn”. Wiadomość tę przyszły pisarz przekazał błyskawicznie do Domu Narodowego, gdzie zgromadzona była grupa polskich oficerów i podoficerów dowodzona przez wspomnianego już wybitnego społecznika i znanego działacza narodowego Klemensa Matusiaka (1881-1969). Spiskowcy opanowali cieszyński garnizon i podporządkowali go Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. Gdyby przewrót się nie udał Morcinka czekałaby kula „w łeb”. Jego odwadze i refleksowi zawdzięczał więc w pewnym sensie Cieszyn powrót do Polski. To mniej znany epizod z życia pisarza, jak i cały jego pobyt w wojsku. A przecież szlify porucznika otrzymał w czasie czynnej służby wojskowej na froncie bolszewickim w roku 1920! Ale to już temat na inny artykuł.

Dla Morcinka ów epizod stał się tym impulsem, który wyzwolił w nim drzemnące zdolności literackie. Na kanwie



Porucznik Gustaw Morcinek

tych wydarzeń osnuł swoje pierwsze opowiadanie zatytułowane *Wspomnienia z przewrotu w listopadzie 1918 roku*, którego pierwodruk ukazał się w „Dzienniku Cieszyńskim” 1920 nr 248. To *Wspomnienie* bywało publikowane także jako *Noc listopadowa* czy *Przewrót* w 1918 i w sumie było przedrukowywane siedem razy. Opis tych październikowych i listopadowych dni pojawił się także w drugim tomie *Wyrąbanego chodnika* w którym znalazła się szczegółowa relacja na temat wiecu poprzedzającego wydarzenia, streszczenia wystąpienia ks. Londzina i posła Tadeusza Regera i podniosła a zarazem buntowniczą atmosferę, odmalowaną z rozmachem, barwnie, malowniczo, z wielkim wzruszeniem.

Natomiast w książce esejistyczno-reportażowej *Ziemia Cieszyńska*, napisanej już po wojnie, ów epizod wplótł pisarz w barwny opis dziejów Śląska Cieszyńskiego.

Wprawdzie Zdzisław Hierowski wspomniane opowiadanie w posłowie do *Wyboru nowel* Morcinka pod tytułem *O twórczości Gustawa Morcinka* wydanych przez Wydawnictwo Literackie (1956) nazwał „literacko pretensjonalną i cikliwą nowelą (?)”, zupełnie nie dostrzegając jej poznawczych walorów, ale jak zwykle w ocenach Morcinka zbyt surowy i tym razem się pomylił. A może nie znalazł genezy utworu i dlatego nie mógł ocenić jego wartości, jako świadectwa historycznego?

W opowiadaniu można wyróżnić dwa ciągi fabularne. Pierwszy, miłosny, jeszcze w stylistyce bardzo młodopolskiej, to „romans telefoniczny” przeniknięty at-

mosferą poezji młodopolskiej, czytaniem wierszy Kazimierzy Zawistowskiej, Włodzimierza Perzyńskiego, Walta Whitmana, *Wiernej rzeki* Stefana Żeromskiego, a przede wszystkim *Nocy listopadowej* Stanisława Wyspiańskiego, wysoko cenionego i znanego na Śląsku. To wydaje się oczywiste, gdyż pisarz był pod wielkim urokiem Młodej Polski, popularnej na Śląsku i będącej najbliższą tradycją literacką.

Bohater opowiadania „jednoroczny” Henryk Zaręba, w którego postać wpisał Gustaw Morcinek fragmenty własnej biografii, poznaje w czasie któregoś z nocnych dyżurów telefonicznych Maniutkę, Marię Konieczną, telefonistkę z biura wojskowego w Krakowie (Militärkommando Krakau) a zarazem studentkę filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Ich rozmowy stają się z biegiem czasu coraz bardziej osobiste, potem zmieniają się w liryczny, miłosny dialog, inkrustowany tekstami literackimi. I Henryk i Maniuta mają nadzieję, że będzie już Polska „nie z tym hamletowskim Chłopickim, lecz prawdziwa, męska, pełna radosnego rozmachu noc listopadowa...” (s. 43). I istotnie jest im dane prze-

żyć ten podniosły, historyczny moment.

Wątek miłosny kończy się jednak tragicznie, bo dziewczyna umiera na gruźlicę, jak przystało na bohaterkę literacką w tamtym czasie.

* * *

Drugi temat ma charakter historyczny i faktograficzny, pokazuje dojrzewanie wybuchu patriotycznego w Cieszynie. Opiera się na powszechnie znanych wydarzeniach, o których była mowa już wcześniej: 19. października 1918 w Cieszynie powstała Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, na czele której stanęli ks. Józef Londzin, Tadeusz Reger i Jan Michejda. Dziewięć dni później na wielkim wiecu polskim w Cieszynie uznano Polaków za jedynych panów Cieszyńskiego, następnego dnia proklamowano w Pradze Republikę Czechosłowacką. Trzydziestego dnia tego miesiąca Rada Narodowa uroczystie objęła władzę w Cieszynie i ogłosiła przynależność do niepodległej Polski, kierując się w swych działaniach polityką faktów dokonanych.

W nocy z 31. na 1. listopada Polacy opanowali garnizon cieszyński i wywiesili w mieście polskie flagi. To wszystko bardzo dokładnie, a zarazem z wielką dynamiką i swoistym dramatyzmem opisuje Morcinek. A więc dochodzące z frontu coraz bardziej niepokojące wieści, wstrzymywanie i odwoływanie urlopów, nastroje buntownicze w garnizonach. Czytamy: „Był to mżysty dzień październikowy. Wracając z poczty do komendy stacyjnej, ujrzał na podwórzu koszarowym kilku oficerów i podoficerów, żywo coś oma-

wiąjących. Wszyscy mieli na czapkach czeskimi kokardkami omotane bączki. Po południu zaś napotkał oddział żołnierzy, złożony z Czechów śpiewających z przejęciem *Kde domov muj*" (s. 41). Dalej widzimy obradującą w Domu Narodowym Radę Narodową, która pertraktuje ze stale rozszalonym porucznikiem(?) J. Gemdtem, i pogotowie kompanii niemieckiej stacjonującej w Cieszynie. Dynamicznie i z rozmachem opisany został wspomniany powyżej wiec, odbywający się w Cieszynie 16. października: „Przyeszli górnicy zawzięci, tamci z Karwiny i od Dąbrowy, i z Łazów, ba, nawet od Ostrawy, chłop w chłopa jak pieron, o twardych pięściach, złotych sercach, a mocni w gębach, jak nie wiem co, a zapalczywi do bitki i rozeźleni aż strach Kto nie z ich bandy, niech się z daleka trzyma. Kości gotowi policzyć. Gdy jeden z drugim gdzieś z „Franciszki” czy „Gabrieli” znuarkuje, że komuś Polska niczym, że gotów lzy za Austrią polać – w zęby go wyrżnie i tyle będzie miał.

Przyszli i trzyńczenie. Chłopi na schwał, nie od parady. Chuderlawi z grubymi kijami w łapach. Groźnie pokrzykują i laskami tłuką o bruk cieszynski i raz wraz w dłonie ciężko poplują. Aż strach bierze. Od tych też bracie z daleka... Bo mają ci twardą łapę, jakby z żelaza. Niech tylko kto mruknie – dajmy na to – że na Polskę gwizdże, nieszczęsna jego godzina... Chryste Panie.

Przyszli za robotnikami i chłopi, dolanie, i tamci górale z Istebnej, i od Frydka, i zewsząd. Chłopi jak buki. Rzekłbyś – same Ondraszki” (s. 45).

Rozlegają się okrzyki „niech żyje Polska”, „Niech żyje polski Śląsk” i bardziej agresywnie, wojowniczo: „Polski chcemy i szlus!... Niech zdycho Austria!... Tak jest... Niech zdycho, dość się naszej krwi nacyckała... Do Polski chcemy należeć... (s. 45). W *Nocy Listopadowej* przemawiają podczas wiecu „Pater Londzin”, poseł Reger, ksiądz Ściskała i inni, a nad nimi powiewają sztandary polskie. W źródłach historycznych wymieniany jest Jan Mischejda, którego brak w opowiadaniu Morcinka.

W opisie momentu kulminacyjnego nie ma fikcji literackiej, są same fakty. Warto zestawić dwie wersje: literacką, Morcinka, i historyczną Klemensa Matusiaka, tego, który przejął dowództwo w Cieszynie.

Tak owe wydarzenie opisuje Morcinek: „Zaremba zerwał się od biurka, pobiegł do telefonu.

– Halo!... Halo!... – wola.

– Wer spricht? – odpowiada ostry, męski głos.

– Hier Stationskommando Teschen... Einjähriger Zareba.

– Hier Militärkommando Krakau... Wer sind Sie? Nationalität?

– Pole – rzucił wyzywająco Zareba w telefon.

– Dobrze – odpowiedział tamten po polsku. – Mówiła mi o panu panna Maria... telefonistka... proszę doręczyć bezwzględnie depezę, którą panu podam, najstarszemu oficerowi Polakowi w waszym garnizonie.

– Rozkaz!

– Najstarszy rangą oficer Polak ma natychmiast objąć dowództwo garnizonu

Cieszyn. Proszę powtórzyć! [...] Połączyl się z Domem Narodowym. Doniósł radośną, tam długo oczekiwaną wieść. Radość!... Radość!... (s. 51).

Pisarz oddał całą euforię, która ogarnęła miasto, „cud wyzwolenia”, poczucie siły i nadzieję na wolny, niepodległy byt. Ów porucznik Polak to właśnie był Klemens Matusiak, który w swych pamiętnikach zatytułowanych *Walki o Ziemię Cieszyńską w latach 1914-1920*. (Cieszyn 1930) bardzo dokładnie potwierdził literacką relację autora *Wyrąbanego chodnika*:

„Teraz popędziliśmy na zebranie oficerów do Domu Narodowego. Jeszcze nie wszyscy nadeszli, więc omawialiśmy ostatnie wypadki, przy czym wskazaliśmy, że dziś musi sprawa nasza zostać zdecydowana.

Rozmowę naszą przerwał prof. Bobek, który wpadł, jak bomba:

Matusiak, prędko do telefonu! Wylatuję. Hallo?

Tutaj jednoroczny Morcinek. Czy pan porucznik M?

Tak jest. Co tam takiego?

– Panie poruczniku. Teraz właśnie odebrałem z dowództwa w Krakowie następujący telefonogram:

„Brygadier Roja objął komendę wojskową w Krakowie. Brygadier Roja rozkazuje, aby najstarszy rangą oficer Polak w garnizonie tamtejszym objął natychmiast komendę. Pan generał Benigni do komendy wojskowej już nie wróci. Podpisano: Brygadier Roja.”

Co takiego? – krzyczę zdumiony. – Taką treść depezy. Proszę o dalsze rozkazy.

Sluchajcie kolego! Choćby was kto ze skóry darł, rozkazu mu nie dajcie, a już najmniej telefonem, bo może kto podłuszczyć. Czekać! Zaraz idziemy!

Jak to dobrze, że w porozumieniu z por. Figną, przy telefonie zawsze pełnił służbę Polak.

Wpadam w najwyższym podnieceniu na salę i zaznajamiam obecnych z treścią depezy z Krakowa. Gromkie „hurra” było odpowiedzią.

Czyście, koledzy, gotowi, bo nie można ani sekundy tracić? Rozumie się.

Kilku jeszcze brakowało, ale trudno. W jednej chwili następuje jednomyślna decyzja, że komendę garnizonu obejmuję ja, oraz przydział oficerów do pojedynczych kompanii. Oznaczam, że każda kompania, która zostanie opanowana, wysła natychmiast patrol z dwóch żołnierzy, ku komendzie placu, gdzie oczekiwać będą na raporty. Za chwilę wyleciało wszystko jak kamienie, rzucone z procy” (s. 112-113).

* * *

Ten wątek kończy się więc szczęśliwie. A jego konstrukcja potwierdza jeszcze raz opinię, że siłą Morcinkowego talentu nie była wyobraźnia, lecz dar wnikliwej i uważnej obserwacji otaczającego świata, ów zmysł, który pozwala w codziennej rzeczywistości dostrzegać cudowność życia i niezwykłość biegu dziejów. Nazwisko Morcinka pojawia się kilkakrotnie we wspomnieniach Matusiaka, zawsze w kontekście owego telefonu, który zdecydował o powrocie

Cieszyna do Polski. W jakimś momencie nawet Matusiak przywołuje Morcinkową *Noc listopadową* dla bardziej sugestywnego odtworzenia tamtego nastroju. Jest to zarazem potwierdzenie rzetelności tekstu literackiego.

O dużym szacunku dla szczegółów świadczą respektowanie faktycznej szarży Bolesława brygadiera Roja, awansowany został do stopnia generalskiego brygady i dowódcą brygady w Krakowie został dopiero 1 listopada 1918 dekretem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego, który potem zatwierdził Józef Piłsudski.

Wszystkie akta dokumentujące działalność pierwszej po odzyskaniu niepodległości polskiej władzy na Śląsku Cieszyńskim, a więc Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego 1918-1924, Rządu Krajowego Księstwa Cieszyńskiego 1920-1922 oraz Komisji Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego 1918-1922 znajdują się obecnie w Oddziale Archiwum Państwowego w Katowicach w Cieszynie.

O jednym tylko pisarzu w swoim utworze nie wspomniał, o własnym awansie. A Klemens Matusiak napisał:

„W komendzie stale odtań urzędowali oprócz mnie por. Figna i jednoroczny Morcinek. Za zasługi położone około przewrotu, jako komendant garnizonu, jeszcze od żadnej władzy wojskowej niezależny, mianowałem jednorocznego kaprala Morcinka i na wniosek por. Skrzypka, jednorocznego plutonowego Hellsteina chorążymi. Dowództwo wojskowe w Krakowie potem te nominacje zatwierdziło.” (s. 128-129)

Tak więc obie nominacje i chorążego i późniejszą porucznika na froncie bolszewickim otrzymał za konkretne działania, decydujące o przebiegu zdarzeń.

Tak chorąży Gustaw Morcinek, którego nazwisko kojarzy się przede wszystkim z *Wyrąbanym chodnikiem* wszedł do polskiej historii i literatury. Opowiadanie kończy się sceną przemarszu Pierwszego Batalionu Ziemi Cieszyńskiej przez miasto nad Olzą, słońce „strzępiło się na lufach w złociste drzazgi”, a słowa żołnierskiej piosenki „niech się Polska przysni tobie... płyną także w stronę Krakowa i dzielnej telefonistki, razem z którą jednoroczny Zareba śnił sen o wyzwoleniu.

* * *

„Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora” – mówi Wielki Książę Konstanty w *Nocy listopadowej* do Makrota, który odpowiada „Tak, teraz jest listopad, więc bacznie mamy słuchy. Jest to pora, jest to pora, gdy idą między żywych duchy”. Przed nami kolejny listopad.

Przypis zupełnie osobisty:

16 listopada 1918 roku generał brygady Franciszek Ksawery Latinek, dowódca Śląskiego Pułku Piechoty, przejął władzę w Cieszynie. Latinek był bratem mojej prababki ze strony matki, Bronisławy Latinik de Coboldo Gaudnikowej. W ten sposób w życie mojej rodziny wszedł Śląsk. Z Nowego Sącza na Śląsk Cieszyński, a potem dopiero do Katowic.

Jest to najbardziej optymistyczny film, jaki wyprodukowała polska kinematografia od czasów, bo ja wiem? – *Piątki z ulicy Barskiej* Aleksandra Forda z roku 1954. Tam grupa złodziejasków i nierobów wyrokiem ludowego sądu otrzymała kuratora w osobie murarza Wojciechowskiego, tutaj grupa bezdomnych z Dworca Centralnego, pod okiem trenera piłkarskiego przewartościowuje swoje życie. Makarenko się kłania ze swoim słynnym w demoludach *Poematem pedagogicznym*. O ile jednak film Forda według dydaktyczno-socrealistycznej powieści Koźniewskiego był nafaszerowany fałszem i propagandą, o tyle film Katarzyny Adamik z trudem dźwiga brzemień niczym niezachwianej wiary w dobrą stronę ludzkiej natury. Ale – zostawmy porównania.

Boisko bezdomnych (bardzo dobry tytuł!) jest drugim filmem Katarzyny Adamik (o pierwszym pt. *Szczek*, zrealizowanym w Ameryce, który nie był pokazywany w Polsce, ale było o nim dość głośno choćby z tej racji, iż Katarzynę (vel Kasię) Adamik zaliczono do nielicznej grupy stanowiącej „nadszanie amerykańskiego kina”. Jednak nie doprowadziło to do następnej produkcji amerykańskiej. Tak więc *Boisko bezdomnych* jest po kilku latach drugim pełnometrażowym filmem fabularnym Katarzyny Adamik. Pierwszym zaś zrealizowanym samodzielnie w Polsce. Bez dwóch zdań, reżyserka *Boiska bezdomnych* ma kino we krwi, po matce i ojcu, naturalnie, ale nie tylko. Czuje się, oglądając ten film, że Katarzyna Adamik należy do pokolenia, dla którego zrobienie filmu jest czymś powszednim, jak dla mojego, na przykład, jazda na rowerze. Co nie znaczy, że co drugi z nas mógł wziąć udział w Wyścigu Pokoju.

Tym filmem Katarzyna Adamik udo wodniła, że potrafi zrobić film. Pytanie tylko, czy jest zdolna zrobić film wyjątkowy? Tego jeszcze nie wiadomo. Owszem, *Boisko bezdomnych* gotów jestem uznać filmem potrzebnym, ale film potrzebny to trochę za mało. Potrzebnych filmów jest całe mnóstwo, lecz ile z nich zostaje w naszej pamięci? Czy pozostanie w mojej pamięci *Boisko bezdomnych*? Sam jestem tego ciekaw.

Film, wedle słów Katarzyny Adamik, zrodził się z notatki prasowej, na którą zwróciła uwagę Agnieszka Holland. Okazało się, że odbywają się na świecie piłkarskie mistrzostwa świata ludzi bezdomnych. Niecodzienna informacja! Wytrawny filmowiec, jakim jest mama Katarzyny Adamik, dostrzegła w niej ukryty potencjał na film współczesny. Córka podjęła wyzwanie.

I oto mamy Jacka Mroza, niedosłęgo reprezentanta Polski, którego karierę załamała się na samym początku. Siedemnastolatkowi złamano na boisku nogę. Wyobraźmy, że coś takiego przydarzyło się młodzieńkowi Włod-



Boisko bezdomnych

kowi Lubańskiemu! A więc punkt wyjścia wiarygodny. Ktoś taki będzie piełgnował w sobie ból niespełnienia. Przecież mógł zająć Bóg wie dokąd! A tymczasem uczy wuefu w podstawówce. Pije, rzecz jasna. Ma żonę i córkę, nastolatkę, która uwielbia tatę, mimo wszystko, a ona jest dla niego „słoneczkiem”. Jacek Mróz ma jakieś ciemne powiązania z PZPN. Ale wylamuje się z układu, za co spotyka go kara: zostaje skatowany przez „sportowców” i poniekąd „działaczy” – sami tak się mianują! Oto dlaczego trafia na Dworzec Centralny.

Tam wchodzi w świat meneli. W powieści, w filmie realizmu socjalistycznego podstawową zasadą była „typowość”. Mój Boże, nie do wiary, ale nie inaczej jest w *Boisku bezdomnych*! Bo kogóż mamy wśród meneli? Górnika, księdza-alkoholika, wariata z czarną tęczką – bylego polityka wie trzącego we wszystkim światowy spisek, samotnego grubasa, który wewnętrzzną pustkę postanowił zażreć, rosyjskiego kosmonautę, bylego bosmana, cherubinka-ćpuna. Trudno, zaiste, o lepszy przekrój społeczny. Dodajmy jeszcze Ojca-pijaka i jego syna (nastolatka), który przyjeżdża do ojca, pod wskazany adres, który wszakże nie jest adresem hotelu robotniczego, lecz legowiskiem-norą bezdomnych. Do tego towarzystwa trafi przypadkiem Sewka, dziewczyna podróżująca po świecie z kamerą (w drodze z Paryża do Moskwy), która gromadzi dokumentację do jakiegoś (jakiego?) reportażu. Tu trzeba podkreślić, że Jacek Mróz jest bardzo przystojny, może to nie Alain Delon, ale niedaleki od tego modelu.

POZA KADREM

Menela z nudów zabawiają się w kopanie piłki (jest to plastikowa głowa). W pewnym momencie owa piłka trafia do Jacka, który, jak ktoś, kto miał do czynienia z futbolem, reaguje, i to reaguje bezbłędnie, znaczy, że to piłkarz. Tak oto rodzi się coś, co niebawem będzie drużyną złożoną z bezdomnych. A Jacek Mróz jej trenerem. W ostatniej zaś chwili także napastnikiem. Krok po kroczku, doprowadzi tę drużynę do mistrzostw świata w Szwajcarii.

Czy to jest opowieść wiarygodna? Opowieść nie, natomiast same mistrzostwa, pewnie tak. Opowieść jest niewiarygodna, bo każdy kto grał w piłkę nożną wie, jakiego zdrowia wymaga ten sport. Nie wierzę, aby z tych ludzi, którzy głównie piją i palą, dało się zrobić piłkarzy. Jest to więc pewna filmowa nierzeczywistość, którą reżyserka (i scenarzysta Przemysław Nowakowski, wzięty dramaturg!) starają się podbudować realizmem, momentami z dobrym skutkiem. Na przykład pierwsze wejście zapuszczonych, niechlujnych meneli-piłkarzy na zapuszczony, zrujnowany Stadion Dziesięciolecia jest doskonale. Ale już gra w piłkę w głównej hali Dworca Centralnego, to zabawa w kino, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Po prostu tam nakręcono tę sekwencję. Nie sądzę, aby coś podobnego miało tam kiedykolwiek miejsce.

Wrażenie robią sami bohaterowie filmu, dobrze dobrani, ucharakteryzowani, ubrani, ale nie wszyscy aktorzy otrzymali dość materiału do grania. Miejsca puste ma na przykład Jacek Poniedziałek (ksiądz-alkoholik), nie wykorzystany Krzysztof Kiersznowski. Za dużo jest figur w tym filmie, nie starczyło czasu na przybliżenie ich widzowi. Stąd też pomysł filmu w filmie: Sewka nakręca minireportaże, w których prosto do kamery wypowiadają się członkowie drużyny bezdomnych. Czy mówią prawdę o sobie. Trochę tak, ale widać, że także grają, chcą dobrze wypaść, czegoś ich przecież telewizja nauczyła! Jednakże ów krajobraz ludzki jest mocną stroną filmu Katarzyny Adamik. Ludzie, ich twarze, także język, wulgarny, w ich świecie naturalny.

Gorzej z superoptymizmem! Każdy w tym filmie otrzymuje swoją szansę. Tak powinno być w życiu, zapewne, nikomu nie wolno odmawiać możliwości odrodzenia się, ale w filmie trzeba optymizm dawkować. Bo traci wartość z minuty na minutę. Scenarzyście i reżyserce chciałoby się powiedzieć: Nie wszystko w życiu kończy się dobrze. Niestety...

Z DARIUSZEM WALERJAŃSKIM, historykiem i kierownikiem
Międzynarodowego Ośrodka Badań i Dokumentacji Dziedzictwa Przemysłowego dla Turystyki,
rozmawia GRAŻYNA BEDNAREK



Foto: ARC

Dariusz Walerjański: „Zewidencjonowaliśmy już 160 obiektów z 40 krajów świata. Są to m.in. kopalnie, elektrownie, latarnie morskie, haldy, huty, elektrociepłownie”.

Dokąd zmierza turystyka przemysłowa?

Ożywić ducha

Dariusz Walerjański – historyk, muzealnik, społeczny opiekun zabytków, odznaczony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Złotą Odznaką za Opiekę nad Zabytkami, uhonorowany dyplomem uznania przez państwo Izrael za zasługi dla ochrony zabytków kultury żydowskiej w Polsce, wyróżniony dyplomem przez Marszałka Województwa Śląskiego za wkład w rozwój turystyki województwa śląskiego.

– W Międzynarodowym Ośrodku Badań i Dokumentacji Dziedzictwa Przemysłowego dla Turystyki, które swoją siedzibę ma przy Zabytkowej Kopalni Węgla Kamiennego Guido, powstaje baza danych o obiektach przemysłowych znajdujących się na Śląsku, w Polsce i na świecie. Nieprzypadkowo ośrodek, którym pan kieruje, ma swoją siedzibę w Zabrze, w zabytkowej kopalni.

– To prawda. Centrum powstało jako rezultat odbywających się w Zabrze od 2004 roku międzynarodowych konferencji poświęconych ratowaniu i wykorzystaniu zabytków poprzemysłowych dla celów turystycznych. Pomysł jego powstania zrodził się w kulaowych rozmowach kilku osób zajmujących się szeroko pojętą turystyką i ratowaniem zabytków. Następnie europejskie instytucje zajmujące się turystyką, doceniając to, co już zrobiło Zabrze w tej dziedzinie, zaproponowały miastu stworzenie takiego właśnie ośrodka. Również za tym przemawiały argumenty historyczne: pierwsza państwowa kopalnia założona w Zabrze w 1791 roku, istniejące od 1981 Muzeum Górnictwa Węglowego, a od lat 70. możliwość zwiedzania kopalni Zabrze-Zachód. Powstałe centrum będzie wyspecjalizowaną jednostką działającą na rzecz rozwoju produktu turystycznego w odniesieniu do dziedzictwa przemysłowego, ściśle współpracującą ze Światową Organizacją Turystyki w Madrycie. A tegoroczna, wrześniowa konferencja postawiła przysłowiową kropkę nad „i”. Podczas niej, w obecności m.in. sekretarza generalnego UNWTO Francesco Frangialli, podpisano porozumienie w sprawie utworzenia Międzynarodowego Ośrodka Badań i Dokumentacji Dziedzictwa Przemysłowego dla Turystyki.

– Czym się ośrodek będzie zajmował?

– Naszym celem jest stworzenie bazy danych o obiektach poprzemysłowych znajdujących się w Polsce i na świecie oraz ich promocja na rzecz turystyki. Innymi słowy, zajmujemy się ewidencją zabytków, które już istnieją i funkcjonują. Zaznaczam jednak, że nie wyręczamy w swojej pracy konserwatorów zabytków. A obszarem działań jest... cały świat. Od Zabrze po Chile, Australię, Amerykę, Afrykę czy Chiny. Zewidencjonowaliśmy już 160 obiektów



Foto: Zbigniew Sawicz

Już od wielu lat zabytkowa elektrownia dawnej kopalni „Saturn” w Czeladzi jest siedzibą Galerii Sztuki Współczesnej.

z 40 krajów świata. Są to m.in. kopalnie, elektrownie, latarnie morskie, hałdy, huty, elektrociepłownie. Przykładowo Muzeum Kapitołańskie w Rzymie powstało w dawnych pomieszczeniach elektrociepłowni, a w dawnej gazowni powstało w Atenach Centrum Kultury „Technopolis”. Na terenie Niemiec można udać się do miasta żelaza – miasta muzeum, miasta, które zbudowane jest głównie z pięciu ogromnych rozmiarów koparek i posiada swoją nazwę Ferropolis. Kto wybiera się do Syrii, może zwiedzić wciąż czynne i sprawne koła wodne z XIII wieku. Na Dominikanie, w Los Chupaderos, możemy zwiedzić kopalnię jedynie tam występującego rzadkiego błękitnego minerału larimar. W Wielkiej Brytanii w miejscowości Blackpool Piers możemy pospacerować najstarszym mołem w Europie, będącym pięknym przykładem inżynierii epoki wiktoriańskiej. Do tego mamy już ponad 40 kart szlaków turystycznych, jak szlak hałd w Belgii, polsko-ukraiński szlak naftowy czy najstarszych elektrowni wodnych.

– Skąd pan czerpie informacje na temat poprzemysłowych zabytków?

– Kiedyś powołanie takiego ośrodka oczywiście byłoby możliwe, ale praca, aczkolwiek dla wielu taka forma byłaby atrakcyjna, polegałaby głównie na częstych, wielokrotnych podróżach po świecie. Dziś, w dobie Internetu, wirtualnie docieramy bardzo szybko w interesujące nas miejsca.

Oprócz Internetu korzystamy także m.in. z publikacji z międzynarodowych konferencji, istniejących baz danych, wpisów do rejestru zabytków. Oczywiście bardzo bym się ucieszył, gdybym mógł zwiedzić i zobaczyć wszystkie te zabytki, które znajdą się na naszych kartach.

– Ośrodek ma się też zająć stworzeniem Światowej Listy Zabytków Poprzemysłowych dla Turystyki.

– Lista ta ma być wzorowana na istniejącej już liście UNESCO, ale ma być od niej niezależna. Na niej automatycznie znajdą się obiekty związane z dawnym przemysłem, jak np. kopalnie cyny w Kornwalii, kopalnia węgla Zolverein w Esen, system wodociągowy w Omanie czy kopalnia soli w Wieliczce – zabytki które już także doceniło UNESCO, wpisując je na swoją listę. Zabytki związane z techniką, przemysłem, które znajdą się na tej naszej liście, muszą posiadać znaczące wartości dla rozwoju techniki, muszą stanowić świadectwo tradycji i cywilizacji technicznej i – co najważniejsze – muszą mieć w sobie jak najwięcej autentyczności a jak najmniej współczesnych naleciałości związanych z rekonstrukcją. W celu ustalenia kryteriów wpisu obiektów na listę Centrum będzie współpracowało z Górnośląską Wyższą Szkołą Handlową w Katowicach, która będzie koordynować działania od strony naukowo-badawczej. Doradzać w tej sprawie będzie także powołana przy Centrum, 12-osobowa rada naukowa, której zada-



Galeria „Szyb Wilson” w Katowicach była pierwszym poprzemysłowym obiektem, w którym po dziś dzień odbywają się prezentacje artystyczne.

niem będzie m.in. zatwierdzanie kryteriów, zgodnie z którymi będziemy proponować wyselekcjonowane z naszej bazy zabytki mogące znaleźć się na tej liście. Wraz z całą dokumentacją nasze typy przekazujemy do rozpatrzenia i zatwierdzenia przez Organizację Turystyki, bo do niej należy ostateczna decyzja. Doprecyzowania wymaga także ustalenie, co jaki czas ośrodek będzie zgłaszał zabytki na listę. Jest to związane z przygotowaniem przez nas dokumentacji, wniosku uzasadnienia, a oprócz tego wymagana jest zgoda właściciela – czy zgadza się na umieszczenie zabytku na liście i przedstawienie przez niego planu inwestycyjnego na najbliższe 5-10 lat. Chcielibyśmy wiedzieć, jak dalej będzie się ten obiekt rozwijał. Potrzeba nam kilku lat, by stworzyć taką listę. Mam jednak nadzieję, że dzięki niej wzrośnie zainteresowanie danym miejscem, zabytkiem. Tym samym wzrośnie liczba turystów, a co za tym idzie zyski, które później mają przełożyć na jego utrzymanie.

– A co z obiektami poprzemysłowymi, które już doceniło UNESCO?

– I tu pojawia się pewien problem. Należy sobie zadać pytanie, czy mają one automatycznie przejść na powstającą Światową Listę Zabytków Poprzemysłowych dla Turystyki, czy należy je ponownie zweryfikować i ocenić zgodnie z ustaleniami rady nauko-

wej. To wymaga uzgodnień. Uważam, że powinna obowiązywać pierwsza opcja, a jeśli tak, to nasza nowo powstająca lista zwiększyłaby się o około 200 zabytków techniki – tyle jest na tej opracowanej przez UNESCO.

– Został wytyczony Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego. Czy to wystarczy, by zadowolić turystę?

– Około dwadzieścia lat temu w Europie pojawiło się specyficzne zainteresowanie zabytkami industrialnymi. W ten nurt wpisany jest i Śląsk, który ma bardzo wiele ciekawych miejsc, zabytków nie spotykanych w innych rejonach kraju. Powinny one na nowo ożyć i służyć społeczeństwu. Myślę nie tylko o ich zwiedzaniu, ale i organizowaniu na ich terenie, w ich ciekawych wnętrzach, wystaw i spotkań. To miejsca, które posiadają „genius loci” – ducha miejsca. On jest magnesem przyciągającym turystów, chcących zobaczyć coś ciekawego i innego. Właśnie tym celem służy powołany w 2006 roku Szlak Zabytków Techniki. To, czego jednak brak, to infrastruktury, tej całej otoczki wokół zabytków – zadbanego otoczenia, zaplecza usługowego z kawiarnią i niedrogim hotelem, drogowskazów, jak dojechać do danego miejsca, a także rzetelnych informacji o innych ciekawych miejscach w pobliżu. Ta zmiana, to kwestia czasu i pieniędzy. Jest jednak coś bardzo istotnego. To świadomość.

Ludziom nie kojarzy się, że takie rejony jak Śląsk przemysłowy można zwiedzać. Świadomość zwykłego mieszkańca, że maszyna, hala fabryczna, szyb kopalniana, browar, gazownia, huta, dworzec kolejowy, stalowy most, tunel, schron bojowy czy wieża ciśnienia może być zabytkiem. Pokutują tu wciąż jeszcze obecne stereotypy estetycznego patrzenia na te miejsca jako na współczesne i zabrudzone obiekty, które służą do pracy, a nie do podziwiania.

Co pozostaje? Trzeba tłumaczyć, przekonywać, edukować, że ta maszyna, która kiedyś pracowała w kopalni czy hucie, jest perełką techniki i należy ją chronić. Zresztą należy pamiętać, że cała nasza cywilizacja istnieje dzięki technice, która jest zawsze odzwierciedleniem pomysłowości i mocy twórczej tworzących ją ludzi. Ta zmiana świadomości dotyczy także mieszkańców naszego regionu. Chciałbym, by na obiekty poprzemysłowe spojrzeli inaczej, niż na miejsce pracy ich ojców i dziadków. Gdy to się zmieni, nikogo nie będzie dziwiło stwierdzenie, że ktoś postanowił spędzić urlop na Śląsku, podążając szlakiem zabytków techniki.

– A gdy wszystko zostanie już zrobione, to co dalej?

– W Europie zachodniej zainteresowanie zabytkami techniki nastąpiło dużo wcześniej. Zaczęto je chronić i nadawać im nowe funkcje. Myślę, że długo jeszcze potrwa zainteresowanie tego rodzaju zabytkami i turystyka industrialną, więc roboty przed nami sporo. Teraz to zainteresowanie wzrasta. Co będzie, gdy to wszystko zostanie już zrobione? Tym będą się już martwić moi następcy. Ja jestem tu po to, aby ten ośrodek funkcjonował, miał wytyczone cele, a wiedza, informacje w nim zgromadzone służyły wszystkim tym, którzy interesują się tego typu zabytkami i ich przetrwaniem poprzez turystykę. W naturze człowieka jest ciągle poszukiwanie nowego, szukanie nowych doznań i wrażeń. Po turystyce poprzemysłowej nastąpi turystyka kosmiczna. Na razie dotyczy to ludzi bardzo bogatych. Najtańszy bilet kosztuje 10 milionów dolarów. Na świecie są już organizowane konferencje poświęcone turystyce kosmicznej. Ale najważniejsze w tym wszystkim, to umieć patrzeć na otaczający nas świat tak, aby w jego teraźniejszości odnaleźć ślady przeszłości. ■

„My poeci
kuglarze słowa
zaklinacze świata
oddychamy ziemią i snem
oraz dzieciństwem
które w nas furkocze(...)

My poeci
ulubiency hippisowskiego Boga
dostajemy zielonego szalu
kiedy nas pytają
po co nam poezja”

– Przytoczyłam na wstępie cytaty z najbardziej znanego pani wiersza – mój ulubiony. To utwór, który się czuje, z treścią którego można się identyfikować, to tekst pod którym można się podpisać. Czy pani też uważa ten utwór za swój najważniejszy?

– Mam kilka utworów, które uważam za szczególnie ważne, z którymi się utożsamiam. Ten jednak jest mi szczególnie bliski, gdyż zawarłam w nim „sens bycia poetą”.

– Od jak dawna pisze pani wiersze i czy tylko wiersze?

– Wiersze zaczęłam pisać będąc w szóstej klasie szkoły podstawowej. Wtedy zaczęła się moja przygoda z poezją. Pasjonuje mnie również proza poetycka. Napisałam kilka opowiadań, które były drukowane w latach osiemdziesiątych w Formacji-biuletynie wydawanym przez KLUB EXODUS. Tam, w otoczeniu „prawdziwych poetów”, przyjeżdżających do nas na warsztaty przesyłam „literacką szkołę życia”.

– A jaka jest historia „Listów do rajów”?

– Trzy lata temu powstały „Listy do rajów” – proza poetycka w postaci listów Ewki do Adasia (mojego autorstwa) i Adasia do Ewki (autorstwa Stanisława Malinowskiego). W zeszłym roku na wiosnę studenci Uniwersytetu Śląskiego wystawili na scenie Domu Narodowego spektakl pod tym samym tytułem, będący wierną adaptacją naszego wspólnego „dzieła”.

Obiecano druk „Listów do rajów” w piśmie literackim „SZTUCK” wydawanym w Czeskim Cieszynie. Jest to pismo dwujęzyczne, w którym drukowane są wiersze autorów polskich po polsku, a czeskich po czesku.

– Czy praca w szkole ułatwia czy utrudnia bycie poetą?

– Praca z młodzieżą daje mi dużo satysfakcji i uczy pokory w chwilach, w których poecie łatwo byłoby zbłądzić. Dlatego ja poetka cenię sobie mnie-nauczycielkę.

– Czy szkolni poloniści nie są zazdrośni o tzw. „swoje podwórko” w sytuacji kiedy pani – nauczycielka biologii jest znaną poetką i – zajmuje się pisaniem scenariuszy szkolnych przedsięwzięć teatralnych, a następnie ich realizacją?

– W szkole przede wszystkim jestem nauczycielką biologii. Prowadzę też Teatr Profilaktyki ZDRUFKO, do którego piszę scenariusze poświęcone problemom młodzieży. Poloniści są moimi bardzo dobrymi koleżankami, prowadzą kółko teatralne i nie ma między nami żadnej rywalizacji.

– Należy pani do kilku grup – klubów – kręgów literackich. Która z tych grup jest dla pani najważniejsza?

– Obecnie moim „oczkiem w głowie” jest „NAWIAS”, jestem jego przewodniczącą. Drugim, bliskim sercu, stowarzyszeniem jest „Poethicon”. „NAWIAS” jest

Beata Kalińska – poetka, autorka tekstów piosenek, nauczycielka biologii w Gimnazjum nr 1 w Cieszynie, przewodnicząca Grupy Literackiej „NAWIAS”, członek Kola Cieszyńsko-Zaolziańskiego Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, członek Kręgu Przyjaciół Sztuki „Poethicon” oraz Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Katowicach. Autorka arkuszy poetyckich: „Chwilobranie”, „Znajdziesz mnie w wierszu” oraz tomiku poetyckiego „Sennik kobiecy”. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Uprawia prozę poetycką oraz pisze scenariusze dla szkolnego Teatru Profilaktyki „ZDRUFKO”, którego jest opiekunką.



Po co nam poezja

bardziej poukładany i grzeczny, „Poethicon” bardziej spontaniczny i nieprzewidywalny, wzajemnie świetnie się uzupełniają. Nauczycielski Klub Literacki w Katowicach cenię za profesjonalizm i możliwość drukowania utworów w wielu almanachach i antologiach.

– Podobno hymn „Poethiconu” jest pani autorstwa?

– Od czasu do czasu pisuję piosenki. Jedną z nich „Pokochajcie nas poetów” stała się hymnem „Poethiconu”. Muzykę skomponował lider zespołu Mariusz Śniegułski.

W ubiegłym roku zostałam poproszona przez dyrekcję Szkoły Podstawowej nr 1 w Cieszynie o napisanie hymnu z okazji stulecia szkoły. Hymn został odśpiewany w Cieszyńskim Teatrze.

– Jakież zadania realizuje obecnie Grupa Literacka „NAWIAS”?

– Największym naszym przedsięwzięciem jest ogólnopolski konkurs poetycki „O Złotą Wieżę Piastowską”, w tym roku to już ósma edycja. Organizujemy też biesiady poetyckie, na które zapraszamy twórców

z zaprzyjaźnionych klubów. Co miesiąc odbywają się wieczorki autorskie. Powoli zazwyczaj też przygotowujemy się do obchodów 1200-lecia Cieszyna, w 2010 roku.

– Czy ogólnopolski Konkurs „O Złotą Wieżę Piastowską” nie przysłonił pozostałych zadań programowych Grupy?

– Organizacja konkursu jest kosztowna. Sam Zarząd Oddziału ZNP w Cieszynie nie udźwignąłby tego finansowo, sponsoruje nam Zarząd Główny i Zarząd Okręgu oraz Urząd Miasta i Starostwo Powiatu. Ale i tak nie możemy już sobie pozwolić na tak częste publikacje, jak kiedyś. Ostatnią wydaną Złotą Wieżę jest antologia wierszy laureatów Złotej Wieży oraz członków „NAWIASU”.

– Czytałam, że Grupa „NAWIAS” wydała już dwadzieścia pozycji książkowych. Jakie są kryteria doboru autorów? Czy są to tylko almanachy pokonkursowe czy również tomiki indywidualne?

– Wśród pozycji wydanych przez „NAWIAS” są almanachy, antologie oraz indywidualne tomiki i arkusze poetyckie. Głównym kryterium doboru autorów jest zaangażowanie. W jubileuszowym 2010 roku, na który przypada dziesiąta edycja konkursu planujemy kolejną antologię, będącą pokłosiem Złotej Wieży.

Sporo osób z naszej grupy należy również do Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Katowicach, pod którego skrzydłami udaje nam się regularnie drukować swoje wiersze, „wysyłając je w świat”.

– Do Grupy „NAWIAS” należą nie tylko nauczyciele. Jakich wymaganiami należy spełniać aby być przyjętym?

– Trudno artystów dzielić na kategorie. Sama jestem nauczycielką, ale dlaczego nie ma należeć do Grupy ktoś, kto nie jest nauczycielem? Trzeba stawiać na twórcę, jego talent, osobowość. Jeśli grupy nauczycielskie przyciągają innych, to tylko można się cieszyć.

– W dobie Internetu grono znajomych może obejmować nie tylko ludzi z jednego miasta czy kraju. Są redakcje, których członkowie mieszkają w różnych krajach, a nawet na różnych kontynentach. Czy nie może być podobnie w przypadku grup literackich?

– Myślę, że w przypadku grup literackich, taki „korespondencyjny” system nie zdałby egzaminu. Może sprostałby zadaniu jakiś pojedynczy gość honorowy, ale nie wyobrażam sobie grupy, w której każdy członek mieszka w innym mieście, a co dopiero kraju, czy kontynencie. Opowiadam się za tradycyjnym funkcjonowaniem tego typu stowarzyszeń.

– Jakich są pani plany na najbliższą przyszłość?

– Marzy mi się tomik zatytułowany „JA – RZEKA”. Chciałabym też wystawić spektakl poetycki w oparciu o teksty młodzieży i dorosłych, takie zderzenie światów, pokazujące w efekcie, że każdy człowiek, bez względu na wiek marzy, kocha, boi się... że nie jesteśmy jak kosmici z odległych planet, bo łączą nas uczucia, emocje...

A gdyby się udało pojechać w czasie wakacji na Ogólnopolski Plener Literacko-Plastyczno-Fotograficzny dla Nauczycieli, a po drodze „zaliczyć” ze trzy konkursy poetyckie, to byłoby naprawdę super!

Rozmowę przeprowadziła:
JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

Góry zapłakały

Do ostatniego dnia, nim na dwa tygodnie przed śmiercią obezwładnił go udar mózgu, zaolziański poeta Jan Pyszko z Nawsia żył w otoczeniu rodzinnego krajobrazu, z którym się utożsamiał. Ta rozległa góralska wieś nieopodal Jabłonkowa, rozslawiona przez niezapomnianego Jurę spod gronia, rozpościera się w rozłożystej dolinie pomiędzy dominującymi szczytami – Kozubową i Stożkiem. Rzecz można domowymi górami, z których jedną przecina stygmatyczna dla zaolziańskich losów granica polsko-czeska.

Dla tego poety, którego jeden z najważniejszych zbiorów wierszy nosi tytuł „Potoki” miało zawsze znaczenie, że nazywany był Janem na Potokach, bo określenie to zawierało ważne znamię swojskości. Tak bywał tu nazywany nie bez uzasadnienia, jako że przydomowy ogród Jana Pyski schodził w stronę dudniącej bystrej wody i kończył się właśnie górskim potokiem, nad którym stała drewniana ława. I oto pewnego dnia przełamała się na pół ze starości. Lecz już Jan Pyszko nie zdążył znaleźć odpowiednio szerokiej deski, choć się do tego zabierał. Teraz zdarzenie to nabiera także innego, symbolicznego znaczenia, skoro Jan na Potokach już nigdy nie zejdzie do tej bystrej przydomowej wody, z którą wiódł poetyckie dyskursy a przeszedł w życiu wiele.

Zmarł 31 sierpnia o 1 w nocy w szpitalu w pobliskim Trzyńcu a zaledwie 17 dni dzieliło go od 83 urodzin. Od utraty przytomności pozostawał pod tlenem nim spełniło się to co nieuchronne. Cztery dni później zęgnaliśmy Jasia Pyszkę w ewangelickim kościele parafialnym w Nawsiu. Prosta jasna trumna stała przed ołtarzem na katafalku przy której czuwały żona Irena i trzy córki wstrząsane szlochem: Mirosława, Katarzyna i Sławomira. Dopiero tu podczas żałobnych modlitw i chóralnych śpiewów sławnego „Gorola” z Jabłonkowa i chóru parafialnego większość z nas dowiedziała się jak dramatyczny wątek kryło życie Jasia Pyski o czym najbliżsi też długo wiedzieli niewiele, bo unikał do końca zwierzeń na ten temat. To było niedotykane tabu Jana na Potokach.

Jego wielki osobisty dramat rozegrał się już pod koniec wojny gdy jak tyłu zaolziańskich Polaków został zagarnięty do Wehrmachtu. Wnet jako radziecki jeniec trafił do Oświęcimia. Po ucieczce z obozu, która się nie powiodła, znalazł się tam ponownie, skąd wywieziono go do Murzańska. Gdy po roku wróci na Zaolzie czeka go mozolna droga w ustaleniu swego miejsca w życiu. Ale nie zaraz będzie mu to dane. Zaolziańscy Polacy, którzy zostali wcieleni do Wehrmachtu - co to ma za znaczenie, że przymusowo - nie mają jednak prawa powrotu do domu, lecz muszą przejść przez obóz pracy. To był moralny i polityczny odwet władz czeskich na tutejszych Polakach, wtedy jeszcze stanowiących przewagę miejscowej ludności.

Jan Pyszko po przejściu przez tę upokarzającą kwarantannę, zgodnie z powołaniem wybiera zawód nauczyciela. Najpierw kończy Liceum Pedagogiczne w Cieszynie Bobrku (po polskiej stronie). Po kilku latach podejmuje studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bratysławie (1956-1991) gdzie kształcił się na kierunku matematyczno-fizycznym. Jest jeszcze nieświadomy, że wnet zawiadnie nim poezja, choć nie zaraz ujawni to, że pisze wiersze. W przyszłości okaże się także cenionym tłumaczem z języka słowackiego, lecz na co dzień jest rzetelnym nauczycielem fizyki i matematyki w polskich szkołach podstawowych w tym góralskim regionie: w Sałaj-



Foto: Wiesława Konopelska

ce, w Łomnej Górnej, w Bystrzycy, Nawsiu, Gnojniku i Jabłonkowie. Późno założył rodzinę, bo już po czterdziestce. Dozgonną towarzyszką życia będzie nauczycielka z jednej z polskich szkół, w której wówczas pracuje. Oboje będą dumni z trzech dorodnych córek, które zdobyły wykształcenie w polskich uniwersytetach.

Polski nauczyciel na Zaolziu to z reguły człowiek społecznej służby. I jest nim z wielkim oddaniem Jan Pyszko, który przez długie lata będzie się udzielał w Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym, pełniąc także funkcje kierownicze jako przewodniczący Komisji Teatralnej i Żywego Słowa oraz Sekcji Literacko-Artystycznej przy ZG PZKO. Pisze sztuki teatralne dla szkolnej sceny, reżyseruje z talentem przedstawienia w teatrach amatorskich, jednak w coraz większym stopniu o pozycji w życiu kulturalnym Zaolzia będzie decydowała poetycka twórczość Jana na Potokach.

Pierwsza książka ukaże się jednak późno, dopiero w roku 1968, choć już w latach sześćdziesiątych publikuje wiersze na łamach polskich pism na Zaolziu, a później także w czasopiśmie w Polsce. Lecz wnet nastanie czas prawdziwego wysypu poetyckich zbiorów, od wydanej w roku 1988 „Pękniętej pieczęci” po „Kamyki światła” z roku 2005. Można powtórzyć za profesorem Jackiem Kolbuszewskim, autorem sporego szkicu, że *Związana silnie z rodzinną ziemią Poezja Jana Pyski jest zarazem wyrażeniem związana z istotnymi tradycjami poezji polskiej zaolziańskiej, będąc tych tradycji kontynuatorką i odbijając w symbolicznym kształcie pewne zagadnienia (filozofia „Trwania”) dla niej istotne; nie jest jednak od tej tradycji zależna. Poezja Jana Pyski nie jest bowiem wierszowaniem „lokalnym” czy „regionalnym”. Oceniane (...) wiersze są po prostu wierszami polskiego poety z Potoków na Zaolziu, i są tyleż zaolziańskie, ile po prostu polskie (w sensie ogólnopolskim, ogólnym).*

W tych latach Jan Pyszko jako ceniony poeta bywa często zapraszany do Polski i go-

ści na różnych poetyckich imprezach w całym kraju. Kontaktom tym sprzyja ceniona Kawiarenka Pod Pegazem powołana przy Kole PZKO w Jabłonkowie, której był jednym z animatorów (w jej założeniu uczestniczył inny czołowy poeta zaolziański Wilhelm Przeczek). W latach 1989-2004 był to ważny adres literacki. W organizowanych tu regularnie spotkaniach uczestniczyli poeci polscy, czescy i słowaccy. Ja też miałem dwukrotnie okazję być gościem Kawiarenki Pod Pegazem, gdzie w pięknej, całej w drewnie sali, zjawiała się polska elita kulturalna nie tylko Jabłonkowa. W tym czasie, od roku 1992 Jan Pyszko był także aktywnym członkiem Koła Cieszyńsko-Zaolziańskiego Górnosląskiego Towarzystwa Literackiego. Wielokrotnie gościł w Katowicach; po raz ostatni z okazji 80. rocznicy urodzin, gdy został odznaczony odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Na zawsze zapamiętam tę chwilę gdy w momencie dekoracji do oczu Jasia nabiegły łzy. Także na wniosek GTL-u został uhonorowany w tym samym czasie nagrodą Marszałka Województwa Opolskiego, bo też kontakty literackie między Opolem a Zaolziem były od lat szczególnie żywe, z dużym udziałem Jana Pyski, który miał w środowisku opolskim oddanych przyjaciół.

Pożegnanie Jana na Potokach było rzewne i niespieszne. W kościele co raz ktoś dochodził do mikrofonu ustawionego z boku trumny, by przybliżyć postać i zasługi tego skromnego, wrażliwego, dyskretnego w sposobie bycia, na pozór kruchego człowieka, lecz niezawodnego w sytuacjach trudnych, gdy stawał się mężny. Duże wrażenie wywołał napisany z tej okazji pożegnalny wiersz Harrego Dudy z Opola. I ja też podszedłem do mikrofonu, by pożegnać Jasia w imieniu Zarządu Górnosląskiego Towarzystwa Literackiego. Jego odejście jest ogromną stratą dla zaolziańskiego środowiska literackiego, które wykrusza się z każdym rokiem. W latach ostatnich odeszli spośród wpisanych w krajobraz tych stron tak ważni poeci jak Władysław Mlynek, Gustaw Sajdok, Wilhelm Przeczek, teraz Jan Pyszko... Kto po nich podejmie pióro, czy znajdą się następcy wzdłuż brzegów Olzy, która stała się teraz rzeką wymierających poetów? To pytanie, na które nie ma dziś odpowiedzi, zadane na końcu.

Po wyprowadzeniu trumny przed kościół niebo pojaśniało. A zapowiadała się burza, gdy przekroczyliśmy granicę, zaś w drodze do Nawsia znad gór nasunęły się mroczne chmury i zaczął kropić deszcz, jakby góry zapłakały.

Na rozległym, pochyłym placu przed kościołem stał w grupkach ludzie by pożegnać Jana na Potokach przed ostatnią drogą. Nieopodal bramy zwracała uwagę stara parterowa szkoła z wysokim spadzistym dachem, która liczy 200 lat a miała od pokoleń szczególne zasługi w umacnianiu miejscowej polskości. I to też było w tej chwili ważne, wszak zęgnaliśmy wielkich zasług polskiego nauczyciela z Nawsia.

Zanim ustawiona w otwarty karawanie trumna z ciałem Jana Pyski wyruszyła w ostatnią drogę, z której na miejscowy cmentarz powróci umarł z jego prochami, zabrzmiały pieśni pożegnalne „Gorola”. Mocne, męskie głosy niesły się szeroko. Odszedł ktoś kto będzie tutaj żył w pamięci długo także przez słowa wierszy wpisane w ten domowy krajobraz gór wywoływanych po imieniu.

TADEUSZ KIJONKA

Bibliografia Jana Pyszki

(17.9.1925 Jabłonków
– 31.8.2008 Nawsie)

Poezja

„Pęknięta pieczęć” (1988),
„Potoki” (1993), „Słowa jak
kamienie” (1993), „Żarna”
(1998), „Puklá pečet’ polib-
ku / Pęknięta pieczęć poca-
lunku” (wybór, 1998), „Zie-
loną strzałą po...” (wybór,
2001, 2002, 2004), „Kamyki
światła” (2005).

Antologie

„Kawiarenka Pod Pegazem
1989-2002” (2002).

Przekłady

Dušan Mítana: „Patagonia”
(powieść w odcinkach, „Głos
Ludu” 1973-74), Jan Šmíd:
„Amái Dablang – Góra
i człowiek” (reportaż w od-
cinkach, „Głos Ludu” 1984),
Mikuláš Kočan: „Gorący
ziemniak, czyli Przypowieść
o Janosiku” (dramat, Scena
Polska TC 1987), Vlastimil
Kovalčik: „Klucz światła”
(poezja, 1998), Jiří Štyrch:
Brychta (komedia, 1999),
Karla Erbová: „Już nigdy po-
żarem mi płonąć” (poezja,
2003), Véra Ludíková:
„Pošli to dál / Pošlij to dalej”
(eseistyka, 2003, 2004,
2005).

Ważniejsze inscenizacje

Teatr szkolny: „Trzewiczki
szczęścia”, „Mały Chopin”,
„Książę i żebrak”, „Dzikie
łabędzie”, „Ondraszek”.

Teatr PZKO: „Karpaccy gó-
rale”, „Damy i huzary”,
„Wuj z Ameryki”, „Światło
na gróniach”, „Poszuki-
wania w chmurach”, „Uwa-
ga profesor”, „Chata za
wsią”.

HARRY DUDA

POŻEGNANIE JANA NA POTOKACH PYSZKI

Smutek pod Kozubową,
hej smutek!

Na Potokach pstrągi ciszy.

Dziś umarł, dziś umarł –

z ust do ust

podają

przyjazne kamienie,

gdy się mroczy

i mrokiem się pisze

Nawsie:

on, ona, ono było –

w pochodzie pokoleń

na ojcowiznie.

Smutek pod Kozubową,

hej smutek!

Pochowali się gdziesik

dawne chłopcy.

Lira porzucona w rowie –

kto wyśpiewa

święto

i serce gorola.

i jak kostur krzepki

z jałowca tej ziemi

i z tych, co śpiewali.

Na szczycie, w przecince

już mgła dymi

i schodzi

po zboczach

do twych okien.

To jesień, to jesień,

mrok schodzi i noc.

Śpij, Bracie, spokojnie

w kołysance Pana.

Niech ci się święci

w Twym kościele

śpiew żalobny

i pamiętający;

i w ludziach

pamięć.

31.08 – 3.09.2008

Odchodzi, co ma odejść –

z dawna i od nowa:

Jan sękaty i zgrzebny,



Rys. Wojtek Łuka

JAN PYSZKO

Ziemi rzeko

Co noc
jak wiara
jak żar
jak słowo
jak kamień zębatej historii

W słowie
w uwielbieniu
u korzeni rozdarta
z kwiatów rozstrzelana
w dobrym i złym
najbliższa

Wdzierasz się we mnie
jak piorun
jak skarga
jak radość
jak ból
jak ziarno

Jesteś ziarnem
które ni kruki
ni wrony
zadziobią

(Potoki 1991)

Gdziekolwiek

Jesteś

Dateś
moc poznania
miłości
wiary
nadziei kamienia i serca
pokory
gościńę mądrości

Gdziekolwiek
Twój krzak gorejący

Weź
ogrzej
na kość mrozem zwarzone
a
bliźni
bliźnim w nas się ostanie

Twojej mądrości
do końca
uczyc nam się trzeba

(Potoki '95; z tomu „Żarna” 1998)

Kościółek w Gutach

Jesteś jak szum wiosny
modrzewiowy
a my w tobie
jak beskidzka kantata żywicy

W korzeniach pochyłonych krzyży
coraz częstsza cisza

Broni się uparcie
niewzruszona Ewangelia tej ziemi
mowa ojczysta

(Potoki 1987)

Nad Olzą

Uwertura słońca
i dolina zielona
Od czarnej doli
modlitwa w skiby schodzi

Na Kamienitym
nie trafisz już na helokanie
na tablicę z elementarzem
Co swojskie
u obcych

Zabito obejścia
Smutota
po oczach
po sercu
Macierzankowe z bąkiem ubocza
teraz dzikie

Moje gronie
doliny
ciężko mi
kiedy do was z nowiną
idę

(Wigilia 1991)

Miasto

kasety domów
w pełni jesiennego słońca
wyspiewują najpiękniejszą melodię
dłoni

rytmicznie pulsują
skrzyżowania

„Przyjecholech spod Giyrowej –
wycie, panoczku.
Nie wycie, kaj tu bywo mój syn?
Tela tu wysokuchnych domów,
istoch zabłądził,
piernika kany...
No!”

rytmicznie pulsują
skrzyżowania

w lustrach okien
pobłyskują granie



Rys. Wojtek Łutka

Oczy gór

Patrzą

człowiek
strzecha

Ze
słonecznej świetlistości
wstaje
zwykły dobry dzień dłoni

Kalamarz mój
pełen snów
Solą
zraszane kamienie żywota

Od
światła
chleba
nocy
ziarna popiołów
dzień w dzień noc w noc
testament

przyrasta

(Potoki '94; z tomu „Żarna” 1998)

Wrastam

stotą kulą złotą
w obieg krwi
wrastam

modlitwy mleka pierwszego
nie wyrwiesz

rzeka
koryta w brzegach nie mieni
chyba zerwiżywołem

człowiek władny
z krwi odrasta

Konie znowu rżą

Pamięci gospodarzy
z Kurajki i Kalinowego

gospodarzu
konie rżą o żłób kopytami
biją

wychodziłeś skoro świt
koniom
siana owsa wody i w pole

modlitwa z pługiem chleba
w sercu muzyka ziarna
w ręku radość dobrej ziemi w górze
skowronki
wio!

potem
w pole wyszły inne konie
goniły łanami bez granic
ciężkie
bez serc
z terkotem kwaśnych dymów

śpiewny błękit jak dawniej
kolejne jutra zapowiadał

ty
też w pole
lecz innej teraz ojcowizny
orałeś
skiba po skibie pół wieku prawie
dołę rany piekącej z godnością
bez koników

gospodarzu
konie znowu rżą o żłób kopytami
biją

wiosna
wyszedełś –

konie
kopytami o żłób biją jak o nasze
głowy

pogrzebowe dzwony
(Potoki 16.06.1991)

Na ziemi ojców

Na ziemi ojców
zboża ze sporyszem rosną
Nie wystarczy oddzielić je od plew

Kujmy złote podkowy
Zwykłe
rdzewieją od krwi

Pegaz
Niech pola orze

(Potoki 1991)

Rzeźba

Jak te gronie
gorolsko frasobliwość

Błyskiem się uśmiechnie
słoneczkiem
zapłaczę
i
kamienistym ugorem ciurka

Ku dolinom
uporem smreka
kamieniem
jak opoka
trwa

Pełne godności jest niebo
góralskiej duszy

(Potoki 1991)

Kozubowa chłopska góra

Z wysokości
złote szalenstwo

Na szczycie
ostre pokosy światła
koszą ciemności
W kapliczce
Anna rosą oczy przeciera
Czuję ból

Nieustannie pod górę
kamień
Na kamieniach staje
słońce

Dzwon
jak dawniej
sercem o serca uderza

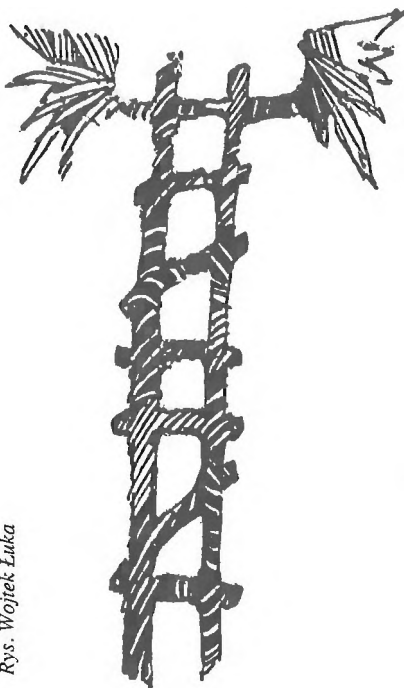
(Potoki 1991)

Skrzydła

lecą wysoko
lecz jeszcze wyżej mur człowieka
nowe
ciemniste tęsknoty do światła lecą

ich cień się wydłuża

(Potoki '85)



Rys. Wojtek Łuka

18 sierpnia [1950]
„Zdawało się takie
łatwe, gdy się o tym myślało”
Cesare Pavese

Rzemiosło życia
(w osiem dni po napisaniu tego
zdania, 38-letni pisarz popełnił
samobójstwo w pokoju
hotelowym w Turynie)

Słowo „samobójstwo” jest nieostre i nieprecyzyjne. Bo co znaczy formant „bójstwo”? Nic. To słowo powinno być zbudowane z dwóch członów. Pierwszy: SAMO, drugi: ZABÓJSTWO. Co daje: samozabójstwo. Jak w rosyjskim: samoubijstwo. Jasno i jednoznacznie brzmi to w języku czeskim: sebevražda, a więc: morderstwo na sobie, zabójstwo siebie, z pewnością wzorowane na niemieckim „Selbstmord”, Węgrzy również idąc za Niemcami ukuli swoje: öngyilkosság (ön – samo, gyilkosság – zabójstwo. W angielskim, a także w językach romańskich źródłem jest łacińskie „caedere”, stąd „the suicide, le suicide, el suicida – hiszp., suicidio – portug., co brzmi dość zagadkowo i nie ma bezpośredniego związku z rzeczownikami nazywanymi morderstwo, czy zabójstwo. Warto zauważyć, że wyraz *suicide* ma w języku angielskim historię względnie krótką. Rory O’Connor i Noel Sheehy, autorzy książki „*Zrozumieć samobójcę*” piszą, że „(...) jeszcze 250 lat temu, kiedy była mowa o samobójstwie, używano wyrażen w rodzaju morderstwo popełnione na sobie [self-slaughter], zabicie siebie [self-killing], zniszczenie siebie [self-distruction], a wszystkie one miały konotacje zachowania morderczego”. Najokrutniej brzmi *selfslaughter*, ponieważ słowo *slaughter* odnosi się w pierwszym rzędzie do uboju zwierząt, w znaczeniu przenośnym odpowiada polskiej jatce, rzezi, masakrze. „Suicide”, zbudowane, jak cała angielska terminologia medyczna na łacinie, myślenie o samobójstwie oddalało – powoli, lecz skutecznie – od nachalnych skojarzeń z rzeźnią, spowijając je mgłą tajemnicy. Dla człowieka wychowanego w kulturze anglosaskiej samobójstwo jako *suicide*, nie ma budzącego lęk, czy sprzeciw, osadzenia w języku potocznym, w morderstwie, w zabójstwie, w zbrodni. Znaczy, co znaczy, ale nie ewokuje obrazu, powiedzmy, osoby, która własną ręką podrzyna sobie gardło. W języku niemieckim na pierwszy plan wybija się, naturalnie, „der Selbstmord”, ale Jean Améry, autor studium o samobójstwie, człowiek, który odebrał sobie życie, unika w swojej książce słowa „der Selbstmord”. Na tytuł książki wybrał nieco archaiczne, wielosłowne, choć sugestywne: „Hand an sich legen”, co najlepiej oddaje polskie: zamachnąć się na siebie, ponieważ w owym zamachnięciu się jest obecna niemiecka ręka (die Hand), lecz językowo bardziej dopracowane jest polskie: „targnąć się na własne życie”. Améry nawet w podtytule, objaśniającym przedmiot studium nie korzysta ze słowa „Selbstmord”: „Diskurs über den Freitod”, zatem: rozprawa o śmierci dobrowolnej.



Edward Munch, „Kryk”

Wygności z życia

FELIKS
NETZ

Dystansowanie się od rzeczownika „Selbstmord” jest zrozumiałe, jeśli założyć, że w akcie samobójczym nie ma czynu zbrodniczego, że nie jest ani morderstwem, ani zabójstwem. Że jest wyrazem wolnej woli człowieka najgłębiej walego w swoich wyborach, postanowieniach i czynach. Artur Schopenhauer w eseju o samobójstwie, pyta: „Kto nie miał znajomego, przyjaciela, krewnego, który dobrowolnie rozstał się z tym światem?”

Z mojego życia przywołam trzy śmierci samobójcze, jedną z lat młodości, drugą z wieku dojrzałego (miałem wtedy trzydzieści pięć lat, tyleż miał mój przyjaciel-samobójca), trzecią o trzy dekady późniejszą, gdy mój przyjaciel i ja coraz częściej rozmawialiśmy o bliskiej, coraz bliższej, wreszcie „naszej” starości.

Jurek B. – mój kolega z liceum im. Wilhelma Piecka w Katowicach, do którego mnie przyjęto po przeprowadzce z Lubania, po lekcji języka niemieckiego, podszedł do mnie kręcąc głową: „Zebym to ja znalazł tak niemiecki jak ty! Stale mam lufę!” Siedemnastolatek, wysoki, zgrabny, o urzekającym uśmiechu. Syn reżyserki i to wcale nie ostatnie! Bez przygotowania stanął do egzaminów w krakowskiej PWST na Wydział Aktorski. Do-

szedł do trzeciego etapu, na który się nie zgłosił. Jeszcze dwa lata wojska., Jeszcze trzy lata jako model. Miał dwadzieścia sześć lat, gdy powiesił się w swoim mieszkaniu, które kupiła mu mama, gdy opuszczała Śląsk, aby święcić tryumfy na Wybrzeżu. Miał mieszkanie, własne M-3 w centrum Katowic, gdy my, jego rówieśnicy siedzieliśmy jeszcze przy rodzicach, albo wynajmowaliśmy tańsze pokoiki. Powiesił się na kłamce. Klepsydrę w jednym egzemplarzu wykaligrafował Jerzego i mój przyjaciel, Henryk Waniek. Jakże mu zazdrościłem, gdy zaprosił mnie do domu, wkrótce po tym jak podszedł do mnie po lekcji języka niemieckiego. Ja plebejusz po czubek głowy w tym mieszkaniu, wśród tych ludzi! Ta mama! Piękna, w wielkich jak spodki okularach. Babcia, matrona. Jacys panowie, artyści, śpiewacy, aktorzy. Wódeczka. Jerzy dopuszczany do kieliszka! Rozmowy. Pierwszy raz słyszę słowo Katyń. Pierwszy raz w życiu słyszę słowa „kwiat polskiego oficerstwa”. Jest październik roku 1956.

W dziewięć lat później nie opuścił swojego mieszkania. Twarz miał szczeniłą, gdy go znalazłem. Od kilku dni wisiał na kłamce. Kilka dni wcześniej, może tygodni, dwa lub trzy, nie więcej, spotkałem Jerzego na ulicy Kościuszki. Wieczorem. Stał, wpatrywał się w neon uformowany w słowo PIWO. Plus kufel z pianą. Pożalił mi się (nie był ani trzeźwy, ani pijany), że setki, a może i tysiące razy widział ten neon. „Ileż można?” – powiedział z dziecięcą pretensją w głosie. Nigdy więcej go nie spotkałem.

Ileż można?

Czy w tym pytaniu rozkaprzonego złotego młodzieńca, który na pierwszy rzut oka robił wrażenie pieszczochy losu, zawiąra się ów „trud”, o którym mówi Albert Camus w owej słynnej frazie z Mitu Syzyfa: „Jest tylko jeden problem filozoficzny prawdziwie poważny: samobójstwo. Orzec, czy życie jest, czy nie jest warte trudu (podkreślenie moje – FN), by je przeżyć, to odpowiedzieć na fundamentalne pytanie filozofii”. Nie ma książki traktującej o zagadnieniu samobójstwa, w której nie byłoby tej frazy, czy to w postaci kluczowego cytatu, czy motta poprzedzającego studium, esej, czy rozprawę. Mówię, naturalnie o książkach, jakie napisałem „po Camusie”.

Rysiek P., Ślązak z kwi i kości, z małej górniczej osady pod Rybnikiem, poeta – zdążył wydać arkusz poetycki – między miękkimi okładkami kilkanaście wierszy – świadectwo jego tułuszej obecności. Śpiewał barytonem, świetnie mówił poezje. Dzwonił do mnie na kilka godzin przed śmiercią, ze stacji kolejowej, na której znalazł się nie wiadomo dlaczego, w skutek tylko jemu znanego rozkładu jazdy. Nie mogłem mu pomóc, zadzwonił do mnie w czasie, gdy sam potrzebowałem pomocy, zresztą nikt nikomu nie może pomóc. Parę zdań, parę razy powtórzono słowo „kropka”, na pewno powiedział: „kropka nad i”. Wszystko

było miazgą poza kawałkiem prawej dłoni z obrączką na serdecznym palcu. Dzięki tej obrączce udało się ustalić tożsamość ofiary. Nie każdy, kto ginie pod kołami pociągu, jest samobójcą. Eks-małżonka obstawała przy wypadku. „Rysiek był pijany, wpadł pod pociąg”. Ja wiem, że rzucił się pod pociąg.

Andrzej K., góral, który tuż po wojnie przyjął nazwisko matki, adoptowany przez wujka, aby zatrzeć ślady po ojcu, prawej rękę Wacława Krzeptowskiego, twórcy tzw. „Goralenvolku”. Całe życie kluczył, zacierał jakieś ślady. Próbował studiować w Krakowie, potem w Katowicach, z Ryśkiem P. i ze mną w jednej grupie, po studiach został w Katowicach, potem pracował w Szczecinie, potem w Kielcach, w Nowym Sączu, w Piwnicznej.

W młodości piękny blondyn o kręconych włosach, niebieskooki, wysportowany, świetnie biegający. Przed kilku laty, w upalny dzień, leżał w łóżku na tarasie swojego domu w R., z Popradem na wyciągnięcie ręki. Widziano go jak nagle wstał i z tarasu wszedł do salonu. Stamtąd, jak się okazało, zszedł do piwnicy, gdzie powiesił się, nie pozostawiając żadnego listu, zdania, słowa.

Myślę o moich trzech przyjaciółkach. Co chcieli powiedzieć wykonując ów gest, gest samobójstwa? Że piekło, wedle ich i moich wyobrażeń, jest niczym wobec piekła, jakie nosili w sobie? Podobnie jak owa amerykańska nastolatka, jedna z licznych bohaterki książki „Why Suicide?” Jerry’ego Johnstona, która w liście do przyjaciela, napisanym przed samobójczą śmiercią, mówi: „I don’t want to die, but I don’t think hell could be any worse than what I’m going through now”. W każdej pracy o samobójstwie można przeczytać zdania o wyczerpaniu energii niezbędnej, aby żyć. O niemożliwości do zniesienia powtarzalności powszednich zachowań, zatrudnień, frazesów. O jałowości i daremności codziennej krzątania. O cierpieniu, które unieważnia jakikolwiek powód, dla którego warto co rano podjąć wysiłek owej krzątania. O cierpieniu, które najczęściej, być może zawsze jest przyczyną niepodważalną. Inne powody można domniemywać. Na cierpienie można wskazać bez ryzyka błędów.

I o kimś takim, pyta Schopenhauer, „mielibyśmy myśleć z odrazą, jak o przestępcy?”

Gdy piszę te słowa media przynoszą wstrząsającą wiadomość o potrójnym dzieciobójstwie zakończonym samobójstwem, co miało miejsce przed paroma dniami w Kutnie. Dzieciobójca powiesił się na kłance, jak mój młody druh, Jerzy B. Nie mogę nie zatrzymać się na tym przynębiającym zdarzeniu. Nie mogę nie podjąć próby zrozumienia samobójcy z Kutna, którego na dwie godziny przed straszliwym dziełem zniszczenia odwiedziła (na telefoniczną prośbę jego żony) najbliższa sąsiadka. Odwiedziny były w gruncie rzeczy próbą sprawdzenia, co TAM się dzieje. Pan domu był normalny, wedle opinii sąsiadki, cokolwiek to słowo „normalny” znaczy. Najmłodszy synek już spał, dwaj starsi byli zajęci grą na komputerze. W dwie godziny później taż sama sąsiadka już nie mogła sprawdzić, co TAM się dzieje. Wezwała policję. Rezultat wstępnego oglądu: dwaj starsi chłopcy zadźgani nożem, martwi; najmłodszy także martwy, lecz bez oznak pobicia, bez ran klutych. Ojciec popełnił samobójstwo. Co się stało w ciągu tych dwóch godzin? Dlaczego matka i żona nalegała, by sąsiadka sprawdziła, co się TAM dzieje?! Czy człowiek ów, który wyganiając z życia siebie, wygnał także trzech swoich synów, był ofiarą tak potężnego przyływu depresji, że tylko nagła i natychmiastowa śmierć mogła przynieść mu ulgę? Pisze An-

drew Solomon w dziele „Anatomia depresji. Demon w środku dnia”: „W depresji wielu chorych chce umrzeć, chce zmienić swój stan, chce się uwolnić od udręki, jaką zadaje im świadomość”. Ale czy to wystarczy, aby zabić siebie, wprawdzie zabijając trzech własnych synów? Może w takim człowieku musi zaciąć się gotowość do przemocy. Solomon: „Żeby je [samobójstwo] popełnić, trzeba sporo siły, nieugiętej woli, przekonania, że obecna ciężka sytuacja jest trwała, oraz przynajmniej odrobiny impulsywności”.

Jak zakwalifikować czyn nieszczęśliwego z Kutna?

W której grupie, zgodnie z teorią samobójstwa wg Emila Durkheima, umieścić jego czyn? Czy było samobójstwo egoistyczne, czy raczej altruistyczne, czy też anomiczne, a może to, co stało się w czterech ścianach mieszkania w Kutnie było samobójstwem fatalistycznym? Przychyłam się do czwartej możliwości, bo kiedy człowiek popełnia samobójstwo fatalistyczne? Gdy traci grunt pod nogami, gdy z ręki wypada mu jakiś niezbędny do utrzymania kierunku kompas, słowem, gdy spada na niego – dojrzwac może stopniowo, może nad nim, czy wokół jego głowy krążyć czas długi, lecz spada nagle, całym ciężarem zwałującego się na niego wszechświata pewność, że stracił panowanie nad swoim losem. Cokolwiek uczyni, uczyni na próżno, niczego nie odmieni; ten stan, który go zmiażdżył, nie ustąpi, jest bowiem trwały. Ale najważniejsze pytanie: co do tego stanu doprowadziło, pytanie pospolite, domaga się równie zwyczajnej odpowiedzi. Fatum, tak, ale kto uwolnił sprężynę owego fatumu?

Dzieciobójca i samobójca w jednej osobie, zostawił list, którego treści policja nie chce ujawnić, lecz robi to drogą pośrednią. Poproszony o komentarz, największy w Polsce autorytet w dziedzinie suicydologii, Bruno Holyst, autor fundamentalnej pracy „Samobójstwo – przypadek czy konieczność”, powiedział (w radiu), że to potrójne zabójstwo i samobójstwo mogło być rodzajem zemsty na niewiernej żonie, a wiadomo już od niej, że w rozmowie telefonicznej, uprzedził ją, że odbierze jej coś najcenniejszego. A więc to już wtedy zapadła w nim decyzja: zabić dzieci! Bo zabijając dzieci, w pewnym sensie zabija ich matkę, swoją niewierną żonę. A cóż by tu dała jego samobójcza śmierć? Pomogłaby żonie rozwiązać trudny życiowy problem. Myśl o zabiciu dzieci, myśl wywieńczona z głębin depresji, dodała mu sił. Świadomość, że cierpienie matki zabitych przezeń dzieci, nigdy się nie wyczerpie, że zdrada wobec niego, jakiej się dopuściła, stanie się jej grobem, że odpowiedzialność za tę zbrodnię spłynie z czasem z jego martwych rąk na ramiona jej kochanka, co ostatecznie unicestwi ich szczęście. A jej życie zamieni w nieustający koszmar, i będzie umierała z widokiem zamordowanych synków – z jej winy, z winy jej zdrady! – tak pewnie myślał ów człowiek na godzinę, kwadrans przed wejściem w rolę, jakiej nigdy dla siebie nie przewidywał.

Samobójstwo w tym przypadku było gestem nieuchronnym, koniecznym, było konsekwencją, nie sprawą centralną. Lecz było samobójstwem fatalistycznym w rozumieniu durkheimowskim, ponieważ w tym momencie życia człowieka z Kutna, nie było takiej siły, która mogła by to życie uregulować. Prócz siły fatalnej, która wykonała swoje zadanie.

Pytanie o samobójstwo jest także pytaniem o tę chwilę przed; czy jest to chwila

wielkiej jasności, czy też wielkiego zaciemnienia. Dokonuje się wybór, i jest to wybór ostateczny. Zdaniem A. Alvarez (The Savage God): „*However impulsive the action and confused the motives, the moment when a man finally decides to take his own life he achieves a certain temporary clarity*”, czyli niezależnie od tego jak impulsywny byłby sam czyn, jak pogmatwane byłyby motywy, w momencie, kiedy człowiek decyduje się odebrać sobie życie, osiąga stan chwilowej jasności. Są to słowa wiarygodne, ponieważ Alvarez usiłował popełnić samobójstwo, i jego nieocenione dzieło „The Savage God” przenika na wskroś to osobiste, nieporównywalne z niczym, niepodobne do żadnego innego doświadczenie. Alvarez nie tyle powrócił „z tej krainy, z której nikt nie wraca”, co został zawrócony na ostatnim odcinku drogi. Wziąwszy pod uwagę zamiar i cel, ku któremu zmierzzał, udało się: umarł. Twarz miał siną, puls nieregularny oddech słaby. *The doctor gave me up*. Mówiący kolokwialnie: lekarze go sobie odpuścili. *I had gone to the edge and most of the way over*, czyli: dotarł do krawędzi i prawie przeszedł na drugą stronę.

Z jaką nauką, z jaką wiedzą powrócił? Że nie mają racji katolicy ni muzułmanie nazywając samobójstwo „the most deadly of mortal sins” (najcięższym z grzechów śmiertelnych), że jego istota znajduje się poza „social or psychic prophylaxis” (profilaktyką społeczną i psychiczną), „as it is Beyond morality” (jak i moralnością), że jest dostępną człowiekowi reakcją na napięcia i „*natural necessities we sometimes create for ourselves*” (na ciasne, nienaturalne konieczności, jakie czasem sami sobie stwarzamy). Że wreszcie tam, dokąd się był wybrał, nie znalazł odpowiedzi na dręczące człowieka pytania. Bo czyż odpowiedzią byłaby, gdy go nie zawrócono, śmierć?

Śmierć z własnej ręki, jest jedynym, dostępnym człowiekowi, doświadczeniem nieograniczonej wolności. Jedynym terytorium jego, nie podzielonej z nikim, własności. Człowiek, tak zachłanny na wolność i własność miałby z niej zrezygnować? Nie zrezygnuje nigdy, to pewne. Niezależnie od tego, co o *samo-zabójstwie* mówią Platon i Szekspir, Kirgęgard i Dostojewski. Niezależnie od tego, ile rozdziałów swej wielkiej książki „The Enigma of Suicide”, George Howe Colt poświęciłby zapobieganiu. Niezależnie od rzetelności i sumienności, a nawet rozważli i powagi niezliczonej rzeszy socjologów badających społeczne uwarunkowania aktu samobójczej śmierci (pamiętajmy, że wielkie dzieło Durkheima ma podtytuł „studium z socjologii”), „*jeder stirbt für sich allein*” – jak mówi Hans Fallada: każdy umiera sam (dla siebie). Pokusa dobrowolnej śmierci nigdy nie da się usunąć z najtajniejszych pragnień człowieka, który bardzo często nie chce usłuchać przestrogi Szekspira:

„*Then is it sin*

„*To rush into the secret house of death*”.

Jest bowiem grzechem spieszyć się do tajemniczego domu śmierci. Stąd też ostateczne zdanie, jakie po długim życiu, a na kilka dni przed śmiercią z własnej ręki zapisał w swoim dzienniku Sándor Márai:

„*Várom a behívót, nem sürgetem, de nem is halogatom. Itt az ideje*

[*Czekam na wezwanie, nie ponaglam ale i nie odwołam. Już czas.*]

(Tekst pochodzi z tomu esejów pt. **ĆWICZENIA Z WYGNANIA**, wydanego przez Instytut Mikołowski.)

ELŻBIETA BORKOWSKA
ANIELA JONDERKO

Wypadek

*Ja sobie wybrałem za obronę
Babkę Chrysta Pana, świętą*

Annę,

*Ja onej oddaję duszę, ciało,
One chcę miłować, jak przystało;
Niech się, co chce ze mną dzieje,
W Tobie, święta Anno, mam
nadzieję.*

Słowa tej pieśni od dawien dawna rozbrzmiewają na Górze św. Anny, zwanej też perłą Śląska, górą ufnej modlitwy i śląską Jerozolimą. W roku 1980, podczas obchodów 500-lecia istnienia sanktuarium, kościół otrzymał rangę papieskiej bazyliki.

Króluje tam Matka Maryi i Babka Jezusa w towarzystwie dwóch osób. Św. Anna „Samotrzecia”, czyli jedna z trzech, stanowi dla mieszkańców Śląska symbol cennionych tu nade wszystko tradycji i więzi rodzinnych. Kryjący relikwie posążek (55 cm wysokości) z lipowego drewna, подарowany przez baronową Annę Mariannę Kochecką z Ujazdu, pochodzi z drugiej połowy XV w. Rzeźba wkrótce zasłynęła licznymi łaskami i cudami, a sanktuarium stało się celem pielgrzymek tysięcy pątników.

Nawet zniknięcie w zagadkowych okolicznościach relikwii, w drugiej połowie XVIII w., które zastąpiono innymi za zgodą biskupa wrocławskiego, tego nie zmieniło. W 1983 r. przybyło tu milion pielgrzymów, by uczestniczyć w nieszporach pod przewodnictwem najsłynniejszego pielgrzyma, Jana Pawła II.

Ciupaga dla syna

Mieszkańcy Ostropy, jednej z dzielnic Gliwic, są szczególnie związani z tym miejscem kultu, po-

przez nawiedzanie go od dziesiątków lat. Pielgrzymują, ponieważ każda pielgrzymka jest wyjątkowa, każdą przeżywa się na swój sposób, obojętnie, czy jedzie się jako ministrant, marianka, górnik, czy zwykły pątnik. W 2005 roku, gdy franciszkanie przyjmowali w poczet zasłużonych dla sanktuarium kilku duchownych, był wśród nich nieżyjący już, emerytowany proboszcz z Ostropy, ks. Ryszard Salańczyk. Podczas tego rocznych uroczystości odpustowych ojciec gwardian szczególnie słowa powitania skierował do 400-osobowej grupy z tamtejszej parafii. Najpierw msza św., po posiłku uroczyste nieszpory i modlitwa różańcowa, która jednak nie była jeszcze zakończeniem pielgrzymki. Jeszcze jedno miejsce czekało na ostropian – Raszowa. Tam słowa dawnej pieśni, wspomnianej na początku, nabrały dosłownego znaczenia i przypomniały o pielgrzymce sprzed pięćdziesięciu lat, która religijne więzy Ostropy z Górą św. Anny, umocniła krwią oraz cierpieniem.

Po pół wieku, dzięki żyjącym jeszcze uczestnikom oraz świadkom, którzy zechcieli podzielić się swymi tragicznymi wspomnieniami, udało się w dużej mierze odtworzyć przebieg jej drogi powrotnej. Na wyjazd 27 lipca 1958 r., organizowany przez Kongregację Mariańską, zapisało się tylu chętnych, że nie wystarczył jeden autobus, by ich pomieścić. Z trudem załatwiono drugi pojazd – ciężarówkę z gliwickiego przedsiębiorstwa warzywno-owocowego. Pani Róża Gilner, która pojechała ze swoim mężem motorem, przypomina sobie trzy osoby, z którymi rozmawiała wówczas na Rajskim Placu przed wejściem do bazyliki. Była to pani Głagła w ostropejskim stroju z torbą pełną pierników, na które czekała w domu szóstka dzieci. Drugą osobą była koleżanka ze

szkoły, Róża Szombierska, zadowolona i uśmiechnięta, bo kupiła dla czteroletniego synka ciupagę. Podobnie pani Paletta, która cieszyła się, że przed wyjazdem zdążyła upiec synowi na osiemnaste urodziny placek, by mógł zaprosić kolegów.

„Lecieliśmy jak ziarno”

Pierwszy wyruszył w powrotną drogę autokar, za nim ciężarówka marki star 20, na której mogło zmieścić się blisko 40 osób. W Ostropie już przygotowywano się na ich powrót, formowała się procesja z krzyżem i sztandarami. Ks. proboszcz Adrian Pilot czekał na przybycie wszystkich pątników, ale kiedy ciężarówka długo nie nadjeżdżała, postanowił, że każda grupa zostanie przywitana oddzielnie. Szczególnie martwiła się matka dziewiętnastoletniej Hildegardy Święty, nie pozwoliła przecieź córce na ten wyjazd, ale ona się uparła. Obraz biegnącej dziewczyny w sukience w białoczerwone paski i niebieskim sweterku, bo zasnęła, utrwalił się w pamięci jej siostry Stefanii Mika. Jednak dla wielu jadących starem, powrotna droga nie była drogą do domu rodzinnego lecz drogą do „Domu Ojca”,

Żyjąca do dziś pani Wanda Jasnay, siedziała za szoferem, tyłem do kierunku jazdy, widziała wszystkich przed sobą, kobiety rozmawiające w grupkach, mężczyźni na tylniej klapie: Waltera Magierę i dwójkę przypadkowych podróżnych, jeden z nich stał na burcie i spoglądał ponad plandeką na drogę. Kiedy ktoś zauważył, że kierowca jedzie zbyt szybko, młodziutka Hilda zażartowała – „Prosto zajademy do góry, do nieba”. Było kilkanaście minut po 17, pątnicy śpiewali „Święta

Anno zegnam Cię". W pewnym momencie pani Jasny usłyszała gwizd pociągu, to był ułamek sekundy, równocześnie spostrzegła, że Walter Magiera dziwnie rozkłada ręce i skacze. Zdążyła tylko pomyśleć – Co on robi? – i nastąpiło silne uderzenie.

Na niestrzeżonym przejeździe kolejowym w Łąkach Kozielskich, na granicy z Raszową o godz. 17.21 pociąg staranował ciężarówkę. Kabina kierowcy, który nie zatrzymał się przed znakiem Stop, nic nie ucierpiała, jednak skrzynię stara parowóz zmiotł z podwozia, samochód odwrócił się jak piórko w kierunku skąd przybył, pasażerów rozrzuciło na dużej przestrzeni. Pani Wanda cały czas przytomna, nie zapomni swojego „fruwania” do końca życia: „*Lecieliśmy jak ziarno, które sieje gospodarz*”.

Trzask i kurz

W tylnej części pojazdu siedziała pani Łucja Przybyła, rozmawiała sobie cichutko z dobrymi znajomymi, tak jak ona młodymi mężatkami. Tylko ona ocalała. Jej współpasażerki zginęły. Ogromna siła wyrzuciła kobiety na lokomotywę, ze strachu kurczowo uczepliła się zderzaka i tak przejechała jeszcze 300 metrów, sanitariusze z trudem odrywali ją od niego.

Wanda Jasny, cały czas przytomna, podczas „lotu” którego nie zapomni do końca życia, zgubiła swoje torby; kiedy ochłonęła nie chciała niczego oglądać, ale jak najszybciej i jak najdalej odejść. Dołączyła do czterech osób, które najmniej ucierpiały i ruszyli, zapewne w szoku, wraz z pasażerami pociągu, do odległej o 2 km stacji Raszowa (na linii Opole-Kędzierzyn). Nie zauważyła w pierwszej chwili, że ma zranione nogi, które trzymała pod ławką. Dotarło to do niej dopiero w domu, kiedy poczuła ból. Jej sąsiadka miała mniej szczęścia – straciła nogę.



Wizerunek św. Anna Samotrzeciej z najstarszej Książki Kalwaryjskiej z końca XVII wieku.

Moment tragedii utrwalił się nie tylko w pamięci bezpośrednich uczestników, ale i licznych świadków, gdyż ze zboczy Góry Chelmskiej, pod okiem św. Anny, wędrowały procesje z Raszowej, Kłodnicy, Koźła, które dochodziły właśnie w pobliże, cieszącego się złą sławą przejazdu. Edeltrauda B. z raszowskiej grupy dostrzegła najpierw mijającą ich ciężarówkę, a potem naraz usłyszała trzask i zrobił się kurz. Z przeciwnej strony z półrocznym synkiem na spotkanie żony szedł Alojzy Zagrol. Mówi w zaciszu swojego ogrodu o pisku stali, ogromnym kurzu, krzykach rannych a także o ostatniej posłudze, której udzielali poszkodowanym, pielgrzymujący piechotą kapłani. Rannych odwożono do szpitali w Opolu, Koźlu, Leśnicy i Kędzierzynie, gdzie trafiła Łucja Przybyła i jej matka,

Otylia Mainusz, siedząca w przedniej części stara, gdzie były większe szanse na przeżycie.

Oslupiałego Waltera Magierę, który zeskończył w ostatnim momencie, i widział, jak w rozrywanym samochodzie ginie jego żona, przewieziono do Koźła, ale szybko zwolniono, gdy okazało się, że nic mu się nie stało. Zaopiekowało się nim pewne małżeństwo, które zawiozło go na dworzec, kupiło bilet do Gliwic i wsadziło do pociągu. Nie zna ich nazwiska, nigdy nie miał sposobności, by im za to podziękować. Po przyjeździe do Gliwic taksówką dojechał do Ostropy. Szoferowi, który wiedział już o jakimś strasznym wypadku nie był w stanie nic opowiadać... Prawdopodobnie dopiero wtedy wszystko do niego docierało.

10 tysięcy na pogrzebie

Tej nocy Ostropa nie spała, osierocone dzieci chodziły po szosie i płakały, rodziny wyruszały na poszukiwanie swoich bliskich. Magiera pojechał ze szwagrem do Koźła, żonę rozpoznał po czerwonych sandałkach... Po ślubie byli półtora roku, teraz pozostał zakup trumny. Ci, którzy przeżyli i rodziny tych, którzy odeszli do Pana, przyjęli w chwili katastrofy krzyże – sieroctwa, wdowieństwa, kalectwa, długotrwałej choroby, czasami opuszczenia przez bliskich. Dla całej Ostropy nadeszły czarne dni, głos pani Jasny drży w wspomnienie widoku trumien w krypcie oraz żałobnych flag na kościelnej wieży.

Kiedy rok później, podczas powrotu z sanktuarium oglądała miejsce wypadku, to fakt, że nie uderzyła w wysokie kamienie graniczne, ale wylądowała w rowie porośniętym wysoką trawą, może nazwać tylko cudem. Pani Przybyła też za niedługo pojechała na Annę, chociaż bliscy myśleli, że już nigdy nie będzie miała odwa-

gi się tam wybrać. Później, mimo ogromnych problemów ze zdrowiem, urodziła szczęśliwie córeczkę. W katastrofie zginęło na miejscu lub umarło później w szpitalach w skutek odniesionych ran siedemnaście osób, w tym piętnaście z Ostropy. Na pogrzebie czternastu pielgrzymów, 31 lipca, nie zabrakło zakonników z Góry św. Anny.

Olbrzymi kondukt (około 10 tys.) na czele z orkiestrą KWK „Sośnica”, wyruszył na pobliski cmentarz. Swoją ostatnią drogę zmarli odbyli w trumnach na ramionach krewnych i przyjaciół. Ojciec franciszkanin, który wygłaszał kazanie nad zbiorową mogiłą, nie był w stanie go zakończyć, po prostu rozplakał się. Niektórzy świadkowie opowiadają jednak o jeszcze jednej ofercie wypadku, którą miał być zmiennik kierowcy z Poznańskiego. Ustąpił w drodze powrotnej swoje miejsce ojcu z dzieckiem, które bardzo chciało jechać z przodu, pochowano go tam, skąd pochodził. Miejsce wspólnego spoczynku na parafialnym cmentarzu rozpoczynają (od strony kościoła) Genowefa i Wilhelm Wieczorkowie, pielgrzymujący z kilkuletnim synkiem. Mimo tego, iż matka z dzieckiem szczęśliwie wylądowała na ziemniaczanym polu, ale kiedy zobaczyła męża, jej serce nie wytrzymało.

Wyroki

17 września przed Sądem Wojewódzkim w Opolu zakończyła się trzydniowa rozprawa. Przesłuchano 30 świadków: uczestników pielgrzymki, pasażerów pociągu, przechodniów i rowerzystów, którzy przejeżdżali w momencie katastrofy drogą krzyżującą się z torem kolejowym. Wcześniej, 4 sierpnia, przeprowadzona została wizja lokalna, mająca ustalić pole widzenia kierowcy. Stwierdzono, że od 170 m ustawione były znaki drogowe in-



Szkic klasztoru i kalwarii z 1768 r.

formujące o zbliżaniu się do niestrzeżonego przejazdu, ostatni w odległości 28 m znak obowiązkowego zatrzymania. Kierowca został skazany na 16 lat więzienia, dyrektor przedsiębiorstwa wynajmującego pojazd na 3 i pół roku, kierownik sekcji transportowej na rok więzienia.

Ogólnopolskie pismo *Motor* w dwu kolejnych numerach zamieściło obszerny artykuły, publikując m.in. serię drastycznych zdjęć. Redakcja tłumaczyła swoim czytelnikom, że mają one wstrząsnąć sumieniami tej części kierowców, którzy lekceważą swoje obowiązki i drwią z ustalonego porządku. Równocześnie pismo zwracało uwagę na fakt, iż przejazd ten na przestrzeni kilku ostatnich lat był świadkiem wielu śmiertelnych wypadków. Natomiast lokalna prasa – *Nowiny Gliwickie*, napiętnowała całą parafię. Nie przejmowano się dramatem ludzi, natomiast próbowano ideologicznie wykorzystać sytuację do walki z Kościołem. Szczegółne ataki były kierowane pod adresem ks. proboszcza i Kongregacji Mariańskiej.

Ostropianie pozostali ze swoim bólem sami, bez wsparcia finansowego dla poszkodowanych rodzin, pomocy psychologicznej, przerażeni, że będą przesłuchiwani i ciągnięci po sądach. Teraz musieli dać świadectwo swoim życiem, że nie tracą nadziei i wiary. Dla obecnego proboszcza, ks. Józefa Kary, z tego powodu katastrofa ta ma wymiar białego męczeństwa, jednak, jak mówi Czas goi rany. To pomnikowe wydarzenie, zobowiązuje nas byśmy kultywowali pielgrzymowanie na Górę św. Anny, skoro tytu parafian przelało krew na torach pod Raszową. Niech ten wypadek z przeszłości, będzie dla nas wszystkich drogowskazem w terażniejszości i fundamentem naszej wiary w przyszłości.

* * *

W świadomości mieszkańców to wydarzenie jest, mimo upływu lat, bardzo żywe. Świadczy o tym nie tylko dbałość o groby (obecnie pięknie odnowione), przy których zatrzymują się procesje, ale również liczne intencje mszalne za ofiary i osierocone rodziny.

26 lipca 2008 r., w upalne popołudnie, na przejeździe nieczynnej już linii kolejowej w Raszowej odbyła się uroczystość poświęcenia, wmurowanego dwa dni wcześniej, krzyża z tablicą informującą o tragedii sprzed pół wieku. Przybyli mieszkańcy Raszowej z ks. proboszczem i panią sołtys. Oni też zobowiązali się do dbania o pamięć i miejsce katastrofy.

Wszystko wygląda tak jak opisują świadkowie: liczne kamienie graniczne, głębokie rowy, obsiane pola, zapierający dech widok na Górę św. Anny. Modlitwę przepłatają cykające koniki polne i bolesne wspomnienia, gdyż wśród obecnych, są ci, którzy przeżyli wypadek. Swoją obecnością i życiem zaświadczali, że swoją nadzieję pokładają w św. Annie i Jej Wnuku.

Wczoraj pod wieczór przyjechaliśmy do naszego sanatorium, okrutnie wodzeni przez rodzinnych geniuszy komunikacyjnych. Najpierw – kiedy już znaleźliśmy się u opłoków Kłodzka – rozglądając się pilnie, spodziewaliśmy się bliższej sugestii, którą dotrzeć na miejsce. Wprawdzie bywałem w Kłodzku przed laty wielokrotnie, ale nowe czasy i fundusze europejskie spowodowały, że z trudem rozpoznawałem dawne szlaki, nie mówiąc o rewolucji w rozkładzie dróg. Może nie są bardziej eleganckie, wygodne i szerokie, za to niesłychanie pokrętne i mało wydajne poznawczo. I tak na najbliższym rozjeździe – oczywiście w kształcie ronda á la mały kopiec Kościuszki – naszym oczom ukazały się dwie, równie wyraźne informacje: Boboszów (jakby w lewo) i Tranzyt (jakby prosto); więc równie prostodusznie (choć ogarnął mnie lekki niepokój przy takim bogactwie przekazanej wiedzy) oceniliśmy, że kierunek właściwy wyznacza ważniejsze słowo Tranzyt, bo zapewne prowadzi do granicy, a gdzieś po drodze leży przecież nasz kurort. Więc jak sieroty jakieś, skierowaliśmy tam naszego Fiata.

Jadąc opowiadałem Miłej o moich dawnych licznych pobytach w Kłodzku z Heniem, kiedy gościliśmy u dziwnego ks. O. i mieszkaniu w domu jego wiekowej parafianki, lwowianki serdecznej, dawno już śp. Ale w pewnej chwili zauważyłem, że ani chybi wyjeżdżamy z Kłodzka, że już po lewej zostawiliśmy linię kolejową i dworzec, i jedziemy na Kamieniec Ząbkowicki (nic poza tym magicznym słowem TRANZYT niczego nie sugerowało), ale teraz już byłem stuprocentowo pewny, więc zacząłem wołać, to nie ta droga. Miła uparła się i za nic nie chciała stanąć, nie mówiąc już, by zechciała wracać. Wreszcie wymogłem, żeby przynajmniej zjechała w bezpiecznym miejscu na bok i stanęła na chodniku. Usłuchała i przez dłuższy czas dyskutowaliśmy, każde przekonane o swojej racji, gdy nagle w okienko zastukał starszy pan w podkoszulku, wyglądał, jakby się urwał od kolacji, który nie pytany, od razu stwierdził autorytatywnie, taktownie nie zwracając uwagi na naszą pyskówkę: „Na pewno zabłądziliście”. Po czym, nie czekając odpowiedzi, wygłosił oczywistą wszędzie, tylko nie w kraju Sarmatów, banalną prawdę: „Byłem niedawno we Włoszech, i tam na drogowskazach jest w pierwszym rzędzie zawsze najbliższe większe miasto”. Już nie otwarłem dzioba, by rzec,

Z pamiętnika kuracjusza

Tajemniczy Boboszów



Foto: Antoni Halor

że nie musi mnie karmić taką bzdurną oczywistością, ponieważ i bez niego wiem, że podobnie, wykorzystując wyłącznie najbardziej prymitywny chłopski rozum, oznaczają swoje drogi Niemcy, Francuzi i w ogóle każda w normalnym czasie historycznym przytomna nacja europejska. Zastanowił się nad takim ciężkim brakiem rozsądku, po czym machnął ręką jak steranym monotonnym nadludzkim wysiłkiem burlak w geście zrezygnowanym, wyrażającym nieuchronną powtarzalność wszelkiej beznadziei: „Ja tu bez przerwy wyprowadzam takich zabłąkanych kierowców”. Przyjąłem to ze zrozumieniem, nie pozbowionym elementów bezsilnej wściekłości. Jak Don Kichote, nagle oświecony, pojąłem bowiem bezsens odwiecznej walki z wiatrakami sarmackiego chowu. Przecież już przed laty nie mogłem wyjść z podziwii, kiedy – wracając znad morza – jechaliśmy z Wrocławia, kierując się do Katowic, jeszcze nie wykończoną autostradą, która nawet nie docierała wówczas w pobliże Opola (żaden zresztą napis tego wojewódzkiego w końcu miasta nawet nie sugerował, jako że na wszystkich charakterystycznych dla autostrad znakach informacyjnych najważniejszym punktem docelowym, do którego możemy dojechać, była nieodmiennie wypisana największą czcionką, z daleka już widoczna, tajemnicza miejscowość o nazwie Chróścina, której na ówczesnych mapach nie uświadczylbyś nawet używając najpotężniejszego teleskopu). Nie powiedziałem więc uprzejmemu mieszkańcowi pobliskiego domu, że nawet makaroniarze mają więcej rozumu od naszych... ale tego sobie już nawet nie wyszept-

łem. Nie powiedziałem więc też, że za każdym razem wpadam niemal w furję, kiedy na drogowskazie widzę np. miejscowość z najdalszego możliwego punktu docelowego, którego nie ma na mojej mapie i który zwykle przecież mi zwisa, bo wcale tak daleko się nie wybieram. Co za parlamentarny idiota wymyślił taką piekielną zasadę i jaki zastęp buraków ją zatwierdził?!

Tak więc machnąwszy ręką na beznadziejną głupotę otaczającej nas rzeczywistości uśmiechnąłem się tylko do uprzejmego znawcy zagadnień drogowych i na pytanie jak jechać do Bystrzycy Kłodzkiej pan stwierdził, tylko potwierdzając moje przekonanie, zrodzone zaraz po nieszczęsnym wyborze, że musimy się wrócić aż do tego feralnego ronda i jechać na ów mityczny Boboszów. Wcale się nie zdziwił, żeśmy się machnęli,

jeszcze raz powtórzył, że on co chwilę pomaga takim zabłąkanym, skuszonym tym samym magicznym słowem Tranzyt naiwniakom, pewnym że doprowadzi ich do któregoś z przesławnych kurortów kłodzkich, po których, przez najbliższe kilometry, miało jeszcze nie być najmniejszego śladu. Dopiero po wyjaśnieniach uprzejmego pana, Miła pokornie zawróciła, a i tak jeszcze raz w samym Kłodzku wjechała w ślepą uliczkę, co miało taki efekt, że puściłem wściekłą wiązkę na tych facetów w żarłakach na czerepie z pewnego ministerstwa z mózgiami gruzliczych, atrofijnych rozmiarów, cienkich i wątych jak oblaty... i tak się piekliłem, póki mi nie zelżało. A nawiasem mówiąc, dopiero później do mnie dotarło (kiedy wieczorem zasiadłem do zabranej na wszelki wypadek starej mapy), skąd ten zaczerpnięty Boboszów (jak wtedy na autostradzie Chróścina) i dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że kilka km za Boboszowem, dziurą niewielką, było przecież do niedawna przejście graniczne do bratniej Czechosłowacji, potem trochę mniej bratnich Czech. Ale, czy do cholery, człowiek, wybierający się np. do Łądku, Polanicy, ewentualnie aż do Międzylesia, musi w ogóle wiedzieć o tym niesłychanie istotnym dla ówczesnych strażników naszej politycznej niewinności miejscu, jakim jest owe przejście graniczne? Przy znanych wówczas trudnościach z uzyskaniem paszportu? No dobra, lecz dziś? O święta paranojo, cały ten cyrk już przecież należy do – na szczęście (podobno) minionej przeszłości! Widać, jednak nie w mózgach urzędników z ministerstwa wyższych konieczności drogowych...

ANTONI HALOR



Cmentarz w małej wsi Ruscello koło Arezzo (Włochy). Ściana z niszami na urny i groby tradycyjne.

**Od początku istnienia
ludzkości, od najdawniejszych
kultur prehistorycznych,
człowiek żegnał swoich
bliskich zmarłych w sposób
określony wzorami
kulturowymi.**

**W opracowaniach
archeologów mamy
wiele relacji z prac
wykopaliskowych,
m.in. ze stanowisk
w miejscach pradawnych
cmentarzysk – informacji
o pochówkach szkieletowych
i o popielnicach,
z wyposażeniem na drogę
w zaświaty i bez wyposażenia,
o zmarłych układanych
na przykład na boku,
z podkurczonymi nogami,
posypanymi ochrą,
z głową zawsze na wschód...**

Pomiędzy tym i tamtym światem

MARIA
LIPOK-BIERWIACZONEK

Można mnożyć szczegóły różnych opisów, dotyczących różnych czasów i różnych kultur, można pisać o kurhanach, dolmenach, grobach korytarzowych... Archeolodzy dysponują ogromną wiedzą na temat różnych zwyczajów pogrzebowych i wyciągają stąd wnioski o wierzeniach naszych przaprzodków, zwłaszcza dotyczących wiary w życie pozagrobowe.

Szkic niniejszy nie jest jednak poświęcony archeologii, ale zmieniającym się na naszych oczach zwyczajom, wzorom kulturowym, związanym z pochówkiem naszych zmarłych. Przywołanie przykładów z wykopalisk miało na celu uzmysłowienie, że człowiek zawsze poświęcał tym sprawom wiele uwagi – i nie tylko wtedy, gdy chodziło o pogrzeb władców i innych możnych (opisy wspaniałych ceremonii żałobnych po śmierci wielkich tego świata znaleźć można w obfitości w literaturze pięknej i naukowej). Nasze współczesne starania o godne pożegnanie ze zmarłym nie są wynalazkiem ostatnich czasów.

Pogrzeb jako obrzęd przejścia

W etnologii od stu lat używany jest termin „obrzędy przejścia”. To takie obrzędy, które towarzyszą przełomowym momentom w życiu ludzi – w życiu jednostek i grup. Obrzędy przejścia mają wielką wagę społeczną – uczestnicząca w nich grupa uznaje fakt ważnych zmian w życiu jednostki, akceptuje związane z nimi zmiany statusu społecznego i nadaje nowy status, przyjmuje jednostkę do swego grona lub ją z niego wyłącza. Najważniejsze przełomowe momenty w życiu człowieka to narodziny, osiągnięcie dojrzałości, zawarcie małżeństwa, śmierć – wokół każdego z nich społeczności różnych kręgów kulturowych wypracowały obrzędową obudowę. *Les rites de passage* – tak nazwał te obrzędy francuski uczoney Arnold van Gennep w wydanej w 1909 roku książce pod tym właśnie tytułem. Termin zaproponowany przez van Gennepa pozostał już na stałe w etnologii jako jeden z najtrwał-

szych w języku naukowym tej dyscypliny.

Pogrzeb jest zatem obrzędem przejścia, najtrudniejszym emocjonalnie, bo związanym z poczuciem straty i bólu. Warto jednak zwrócić uwagę, że istnienie kulturowych wzorów obrzędu jest pomocne dla relacje ze światem i innymi ludźmi w najtrudniejszym momencie.

Zmarły przestaje należeć do społeczności żywych. Pogrzeb jest pożegnaniem, trudnym emocjonalnie, ale koniecznym. W sensie symbolicznym to potrzeba uroczystego wyłączenia zmarłego ze świata żywych, oddanie go drugiemu światu. Dla ludzi wierzących (a według Mircea Eliadego w każdym z nas tkwi *homo religiosus*) religijna warstwa obrzędu jest najważniejsza, bo przypomina o nieśmiertelnej duszy, która odeszła do Pana, o *życiu wiecznym* – jak mówią słowa modlitwy.

Okres przejściowy dotyczy też najbliższych zmarłego – dla nich to czas żałoby. To czas, w którym funkcjonują w ramach społeczności na innych zasadach, częściowo wyłączone z aktywności. Żałobę „się nosi” (takie określenie funkcjonuje w naszym języku) – kulturowy wzór nakazuje w tym czasie odmienny ubiór, czarną wstążkę w kłapie marynarki czy na rękawie w życiu swej społeczności. Nakazuje też wycofanie się z udziału w zabawach. Osoby w żałobie są zatem „inne” – musi minąć określony czas, aby mogły na powrót włączyć się w pełni w życie społeczności.

Określenia „wyłączenie” i „włączenie” oddają istotę obrzędów przejścia. Pomiędzy wyłączeniem i włączeniem jest czas liminalny, czas zawieszenia w normalnych czynnościach, w normalnym istnieniu. Dla zmarłego to dni między śmiercią a pochówkiem, a dla jego krewnych czas żałoby.

Przed półwieczem

Kto sięga pamięcią w lata, powiedzmy, pięćdziesiąte XX wieku, może opowiedzieć o dominujących wówczas wzorach obrządków związanych ze śmiercią, pogrzebem i żałobą. Dominujących – to słowo jest istotne, trzeba bowiem zastrzec, że w zależności od okolicy, a także od sytuacji ekonomicznej rodziny i statusu społecznego zmarłej, od tego, czy to miasto czy wieś – występowały duże różnice w obrzędzie.

Najczęściej uroczystości odbywały się według takiego wzoru, jaki wielokrotnie pojawia się w relacjach starszych osób. Rozmówcy podkreślają, że ich najbliżsi najczęściej odchodzili do wieczności we własnym domu. Przy umierających czuwała rodzina, zaprzyjaźnione sąsiadki. Zapalano gromnice, odmawiano modlitwy. Wspomniano w szeptanych rozmowach pojawiające się wcześniej znaki, zapowiadające śmierć (tzw. zwiastunami śmierci mógł być hukający puszczyk czy samoczynne pęknięcie szkła). Zmarłego obmywano i ubierano do trumny w domu (takie przejmujące sceny znaleźć można np.



Epitafium Anny Drzyśgi z 1861 r., Tychy.

Fot. Maria Lipok-Bierniaczonek

w filmie *Brzezina* w reżyserii Andrzeja Wajdy). W izbie, gdzie na ławie lub stołkach ustawiano trumnę, zaciemniano okna, w całym domu zasłaniano lustra, obrazy, zatrzymywano zegary. Takie zmiany w domu to nie troska o tworzenie nastroju powagi, ale gesty i czynności podkreślające szczególność tego czasu zawieszzonego, zatrzymanego – dusza zmarłego jest już na tamtym świecie, a ciało jeszcze tu, wśród żyjących, oczekujące na rozstanie ostateczne. Do czasu pogrzebu przychodzili krewni i sąsiedzi na modlitwy i czuwanie przy zmarłym, czasem modlitwy te prowadził wyspecjalizowany *śpiywok*. Każdy mógł dotknąć jeszcze splecionych rąk zmarłego, w które wkładano różaniec, położyć obok święty obrazek.

Kiedy w dniu pogrzebu wynoszono trumnę z domu – trzykrotnie dotykano nią progu. Było to pożegnanie zmarłego z jego domem, a także symboliczne wyłączenie go z kręgu rodzinnego. Tę symbolikę oddają również słowa wypowiedane przy pożegnaniu z progiem rodzinnego domu – w imieniu zmarłego ktoś mówił „zostańcie z Bogiem”, no co zebrani odpowiadali „z panem Bogiem”.

Do lat 50. XX wieku trumnę do kościoła i na cmentarz najczęściej wiozł karawan konny wynajęty od przedsiębiorcy pogrzebowego. W latach 60. takie karawany ostatecznie ustąpiły miejsca samochodom. Na wsiach korzystano też ze zwykłego wozu konnego. W górach z domów położonych wyżej, na stromym stoku, trumny znoszono lub zwożono na furce, dopiero niżej, na drodze w dolinie czekał karawan.

Stypę po pogrzebie (w opisywanych czasach) przygotowywano albo w domu, albo w gospodzie; częstowano wędlinami z pieczywem i wódką.

Czas trwania żałoby dla krewnych zmarłego był ściśle określony w zależności od stopnia pokrewieństwa – od trzech miesięcy po rok żałoby po ojcu lub matce (w wielu społecznościach żałoba po matce trwała rok i trzy miesiące). Skrupulatnie przestrzegana była zasada noszenia czarnego, żałobnego stroju, a w przypadku okryć wierzchnich odmiennego koloru noszono na rękawie opaskę z czarnej wstążki. Śląskie *chłopionki* (kobiety chodzące w strojach ludowych) miały w swej garderobie na te okazje czarne *jakle*, *kiecki* i *fortuchy*, a także chusty *kostkowe* czyli w czarnobiałą kratę (wdowa w dzień pogrzebu i na początku żałoby zakładała jednak czarną). W filmie Kazimierza Kutza *Paciorki jednego różań-*

ca w końcowych scenach pogrzebu Karola Habryki widać wiele tak właśnie ubranych *chłopionek* w *kostkowych* chustach – reżyser zaprosił do tych scen mieszkanki Dąbrówki Wielkiej. W tej wsi (dziś dzielnicy Piekar Śląskich) w tamtym czasie wiele kobiet nosiło jeszcze takie stroje (opisywane żałobne zestawy obowiązywały również jako ubiór w czasie trwania Wielkiego Postu).

Rzeczy osobistych, należących do zmarłego nie należało ruszać przez sześć tygodni. Dopiero po tym czasie można je było uporządkować i rozdać bliskim.

Wyspecjalizowane usługi

Dziś nasi bliscy najczęściej umierają poza domem – w szpitalach, w hospicjach. Jak wiemy, coraz więcej mówi się o problemie dobrej śmierci, o potrzebie obecności bliskich przy umierającym. Niezależnie jednak od tego, czy śmierć nastąpiła w szpitalu czy w domu – coraz więcej czynności związanych z przygotowaniem zmarłego do pochówku i samego pogrzebu oddajemy w ręce specjalistów. Współczesne zakłady pogrzebowe proponują przejęcie od rodziny większości czynności, zabiegów, starań, załatwiania formalności. Wspomniane wyspecjalizowane zakłady w niewielkim stopniu przypominają firmy dawnych przedsiębiorców pogrzebowych sprzed półwiecza. Dzisiejsze, starając się zachęcić rodziny organizujące pogrzeb zmarłego do skorzystania z ich właśnie usług, dbają o elegancki wygląd zakładu, odpowiedni nastrój we wnętrzu i o zróżnicowaną ofertę. Ta oferta to nie tylko rodzaj i cena trumny, ale także sugestie różnych rozwiązań w organizacji samego pogrzebu i jego ceremonialnego upiększenia. Można wybrać ceremonial świecki. Można wybrać pochówek tradycyjny lub spalenie zwłok i pochowanie urny z prochami.

Na zachodzie Europy i w Ameryce już od dawna stosowane jest spalenie ciała zmarłego obok pochówków tradycyjnych. W Polsce pochówki urn z popiołami pojawiły się dopiero kilkanaście lat temu – pierwsze krematorium uruchomiono w Poznaniu w 1993 roku. W naszym kraju myśl o potrzebie budowania krematoriów długo budziła opory wskutek złych skojarzeń z czasem okupacji hitlerowskiej. Ponadto początkowo kremacji sprzeciwiał się Kościół. Budowę krematorium sprzeciwiali się też mieszkańcy okolicy, w której taką inwestycję planowano. Po pewnym czasie jednak emocje wygasły,

a Kościół zaakceptował pochówek prochów w urnie, nie zmieniając w takim przypadku ceremoniału katolickiego pogrzebu.

Dziś w Polsce funkcjonują krematoria w Poznaniu, Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie, Łodzi, Częstochowie, Bytomiu i w Rudzie Śląskiej. Oblicza się, że obecnie co piąty pochówek w Polsce wiąże się ze spaleniem zwłok.

Przedsiębiorstwo z Rudy Śląskiej w swą nazwę wpisało określenie metaforyczne: Park Pamięci – Usługi Pogrzebowe i Kremacyjne. Firma proponuje pełny zestaw usług – możliwość spędzenia ostatnich chwil ze zmarłym w Sali Pożegnania, poczęstunek-stypę, pochówek urny w znajdującym się obok kolumbarium (nazwą tą określa się ścianę z niszami na urny). Dosłownym parkiem pamięci miał być trawnik, na którym można by rozsypać prochy, ale ta forma nie jest dotąd stosowana z braku regulacji prawnej.

Te nowe zwyczaje pogrzebowe budzą zainteresowanie, czasem niepokój, czasem niezgodę no zbyt odmiennie rozwiązania. Na wielu cmentarzach pochówek urny odbywa się w tradycyjnym ziemnym grobie, tyle że mniejszych rozmiarów. Tak jest na przykład na głównym cmentarzu komunalnym Tychów (w dzielnicy Wartogłowiec). Przykład rudzkiego kolumbarium to jeszcze rzadkość. Polacy przywiązani są do mogiły z nagrobkiem. Tymczasem w czasie podróży po Europie kolumbaria zobaczyć można nawet na małych cmentarzyskach wiejskich – miałym okazję sfotografowania takiej ściany z niszami na cmentarzu we wsi Ruscello koło Arezzo we Włoszech.

W naszej współczesnej polskiej obyczajowości pogrzebowej obserwuje się za to poszukiwanie coraz bardziej wymyślnych form i zdobień – trumien, urn, nagrobków. Ich niezwykłość ma dodawać prestiżu – nie tyle zmarłemu, który tego nie potrzebuje, ile jego rodzinie. Ostatnio media doniosły o przedsiębiorcy pogrzebowym, który chce wprowadzić do handlu trumnę z wymalowanym na jej boku portretem Jana Pawła II. Pojawiły się głosy oburzenia, ale pewnie kupujący się znajdują. Urny mogą przybierać najróżniejsze kształty. Pojawił się pomysł urny wykonanej jako tzw. luksfer (półprzezroczysty szklany element budowlany) do wmurowania w ścianę domu.

Zauważmy, że śmierć poza domem, w placówkach szpitalnych i hospicjach, a także wyspecjalizowane usługi firm pogrzebowych, zdejmując z nas troskę o obmyślenie i załatwienie przeróżnych spraw

związanych z pogrzebem bliskiej osoby – osłabiają naszą więź z tym, który właśnie odszedł. Często nie oglądamy już wcale osoby zmarłej, czasem wiele dni czeka w chłodni na pochówek. Skurczeniu ulega wymiar i znaczenie wspomnianego wcześniej czasu liminalnego, w którym zmarły i żywi byli obok siebie – a żywi mogli wyciszać ból i skutecznie pożegnać się ze zmarłym, zamknąć rozdział swego wspólnego z nim życia. Usłyszałam kiedyś od osoby, która straciła męża w wypadku i nie miała możliwości zobaczyć go w trumnie, że to jest jak brakujące, a bardzo ważne ogniwo rozstania. Przez lata miała uczucie, że nie pożegnała go do końca, bo nie mogła spojrzeć w twarz ukochanej osoby pogrążonej w wiecznym już śnie. Jeszcze silniej ten brak odczuwają ci, którzy latami szukają miejsca śmierci i pochówku ojca czy matki.

Współczesna tendencja do odsuwania od siebie zabiegów wokół zmarłego i pogrzebu, powierzenia ich specjalistom – w jakimś stopniu powoduje nasze emocjonalne, psychiczne i kulturowe zubożenie. Idzie z tym w parze zanikający zwyczaj „noszenia” żałoby. Wyszły z użycia opaski kiru na rękawach okryć. Coraz częściej nawet najbliżsi krewni zmarłego rezygnują z zasady noszenia w tym szczególnym okresie czarnej odzieży. Mówi się, że żałobę nosi się w sercu, zbędne jest jej okazywanie na zewnątrz.

Krajobraz cmentarzy

Współcześnie najwięcej troski okazujemy grobom. Zmienił się bardzo krajobraz naszych cmentarzy. Pełno na nich lśniących granitów, szarych, czerwonych, czarnych. Pojawia się marmur, coraz więcej jest płaskorzeźb i rzeźb. Chcemy naszych zmarłych najgodniej upamiętnić – ale czasem chodzi bardziej o prestiż własny fundatora nagrobka. Pojawia się też potrzeba podkreślenia statusu osoby zmarłej poprzez zapisanie przed nazwiskiem „mgr” (tak zwłaszcza w latach 70., 80. gdy tytuł ten rzadszy był, niż obecnie) lub dodanie informacji o zawodzie zmarłej osoby, jeśli dodawał on znaczenia (np. „psycholog”).

Podróżujemy po świecie i często stamtąd przywozimy podpatrzone wzory nagrobków i grobowców. Rozwinął się bardzo rynek usług kamieniarskich, ten ma jednak swoją specyfikę. Wykonanie nagrobków przypomina dziś trochę produkcję seryjną, większość kamieniarzy kupuje bowiem gotowe półfabrykaty, np. płyty granitu przycinane i szlifowane przemysłowo. Zamawiającym oferu-

je się kilka typów nagrobków skomponowanych z gotowych elementów. Stąd nowe kwatery naszych cmentarzy wykazują nużącą powtarzalność form nagrobków, ale zarazem wysoką jakość użytego materiału i staranność obróbki kamieniarskiej. Tylko w starszych częściach cmentarzy wiadać nagrobki z lastryka, którego się dziś nie stosuje.

I tylko w najstarszych zakątkach nekropolii znaleźć można pociemniałe nagrobki z piaskowca i krzyże żeliwne. I jeszcze coś: wzruszające stare inskrypcje, a wśród nich takie, które można uznać za zabytki języka polskiego. Na naszych starych śląskich cmentarzach czytać można na nagrobkach inskrypcje polskie i niemieckie, czasem łacińskie (zwłaszcza w przypadku mogił księży). Te, które „mówią” po polsku, mówią podwójnie, bo powstały między innymi w czasach niemieckiej państwowości i rugowania języka polskiego – a przecież są polskie...

I tak na przykład w Tychach, w czasie rozbudowy starego kościo-

ła p.w. św. Marii Magdaleny w latach 1906–1907, w jego ściany zewnętrzne wmurowano stare pyty nagrobne. Na jednej z nich czytamy: „Tu spoczywa w Bogu Anna Drzygsa rodzona 1801 umarła dnia 20tego Nowm 1861. Zaś się uizdrzymy”. Na innej: „Tu spoczywa w Bogu między synami swymi Ewa Tomalla umarła 3 wrześ 1885 Żyła lat 70”.

A dalej na zachód, w Jemielnicy, wsi położonej między Strzelcami Opolskimi a Toszkiem, należącej w latach międzywojennych do Niemiec, przeczytać można taką inskrypcję polską na nagrobku z 1925 roku: „Tu spoczywają w Bogu nasze ukochane działki Marya i Franciszek Bock”, a niżej, pod datami śmierci rodzeństwa (oboje zmarli w wieku dwudziestu kilku lat kolejno w dniach 11.12.1925 i 19.12.1925) dopisano: „Daj Boże, ażebyśmy się spotkali w wieczności”.

Warto się zadumać nad prostotą tych wzruszających tekstów...



Inskrypcja na nagrobku rodziny Bock z 1925 r., Jemielnica (powiat Strzelce Opolskie).

Zamiarem majora Świdzkiego było niespodziewanym uderzeniem odebrać Śmigalszczyznę, przez co spodziewał się sparaliżować ruch bolszewicki, dążący do rozszerzenia wyrwy na polskim froncie. W tym celu rozdzielwszy kompanię Ludomskiego, jednej jej połowie pod samym Ludomskim nakazał zająć znajdujące się ma lewym skrzydle Chachulki, aby w ten sposób nawiązać łączność z odwodowym plutonem Sołyszki, pozostającą jeszcze na swych stanowiskach ósmą kompanią oraz broniącym przyczółka trzecim batalionem; drugą zaś połowę pod Paprosińskim i szóstą kompanię pod porucznikiem Leśniakiem pchnął do ataku frontalnego. Dam został przy odwodzie, który stanowiła najsilniejsza liczebnie piąta kompania.

Na początku bitwy stała ona również jako odwód batalionu Śmigalszczyzny, która opuściła po stracie swego dowódcy, śmiertelnie ранnego porucznika Myszenisa. Świdzki, który, będąc szefem łączności sztabu dywizji, na pierwszą wiadomość o przełamaniu frontu zjawiał się na linii bojowej, zawrócił ją po drodze i wraz z porucznikiem Leśniakiem, poprowadził na nowo w ogień. Teraz zatrzymał ją przy sobie, aby móc czuwać nad ruchami lewego skrzydła bolszewickiego i wesprzeć w decydującej chwili działania batalionu.

Akcja ta jednak nie od razu nabrała rozmachu, jakiego wymagało zadanie. Jak tylko strzelcy przestali czuć na sobie groźny wzrok Świdzkiego, natychmiast oklapli i stracili cały rozpęd. Pomimo że od pojedynku z Horbaczewskim powaga Paprosińskiego w kompanii stale wzrastała, trudno mu było poderwać osłabłych wskutek zmęczenia i przeżyć ludzi.

– Kierunek: płonąca wioska przed nami! Grupkami naprzód! – krzyczał obracając z trudem swe zboliałe kości.

– Naprzód! Naprzód! – ryczeli podoficerowie.

Żaden ze strzelców nie uważał, żeby to do niego miało być skierowane.

– Jazda, chłopcy! Ruszać się trochę! Gdzie są podoficerowie? – irytował się Paprosiński.

W polu

STANISŁAW REMBEK

Stanisław Rembek (1901-1985) z wykształcenia historyk, jest autorem kilku powieści i opowiadań (m.in. *Nagan* 1928, *W polu* 1937, *Wyrok na Franciszka Kłosa* 1947, *Ballada o wzgardliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe* 1956). Powieść *W polu*, której fragment publikujemy należy do najciekawszych i odważnych ujęć tematu żołnierskiego w literaturze międzywojennej. Autor przedstawiając epizod wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku nawiązuje do najlepszych tradycji epickich.

szynowy zabłyskał im w twarzę pośpieszną serią, w tejże chwili Piesik nie wstrzymując pedu i nie zamachnąwszy się nawet rzucił granat jajowy. Wykonał to tak słabo i niezręcznie jak pensjonarka z wstępnej klasy, niemniej trzech bolszewicy obsługi prysnęli w tył jak zdmuchnięci. Nim jednak opadł kurz po wybuchu, czwarty bolszewik w czarnej papasze dopadł opuszczonej maszynki i skierował ją znowu w twarzę nadbiegających.

– Bij takiego syna! Bij takiego syna! – wrzasnął nieludzkiem głosem plutonowy Zajączkowski.

– Nie słyszałeś, żłobie, co było powiedziane? – wrzasnął Zajączkowski na Rudajewskiego, który rozłożył szeroko swoje grube cielsko, nie zdradzając absolutnie żadnych drapieżnych instynktów.

– Sam polecę, jak kto głupi? Pan plutonowy to tylko mnie zawsze widzi! Niech inni też idą!

– Na innych się będziez oglądał, bażancie?...

– Bo ónemu trza by sprowadzić deróżkę, żeby go podwiozła. Za ciężki ma kaldun, panie plutonowy – wtrącił się Jagusiak, który nigdy nie tracił swego kpiarskiego usposobienia.

W tej jednak sekundzie sam ruszył naprzód jak oparzony: tak groźną twarzą zwrócił ku niemu podoficer.

Za nim zaczęli posuwać się inni. Szło to z początku opieszale, gdy jednak osiągnęli szczyty fałdy ziemnej oddzielającej ich od wioski, a gdzie ogień bolszewicki stawał się gęstszy i skuteczniejszy, ruchy strzelców nabrały tej niesamowitej zręczności i błyskawiczności, jaka cechuje wszystkie stworzenia w niebezpieczeństwie. Ukazywali się zawsze nagle i niespodzianie jak podrywające się na widok myśliwego kuropatwy, przemykali od zasłony do zasłony szybko i nieuchwytnie dla oka, niby spłoszone jaszczurki; aż wreszcie, gdy przebiegli łan stratowanego i splątanego owsa i gdy w oczy uderzył ich żar płonącej wioski – zamrowili się na łączce przed nią, jakby spod ziemi wyrosli, i z ogromnym rykiem runęli do szturm.

Przez jeden tylko moment ustawiony pod jakimś płotem karabin ma-

Gruby Rudajewski na swych krótkich, krzywych nóżkach wykonał nieprawdopodobny, nie notowany chyba w kronikach sportowych skok i całym swym ciężarem spadł na nieustraszonego czerwonogwardzistę. Reszta atakujących przemknęła nad nimi jak porwane wichrem liście.

Uciekający bolszewicy, którym drogę zagroziła ognista ściana płonącej wioski, porzucali karabiny i biegiem zawracali z podniesionymi rękami, wrzeszcząc przeraźliwie:

– Pan wasz! Pan, nie strielaj! Pan, zdajus!

Fala atakujących wyminęła ich w pędzie, jak w kontredansie, nie spojrzawszy nawet. Jeden Piesik szturchnął w tył kolbą najbliższego.

Obie kompanie wpadły już między zabudowania. Chałupy i stodoły płonęły objęte płomieniami ze wszystkich stron. Czarno-czerwone grzywy ognia i dymu łopotały na strzechach, wysuwały się zniecka drzwiami i oknami, rzekłbyś: stado uwiecznionych potwornych wężów. Szrapnele nad nimi błyskały trupio blade, szybkie i bezgłośnie w tym ogólnym szumie i gwarze. Na zaciągniętej pajęczynami dymów ulicy szarzały rozsypane dość gęsto trupy Polaków i bolszewików, wypisując jak hieroglifami historię ataków i kontrataków, które przez wieś przechodziły.

Nowa grupka bolszewików zerwała się w oplotkach z podniesionymi rękami i krzycząc: „Nie strzelaj, pan!” – przemknęła pomiędzy nacierającymi, byle jak najprędzej wyjść z tego piekła.

Zwycięzcy zatrzymali się, rozglądając się z bystrością i czujnością zwierząt leśnych węszących niebezpieczeństwo.

Powietrze pełne było świstu i brzęczenia kul nadlatujących ze wszystkich stron oraz jęku i powarku pękających wysoko polskich szrapneli. Dalsze zapędy powstrzymywała ognista ściana, promieniująca tak silnie, iż zbliżającym się do niej zdawało się, że lada chwila roztopią się i rozleczą jak rozlutowane garnki. Już też „kombinatorzy i dekownicy” zaczęli zawracać i wymykać się na tyły, odprowadzając jeńców czy rannych towarzyszy.

Paprosiński, który dobiegł tu ze swoim plutonem, stał w rozpiętym mundurze, z pistoletem w dłoni, spocony i zziębnięty, nie mogąc złapać powietrza w duszącym żarze.

– Naprzód, chłopcy! Naprzód! – nawoływał bez przekonania, choć wiedział doskonale, że nie ma prawa spocząć na wawrzynach, dopóki przeciwległy skraj wioski nie znajdzie się w jego rękach.

Ale w tym celu należało przebyć ulicę, która w tej chwili wydawała się potwornych rozmiarów paleńskiem.

Zdecydował się wreszcie i skoczył.

W jednej chwili oślepl na oba oczy, które zaproszyły mu gorące sadze. Zasłonił lewą ręką rozbolełe powieki i posuwał się naprzód patrząc jedynie przez szparę między palcami, zasnutą matową szybą lez. Nie odychał zupełnie, jak przystało na nurka, zagłębiającego się w obcy sobie żywioł. Nie cofał się jednak, dostrzegł bowiem przedzierające się przez siny dym poskręcane postacie strzelców swojego plutonu. Nie-

którzy z nich strzelali po drodze i błyski wystrzałów ukazywały się upiornie białe.

Wreszcie wypadli na przestrzeń wolniejszą nieco od dymu. Mógł nareszcie odetchnąć.

Ulica rozwidlała się tu, tworząc mały trójkątny plac. Górował nad nim stojący na rozstaju czarny popekany krzyż z daszkiem i z małym fartuszkim uwiązanym w połowie jego wysokości. Krzyż płonął. Rude ogniki wyskakiwały co chwila spoza niego niby goniące się po sośnie wiewiórki. Ocalały dotąd cudem fartuszek łopotał rozpaczliwie szybko. Było coś wstrząsającego w tym ruchliwym białym strzępie na tle szkarłatnych płomieni oraz brudnych zwałów dymu i w tym strachu przed zagładą martwego przedmiotu w obliczu rozsypanych na drodze trupów ludzkich.

Pod krzyżem stało nieruchomo paru bolszewików z podniesionymi pionowo rękami.

Strzelcy rozbiegli się, węsząc na wszystkie strony niby stado wilków pładujących uśpioną wioskę. Było ich najwyżej dziesięciu.

– Komisarz! – wrzasnął naraz Piesik, który wysunął się pierwszy w kierunku prawej odnogi ulicy.

Na progu okazałej chaty ze strzechą, całkowicie już objętą płomieniem, siedziała jakaś skulona postać. Paru żołnierzy skoczyło ku niej z podniesionymi kolbami, jakby ujrzeli wściekłego psa. Palce i szczęki chwycił im nagły spazm pierwotnej nienawiści, nienawiści płaćwa dziennego do puchacza lub sowy. Nawet Paprosiński, patrząc na tę scenę, uczył przez jedną zbiegłą mu spod kontroli chwilę w gruczołach ślinowych i trzewiach lubieżną radość oczekiwania momentu, gdy zacznie się miażdżenie i rwanie w kawały tego osobnika drapieżnego gatunku, krwiożerczego jak pantera, a jak żmija pełnego jadu nienawiści. Takie bowiem wyobrażenie pozwał o komisarzach rewolucji już na podstawie gazet i sprawozdań uciekinierów z Rosji.

A ów siedział nadal, skulony, w obcisłych czarnych butach, w czarnej kurtce skórzanej i w czarnej czapce, którą zsunął w tył dłonią podpierającą mu skroń, jak człowiek, którego spotkało wielkie nieszczęście. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy zawisły nad nim kolby niosących mu śmierć wrogów, ale za to jeńcy bolszewicy, którzy zazwyczaj sami wydawali w zemście komunistów, teraz ryknęli w obłąkanym przerażeniu:

– Nie trogać jowo! Nie trogać! On ranienej!

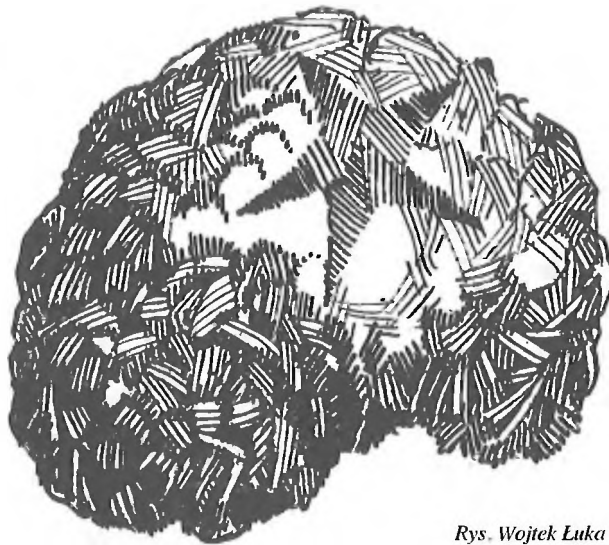
Polacy odskoczyli jak od miny mającej wybuchnąć lada chwila. Teraz dopiero spostrzegli, że komisarz był ranny. Kula karabinowa czy szrapnelowa odłupała mu kawałek czaszki. Między rękami sączyła mu się krew i blade grudki mózgu. Jedno gwałtowniejsze poruszenie mogło spowodować opróżnienie tej dziurawej skorupy z substancji, która tworzyła z niej głowę człowieka.

Litość, zrodzona z obrzydzenia i grozy, wykrzywiła twarz.

– Może da się go jakoś odnieść do ambulansu? – powiedział plutonowy Zajęczkowski podchodząc ostrożnie do nieszczęśliwego.

– Nie ruszać go! – wrzasnął histerycznie Paprosiński.

Obserwował on pogrożono w straszliwej zadumie



Rys. Wojtek Luka

komunistę z piękną ciekawością. O czym mógł myśleć człowiek, któremu nagle do czaszki zajrzało światło wschodzącego słońca? Co czuje, gdy mu w obnażone zwoje uderzy szum pożaru, trzask karabinów i huk pękających szrapneli? Czy tą żalosną resztką okaleczonego organu świadomości obejmuje teraz bezsens swojego życia?

Tym swoim naganem, którego pusta pochwa zwisa mu u pasa, niejedną zapewne rozlupał czaszkę, w której snuły się inne niż jego kombinacje urządzenia wspólnego życia ludzkości. Nieraz bez wątpienia tłumił w sobie litość i zgrozę na widok tchórzów, którzy wlekli mu się u nóg błagając o życie, szaleńców, którzy mordowani ryczeli o ratunek, bohaterów, czekających spokojnie na śmiertelny wystrzał jego rewolweru z niehumanym wysiłkiem zamierającego serca. Nieraz miażdżył głos swojego sumienia na widok rodzin skazanych, spazmujących, mdlejących i przeklinających go, gdy nie mogły wyzbrać u niego życia najdroższych sobie osób – wszystko w imię nieomyślności, doskonałości tej obrzydliwej mazi, która teraz oto ściekała mu po brudnych palcach. Czy tak samo widzi te sprawy, gdy jego świadomość wyjrzała na świat z tej lupiny, w której była dotychczas zamknięta?...

W tej chwili płonący nad głową siedzącego dach zapadł się z hukiem do wewnątrz chaty, dwa czarne ramiona dymu buchnęły oknami, zasłaniając go zupełnie. Gdy ukazał się znowu, płonęło już na nim ubranie. Nie poruszył się mimo to, jakby nawet śmierć sama nie zdołała go wyrwać z jego ponurej zadumy.

Nikt też już nie skoczył, aby go wyrwać ze szponów ostatecznej zagłady.

* * *

Łukomski po połączeniu się z plutonem Solyszki wziął kierunek na prawo od Chachulek, wprost na swe dawne, obsadzone teraz przez bolszewików okopy.

Początkowo tyralierka posuwała się równo i swobodnie wśród nieszkodliwego świstu zabłąkanych kul i wysokich rozprysków nie wiadomo do kogo wystrzelonych szrapneli, gdy jednak minęła zasłonę, jaką stanowiła płonąca wieś, wpadła w tak wściekły ogień karabinów maszynowych, że runęła w miejscu, jakby w nią piorun strzelił. Dalszy ruch wydawał się niemożliwy. Ale fakt, że ogień szedł z własnych okopów, obudził zawziętość strzelców. Wgryzali się po prostu w sypką ziemię, czołgając się wciąż naprzód, bijąc z karabinów zza każdego krzaczka czy kopczyka, nawołując się i zachęcając wzajemnie, pomimo że wokół nich ziemia kipiała od siekącego ją z niesłychaną siłą gradu niku i ołowiu.

Do stanowisk bolszewickich nie było więcej jak sto

pięćdziesiąt metrów. Widać też już było czerniejące wśród zieleni zgłiszcza Sokołowszczyzny, a z zarośli olszynowych i boru, gdzie ciągnęły się okopy przedmieścia, poprzez nieustanny warkot kulomiotów dochodził chwilami zgietk walczącego tam batalionu. Niemniej jednak uderzenie na bagnety wskutek zbyt gęstego ognia bolszewickiego było wręcz niemożliwe.

Na szczęście zjawiała się tu niespodziewana pomoc. Pluton Paprosińskiego po zdobyciu Śmigalszczyzny skierował zabraną bolszewikom karabin maszynowy na lewy skraj wioski, natychmiast otwierając ogień wzdłuż Auty.

Kiedy załomotała długa i równa seria maszynowa, nieprzyjacielska obsada okopów widocznie straciła serce. Ogień jej osłabł wybitnie. Serie kulomiotów rwały się raz po raz. Skorzystał z tego Ludomski i rzucił się naprzód z okrzykiem.

– Hurrra! – zawyla za nim kompania.

Bolszewicy zatrzepotali się w zaroślach niby wypłoszone ptactwo. W obłąkanym pośpiechu wyskakowali z rowów, wyciągali swoje maszynki i zmykali milczkiem.

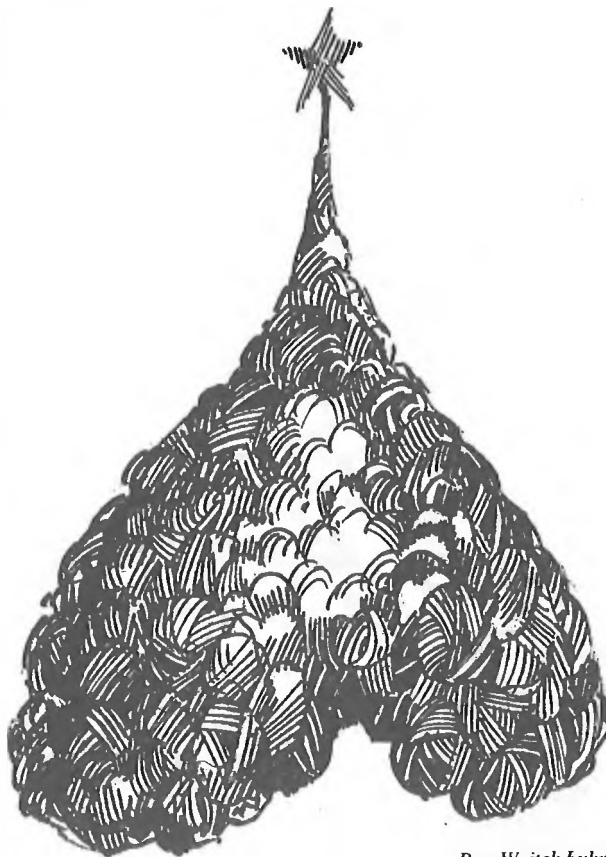
W ten sposób kompania znalazła się z powrotem w swoich dawnych okopach.

Zrobiły one teraz na niej niezmiernie ponure i przykre wrażenie. Przede wszystkim napelnił je nieznośny wraży smród. Dno rowu oraz świeżo przez bolszewików wykopane wnęki strzeleckie zakopcone były tysiącami łusek karabinowych, pokrwawionymi szarpkami i bandażami tudzież tekturowymi paczkami na ładunki. Gdziekolwiek czerniały krwawe plamy.

Sześciu poległych towarzyszy, jak ich zostawiła kompania, obdartych było do naga. Jedyne na szyjach zostawiono im brudne tasiemki z „fasowanymi” krzyżkami z blachy czy też z przepoconymi szkaplerzami na dowód, że przedmioty te nie podlegają prawu popytu i podaży po drugiej stronie frontu. Wszyscy leżeli w pozach rzeczy, które szarpano, obracano i wreszcie porzucano. Poza tym byli jacyś żołci, zakurzeni, umorusani zaschlą krwią, tak że ich zupełnie nie można było rozpoznać.

Uciekający bolszewicy pozostawili również dwóch swoich nieboszczyków, skulonych w jakimś wykrocie. Obaj mieli strzaskane głowy. Jednemu urwało całą dolną szczękę. Leżał z nogami sterzczącymi nad rowem, a głową w dole, tak że jego odsłonięte, szare z upływu krwi podniebienie sprawiało wrażenie rozdziałionej paszczy nieznanego gada. W ogóle egzotycznie obco czuli się strzelcy w tej siedzibie, stworzonej po części własnymi rękami, w której przeżyli przecie kawał swego życia, życia ludzi wróconych do pierwotnego stanu.

Na sterzącym z boku chodnika palu przed schronem kancelaryjnym stał nadal zapomniany w odwrocie i nie wiadomo w jaki



Rys. Wojtek Łuka

sposób ocalony od bolszewików czworokątny budzik pisarza Cewowskiego.

– Panie Czewowszki, panowy zegar! – zawołał Robak.

Ponury pisarz zwrócił ku niemu swą drewnianą twarz.

– Widzę – odrzekł z apatycznym spokojem człowieka, który w ostatnich czasach poznał bardzo wiele smutnych dziwów świata.

– Jak pan go nie bierze, to ja go wezmę – powiedział ostatni z Robaków i zaczął ładować instrument do chlebaka.

Inni żołnierze tymczasem darli się już na wierzch okopów i brnęli przez rzeczkę w ślad za uchodzącym nieprzyjacielem.

Gdy tylko pierwsi z nich ukazali swe twarze w nadbrzeżnych zaroślach, powitał ich ryk zachwytu, jaki nigdy chyba nie był udziałem najcudowniejszej primadonny, ukazującej swe olśniewającej piękności wdzięki publiczności, złożonej z jej najzarliwszych wielbicieli. To radował się trzeci batalion na widok odsieczki.

Zaraz też z okopów przyczółka zaczął się ciągnąć długi sznur biegnących gęsiego żołnierzy. Mknęli w stronę kompanii Ludomskiego nachyleni do samej ziemi, pod siekącym stale deszczem kul, obarczeni plecakami, zwiniętymi płaszczami, kocami, chlebakami, menażkami... Dobiegłszy na kilkanaście kroków zwrócili się w lewo tworząc w miejscu tyralierę i otwierając ogień. Czynie to wszystko sprawnie i zwinnie, na kształt tanecznego korowodu dziewcząt kabaretowych, wykonującego wdzięczne obroty.

Najbliżsi zaczęli wołać w stronę kompanii Ludomskiego.

– Aleście też nogowali, psia wasza okopcona. Pies że z wami tańcował!

Po czemu font cykorii?

Podniecony Hajduś przyłożył dłoń do ust i odkrzyknął z miejsca:

W pięcie nas pocałujcie, żeśmy wrócili! Żeby nie my, już by tu z was był gulasz z papryką!

Młodziutki i różowiutki oficerek podbiegł do Ludomskiego i podał mu rękę z uroczystą powagą, która pozwalała się domyślać, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby to powitanie wodzów posłużyło za temat dla wspaniałego obrazu historycznego. Oświadczył mu przy tym, że został przysłany przez dowódcę pierwszego batalionu celem wsparcia go do czasu, gdy przedmieście zostanie opróżnione.

Tymczasem ogień karabinowy wzmagał się. Widocznie bolszewicy znowu przechodzili do natarcia. Z lasu za Autą zaczął terkotać karabin maszynowy, omiatając okopy syczącą strugą kurzu. Zarazem wzrastał hałas i strzelanina za Śmigalszczyzną. Kule gwizdały z tej strony coraz bardziej natarczywie. Gdy zaś jeszcze zaczęły bzykać pospieszne serie kulomiotu, strzelcy pokucali w rowie, bojąc się wystawiać nawet czubki hełmów. Widocznie sytuacja znowu się pogarszała i lada chwila przyczółek, a wraz z nim i kompania Ludomskiego mogły zostać z powrotem odcięte od reszty pułku.

Wobec tego Ludomski pozostawił w okopach młodziutkiego oficerka z jego ludźmi, a sam ze swoimi ruszył wzdłuż Auty na Śmigalszczyznę, aby wstrzymać ile możności parcie nieprzyjaciela z tej strony.

Kompania posuwała się pod takim ogniem maszynek, że ziemia podnosiła się przed nią i za nią.

Śmigalszczyzna rozbrzmiewała kanonadą. Wśród gęstych zasłon dymu i brudnoczerwonych grzebieni ognia płonących chałup i stodoł widać było sylwetki

przebiegających żołnierzy. Słychać też było ciężkie łomotanie karabinu maszynowego. W pewnej chwili Ludomski ujrzał nawet na moment wśród pożarnej zawieruchy jego sylwetkę pod jakimś ocalałym płotem. Zdawało mu się, że widział również przy nim Paprosińskiego, jak stał z lornetą przy oczach. Tymczasem gdy dopadł wioski, okazała się ona zupełnie pusta, jakby to, co widział przed minutą zaledwie, było jakimś urojeniem jedynie. Dym, szum, trzask ognia, kłęby sadzy, niezdolne gorąco i przeciągłe zawrodożenie pędzących we wszystkich kierunkach kul karabinowych otoczyły kompanię, która zbitą gromadką posuwała się, już wolniej nieco, zamgloną i jakby rozplywającą się od żaru drogą.

Ludomski przestał się orientować w położeniu. Domyślał się, że Polacy zostali wyparci ze Śmigalszczyzny ponownie, ale skąd szło natarcie bolszewickie i w jakim kierunku wycofał się Paprosiński z resztą kompanii, nie wiedział zupełnie. Pierwszą więc jego myślą było wydostać się z wioski, aby osiągnąć szerszy widnokraj. Ruszył więc wprost między żarzące się opłotki i jakby wirujące w huraganie ognia i dymu stodoły.

Gorące sadze zaważyły mu oczy, nos i gardło. Rozpalone powietrze nie nadawało się do oddychania. Ogarnęło go ono jak żywy płomień, tak iż miał wrażenie, jakby włosy i mundur już się na nim paliły. Nie cofnął się jednak. Obejrzał się w tył i zobaczył poskręcane od żaru postacie swoich ludzi, jak brnęli za nim zasłaniając rękawami twarze.

Przed nim kłębiła się sinoczerwona ściana dwóch płonących brogów. Chmura niesionych wiatrem płonących ździebeł obsiadła go niby rój podrażnionych pszczoł. Zakrył twarz obu pięściami.

Jeszcze parę kroków i będzie mógł spojrzeć i złapać w piersi świeżego powietrza. Już!...

Przez chwilę spoza opalonych rzęs widzi tylko czerwone plamy i deszcz latających czarnych cętek. Uszu jego dochodzi hurkot bijącej artylerii, turkotanie karabinów i wielka pomieszana wrzawa głosów ludzkich...

Wreszcie oczy odzyskały zupełną zdolność widzenia. Pole przed wsią pokryte było nieprzejrzanym tłumem pędzących na wieś bolszewików. Kilku oficerów na koniach, z rewolwerami w rękach wskazywało ukazującą się kompanię.

Wpieriod, towarzyszczi! Wpieriod! Urrra!

Ludomski gwałtownym odruchem rozrzucił ramiona na boki.

– W tyraliery! Hurra!

Kompania rozsypała się z ogromnym krzykiem i rzuciła na bolszewików jak gromadka wilków na nieprzejrzane stado płochliwych owiec. Żadna siła ludzka nie zdołałaby wpędzić strzelców z powrotem do płonącej wsi.

Bolszewicy, zdumieni tym śmiałym ruchem, zaczęli się zatrzymywać. Kulisa dymu i ognia, zza której uchodziło przeciwuderzenie, nie pozwalała się im zorientować, jaka była jego siła. Tymczasem Polacy otworzyli ogień na bliską odległość. Paru krasnoarmiejców padło na ziemię, inni zaczęli się cofać.

Jeden z ich oficerów skręcił konia, aby ich powstrzymać, ale obalił się w miejscu. Wydobyszy się spod szamoczącego się rumaka, jął go ciągnąć za cugle. Czapka spadła mu przy tym i widać było jego wąską czaszkę z długą zatoką łysiny.

Hajduś, będący najbliżej, podskoczył i wyrznął go z góry kolbą, aż wywinął kozła.

Kompania przyjęła to gromkim śmiechem. Bolszewicy zmiatali już co sił. Strzelcy sadzili za nimi.

POEZJA LEGIONÓW

ALFONS DZIĘCIOŁOWSKI

Pieśń o Józefie Piłsudskim

Ani kontusz na nim aksamitny,
Ani pas go zdobi lity, słucki,
W szarej burce, lecz duchem błękitny
Jedzie polem brygadier Piłsudski.

Ręce cicho na łęku oparte,
Patrzy twardo w wir śnieżnej zawiei,
Śród pustkowią sprawuje swą wartę,
Nieśmiertelnej brygadier nadziei.

Były lata zła, nędzy i głodu,
Aż się ozwał głos walki z barykad –
Zapomniane już krzywdy narodu,
Kto dziś mściwi – romantyk, unikat.

Niewolnictwo zmroczyło krwi tętno,
Przygłuszyło wolności głos ludzki.
Ten ci krwią ją miłuje namiętą,
Wartujący brygadier Piłsudski.

Poczerniały od mroków więzienia,
Kędy nie masz uśmiechów radości –
Termopilczyk, gdy inni znużeni,
Czuwa bacznie w serdecznej wierności.

I ołowiem tnie w ruskie okopy.
A strzał każdy wśród wrogów śmierć wznieca,
Stoi w mroku pod bokiemi Europy
Niepodległej Ojczyzny forteca.

Sztandar z Orłem powiewa na wale –
Któż się zdobył na trud ten nadludzki?
Sztandar Polski wzniosł w niebo zuchwale
Wartujący brygadier Piłsudski.

Warszawa, w sierpniu 1915

JULIAN EJSMOND

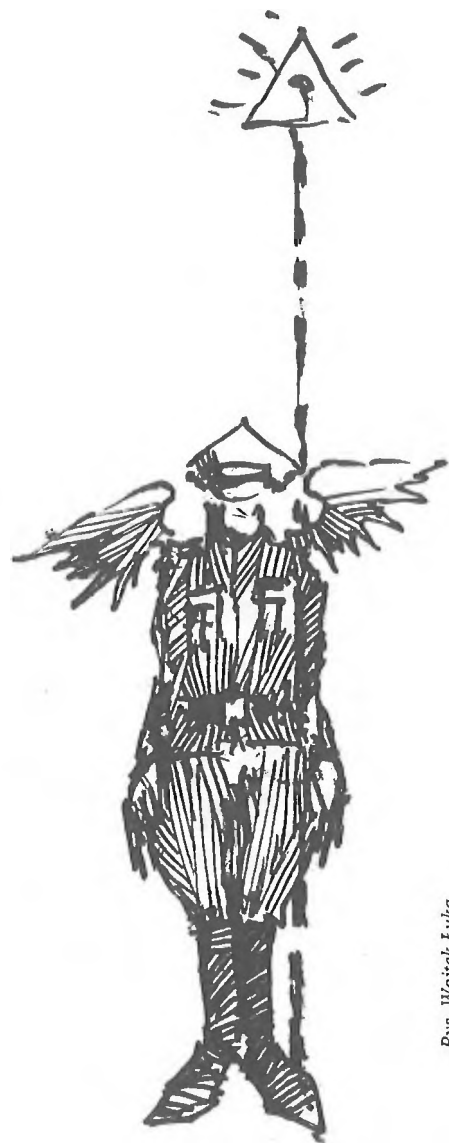
Do Polski

Wykotysały Ciebie poznańskie równiny...
Nad Gopłem przepędziłaś Twe lata dziecięce,
rozkochana w kruszwickich słowików piosence
i w brzęku złotych barci Piastowskiej krainy.

Kraków odział Cię w pysznych królów karmazyny
i poczęłaś miłować szereg rycerskiej zbroi
i szum skrzydeł husarskich... A synowie Twój
rozszerzyli praojców potężne dziedziny.

Świat cały bił poklony stołecznej Warszawie,
aż dnia pewnego ujrział, z podziwienia niemy,
iż umierasz, w przepychu będąca i sławie...

Lecz nie zginęłaś, Polsko, póki my żyjemy!...
Niezadługo pochylą przed Tobą sztandary
I Poznań, i Warszawa, i Kraków prastary...



Rys. Wojtek Łutka

Ta, co nie zginęła

1

*Rozdzielił nas, mój bracie,
zły los i trzyma straż –
w dwóch wrogich sobie szaińcach
patrzemy śmierci w twarz.*

*W okopach pełnych jęku,
wsluchani w armat huk,
stoimy na wprost siebie –
ja – wróg twój, ty – mój wróg!*

*Las płacze, ziemia płacze,
świat cały w ogniu drży...
W dwóch wrogich sobie szaińcach
stoimy – ja i ty.*

2

*Zaledwie wczesnym rankiem
armaty zaczęły grać,
ty świstem kul morderczym
o sobie dajesz znać.*

*Na nasze niskie szaińce
szrapnelów rzucasz grad
i wołasz mnie, i mówisz:
– To ja, twój brat... twój brat!*

*Las płacze, ziemia płacze,
w pożarach stoi świat,
a ty wciąż mówisz do mnie:
– To ja, twój brat... twój brat!*

3

*O, nie myśl o mnie, bracie,
w śmiertelny idąc bój,
i w ogniu moich strzałów
jak rycerz mężnie stój!*

*A gdy mnie z dala ujrzysz,
od razu bierz na cel
i do polskiego serca
moskiewską kulą strzel.*

*Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że ta, CO NIE ZGINĘŁA,
wyrośnie z naszej krwi.*



Rys. Wojtek Łuka

JAN LECHOŃ

Z cyklu „Polonia Resurrecta”

*Da Bóg nam kiedyś zasiąść w Polsce wolnej,
Od żyta złotej, od lasów szumiącej,
Da Bóg, a przyjdzie dzień nieustający
Dla srebrnych pługów udreki mozolnej.*

*Jeszcze oddźwiękną kamienie na młoty
I z twardym ziemia pogada lemieszem,
I z wszystkich jeszcze kamieni wykrzeszem
Iskier snop złoty.*

*Więc gdy wiosennym oglądam wieczorem
W mgły otuloną zagonów szarzyznę,
Ktoś w moim sercu wykuwa toporem
Moją ojczyznę.*

Rozdziobią nas...

*Rozdziobią nas kruki, wrony
na obcych pobojuwiskach,
Strach ślepy, gość nieproszony
Siądzie przy naszych ogniskach.*

*Pójdziemy głodni i chłodni,
Bez domu i dachu wszędzie,
A wschodni wiatr i zachodni
Każdy nam w oczy wiać będzie...*

W bieżącym roku 2008 obchodzimy dziewięćdziesiąt rocznicę odzyskania przez Polskę tyle oczekiwanej Niepodległości. Był to wzruszający moment, gdy Tymczasowy Naczelnik młodej Rzeczypospolitej mógł już w listopadzie 1918 roku wysłać szyfrówkę do rządów krajów na całym świecie, powiadamiając je o fakcie powstania Niepodległego Państwa Polskiego. Zanim to nastąpiło musiał przez wiele lat działać niepodległościowych, konspiracyjnych, militarnych torować drogi do wymarzonej, wolnej od zaborców, ojczyzny. Ten Tymczasowy Naczelnik, zresztą rychło mianowany Naczelnikiem, znany był Polakom jako Brygadier, Komendant Legionów, najczęściej jednak jako „Dziadek”. Skąd to imię?...

„Dziadek”, komendant i niepodległa Polska

WŁODZIMIERZ
WÓJCIK

O becnie żyjąca młodzież nie ma wątpliwości, że dziadkiem jest ojciec mamy, czy też taty. Kilkadziesiąt lat temu – a ściślej rzecz ujmując przed rokiem 1939 – sprawa nie była taka prosta i jednoznaczna. Dlaczego? Domowi, rodzinni dziadkowie zwykle cieszyli się szacunkiem i miłością wnucząt, ale oprócz nich w świadomości ogółu funkcjonowało pojęcie „Dziadka” utożsamiane po prostu z Józefem Piłsudskim. Powszechnie wiadziiano, że urodził się na Litwie, w Żuławie pod Wilnem 5 grudnia 1867 roku jako syn Józefa Wincentego i Marii z Billewiczów. Było to po upadku powstania styczniowego, a więc w klimacie żaloby narodowej. Wielkie znaczenie ma to, że w domu Piłsudskich panował klimat szczególnej pogardy wobec funkcjonariuszy carskich urzędów, jacy niekiedy nachodzili ten patriotyczny dom. Zbuntowany przeciw niewoli Piłsudski kończy wileńskie gimnazjum i w roku 1885 rozpoczyna w Charkowie studia medyczne. Jako zdecydowany „buntownik”, biorący czynny udział w rozruchach studenckich zostaje – co w tamtych czasach było „naturalne” – relegowany z uczelni. Gdy wrócił do rodzinnego Wilna, został włączony w przygotowywany spisek na życie cara Aleksandra III. Aresztowany przez władze rosyjskie,

został skazany na pięcioletni okres zsyłki na Syberię. Tam, na Wschodzie kontaktował się z zesłańcami powstania styczniowego (Bronisław Szwarce) i wraz z nimi analizował przebieg powstania 1863 roku. Chodziło mu o to, aby w dalszych zrywach niepodległościowych nie popełniać pewnych błędów, których nie uniknął wielki patriota Romuald Traugutt.

Gdy wrócił do kraju

Do Polski wrócił w roku 1892 i zaraz bardzo żywo zaangażował się w proces tworzenia Polskiej Partii Socjalistycznej. Przyjął konspiracyjny pseudonim „Wiktor” i podjął się redagowania organu prasowego tej organizacji pod znaczącą nazwą „Robotnik”. W tej niebezpiecznej pracy pomagała mu Maria Juszkiewiczowa z Koplewskich, którą w tym czasie poślubił. Aresztowany w łódzkiej redakcji pisma został osadzony przez Rosjan w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Udając obłądka spowodował wysłanie go na badania psychiatryczne do Petersburga, skąd uciekł, by w roku 1901 osiedlić się w Galicji. Zakłada Organizację Bojową Polskiej Partii Socjalistycznej, która odegrała niezwykle ważną rolę w inspirowaniu rewolucyjnych wystąpień w Polsce lat 1905-1907. Bogatszy o do-

świadczenia zdobyte podczas tych wystąpień, Piłsudski – przewidując zbliżające się konflikty pomiędzy państwami zaborczymi – powołuje do życia, działając w zaborze austriackim legalnie, organizacje: „Związek Strzelecki”, „Strzelec”, „Drużyny Strzeleckie”. Od roku 1912 jest tych organizacji Komendantem Głównym. Gdy w 1914 roku wybuchła wojna światowa, uformował za zgodą władz austriackich Legiony Polskie. Dowodził osobiście I Brygadą. W nocy z 5 na 6 sierpnia skierował – z krakowskiej ulicy Oleandry, gdzie stacjonował – Pierwszą Kompanię Kadrową pod dowództwem Tadeusza Kasprzyckiego ku granicy rosyjskiej i ku Kielcom. Rozpoczęła się legendarna droga bojowa Polskich Legionów.

Skąd wzięło się pojęcie „Dziadka” – Piłsudskiego? Sprawę można tłumaczyć niejako w dwojaki sposób. Kiedy na gruncie krakowskim i zakopiańskim na progu naszego stulecia Piłsudski zaczął tworzyć owe związki strzeleckie oraz drużyny strzeleckie – realne podwaliny przyszłej armii polskiej – masowo garnęli się do niego młodzi, nawet bardzo młodzi ludzie, różnych stanów i profesji oraz niemal ze wszystkich zaborów: z Warszawy, Plocka (legendarny Władysław Broniewski), Łodzi, Krakowa, ze Lwowa i innych miast i miejscowości. Także ze Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego: a więc z Cieszyna, Katowic, Bytomia, Sosnowca, Będzina czy Dąbrowy Górniczej. Po wybuchu wojny światowej, kiedy to 6 sierpnia 1914 roku „pierwsza kompania kadrowa” wyruszyła z krakowskich Oleandrów w bój przeciw Moskalom, ów komendant miał 47 lat. Jego chłopcy, w „szarych” maciejówkach i w „szarych”, prostych mundurach, pałacy się do walki, często byli po prostu szesnasto-, siedemnastoletnimi „gołowasami”. Pewna różnica wieku – około lat trzydziestu – istniała, to prawda; ale nie była metrykalnie aż tak wielka, aby uprawniała do nazywania go „dziadkiem”. Więc, co? Wyjaśnienie znajdzie się zapewne wówczas, gdy spróbujemy spojrzeć na rzeczywiste funkcjonowanie znaczenia tego rzeczownika na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Nie czas i miejsce na wertowanie słowników. Posłużmy się po prostu cytatem pierwszej zwrotki wiersza młodopolskiego poety, zresztą żołnierza legionowego, Jerzego Żuławskiego, wiersza pod tytułem Do moich synów:

*Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzyl świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!*

Widać tedy, że znaczenie tego pojęcia okazuje się w świetle przytoczonych wersów dość jasne. „Dziadek”, to ten członek rodziny, który jest fundamentem tradycji walki narodowo-wyzwoleńczej; jest otuchą dla całego rodu, ostoją wartości wyższego rzędu, spoiwem duchowym, mądrością i dzielnością. Dalsza egzegeza nie jest konieczna. To wystar-

czy. „Dziadek” – Piłsudski był po prostu tym wspaniałym autorytetem, seniorem wielkiej rodziny legionowej. „Komendant”, „Brygadier”, „Ziuk” i w jednej osobie „Dziadek” bywał ze swoimi strzelcami wszędzie. Dzielili z nimi niebezpieczeństwa i niewygody, sypiali z nimi w jednej izbie, jadali te same, co oni, potrawy. Po prostu ich cenili i lubili. Nic dziwnego, że ci szukali każdej okazji, aby mu okazać szacunek i zwyczajną miłość. Nazywając go „Dziadkiem” starali się akcentować ideowe pokrewieństwo z nim jako uosobieniem ofiarnej walki o wolną Polskę, o którą przez dziesięciolecia modlili się swoją poezją wielu romantycy: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, a później już Żeromski czy Stanisław Wyspiański.

Dlatego też 19 marca każdego roku szły ku Piłsudskiemu najcieplejsze myśli jego żołnierzy, wszystkich polskich patriotów, starych i młodych, zwłaszcza jednak dzieci, które nad wyraz autentycznie uwielbiały i które rozumiał. Tak było w latach wojny, w czasie obrony Warszawy przed nawałą bolszewicką, jak i w Polsce Niepodległej.

Wśród pisarzy

W środowisku krakowskim Piłsudski przykładał dużą wagę do współpracy z ludźmi pióra. Był przekonany – i to całkiem słusznie – że polscy pisarze, jak zwykle bywało, odegrają ważną rolę w mobilizacji narodu do walki wyzwoleniczej. Zalażył w tym celu w Krakowie Towarzystwo Wydawnicze „Książka”, które miało ogłaszać drukiem prawdziwie wartościowe, ambitne dzieła polskich pisarzy. W tym czasie skupili się wokół Brygadiera, Komendanta twórcy tej rangi, co Stanisław Wyspiański, autor *Wesela*, *Wyzwolenia*, *Nocy listopadowej*, Stefan Żeromski – ze słynnymi dziełami: *Wierna rzeka*, *Popioły*, z opowiadaniem z tomu *O żołnierzu tułaczku*. Bliski mu był Gustaw Daniłowski, który sportretował Piłsudskiego-„Mieczysława” na progu wieku w powieści *Z minionych dni*. Blisko Komendanta byli: Juliusz Kaden-Bandrowski, Andrzej Strug, Waclaw Sieroszewski, Władysław Orkan, Stanisław Baczyński (późniejszy ojciec poety, Krzysztofa Kamila), wreszcie Władysław Orkan (*Drogą czwartaków*). W wyraźnym związku z irredentą pozostawał Stanisław Witkiewicz, który początkowo nie wierzył w skuteczność militarnych wystąpień, lecz po wybuchu wojny wyraźnie się przekonał do inicjatyw Piłsudskiego i wyraźnie w *Listach do siostry* poparł jego działania.



Józef Piłsudski, rys. Edward Glowacki

Za sprawą pism tych autorów rodziła się sława Piłsudskiego jako bohatera literatury, przekształcająca się w miarę upływu czasu w jego literacką legendę. Legendę tę wspierali twórcy, którzy wielokrotnie osobiście się z nim nie spotykali. Byli to w pierwszym rzędzie liczni poeci okresu Młodej Polski: Franciszka Arnsztajnowa, Julian Ejsmond, Maria Czerkawska, Benedykt Hertz, Jan Lemański, Ludwik Hieronim Morstin, Jan Rundbaken, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Henryk Zbierzchowski. Wielu też służyło w Legionach i tworzyło pieśni i teksty poetyckie w marszu, na postoju, czy w okopach podczas walki. Są to: Lucjan Andre, Waclaw Denhoff-Czarnecki, Stanisław Długosz, Edward Ligodzki, Bolesław Lubicz, Józef Mączka, Józef Relidzyński, Edward Słoński, Józef Andrzej Teslar, Tadeusz Szantoch, czy autor słynnego wiersza *Do moich synów* – Jerzy Żuławski.

W dwudziestoleciu międzywojennym pomnożyła się liczba poetów zafascynowanych Piłsudskim. Mamy na uwadze Jana Lechonia (*Karmazynowy poemat*), Kazimierza Wierzyńskiego (*Wolność tragiczna*), Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, Jana Brzechwę, Józefa Łobodowskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Jerzego Brauna, Romana Kołonieckiego, Mariana Piechala (*Elegie calopalne*), Witolda Zechentera i wielu innych.

W czasie wojny, w okopach, na postoju, w czasie marszu, wreszcie w Polsce międzywojennej rodziły się wiersze i teksty piosenek o ulubionym wodzu, co „jedzie, jedzie na Kasztance” w „sza-

rym” stroju, ale ma „serce ze złota”. W wierszu Kreczmara *Na warcie* (1919) czytamy: – *Więc nie w wstęg generalskich purpurze, / Nie w insygniach złotych dygnitarzy, / Jenoś w szarym żołnierskim mundurze*. W tym tonie wypowiedział się Orłowski, pisząc w wierszu *Wielki dzień Sejmu* (1919): *Nie w orderach błyszczących, w purpurze, / Ni kołnierza nie stroi mu złoto – / Stanął w szarym, bez ozdób, mundurze / Ze szlachetną swą duszą prostotą (...)*.

Za sprawą wybitnych poetów, a i zwykłych amatorów, powstawały „powinszowania w dniu imienin”. Po skończonych działaniach wojennych, w Niepodległej Polsce, na imieniny Józefa, do Belwederu i Sulejówka spontanicznie płynęła prawdziwa rzeka szczerych życzeń, w tym życzeń mających kształt poetycki. Także po 1935 roku, a więc po zgonie Pierwszego Marszałka, co roku 19 marca pod jego portretem składano kwiaty, urządzano uroczystości, recytowano wiersze.

Piłsudski stał się symbolem i synonimem Niepodległości. Internowany przez Niemców w lipcu 1917 roku więziony był w twierdzy w Magdeburgu. Nie chciał bowiem złożyć przysięgi na wierność wobec państw centralnych. Przez ponad rok żył w osamotnieniu i z dala od Ojczyzny. Z czasem więzienną niedzielę dzielił z nim jego najbliższy współpracownik w działalności niepodległościowej Kazimierz Sosnkowski. Więziony przez Niemców Piłsudski w świadomości swoich rodaków stawał się z dnia na dzień w coraz większym stopniu uosobieniem romantycznych bohaterów, którzy poświęcali życie za Ojczyznę. Wielu czytelnikom dramatów Mickiewicza jawił się po prostu jako uosobienie Konrada osadzonego w celi klasztoru Ojców Bazylianów w Wilnie, zamienionego na więźnia stanu, a także przejmujących utworów Słowackiego. Artur Oppman pisał w wierszu *W X-tą rocznicę wyzwolenia Wilna*:

*Ożył każdy kąt Wilna i ulic załomek,
Rozbrzmiewa przebudzony
Mickiewicza domek,
Tworzoną w jego ścianach pieśnią
narodową;
Z bram uniwersyteckich sypie się
na nowo
Młodzież, w której, jak wulkan
promienieje dusza,
Obok Zana, Czeczota, bladea twarz
Juliusza (...)*

W końcu 1918 roku, gdy zaborcze imperia zaczęły się rozpadać w wirach wojny światowej, Józef Piłsudski został zwolniony. Zjawił się w Warszawie

wieczorem 10 listopada zmęczony i wyczerpany. Następnego dnia powołany został – jak już zaznaczono na początku niniejszych wywodów – na urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa Polskiego, później na Naczelnika. W wielu utworach literackich pisano o nim jako o uosobieniu innego Naczelnika – legendarnego bohatera narodowego spod Raclawic, Tadeusza Kościuszki.

Miejsce w legendzie

Po zwycięstwie w wojnie z bolszewicką Rosją w roku 1920 wielu literatów pisało o nim jako o uosobieniu legendarnej postaci Jana III Sobieskiego, który w walce pod Wiedniem uratował Europę przed turecką nawałą.

Zaangażowany w tworzenie spokojnego ładu młodej Rzeczypospolitej przedstawiany był przez literaturę jako oracz i siewca, niekiedy jako Herakles, który czyści Augiaszowe stajnie z nieczystości. Tadeusz Łopalewski w wierszu *Piłsudski* tak pisał:

*W behederskim ogrodzie wiatr
womny szeleści,
Mgła opada, jak welon z świętego
oblicza,
Z tych oczu już wyzbytych i lez
i boleści,
Którego go urzekła Pani tajemnicza.
Więc w kuźniach dzwonią młoty,
plug zagony orze,
W przedziałniach przedą płóto
błyskawicznie krosna.
Pan Marszałek swe okna na Polskę
otworzył,
Uśmiecha się do dzieci i mówi:
„Już wiosna” ...*

W latach dwudziestych XX wieku dzień 11 listopada został uznany dniem Święta Niepodległości. W okresie wojny i okupacji oraz przez wiele lat powojennych listopadowe święto narodowe skryło się w domach i duszach Polaków, by ostatnio ponownie stać się świętem oficjalnym...

W 2007 roku mieliśmy szczególnie powody, aby przypominać nazwisko legendarnego Polaka. Otóż 5 grudnia minęła 140 rocznica Jego urodzin. To wielka data. Dumny Polak, który oddał całe życie Polsce, miał prawo w testamentie życzyć sobie, aby na jego grobie wryto ulubiony przezeń cytat z pism tak bardzo uwielbianego Juliusza Słowackiego:

*Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast
domu –
Gniazdo na skalach orla... niechaj
unie
Spać – gdy źrenice czerwone od
gromu,
I słyhać... jęk szatanów w sosen
szumie...
Tak żyłem. (...)*

Rzeczywiście tak żył: bohaterko, godnie, czasem tragicznie. Majątku się nie dorobił. Pobory, jakie otrzymywał z tytułu pełnienia funkcji państwowych, w walnej części przeznaczal na wspieranie nauki. Myślał głównie o Polsce. Zintegrowanej, demokratycz-

nej, posiadającej jednolity system legiślacyjny. Nawet willa „Milusin” w Sulejówku – dar serca jego towarzyszy broni – w której mieszkał z drugą żoną Aleksandrą ze Szczerbińskich i córkami, Wandą i Jadwigą, znajduje się od 1939 roku poza rodziną Marszałka. Do dzisiaj – niestety – nie wróciła do prawowitych właścicieli.

Na bankiecie wydanym na cześć pierwszego wojewody śląskiego Józefa Rymera, Piłsudski wypowiedział bardzo znaczące słowa:

Przybyłem wrzuszony do was, tak, jak każdy Polak, który przekracza dawną granicę, która tak niedawno jeszcze była przekleństwem naszego życia. Ludzie jednej mowy, jednej wiary, jednych obyczajów, wąskim pasmem ziemi lub strumykiem oddzieleni zostali jeden od drugiego, zmuszeni żyć różnym życiem, przystosowywać do innych mów, innych wiar, innych zwyczajów. Te paski ziemi były w naszym życiu wiecznym krwawiącą raną nie dającą się zablźnić. Teraz granice te z tragedii zmieniły się w naszą radość – klęska obraziała się w tryumf.

Jeżeli zaś wszystkie granice, dzielące tak niedawno jeszcze Polskę, w chwili gdy się je przebywało, zmuszały do wrzuseń, to ta, którą świeżo przekroczyłem, wznieca wrzuszenie większe i trwalsze, niż wszystkie inne. Najśmielsze marzenia bowiem zatrzymywały się przed nią jak przed murem nieprzebytym, sny nawet nie mogły się ostać wobec – zdawałoby się – oczywistej niemożności. Gdy inne granice były świeże i istniały od jednego wieku zaledwie, ta istniała od dziesiątków i dziesiątków pokoleń, które żyły i umierały z tym przekonaniem, że jest ona trwałą niezłomną. Poczucie więc radości i tryumfu jest tym większe i żywsze.

W dalszej części swojego serdecznego przemówienia do rodaków z Ziemi Śląskiej Piłsudski akcentował urodę tej ziemi i jednocześnie wysoko oceniał wielki potencjał wytwórczy i intelektualny zawarty w człowieku:

Obok lasów ogromnych, przypominających mi pustkowie kresów wschodnich – olbrzymie wytwórnie z dymięciami kominami; obok pierwotnych dzieł Stwórcy – owoc wysiłku wielu tysięcy mózgów i milionów rąk ludzkich; obok prostoty wiejskiego zacisza i leśnych pustkowi – skomplikowane życie nowoczesnego wielkiego przemysłu z jego ustawicznym ruchem i szumem; obok przepięknej staropolskiej mowy – wieża Babel obcych języków.

Ten dziwny szmat ziemi zowie się Śląskiem i żył tak długo, i tak ogromną pełnił życia odrębnego, często zapominany przez resztę Polski. Wobec tego zespolenie naszego życia jest największym cudem spośród wszystkich, które przeżywaliście w ostatnich latach, największym tryumfem spośród naszych tryumfów.

Piłsudski w dalszych swoich wypowiedziach nie krył trudności, jakie się piętrzą przed Polską, polemizował z obiegowymi plotkami głoszącymi kassandryczne wieści, jakoby młoda

Rzeczpospolita była tworem przejściowym i niebawem zniknie z mapy Europy. Aby zadać klam tym czarnym prognozom, należy zjednoczyć siły wszystkich regionów kraju, dokonać zasadniczych zmian w sferze życia gospodarczego i prawno-kulturalnego. Przemówienie swoje kończył w uroczystej i podniosłej tonacji:

Moi panowie, wiecie przecież wszyscy z doświadczenia własnego, że gdy nowe stadło się kojarzy, musi przejść okres, w którym charaktery wzajemnie się dostosowują nabyte w ciągu poprzedniego życia przyzwyczajenia wzajemnie się naginają zanim się ostatecznie osiągnie możliwość zrozumienia się. Proces taki tym szybszym jest i łatwiejszym, im więcej pomiędzy dwojgiem ludzi jest szczerego uczucia miłości.

Moi panowie! Pozwólcie mi być w tym początku wspólnego życia Polski ze Śląskiem możliwie wielkim optymistą gdyż wiem, że jak długa i szeroka jest Polska, nie ma toastu, któryby spełnić można z większym uczuciem miłości, jak toast, który wznoszę, wołając w imieniu Polski: Niech żyje Śląsk!

Widać to wyraźnie, że Piłsudski – legitymujący się wyjątkowym talentem pisarskim jako autor *Bibuły* oraz głośniejszą książką *Moje pierwsze boje* – okazał się niezwykle sprawnym mówcą, budującym swój wywód na niekonwencjonalnych frazach językowych i oryginalnej metaforyce. Wyjątkowo zasadnie łączył elementy racjonalnej argumentacji z żywą tkanką emocjonalną. Z szacunkiem odnosił się do śląskiej mowy, którą wywodził z żywych korzeni staropolszczyzny, a mówiąc o pracy ludzi Śląska wskazywał na jej twórczy charakter. Przecież jest to praca nie tylko milionów rąk, ale także – może przede wszystkim – „wielu tysięcy mózgów”. Wyrażał wielki szacunek wobec społeczności, która poprzez trzy bohaterkie zrywy zbrojne włączyła do Macierzy jakże barwny, jakże twórczy Śląsk.

* * *

Drogi narodu polskiego do Niepodległej znaczone były nazwiskami wybitnych patriotów, bardzo zasłużonych ludzi, pochodzących z najrozmaitszych środowisk społecznych, orientacji ideologicznych i obozów politycznych. Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Roman Dmowski, Józef Ignacy Paderewski, Wojciech Korfanty – to wspaniałe postacie. Pośród nich nazwisko Józefa Piłsudskiego świeci szczególnym światłem. Jest to postać odznaczająca się charyzmą, a on sam jest dla wielu rodaków bohaterem; wielką postacią w najnowszej historii Polski. Jest też niezwykle osobowością, funkcjonującą w blasku legendy... Ważne jest to, że w Katowicach stoją blisko siebie dwa piękne pomniki byłych oponentów; Józefa Piłsudskiego i Wojciecha Korfantego. Jest to dobry znak dla przyszłości Polski...

75 lat Henryka Mikołaja Góreckiego

Siedemdziesięciopięcioletnie wybitnego kompozytora **Henryka Mikołaja Góreckiego**, który urodził się w Czernicy k. Rybnika, przypada 6 grudnia br., lecz stolica nie chcąc się spóźnić (jak w przypadku Wojciecha Kilara) już 1 września br. rozpoczęła obchody Jego jubileuszu. W Teatrze Wielkim Orkiestra Sinfonia Varsovia, pod dyrekcją znanego francuskiego dyrygenta Marca Minkowskiego, z udziałem solistki Marity Solberg (sopran), przygotowała nową interpretację III Symfonii – „Symfonii pieśni żalobnych” z 1976 r., która w latach 90. stała się światowym przebojem. Nowa interpretacja podobala się warszawskim melomanom.

Nasi w Warszawie



browski, łączący Śródmieście z Pragę, zbudowany w latach 1947-1949 z inicjatywy Jerzego Ziętka, według projektu zespołu śląskich inżynierów, w darze dla stolicy, zaczyna się rozpadac. Trzeba kapitalnie wyremontować wiadukt mostu, wymieniając skorodowane elementy. Naprawy wymaga też mur oporowy. Póki co władze miasta poszukują potrzebnych na remont 100 mln zł.

Kuczok i Piekorz znowu razem

W kwietniu br. **Magdalena Piekorz**, po czterech latach przerwy od ostatniego filmu fabularnego, zakończyła w stolicy zdjęcia do swojego drugiego, po pamiętnych „Pręgach”, filmu fabularnego. Także tym razem autorem scenariusza filmu pt. „Senność” jest **Wojciech Kuczok** z Chorzowa.

Duet Kuczok-Piekorz nagród za ten film na 33 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nie otrzymał, podkreślano jednak perfekcyjną jego realizację, że jest wciągający i mówi w swym przesłaniu: idź za swoją miłością. Natomiast na festiwalu w Gdyni nagrody otrzymali dwaj inni Ślązacy pracujący w stolicy: reżyser i scenarzysta – **Maciej Pieprzyc** (ur. w Katowicach) nagrodę za reżyserski debiut filmem „Dirzazgi” o kilku dniach życia młodych ludzi mieszkających w jednym ze śląskich miast oraz aktor **Krzysztof Stroński** (ur. w Pszczynie), wyróżnienie specjalne jury za rolę w filmie Michała Rosy „Rysa”. **Michał Rosa** (ur. 27 września 1963 roku w Zabrzu) otrzymał nagrodę za scenariusz tego filmu, zaś nagrodę za drugoplanową rolę męską w filmie Kasi Adamik „Boisko bezdomnych” – **Eryk Lubos** (ur. 6 września 1974 roku w Tarnowskich Górach). Dodać też trzeba, że Złote Lwy, czyli główną nagrodę zdobył w Gdyni film **Waldemara Krzystka** „Mała Moskwa”, absolwenta wydziału reżyserii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Dwadzieścia lat ustawy Wilczka

W dniu 23 grudnia 1988 roku Sejm uchwalił ustawę o działalności gospodarczej, która zapoczątkowała wprowadzenie wolnego rynku w Polsce. Na jej podstawie każdy miał prawo do podjęcia działalności gospodarczej po zgłoszeniu jej do ewidencji. Ustawa była najkrótszym i najbardziej radykalnym aktem gospodarczym opierającym się na fundamentalnej zasadzie, że wszystko, co nie jest zakazane, jest dozwolone. Tylko w pierwszym roku funkcjonowania ustawy (1989) powstało 2,5 miliona prywatnych przedsiębiorstw, zaś w następnym kolejny milion.

Orędownikiem uchwalenia i autorem ustawy był **Mieczysław Wilczek**, ur. 25 stycznia 1932 roku w Komorowicach Bielskich, absolwent Politechniki Gliwickiej (chemia, miał patent na popularny swego czasu proszek „ixi”), a potem Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, który w 1998 roku, za czasów tzw. komunizmu, będąc prywatnym przedsiębiorcą został ministrem przemysłu w rządzie M.F. Rakowskiego, co było niebywałym wydarzeniem w ówczesnej rzeczywistości. Potem coraz bardziej ograniczając wolność gospodarowania, utrudniając życie wolnym przedsiębiorcom.

Bytom wygrał ze stolicą

Dwa lata temu historyk **Przemysław Nadolski** zaalarmował opinię publiczną, że pomnik śpiącego lwa przy bocznym wejściu do warszawskiego ogrodu zoologicznego, należał do Bytomia po czym, po drugiej wojnie światowej, w niewyjaśnionych okolicznościach, zginął z miejskiego parku w tym mieście, by pojawić się w 1953 roku w Warszawie. Stolica opierała się przed zwrotem pomnika, lecz gdy przedstawiciele miasta przedstawili posiadany rachunek za wykonanie tej rzeźby w odlewni w Berlinie w 1873 roku, ustąpiono oddając oryginał do Bytomia. Warszawa musi zadołować się jej kopią odlaną w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych.

Lech Majewski w Zachęcie

Prawie przez całe wakacje (od 12 lipca do 30 sierpnia 2008 r.) Narodową Galerię Zachęta w Warszawie „okupował” artysta znany w świecie, wystawiany w najbardziej prestiżowych galeriach największych metropolii, **Lech Majewski** (urodzony 30 sierpnia 1953 roku w Katowicach) – poeta, malarz, reżyser teatralny i filmowy oraz pisarz, pracujący głównie za granicą.

W Zachęcie pokazywał, po raz pierwszy w Polsce, swoje najwybitniejsze videoarty, takie jak: *Zabawka*, *Sobowtór*, *Ofelia*, *Straż Półarna*, *Zbrodnie i kary*, *Obiad*, *Sznurówki*, *Muzeum*, *Mleko*, *Kochankowie*, *Jaguar* oraz korespondujące z nimi rzeźby. Artysta ciągle poszukuje, w niezgodzie z rzeczywistością, własnej tożsamości, genealogii i biografii. Sporo w jego dziełach lęków i cielesności oraz poszukiwania relacji życia ze śmiercią. Lech Majewski wyreżyserował filmy „Wojacek” (1999) i „Angelus” (2001), które przyniosły mu także uznanie i nagrody na filmowych festiwalach.

Medaliści rodem ze Śląska

Po nerwowych dniach oczekiwania, pierwszy i do tego srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie, zdobyła dla Polski drużyna szpadzistów, w składzie której wystąpił zawodnik Piasta Gliwice **Adam Wiercioch**. Natomiast złoty medal olimpijski zdobył gimnastyk, urodzony 1 marca 1977 r. w Jastrzębiu Zdroju, w latach 1986-1997 członek klubu KG Radlin – **Leszek Błanik**.

Nie są to jedyni olimpijczy medaliści rodem ze Śląska, bo oto dla Niemiec brązowy i srebrny medal w kajakarstwie zdobył w Pekinie, złoty medalista poprzedniej olimpiady w Atenach i trzykrotny mistrz świata – **Thomas Wylenzek**

ur. w Świerklańcu, który po pierwszych sukcesach w Polsce, mając 17 lat, osiadł w 2000 roku w Niemczech, gdzie mieszkała jego matka.

150 lat śląskiego osadnictwa w Teksasie

W Łazienkach Królewskich w Warszawie w Muzeum Wychodźstwa Polskiego im. I. J. Paderewskiego mieszczącym się w dawnej Podchorążówce, prawie całe lato prezentowano wystawę „**Panna Maria – 150 lat śląskiego osadnictwa w Teksasie**”. Można było zobaczyć liczne zdjęcia i dokumenty z rodzinnych miejscowości emigrantów ze Śląska, z najbardziej znanej wsią Pluźnica, z której wywodził się główny inicjator tej emigracji za chlebem, ks. Leopold Moczygamba oraz ukazujących ich morderczą drogę do Ameryki, a potem przez amerykański kontynent aż do Teksasu, gdzie się osadzili. Nie zawsze byli tu zycielwie przyjmowani m.in. przez Indian, do których kiedyś należały te ziemie. Można też było zobaczyć 40-minutowy film obrazujący tamtą dramaturgię oraz dzisiaj sły dzień śląskich Teksasńczyków, którzy założyli w Teksasie miejscowość Panna Maria. Wielu potomków tamtych emigrantów zachowało znajomość języka polskiego, w gwarze śląskiej, nieskażonej późniejszą germanizacją.

Sojka ciągle w formie

Stanisław Sojka (Soyka) wokalista, pianista i kompozytor, ur. 26 kwietnia 1959 roku w Zorach, zbliża się do sześćdziesiątki, ciągle utrzymuje się w świetnej formie i sporo koncertuje, nie tylko w Polsce. Debiutował trzydziści lat temu recitalem w Filharmonii Narodowej w 1978 roku, w ramach cyklu „Jazz w Filharmonii”. Wielokrotnie był wybierany najlepszym wokalistą jazzowym w Polsce. Nagrał 25 płyt solowych. Wiele jego kompozycji weszło na stałe do klasyki polskiej muzyki jazzowej i rozrywkowej. W 1995 roku nagrywa sonety W. Szekspira (w tłumaczeniu M. Słomczyńskiego i J. Barańczaka). Suplement tego nagrania w języku oryginalnym wreczył osobiście królowej Elżbiecie II w czasie jej wizyty w Polsce w 1996 roku. W 2003 nagrał „Tryptyk Rzymski” Jana Pawła II, którego fragmenty przedstawił 4 listopada 2003 roku w Watykanie podczas koncertu z okazji imienin papieża. Wiadano, że autor „Tryptyku” bił mu brawo!

Most Śląsko-Dąbrowski do remontu

Dość nieoczekiwanie odkryto, że już prawie sześćdziesięcioletni most Śląsko-Dą-

Na Francuskiej wysiadłem około 11.30. Niespecjalnie zatłoczony, acz przypominający w środku saunę autobus linii nr 1 pojechał dalej w dół, do Warszawskiej, a następnie na Korfantego, tymczasem ja z przystanku ruszyłem od razu w kierunku Wydziału Filologicznego UŚ, gdzie w tamtejszej księgarni zamierzałem nabyć kilka *wysznupanych* wcześniej w internecie pozycji książkowych.

Beatlesi w Katowicach

PIOTR
DRZYŻGA

Podróż – jak zresztą zawsze idąc od Francuskiej ulicą Ligońską – spoglądałem z ukontentowaniem na fachwerkowskie wykończenia wieńczące fasady stojących tam kamienic. Charakterystyczne dla wszystkich budynków z elementami muru pruskiego detale i zdobienia miały swój urok, któremu od lat nie potrafiłem się oprzeć.

Chwilę później miało się okazać, że cel mojej podróży nie zostanie osiągnięty tak szybko jakbym sobie tego życzył. Księgarnia mieszcząca się w dopiero co odnowionym budynku wydziału była tego dnia – z uwagi na okres wakacyjny – zamknięta. A tak nawiasem mówiąc – czy 45 minut jazdy autobusem z Tychów i kilka godzin, jakie tego dnia planowałem spędzić w Katowicach, można od razu szumnie nazywać podróżą, czy – nie daj Boże – podróżą sentymentalną? Był to raczej najwycieczniejszy (tak przynajmniej wówczas myślałem) w świecie przyjazd, którego dopuszczał się najwycieczniejszy absolwent uniwersytetu, który mury szacownej uczelni opuścił parę lat temu, ale mentalnie jakoś nigdy nie mógł tak naprawdę rozstać się z nią na dobre. Stąd właśnie tego typu niezapowiedziane wizyty, składane w wydziałowej księgarni od czasu do czasu...

Skoro nie udało się na placu Sejmu Śląskiego (bo *zawarte*), to może uda się na Bankowej, w budynku rektoratu dostać upatrzone tytuły – pomyślałem i ruszyłem w dalszą drogę. Kilkaście minut później, będąc już prawie na miejscu, jednym okiem rzuci-

łem jeszcze tylko na nowo postawiony pomnik studenta i wszedłem do nieomal zupełnie opustoszałego o tej porze roku głównego budynku UŚ.

W niewielkiej, acz reprezentatywnej i oficjalnej księgarni uczelni udało mi się z miejsca nabyć upragnione publikacje. Nadrabiając (nie owijajmy niczego w tym momencie w bawełnę i przyznajmy się bez bicia: straszne!) zaległości, nabyłem wreszcie tego dnia m.in. brakujący mi w kolekcji *Nagrobek ciotki Cili*, do którego przeczytania zabierałem się już od lat, ale jakoś nigdy zabrać się nie mogłem. Lecz to fragment z innej, także wówczas zakupionej książki stał się swoistym refrenem powracającym do mnie kilkakrotnie tamtego dnia. Kiedy bowiem zacząłem kartkować książkę *Myśleć Śląsk* Aleksandry Kunce i Zbigniewa Kadłubka moją uwagę zwróciły słowa, C. O. Sauera przytoczone zaraz we wstępie przez Tadeusza Sławka: „uchwycić bogaty i zróżnicowany dramat pewnego miejsca”.

W tamtej akurat chwili nie robiły na mnie jeszcze jakiegoś specjalnego wrażenia. Pomyślałem: oto przede mną kolejny „profesorski” tekst pisany z nieosiągalnych dla mnie pewnie nigdy wyżyn katedry, traktujący o dramacie wpisanym w egzystencję każdej jednostki i każdego miejsca przez takowe jednostki zamieszkiwanego. Nie chciałem wdawać się w myślowe dywagacje i roztrząsanie tego, w jaki sposób można by Sławkowe słowa interpretować. Przejrzałem po prostu wstęp, spis treści i za-

dowolony z tematyki poruszanej w książce udałem się do kasy. Kupując co jakiś czas książki akademickie mam nadal to (iluzoryczne?) poczucie, że jestem na bieżąco, że jeszcze się intelektualnie tak do końca po tych studiach nie stoczyłem w szarżynę intelektualną i prozę życia zawodowego. Nie chciałem, by po skończonych studiach UŚ był już tylko kolejnym, zamkniętym na cztery spusty etapem w moim życiu, jak zupy mleczne na PRL-owskiej stołówce, czy praktyki odbywane w typowych *arbitancugach* w przykopalnianych halach biurowego technikum pod koniec lat 90. *To keep in touch*, jak mawiają Anglicy – takiego właśnie pozostania w kontakcie bardzo sobie życzyłem.

Oprócz zakupionych książek zwinąłem także z księgarskiej lady ostatni numer „Gazety Uniwersyteckiej”, z mijanym przeze mnie przed chwilą nowym posągiem studenta na okładce, a także tekstem wykładu Krzysztofa Zanussiego w środku (traktującego o prometejskiej powinności każdego humanisty), którego lekturze oddać miałem się podczas drogi powrotnej autobusem do domu. Teraz jednak bardziej zastanawiała mnie widniejąca na zdjęciu, wykonana z brązu, mająca chyba z dobre dwa metry rzeźba przedstawiająca osobliwego osobnika, o rysach i proporcjach greckiego kurosa, odziana przy tym w... studencki birret i dzinsy.

Bawi mnie ten żartobliwy posąg. Chyba lepiej stawiać tego typu figury na skwerach i cokołach, zamiast powielać w nieskończoność pozy spoglądających groźnie i spod wąsa żołnierzy z wymierzonymi w przechodniów pepesami, szarżujących konno na mieszkańców wódzów z szabelkami i wymachujących swą bronią kosynierów-bohaterów. Jak dla mnie, ta rzeźba to strzał w dziesiątkę (a właściwie w czterdziestkę, gdyż przecież to właśnie na czterdziestolecie Uniwersytetu Śląskiego profesorowie Fober i Szarek podjęli się stworzenia owego niebanalnego katowickiego kurosa).

Zakupione przed kilkoma minutami książki o Śląsku okazują się nie być jedynymi moimi nabytkami tamtego dnia, chwilę potem zawracam bowiem w kierunku Skarbka i ulicą Mickiewicza kieruję się wprost na Empik wiedziony chyba podświadomym instynktem typowego przedstawiciela gatunku *homo empiricus*... Tam zupełnie niespodziewanie (tzw. nieplanowany zakup) natykam się na płytę, o której słyszałem już jakiś czas temu, ale nie spodziewałem się, że jest już do kupienia także i u nas. Jej tytuł (*The Age of the Understatement*) oraz nazwa zespołu (The Last Shadow Puppets) nie powiedzą większości ludzi za wiele. Wystarczy jed-

nak wpisać tę nazwę w dowolnej internetowej wyszukiwarce, a naszym oczom ukaże się niekończąca się lista linków, odsyłaczy i odnośników. *The Last Shadow Puppets* to dziwna formacja-odskocznia, dla dwójki muzyków, którzy na co dzień udzielają się w innych kapelach. Dotąd grali muzykę alternatywną, niezależną „indie”, jak to określają dziennikarze muzyczni. Jako *The Last Shadow Puppets* postanowili zrobić coś zupełnie innego. Wzięli na warsztat klasyczne utwory z lat 60. i swoje nowe, autorskie kompozycje zaaranżowali tak, by brzmiały identycznie, jak brzmieeli Beatlesi na samym początku swej kariery. W teledyskach muzycy są również wystylizowani na idoli młodzieży z lat 60. Te same fryzury, te same garnitury – nawet długie płaszcze ze stójką pod szyją mają identyczne, jak kiedyś Beatlesi (matka oglądając ich klip, zakrzyknęła zresztą natychmiast: *ujek Pyjter tyż taki mantel za kawalera miot!*). Naturalnie bez wahania złapałem tę płytę ze sklepowej półki. Chwilę później zaś uświadamiłem sobie, że beatlemania dopadła i mnie, i to w Katowicach właśnie. Sam nie wiem, jak to się dzieje, ale miasto Katowice i zespół *The Beatles* krzyżują się w moim życiu ze sobą nieustannie...

Wszystko zaczęło się jeszcze w pierwszej połowie lat 80. W lecącym wtedy u nas na okrągło w domu Radiu Katowice usłyszałem po raz pierwszy uwielbianych (właśnie przez moją matkę) Lennona, McCartneya i spółkę. Stało się to, gdy w wypucowanej na glanc kuchni *woniało* piekącym się (*niy na dzisiaj, ino na niedziela to jest!*) kołoczem, a z odbiornika dochodziły charakterystyczne dla czwórki z Liverpoolu dźwięki gitar i perkusji.

Na przełomie lat 80. i 90. pojawiła się moda na disco-polową muzykę chodnikową. Pamiętać jednak należy, że oprócz hitów w stylu *Mydelka Fa*, sprzedawano i inne kasety magnetofonowe. Pamiętam, że w nieistniejącym już dziś ponurym i złowieszczym przejściu podziemnym pod katowickim rondem kupiłem kilka kaset Beatlesów. Jeden z pierwszych kompaktów, jaki nabyłem, to też beatlesowskie CD. W któreś mroźne, grudniowe, przedświąteczne popołudnie w połowie lat 90. zajrzałem na katowicki dworzec, by w jednym z licznych tam jeszcze wtedy sklepów muzycznych kupić na prezent dwupłytowe wydawnictwo z największymi hitami *The Beatles*. Kupiłem od razu dwa egzemplarze, by mieć taki podwójny kompakt również dla siebie...

To także w tamtym okresie rozkwitła moda na britpop – gatunek muzyczny, który wracał do tradycji bry-

tyjskiego brzmienia z lat 60. właśnie, by przypomnieć grupę Oasis (nagrali nawet swoje wersje kilku piosenek Beatlesów z *Helter Skelter* na czele), czy chociażby (ze śląskiego podwórka) zespół *Myslovitz*. Artur Rójek i spółka często kategorycznie odcinali się po latach w wywiadach z łączeniem ich z tym nowym-stary nurtem muzyki gitarowej, ale wystarczy posłuchać ich przeboju *Z twarzą Marilyn Monroe*, by uświadomić sobie, jak głęboko w początkach swej kariery scenicznej związani byli chyba jednak z neobeatlesowskim britpopem... W tym roku zaś np. musiałem udać się do katowickiego molocha konsumpcji wszelakiej, czyli do Silesia City Center, bo tylko kino mieszczące się w tym centrum handlowym, jako jedyne w pobliżu grało film *Across the Universe* – musical oparty na piosenkach Beatlesów, którego obejrzenie było rzecz jasna dla mnie absolutną koniecznością.

Pominięciu Spodka i dojściu do Bogucic (gdzie przechodzę obok kompletnie nie wyeksponowanego, nie wiedzieć czemu skrytego

gdzieś za zdewastowanymi, choć wciąż używanymi garażami, kamiennego krzyża z 1893 roku) idę w dół, zmierzając w stronę cmentarza, gdzie leżą moi dziadkowie. Po prawej stronie „Pekin”. W przyplwywie dobrego humoru mógłbym zrobić sobie zdjęcie na tle tego bogucickiego osiedla familoków Pekinem przez miejscowych zwanym i umieścić je potem na portalu Nasza-Klasa z podpisem, że oto w roku 2008, roku olimpiady w Pekinie, i ja w Pekinie byłem, ale zarzucając ten pomysł idę dalej i zatrzymuję się na chwilę dopiero w kościele św. Szczepana.

Lubię to XIX-wieczne, neogotyckie sanktuarium (może dlatego, że w dzieciństwie będący tam kościelnym dziadek oprowadzał mnie po niedostępnych dla większości wiernych zakamarkach zakrystii i innych „tajnych” pomieszczeniach *farorzowego* zaplecza), ale też zawsze podobał mi się wystrój tego kościoła, z płaskorzeźbą św. Floriana na czele... Do tego, że na Śląsku umieszczano się św. Barbarę, męczenniczkę z Azji Mniejszej z IV wieku na tle kopalnianych



„Zawsze podobał mi się wystrój tego kościoła, z płaskorzeźbą św. Floriana na czele...”

Foto: Zbigniew Sawicz

szybów przywykłem już dużo wcześniej, ale żeby umieścić na tle przemysłowego, górnośląskiego krajobrazu rzymskiego legionistę? W dzieciństwie nie dawało mi to spokoju: jakim cudem – myślałem sobie siedząc i wierząc się w niewygodnej ławce bogucickiej świątyni, w czasie kolejnych mszy świętych – no jakim cudem facet z bajek i komiksów o Asteriksie, czy z serialu *Ja, Klaudiusz*, Rzymianin pełną gębą z czasów cesarza Dioklecjana w czerwonym płaszczu i z mieczem przy boku, znalazł się na Śląsku, podczas gdy (przedstawieni na tej płaszkorzeźbie pod powierzchnią ziemi) hutnicy pracują jak gdyby nigdy nic? Wówczas było to dla mnie zaskakujące i absolutnie niezrozumiałe, ale może to właśnie dzięki tamtemu niebywałemu ołtarzowi bocznemu przywykłem do tego typu dających do myślenia skojarzeń i na pierwszy rzut oka całkowicie nielogicznych zestawień. Dlatego teraz nie szokował mnie ani dopiero co postawiony przed katowickim uniwersytem starogrecki kuros w dżinsach, ani tym bardziej pojawiające się w moich wspomnieniach „katowickie” ślady po Beatlesach. Spodek, dworzec, Empik i Silesia City Center w mojej małej, prywatnej historii obecności zespołu *The Beatles* w moim życiu, odgrywały równie ważne role, jak dla rzeźbiarzy Beatlesów Hamburg, klub *The Cavern*, studio nagraniowe przy *Abbey Road* czy *Indie*, w których mistyce próbowali szukać nowych inspiracji...

po krótkiej wizycie w kościele wstąpiłem jeszcze na chwilę na cmentarz. Jak zwykle uderzył mnie tam fakt, że oto w sąsiednich mogiłach spoczywają w zupełnej zgodzie mój dziadek, walczący w Wehrmachcie, zaś tuż obok niego dwaj powstańcy śląscy. Oni toczyli tutaj boje o polskość tej ziemi, on (uwzględniając znane nam slogany hitlerowskiej propagandy) walczył pewnie o jakąś mglistą, rzekomą i legendarną przestrzeń życiową na froncie wschodnim – wszyscy skończyli zaś jednak, lądując w tym samym miejscu, mnie natomiast ponownie przypominają się słowa przywołane przez Sławka: „bogaty i zróżnicowany dramat”. Cóż z tego, że bogaty i zróżnicowany, skoro jednak dramat... Dziadek, babka i powstańcy mają go już za sobą – ja wciąż mam go wpisany w swą toczącą się jako-tako egzystencję, zazdrozcząc czasami nieboszczykom tego ich świętego, cmentarnego spokoju, choć współczując jednocześnie doświadczeń sanacji, okupacji, czasu wojny i stalinizmu...

W trakcie drogi powrotnej z cmentarza trochę się rozpogadzam, gdyż przypomina mi się dowcip z dzieciństwa związany (a jakże!) z Beatlesa-

mi, a właściwie z jednym z nich. W drugiej połowie lat 80., gdy na szczytach list przebojów często gościł Paul McCartney oraz Freddie Mercury z zespołem *Queen*, nas (dzieciaków z pierwszych klas podstawówki) straszliwie bawił kawał polegający na gwarowym przekręcaniu ich nazwisk – mówiło się więc wtedy, że *Freddie mo kury, a Paul mo karty* – ale od dowcipu z czasów szczeniackich szybko powracam myślami do chwil, gdy moi dziadkowie jeszcze żyli.

Wczytany po kilku dniach, wspominany tu już *Nagrobku ciotki Cili* Szymutki natknąłem się na fragment o kopytkach. Autor nie może odżałować, że odkąd zmarł jego dziadek, nie robi się u niego w domu już tych klusek-gumikłyżów. Ja mam podobnie ze swojskim makaronem, kiedyś pieczołowicie wygniatanym, rozwałkowywanym, suszonym i szatkowanym na niedzielny, niemalże uroczysty obiad. Dziś w domu już nikt nie używa wałka do ciasta do jego przyrządzenia – kupuje się gotowy, paczkowany makaron w sklepie. Tyle tylko, czy leżąca wciąż w *szufladzie nudelkula*, ma prawo nadal *nudelkulą* być zwana, skoro już nikt *nudli* nią nie rozwałkuje, ani ciasta na te *nudle* nie *kulo*. Ach, gdzież się podziały niegdysiejsze *nudle*? – chciałoby się żartobliwie zawołać, że o masywnych i bogato zdobionych *byfjach*, i *szrankach*, nie wspomnę. Wydawało się, że są tam od zawsze i na zawsze tam pozostaną.

W kilka godzin później spotykam się ze znajomą. Najpierw nerwowo krążymy samochodem po podziemnym parkingu pod wieżowcem *Altus* w centrum miasta. Zawsze wjeżdżając na podziemny parking, mam wrażenie, że przenoszę się w świat filmu i zaraz wezmę udział w jakimś brawurowym pościgu samochodowym z obowiązkową strzelaniną, niczym aktor kina akcji z kolejnego, sztafpowego, amerykańskiego filmu sensacyjnego. Po znalezieniu miejsca parkingowego wsiadamy do windy, wychodzimy z budynku i idziemy w kierunku ronda, by w futurystycznej kopule, która niedawno na nim wyrosła obejrzeć wystawę grafiki japońskiej. Paradoxem jest, że najbardziej podobają nam się dwie czarno-białe prace przedstawiające ulice... Nowego Jorku. Co prawda wykonał je artysta japoński, ale nie tego spodziewalibyśmy się ekspozycji prac twórców z kraju kwitnącej wiśni. Co prawda był tam też mały prostokąt, skośnooki kotek odziany w kimono, jak z mangowych bajek emitowanych swego czasu na Polsacie, czy robot walczący w przestrzeni międzygwiazdnej z najjeźdźcami z kosmosu, przywołujący na myśl brutalne, azjatyckie kreskówki, jednak generalnie wystawa okazuje

się być raczej rozczarowaniem i szybko przenosimy się z parteru na piętro *Ronda Sztuki*, by w mieszczącej się tam kawiarni wreszcie spokojnie móc porozmawiać. Niebawem okazuje się, że „prześladujący” mnie tego dnia cytat z wprowadzenia *Tadeusza Sławka* ma się nadal dobrze i raz jeszcze postanawia (absolutnie nieproszony) powrócić...

Mamy interesujący widok ma Spodek i pomnik Powstań Śląskich zarazem – oba te obiekty, choć tak dobrze znane mijają się dotąd zawsze raczej bezrefleksyjnie, szybkim krokiem, niż wpatrywało w nie i kontemplowało ich bryły. Tym razem jest wreszcie ku temu okazja, ale nasze myśli zaprzęta co innego. Każde z nas (na zasadzie „co tam u ciebie ostatnio słychać”) streszcza raczej drugiemu „bogaty i zróżnicowany dramat”. Choć może w tym akurat przypadku słowo *dramat* to zbyt wiele? To raczej trudności, rozczarowania życiowe, klody pod nogi rzucone nam przez los – o tym rozmawiamy. Nie tylko o tym, ale sporo tych zawodów, porażek i klęsk w naszej rozmowie się przewija. Ale skoro to nie *dramat*, to co?

Usiedliśmy, zamówiliśmy coś do picia i... *twenty little tragedies begin?* Wtedy tego fragmentu piosenki z płyty zespołu *The Last Shadow Puppets* jeszcze nie znałem. Dopiero wieczorem, po powrocie do domu włożyłem ją do odtwarzacza i to sformułowanie o „dwudziestu małych tragediach” zastąpiło mi Sławkowe słowa o bogatym i zróżnicowanym dramacie. Dramacie tego miejsca i tego życia, który przyjedzie mi kontynuować w dniach kolejnych. *Let it be* chciałoby się zakończyć cytatem z Beatlesów...

Ostatnie słowa należały jednak do sportowego komentatora *Radia Katowice*, który w audycji *Z mikrofonem po boiskach* relacjonował tuż przed godziną 22.00 przebieg zakończonych właśnie derbów pomiędzy *Ruchem Chorzów* i *Polonią Bytom*. Zatrzymałem więc na moment pachnącą jeszcze nowością płytę *The Last Shadow Puppets* (ach, te pobrzmiwające na niej w tle smyczki *The London Metropolitan Orchestra*...), by wsłuchać się w rozedrganą emocjami głos sprawozdawcy. *Ruch* wygrał 2:1, mecz przebiegał spokojnie (nie, że był nudny – po prostu kibice obu drużyn nie zrobili żadnej zadymy, jak to mają czasem w zwyczaju) – może więc nie taki ten *dramat* straszny, jak go Sławek małuje? Teraz nic tylko wyczekiwać kolejnych *beatlesowskich* „objawień” w Katowicach i kolejnych wygranych *Ruchu* w tym sezonie. Ostatecznie to był całkiem przyjemny dzień. *A Day in the Life*, jak (również) śpiewali *Beatles*...

Kiedy każdego lata spędzam kilka tygodni w Iwinach koło Bolesławca, lubię patrzeć z jednego z okalających tę miejscowość pagórków na dwie śląskie góry: na bazaltowy stożek Grodzca z zamkiem i pałacem (pod nim leży wieś o takiej samej nazwie Grodziec, należąca do gminy Zagrodno) oraz na Śnieżkę, najwyższy szczyt w Sudetach (1602 m). Same zaś nazwy przywołanych punktów topograficznych – Grodziec i Śnieżka – wywołują we mnie ważne językowe skojarzenia.

Pierwsza z nich – historyczne zdrobnienie od grodu – to ważny ślad dawnego stroju słowiańskiego: grody były schronieniem dla osiadłej ludności. I choć u nas mia sta wcześniej zajęły ich miejsce (nie mamy dlatego ruskiego grąd – „obywatela”), to jednak w nazewnictwie miejscowym przeżywa typ oparty na starej formie grod.

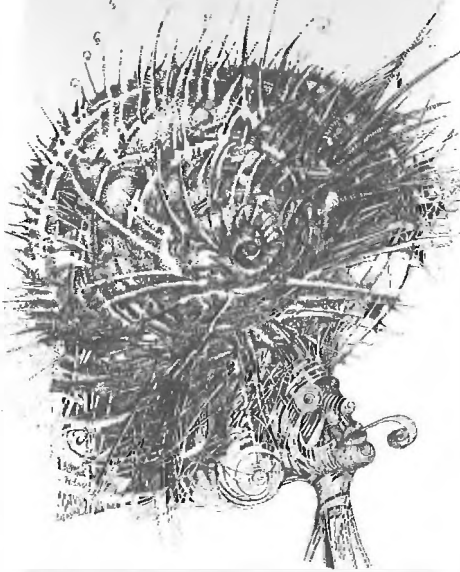
Tworzą go takie postacie, jak właśnie Grodziec, a także Grodna, Grodno, Grodzień, Grodzisk, Grodziszcz, Grodek. W sumie jest tych nazw około stu (najwięcej w Wielkopolsce i w Małopolsce; na Śląsku – siedem), a wszystkie one oznaczają miejscowości, gdzie był lub jeszcze się znajduje obronny wał, zamknięty, mniej lub więcej obszerny, poza którym w pewnej dobie naszych dziejów, jak już wyżej powiedzieliśmy, ludność okoliczna szukała schronienia w czasie napadów nieprzyjaciela.

Północnopolskim wariantem grodu był gard, stąd w tamtym regionie mamy takie nazwy, jak Stargard Szczeciński, Stargard Gdański czy Nowogard (nie pochodzą te brzmienia od niemieckiego rzeczownika Garten – „ogród”, jak sądzą niektórzy!).

Młodszy fonetyczny wariant Grodziec ów są natomiast Grojcie. Jak doszło do przekształcenia pierwotnych brzmień? – W XV wieku zaczął się w polszczyźnie proces zamieniania grup głoskowych „ćc”, „dźc”, „ścś” w łatwiejsze artykulacyjnie „jc”, „js”, np. uzasadniony etymologicznie zdradźca (bo zdradził) przeszedł w zdracje, radźca (który radził) – w rajce, przymiotnik mieścki – w miejski, a nazwisko Zamoscki (od Zamocia) – w Zamojcki.

Prymarny ojciec miał w przypadkach zależnych formy oćca, oćcu, oćcem, o oćcu, oćce, w których także doszło do zamiany połączenia „ćc” („ćcz”) na „jc”

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Patrząc na Grodziec i Śnieżkę...

(„jcz”), a że brzmień z wtórnym „j” było aż sześć, ostatecznie dźwięk ten pojawił się i w pierwszym przypadku: ojciec przyjął postać ojciec. Identyczny proces zaszedł w nazwie Grodziec: od dopełniacza w dół przyjmowała ona brzmienia Grodzieca, Grodziecowi, Grodziecem, w Grodziecu, w których również często zamieniało „dźc” na „jc”. I tak jak wtórne „j” przeszło do mianownika pierwotnego brzmienia ojciec, tak też powstało wtórne w stosunku do Grodzieca brzmienie Grojciec (mamy je nazwach miejscowości koło Konina, Środy Wlkp., Włocławka, Chrzanowa, Opatowa, Przasnysza, Sieradza i Warszawy).

Z kolei z Męką Pańską najpierw związany był Ogród, Ogródziec (Oliwny): „Ogrodzie Oliwny, widok w tobie dziwny” – śpiewamy w jednej z pieśni wielkopostnych. Ale w innej: „Ach, mój Jezu, jak ty kłęczysz, w Ogrójcu zekrawiony”. Ten Ogrójciec – nietrudno się domyślić – ma się strukturalnie i historycznie do pierwotnego Grodzieca tak właśnie jak przywołany wyżej Grojciec do pierwotnego Grodzieca.

Niemieckim substytutem (odpowiednikiem) dolnośląskiego Grodzieca był Groeditz.

Kiedy zaś patrzę na Śnieżkę (po czesku Snieżka), przywołuję jej niemiecką nazwę Schneekoppe, czyli – dosłownie – „Śnieżną Kopę (Górę)”. Ta konfrontacja może posłużyć uświadomieniu sobie typologicznej różnicy między słowotwórstwem słowiańskim a niemieckim: to pierwsze preferuje raczej tzw. derywację – człon odróżniający (Śnieżna) i utożsamiający (Góra, Kopa) jakiegoś elementu otaczającej nas rzeczywistości przekształca ostatecznie w jeden wyraz (Śnieżka), degradując człon utożsamiający do roli przyrostka (-ka); język niemiecki preferuje słowotwórstwo złożeniowe – oba człony wchodzi w całość do nowo stworzonego słowa (Schneekoppe – Schnee „śnieg” + Koppe „kopa, góra”). Przykłady można mnożyć: „ołowiowy sztyft” to w języku polskim ołowek, a w niemieckim Bleistift (Blei „ołów” + Stift „sztyft”), „plaszcz na jesień” to polska jesionka, ale niemiecki Herbstmantel (Herbst „jesień” + Mantel „plaszcz”), „młyn na wiatr” to polski wiatrak – niemiecka Windmühle (Wind „wiatr” + Mühle „młyn”), „maślane mleko” to polska maślanka – niemiecka Buttermilch (Butter „masło” + Milch „mleko”). Nie można tych zjawisk generalizować, bo niemieczyna ma też derywaty, a polszczyzna – wyrazy złożone, opisana tendencja typologiczna jest jednak wyraźna.

A skoro zaczęliśmy dzisiejszy tekst od Iwin pod Bolesławem... Ten ostatni, pochodzący od imienia księcia Bolesława Wysokiego, był pierwotnie Bolesław i do tego brzmienia nawiązuje niemiecki substytut Bunzlau. Od niego z kolei urobiono popularny u nas – zwłaszcza na Śląsku – bucłok, czyli „wyrób ceramiczny (kamionkowy)”, etymologicznie: „z Bunzlau, czyli z Bolesławca”.

Powstały w Katowicach w 1934 r. Instytut Śląski był inicjatywą miejscowego środowiska, ale ważną, wręcz inspirującą rolę odegrali związani ze Śląskiem przybysze, osoby, które poznały i rozumiały ten region, jego znaczenie, poczuwające się przy tym do odpowiedzialności za niego. Rozumiały one przede wszystkim potrzeby, doceniając wagę naukowego rozpoznania jego przeszłości.

Winna się liczyć nauka i tylko nauka

Instytut, na który czekamy

ANTONI
BARCIAK

Po wypowiedziach w dyskusji profesorów – Marka S. Szczepańskiego, Jana Drabiny, Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz i Edwarda Długajczyka zamieszczamy kolejny artykuł.

Problem Górnego Śląska w rezultacie rozstrzygnięć dokonanych po I wojnie światowej stał się bowiem problemem politycznym. Pretensje do tej ziemi zgłaszała strona polska i strona niemiecka. Ta druga prowadziła intensywne akcje propagandowe, poparte badaniami niemieckich historyków, które wykazywać miały jednoznacznie prastare związki Śląska z Niemcami i to od zarania dziejów. Z polskiej strony potrzebna była również argumentacja naukowa i taką argumentację dostarczać miał powstały w tym celu Instytut.

Słaba miejscowa polska inteligencja podejmowała już wcześniej próby tworzenia naukowych stowarzyszeń, których celem była praca na rzecz środowiska i regionu, rozpoznawanie własnej przeszłości od zamierzchłych czasów. Takim było założone wkrótce po zakończeniu I wojny światowej Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, które stosownie do swoich możliwości rozwijało działalność naukową. Zajęcie się przeszłością Śląska zlecił najdostojniejszej ówczesnej polskiej instytucji naukowej, Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, wojewoda Michał Grażyński. Rezultatem było rzetelne i do dziś podstawowe opracowanie najstarszych dziejów Śląska doprowadzone do przelomu XIV i XV wieku.

Miał zatem być Instytut Śląski placówką realizującą takie zapotrzebowanie tu na miejscu, w regionie, na za-

chodnich kresach ówczesnej Rzeczypospolitej, gdzie podziały narodowe rysowały się wyraźnie, gdzie rodziła się polska tożsamość i gdzie wykuwało się znane powszechnie hasło „Polak katolik”, jako przeciwstawienie „Niemca protestanta”. Zmagania orężem podjęte w powstaniach śląskich miały być zastąpione zmaganiem naukowymi, przekładanymi na argumenty, które uzasadniać miały polskie prawa do tej ziemi. Śląsk miał się stać miejscem rywalizacji naukowej, rywalizacji, która nadal w znacznym stopniu jednak zdominowana była wątkami narodowymi (etnicznymi).

Dzieje górnośląskiej placówki naukowej były niezwykle burzliwe. Była ona trzy razy likwidowana, ale była też odnawiana, choć pod zmienioną nazwą. Paradoksalnie była też wyprowadzana z Katowic. Powołując się na tradycję założonego w 1934 r. w Katowicach Instytutu Śląskiego funkcjonuje dzisiaj pod tą samą nazwą placówka naukowa w Opolu. A przecież to Katowice miały ambicje być stolicą całego Górnego Śląska.

Te burzliwe losy Instytutu Śląskiego świadczą o śląskiej sytuacji i śląskich warunkach w jakich tej naukowej placówce przyszło funkcjonować. Świadczą także o postrzeganiu Śląska, przynajmniej tej jego części, poza tym regionem, bo przecież decyzje o przenoszeniu bądź likwidacji Instytutu nie były podejmowane wyłącznie

tu na miejscu. Dowodzą wreszcie niedoceniania tego regionu i świadczą o traktowaniu Górnego Śląska i jego problemów przez władze centralne.

Ale również tu na Górnym Śląsku bardzo długo nie doceniano nauk humanistycznych, o czym świadczą wieloletnie zmagania o uniwersytet, humanistyczną uczelnię, zakończone dopiero w 1968 r. Tymczasem historię zaczęto tu na Górnym Śląsku traktować instrumentalnie. Powstały w 1957 r. Śląski Instytut Naukowy podejmował niemal wyłącznie badania nad nowszymi, głównie najnowszymi dziejami tej ziemi, dość swoiście zazwyczaj, choć były chlubne wyjątki, pojmovanymi. Dzieje ruchu robotniczego i powstań śląskich zdominowały i zdeterminowały tematykę historyczną. Ta preferencja dla najnowszej historii i niedocenianie starszych okresów, a więc czasów, gdy rodził się i kształtował obraz Górnego Śląska, etos i tożsamość jego mieszkańców, nadal nie jest tu należycie doceniany. Zadaniem historii traktowanej jako nauka nie jest przecież kronikarski zapis a wyjaśnianie złożoności procesów zachodzących na danym terytorium i w danych społeczeństwach, wskazywanie na przyczyny i skutki.

Podnosząc problem niedoceniania starszych okresów dziejowych wystarczy spojrzeć na monografie miast śląskich wydawane pod szyldem tej instytucji i redagowane przez czołowych jego pracowników. Ówczesna doktryna polityczna odbijała jednoznacznie piętno na działalności wspomnianego Instytutu, zwłaszcza od lat 70., choć nie można zaprzeczyć, że prowadzono tam również rzetelne badania odnoszące się do XIX, czy też pierwszej połowy XX wieku. W 1973 r. znacząca część pracowników SIN podjęła pracę na utworzonym wówczas, całkiem nie przypadkowo, Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Upolitycznienie historii doprowadziło do spadku zainteresowania tą dziedziną, czego widomym znakiem były jeszcze niedawno stosy preценionych książek, głównie z najnowszej historii zalegające w księgarniach taniej książki. To wyraz braku zaufania do historii jako nauki. Trudno się dziwić, że historia jako kierunek studiów staje się coraz mniej atrakcyjna.

Problemem Górnego Śląska jest dziś posiadanie nielicznej kadry naukowej historyków przygotowanych do pracy na źródłach niemieckich, pisanych zwłaszcza gotykiem oraz na źródłach łacińskich. Archiwa zaś górnośląskie (mam tu na myśli przede wszystkim archiwa w Katowicach (państwowe i kościelne), czy archiwa opawskie, dodajmy, że są to pod względem zasobu jedne z większych archiwów), zalegają nieznanne i nierozpoznane materiały, które tak bardzo mogłyby wzbogacić naszą wiedzę o przeszłości naszego regionu. Stąd nadal pojawiają się publikacje, w których nie wykorzystuje się tak podstawowych źródeł, jakimi są dla naszego regionu np. urbarze czy katastry.

Problemem Górnego Śląska jest też funkcjonowanie tu różnych opcji, orientacji kulturalnych o narodowym podłożu, jak w ogóle słaba na ogół aktywność naukowego środowiska humanistycznego w szerszej skali, które ze śląskimi problemami zbyt mało wychodzi poza swój region. Brakuje Śląskowi jednomyślności w dążeniu do celu i wyrazistości. Pojawiają się tu artykuły prasowe z powołaniem na osoby z naukowymi tytułami, które spotykają się wprawdzie z reakcją miejscowych elit (por. list 66 intelektualistów sprzed kilku laty), tyle że nic z tego praktycznie i w szerszej perspektywie nie wynika. Istniejące tu towarzystwa naukowe są niewielkie i prowadzą bardziej działalność popularyzacyjną. Pomysły na ich wzmocnienie poprzez stworzenie jednego towarzystwa nie powiodły się. Aktywne w początkach swej działalności Centrum Dziedzictwa Górnego Śląska dziś ledwo jest widoczne, choć sama nazwa winna zobowiązywać.

Tymczasem systematyczne badania nad Śląskiem prowadzone są przez wyspecjalizowane placówki naukowe w Czechach i w Niemczech (tu nawet odrębne dla problemów Górnego Śląska), zarówno w ramach przedsięwzięć grantowych (tak jest w Czechach), jak i działalność wyspecjalizowanych instytucji, czy komisji (tak jest w Niemczech). Śląsk nadal jest problemem politycznym, a jego herb znajduje się w herbie złożonym Republiki Czech.

Górny Śląsk to specyficzny region, zwłaszcza pod względem szeroko rozumianej kultury. Stąd może i powinien stać się poligonem badawczym dla równie szeroko rozumianych badań humanistycznych.

Można powiedzieć, że Górny Śląsk, na co zwracali uwagę nasi wielcy pisarze (Zofia Kossak-Szczucka, J. I. Kraśzewski) to ziemia nieznana. Dalej jest to ziemia nieznana i jak już wspominałem, niedoceniana w Polsce. Nie ma wątpliwości, że naukowy instytut, zajmujący się bądź organizujący badania nad Górnym Śląskiem jest niezwykle potrzebny. Nie może takiego instytutu zastąpić funkcjonujący tu uniwersytet, który realizować winien inne cele, choć może i powinien działalność takiego instytutu wspierać.

Instytuty naukowe funkcjonują w innych regionach Polski. To one przejmują na siebie problematykę badań regionalnych. One to promują swój region, umacniają świadomość regionalną. Taka naukowa placówka jest tu na Górnym Śląsku również niezbędna. Śląski Instytut Naukowy dziś to już zamknięta karta. Zamknięta, bo nie do końca wiadomo, co się stało ze spuścizną po tym Instytucie, zaś jego zbiory zostały w znacznej części rozproszone i zaprzepaszczone. Pojawia się pytanie, co się stało z kilkunastu tysiącami książek i dokumentacją zgromadzoną na ul. Pocztowej w Katowicach, które pozostawały pod opie-



Antoni Barciak, profesor Uniwersytetu Śląskiego, kierownik Zakładu Nauk Pomocniczych Historii w Instytucie Historii. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się dziejami Śląska oraz dziejami Czech w średniowieczu. Członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego.

ką Societas Scientiarum Favendis Silesiae Superioris?

Dzieli nas zbyt mały dystans czasowy, by snuć naukowe rozważania o dziejach Śląskiego Instytutu Naukowego. Żyje jeszcze wielu, którzy w tym Instytucie pracowali, byli z nim związani. Moi mistrzowie na Jagiellońskim Uniwersytecie mawiali, że historia zaczyna się wtedy, gdy wymrze pokolenie, które ją tworzyło i gdy dostępne będą wszelkie źródła.

Dziś należy się zastanowić nad nową placówką, która wypełni lukę po Instytucie Śląskim i Śląskim Instytucie Naukowym. Będzie to placówka, którą niestety trzeba będzie na skutek zaniedbań, bezmyślnego zaprzepaszczenia dorobku poprzedników, tworzyć od podstaw.

Placówka ta musi być mocno osadzona w realiach współczesności, zarówno pod względem prawnym, jak również i to przede wszystkim pod względem finansowym, z jasno określonymi źródłami dochodów, a przy tym stabilną organizacyjnie i finansowo. Musi mieć umocowanie w strukturach władz regionalnych. Nie czas i nie stać nas na eksperymenty, jakim był funkcjonujący tu w warunkach jakie zafundowali mu, ci którzy go powoływali, Instytut Górnośląski.

Nowa placówka naukowa musi się opierać na tych, którzy chcą, ale też potrafią służyć regionowi w imię nadrzędnych, nie zaś partykularnych celów i ambicji. Stąd z nową placówką związać należy niekwestionowane autorytety naukowe i to autorytety postrzegane nie tylko przez lokalną społeczność. Wszak nauka zawsze polegała na autorytetach, niekwestionowanych autorytetach i na nich jest oparta

To one winny tworzyć radę naukową, opiniować projekty, wyznaczać zadania, ale także rzetelnie rozliczać z wykonanych. Pamiętać przy tym należy, że nie liczy się ilość a jakość, a minęły już czasy, gdy wierzono, że ilość przechodzi w jakość.

Musi to być placówka o profilu humanistycznym, dostosowanym jednak do środowiska, ze zwróceniem uwagi na te dyscypliny, które są tu szczególnie użyteczne i pożądane. Dziś w nauce liczy się interdyscyplinarność, która jest często dość opatrnie rozumiana. Modelem, ale i przyszością badań nad Śląskiem są właśnie badania interdyscyplinarne, bo tylko takie mogą przynieść liczące się rezultaty, pchnąć naszą wiedzę do przodu.

Konieczne będzie przygotowanie planów perspektywicznych i określenie preferencji badawczych. Tu upominam się o rzetelne badania historyczne, wychodzące zdecydowanie poza tak modną u nas i lansowaną problematykę XX wieku. Zadaniem instytutu będzie však umacnianie i budowanie historycznej świadomości na Górnym Śląsku, jakże słabej, na co wskazują wszelkie badania. Oczywiście przyszły instytut podejmować winien nie tylko problematykę historyczną. Ważne i pożądane są tu badania z zakresu socjologii, historii sztuki, etnologii i jak już powiedziano szeroko pojętych nauk humanistycznych. Badania muszą dostarczać rzetelnej wiedzy o regionie, zaś sam instytut promować ten region w Polsce. Prowadzić swoją działalność instytut winien poprzez powołane komisje.

Podstawową kwestią pozostaje model instytutu, czy będzie to instytut badawczy, czy zlecający badania. Ta druga opcja wydaje się być bardziej tu właściwa i realna.

I jeszcze jedna uwaga, bodaj najistotniejsza. Zagroźeniem dla wszystkich poczynań może być tak mocno dostrzegane dziś upolitycznienie. To jednak nie politycy winni decydować o nauce i jej kształtach. Grozi to zaprzepaszczeniem cennych inicjatyw. Winna liczyć się nauka i tylko nauka. Bo winno się liczyć dobro regionu i kraju. W nauce zaś trudno o demokrację. W nauce, jak już wspominałem, liczą się autorytety, powszechnie uznane autorytety.

Wypowiedź ta jest wypowiedzią historyka, historyka, który przy tym wcale nie traktuje historii jako najważniejszej dyscypliny. Dostrzega natomiast rolę i znaczenie historii w życiu społeczeństw. Pytanie jaki byłby świat bez historii postawił już kiedyś uznany autorytet naukowy jakim był prof. Jerzy Topolski. Te kwestie szczególnie istotne są tu na Śląsku. Wypowiedź ta jest jedną z wielu, jakie pojawiają się w tej sprawie. Traktuję ją zatem jako głos w dyskusji, ograniczony przy tym do podniesienia kwestii podstawowych, wręcz fundamentalnych.



Konkurs o tytuł Lidera Polskiej Ekologii ustanowiony został przez Ministra Środowiska w 1996 roku. Tego tytułu nie zdobywa się łatwo. Wymagania i oczekiwania stawiane uczestnikom tej konkursowej rywalizacji należą do najtrudniejszych.

Zgłoszone do konkursu przedsięwzięcia muszą być w pełni udokumentowane. Tylko takie poddawane są kilkietapowej ocenie. Mierzone są skalą efektów przyrodniczych, gospodarczych i społecznych oraz innowacyjnością rozwiązań w skali lokalnej i globalnej, zawsze w kontekście zrównoważonego rozwoju.

22 października br., tradycyjnie na uroczystej gali w Warszawie podsumowano jedenastą już edycję „Lidera...”. Uczestniczyły w niej 134 podmioty, wśród nich 55 przedsiębiorstw oraz 79 gmin, związków gmin i powiatów. Ich przedsięwzięcia oceniali niezależni eksperci i członkowie Rady Programowej, reprezentujący kilkanaście instytucji publicznych. Do ostatniego etapu zakwalifikowano 41 przedsięwzięć, zdobywając tym samym nominacje do tytułu Lidera Polskiej Ekologii. Końcowym etapem była ich weryfikacja w terenie. Bo w tym konkursie wyniki wizytacji w gminach, przedsiębiorstwach, leśnictwach decydują ostatecznie o wytypowaniu najlepszych. Potwierdzają większą lub mniejszą trafność zgłoszonego przedsięwzięcia do nominacji. Pozwalają ocenić jego otoczenie.

W przypadku gmin m.in. zagospodarowanie przestrzenne; porządek i czystość; współpracę z innymi jednostkami samorządu terytorialnego, inicjatywy samorządów i mieszkańców. Innymi słowy wielką energią społeczności lokalnych.

Nowoczesne, proekologiczne rozwiązania techniczne i technologiczne w przemyśle podczas wizytacji ocenia się w kontekście pełnej działalności przedsiębiorstwa. Dotyczy to wypełniania przez nie wysokich, unijnych standardów ekologicznych, warunków pracy ludzi czy ewentualnej uciążliwości dla otoczenia.

Ostatecznie w czterech kategoriach konkursowych jak: jednostka samorządu terytorialnego, przedsiębiorstwo, wyrób oraz stowarzyszenia i fundacje przyznano 15 tytułów Lidera Polskiej Ekologii (najwięcej z dotychczasowych edycji) oraz 23 wyróżnienia.

Liderzy Polskiej Ekologii

Laureaci

Kategoria: jednostka samorządu terytorialnego

Podkategoria: gmina miejska

- **Miasto Elbląg**, woj. warmińsko-mazurskie – za działania miasta na rzecz poprawy środowiska i jakości życia
- **Miasto Toruń**, woj. kujawsko-pomorskie – za działania miasta na rzecz zrównoważonego rozwoju

Podkategoria: gmina miejsko-wiejska

- **Gmina Koziernice**, woj. mazowieckie za działania gminy na rzecz ochrony środowiska

Podkategoria: gmina wiejska

- **Gmina Przechlewo**, woj. pomorskie za kompleksowe działania gminy w dziedzinie ochrony środowiska

Podkategoria: powiat

Nominacji nie przyznano

Podkategoria: związek gmin

- **Komunalny Związek Gmin „Dolina Redy i Chylonki” z siedzibą w Gdyni**, woj. pomorskie – za kompleksowe działania służące ochronie i poprawie stanu środowiska w rejonie Zatoki Gdańskiej

Kategoria: przedsiębiorstwo

Podkategoria: przedsiębiorstwo produkcyjne

- **BATERPOL Sp. z o.o. w Katowicach**, woj. śląskie – za recykling akumulatorów i gospodarcze wykorzystanie składników zużytych akumulatorów kwasowo-ołowiowych zawierających siarkę
- **BOT Elektrownia Bełchatów S.A. w Rogowcu**, woj. łódzkie – za działania dla ochrony powietrza atmosferycznego

Podkategoria: przedsiębiorstwo usługowe

- **Energetyka Ciepła Opolszczyzny S.A. w Opolu**, woj. opolskie – za wieloletni program modernizacji miejskich systemów ciepłowniczych

Podkategoria: przedsiębiorstwo leśne, rolnicze, przyrodnicze

- **Nadleśnictwo Drygały**, woj. warmińsko-mazurskie – za gospodarkę wodną na terenach pohuraganowych i gruntach porolnych
- **Nadleśnictwo Krynki w Poczopku**, woj. podlaskie – za zintegrowany system ochrony i kształtowania środowiska przyrodniczego

Podkategoria: przedsiębiorstwo świadczące usługi komunalne

- **Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej Spółka z o.o. w Koszalinie**, woj. zachodniopomorskie – za Kompleksowe usługi komunalne wraz z gospodarką odpadami prowadzone na terenie miasta i powiatu koszalińskiego
- **AQUA S.A. w Bielsku-Białej**, woj. śląskie – za inwestycje ekologiczne potwierdzone wysoką jakością usług

Kategoria: wyrób

Podkategoria: produkty

- **Nadleśnictwo Kwidzyn**, woj. pomorskie – za kształtowanie postaw ekologicznych przez turystykę

Podkategoria: technologie

- **Instytut Metali Nieżelaznych (IMN) w Gliwicach, BOLESŁAW RECYCLING Sp. z o.o. w Bukownie**, woj. śląskie/małopolskie – za technologię przerobu odpadów cynkonośnych z instalacją odsiarczania gazów poprocesowych

Podkategoria: urzędnicy

- * **PPHU PLEXIFORM Lech Michałczewski** w Bojanie, woj. pomorskie – za TRRIO – napelniacz worków przeciwpowodziowych

Wyróżnieni

Wśród wyróżnionych znalazły się między innymi miasta: Brodnica, Koszalin i Krosno; gmina miejsko-wiejska Ustrzyki Dolne; gminy wiejskie: Iłowo-Osada z woj. warmińsko-mazurskiego, Lesznówola z woj. mazowieckiego, Łańcut

z woj. podkarpackiego oraz Mielno z woj. zachodniopomorskiego; powiaty: limanowski z woj. małopolskiego i slupecki z woj. wielkopolskiego; Związek Komunalny Gmin „Czyste miasto, czysta gmina” w Kaliszu oraz Związek Miast i Gmin Dorzecza Parsęty w Karlinie; BDN Sp.z o.o. w Nowogrodźcu z woj. dolnośląskiego i International Paper – Kwidzyn Sp. z o.o., Bank Ochrony Środowiska w Warszawie, WIBO-RECYKLING sp. z o.o. w Chorzelowie; nadleśnictwa: Lidzbark z woj. wrmińsko-mazurskiego, Myszyńiec w Zawodziu z woj. mazowieckiego oraz Świebodzin z woj. lubuskiego.

Grono wyróżnionych zamyka Międzygminne Przedsiębiorstwo Gospodarki Odpadami i Energetyki Odnawialnej MASTER Sp. z o.o. w Tychach za przedsięwzięcie „Odpady dla energii – innowacyjność dla środowiska”.

W tym roku lauretów konkursu Lider Polskiej Ekologii było najwięcej. Maciej Nowicki, minister środowiska, dziękując odbierającym nagrody i wyróżnienia prosił, by przekazali podziękowania swoim podwładnym, pracownikom firm, instytucji, mieszkańcom. To banał – mówił – ale wszystko przecież zależy od ludzi.

Prosił równocześnie, by pomyśleć o nowych wyzwaniach i szansach, związanych z ekorozwojem. Ochrona środowiska to dział gospodarki, ale i branża innowacyjna, która wciąż potrzebuje nowych technik, technologii i pomysłów. Wyzwań jest wiele. Walka ze zmianami klimatu, bezpieczne i efektywne zagospodarowanie odpadów, ograniczenie hałasu, zachowanie ład przestrzennego, ochrona gleb, oszczędzanie surowców i energii, nowoczesna edukacja ekologiczna.

Minister zachęcał do przyjacielskiej rywalizacji w kolejnej, dwunastej edycji konkursu.

Honor metropolii

Czy tym razem wezmą w nim udział gminy województwa śląskiego?

W połowie lat 90. ub. wieku, wydawało się, że najmocniej doświadczony zniszczeniem środowiska i zapaścią przemysłu Śląsk odegra w konkursie Lider Polskiej Ekologii czołową rolę. Tak się nie stało, chociaż statystycznie zakłady przemysłowe oraz przedsiębiorstwa produkcyjne i usługowe z województwa śląskiego i opolskiego nie zawiodły.

Od początku trwania konkursu tj. w latach 1996-2008 zgłoszono do niego ponad tysiąc dwieście przedsięwzięć, w bardzo ostrej rywalizacji zostało wyłonionych 104 Liderów Polskiej Ekologii, reprezentujących wszystkie regiony kraju.

Województwu śląskiemu przypadło 18 tytułów, województwu opolskiemu 2. A więc uczestnicy tego konkursu z województwa śląskiego i Opolszczyzny statystycznie zdobyli kilkunastoprocentową ich pulę. Rzecz jednak w tym, iż w kategorii samorządowej honoru gmin woj. śląskiego broniły wyłącznie Tychy.

Prestiżowy tytuł Lidera Polskiej Ekologii Tychy zdobyły w 2006 roku głównie za ograniczanie niskiej emisji zanieczyszczeń. I dalej kontynuują działania

proekologiczne. W ostatniej edycji konkursu tyskie Międzygminne Przedsiębiorstwo Gospodarki Odpadami i Energetyki Odnawialnej MASTER Spółka z o.o. zdobyło cenne wyróżnienie.

Nieobecność miast Aglomeracji Katowickiej w tym konkursie nie dziwi. Wystarczy im się przyjrzeć. Pierwsze wrażenie jest niezawodne. I samo sprzątnięcie nic tu nie pomoże.

W funkcjonowaniu każdej aglomeracji, zarządzaniu jej infrastrukturą, ochroną środowiska najważniejsza jest współpraca miast ponad politycznymi podziałami. Wspólna wizja, budowanie ład przestrzennego i wzajemne ustępstwa dla dobra wspólnego.

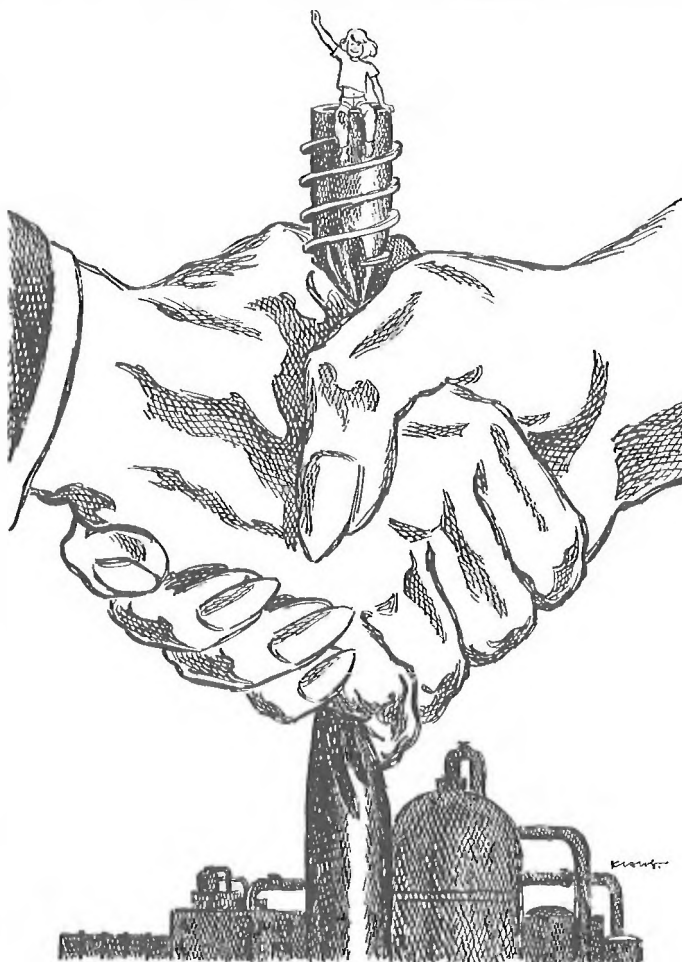
Wizytacje w gminach aspirujących do tytułu Lidera Polskiej Ekologii potwierdzają to w całej rozciągłości. Rywalizujące ze sobą przez dziesięciolecia dwa największe miasta województwa kujawsko-pomorskiego: Toruń i Bydgoszcz dawno porozumiały się w kwestii lokalizacji nowoczesnego zakładu termicznego unieszkodliwiania odpadów, niezbędnego dla tego regionu ognia gospodarki komunalnej.

Elbląg, który można uznać za wzorzec budowania ład przestrzennego swoją wizję ekorozwoju realizuje konsekwentnie, z wielką społeczną energią, bez sporów politycznych. To wyjątkowe miasto także pod względem budowania zintegrowanego czystego transportu publicznego (autobusy na gaz), gdzie przy nowo powstających pętach tamwajowych na obrzeżach wyprzedzająco buduje się parkingi.

Od Liderów Polskiej Ekologii wiele można się nauczyć. Może więc warto ich podpatrywać.

JOLANTA
MATIAKOWSKA

Autorka artykułu jest pomysłodawczynią Konkursu Ministra Środowiska oraz hasła Lider Polskiej Ekologii. W Radzie Programowej Konkursu Lider Polskiej Ekologii, reprezentuje Klub Publicystów Ochrony Środowiska „EKOS”.



Kolumny dofinansowane ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Praca twórców kostiumów teatralnych czy filmowych nigdy nie cieszyła się szczególną uwagą recenzentów, krytyków, historyków teatru bądź kina. Jeśli już pisano o pracy kostiumologa – i niestety jest to dość częsta praktyka również dzisiaj – to były to raczej zdawkowe informacje. Częściej jednak pomijano ten obszar teatralnego bądź filmowego rzemiosła, tak jakby kostium na scenie i ekranie był czymś oczywistym. Brak refleksji nad pracą kostiumologa ma również przełożenie na status samego kostiumu, zwłaszcza teatralnego, którego istnienie jest niezwykle ulotne. Swój żywot wie dzie tylko na scenie, ożywiony ciałem aktora. Po zdjęciu spektaklu z afisza, ginie w zakamarkach magazynów, z czasem zasila zbiory muzeum, prywatne garderoby albo ulega zniszczeniu. Pozostaje po nim projekt, zdjęcie, z rzadka opis na papierze. Nicco lepiej jest z losem kostiumu filmowego, który



Barbara Ptak wśród swoich projektów.

Kostiumy jak pędzlem malowane

WYSTAWA

utrwalony na taśmie filmowej, ma szansę przetrwać w świadomości kolejnych pokoleń widzów.

Cykl wystaw przygotowywanych od pewnego czasu w Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach ma za zadanie uchronić ten rodzaj sztuki od zapomnienia. Po prezentacji projektów, szkiców, makiet dekoracji oraz kostiumów czołowych polskich scenografów, przyszedł czas na zaprezentowanie dorobku Barbary Ptak, jednego z bardziej znanych w świecie polskiego teatru i filmu kostiumologicznych nazwisk. Dość przypomnieć, że jest autorką projektów kostiumów do ponad osiemdziesięciu filmów, w tym superprodukcji takich jak: *Ziemia obiecana*, *Noce i dnie*, *Faraon*, *Królowa Bona* czy *Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny*, a także wielu przedstawień teatralnych. Bohaterka wystawy współpracowała z czołowymi nazwiskami polskiego filmu: Romanem Polańskim, Jerzym Kawalerowiczem, Kazimierzem Kutzem, Jerzym Antczakiem czy Andrzejem Wajdą. Mówi się, że w jej projektach zapisała się historia polskiego kina. O ile jednak początki kariery kostiumologa związała z planem zdjęciowym, który, bywało, zmuszał do wyjazdu w tak odległe rejony jak stępy pod Bucharą, gdzie Jerzy Kawalerowicz kręcił *Faraona*, stopniowo coraz bardziej zacieśniała swe więzi ze świątynią Melpomeny, współpracując z licznymi teatrami dramatycznymi, muzycznymi, operetkami i operami w kraju i za granicą. Przygotowywała chociażby stroje do *Don Giovanniego* w reżyserii Michała Znanieckiego

w Teatro Grande di Brescia. Swoją sygnaturę pozostawiła również w regionie, z którego pochodzi. Wiele śląskich przedstawień nosi ślady jej myślenia o plastyce kostiumu teatralnego, podejścia do koloru i formy, łączeniu faktur i zdobień, drobiazgowości wykonania, umiławania detalu. Zresztą nie bez kozery wystawa nosi tytuł: *Pani Barbara kunszt i czar. Inspiracje i kreacje teatralno-filmowe Barbary Ptak*.

Kostiumy Barbary Ptak powstają w oparciu o wnikliwą lekturę tekstu. Jak sama twierdzi: dużo czasu poświęca na studiowanie epoki, zbieranie dokumentacji, oglądanie albumów i obrazów, zwłaszcza w kostiumach historycznych ważna jest wierność czasom, o których opowiada film albo spektakl. Gdy przygotowywała projekty do *Wielkiej miłości Balzaka*, wyjechała do Paryża, by tam studiować realia, w których toczyło się życie jednego z bardziej znanych francuskich pisarzy. Renesans lubował się w ogromnej ilości biżuterii i szlacheckich kamieni, toteż kostiumy, które zaprojektowała do *Królowej Bony* i *Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny* charakteryzują się dużą precyzją i dbałością o szczegóły. Fantazyjne wzory z jablonexu zdobią przepyszne stroje *Królowej Bony*, Zygmunta Starego, Elżbiety czy Barbary Radziwiłłówny. Myśląc o kostiumie, Barbara Ptak szuka przede wszystkim dominant, które w pewnym sensie dopełniają wizerunek bohatera i definiują realia epoki. W *Nocach i dniach* damy pojawiały się w koronkach i krynolinach, zaś cały film został podzielony na gamy kolorystyczne

i utrzymany w ciepłej tonacji: od bieli, poprzez beż, beż z ochrą i sepię z brązem. Film kończył się brązem i czernią tak jak kończyło się życie bohaterów. W *Ziemi obiecanej* grana przez Bożenę Dykiel Mada Müller razi tandetnymi żółciami i pomarańczami i niezliczoną ilością do niczego nie pasujących ozdób. Mada jest córką żydowskiego bogacza, której w kapitalizmie udało się wejść na salony, prezentuje więc kicz kontrolowany. Nie ma w sobie elegancji i szlachetności Anki (Anna Nehrebecka), która jako przedstawicielka zubożałej szlachty pojawia się w skromnych aksaminach. Barbara Ptak wychodzi z założenia, że kostium pozwala nie tylko budować realia epoki (zwłaszcza kostium historyczny), ale również współtworzy postać. Zawsze zastanawia się, kim jest postać, dla której projektuje kostium i co ten kostium ma wyrażać.

Wystawa w Centrum Scenografii prezentuje zaledwie fragmentek dokonanej śląskiej kostiumolog: projekty do niektórych produkcji filmowych, spektakli teatralnych, kostiumy wypożyczone z teatrów i Łódzkiego Centrum Scenografii, ozdoby, biżuterię, fantazyjne kapelusze, wachlarze i na różne sposoby drapowane suknie. Gąszcz taft, muślinów, niebieskich szyfonów i aksaminów ozdobionych brokatem i półszlachetnymi kamieniami. Całość zwieńcza kolekcja strojów z *Królowej Bony* Janusza Majewskiego z wyeksponowaną na manekinie przepiękną suknią, zdobioną kamieniami, którą nosiła Anna Dymna. Z jednej strony można zarzucić twórcy wystawy, że prezentacja prac jest niepełna, wybiórcza, z drugiej – wydaje się to dość oczywiste, że nie sposób pokazać w jednym miejscu i czasie wszystkich prac artystki. Tylko do *Nocy i dni* powstało około 2 tysiące kostiumów. Wiele ze strojów, zwłaszcza filmowych, zaginęło albo zniszczało w magazynach, wiele ze względu na ograniczoną przestrzeń Centrum Scenografii musi zaczekać na kolejną ekspozycję. Ta wydaje się tym bardziej cenna, bowiem nie tylko zwraca uwagę na pracę kostiumologa (która w takim kształcie powoli przechodzi do historii), rolę kostiumu w produkcji filmowej i teatralnej, jest również pierwszą katowicką wystawą prac artystki, która od wielu lat mieszka w stolicy Górnego Śląska.

ANETA GŁOWACKA

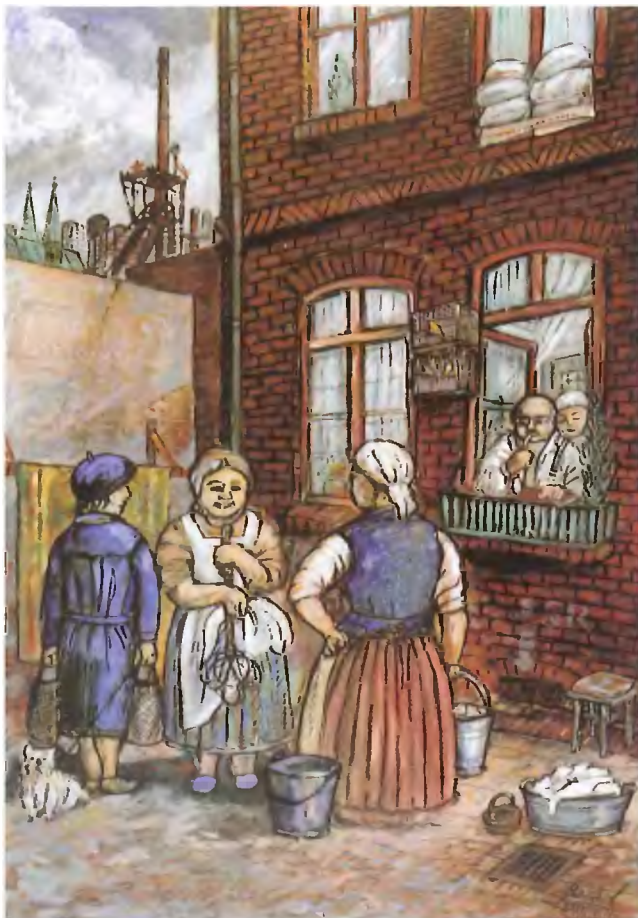
Centrum Scenografii Polskiej, Oddział Muzeum Śląskiego w Katowicach. Wystawa czynna od 29 września do 16 listopada 2008.



„Pani Barbary
kunszt i czar.
Inspiracje i kreacje
teatralno-filmowe
Barbary Ptak”

CENTRUM SCENOGRAFII POLSKIEJ
MUZEUM ŚLĄSKIEGO
W KATOWICACH



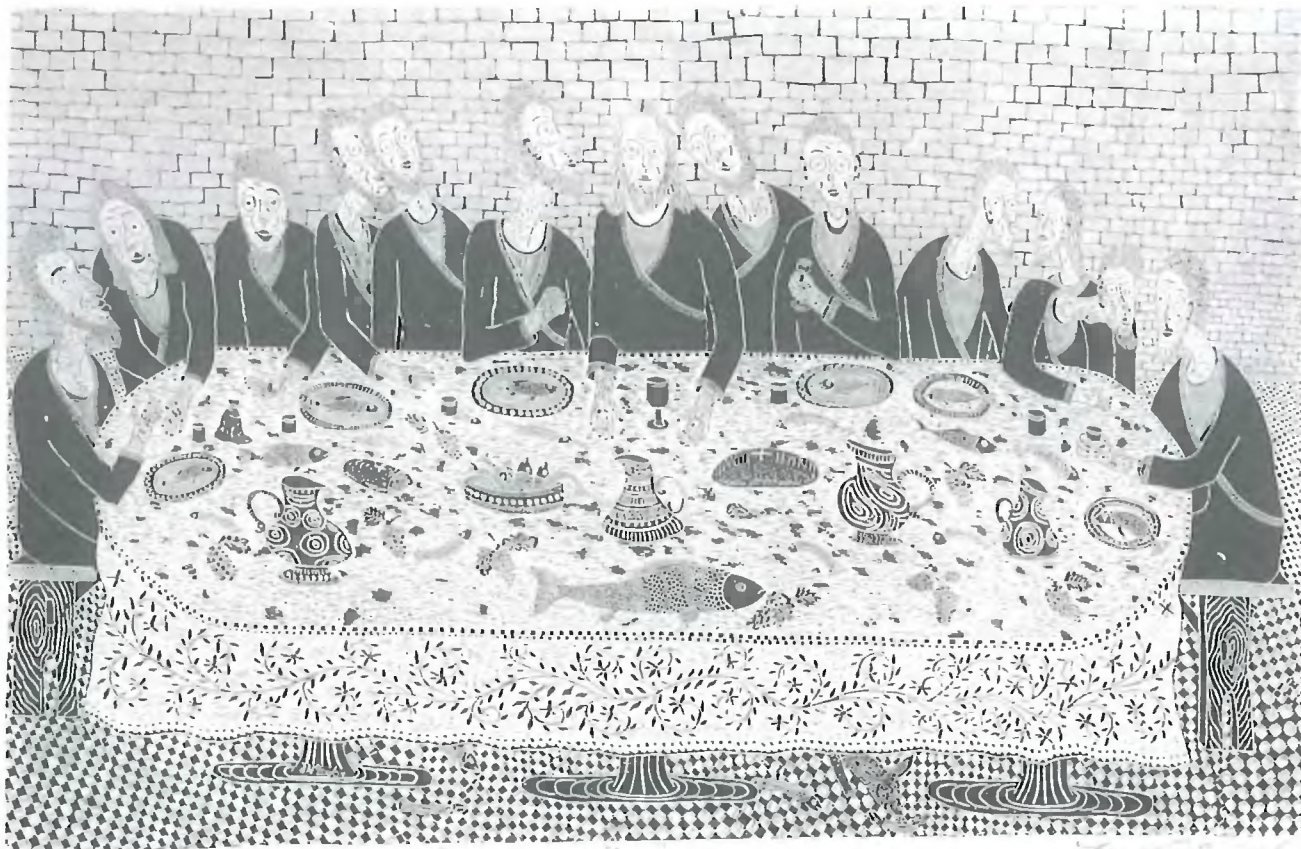


Rudolf Riedel *Kluchy*, 2006, akryl, płótno, 70x50 cm,
wł. S. Trefonia



Józef Rockstroh *Na Górnym Śląsku*, 1977, linoryt, 20x20,5 cm,
wł. S. Trefonia

Gwarek '58



Jan Nowak *Ostatnia wieczerza*, 2006, linoryt, 47x74 cm, wł. Muzeum Śląskiego

O malarzach-amatorach z Janowa, którzy spotykali się w Domu Kultury KWK „Wieczorek” wiedzą prawie wszyscy. Ocieпка, Wróblowie, Gawlik, Sówka – to nazwiska znane powszechnie nie tylko w kręgach miłośników sztuki nieprofesjonalnej. Dodatkowo rozstawił ich Lech Majewski w swoim filmie *Angelus*. Ale już znacznie mniej osób wie, że podobne amatorskie grupy twórcze działały także przy innych śląskich kopalniach (np. „Obsydian-18” z Zabrze). A dzięki pracującej wiele lat w Muzeum Śląskim Marii Fiderkiewicz, zafascynowanej wszystkimi artystami „dnia siódmego”, możliwe było zorganizowanie w tej placówce ekspozycji z okazji pięćdziesięciolecia grupy „Gwarek 58”, która istniała przy zlikwidowanej już kopalni „Katowice”. Tę wystawę można oglądać w siedzibie muzeum do 15 grudnia. A właściwie – jej część, bo „drugą połowę” prezentacji można było zwiedzać tylko do 12 października w jednym z budynków zamkniętej kopalni. „Janowianie” mieli mądrego instruktora – później świetnego malarza Zygmunta Lisa, który nie narzucał im żadnych własnych upodobań estetycznych, teorii artystycznych i modnych „-izmów”, tylko wspierał swoich podopiecznych w poszukiwaniach indywidualnego stylu. Twórcy z „Gwarka 58” w ogóle profesjonalnego opiekuna nie mieli. Ale – jeśli uważnie wyczytać się w biogramy członków grupy – okazuje się, że aż trzech z nich (Jan Nowak, Rudolf Riedel, Józef Rockstroh) uczestniczyło w zajęciach ogniska plastycznego, działającego przy katowickim liceum plastycznym. A tam „uczyl” ich grafiki (głównie linorytu) sam Stefan Suberlak. I myślę, że właśnie ten Mistrz sprawił, iż grupa „Gwarek 58” zafascynowała się grafiką, która stała się jakby jej znakiem firmowym. Nie jedynym, bo obecne w ich twórczości są również rzeźba w węglu, obrazy olejne, a pisząc o działalności Franciszka Kurzei trudno pominąć wspólnie wycinanki.

Piszę się „grupa” (sam się na tym przyłapałem), ale tak naprawdę „Gwarek 58” nie był żadnym „ruchem” artystycznym z manifestami, kanonami estetycznymi, nawet nie był tylko „szkołą” Suberlaka. To Józef Rockstroh uzmysłowił sobie pewnego dnia, że w różnych miejscach jego kopalni pracują ludzie, których pasją jest twórczość plastyczna „po godzinach”. I zaczął zabiegać we wszystkich najważniejszych wówczas instancjach (od dyrekcji po związki zawodowe) o lokal, gdzie ci zapaleńcy mogliby się spotykać, wymieniać doświadczenia, a także pokazać swoje prace kopalnianej społeczności. I w końcu udało mu się „wywalczyć” opuszczony przez biuro barak. Tam właśnie, w 1961 roku, od-

była się pierwsza wystawa ich dorobku. Poza „założycielem” do „Gwarka 58” należeli: Aleksander Filipek, Alfred Kawa, Franciszek Kurzeja, Jan Nowak, Jan Nowak II i Rudolf Riedel. Ekspozycja ich prac była sukcesem. Najpierw „lokalnym” – to, co robią, spodobało się kolegom, ale bardzo szybko „gwarki” zaczęły zdobywać nagrody w konkursach i pokazywać swoje osiągnięcia na różnych wystawach krajowych i zagranicznych. Łączyło ich jedno – temat „Śląsk”. Treścią ich prac była kopalnia, górniczy trud, życie w robotniczych osiedlach – słowem to, co dobrze znali z codziennego doświadczenia. Czasem – zmęczeni burą, in-

„Abraham” artystów z kopalni „Katowice”

dustrialną rzeczywistością – „ucieka-li” w czystą przyrodę: lasy, wieś, góry... Wszystko to było jeszcze do zaakceptowania przez władze, szczytując się kulturotwórczą klasą robotniczą. Ale w przypadku śląskich artystów, dla których graficznie i inne plastyczne techniki były jedynie środkiem do wyrażenia „treści”, czy – jak to się mówi – „literatury”, musiały się w ich pracach pojawiać motywy religijne. Święte Barbary, Madonny, uroczystości rodzinne z księdzem w roli głównej, pielgrzymki itd. – to przecież też były „elementy codzienności”. A to już nie mieściło się w stereotypie socjalistycznej wizji „malujących górników”. A potem było jeszcze gorzej – Karol Wojtyła został papieżem, wybuchła „Solidarność”, spacyfikowano kopalnię „Wujek” w stanie wojennym... Te wydarzenia znalazły swoje odzwierciedlenie także w twórczości artystów-amatorów. Wszak były „treścią” ich życia. Warto jednak podkreślić, że w przypadku „Gwarka 58” kronikarskiej potrzebie dokumentowania wydarzeń, faktów, obyczajowości, czy pracy „na dole” towarzyszyła wielka biegłość w posługiwaniu się plastycznym warsztatem. Kiedy ogląda się prace tych ludzi, zwłaszcza grafiki, trudno uwierzyć, że nie mają oni za sobą studiów w akademii. Że te przemysłane kompozycje, wysmakowane gry czerni i bieli, dopracowana

kreska, „myślenie światłem” – to wynik poszukiwań właściwie samouków. Albo może kwestia jakiejś cudownej intuicji.

Kiedy poszedłem do kopalni, żeby obejrzeć drugą część ekspozycji, na placu panował wielki ruch. Rozwalało jakieś budynki, które nie są zbyt nowe, wywożono gruz. Działo się więc, a przecież trudno się było oprzeć wrażeniu, że jest się jakby na cmentarzu. Nie obracało się koło na wieży szybu, wszędzie – poza terenem prac rozbiórkowych – panowała martwa cisza. I to było także dodatkowe tło, znaczący kontekst dla oglądanych prac, które w dużej mierze pokazują Śląsk przeszły, krainę, której już nie ma, świat coraz bardziej legendarny. Kiedyś będzie tu Muzeum Śląskie, wszystkie te budynki ze szczerbami, czerwonej cegły znajdą swoje nowe przeznaczenie, wróci tu życie. Na razie jednak to świetna „scenografia” do obrazów Śląska, który odszedł. Nie ma też już od dawna grupy „Gwarek 58”. Część jej może członków przestała tworzyć, w każdym razie są nieobecni w życiu plastycznym. Pracuje jeszcze twórczo schorowany Franciszek Kurzeja, Jan Nowak wykonuje parę prac na rok. Tworzą (i to z powodzeniem), ciągle wracając w swoich dziełach na Śląsk, Rudolf Riedel i Józef Rockstroh, obaj od lat żyjący w Niemczech.

W katalogu wystawy krótkie noty biograficzne. Kiedy się w nie wczytać, z tych lapidarnych, indywidualnych życiorysów, w których jak refren powtarza się kopalnia „Katowice”, wylania się materiał na wspólny film. Nie wydumany, jak *Angelus*, ale prawdziwy i przejmujący, bo pokazujący niesłychanie poplątane losy mieszkańców Śląska, którzy nie z własnej woli, czy chęci, znaleźli się w epicentrum historycznego „trzęsienia ziemi”. Przecież dzieciństwo większości z tych twórców zbiegło się z II wojną światową. A potem była ciężka praca. Wreszcie w niektórych przypadkach emigracja. Czy to nie jest materiał na reportaż-fresk?

I jeszcze krótka refleksja po obejrzeniu wystaw. Kto zna Bogucice, wie, że to dzielnica zaniedbywana przez dziesięciolecie. Brudna i zadymlona w czasach prosperowania kopalni, biedna i popadająca w ruinę po jej likwidacji. A jednak świat przedstawiony przez artystów z „Gwarka” pełen jest harmonii i ciepła. Jest jak rajski ogród. Erwin Sówka z Grupy Janowskiej powiedział mi: „myśmy malowali Śląsk naszych marzeń”. Myślę, że to artystyczne credo pasuje także do twórczości ludzi, którzy uprawiali sztukę w cieniu kopalni „Katowice”.

Ankieta „Śląska”

Kodyfikacja gwary, czyli jak mówić i pisać po śląsku

W latach ostatnich, w atmosferze narastających sporów i kontrowersji dotyczących stanu życia na Śląsku, a także pytań o jego przyszłość, wiele uwagi zajmują sprawy śląskiej gwary oraz dyskusji nad jej kodyfikacją w celu doprowadzenia śląszczyzny do stanu jednolitego regionalnego języka. Z jednej strony można mówić o swoistym renesansie gwary (gwar) śląskich, która zyskała na popularności poprzez publikacje i obecność w mediach, co znalazło również odbicie w konsolidacji rodowitych Ślązaków dzięki poczuciu dowartościowania ich mowy. Jednocześnie zaś „śląska godka”, dotąd głównie język domowy, została uwikłana w różne zapalne konteksty polityczne, co nie służy jej naturalnemu rozwojowi.

Kwestią, która stała się jednym z głównych postulatów w toczącej się na ten temat dyskusji, jest sprawa kodyfikacji, standaryzacji, czy normalizacji śląskiej gwary (gwar), oraz zasad i warunków przeprowadzenia tej nader skomplikowanej operacji: czy realnej, czy możliwej – a jeśli tak, to z jakimi konsekwencjami? Właśnie z myślą o rozpoznaniu sytuacji i opinii na ten temat redakcja „Śląska” – w nawiązaniu do wcześniejszych publikacji – przygotowała ankietę poświęconą tym problemom, aby wyjaśnić i przybliżyć główne kwestie związane z ewentualną kodyfikacją gwary śląskiej, precyzując 7 pytań, które prezentujemy poniżej.

*

CELE I ZASADY KODYFIKACJI GWARY ŚLĄSKIEJ

Pytania w ankiecie redakcyjnej miesięcznika „Śląsk”

1. Od roku 1990 trwa narastające zainteresowanie gwarą śląską, jako „językiem domowym” Ślązaków i „mową ojców”, z czym wiąże się jej wejście do życia publicznego w licznych rolach i funkcjach. Co na to wpłynęło i z czego ten fakt wynika – czy okoliczności te uzasadniają nasilające się starania o uznanie gwary (gwar śląskich) za język regionalny?

2. W jakim stopniu żywa „śląszczyzna” stanowi podstawę poczucia odrębności kulturowej i tożsamości śląskiej, a w takim razie w jakim stopniu i znaczeniu można mówić dziś o rozwoju gwary śląskiej i z uwzględnieniem jakich czynników?

3. W ostatnich latach pojawiają się w różnym kontekście, w tym także o wyraźnym politycznym znaczeniu, wezwania do kodyfikacji, względnie standaryzacji gwary w celu doprowadzenia do jej normalizacji. Co należy rozumieć przez kodyfikację i w jakim zakresie? Czy jest realne wypracowanie i usystematyzowanie sytuacji w tym zakresie w celu stworzenia jednego, wspólnego dialektu w oparciu o zespół gwar śląskich – z jakich względów może to się okazać trudne a nawet niemożliwe?

4. Doprowadzenie do skodyfikowania gwary śląskiej (gwar) i ujednoczenie znormalizowanego dialektu może stanowić – czy musi? – podstawę do oficjalnego uznania tego dialektu za „język regionalny” Ślązaków jako grupy etnicznej. Jakie funkcje może stanowić w tym rozumieniu „język regionalny” Ślązaków – jakie mogą z tego wynikać nowe możliwości, ale i ograniczenia?

5. Czy gwara w takim ujęciu, zgodnie z historycznymi uwarunkowaniami, może być traktowana jako regionalna odmiana polszczyzny i rozwijać się w związkach z nią, poszerzając przede wszystkim swoje leksykalne zasoby, czy też przeciwnie: prowadzić do zamykania się w gwarze, a więc do ograniczania aspiracji i kontaktów społecznych?

6. Jak po skodyfikowaniu gwary, przede wszystkim jej pisowni, co jest podstawą opracowania podręczników od elementarza poczynając, można będzie dialekt śląski wprowadzać do szkół? Na jakich programowych i organizacyjnych warunkach, gdzie i w jakim zakresie?

7. Czy kodyfikacja gwary i oficjalne uznanie znormalizowanego dialektu śląskiego będzie miało pozytywny wpływ na konsolidację Ślązaków i poczucie ich prestiżu, czy też może zostać wykorzystane przez działalność grup separatystycznych w celach politycznych i jakie mogą być następstwa takich aktów?

*

Zaproszenie do zabrania głosu i wypowiedzi w ankiecie „Śląska” zostało skierowane do 32 osób: językoznawców, pisarzy, literaturoznawców, autorów słowników, publicystów, działaczy regionalnych i osobistości śląskiego życia publicznego.

Prosiłiśmy o wypowiedzi zwięzłe, skondensowane, z zaznaczeniem numerowanych pytań, co w większości zostało uwzględnione przez autorów. W sumie otrzymaliśmy wypowiedzi 27 osób i już z tego względu nasza ankieta spełniła oczekiwania. Co jednak najważniejsze – powstał zestaw opinii ogromnie zróżnicowanych, często wykluczających się, co świadczy jak bardzo są to sprawy poruszające i angażujące uwagę. W kontekście tych wypowiedzi narzuca się jedno ważne stwierdzenie – o kodyfikację gwary śląskiej nie będzie łatwo, jeżeli w ogóle jest to operacja możliwa... A jeśli – to w jakim zakresie?

Żeby zamieścić wszystkie wypowiedzi w ankiecie w kolejności alfabetycznej trzeba było objętość numeru listopadowego powiększyć o 1 arkusz. Redakcja nie podjęła się opracowania wniosków, bo nie taki był cel tej ankiety, traktując otrzymane wypowiedzi jako zestaw niezależnych opinii, co nazwisko autora (kolejne wypowiedzi zostały przez redakcję opatrzone w cytaty przejęte z tekstu). W ankiecie reprezentowani są przedstawiciele różnych środowisk, opcji i stanowisk, co pozwoliło ujawnić jak bardzo złożona to i sporna materia.

Niech ten blok wypowiedzi zamieszczonych na stronach 66-81 stanie się ważnym materiałem w dalszych dyskusjach o miejscu i problemach gwary śląskiej. Oby też okazał się przydatny przed podjęciem decyzji o kodyfikacji i próbach ustalenia – jak mówić i pisać po śląsku... o ile można stworzyć taki normatywny wzorzec. Myślę, że po lekturze tej ankiety sytuacja jest jeszcze bardziej złożona niż można było przypuszczać, nawet jeśli ten redakcyjny sondaż nie jest w pełni reprezentatywny. W każdym jednak razie – godny uwagi i przemyślenia.

TADEUSZ KIJONKA

To, co nie jest zapisane: zniknie, prędzej czy później

KRYSTIAN GAŁUSZKA

– poeta i prozaik, dyrektor Biblioteki Miejskiej
w Rudzie Śląskiej

1. Wpływ na to miały oczywiście skutki wydarzeń politycznych po 1989 r. Poszerzenie wolności w życiu społecznym w Polsce spowodowało zwiększoną aktywność ludzi między innymi na polu regionalnym. Jest to proces naturalny, który w kardynalny sposób ubogaca wszelkie działania społeczne, w różnych przestrzeniach aktywności ludzkiej, zatem i w polu kultury. Używanie języka jest podstawowym elementem kultury i nic dziwnego, że język śląski – w rozumieniu charakterystycznego systemu budowania wypowiedzi, używanego w procesie komunikacji interpersonalnej – przeniknął do życia publicznego. Starania o uznanie go jako języka regionalnego są o tyle kuriozalne, bo przypominają działania mające udowodnić czy pewien typ lodów to jeszcze ciało stałe, czy jak chcą niektórzy już ciało ciekłe. Pomimo tego, że lód to lód.

2. Zdaje się, że język jest głównym elementem wpływającym na odrębność kulturową, a przynajmniej jednym z najważniejszych czynników, mających wpływ na poczucie teje. Czy w przyszłości, w dobie globalizacji, atrakcyjność i funkcjonalność języka śląskiego będzie na tyle duża, iż będzie w stanie przetrwać – nie mam pojęcia. Dziś jednak zainteresowanie językiem śląskim wzrasta. Powoli toruje sobie on drogę „na salony”, co jeszcze do niedawna było nie do pomyślenia. Dzięki Bogu dla dużej części Ślązaków ich mowa przestaje być czymś wstydlivym, domowym, niepublicznym. Zaczynają dbać o nią. Zdaje się, że przed językiem śląskim, mową starzyków i bajtłów z familoka, albo ze wsi, istnieją nowe perspektywy. Ten starsłowiński język – i tu wszyscy są zgodni – staje się w końcu szeroko doceniany. I przyjmując taką optykę, zdaje się, iż w przyszłości stanie się pełnoprawnym językiem, bez żadnych konotacji pejoratywnych zarówno w znaczeniu kulturowym jak i politycznym.

3. Mówiąc o języku śląskim mamy najczęściej na myśli ludzką mowę, czyli w tym przypadku „ślonsko godka”, tj. system artykułowanych dźwięków, układających się zgodnie z określoną konwencją. Jakkolwiek język mówiony czyli „ślonsko godka” nie jest utrwalany jako język pisany za pomocą pisma. Zatem kodyfikacja języka śląskiego powinna doprowadzić do sytuacji, iż byłby on możliwy nie tylko do zapisania, ale również do odczytania według jednego ustalonego systemu. W punktu widzenia mojej profesji – jestem bibliotekarzem – wiem jedno, to, co nie jest zapisane: zniknie, prędzej czy później. Na pytanie, który ze śląskich dialektów powinien stać się bazą do kodyfikacji, odpowiadam – jest to obojętne. (może dialekt Ślązaków z parafii Panny Marii w Teksasie). Ale niech się wreszcie stanie. A czy jest to możliwe? Jest to nie tylko możliwe. To po prostu śląski obowiązek. Grzech zaniechania nie zostanie nam wybaczonej.

4. Wydaje się iż skodyfikowana „ślonsko godka” w sposób ewidentny stanie się „językiem regionalnym”. I moglibyśmy wymyślać jak nazwać tę grupę, która posługuje się tymże językiem. Pomysłów jak zwykle mogłoby być sto, ale zdaje się, iż najbardziej szczęśliwym określeniem jest grupa etniczna. Co do ograniczeń, to niestety ich nie dostrzegam, natomiast co do szans można wymienić pierwsze dwie z brzegu, dla powodu których prace nad kodyfikacją należy podjąć od zaraz:

– ocalenie dla potomnych języka, który przez wieki używało miliony ludzi,

– powstanie literatury, która będzie kolejnym bogactwem kulturowym Polski i Europy.

5. Niestety nie mogę się zgodzić z twierdzeniem, iż język śląski zwany gwara jest regionalną odmianą polszczyzny. Powiedziałbym raczej, iż język polski jest odmianą – rzecz jasna nieporównywalnie szlachetniejszą, szczególnie dzięki wielowiekowej literaturze polskiej – śląszczyzny. Pogląd ten wyraziłem w sposób poetycki w ostatnim moim tomiku poetyckim „Pomiędzy pocałunkiem anioła a zapachem wanilii”. Niestety, fraza w której mó-

wię, że poezja polska jest młodszą siostrą poezji śląskiej, została przez krytyków uznana za zwykły lapsus autora. Jakkolwiek okazuje się, iż nie jest to pogląd odosobniony, gdyż honorowy przewodniczący Rady Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk prof. dr hab. Walery Pisarek nazwał język śląski „starszym bratem standardowej polszczyzny”.

Jeżeli chodzi o „strachy” pt. „zamykanie się gwarze”, to uważam iż są one bezpodmiotowe.

6. Nade wszystko pragmatyka. Na zajęciach pozalekcyjnych – refinansowanych przez budżet samorządowy, dla osób zainteresowanych można by wprowadzić naukę języka śląskiego. I zdecydowanie nie ograniczałbym się do młodzieży szkolnej. Nauki nigdy dość, szczególnie jeżeli chodzi o Ślązaków.

7. Z całą pewnością posiadanie skodyfikowanej własnej mowy wpłynie na konsolidację Ślązaków i podniesie ich prestiż. Jakkolwiek nie odczytywałbym tego jako stanu zwróconego przeciwko komuś lub czemuś. Traktowałbym go jako dopełnienie a nie opozycję. Jakkolwiek sytuacja taka może być wykorzystana w nieuczynnych celach. Albowiem wiemy, iż nóż służy do krojenia chleba i smarowania go masłem, ale też do robienia dziur w brzuchu bliźnich, ale wiemy też, że nie jest to argument przeciwko nożom. O samochodach, Internecie i innych „zabawkach” nie wspomnę, gdyż figura literacka jest już dość nachalnie czytelna.

Zamykanie się w gwarze jest dzisiaj praktycznie niemożliwe

JAN GOCZOŁ – poeta, publicysta,
działacz kulturalny z Opola

1. Okolicznością zainteresowania się „językiem domowym” Ślązaków było, moim zdaniem, otwarcie przestrzeni dla swobodnej manifestacji tożsamości obywatelskiej i politycznej, a poprzez nią o tożsamości (czy choćby tylko odrębności) tożsamości regionalnej. Publiczną społeczną manifestacją tej tożsamości stał się też odrodzony ruch śpiewaczy oraz folklorystyczno-gawędziarski w jego żywym ludowym brzmieniu. Uznawanie czy nieuznawanie gwary za język regionalny uważam za zamysł (postulat) – u samych podstaw spontaniczności, ekspresji i niejednorodności języka ludowego – chybiony.

2. Z tego co wyżej – gwary śląskie, jak wszystkie inne, mniej lub bardziej bezwiednie, mniej lub bardziej funkcjonalnie, wchłaniają nowe słowa, nowe wyrażenia, dla pojawiających się u użytkowników tych gwar nowych kulturowo-cywilizacyjnych, także społeczno-politycznych zjawisk, postrzeżeń i doświadczeń.

3. „Kodyfikacja” gwar, w sensie ujęcia w pewnych normach, a w konsekwencji „standaryzacja”, w sensie ich ujednolicenia, wydaje mi się z gruntu niemożliwa – jeśli pamiętać o spontaniczności i bezustannym „stawaniu się” języka ludowego, a także o trudności wiernego zapisania fonetycznego brzmienia (wymowy) języka ludowego (gwary); trudno sobie wyobrazić, że językoznawczy zapis fonetyczny mógłby się znaleźć w podręcznikach: nie byłby „czytelny” ani dla uczniów, ani dla nauczycieli.

4. Język regionalny jest – w moim rozumieniu – czym innym, niż gwary tego czy innego regionu. I nie jest adekwatny z odrębnością „przestrzeni etnicznej”.

5. Gwary śląskie należą – w bardzo czytelnych i językowo logicznych powiązaniach – do gwar polskich (to jest elementarna naukowa konstatacja tak polskich, jak i niemieckich i jakichkolwiek innych slawistów-językoznawców). O jej przemianach, szczególnie w jej zasobach leksykalnych, wspomniatem wyżej. Zamykanie się w gwarze jest dzisiaj praktycznie niemożliwe; mobilność ludzi, szczególnie młodego pokolenia, powoduje (zmusza) wchłanianie i używanie języka ponadregionalnego (w coraz szerszym zakresie języka obcego, ponadnarodowego).

6. Jak powiedziałem wyżej: stawanie na głowie!

7. Więcej chaosu, niż rozumu!

Podniesienie rangi mowy śląskiej dowartościuje jej użytkowników

Dr JERZY GORZELIK – Uniwersytet Śląski,
historyk sztuki,
przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska

1. Jest to naturalny powrót do kulturowych korzeni po okresie rugowania mowy śląskiej w PRL i wyraz dążeń do podniesienia rangi tego, co przez dziesięciolecia było deprecjonowane. Wpisuje się to w szersze, bo ogólnoeuropejskie, zjawisko dowartościowania kultur bezpaństwowych wspólnot, zagrożonych wcześniej polityką zmierzającą do kulturowego, w tym językowego, ujednoczenia w ramach państw narodowych. Status języka jest ściśle związany z pozycją jego użytkowników. Staranie o uznanie mowy śląskiej za język regionalny jest w tym kontekście w pełni zrozumiałe i uzasadnione.

2. Słowiańska mowa śląska stanowi tylko jeden z elementów górnośląskiej tradycji językowej (obok literackich języków: czeskiego, niemieckiego i polskiego, a także dialektów germańskich), ale zarazem jedyny, który jest wyłącznym atrybutem Górnoślązaków, przez co w największym stopniu postrzegany jest jako symbol ich odrębności. Brak wypracowanych norm, przy bliskim pokrewieństwie z językiem urzędowym, powoduje upodobnienie do polszczyzny, zanik wielu słów i form gramatycznych. Przeciwdziałając tej powszechnej tendencji mają wysiłki elit, które próbują nadać mowie śląskiej formę literacką, dokonać jej standaryzacji. Starania te często związane są ze swego rodzaju archeologią językową, która ma przywrócić Górnoślązakom zapomniane elementy ich mowy.

3. Nie jest to ani niemożliwe, ani nawet, przy odpowiedniej determinacji zainteresowanych, trudne. W przeciwnym razie większość Europejczyków posługiwałaby się dziś w oficjalnych sytuacjach łaciną. Twórcy języków literackich, czy wcześniej kancelaryjnych, zawsze konfrontowani byli z bogactwem i różnorodnością żywych, mówionych języków. Mimo to ich wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Zdecydowanie większym wyzwaniem od samej standaryzacji jest upowszechnienie jej efektów.

4. Kodyfikacja mowy śląskiej nie jest warunkiem uznania jej za język regionalny. To może i powinno nastąpić już teraz. By jednak w pełni korzystać z dobrodziejstw tego statusu – wprowadzić śląski do szkół czy na przydrożne tablice – trzeba dokonać kodyfikacji. Umożliwi ona zaistnienie śląskiego w nowych, prestiżowych sytuacjach, zerwanie ze stereotypem „zepsutej polszczyzny”.

5. Gdy zerwane zostały polityczne związki księstw śląskich z pozostałą częścią dawnej monarchii Piastów, stopień standaryzacji polskiego był znikomy. Na dobrą sprawę jako język kancelaryjny, a następnie literacki powstał on znacznie później na bazie dialektów używanych w granicach ówczesnego państwa polskiego. Uznanie mowy górnośląskiej za regionalną odmianę najbliższego jej ustandaryzowanego języka jest decyzją czysto polityczną – podobnie jak rozstrzygnięcie przeciwne. Każda decyzja w tej materii będzie miała taki właśnie wymiar.

Zamykanie się w mowie śląskiej nie jest dziś zagrożeniem realnym. Chcąc osiągnąć życiowy sukces młodzi Górnoślązacy zmuszeni będą poszerzać swoje językowe horyzonty i kompetencje, podobnie jak wszyscy obywatele RP. Holendrzy, posługujący się językiem pokrewnym, zdecydowanie bardziej popularnemu w skali europejskiej niemieckiemu, nie zamknęli się w ustandaryzowanym niderlandzkim, lecz należą do najlepiej wyedukowanych językowo nacji naszego kontynentu.

6. Na pewno nie w nieśląskiej części województwa śląskiego, gdzie byłoby to postrzegane jako przejaw kulturowego imperializmu. Śląski powinien pojawić się w szkołach tam, gdzie zaczynać sobie tego rodzice czy uczniowie. Jego wprowadzenie należy sfinansować tak jak naukę innych przedmiotów – użytkownicy śląskiego płacą wszak podatki także na oświatę.

7. Bez wątplenia podniesienie rangi mowy śląskiej dowartościuje jej użytkowników. Pozywką dla separatyzmu byłyby działania zmierzające w kierunku przeciwnym, naznaczone niechęcią

do śląskości, czy jej protekcjonalnym traktowaniem. Zagrożeniem dla integralności państwa jest demonizowanie odrębności i straszenie separatyzmem tam, gdzie go w istocie nie ma. Może to okazać się samospełniającym proroctwem.

... znajomość historii Śląska i śląskiej spuścizny kulturalnej jest wśród Ślązaków znikoma

DARIUSZ JERCZYŃSKI – autor 4 książek historycznych o tematyce śląskiej,
sekretarz zarządu nowej organizacji
Śląski Ruch Separatystyczny (w rejestracji)

1. Nasilenie się zainteresowania mową śląską i jej wejście do życia publicznego było naturalną konsekwencją upadku totalitaryzmu. Nagle przestano nam wmawiać, że język potoczny, którego używamy na co dzień, jest niepoprawną polszczyzną a stał się poprawnym dialektem. Okazało się, że nasze wewnętrzne przekonanie, że śląski jest zupełnie odrębnym językiem zachodniosłowiańskim, podzielają również niektórzy językoznawcy (Ewald Osers w renomowanej Słowiańskiej Encyklopedia, Gerd Hentschel w leksykonie języków słowiańskich). Nawet ceniony historyk prof. Norman Davies uważa, że „śląski jako etnolekt powinien zostać uznany za odrębny język”. Wola większości, przede wszystkim samych użytkowników języka śląskiego jest moim zdaniem wystarczającą rekomendacją, by uznać go za język regionalny.

2. Obok historii i kultury, język jest podstawowym wyznacznikiem odrębności i tożsamości. Na Śląsku jest czynnikiem głównym, ponieważ znajomość historii Śląska i śląskiej spuścizny kulturalnej jest wśród Ślązaków znikoma. Brak kodyfikacji poważnie ogranicza jej rozwój. Jednak działania kodyfikacyjne są daleko posunięte i, nie ulega wątpliwości, że zakończą się rezultatem (mniej profesjonalnym, jeśli nadal będą się tym zajmować tylko pasjonaci, bardziej profesjonalnym, jeśli przyłączą się językoznawcy).

3. Standaryzacja każdego języka w oparciu o subiektywne wybrane kontinuum dialektyczne jest możliwa. Pytanie brzmi tylko, czy taka standaryzacja zostanie zaakceptowana przez użytkowników tego języka. By standaryzacja taka została zaakceptowana, muszą zostać uwzględnione jako równoprawne formy gramatyczne reprezentatywne dla dialektów zachodnich (woj. opolskie) i południowych (Śląsk Cieszyński). Również słownictwo musi być reprezentatywne dla całości obszaru dialektalnego. Sądzę, iż z biegiem czasu w sposób naturalny, znormatywizowany język śląski z wolna ulegnie ujednoczeniu, adaptując najlepsze formy z poszczególnych dialektów, natomiast w formie potocznej pozostanie zróżnicowany.

4. Standaryzacja języka śląskiego powinna doprowadzić do uznania go za język regionalny, ale wiadomo, że jest to decyzja polityczna, więc jest uzależniona wyłącznie od woli politycznej parlamentarnej większości. Nowe możliwości to nauczanie śląskiego w szkołach, posługiwanie się nim w urzędach, dwujęzyczne nazewnictwo (podnoszące turystyczną atrakcyjność Śląska). Nie widzę jakichkolwiek ograniczeń, nie słyszałem o takich ograniczeniach nigdzie gdzie takie rozwiązywania występują.

5. Na pewno podniesienie statusu komunikacyjnego języka śląskiego nie spowoduje, że przestaniemy być dwujęzyczni, a więc nie doprowadzi do ograniczenia aspiracji i kontaktów społecznych. Jeśli śląski, wzorem rozwiązań hiszpańskich, będzie traktowany jak odrębny język, z pewnością leksykalnie zbliży się do polszczyzny, gdyż wówczas nikt nie będzie się silił na zapożyczenie z innych języków. Jeśli jednak uparcie będzie traktowany jako polski dialekt, z pewnością jego odrębności będą zapożyczali słownictwo z czeskiego, niemieckiego oraz górno- i dolnośląskiego (z którymi już dziś jest spokrewniony), by do polszczyzny się nie zbliżył.

6. Wprowadzenie języka śląskiego do szkół może nastąpić wyłącznie na zasadzie języka nadobowiązkowego na terenach, gdzie uczniowie i ich rodzice wyrażą takie życzenie. Program musi być oczywiście dostosowany do wieku uczniów, a na początku z pewnością będzie to spory przedział wiekowy.

7. Standaryzacja języka śląskiego powinna skonsolidować Ślązaków z różnych części Śląska, chociaż w przypadku konsolidacji Ślązaków cieszyńskich z pozostałymi Górnoszlązakami spodziewać się należy raczej długiego i trudnego procesu. Podniesienie statusu komunikacyjnego języka śląskiego z potocznego do literackiego bez wątpienia podniesie prestiż Ślązaków. Śląscy separatyści, którzy dziś używają języka śląskiego jako potocznego języka na co dzień, po jego standaryzacji będą go używać oficjalnie jako literackiego. Natomiast uznanie śląskiego za język regionalny jest kompromisem pomiędzy nami, którzy widzimy w nim język narodowy, a tymi, którzy chcieliby, aby był tylko regionalnym dialektem. Uznanie śląskiego za język regionalny, czyli akceptacja jednego z istotnych elementów śląskiej odrębności, raczej tendencje jednego z istotnych elementów wśród ogółu Ślązaków osłabi, a nie wzmocni, ale stanowiska osób o ugruntowanych poglądach w żaden sposób nie zmieni.

Musi się pojawić Dante języka śląskiego

Dr ZBIGNIEW KADŁUBEK
– Uniwersytet Śląski.
Literaturoznawca i eseista

1. Fakt zainteresowania publicznego, akademickiego, medialnego językiem śląskim wiąże się bezpośrednio z upadkiem komunizmu, czyli systemu totalitarnego, który – jak wszystkie systemy totalitarne – nie znosi odmienności, różnicy, wielości, niejednolitości. Pier Paolo Pasolini, syn faszysty, w 1942 roku napisał w dialekcie friulańskim, czyli w języku swych dziadków ze strony matki z Casarsy (friulańska Casarsa), tomik wierszy pt. *Poesie a Casarsa*, ale faszysty piętnowali zarówno używanie licznych dialektów italskich, a tym bardziej publikowanie w nich czegokolwiek. Dlaczego systemy totalitarne zawsze walczą z dialektami i mniejszymi językami? Bo są one najbliżej prawd serca? Bo są to języki, nad którymi nie potrafią zapanować systemy i instytucje? Bo wymykają się te języki urzędom i urzędnikom?

2. Nie używam terminu „gwara śląska”, lecz wyłącznie „język śląski”. Bo kiedy się myśli o chlebie, to nie myśli się „pumpernikiel” czy „graham”, tylko po prostu „chleb”. Terminologia, którą się stosuje w nazywaniu śląszczyzny, ma znamiona resentymentu i urzędniczej obiektywizacji. Dla Górnoszlązaka sprawa jest jasna: jest Górnoszlązakiem i używa śląskiego języka, co – oczywiście – nie stanowi zapory do posługiwanie się innymi „oficjalnymi” i „legalnymi” językami. Nie wierzę, że państwo polskie uszanuje język serca jakiegoś tam procenta jego obywateli. Państwa zazwyczaj nie są od kochania się w sercach swych obywateli.

3. Jest możliwa kodyfikacja oraz normalizacja zapisu języka śląskiego. Zapewne kiedyś do niej dojdzie. Mamy świetnych i kompetentnych językoznawców. Ale nie jestem przekonany, czy się to dobrze przysłuży językowi śląskiemu. Może to wywołać odwrotny skutek. Z drugiej strony: wydaje mi się, że to nie językoznawcy powinni „podarować” Ślązakom język, lecz literaci. Językowi śląskiemu nie jest potrzebne supersymposium megagwiazd świata językoznawczego (moja znakomita koleżanka Jola Tambor niech się teraz nie obrazi!), tylko potrzebny mu jest Dante. Musi się pojawić Dante języka śląskiego! Poza tym podoba mi się anarchia śląszczyzny – przypomina mi to piękno greki, która opalizuje i świeci dlatego, że jest cała utkana z dialektów – i słyhać w niej nawet Azję.

4. Czy język śląski zostanie uznany za język regionalny – to w dużym stopniu sprawa polityków. Ale to będzie również problem europejskości Polaków, czy uznają prawo jakiejś grupy ludzi, żeby ta grupa mówiła po swojemu.

5. Jestem człowiekiem bezgranicznie przekonany o nieistnieniu żadnych granic, więc nie sędzę, by język śląski mógł mnie ograniczać i odgraniczać. Naturalnie, istnieje niebezpieczeństwo pewnej fanatyzacji i fetyszyzacji języka śląskiego. To naturalny „efekt jojo”. Ale to powinno z czasem minąć i się uspokoić. Nie wiem, czy należy uważać śląszczyznę za odmianę polszczyzny.

Osobiście wolalbym, żeby język śląski się bardziej zbohemizował i stał odmianą języka czeskiego. Český jest słodki!

6. Słyszając różne historie o wprowadzaniu do szkół języka kaszubskiego, nie jestem optymistą. Może się to po prostu nie udać. Może trzeba jeszcze dużo czasu, by z nas wszystkich wyparował odór PRL-u i wulgarne barbarzyństwo leninizmu. Wprowadzenie języka śląskiego do szkół musiałyby się wiązać z odważnym gestem wyjścia poza uwarunkowania historii i geografii. Ale czy Ślązacy są dzisiaj na to gotowi? Czy są w swych sercach i mózgach autonomiczni? Moim zdaniem: nie. Jednak taki proces przebiega się przez historię, a nawet swą mentalność, proces working trough śląskiej traumy, miałby znaczenie uzdrawiające.

7. Dlaczego Polacy tak bardzo boją się utracić Śląsk? Przecież nie przypadają ani za Śląskiem, ani za ślązakami? A przede wszystkim Polacy Śląska nie rozumieją. Nie chcieliby, żeby ktokolwiek i z którejkolwiek strony próbował wykorzystywać politycznie śląszczyznę, sprostytuować język śląski. Nigdy na to nie pozwolę. Język śląski żyje *intimior intimo meo*, w samych głębiach mnie samego, a tam nie pozwalam wchodzić urzędnikom i politykom, jakkolwiek w fryderycjańskim stylu bardzo szanując i popierając państwo (jako pewną przejrzystą strukturę). Ślązacy muszą być mądrzy! Albo lepiej niech dalej milczą...

Nie wierzę w sztuczny, znormalizowany dialekt śląski

Profesor DANIEL KADŁUBIEC
– Uniwersytet w Ostrawie, Akademia Techniczno-
Humanistyczna w Bielsku-Białej.
Etnolog (rodowity Zaolzianin)

1. Sędzę, że powodów jest kilka. Jeden z nich ma charakter historyczny. Otóż Śląsk odpadł od Polski w połowie XIV wieku i żył poza nią sześć wieków. Był zdany na swoje siły, także językowe. Gwara była ratunkiem dla polskości, stąd jej wielkie znaczenie w życiu społecznym. Kwestia druga – polityczna. Warszawa traktowała (czy tylko w czasie przeszłym?) Śląsk specyficznie. Nie mieścił się w kategoriach szlachecko-magnackich, pańskich, ale plebejskich, robotniczych, czyli gorszych. W tym także mogą tkwić tendencje separatystyczno-autonomiczne tej starej dzielnicy piastowskiej. A to przekłada się na myślenie: Rządzmy się sami, gospodarujmy sami dla siebie i będzie nam lepiej. Język się w to wpisuje.

2. Ludwik Wittgenstein kiedyś napisał, że granice mojego języka są granicami mojego świata. To dobrze tłumaczy rolę języka w kształtowaniu tożsamości regionalnej. W języku Ślązaków tkwi obraz Śląska, czyli ojczyzny prywatnej, jakby powiedział Stanisław Ossowski. I to poczucie ważności tej ojczyzny ojcowskiej, jej wartości nie jest bez znaczenia dla żywotności gwary, która jest tutaj traktowana nie jako język gorszy (jak w innych stronach Polski), ale równoważny innym. Oczywiście, nie jest tak wszędzie, ale o wiele częściej niż w Polsce pozaśląskiej (z wyjątkiem Podhala).

3. Kodyfikacja jest działaniem normującym i stabilizującym, i polega na wyborze wariantu obowiązującego. A zatem w naszym przypadku chodziłoby o wskazanie jednej spośród gwar śląskich jako języka obowiązującego na danym terenie. Natomiast stworzenie jednego dialektu z różnych gwar byłoby działaniem sztucznym, przypominającym powstanie esperanta. Taki zabieg uważam za mało realny m.in. dlatego, że osłabiałby wartość kulturową wielu śląskich regionów z żywą gwara, a zatem także ich specyfikę tożsamościową. Język ma w tym względzie znaczenie fundamentalne. Co innego, gdyby w wyniku naturalnej ewolucji jedna gwara zdominowała inne, co jest procesem znanym z dziejów wielu języków narodowych.

4. W moim przekonaniu gwara (dialekt) i język regionalny nieco się różnią. Za język regionalny uważam język ogólnopolski z elementami dialektalnymi, szczególnie w słownictwie, choć nie tylko. Gwara (dialekt) to autonomiczny system językowy, specyficzny we wszystkich płaszczyznach, od fonetyczno-fonologicznej począwszy. Język regionalny ma także, w moim przekonaniu, szerszy zasięg niż gwara, i to w sensie zarówno przestrzennym

(geograficznym), jak i społecznym. Gdyby jednak taki język powstał, pełniłby wszystkie funkcje, spośród których wybijałaby się funkcja etnoidentyfikacyjna.

5. Na to pytanie częściowo odpowiedziałem powyżej. Sądzę, że nie można traktować synonimicznie gwary i regionalnej odmiany polszczyzny. Obydwa systemy językowe wchodzi w skład języka etnicznego (narodowego), ale – właśnie – jako dwa systemy, choć w wielu miejscach spójne.

6. Kaszubi mają w tym względzie doświadczenie, więc byłoby dobrze ich zapytać. Gdyby do tego doszło, w co mało wierzę, mógłby to być jeden z języków – oprócz polskiego i obcych – a nie zamiast nich. Gdyby był „zamiast”, oznaczałoby to stwarzanie zaścianka, co pachniałoby anachronizmem w dzisiejszych czasach. Jeżeli był „oprócz”, uważałbym to za wzbogacenie oferty językowej, a tym samym za wzbogacenie kulturowe, bo wiem każdy język jest bagactwem (patrz Wittgenstein). Nie ma języków gorszych i lepszych. Ale skąd wziąć nauczycieli takiego języka? Nie kształci ich żadna uczelnia, a młode pokolenie Ślązaków, poza tymi na Zaolziu, gwary już prawie lub w ogóle nie zna. I dalej: Śląsk na skutek sytuacji powojennej jest tak wymieszany, że wprowadzenie „języka śląskiego” może napotkać opór nie-Ślązaków. Ale może też być i taki argument: Skoro tu jesteście, to się uczcie.

7. Wszystko jest możliwe. Nieraz w historii tak było, że język stał się narzędziem polityki z konsekwencjami dla kwestii narodowej, także na Śląsku. Powtarzam jednak: Nie wierzę w sztuczny, znormalizowany dialekt śląski. Tam, gdzie gwara wrosła głęboko w ziemię, nie można jej zastąpić sztucznością. Tam, gdzie jej nie ma, funkcjonowałby na zasadzie języka obcego. Trzeba by go stworzyć od podstaw, a to nie takie proste.

Gwara – to sposób myślenia... i obrazowania świata

MAŁGORZATA KIEREŚ – etnograf.
Góralka z Istebnej.

Dyrektor Muzeum Beskidzkiego w Wiśle

1. Proces nobilitowania każdej gwary, także śląskiej, bardzo cieszy i wyraźnie widzimy, że rozpoczął się on już w nowej rzeczywistości politycznej Polski po 1989 roku. Z załem jednak stwierdzam, że nie rozpoczął się on od rodzinnego domu. Inicjatorami jej nobilitowania byli pasjonaci, którzy zyskując przychylność instytucji organizowali w różnych formach konkursy gwarowe, spotkania, przeglądy. Uczestnicy konkursów za udział i „właściwą” dla jury prezentację tekstu gwarowego otrzymywali nagrody, czego w tradycji nigdy nie było. Ale – o dziwo – okazuje się, że to był jeden z silnych bodźców, który zwrócił uwagę na jej istotne miejsce w kulturze.

2. Żywa gwara śląska, którą posługują się mieszkańcy, na co dzień pozostanie na zawsze dla nich znakiem ich rodzinnej śląskiej ziemi. Zauważyłam, że podczas różnych folklorystycznych festiwali, godać *po naszymu*, dla Ślązaków jest dumą. I niech tak pozostanie. Rozwój gwary śląskiej podlega ogólnym procesom globalizacji, łączenia żargonów, języka mediów (radio, prasa, telewizja). Ważną rolę odgrywają szkoła, zwykłe codzienne życie, kontakty z ludźmi, wyjazdy, nowe, inne oczekiwania od młodego człowieka (np. ile Pan Pani zna języków obcych), zmiany struktury śląskich społeczności i zatrudnienia. Zmianie ulega słowotwórstwo, fleksja czy fonetyka etc... na to nie mamy wpływu, język gwary tak jak i język ojczysty był, jest i będzie żywy. I taki żywy, zmieniający się jest akceptowany. Najważniejsze, że nadal jest częścią życia, narzędziem komunikacji dla wielu mieszkańców śląskiej ziemi. Dzięki temu trwa choć już w zmienionej formie gramatycznej, fonetycznej.

3. Dokonanie naukowego opisu, klasyfikacji gwar śląskich jest rzeczą potrzebną, ale pracę tę powinni wykonać znawcy problematyki, dialektolodzy, językoznawcy. Wprowadzenie kodyfikacji do opracowania słownika gwarowego (a takie powstają obecnie prawie w każdej miejscowości) jest ciągle przedmiotem dyskusji. Przedsięwzięcie tym bardziej potrzebne, gdyż to ostatni moment wykorzystania najstarszych informatorów, którzy posiadają w swojej pamięci ogrom wiedzy o gwarze swojego regionu. Nie-

mniej uważam, że to zabieg bardzo trudny. Zauważyłam, że pojęcie gwary najczęściej rozumiane jest jako zestaw słów innych od powszechnie używanych w języku polskim. Gwara, to coś więcej aniżeli słowotwórstwo – to sposób myślenia i obrazowania świata, to opis zachowań ludzi, cech charakteru, sposobu postępowania, to używanie całego bogactwa własnych określeń na zjawiska przyrody. To wreszcie własny komentarz wydarzeń dnia codziennego, świątecznego.

Dokonanie rejestru bogactwa języka gwary to wielka wartość, jednak z autopsji wiem, że problemem jest właściwy brzmienie, zapis fonetyki tekstów gwarowych. W przypadku np. gwar góralskich jak zapisać wymianę dwuznaków *sz, cz*, skoro wymawiane są miękko, jako *ś, ć* lub *sz, czy*, jak zapisać *r* – frykatywnie, skoro krzyż, to w wymowie górali z Istebnej *krzyż, krzyżyczyk* etc.

4. Do tej pory Ślązacy, którzy byli świadomi swoich korzeni, posługiwali się i posługują się nadal swoją śląską gwara, swoim językiem, który uważają za swój, regionalny. Nie potrzeba im było żadnego certyfikatu, który im tę sytuację poniekąd opieczętuje. Swoją gwara śląską otrzymali w darze w swoim rodzinnym domu i taki przekazywali swoim dzieciom. Zawsze byli świadomymi tego, co to jest gwara śląska. Zmieniała się tylko postawa mieszkańców względem gwary.

5. Podręcznik – o ile powstanie – powinien przede wszystkim przekonywać młode pokolenie do odwiecznej wartości gwary i jej piękna. Wprowadzenie i opracowanie metody, co do sposobów jej nauczania w szkołach to praca na lata, ponieważ nie próbowano metodycznie do tej pory ująć zróżnicowania gwar śląskich. Ale w pierwszej kolejności należy znaleźć sposób jej godnego miejsca w świadomości młodego pokolenia. To – moim zdaniem najtrudniejszy proces. Nie wpadajmy w modę, bo trwa krótko.

6. Wielu mieszkańców urodzonych na Śląsku nie mówi gwara i trudno byłoby zmuszać ich do mówienia gwara, skoro nigdy takim językiem nie mówili. Nie powinno zatem doprowadzać się do sytuacji, w której rozpocznie się proces udowadniania, że jak nie mówisz naszą gwara np. śląską to nie jesteś Ślązakiem. To byłoby bardzo bolesne dla tych, którzy na Śląsku się urodzili, to również ich rodzinną ziemią, którą kochają tak samo jak ci, którzy mówią gwara, tu żyją, i dla Śląska oddali swoje serce, codzienną pracę i życie.

Rozwój skodyfikowanego języka śląskiego będzie zależeć od jego witalności społecznej

Profesor WŁADYSŁAW LUBAŚ

– Instytut Języka Polskiego PAN w Krakowie.

Redaktor „Słownika polskich leksemów potocznych” (wyszły 4 tomy)
i rocznika „Socjolingwistyka” (21 tomów)

1. Ożywione zainteresowanie lingwistyki polonistycznej mową śląską sięga poza ostatnią dekadę ubiegłego wieku i wiąże się z ogólnym zwrotem metodologicznym w językoznawstwie ku badaniom żywego języka w kontekście socjalnym i psychicznym i rezygnacją z metod polegających wyłącznie na konstruowaniu modeli dotyczących samej struktury wewnętrznej. Tendencja ta ujawniła się szczególnie wyraziście na Uniwersytecie Śląskim, gdzie powstały liczne prace o polszczyźnie śląskiej. Zaś zainteresowanie społeczne samych Ślązaków swoją mową i próbą uznania jej roli za przekraczającą funkcje tradycyjnych dialektów ludowych zostało wywołane procesami demokracji życia publicznego i pojawieniem się dyskursu o roli lokalności, samorządności, kulturowych odrębności etnicznych, emancypacji politycznej i językowej, polityki europejskiej (Rady Europy i Unii Europejskiej) wspierającej regionalność i wielojęzyczność oraz równość językową, co wyraźnie wyostrzyło językową samoświadomość Ślązaków. Uważam to zjawisko za pozytywne społecznie.

2. Mowa śląska, jak wykazują cząstkowe badania, jest jednym z podstawowych wyróżników etno-kulturowych dużej części mieszkańców Śląska. Rozwój innych gwar polskich zmierza

w kierunku asymilacji z polskim, potocznym językiem ogólnym. Dzisiaj dokładnie nie wiadomo w jakim stopniu ulegają temu procesowi gwary śląskie w zakresie struktury gramatycznej, ale dzięki badaniom katowickiego i opolskiego środowiska językoznawczego wiemy, że poszerzyła się znacznie baza społeczna użytkowników śląszczyzny i zakres jej publicznego uzusu (publicystyka, literatura, telewizja, radio, częściowo nauczanie, lokalne kręgi komunikacyjne głównie w regionie przemysłowym Górne Śląska).

3. Proces normowania „języka śląskiego” jest możliwy z wielu powodów: 1) istnieje taka wola dużej liczby Ślązaków, 2) wyrażający tę wolę stanowią wyrazistą grupę etno-kulturową (Dorota Simonides) na tle innych polskich grup etnicznych, 3) istnieje znaczny dorobek naukowy w zakresie deskrypcji śląskiej mowy (słowniki, częściowe opisy gramatyki, opisy socjolingwistyczne), 4) istnieje co najmniej dwustuletnia tradycja regionalnej literatury śląskiej, 5) pojawiły się elity intelektualne na Śląsku reprezentujące różne dziedziny nauki (liczne uczelnie i PAN), pisarstwo, sztukę filmową, muzykę, plastykę na poziomie kultury wysokiej, co ułatwi ekspansję języka regionalnego, 6) mamy precedens w polskim prawie – uprawomocnienie regionalnego języka kaszubskiego. 7) sprzyjające warunki zewnętrzne, tj. polityka językowa Unii Europejskiej wspierająca regionalne procesy kulturowe.

Są też przeszkody. Dotyczą one unifikacji systemu wewnętrznego języka i pewnych zjawisk zewnętrznych. Jeżeli chodzi o trudności systemowe to wynikają one z tego, że 1) każda kodyfikacja ma charakter arbitralny; polega ona na wyborze jednego z istniejących w żywych dialektach wariantu gramatycznego lub leksykalnego i uznaniu go za prestiżowy i obowiązujący w danym standardzie; jak wiadomo dialekty śląskie są znacznie zróżnicowane pod względem gramatycznym, stąd trudności mogą wystąpić w selekcji i kłopoty w stadium ich społecznej akceptacji, która się dokonuje dopiero w okresie uzusu skodyfikowanego standardu; teoria normowania przewiduje w takich wypadkach konieczność zastosowania korekcji standardu; 2) deskrypcja mowy śląskiej nie jest jeszcze pełna i wymaga wielu uzupełnień, tym bardziej że w literaturze pojawiły się nienaukowe opracowania traktujące dialekty śląskie jako pidgin i kreol niemający związku z historyczną polszczyzną.

Co się tyczy zjawisk zewnętrznych, to trudności widzę w: 1) upolityczeniu samego faktu normowania śląszczyzny: proces ten nie może być traktowany jako tworzenie nowego i wyrazistego argumentu za separacją Śląska od polskiej kultury, historii, państwa i narodu – a kolejne trudności to; 2) ziemia śląska jest zamieszkała przez ludność wieloetniczną (w większości przez nie-Ślązaków); 3) ludność ta deklaruje niejednołotą przynależność narodową (polską, niemiecką, czeską) i państwowo-obywatelską; 4) etniczni Ślązacy deklaruji – chyba w większości – podwójny etnos – polsko-śląski lub śląsko-polski, niemiecko-śląski lub śląsko-niemiecki itd.; 5) grupa deklarujących wyłącznie etnos śląski jest w wyraźnej mniejszości, może więc wystąpić obawa ze strony większości mieszkańców Śląska, że po prawnym uznaniu mowy śląskiej za język regionalny nastąpi w regionie przymusowa edukacja tego języka i dominacja w administracji i szkolnictwie; 6) istnieje w sferach rządowych, partyjnych i wśród polskich elit przekonanie, że regionalne aspiracje do emancypacji języka śląskiego są objawem wyłącznie politycznych aspiracji Ślązaków do dezintegracji i separacji państwowej a nie jest to aspiracja kulturalno-regionalna zgodna z duchem epoki.

Normowanie więc – jeżeli znajdą się siły, które by się podjęły trudu kierowania i realizacji tego długotrwałego zresztą procesu – odbywać się będzie w atmosferze konfliktów i ostrych sporów na wielu płaszczyznach dyskursu społecznego: naukowego, politycznego, kulturalnego, także w wymiarach międzynarodowych.

4. Starania o uznanie śląszczyzny za język regionalny można rozpocząć po przeprowadzeniu kodyfikacji, co jest oczywiście możliwe.

5. Rozwój skodyfikowanego języka śląskiego będzie zależeć od jego witalności społecznej, tj. od poziomu akceptacji i zakresu uzusu. Należy wyrazić nadzieję, że nowy standard przejmie niektóre funkcje komunikacyjne polszczyzny standardowej, ale przede wszystkim poprzez uzyskanie prestiżu prawny zmocni etniczną funkcję identyfikacyjną. W wielojęzycznej wspólnotie europejskiej funkcja komunikacyjna jednak nie będzie pierwszoplanowa, więc uszczuplenie prestiżu polszczyzny nie wchodzi w grę.

6. Wprowadzenie skodyfikowanego nowego języka do systemu edukacyjnego państwa może się odbyć na podstawie polskich i unijnych aktów prawnych (USTAWA z dnia 6 stycznia 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku

regionalnym (Dz. U. z dnia 31 stycznia 2005 r. i European Charter for Regional or Minority Languages (Karta strasburska 1992) i „Universal declaration on linguistic rights” (tzw. Deklaracja barcelońska 1996).

7. Trudno przewidzieć skutki „regionalizacji” polszczyzny śląskiej; może ona być wykorzystywana przez różne opcje polityczne jako argument za separacją Śląska od Polski i odwrotnie – za integracją z Polską i polską kulturą oraz kulturą niemiecką i czeską. Dialekty śląskie są genetycznie polskie, co nie ulega żadnej wątpliwości dla ludzi znających dobrze literaturę językoznawczą i metody lingwistyczne. Szarlatani „naukowi” jednak zawsze egzystują na marginesie każdej dyscypliny naukowej a ich poglądy bywają pożywką dla przeróżnych koncepcji politycznych. Tak się też dzieje w przypadku polszczyzny śląskiej. Osobiście jestem optymistą w sprawie możliwości przeprowadzenia normowania śląszczyzny i opowiadałbym się za przystąpieniem do organizacyjnego przygotowania tego długotrwałego procesu kulturowego, którym powinni kierować uczeni we współpracy z ludźmi kultury, pisarzami, dziennikarzami i z lokalną administracją państwową.

Gwara częściiej pojawia się „na salonach”

MICHAŁ LUBINA – regionalista, działacz społeczny, dyrektor Muzeum im. Maksymiliana Chroboka w Rudzie Śląskiej

1. Na większe zainteresowanie gwara a przede wszystkim na jej intensywniejsze używanie w życiu publicznym wpłynęły (podaje nie ustalając hierarchii):

- uzyskanie wolności politycznej, czyli możliwość m.in. mówienia (decydowania) o swoich sprawach,
- mniejsza podejrzliwość szeroko rozumianej władzy co do zagrożenia interesów Polski w przypadku rozwoju regionalizmu,
- zwiększenie liczebności Ślązaków z wyższym wykształceniem, w tym zwłaszcza humanistycznym, czyli Ślązaków o większej wiedzy na temat swojej kultury i historii,
- powszechniejsza staje się świadomość, że gwara jako dziedzictwo kulturowe jest dobrem, jest więc wartością wymagającą troski, ochrony,
- pełnienie na Śląsku po 1990 roku ważnych funkcji publicznych przez osoby demonstrujące swoją śląskość,
- samoorganizowanie się Ślązaków w towarzystwa społeczno-kulturalne,
- inicjatywy kulturalne promujące gwara, w tym konkursy mówienia gwara,
- pojawienie się wielu publikacji, w tym słowników dotyczących gwary,
- publiczna dyskusja, konferencje dotyczące gwary, np. Michał Lubina w 1992 roku w Sali Sejmu Śląskiego zorganizował w ramach Wszechnicy Górnośląskiej Związku Górnośląskiego konferencję „Gwara śląska wczoraj i dziś” (i wydal po niej materiały),
- wprowadzenie do szkół ścieżki międzyprzedmiotowej „Edukacja regionalna”.

2. Gwara śląska jest jednym z najważniejszych wyznaczników odrębności kulturowej i tożsamości śląskiej. Jej wartość i znaczenie uświadomiły sobie również tzw. elity, stąd gwara częściiej pojawia się „na salonach”. Inaczej mówiąc rozwój gwary nastąpił dzięki jej używaniu przez osoby o różnym statusie społecznym.

3, 4. Pytania do językoznawców. Nie widzę problemów z kodyfikacją – takie operacje są w kulturze znane, np. kodyfikacja języka słowackiego DOPIERO w II połowie XIX wieku.

5. Tak. Będzie się rozwijać, m.in. dzięki niewątpliwej nobiletacji.

6. Pytanie to powinno być skierowane przede wszystkim do metodyków nauczania. Wprowadzenie nauczania do szkół nie może być „rozwiązaniem siłowym”. Atmosfera społeczna wokół kodyfikacji „języka regionalnego” powinna sprzyjać wzrostowi zainteresowania nim.

7. Kodyfikacja gwary i oficjalne uznanie znormalizowanego dialektu śląskiego będzie miało pozytywny wpływ na konsolidację Ślązaków i poczucie ich wartości. Nie rozważam ewentualnego powszechnego wykorzystania kodyfikacji w celach politycznych.

Jeśli Ślązacy nie zdobędą się na swój język – znikną z mapy Europy

ALOJZY LYSKO – publicysta, pisarz
i działacz społeczny

1. Po 1989 roku Ślązacy zaczęli się samoorganizować. Spowiem łączącym ich dążenia stała się duchowa tożsamość. Przejawiała się ona w publicznych manifestacjach mowy (symbolem tego stał się Konkurs Gwary Śląskiej „Po naszymu czyli po śląsku), pieśni (zaistniało „Śląskie Śpiewanie”), stroju (powstały liczne zespoły regionalne), obrzędów i zwyczajów oraz wytworów dziedzictwa materialnego (otwarto wiele izb regionalnych i muzeów). To radosne przebudzenie Ślązaków zbiegło się z odchodzeniem najstarszego pokolenia, które nie chodziło do polskiej szkoły, którego nie skazyła obecność w elitach władzy, i które z tych powodów zachowało naturalną śląskość. Natomiast średnie pokolenie, zaniepokojone powolnym zanikiem najcenniejszych wartości śląskich, podjęło wysiłek ratowania resztek dziedzictwa. Proces ten trwa po dziś dzień, czego wyrazem są właśnie coraz silniejsze starania o uznanie śląszczyzny za język regionalny.

2. Tak! Śląszczyzna może stanowić podstawę poczucia odrębności kulturowej, ale śląszczyzna pełna: mówiona i pisana. Jak tu od wieków było – mowa śląska zepchnięta była i jest do roli języka domowego lub języka zwartych wspólnot lokalnych. Wiadomo, językowi mówionemu wystarczą niewyszukane słowa i niezdyktynowana składnia. Trudno tu więc dyskutować o rozwoju takiego języka. Najwyżej można mówić o jego ratowaniu. Dopiero ujednolicona pisownia otwiera drogę do rozwoju języka, do własnej literatury pięknej, do powstania książki śląskiej. A książka – wiadomo – stanowi pierwszą wartość kultury.

3. Wypracowanie jednego języka śląskiego jest możliwe bez szkody dla całego bogactwa gwar śląskich, które stanowią bezcenne źródłowo projektowanego języka. Kodyfikacja pisowni to będzie jednak dopiero początek długiego i żmudnego procesu, który będzie wymagał opisanie „całego świata” nowym kodem językowym. Opisanie to na pewno nie rozpocznie się od tłumaczenia Biblii, jak to już niektórzy z fatalnym skutkiem próbowali, lecz od najprostszych słów elementarza śląskiego i nakierowane będzie na przyszłość. Należy mieć świadomość, że proces upowszechniania języka śląskiego może trwać dziesiątki lat. Trud ten jednak należy podjąć, jeśli Ślązacy chcą uratować siebie i swoje dziedzictwo.

4. Ślązacy pragną stworzyć własny język pisany nie po to, aby go ktoś uznawał, czy nie uznawał, albo posługiwał się nim jako orężem politycznym. Ten język jest Ślązakom potrzebny jak powietrze, woda, chleb, węgiel. Jeśli Ślązacy nie zdobędą się na swój pisany język regionalny – znikną z mapy Europy, tak jak zniknęło już wiele nacji, które nie zadbały o własne pismo.

5. Śląski język regionalny nie powinien być odmianą polszczyzny, choć teraz traktowany jest jako jeden z dialektów polskich. Będzie odrębnym językiem, rozwijającym się własną drogą, jednak w naturalnych związkach z polszczyzną, czeszczyzną, językiem niemieckim i każdym innym, jak to teraz w dobie globalizacji dostrzegamy. Według oponentów, istnieje obawa zamknięcia się Ślązaków w swoim języku. Śląszczyzna i polszczyzna wyrosłe z jednego pnia mowy – powinny się otwierać na siebie i wzajemnie się ubogacać. Czyż polszczyzna przez wieki nie czerpała z greki, łaciny, języka włoskiego, francuskiego, niemieckiego? Czy nie czerpie dziś z angielskiego? Tylko głupi naród zamyka się w swym języku.

6. Po kodyfikacji dzieło upowszechniania języka śląskiego rozpocznie opracowanie podręczników, poczynając od elementarza. Nauka powinna się odbywać w szkołach państwowych na życzenie rodziców i bezpłatnie. W klasach starszych nauk śląskiego powinien wspierać drugi przedmiot z zakresu edukacji regionalnej. Gdyby okazało się, że nie ma zgody państwa na nauczanie śląskiego w szkołach – kodyfikację trzeba mimo wszystko przeprowadzić.

7. Kodyfikacja śląszczyzny i oficjalne uznanie języka śląskiego będą miały pozytywny wpływ na konsolidację Ślązaków żyjących w wielu krajach. Jeśli państwo polskie sprzyjać będzie wysiłkom Ślązaków w pielęgnowaniu własnej kultury i ochrony dziedzictwa, to realnie spełni ich marzenia o wolności. Minione tysiąclecie pokazało, że różne ośrodki władzy politycznej chciały tylko panować nad Ślązakami i czerpać z ich pracy i bogactw. Żaden z panujących porządków nie chciał przyjąć do wiadomości i praktyki jednej prawdy, że Ślązacy to ludzie, którzy nie są bez praw.

...regionalność Śląska z jej językiem stała się wręcz modna

Profesor JAN MIODEK
– Uniwersytet Wrocławski.
Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej

1. Kiedy wydarzyła się wolność w roku 1989, jak mawiał ks. prof. Józef Tischner, pojawiło się wiele zjawisk społeczno-kulturowych w dawnych latach przytłumionych, ukrytych. Jednym z nich stała się szeroko pojęta regionalność – z jej obyczajami, językiem. A że historia Śląska – ziemi pogranicza i styku wielu kultur – jest wyjątkowo ciekawa i wyodrębniająca go spośród innych obszarów, regionalność śląska z jej językiem stała się wręcz modna, czego medialnym znakiem są chociażby reklamy z jej udziałem czy seriale (abstrahując w tej chwili od ich poziomu). Gwarowy konkurs organizowany od kilkunastu lat przez radiową dziennikarkę senator Marię Pańczyk (w którym od samego początku uczestniczę jako juror) ma dziś swoje mutacje w niezliczonej liczbie miejscowości i szkół. To jest także potwierdzenie narastającego zainteresowania zjawiskiem gwar śląskich.

2. To jest również niewątpliwie dowartościowanie gwary jako zjawiska kulturowego, duchowo dźwigające Ślązaków, uwyrażniające ich szczególne miejsce na mapie Europy. Jestem więc przekonany, że na Śląsku Cieszyńskim i Górnym (z Opolszczyzną) gwary będą się utrzymywać jeszcze bardzo długo. Nie jestem natomiast pewien, czy ich linia ewolucyjna jest progresywna. Znam dziesiątki czysto śląskich domów, w których na co dzień mówi się już wyłącznie polszczyzną literacką, odmiana regionalna zaś służy tylko funkcjom ekspresywnym języka.

3, 4, 5. W tej sytuacji – a przede wszystkim wobec niezwykłego zróżnicowania poszczególnych gwar śląskich w każdym wręcz detalu fonetycznym – zupełnie nie wyobrażam sobie skodyfikowania dialektu śląskiego. Poza tym powtarzam jak mantrę: wariantowość jest największym bogactwem stylistycznym każdego człowieka. Funkcjonowanie standardowej (literackiej, ponadregionalnej) odmiany języka jest częścią tego bogactwa – i na odwrót, oczywiście! Tylko teoretyczna śląszczyzna może obsłużyć wszystkie sytuacje komunikacyjne. Nie widzę jej praktycznie we wszelkich sytuacjach oficjalnych – w urzędzie, w szkole, w kościele. Józef Tischner jest jednym z moich intelektualnych autorytetów. A przecież nie ukrywam, że z mieszcznymi uczuciami odbieram jego filozofię po góralsku – właśnie jako coś w gruncie rzeczy sztuczne. Arystoteles, Platon, Tomasz z Akwinu po góralsku, po śląsku? „Archanioł Gabriel przyrzuł do frelki Maryjki i Jej pedziół, co bydzie miała karlusa i do mu miano Jezus” – tak miałyby wyglądać Ewangelia? Wolne żarty!

6, 7. Gwary śląskie powinny być natomiast jedną z najcenniejszych „pomocy naukowych” w szkole, szczególnie – na lekcjach języka polskiego. Należy podkreślać siłę stylistyczną wszystkich regionalnych odmian języka – właśnie jako ekspresywnych wariantów języka standardowego. Wplatanie do takich czy innych tekstów literackich, jakże wzmagają ich siłę emocjonalną! Archaiczność gwar śląskich sprawia, że są one pomocą naukową wprost bezcenną, pomagającą zrozumieć wiele zjawisk językowych, takich chociażby jak pisownia „rz” czy „ó”.

Kodyfikacja zuboży tę wspaniałą różnorodność i bogactwo gwary śląskiej

Dr JÓZEF MUSIOŁ – przewodniczący
Stowarzyszenia Sędziów Sądu Najwyższego
w Stanie Spoczynku. Prezes Towarzystwa
Przyjaciół Śląska w Warszawie.
Autor licznych publikacji o tematyce śląskiej

1. Nasilenie wynika z tego iż cała gwara śląska była mniej lub bardziej zwalczana, a na pewno ośmieszana. Walczono z gwara również w szkole, zamiast ją kultywować.

2. Śląszczyzna to nie tylko gwara, to pewna przynależność do grupy, którą cechują takie wartości jak słowność, rzetelność, poczucie obowiązku no i oczywiście gwara sięgająca korzeniami w głąb historii tej ziemi. Swobodne wypowiadanie się i kultywowanie tej gwary stanowi o jej rozwoju i ubogaceniu.

3. Kodyfikacja zuboży tę wspaniałą różnorodność i bogactwo gwary śląskiej. Każda kodyfikacja coś uściśla, zakreśla pewne ramy, ustanawia granice. I o tyle bogactwo gwary śląskiej będzie uboższe i przestanie się ona swobodnie rozwijać.

4. Skodyfikowanie gwary jest nieszczęśliwą próbą upodmiotowienia języka regionalnego

5. Myślę, że to drugie.

6. Gwara nie skodyfikowana, nieograniczona, może różnić się między sobą w swoich wspaniałych odmianach – a to także jej siła i piękno. Jest to sprawa nie podręczników, a serca i atmosfery w domach śląskich.

7. Może być wykorzystywane przez działalność grup separatystycznych w celach politycznych. Doprowadzić to może do niepożądanych, niegodnych zjawisk, do antagonizmów, wszak na Śląsk przybyło setki tysięcy ludzi z innych regionów Polski. Niechaj nie czują się oni obco a ulegają urokowi gwary i obyczaju Śląska. Nic na siłę!

Kodyfikatory chcą stworzyć – na bazie istniejących dialektów – śląskie esperanto

STANISŁAW MUTZ – autor zbiorów wierszy
i sztuki scenicznej „Polterabend”
napisanej „po śląsku”

Odpowiadając na pytania ankietowe, pozwolę sobie zadać kilka własnych. Pierwsze: do kogo skierowana jest ankieta i kim są ludzie „z pierwszej linii frontu”, walczący o uznanie „śląskiego” jako języka, z zapalem dyskutujący o kodyfikacji, i konsekwencjach wszystkich tych działań? Mam wrażenie, że w większości są to Ślązacy „z adopcji” – pragnący z im tylko znanych powodów adoptować śląską mowę... Gdyby przeciętny autochton zapoznał się z treścią ankiety, założył się, że miałby problemy z jej zrozumieniem...

Nie wiem, na czym miałyby polegać, cytuję, „wejście jej (mowy ojców) do życia publicznego w licznych rolach i funkcjach (po roku 1990).” Nie rozumiem i nie czuję tego żargonu (podobnie jak większości poruszonych w ankiecie kwestii). Nie zgadzając się z tezami, trudno udzielać konstruktywnych odpowiedzi. Mimo wszystko, czuję się w obowiązku zabrać głos – tzn. podzielić się moimi subiektywnymi przemyśleniami na ten temat... Mój subiektywizm nie ignoruje jednak faktów... Jakie są fakty...? Powstaje literatura śląska. Istnieje dobrze prosperujący śląski „show-biznes” – śląskie media... Ale ten boom medialny nie wywołuje boomu na

ulicach... Istniejące enklawy śląskości – śląska wieś i ubogie dzielnice dużych miast – istnieją i istniały od zawsze... Te „ośrodki” nie kreują mody na „śląskości” ani nie poddają się jej... Śląski to język domowy, ja osobiście używam go wyłącznie wobec osób, które „nij poradom inaczy”...

Język śląski nie rozwija się, gdyż nie jest w masowym użyciu. Działania językoznawców są próbą powstrzymania nieuchronnego regresu i homogenizacji „śląskiego”. Podobnie jak działania pisarzy, dokumentują minioną kulturą odrębność. W przypadku pisarzy, świadectwo winno mieć dodatkowy, osobisty charakter. Ktoś, kto myśli po śląsku (urodził się Ślązakiem), ma prawo do publicznego używania tego języka. Tego języka nie można nauczyć i nauczać (!) w szkołach czy na kursach. Kodyfikatory chcą stworzyć – na bazie istniejących dialektów – śląskie esperanto. Wszyscy, nagle, chcą „fulać” po śląsku – najczęściej dla pieniaędzy, niewielu jednak „poradzi godać”...

Komu potrzebna jest zatem kodyfikacja. Na pewno nie użytkownikowi śląskiego. Gdybym skupiał się na „krzoczkach” i „daszkach”, pisząc po śląsku, nie napisałbym ani słowa. Pisząc po śląsku włączam swój słuch i językową pamięć – słyszę głosy ludzi, którzy już zamilkli; śląski jest nieprzekładalny i tylko taki ma sens... Powinniśmy się koncentrować, mówiąc i pisząc po śląsku, na niepowtarzalnych idiomach języka – to w nich mieszka duch mowy, a nie na utrudnianiu potencjalnym czytelnikom obcowania z tą mową...

Czy Ślązacy chcą śląskiego w szkołach, urzędach, kościołach...? Po mojemu, to tak samo fajny gyszynk, jak elefant z porcelany ze złotom trombom, co se go idzie wsadzić do byfya... Jedno jest pewne: „elefant” na tej trąbie nie zagra... Ustawy, dokumenty, słowniki nie ożywią śląskiego... Zegar historii tyka, a niektórzy uwiesili się – jak słynny angielski komik – jego wskazówek... Mówić o śląskim trzeba z dystansem i humorem, a nie z miną Bustera Keatona lub Otto Bismarcka... Powiem ostro: nie podoba mi się śląski „Kultur Kampf”...

Śląski to dla mnie pierwszy język, jaki usłyszałem w swoim życiu. Do momentu pójścia do szkoły, nie słyszałem też wokół innego. Szkoła była dla mnie pierwszym miejscem polaryzacji z nowym – polskim językiem. Pamiętam swój podręcznik do polskiego o znaczącym tytule „Mój język ojczysty”. Polski nie był moim językiem ojczystym, miał się nim dopiero stać. Moja rodzina przez cały dziewiętnasty i dwudziesty wiek na przemian „polonizowała” się – ześląszczała – i „niemczyła”... W sposób naturalny (dzięki matkom Ślązaczkom i plebejskiemu otoczeniu) lub urzędowy... Niemieccy bogaci, lepiej wykształceni bracia z coraz większym dystansem patrzeli na swoich śląskich... Z czasem, zniknęło też ostatnie spoivo wzajemnych kontaktów – język... Dwa odrębne lub nakładające się na siebie języki, zaczęły tworzyć dwie odrębne kulturowo rodziny...

Jak więc, w takich warunkach, odpowiedzieć na pytanie „czy śląski jest odmianą polszczyzny i ma się w oparciu o nią rozwijać”... Niemiecka leksyka wrośnięta w polską składnię nie jest dowodem skażenia. To również historyczne świadectwo rozwoju kultury na Śląsku. „Szaubyncyjer” – „ziherung” – „gloka” – „kronlojchter” – „elektrykorz” to słowa (rzeczy), które nie pojawiły się na Śląsku po roku 22’. One istnieją w moim, żywym języku. Żaden plebiscyt ani decyzja językoznawcza nie są w stanie wykreślić ich z mojego języka. Nie wyobrażam sobie, żeby Jorg, bohater mojej sztuki, gonił swoją matkę po scenie z „metrem stolarskim”, a nie z „colsztokym”... Język to sposób widzenia świata – język jest częścią wyobraźni – jest obrazem, uformowanym i wyciśniętym w naszej psychice... Dlatego mówienie o nim ankietowym żargonem, jak o obcym cielem wierzącym w oku, uważam za największą pomyłkę...

Są dwie szkoły: jedni uparcie twierdzą, że po śląsku można tylko „fulać i fanozić” (najchętniej o kluskach i modrej kapuście), drudzy (szkoła prof. Kadłubka i dr. Szoltyśka): równie dobrze rozprawiać o Wittgensteinie, czytać i przekładać Biblię, Iliadę i Odyseę, dzieła Kafki czy Prousta... Czy ma sens tłumaczenie Prousta czy Kafki na śląski? Ja jestem w stanie zrozumieć Prousta i Kafkę bez śląskiego. Ale bez śląskiego, nie jestem w stanie zrozumieć swojego dzieciństwa. Żeby poznać zasady mechaniki kwantowej, nie muszę sięgać do śląskiej literatury... Byłem świadkiem jak ambitne panie polonistki „uczyły się” śląskiego, by potem katować nim przez długie tygodnie co zdolniejsze – obdarzone lepszą pamięcią – polskie dzieci, a te z kolei, po tygodniach mordowania się z obcą mową, mordowały ją publicznie z różnych scen i estrad...

Uczono mnie przez lata, że mój język jest niczym innym jak tylko skażoną (germanizmami), zdegenerowaną postacią języka literackiego. Wykorzenie germanizmów z języka / dialektu śląskiego wydaje się dzisiaj postulatem równie absurdalnym jak wydawałby się postulat wykorzystania latynizmów z języka polskiego.

Nietrudno mi jednak wyobrazić sobie w czasach obecnych jakiś szacowny „Komitet Czystości Języka Śląskiego” – z etatowymi strażnikami, wspierany przez etatowych śląskich parlamentarzystów i europarlamentarzystów – krzewiących z mównic za pieniądze swoich wyborców śląską godkę... Może tutaj leży odpowiedź na większość ankietowych pytań... Jeżeli tak, to naprawdę „szkoda godki”...

Nad gwarą śląską ciężyla estetyczna anatema

Profesor ALEKSANDER NAWARECKI
– Uniwersytet Śląski. Literaturoznawca.
Kierownik Zakładu Teorii Literatury

Odpowiedzi dotyczą pytań: 1, 2, 5.

W dyskusji nad gwarą śląską i jej miejscem ważniejsze od ustaleń językoznawczych wydają się dotychczasowe doświadczenie społeczne, emocje i wrażenia (szczególnie estetyczne), które głęboko określiły jej status.

Ktokolwiek w PRL-u – w szkole, urzędzie, wojsku lub w innym miejscu publicznym – posługiwał się gwarą śląską, ten prędzej czy później musiał usłyszeć prośbę lub polecenie: „proszę mówić po polsku”. Bez względu na to czy pouczenie było delikatne czy brutalne, uzasadnione czy niesłusowne, z tego komunikacyjnego napięcia wynikało bezspornie: kto posługuje się gwarą, ten nie mówi po polsku. Wówczas ujawniała się alternatywa: mówimy po polsku albo po śląsku. Tej sytuacji nie zmieniała nieco inaczej sformułowana reprimenda – „proszę mówić poprawnie”. Wszak Ślązak mówił poprawnie, dokładnie tak jak się nauczył w domu i porozumiewał z bliskimi, bo przecież nie miał dotąd problemów językowych. Jeśli jego mowa wydała się komuś niepoprawna, tzn. że nie była polska.

Ślązak mógł czasem usłyszeć wyjaśnienie (najczęściej od nauczyciela), że zamiast języka literackiego używa gwary, którą, owszem, można się posługiwać, ale tylko w życiu prywatnym (analogicznie jak znanymi religijności, co na Śląsku ma długą tradycję). Czasem mógł się nawet dowiedzieć, że gwarą śląską jest w istocie bardzo polska, wręcz arcy-polska, bo w znacznej mierze staropolska (poniekąd bardziej polska od języka literackiego, co zakrawa na niezwykły paradoks!). Ale to musztarda po obiedzie, zawracanie Wisły kijem; bo skoro ta mowa była tak wspaniała, to dlaczego nadawała się wyłącznie do pokątnego użytku w lokalnym getcie? Dlaczego nikt się nie cieszył słysząc tak nobliwą mowę? Dlaczego nie próbował, ani nawet nie chciał się wysilił, aby ją zrozumieć?

Używanie gwary śląskiej w innych rejonach Polski budziło w tamtych czasach podobne reakcje; wywoływało silne wrażenie obcości, jakby nie chodziło o gwarę lecz inny język. Kluczowe jest rozpoznanie estetyczne – gwara śląska wydawała się brzydka. Brzydka, bo twarda, chropawa, nieprzyjemnie surowa. Przyczyny tego braku subtelnosci mogły się wiązać z bazą społeczną. rozpoznawano tu prymitywizm nizin społecznych albo ekspresję prostych robotników. Ale częściej odczuwano tu skazanie niemiecką. Jakby mowa śląska była zgermanizowaną polszczyzną (dla Niemców, analogicznie – wasserpolnisch). A to, jak wiadomo, wiązało się z silną i wieloaspektową deprecjacją.

Trudno przecenić rangę wrażeń estetycznych. są fundamentalne. Nad gwarą Śląska ciężyla estetyczna anatema, którą być może osłabił swoimi filmami Kazimierz Kutz (nadał jej pewną dozę dziwności i wzniosłości). Do poprawy wizerunku (szczególnie w wolnej Polsce) przyczyniły się ujęcia kabaretowo-komediowo-reklamowe; dzięki rozmaitym Masztalskim, Acikom, Bercikom, Andziom itp. dokonała się swoista „bohemiczacja” śląszczyzny (stała się śmieszna podobnie – choć nie tak samo – jak język czeski). Przedstawiane dla rozrywki dawne bery i bojki oraz nowe wice uczyniły ją zabawną i sympatyczną, ale za cenę społecznej degradacji, dzięki wpisaniu w kanon ludowo-prymitywno-ludyczny, a nawet somatyczny, którego emblematem niezmiennie pozostaje krupniok (i piwo).

Do kompletności obrazu konieczne jest porównanie społecznego wizerunku gwary śląskiej i podhalańskiej. Język górali też wydaje się odmienny, niewątpliwie ludowy i nieco zabawny, ale obdarzony niekwestionowaną autonomią i nade wszystko – pięknem (jeśli na-

wet nie budzi podziwu, to wydaje się uroczy). Nikomu nie przeszkadza, że górale mówią po góralsku i nikt od nich nie wymaga, żeby mówili inaczej, ani też nikt się nie zastanawia na ile ta gwara jest polska (nie budzą niepokoju słowackie czy węgierskie naleciałości). Gdyby śląska mowa była traktowana podobnie, wtedy jej gwarowy status też byłby jasny i oczywisty, ale tak nie jest – więc wydaje się osobliwy. Funkcjonalnie przypomina zatem język mniejszości, choć polscy Niemcy, Ukraińcy czy Litwini mówią podobnie jak ich krajanie w Berlinie, Kijowie czy Wilnie; a Ślązacy?

Warto oczywiście pytać i uważnie słuchać językoznawców; ale zapewne powiedzą to, co zapamiętałem ze studiów polonistycznych – gwara śląska jest jedną z gwar Południowej Polski. Nie myślę tego kwestionować, lecz kiedy jako Polak i Ślązak próbuję się porozumieć z innymi Słowianami z Zachodu i Południa – Słowakami, Serbami Łużyckimi, a nawet Słoweńcami, Chorwatami czy Czechami, to jakoś mogę się z nimi dogadać i nie mam poczucia, żeby ta próba komunikacji zasadniczo różniła się od śląsko-polskiej rozmowy.

„Język regionalny” to pojęcie prawne

Dr LECH NIJAKOWSKI – socjolog.
Uniwersytet Warszawski. Stały doradca Komisji
Mniejszości Narodowych
i Etnicznych Sejmu RP

1. Zainteresowanie gwarą było wynikiem złożonych procesów, które doprowadziły także do renesansu w przestrzeni publicznej problematyki mniejszości narodowych i etnicznych oraz lokalizmu i regionalizmu. Bez wątplenia na plan pierwszy wysuwała się funkcja tożsamościowa gwary dla Ślązaków. Nie mniejsze znaczenie miała stopniowa komercjalizacja kultury śląskiej, czyli powstanie tzw. folklorystyki (folkloru rekonstruowanego i stylizowanego). Warto przy tym pamiętać, że wielu Ślązaków, dla których gwara była faktycznym językiem domowym, w dyskursie publicznym deklarowało się jako Niemcy i „aspirowało” do języka niemieckiego jako języka ojczystego. Obecna debata na temat kodyfikacji dialektu śląskiego jest jednak nową jakością. Projekt kodyfikacji należy postrzegać w kontekście praw zapisanych w ustawie o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym oraz sukcesu strategii Kaszubów.

2. Żywotność gwary śląskiej nie jest taka sama na całym Śląsku. „Żywa gwara” to obecnie w znacznej mierze dziedzictwo wsi śląskiej (tj. z ludnością rodzimą przede wszystkim na Opolszczyźnie) i tradycyjnych skupisk przemysłowych (przede wszystkim na Górnym Śląsku), a nie całego Śląska. Wielu „miejskich Ślązaków”, zwłaszcza z młodego pokolenia, mówiło w domu w języku literackim (przede wszystkim polskim, w o wiele mniejszym stopniu – niemieckim) i nie zna dialektu. Gwara jednak nadal stanowi ważny wyróżnik tożsamości grupy śląskiej. Nawet jeśli nie jest ona wyniesiona z domu, to stanowi składnik identyfikacji wielu osób, w tym liderów organizacji śląskich. W odróżnieniu od wielu innych regionów, nie jest powszechne wyzybywanie się gwary przez Ślązaków. Duże znaczenie odgrywają także regionalne media, np. telewizja i radio Silesia, które upowszechniają już pewien standard śląskiej mowy. Nie należy także zapominać o żywej gwarze wśród śląskich diaspor na całym świecie, w tym zwłaszcza w Niemczech, Brazylii czy Stanach Zjednoczonych.

3. Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie zajęłaby wiele stron. Trudno jednak wyobrazić sobie stworzenie „jednego, wspólnego dialektu” w sytuacji społecznego i językowego zróżnicowania historycznego Śląska (śląski obszar dialektały dzieli się na Śląsk Opolski, Górny Śląsk i Śląsk Cieszyński, mowa zatem o trzech poddialektach). Jako socjolog pragnę podkreślić, że standaryzacja dialektu wiąże się z wieloma wyborami społecznymi. O tym, które słowo z kilku gwarowych synonimów wybrać decydują nie reguły systemu językowego, ale wspólnota komunikacyjna. Z konieczności rodzi to konflikty. Mimo kodyfikacji języka kaszubskiego i nauczania go w szkołach do dziś wielu nie pogodziło się z ostatecznym standardem. Jeśli ludzie nie zaakceptują wypracowanego języka, to będzie on martwy. Jednak tylko dzięki standaryzacji można nauczać gwary śląskiej w szkołach, można rozwijać literaturę piękną i naukową w języku śląskim. Gwarę wynosi się z domu i środowiska lokalnego jako dziedzictwo świata dzie-

ciństwa i młodości. Język może już być nauczany, można go przyjąć w późniejszym okresie i stać się kompetentnym uczestnikiem śląskofonicznej wspólnoty.

4. „Język regionalny” to pojęcie prawne. Ustawa o mniejszościach narodowych... przejęła je z Europejskiej Karty Języków Regionalnych lub Mniejszościowych – konwencji Rady Europy, którą Polska ratyfikowała 13 czerwca 2008 r. Uznanie zestandaryzowanego dialektu śląskiego za język regionalny (w drodze nowelizacji ustawy o mniejszościach...) pozwoliłoby Ślązakom korzystać ze wszystkich praw zapisanych w ustawie, podobnie jak Kaszubom, niezależnie od ich identyfikacji narodowej (ustawa np. nie mówi na temat tego, jaki status mają Kaszubi – ochronie podlega język kaszubski). Debata o śląskiej mowie wpłynęłaby, jak sądzę, na jej renesans i promocję; kodyfikacja sprawiłaby, że język śląski spełniałby wszystkie wymogi funkcjonalne, zaś ustawa pozwoliłaby na systemowe nauczanie języka śląskiego w szkołach (jako języka regionalnego właśnie).

5. „Śląska mowa” jest bez wątpienia dialektem języka polskiego, wręcz matecznikiem mowy Polaków. Gwarę śląską cechuje przecież zwłaszcza archaiczność. Oczywiście, w toku zmiennych kolei historii włączano do gwary wiele neologizmów czeskich, niemieckich i innych. Dziś źródłem neologizmów jest na całym świecie język angielski. Trudno wyobrazić sobie obecnie zamknięcie w gwarze, języku regionalnym czy języku mniejszości. Przytłaczająca większość mniejszości w Polsce mówi w języku polskim, a ponadto w „mowie serca” (języku ukraińskim, litewskim itd.). W zależności od sytuacji (oficjalnej, prywatnej) przelączy się na właściwy kod. „Poprawa” statusu gwary śląskiej, przez wielu postrzeganej nadal jako „gorsza”, „wiejska” polszczyzna, wpłynęła na większą gotowość młodych Ślązaków do posługiwania się śląską mową w przestrzeni publicznej.

6. Sprawy te szczegółowo reguluje ustawa o systemie oświaty oraz właściwe rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej, w tym przede wszystkim Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dnia 14 listopada 2007 r. w sprawie warunków i sposobu wykonywania przez przedszkola, szkoły i placówki publiczne zadań umożliwiających podtrzymywanie poczucia tożsamości narodowej, etnicznej i językowej uczniów należących do mniejszości narodowych i etnicznych oraz społeczności posługującej się językiem regionalnym. Ministerstwo nie tylko wspiera szkoły poprzez zwiększoną część oświatową subwencji ogólnej dla jednostek samorządu terytorialnego, ale także finansuje wydawanie podręczników. Istnieje w tym zakresie duże doświadczenie, zarówno urzędników MEN, jednostek samorządu terytorialnego i liderów organizacji mniejszości. Wzorem dla Ślązaków może być szkolnictwo kaszubskie.

7. Moim zdaniem standaryzacja dialektu śląskiego i w dalszej kolejności objęcie go ochroną ustawową jako języka regionalnego pozwoli na pokojowe zamknięcie odżywiającej debaty o narodowości śląskiej w kontekście ustawy o mniejszościach... Oczywiście, środowiska „narodowo-śląskie” nadal będą postulowały oficjalne uznanie Ślązaków za mniejszość narodową, ale nie będą mogły twierdzić, że chcą uzyskać nowe prawa (no, może poza zwolnieniem z pięcioprocentowego progu wyborczego...). Ślązacy będą mogli korzystać z praw zapisanych w ustawie bez konieczności deklarowania swej identyfikacji narodowej. Dziedzictwo śląskiej mowy będą mogły kultywować i rozwijać organizacje deklarujące się jako polskie, śląskie czy niemieckie. Poczucie, że mowa śląska to pełnoprawny język wpłynie na gotowość młodego do nauki tego języka i zahamuje proces zanikania gwary.

... uważam stworzenie jednego wspólnego dialektu śląskiego za niemożliwe

Profesor IWONA NOWAKOWSKA-KEMPNA
– Akademia Techniczno-Humanistyczna
w Bielsku-Białej. Językoznawca

1. Użycie gwar śląskich, których jest jedenaście – zdaniem K. Nitscha i późniejszych badaczy w środkach masowego przekazu

oraz w życiu publicznym podyktowane jest z jednej strony tradycją, z drugiej zaś – procesami globalizacji, którym przeciwstawia się lokalizacja, stawiająca na określone miejsce człowieka na ziemi, ważność tożsamości lokalnej, wyrażającej się w kulturze i języku.

Okoliczności te nie uzasadniają nasilających się starań o uznanie gwar śląskich za języki regionalne. Dążenia takie przemawiają do części społeczności lokalnych i stanowią obiekt manipulacji politycznej.

2. W Polsce dialekty jako zespoły gwar określonej dzielnicy: Małopolski, Śląska, Wielkopolski, Mazowska, Kaszub są wewnętrznie zróżnicowane. Każda z tych gwar staje się podstawą poczucia pewnej odrębności kulturowej i wnosi wiele do kultury narodowej. Rozwój gwar idzie w kierunku tworzenia się „języka mieszanego”, w którym formy gwarowe przeplatają się z formami języka ogólnonarodowego, czyli ogólnego. Oznacza to, że ten sam rozmówca używa wielu wariantów językowych.

3. Ponieważ uważam stworzenie jednego wspólnego dialektu śląskiego za niemożliwe, trudno mi powiedzieć, co mogłoby być podstawą kodyfikacji. Istnieje znacząca różnica między gwarami cieszyńskimi, w których brak mazurek i gwarami centralno-północnymi, z pochodzenia małopolskimi, obecnie śląsko-małopolskimi, w których występuje mazurek i wymowa typu *copka, syja, zaba*, oraz gwarą jabłonkowską gdzie mamy siakanie i mówimy: *čopka šyja žiaba*. Jeśli zwycięży wymowa cieszyńska, dzieci mazurzące z okolic Pszczyny, Siemianowic czy Tarnowskich Gór nie będą rozumiały, o co chodzi. Jeśli zwycięży gwarę mazurzącą, dzieci z Istebnej będą się uczyły siakania typu *czioпка* w domu, form *copka* w dialekcie śląskim oraz *czapka* w języku ogólnym. Podobnie zróżnicowana jest wymowa historycznych samogłosek nosowych typu: *siedzym chodzym robim* na Śląsku Cieszyńskim i *siedza chodza robia* w centralnej części Górnego Śląska, a także w środku wyrazu: *gęńsi, gynsi, gąsi, huśi* (z gwar laskich).

4. Stworzenie jednego, sztucznego dialektu śląskiego wprowadzi poważny zamęt, gdyż dzieci i osoby dorosłe, dotąd przekonane, że mówią gwarą śląską – w sensie gwary swojej miejscowości – nagle zrozumieją, że taką gwarą nie mówią, a nowy „język” jest im obcy i muszą się go nauczyć. Tym samym dziecko urodzone na Śląsku będzie (teoretycznie) uczyło się: rodzimej gwary, języka regionalnego śląskiego, języka ogólnopolskiego (aby uczestniczyć w życiu narodowym: gospodarczym i politycznym, kulturalnym i naukowym) oraz angielskiego jako *lingua franca* naszych czasów. Z czasem może dojść do pomieszania form i rozmówca będzie miał kłopot z komunikacją. Będzie musiał opanować również ortografię dialektu i ogólnopolską.

5. Gwary śląskie stanowią przykład regionalnej odmiany polszczyzny i powinny się rozwijać w związkach z nią na zasadzie kształcenia podwójnej kompetencji językowej: osoba wie, w jakich okolicznościach używać gwary, a w jakich – języka ogólnego. Polszczyzna ogólna umożliwiła dostęp do dziedzictwa cywilizacji, kultury, nauki i techniki, stwarza możliwość porozumienia się wszystkich Polaków, umożliwiła też przepływ kapitału, handlu i usług.

6. Uważam, że języka śląskiego jako sztucznego tworu nie powinno się wprowadzać do szkół. Będzie to sztuczny język nieodzwierciedlający mowy dzieci w danej miejscowości w wymowie, gramatyce i słownictwie (przynajmniej w znacznym zakresie). Dzieci w ramach edukacji regionalnej powinny rozmawiać o gwarze, którą mówią, bo te formy są im znane i bliskie, oraz mówić tą gwarą, ucząc się zasad, kiedy jej używać.

7. Uważam, że kodyfikacja wielu gwar śląskich i wielu gwar na Śląsku tj. gwar małopolskich, wielkopolskich i kresowych – w ramach równości podmiotów – będzie trudna i niepotrzebna. Oficjalne uznanie znormalizowanego dialektu śląskiego nie będzie miało żadnego wpływu na konsolidację Ślązaków, gdyż taka od dawna istnieje, równocześnie małżeństwa Ślązaczek i Ślązaków z osobami z innych regionów Polski są czymś powszechnym.

Gwary śląskie, gwarą podhalańska czy gwarą górali beskidzkich znalazły swoje miejsce w środkach masowego przekazu. Znormalizowany dialekt śląski może zostać wykorzystany przez grupy separatystyczne do prób odłączenia Śląska od pozostałych regionów Polski i pogorszenia sytuacji materialnej rodzin mieszkających na Śląsku w dobie swobodnego przepływu kapitału i inwestycji w ramach środków Unii Europejskiej.

Śląska gwara była i jest odmianą polszczyzny

Senator RP
MARIA PAŃCZYK-POZDZIEJ
– redaktor Polskiego Radia,
publicystka,
autorka widowisk telewizyjnych

Uznanie gwary śląskiej z pewnością przyczyni się do konsolidacji Ślązaków

BARBARA i ADAM PODGÓRSCY
– autorzy „Słownika gwar śląskich”
oraz leksykonów i poradników
z różnych dziedzin

1. W roku 1990 nikt nie mówił o gwarze jako przyszłym języku. Ślązacy zachlysłni się samym faktem, że mówienie gwarą, publikowanie w gwarze, manifestowanie jej znajomości przestało być sprawą wstydliwą. W czasie 17 dotychczasowych konkursów „Po naszymu czyli po śląsku” przez które przewinęło się około 1500 uczestników nikt nigdy nie postulował, by ze śląszczyzny uczynić język. Natomiast wszyscy wyrażali ogromną radość, że gwarę się nobilituje. A tych 1500 osób to byli Ślązacy z krwi i kości, o różnym statusie społecznym, w różnym wieku i wykształceniu (od gospodyń domowych po nauczycieli akademickich).

2. W Polsce gwara śląska w znaczeniu słowotwórczym na pewno się nie rozwija, podobnie jak i język literacki. W języku polskim nowe określenia też na ogół powstają na bazie angielszczyzny i jest to związane z informatyką, elektroniką i innymi dziedzinami. W gwarze też nikt nie zadaje sobie trudu, by nowe przedmioty i zjawiska nazywać. Zastępuje się je polskimi, bo znający gwarę znają także polszczyznę. Ale już np. w Teksasie wśród tamtejszych śląskich osadników sprzed 150 laty, którzy literackiej polszczyzny nie znali na wszystkie nowe zjawiska, czy przedmioty znajdowano nowe słowotwórcze określenia pochodzące z gwary np. samolot – furgoc, grzechotnik – szczyrkowa, robić zdjęcia – pomalawać łobrozki.

Argumenty dziś używane, że tylko uczynienie z gwary języka daje gwarancję jej rozwojowi są zatem bezzasadne.

3. To jest niemożliwe z uwagi na ogromne zróżnicowanie gwar śląskich. Kodyfikację rozumieni jako dopracowanie systemu zapisu fonetycznego i to wydaje się najprostsze, natomiast stworzenie uniwersalnego języka śląskiego jest niemożliwe i niepotrzebne.

4. Jeśli przykładowo określenie język śląski zamieni się na określenie – język regionalny to już to jest ograniczenie. Nie daje to żadnych możliwości, a jedynie wśród posługujących się śląszczyzną pojawia się frustracje, że oto nie posługują się wzorcowym językiem, który ktoś „ulepił” z wielu odmian gwary.

5. Nie wiem czy w ogóle zechcą się nad tym zastanawiać ludzie prości, którzy najczęściej posługują się śląską gwarą. Śląska gwara była i jest odmianą polszczyzny i majstrowanie tymi pojęciami bądź szukanie innych konotacji jest nadużyciem. Czy gwara stanie się językiem czy też nie niczego to nie zmieni we wzajemnych kontaktach ludzi, którzy się śląszczyzną posługują.

6. Nad tym powinni się zastanowić ci, którzy są gorliwymi admiratorami uczynienia ze śląszczyzny języka. Jak na razie i bez tej językowej nobilitacji gwary znakomicie sobie radzą w tym względzie nauczyciele w wielu ośrodkach i szkołach. Nauczyciele, którym np. kucanie nie kojarzy się z przysiadami, a statki z okrętami. A jest takich nauczycieli moc. W ich imieniu zapraszam np. do Regionalnego Ośrodka Kultury w Żorach-Osinach gdzie uczy się nieskodyfikowanej gwary, gdzie pielęgnuje się prawdziwe śląskie obyczaje i gdzie na lekcje regionalizmu trzeba się zapisywać kilka miesięcy wcześniej.

7. Bardzo chcielibyśmy usłyszeć od poważnych, nie populistycznych naukowców jak będzie wyglądał ów znormalizowany dialekt śląski. Już teraz gdy ów zamysł jest na razie w fazie projektu zgłaszają się do mnie Ślązacy z obawami czy aby Krystian Czech z opolskiej Brynicy nie będzie musiał rządzić tak jak godają ludzie w Brynicy – ale tej kolo Miasteczka Śl. To są obawy na wyrost, bo ludzie i tak będą mówili po swojemu i im język śląski nie jest do niczego potrzebny. Jest natomiast potrzebny tym, których intencje nie są dla mnie ani czyste, ani czytelne. I na pewno cała ta wrzawa wokół języka konsolidacji Ślązaków nie służy. Tak jak i zdecydowanie burzy ustabilizowane już wzajemne relacje między hanysami a gorolami.

1. Na zainteresowanie językami regionalnymi wpłynęły bez wątpienia przemiany ustrojowe w Polsce. Regionalizmy przestały być traktowane jako zagrożenia dla monolitycznego „ludowego” państwa. Również przemiany modelu społecznego w kierunku społeczeństwa obywatelskiego zaowocowały powstaniem na Śląsku organizacji pozarządowych, które wpisały w swe statuty zadanie dbania o spuściznę kulturową i historyczną, w tym językową.

Niebagatelną rolę odgrywają również media popularyzujące filmy, widowiska kabaretowe, imprezy typu biesiad oraz organizowane pod patronatem samorządów imprezy lokalne, z których te o charakterze cyklicznym stały się elementem promocji miast i gmin. Gwara śląska odgrywa w nich niebagatelną rolę.

2. „Żywa” śląszczyzna wciąż stanowi główne kryterium poczucia własnej odrębności kulturowej ludzi w wielu regionach Śląska, w szczególności w miejscowościach wiejskich okolic Rybnika, Raciborza, Wodzisławia Śląskiego, na Śląsku Cieszyńskim i niektórych regionach Śląska Opolskiego. Czy jednak gwara się rozwija? trudno przypuszczać... Cóż bowiem nazywamy „rozwojem gwary”, która naturalnie zasada się na przywiązaniu do tradycji? Czy były prowadzone jakiekolwiek badania wskazujące na kierunek, zakres i charakter ewentualnych przeobrażeń gwary, jeśli takie w ogóle następują. Jedynym procesem, który z zadowoleniem obserwujemy jest „spolszczenie” gwary śląskiej, nawrót do rdzennych tradycji staropolszczyzny, oczywiście w środowiskach narodowych polskich.

Naszym zdaniem, w nie dającej się wprawdzie przewidzieć perspektywie, gwarę śląską czeka obumarcie. Dlatego szczególnie ważne jest jej kultywowanie i utrzymywanie najdłużej jak tylko się zdoła. I utwalenie w postaci jak najobszerniejszych słowników oraz zapisów różnorodnych tekstów. Jako depozytu dla przyszłych pokoleń.

3. Nie do końca jesteśmy przekonani co do idei standaryzacji czy kodyfikacji gwary śląskiej. Bo czy można ujednolicić trzy (przynajmniej główne), wyraźnie odróżniające się dialekty śląskie. Jaki byłby sens tej unifikacji? Z drugiej strony wyczuwalna jest potrzeba opracowania jednolitych reguł zapisu. Absolutna dowolność, panująca aktualnie, ogromnie utrudnia percepcję tekstów pisanych w gwarze lub nawet w pseudo-gwarze śląskiej, a niewprawnym odbiorcom, wręcz uniemożliwia ich właściwe odczytanie i zrozumienie. Za pomysłem standaryzacji zapisu gwary śląskiej przemawia polszczyzna ogólna. Jej reguły, niezależnie od odmienności potocznego języka na różnych obszarach kraju (Wielkopolska, Śląsk, Pomorze, regiony wschodnie) pozwalają mimo wszystko na swobodę komunikowania się.

4. Skodyfikowanie gwary czy gwar śląskich oczywiście może okazać się czynnikiem sprzyjającym uznaniu języka regionalnego. Jednak znów pojawia się zasadne pytanie: Kto ma dokonać tego uznania? Czy uznanie języka śląskiego przez Sejm i Senat RP w jakimkolwiek sensie wpłynie na los tej gwary? Co konkretnego da Ślązakom uznanie ich odrębności etnicznej?...

5. Gwara śląska nie tylko może być traktowana, ale oczywiście jest regionalną odmianą polszczyzny. Czy w związkach z językiem ogólnonarodowym wzbogaca swój zasób fleksyjny? Tego chyba nikt obecnie nie jest w stanie stwierdzić i opisać. Trudno także oczekiwać, aby język śląski stał się podstawą codziennych kontaktów społecznych, nawet samych Ślązaków czy jak się marzy nie-licznym, równoprawnym językiem urzędowym. W Polsce jako kraju Unii Europejskiej równoprawnymi są języki wszystkich krajów członkowskich. I co z tego wynika?... Język śląski, choć na to twierdzenie wielu się obrusza, nie nadaje się do kontaktów oficjalnych, urzędowych, publicznych. Jest to język rodzin i tradycyjnych środowisk chłopskich oraz robotniczych. Nie ma znaczących dzieł literackich w tym języku. Chlubny wyjątek to prace Alojzego Ły-

ski. Pewnie nie doczekamy się na utwór w randze tetmajerowego „Na skalnym Podhalu”. Nawet epos Norberta Bonczyka „Stary kościół miechowski” nie został napisany po śląsku.

6. Uważamy, że naukę języka śląskiego warto wprowadzać do szkół, a nawet przedszkoli. I to się przecież robi. Ale w tej mierze nie powinno się stosować żadnego przymusu. Inaczej odzują praktyki niejako odwrotnie do znanych z epoki PRL-u, gdzie mowę ojczystą, śląską się tępiło, a uczniów jej używających wyszydano i szykanowano. Tylko zajęcia fakultatywne, tylko pozalekcyjne obszary zainteresowań, tylko różnorodna, barwna i ciekawa oferta kulturalna i oświatowa zachęcająca, pogłębiająca i wzbogacająca osobiste tendencje do przyswajania i kultywowania gwary, zagwarantuje jej przetrwanie, a być może nawet jakiś rozwój.

7. Oficjalne – niezależnie od formy i rangi – uznanie gwary śląskiej z pewnością przyczyni się do konsolidacji Ślązaków zarówno w wymiarze etnicznym jak i geograficznym (przy pominięciu Śląska nie jako kraju urodzenia, ale miejsca zamieszkania). Hasło odrębności językowej i promowania języka śląskiego stało się niestety także orężem ruchów nacjonalistycznych i separatystycznych, a więc jest wykorzystywane dla celów politycznych.

Dłatego między innymi z tak wielką nieufnością spotyka się skądinąd pożyteczna idea autonomii Śląska. Jeśli bowiem język śląski zostanie uznany za odrębny język, to będzie językiem jakby obcym, nie polskim, przez resztę Polaków darzonym niechęcią jako wyraz tendencji separatyzmu Ślązaków. I choć my sami w taki sposób nie rozumiemy, przed podobnymi nastawieniami i ich konsekwencjami przestrzegamy. Nóż może posłużyć do posmarowania masłem chleba, ale różnie dobrze do poderżnięcia komuś gardła. Historia zna bez liku przykładów, gdy języki narodowe były wykorzystywane w celu dzielenia i gnębienia ludzi.

Gwara to odmiana terytorialna języka narodowego

Docent JANINA RACLAVSKA
– Uniwersytet Ostrawski. Językoznawca.
Specjalizacja w zakresie języka polskiego
na Śląsku Cieszyńskim (Zaolziańska)

Moje spostrzeżenia bardziej będą odnosić się do gwary zaolziańskiej, ponieważ lepiej się orientuję w tamtejszej sytuacji. Pozycja gwary zaolziańskiej jest nieco odmienna od pozostałych gwar na terenie Polski. Od dawna była wyznacznikiem tożsamości narodowej Cieszyńiaków żyjących poza granicami Macierzy. Służyła jako element łączący członków polskiej grupy narodowej żyjącej na tym terenie. W tych sferach życia, gdzie okazało się jej użycie uzasadnione, trwa do dziś. Jest przede wszystkim językiem rodzinnym i językiem kontaktów nieoficjalnych.

– Ślązacy to ludzie o silnym poczuciu własnej tożsamości, kształtującej się od wieków. Nie potrzebują oni posiłkować się skodyfikowaną „śląszczyzną”, bo to jest im niepotrzebne. Język ich ojców jest jedną z najwyższych wartości i dlatego nie można takiej świętości zaprzęcać celom politycznym.

– Pytanie o uznanie gwary śląskiej jako języka regionalnego wywołuje od razu następne – jakie są powody do tego, by gwara śląską uznać jako język regionalny i czemu będzie to służyć, czy mowy polityczne wygłaszane „po śląsku” wypłynęły z potrzeby lepszego porozumiewania się, czy też inne względy odegrały tu swoją rolę?

– Gwara to odmiana terytorialna języka narodowego, posługują się nią użytkownicy zamieszkujący określone terytorium i stanowiący wspólnotę. Gwara zatem spełnia w ramach danej grupy użytkowników swoją funkcję, przede wszystkim w komunikacji codziennej. Nie widzę zatem potrzeby uznawania gwary śląskiej za język regionalny.

– Jeśli nawet miałoby dojść do kodyfikacji gwary śląskiej, to pierwszy problem będzie związany ze wzorcem poprawnej śląszczyzny, czy jest taki? Jak zatem określimy normę ogólnosląską, do czego ją odniesiemy? Jaki będzie jej stosunek do polszczyzny ogólnej?

Uwaga ogólna – stoję na stanowisku, że istnieje język śląski, a nie jakaś tam „gwara”. Jeśli ktoś używa określenia „gwara” to powinien sprecyzować o którą z gwar śląskich mu chodzi.

Kodyfikacja powinna służyć za wzorzec...

ANDRZEJ ROCZNIOK – prowadzący Związku
Ludności Narodowości Śląskiej, wydawca
miesięcznika Ślůnsko Nacyjo,
szef Narodowej Oficyny Śląskiej

1. Zainteresowanie językiem śląskim po 1989 wynika ze zmniejszenia dyskryminacji. Chociaż do dzisiaj dyskryminacja ta ma miejsce to jednak nie jest ona tak agresywna jak za czasów sojuszu komunistyczno-narodowego panującego w latach 1945-1989.

2. Śląszczyzna bywa formą wyrażania poczucia odrębności kulturowej i tożsamości śląskiej, ale nie może być podstawową normą dla tej odrębności. Ślążakiem ma prawo być i czuć się użytkownik innych języków, zwłaszcza, że tutaj używano różnych języków takich jak: śląski, morawski, polski, niemiecki, czeski. Rozwój śląskiego został powstrzymany kryzysem wywołanym likwidacją, a nie przeobrażaniem przemysłu. Konieczność zadbania o podstawowe potrzeby wielu wyeliminowało z starań o j. śląski. Obecnie znów wzrasta zainteresowanie językiem, kulturą, historią i tożsamością. Zostało wydanych szereg słowników, szereg książek, panuje szeroko w internecie, bywają też artykuły w gazetach.

3. Podejście do kodyfikacji jako elementu politycznego jest głównie reprezentowane przez niechętnych Śląskowi ludzi. Ślązacy spośród używanych języków mogą swobodnie korzystać z paru skodyfikowanych języków. Powstaje pytanie – dlaczego język śląski ma niby służyć wydumanemu separatyzmowi, skoro można używać do tego języka polskiego, niemieckiego? Gdy mówi się o separatyzmie, to powstaje pytanie dla kogo niepodległość, skoro Ślązacy stanowią mniejszość u siebie? Czyli niepodległość dla Polaków. Na to Ślązacy po raz drugi się nie nabiorą.

Według mnie kodyfikacja ma uratować język śląski przed zaniem. Powinna ona służyć rozwojowi społecznemu, a nie być przeszkodą. Kodyfikacja nie powinna być formą narzucania jako jedynie słusznej formy języka, gdyż spowodowałoby to odejście od języka śląskiego wielu dotychczasowych użytkowników. Kodyfikacja powinna służyć za wzorzec, z którego warto skorzystać do nauki jeśli nie zna się języka śląskiego: warto skorzystać z zasugerowanych w kodyfikacji wzorów, zwrotów, idiomów itp. Także gdy nie zna się swoich rodzimych określeń. Kodyfikacja musi uznanować bogactwo przekazywanego od wieków języka. Jeśli ktoś będzie używał skodyfikowanego śląskiego, inny dialektu toszecko-gliwickiego to obaj będą mówić poprawnym językiem śląskim.

4. Uznanie śląskiego za j. regionalny jest kompromisem, który ZLNS jest gotów zawrzeć dla ratowania ślůnski godki i dlatego zachęcił posła Szygę do złożenia projektu ustawy. Nie istnieje konieczności kodyfikacji języka żeby nauczać go w szkole (np. romski). Jest wiele form nauczania poza pisaniem. Wielu etnicznych Ślązaków nie używa śląskiego. Nie używanie śląskiego nie powoduje odrzucenia śląskości. Ograniczenia dla śląskiego wynikają z dysproporcji potrzeb do faktycznej znajomości języka. Śląski używany jest m.in. w pracy, przy zakupach, w wypoczynku, literaturze, internecie.

5. Rozwój języka śląskiego i j. polskiego następowały obok siebie, śląski w rozwoju nie był uzależniony od polskiego. Śląski rozwijał się w oparciu o nazewnictwo nieznanne w Polsce, przez co pewne przedmioty i czynności nie były w Polsce nazwane. Polska była ukierunkowana na wschód, Śląsk patrzył na zachód. Z tych różnych spojrzeń wynikało różne podejście do tych samych spraw, a więc również do różnego wyrażania się i stosowania różnych języków. Ograniczenie wypowiedzi nie pozwala rozwinąć tematu.

6. Doświadczenia kaszubskie pozwolą na szybkie wprowadzenie języka śląskiego do szkół.

7. Konsolidacja społeczności na Śląsku pogłębia się, gdyż wzrasta poczucie krzywdy, wyzysku. Rodzimi mieszkańcy mają świadomość, że poziom życia w latach 40. XX w. niewiele różnił się od życia w Zagłębiu Ruhry, teraz dysproporcje są bardzo duże na niekorzyść Górnos Ślązaków.

Gwary służą do komunikacji w obrębie własnego środowiska

Profesor DOROTA SIMONIDES
– Uniwersytet Opolski, folklorystka,
senator RP pięciu kadencji

Nie jestem dialektologiem ani w ogóle językoznawcą. Znam jednak dobrze mowę śląską, gdyż jako folklorystka przez ponad 50 lat pracy przemierzyłam cały Górny Śląsk (Opolskie, Katowickie, Raciborskie, Oleskie etc.) i zapisywałam we wszystkich gwarach śląskie teksty opowiadane ustnie. Z moich doświadczeń wynika, że:

1. Gwary śląskie są językiem domowym, lokalnym, dającym poczucie bycia członkiem wspólnoty. Po 1990 roku wzrosła samowiedza i świadomość własnej wartości u Ślązaków. Procesy demokratyzacji pozwoliły na silne podkreślanie kulturowej i (etno)regionalnej tożsamości. Najbardziej widocznym wyróżnikiem tej tożsamości stała się gwara lokalna, której istotą jest jej niezmienność.

2. Gwary służą do komunikacji w obrębie własnego środowiska. Jeśli ono nie używa gwary – ubożeje ona i wymiera. Proces ten jest obecnie zauważalny na Górnym Śląsku. W trakcie swoich badań nie spotkałam się z przykładami „rozwoju gwary”, w znaczeniu pojawienia się nowego słowa gwarowego na nowe zjawisko czy przedmiot. Istnieje natomiast, i to głównie u inteligencji górnośląskiej, godna pochwały tendencja świadomej pielęgnacji gwary – jako dziedzictwa ojców.

3. Na Kaszubach proces kodyfikacji gwar trwał ponad 150 lat. Rozpoczął go Florian Ceynowa. Na Górnym Śląsku można ten proces przyspieszyć, mając jednak na uwadze poszanowanie gwar lokalnych. Kodyfikacja jest na Kaszubach faktem, jednak Kaszubi w domu nadal używają, w zależności od subregionu, innej – od znormalizowanego języka regionalnego – gwary lokalnej. A zatem skodyfikowanego języka kaszubskiego uczą się tam dzieci w niektórych szkołach jako języka obcego. Na Górnym Śląsku, który też obfituje w bogactwo gwar, będzie prawdopodobnie tak samo. W domu i tak Ślązacy będą mówić swoją gwara.

4. Problemem, który musi być przede wszystkim rozwiązany, jest fakt, iż „język regionalny” inaczej jest pojmowany w Europejskiej Karcie Języków Regionalnych i Mniejszościowych, a inaczej w powszechnym języku polskim, że każdy region ma swój język regionalny. Samo skodyfikowanie gwar śląskich, opracowanie jednolitej pisowni i „śląskiego abecadła” wcale nie oznacza, że automatycznie doprowadzi to do uznania gwar śląskich za „język regionalny” w myśl Ustawy o Mniejszościach Narodowych i Języku Regionalnym i Mniejszościowym. Z moich terenowych badań wiem też, iż wśród samej ludności istnieje silne przekonanie, że gwara jest językiem domowym, a na przykład w kościele, szkole i urzędzie używa się języka oficjalnego, polskiego. Aby to zmienić, trzeba lat pracy nad mentalnością ludności śląskiej. Nie wystarcza świadomość wartości gwary i chęć uczynienia z niej „języka regionalnego” wśród górnośląskich inteligentów.

5. Co zrobiliby dzisiaj Wilamowiczanie (kolonia Bielska), gdyby nie nauczyli się języka polskiego i gwary ich sąsiadów? Ogromna większość rodziców życzy sobie, aby dzieci poznały dobrze język polski, gdyż stwarza to im szansę na studia we wszystkich miastach kraju i na zdobycie zawodu. Pozwala na większe aspiracje. Moim zdaniem, gwarę należy natomiast szanować, uczyć jej w szkole, gdyż z gwar wyrósł język ogólnopolski. Wiedzieć jednak trzeba, że egzaminu na Uniwersytet Warszawski, Krakowski czy każdą inną uczelnię nie będzie się zdawać w gwarze, nawet w uznanym „języku regionalnym”.

6. Jeśli ustawa polska oraz Europejska Karta Języków Regionalnych i Mniejszościowych będzie znowelizowana i Polska uzna opracowaną i skodyfikowaną mowę śląską za język regionalny, a więc nie będący odmianą języka oficjalnego (co będzie trudne do udowodnienia), wówczas – zgodnie z ustawą, wszędzie tam, gdzie mieszka ponad 20% ludności rodzimej mówiącej gwarami śląskimi, można go będzie uczyć w szkole, a także organizować kursy języka śląskiego dla urzędników i nauczycieli. Można będzie także używać dwujęzycznych tablic nazw. Obecnie dialekty (gwary) uznane są za odmianę języka oficjalnego i – w myśl ustawy – nie są językiem regionalnym.

7. Każda kodyfikacja jest kompromisem. Śląsk ma wiele gwar znacznie się od siebie różniących, zacznie się więc rywalizacja,

która gwara zwycięży? Kryteria kodyfikacji będzie trudno wypracować. Daję przykład z mojego folklorystycznego podwórka: znany jest na całym Górnym Śląsku demon duszący ludzi w nocy. W Katowickim nazywa się go „zmorą” lub „morą”, zaś na Śląsku Opolskim „gniotką” lub „gnioutką”. Ludzie z katowickiego Śląska nie boją się „gniotki”, tak jak z Opolskiego nie boją się „zmory”, bo nie wiedzą, co to jest. Bogactwem gwar śląskich – i problemem dla kodyfikacji jednego języka – jest ogromne zróżnicowanie leksykalne. W Katowickim „godo się”, na Śląsku Opolskim „rządzi się” i „gwarzy”. W jednej gwarze mówią: „bydom”, w innej „baja”, a w jeszcze innej: „banda”. W jednej gwarze używane jest słowo „cyganie”, w drugiej – na tę samą czynność – „wichleć”; jedni mówią „światły”, inni „modry”, czyli w skodyfikowanym języku należałoby przyjąć kolor „niebieski”? Obawiam się, że kodyfikacja nie będzie łatwym procesem i zamiast skonsolidować mieszkańców może ich zdeintegrować.

Gwara śląska – to symbol śląskości, podstawowy wykładnik przynależności etnicznej

Profesor EWA SŁAWKOWA
– Uniwersytet Śląski, językoznawca

1. Niespotykany wcześniej na taką skalę renesans gwary śląskiej po roku 1990 widzieć trzeba w perspektywie zjawisk oraz na tle procesów polityczno-kulturowych współczesnej Europy, w których orbicie znalazła się Polska. Tendencjom integracyjnym, których uosobieniem jest idea Unii Europejskiej, towarzyszą również silne dążenia do podkreślenia odrębności lokalnej, regionalnej i etnicznej, której gwara (i każdy język regionalny) jest najwyrazistym znakiem. Wraz z procesem powstawania społeczeństwa globalnego i powszechnej unifikacji kultury odżywiają, uwolnione spod niedawnych politycznych presji i zależności, lokalizmy i regionalizmy i powszechnej unifikacji kultury odżywiają, uwolnione spod niedawnych politycznych presji i zależności, lokalizmy i regionalizmy „małych europejskich ojczyzn”, przyjmując postać nowocześnie rozumianego pytania o tożsamość. Zainteresowanie „językiem domowym” Ślązaków jest bez wątpienia wciąż aktualną, na nowo sformułowaną, a tak żywo interesującą wielu mieszkańców Śląska (nie tylko Ślązaków) próbą podjęcia odpowiedzi na to pytanie.

Obecność gwary (czy jej elementów) w życiu publicznym to także przejaw swoiście rozumianej wolności słowa, które spętane przez doktrynalną nowomowę chciały zabrznieć autentycznie. Sądzę, że ten kontekst w pełni tłumaczy starania o uznanie gwar śląskich za język regionalny. Śląskość, obecna przecież nie tylko w „języku ojców”, jest w porównywalnym stopniu europejska, co polskość.

2. Posiadanie własnego sposobu mówienia jest jednym z najważniejszych składników świadomości regionalnej, a sytuacja „języka domowego” Ślązaków ilustruje tę tezę w sposób spektakularny. Poczucie odrębności kulturowej było na Śląsku zawsze duże, a współcześnie, w nowej rzeczywistości politycznej i ogólnej aurze europejskości nabiera ono z całą pewnością nowego wymiaru. Trudno mówić o rozwoju gwary śląskiej w sensie czysto lingwistycznym, tu akurat należałoby użyć słowa regres czy erozja, bo unifikacyjny wpływ polszczyzny ogólnej (zwłaszcza medialnej) i różnych jej odmian na gwary w skali ogólnopolskiej jest ogromny. Badacze mówią o słabej kondycji gwary, w której miejsce wchodzi dziś język miejski (z elementami gwary), rozmaite języki mieszane oraz interdialekty. Natomiast znaczenia nabiera jej funkcja symboliczna. Gwara śląska – to symbol śląskości, podstawowy wykładnik przynależności etnicznej...

3. Dążenia do kodyfikacji (pierwszy etap prac to kodyfikacja pisowni) i standaryzacji gwary śląskiej są, jak sądzę, jak najbardziej uzasadnione i uprawnione, co nie znaczy – zważywszy na skomplikowany kontekst historyczny dialektu śląskiego oraz stopień jego wewnętrznego zróżnicowania – łatwe w realizacji. Na pewno jednak należy, mimo obiektywnych trudności, trud taki podjąć, ze względu *primo*: na taką społeczną wolę, a *sekundo*: z uwagi na walor historyczny zjawiska. Jednak bez zaangażowania w taką pracę wielu środowisk i różnych społecznych sił, które gwarantowałyby dążenie do konsensusu, będzie to niemożliwe.

4. Stworzenie – dla potrzeb normalizacji – jednego śląskiego dialektu w oparciu o cechy poszczególnych gwar, co jest działaniem tyleż pożądanym, lecz w praktyce niezwykle trudnym do wykonania, nie musi, ale i równocześnie może (lub wręcz powinno?) oznaczać, iż oficjalnie uznamy ten dialekt za „język regionalny” mieszkańców Śląska a Ślązaków za grupę etniczną. Zwążywszy na historię Śląska kształtującą się od połowy XIV wieku poza granicami państwa polskiego, na międzywojenną autonomię Śląska oraz uwzględniając kulturowo-cywilizacyjną odrębność tego obszaru i w przeszłości kosmopolityczny charakter myślenia w takim właśnie duchu nie jest pozbawione racjonalnych podstaw i osobiście skłaniałabym się ku takim rozwiązaniom.

Podniesienie lokalnej gwary do roli „języka regionalnego” z całą pewnością nobilitowałoby Ślązaków i ich „język domowy”, wzmacniając tak im potrzebny na mapie Polski prestiż.

5. Gwara śląska nie funkcjonuje w społecznej próżni, lecz w sposób naturalny – za sprawą edukacji i mediów – wchodzi od dawna w kontakt z polszczyzną ogólną. Z jednej strony zatem – w sposób nieunikniony ulega jej unifikacyjnym wpływom, a z drugiej zaś – w pewnym stopniu i w pewnym zakresie oddziałuje na jej lokalny kształt. Zjawisko „osmozy” między tymi językami jest więc faktem, który w sposób zasadniczy wpływa na ewolucję gwary.

6. Dialekt śląski można, jak sądzę, wprowadzać do edukacji jedynie na zasadzie pełnej dowolności, jako przedmiot (zajęcia) fakultatywny, najlepiej w bloku zajęć dotyczących edukacji regionalnej i to w szkołach, w których – co w dużej mierze jest zależne od ich lokalizacji na terenie Śląska – taka społeczna potrzeba istnieje i zostanie zgłoszona.

7. Uważam, że kodyfikacja i normalizacja dialektu śląskiego będzie miała nie tylko pozytywny wpływ na poczucie regionalnej więzi Ślązaków, ale i mieszkańców całego Śląska, co wydaje się działaniem, które może wręcz osłabić, a nie zintensyfikować potencjalne działania grup separatystycznych.

Śląskość czy człowieczeństwo, to nie tylko świat dźwięków

MAREK SZOŁTYSEK – pisarz, publicysta,
wydawca, Ślązak. Autor wielu książek
o Śląsku w tym „Biblii Ślązoka”
i „Elementarza śląskiego”

1. Może jak ktoś patrzy na Śląsk z perspektywy Katowic czy Bytomia (i nie daj Boże Sosnowca, bo to przecież nie Śląsk a województwo śląskie) to może mu się wydawać, że śląskie godanie to stare dzieje. I idźmy dalej... może się też wtedy wydawać, że od około 20 lat śląski się odradza. Ale to nieostry ogląd rzeczywistości. Bo nie śląskie godanie się odradza, ale traktowanie tego godania w sferze publicznej. I tak się dzieje głównie z powodu wolności jaka nastąpiła u nas po czasach obrzydliwej komuny. Tę wolność wykorzystują tacy ludzie jak Maria Pańczyk – która wykreowała konkurs „Po naszymu czyli po śląsku”, ta wolność umożliwiła utworzenie mieszczańskiego „Śląsk” i mnie to pozwoliło pisać i wydawać książki o Śląsku. A sprzedaż przykładowo ponad 200 tys. „Biblii Ślązoka” pokazało też, że potrzeby śląskości na co dzień nie wymyśliła Pańczyk czy Szoltysek.

Ale niektórzy próbują sprawę ciągnąć dalej i łapią się sportu ekstremalnego – czyli chcą by śląskie godanie było osobnym językiem czy językiem regionalnym. Ciekawe czy zdają sobie sprawę, że przy temu można sobie skrócić kark a i innych poturbować. To jak z jazdą na deskorolce pod prąd w tunelu pod katowickim rondem.

2. Żywa śląszczyzna, śląsko godka, to tylko jeden z elementów, przejawów bycia Ślązokiem, bo jeszcze jest etos pracy, kuchnia śląska, punktualność, szporobliwość, charakterystyczna pobożność itd... Nie należy zatem zanadto przeceniać godania po śląsku. Można sobie bowiem wyobrazić, że ktoś uznający się za Ślązoka nie potrafi godać. Podobnie też człowiek tracący głos nie przestaje być człowiekiem. Śląskość czy człowieczeństwo, to nie tylko świat dźwięków.

3. Kodyfikacja to może za duże słowo. Ligoń pisał swoje śląskie „Bery i bojki” przy użyciu polskiego alfabetu. Ten polsko-ligoniowy zapis śląszczyzny świadomie podjąłem również – jo, Marek Szoltysek. Ale oczywiście rozumię, że jakieś dodatkowe „literę” do zapisu śląskiego godania powinno się wprowadzić. Proponuję by na początek, aby nie straszyc „dziwnym zapisem” normalnych Ślązoków – wprowadzić tylko jeden znak graficzny. Proponuję zatem pochylone i wytłuszczone „O”. W ten sposób rozwiązałibyśmy najpotrzebniejszą sprawę bez wymyślania nowego znaku. Takie pochylone i wytłuszczone „O” jest konieczne do zapisu takich wyrazów jak: *Ponboczek, konsek, konda, konkret, Weronika, Jozef, kapelonek, sromota...* Zresztą ta propozycja została szeroko przedstawiona w mojej najnowszej książce pt. „Rozmówki śląskie, czyli podręcznik do nauki śląskiej godki” (wydany we wrześniu 2008).

4. Doprowadzenie do skodyfikowania śląskiego na dzisiaj jest niemożliwe do zrobienia tak, by wszyscy zainteresowani byli zadowoleni. Bo jak zapisać uniwersalnie rybnickie „godanie”, wodzisławskie „godani”, czy opolskie „godanie”. Z tego bogactwa odmian śląskości rodzi się przeszkoda nie do przeskoczenia na dzisiaj. No chyba, że stworzy tak skomplikowany system zapisu, że tylko jego twórcy i ich najbliższe rodziny zrozumieją o co chodzi. Ale zrozumieć to jeszcze wcale nie znaczy nauczyć się takiego zapisu i go używać. A jak tego potem uczyć w szkołach? Jak pisać tak w gazetach i książkach? Przecież ludzie wcale tego nie będą chcieli kupić i czytać? Zatem istnieje poważna obawa, że wylejemy dziecko z kąpielą!

5. Śląsko godka jest funkcją języka polskiego, jest starszą siostą polskiej godki, która bardzo długo pomieszkowała w Czechach, Austrii i Niemczech. Z tego rodzą się bogactwa i konflikty. Zresztą proszę się wyprowadzić z domu na 6 lat za granicę i potem wrócić. To sami zobaczycie jak będzie. A przecież Śląsk tak się wykłudzil, czy go „wykludził” na 600 lat? Według mnie cudem jest, że w ogóle ktoś tu potrafi godać. Popatrzmy jak żywa, a raczej jak martwa jest regionalność we Wrocławiu, czy Nysie. Plakać się chce.

6. Śląski już jest w szkołach. Są konkursy gwarowe, dni śląskie itd. Czekanie na jakąś wyidealizowaną kodyfikację to strata czasu. Przecież wszyscy aktywiści od języka śląskiego, języka regionalnego czy czegoś tam jeszcze są jak Żydzi na pustyni – będą się tam błąkać przez 40 lat! A na to nie ma czasu, bo np. w Katowicach na osiedlu 1000-lecia dzieci nie wiedzą co to jest żeleźniok, fuzekla ani Józef Lompa. A przecież do oświecenia w tym względzie skodyfikowana śląszczyzna nie jest potrzebna.

A jeszcze jest inna sprawa. Otóż ewentualne kształcenie w szkołach w śląszczyźnie musiałoby monitorować Kuratorium Oświaty – a przecież Będzin i Częstochowa też mu podlega, bo to jedno województwo – województwo śląskie. Więc stoimy przed problemem reformy administracyjnej Polski. Boże, ile jest do zrobienia!

7. Znormalizowanie czy kodyfikacja śląskiego może i powstanie – ale pozostanie na papierze. Będzie to zbyt skomplikowane i nawet gazety o tym nie będą chciały pisać. Skończy się na newsach w dniu uchwalenia czegoś tam... A wtedy separatysty, oszołomy, specjaliści od szokowania będą musieli dalej kombinować. Może powstanie wtedy Związek Ludności Narodowości Gołęszyckiej albo Wolny Związek Wyznaniowy Boga Pierona. Yno, że nie, Szoltykowski, na pierona takie pieroństwo!

Każda gwara jest odmianą terytorialną języka ogólnonarodowego

Prof. HELENA SYNOWIEC,
Dr BOŻENA CZĄSTKA-SZYMON
– Uniwersytet Śląski. Językoznawcy.
Autorki (razem z J. Ludwigiem)
„Małego słownika gwary Górnośląska”

Dowartościowanie społeczności lokalnych i demokratyzacja życia po roku 1989 oraz zauważana współcześnie chęć powrotu do korzeni są oczywiście cenne. Gwara jest niewątpliwie ważnym czynnikiem poczucia wspólnotowości. Jednak starania o uznanie gwary śląskiej za język regionalny mają podłoże polityczne. Pomysł

kodyfikacji gwary wyszedł ze środowiska RAŚ. Autonomiści często wysuwają nieprawdziwe argumenty o niepolskim rodowodzie gwary i tradycji śląskiej, np. akcentują związki śląszczyzny z językiem morawskim (choć nie ma takiego języka); sugerują też, że mowa śląska bliższa jest językowi słowackiemu i czeskiemu niż polskiemu (!).

Każda gwara jest odmianą terytorialną języka ogólnonarodowego, ale nie może mieć statusu języka powszechnie używanego. Gwara się rozwija – najwolniej zmiany te postępują w fonetyce, najszybciej – w warstwie leksykalnej (pojawiają się nowe wyrazy lub/i zapożyczenia). Przykładowo: w gwarze śląskiej coraz rzadziej słyszy się *jo to łobezra*, częściej *jo to zobocza*; wymowę „nowsze” wyrazu lub frazeologizmu ogólnopolskiego dostosowuje się do miejscowego, tj. śląskiego zwyczaju, por. też *jo ci to sksreujta*, *brotechljo zech brot udział w tyj uroczyście*.

Zakres używania gwary jest ograniczony do kontaktów domowych i lokalnych; nie wytworzyła ona odmian stylistycznych, np. urzędowej, naukowej, bo gwara nie obsługuje tych sfer życia, nie ma też potrzeby, by je obsługiwała.

Zróżnicowanie językowe niektórych miast śląskich w latach 80. XX wieku dobrze pokazuje zbiorowa publikacja pod red. W. Lubasia „Teksty języka mówionego mieszkańców miast Górnego Śląska i Zagłębia”.

Potrzebna jest dziś nie tyle kodyfikacja gwar śląskich, ile badania tych gwar z uwzględnieniem takich parametrów, jak: wiek mówiących, środowisko, wykształcenie, zawód, itp. Dysponujemy opisami stanu dialektu z okresu międzywojennego (prace K. Nitscha i S. Bąka) oraz z lat 60.-70. XX wieku (m.in. „Atlas językowy Śląska” A. Zaręby, publikacje S. Bąka, S. Rosponda), ponadto nieco późniejsze prace językoznawców opolskich, krakowskich i katowickich.

Kodyfikacji podlega język ogólnonarodowy po to, by mieszkańcy danego kraju porozumiewali się w jednolity sposób, by komunikacja ludzi z różnych regionów była skuteczna. Kodyfikacja dialektu polegałaby na usystematyzowaniu, ujęciu cech dialektalnych w system norm. Uważamy, że nie jest to celowe.

Zróżnicowanie dialektu śląskiego, który obejmuje kilka obszarów gwarowych, a w ich obrębie – zróżnicowanie pod względem wymowy i leksyki gwar nawet sąsiednich miejscowości, utrudnia kodyfikację. A poza tym: **czemu ta kodyfikacja miałaby służyć?**

Nie można odgórnie narzucić normy osobom, które od dzieciństwa przyswoiły system gwarowy środowiska lokalnego, które od pokoleń porozumiewają się „swoją” gwarą. Kodyfikowanie zmierza do ujednolicenia, uznania cech jednego obszaru gwarowego (w obrębie dialektu) za główne, a innego obszaru – za wariantywne realizacje albo do stworzenia sztucznego języka (interdialektu). Można się zastanawiać nad ujednoliceniem zapisu wyrazów i form gwarowych. Jeśli by się podjął tego zadania ze względów pragmatycznych (dla potrzeb folklorystów, pisarzy, publicystów), trzeba by nawiązać do polskiej tradycji pisownianej (tzn. z zachowaniem dwuznaków, sposobów oznaczania miękkości itp.). Nadmienimy, że półfonetyczna ujednolicona pisownia, którą zastosowano w „Tekstach języka mówionego mieszkańców miast Górnego Śląska i Zagłębia” była dla czytelników nieprofesjonalistów niezrozumiała; nie potrafili oni zidentyfikować wyrazów i form zapisanych niezgodnie z ich przyzwyczajeniami.

Próba wyboru jednej z gwar za podstawę kodyfikacji (lub stworzenie interdialektu) będzie prowadzić do zantagonizowania rodowitych Ślązaków z różnych części regionu. Dialekt nie może być językiem regionalnym. Dodajmy, że uznanie gwary za język regionalny zburzyłoby dotychczasową kwalifikację różnych sposobów porozumiewania się na poziomie indywidualnym i lokalnym. Wprowadziłoby zamiast układu hierarchicznego: język ogólny – dialekt – gwara wielość nowych języków, np. śląski, wielkopolski, a także kurpiowski. Doszłoby – co gorsze – do zachwiania podziału języków na rodziny (np. romańska, germańska, słowiańska). I tak wśród języków indoeuropejskich byłyby obok siebie na jednej płaszczyźnie język francuski, język fryzyski oraz język podhalański! Taka klasyfikacja – bez uwzględnienia pochodzenia danego języka prowadziłaby do chaosu i byłaby ahistoryczna.

Jak już wielokrotnie podkreślaliśmy, w szkole należy uczyć nie gwary, lecz o gwarze (dialekcie śląskim i jego zróżnicowaniu), pokazywać podobieństwa i różnice między dialektem/gwarami śląskimi a językiem ogólnym oraz łączyć nauczanie o gwarze z wprowadzaniem wiedzy o przeszłości, tradycji i kulturze regionalnej, które się odzwierciedlają w gwarowej leksyce i frazeologii. Mamy w tej dziedzinie spore doświadczenie dydaktyczne i przemyślenia teoretyczne. Upowszechniamy je od dawna w prelekcjach dla nauczycieli i publikacjach (m.in. w dwuczęściowym opracowaniu „Polszczyzna w szkole śląskiej”).

Tworzenie elementarza śląskiego nie jest pomysłem trafnym. Nie można uczyć pisowni gwarowej dzieci, które równolegle po-

znają grafie ogólnopolską (konsekwencją będą błędy w zapisie, chyba że reformatorzy pisowni chcieliby konsekwentnie zmienić sposób zapisu polszczyzny ogólnej, a to byłby pomysł co najmniej chybiony). W elementarzu musiałby się znaleźć gwarowe nazwy dawnych realiów gospodarczych, kulturowych regionu, odległych doświadczeniem dzieci (bo są współcześnie nieznane i nieużywane). Uważamy, że trzeba by przygotować jednak inne materiały dla uczniów (np. wypisy tekstów o Śląsku).

Gwary można by uczyć na zasadzie dobrowolności, a nie przymusu. Z naszych badań sondażowych wynika, że tylko część młodzieży z rodzin nieśląskich deklaruje chęć uczenia się gwary (głównie słownictwa), a uczniowie – rodowici Ślązacy nie mają wystarczającej motywacji, by się jej uczyć, bo przecież mówią nią na co dzień. Jak sygnalizują nauczyciele z Kaszub, wielu uczniów miejscowych szkół niechętnie się uczy nowego (sztucznego) języka kaszubskiego, znają oni rodzimą mowę kaszubską i z posługiwaniem się nią nie mają większych kłopotów.

W szkołach powinno się rozwijać świadomość językową uczniów, wprowadzając wiedzę o wszystkich dialektach języka polskiego (w tym szczególnie o dialekcie śląskim), i to nie tylko w ramach edukacji regionalnej. Niektóre autorskie programy języka polskiego w gimnazjum już uwzględniają te problemy.

... nie ma powodu, by mowy Ślązaków za język regionalny nie uznać

Profesor JOLANTA TAMBOR
– Uniwersytet Śląski

Status śląszczyzny zyskał nowy wymiar w kontekście *Europejskiej Karty Języków Regionalnych lub Mniejszościowych*. Jest ona bardzo ważnym europejskim dokumentem. W *Preambule* do niej „podkreśla się wartość wielokulturowości i wielojęzyczności i uznaje, że ochrona języków regionalnych bądź mniejszościowych i poparcie dla nich nie powinny przebiegać ze szkodą dla języków oficjalnych i potrzeby ich poznawania”. *Europejska Karta* stanowi więc dokument bogactwa kulturowego każdego państwa. Języki mniejszościowe i regionalne wymienione w akcie ratyfikacyjnym *Karty* są językami używanymi na terytorium danego kraju tylko w pewnych sytuacjach i w pewnych regionach, stanowiących integralną część każdego państwa. Nie są w żadnym razie zagrożeniem dla języka oficjalnego, urzędowego, państwowego.

Polska *Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym* wymienia 9 mniejszości narodowych i 4 mniejszości etniczne (i im przypisuje prawo do posługiwania się językiem mniejszościowym) i tylko 1 język regionalny: kaszubski. W 2005 roku za język regionalny przez polski parlament został uznany język kaszubski, wcześniej przez wielu naukowców, w tym językoznawców, uważany za dialekt. Bardzo wiele środowisk na Śląsku chciałoby doprowadzić do prawnego uznania za język regionalny także śląszczyzny. Różne grupy w Polsce (które można nazwać grupami etnicznymi, etnograficznymi, regionalnymi) dumne są ze swej mowy i swej etnicznej tożsamości. Duma ta mogła znaleźć swój zewnętrzny wyraz oficjalnie i w sposób niezagrożony właściwie dopiero po 1990 roku. Wcześniej, uzewnętrzniana regionalność nie była dobrze widziana. Dumę tych grup może wzmacniać prestiż języka, którym się posługują jako swoim językiem pierwszym, rodzinnym, domowym. Funkcja prestiżowa jest jedną z najważniejszych funkcji języka. Grupa świadoma swej tożsamości i dumna ze swego dziedzictwa jest grupą dla zbiorowości, w której uczestniczy, wartościowszą. Możliwość posługiwania się swoim językiem na swoim terytorium w wybranych sytuacjach daje grupie i jej członkom poczucie poszanowania i równouprawnienia, które potrzebne jest człowiekowi dla osiągnięcia właściwej kondycji społecznej.

Ślązacy są grupą, która od pewnego czasu stara się o status języka dla swojej mowy. Starania te mają również wielu przeciwników, co zwolenników. Ale zważywszy na wskazane wyżej korzyści z posiadania przez grupę języka, nie ma powodu, by mowy



GEORGIJ SAFRONOV



SPONSOR "ŚLĄSKA"



KOMPANIA
PIWOWARSKA

BELLMER

mieszkał przy ulicy Kościuszki

Katowickie Stowarzyszenie „Kościuszki i okolice”, któremu prezesuje Jarosław Lewicki wraz ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich zorganizowało wieczór wspomnień o Hansie Bellmerze – artyście urodzonym 13 marca 1902 r. w Katowicach, śląskim malarzu, rzeźbiarzu i grafiku, znanym głównie z serii rzeźbiarskich instalacji „Lalka”. Był uczniem berlińskiej Wyższej Szkoły Technicznej. Wydał w Niemczech własnym nakładem książkę „Lalka”, zawierającą 10 czarno-białych fotografii lalki. Sztuka Bellmera uznana została przez nazistów za zdegenerowaną. W 1938 r. przeniósł się do Paryża, gdzie przyłączył się do surrealistów, porzucił zainteresowanie lalkami i zajął się tworzeniem erotycznych rysunków i fotografii. Bellmer był jednym z najwybitniejszych światowych surrealistów obok Salvadore Dali i Witkacego. Jego prace można podziwiać w Tate Gallery w Londynie, Museum of Modern Art w Nowym Jorku oraz Centre Pompidou w Paryżu.

Na tablicy poświęconej Bellmerowi znajdzie się cytata z Andre Bretona lub Kota Jeleńskiego o surrealizmie i informacja, że w tym domu Bellmer mieszkał przez prawie dziewięć lat. Jest to pierwszy katowicki ślad po urodzonym tu artyście, który w latach 30. był współtwórcą surrealizmu w Paryżu i zasłynął skandalizującymi, pełnymi erotyzmu pracami. Zmarł w 1975 roku w Paryżu.

ZNAKI I TWARZE MIASTA



Hans Bellmer, z cyklu „Lalka”



Foto. Zbigniew Sawicz



Foto. Zbigniew Sawicz



Foto. Zbigniew Sawicz

Kamienica przy ulicy Kościuszki 47, gdzie mieszkał w latach katowickich Hans Bellmer.

Tablicę ulokowano na ścianie od strony ulicy Rymera.

Ślązaków za język regionalny nie uznać. Jest ona wystarczająco odrębna od mowy innych regionów Polski i od języka ogólnopolskiego. Zarówno na Śląsku, jak i poza nim panuje powszechne, często zresztą intuicyjne, przekonanie o silnej odrębności Śląska. Jednak, aby owa odrębność mogła zostać uznana nie tylko w obiegu potocznym, należy przystąpić do intensywnych, ale i zintegrowanych działań standaryzacyjnych. Muszą w nich uczestniczyć osoby (naukowcy, językoznawcy, etnologowie, socjologowie) o odpowiednich kompetencjach. Nie uważam, by tzw. przeciętni użytkownicy śląszczyzny nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia, by ich zdanie miało się nie liczyć, jednakże nie można opisywać języka i stymulować procesów językowych bez rzetelnej podstawy naukowej.

Należy docenić i uznać za ważne i pożyteczne dla państwa i narodu ujawnione poczucie przynależności do określonej grupy etnicznej. Człowiek w swoim kręgu kulturowym i tożsamościowym funkcjonuje lepiej i efektywniej. A uznanie i prestiż ów krąg może zyskać w dzisiejszym świecie w dużej mierze dzięki nadaniu prestiżu mowie tej grupy poprzez uznanie jej za język. Ślązacy na pewno odróżniają się od pozostałych obywateli językiem. Ślązacy, podobnie jak Kaszubi, dążą do zachowania swojego języka. Przykładem i świadectwem tej dążności są: bardzo częste wybory przez nauczycieli i uczniów ścieżek regionalnych w szkołach, powstawanie ciągle nowych słowników śląskich (śląsko-polskich i polsko-śląskich), konkursy mowy śląskiej (recytatorskie, śpiewacze, „Ślązak Roku”), teksty o Śląsku pisane po śląsku, próby wprowadzania śląskiego w obieg kultury „wysokiej” na deski teatralne i do literatury.

By regionalny „język śląski” zagościł na stale w szkołach, w mediach, w literaturze, na ulicach i – być może – w urzędach, a nie tylko w naszych sercach, trzeba wiele pracy. Ślązaków na nią stać.

Dialekt śląski to zespół narzeczy i gwar silnie różnicowanych jakościowo

Profesor BOGUSŁAW WYDERKA
– Uniwersytet Opolski

Swoją wypowiedź rozpocznę od kwestii podstawowej, mianowicie od określenia relacji pomiędzy tzw. językiem ogólnym a odmianami terytorialnymi należącymi do jednego języka etnicznego (narodowego). Pomiedzy językiem ogólnym przejawiającym się w postaci różnych odmian funkcjonalnych (wśród nich łatwo identyfikujemy tzw. język literacki uznawany za standard) a gwarami (odmianami terytorialnymi) istnieje stosunek pokrewieństwa językowego. Innymi słowy, polszczyzna ogólna i gwary to języki pokrewne, oparte na wspólnej bazie fonologicznej i gramatycznej, różniące się stosunkowo nielicznymi, wtórnymi jakościowo cechami. Na różnice gramatyczne nakładają się mniej lub bardziej liczne odmienności leksykalne, odzwierciedlające specyfikę regionalnej kultury materialnej czy duchowej, odmienności rozwoju historycznego itp. Ogół owych różnic nie jest jednakże na tyle duży, aby stwarzać bariery komunikacyjne pomiędzy użytkownikami posługującymi się różnymi wariantami jednego języka narodowego. Ponadto leksyka to labilny składnik języka, zmienny geograficznie i chronologicznie. Na samym Śląsku różnicowanie jest na tyle duże, że na nazwanie jednego desygnatu używanych może być kilkanaście wyrazów, oczywiście o różnicowanych zasięgach geograficznych. Gwary, ze względu na uwarunkowania społeczne, w jakich funkcjonowały i funkcjonują, są w istocie językami wsi. Podobne jakościowo gwary tworzą narzecza i dialekty.

Odmienne natomiast przedstawia się sprawa statusu funkcjonalnego języka ogólnego i gwar. Polszczyzna ogólna to język różnicowany stylowo, obsługujący różne sfery życia społecznego i przystosowany do pełnienia różnych ról, między innymi poprzez odpowiednio duży zasób leksykalny. Natomiast gwary to języki jednofunkcyjne, dla których bazę społeczną stanowią miesz-

kańcy wsi, obsługują one potoczną sferę komunikacyjną (tym samym ich zasób leksykalny jest stosunkowo niewielki). Te właściwości funkcjonalne dotyczą również gwar śląskich z wyjątkiem gwar okręgu przemysłowego, o czym niżej

W granicach współczesnego zasięgu gwar śląskich ukształtowały się trzy duże subregiony językowe: opolski, miast okręgu przemysłowego Górnego Śląska i cieszyński. Należy zauważyć, że wszystkie te subregiony to Górny Śląsk, toteż szeroko stosowane zawężanie pojęcia *górnos Śląski* do subregionu przemysłowego jest błędne. Wymienione subregiony różni sytuacja socjolingwistyczna. Pomijając szczegółowe jej omówienie, można stwierdzić, że w subregionie opolskim i cieszyńskim gwary zachowały swój tradycyjny status języka wsi. Natomiast w subregionie okręgu przemysłowego, na skutek splotu czynników społecznych uwarunkowanych szybko i rozległą industrializacją, począwszy od 2. poł. XIX w., gwary zaczęły funkcjonować w miejskiej przestrzeni kulturowej jako języki miast, oczywiście z konsekwencjami leksykalnymi wynikającymi ze zmiany roli. Słownictwo gwar tego subregionu zaczęło odzwierciedlać nowe realia środowiskowe, pojawiło się słownictwo odnoszące się do życia miejskiego, urzędów miejskich, nowych zawodów, stonków społecznych, całego otoczenia miejskiego. Owa nowa leksyka to w dużej mierze zapożyczenia niemieckie. W owym czasie wzorce ogólnopolskie w szerszym zakresie nie oddziaływały. Stąd też do dziś uchwyte są różnice pomiędzy leksyką gwar okręgu przemysłowego, a leksyką innych gwar śląskich. Zmiany funkcjonalne dokonywały się w kolejnych dziesięcioleciach, poszerzała się baza społeczna gwary, posługiwać się nią zaczęły jako językiem rodzinnym i rodzimym wszystkie warstwy ludności miejskiej, w tym inteligencja. W ten sposób zmienił się status funkcjonalny gwary miast górnos Śląskich. Już w latach siedemdziesiątych ub. wieku niektórzy językoznawcy wskazywali na regionalny status tego języka.

Sumując tę część wypowiedzi: z systemowego punktu widzenia nie ma żadnych przesłanek, aby gwary śląskie klasyfikować genetycznie jako odrębny język słowiański. Natomiast z funkcjonalnego punktu widzenia języka miast górnos Śląskich nie można dziś traktować jako gwar wiejskich, mimo iż genetycznie z nich się wywodzi i nadal ma z nimi silny związek. Przyznać mu należy status języka regionalnego jako odmiany polszczyzny, co nie jest równoznaczne z koniecznością jego kodyfikacji, bowiem ta nie jest warunkiem koniecznym pielęgnacji rodzimego języka.

Problem kodyfikacji ma różne wymiary. Zaczniemy od aspektu społecznego.

Dążenia emancypacyjne zbiorowości etnicznych (abstrahując od omawiania motywów owych dążeń, to zadanie dla socjologa; osobiście uważam, że tożsamość śląska w obecnym kształcie jest tożsamością kreowaną) na ogół zawsze wiążą się z chęcią wyeksponowania własnej odrębności językowej. Zmierzają do tego dwiema drogami. Po pierwsze, przez rozpowszechnienie w społeczeństwie przekonania o „samodzielności i odrębności” języka grupy, zwłaszcza odrębności w stosunku do języka tej społeczności, która może odmiennie regionalne wchłonać. Teza o odrębności, a przede wszystkim niepolskości, języka śląskiego jest dziś szeroko propagowana bez względu na lingwistyczne przesłanki takiego twierdzenia. Po drugie, przez podjęcie próby jego kodyfikacji. Z obu tych zjawiskami mamy dziś do czynienia.

W ostatnim czasie sporo mówi się o kodyfikacji pisowni. Problem pisowni jest w obliczu całości przedsięwzięć normalizacyjnych kwestią stosunkowo najmniej skomplikowaną lingwistycznie. Problemy zaczynają się przy normalizacji wyższych poziomów systemu językowego i leksyki, a największym problemem będzie upowszechnienie ustanowionych norm, czyli nauka języka śląskiego. Z wypowiedzi zwolenników kodyfikacji nie wynika jednak całościowa wizja normalizacji, ograniczają się do problemu pisowni. Żeby jednak wydać elementarz, należy mieć znormalizowaną gramatykę. Radzę w tym względzie sięgnąć do doświadczeń kaszubskich, tych dobrych i tych złych.

Kwestii, które należałoby w tym miejscu poruszyć jest wiele. Dialekt śląski to zespół narzeczy i gwar silnie różnicowanych jakościowo. Która z gwar będzie podstawą normalizacji? Zapewne język miast okręgu przemysłowego bazujący na gwarach toszcko-gliwickich. Ich system językowy odbiega jednakże od każdej z gwar Śląska Opolskiego, jak też i Śląska Cieszyńskiego. Obawiam się, że ów nowy śląski język nie wszędzie będzie uznawany za „swoją”, tak jak współcześnie tu i ówdzie dzieje się to na Kaszubach. Ponadto zwolennicy języka śląskiego powinni nas nie tylko emocjonalnie, ale i merytorycznie przekonać do konieczności jego kodyfikacji, bo – jak dotychczas – z dogłębnym wykładem tych treści się nie spotkałem.

Życzliwe śląskiej tematyce warszawskie Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR (wydało m.in.: J. Bahlcke „Śląsk i Ślązacy”, „Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska” pod red. L.M. Nijakowskiego), kierowane przez znanego socjologa – prof. Jacka Raciborskiego, wydało ostatnio niewielką kieszonkową książeczkę, której autorem jest profesor socjologii na Uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem – Tilman Allert, a jej treścią jest historia niemieckiego pozdrowienia, które przez dwanaście lat, kiedy obowiązywało w III Rzeszy, przysporzyło sporo nie-szczęść. Chodzi o totalną zmianę dotychczasowego sposobu pozdrawiania się ludzi, z wyparciem starych powitań w rodzaju „dzień dobry”, „witaj”, „szczęść Boże”, i zastąpieniem ich nowym jednolitym obowiązkiem wyraźnego wypowiedzenia przy powitaniu słów: *Heil Hitler*, z jednoczesnym wyciągnięciem do przodu, na wysokość oczu, ręki z rozwar-tą dłonią.

Autor kolejno analizuje: Jak ono powstało? Jak się upo-wszechniło? Na ile przestrzegano nakazu takiego pozdro-wienia? Jakie były for-my odmowy lub kom-promisu i gdzie tkwią przesłanki akceptacji tego nakazu?

Pozdrowienie: *Heil Hitler* pojawiło się po przejęciu władzy przez Hitlera 13 lipca 1933 roku i bez odpo-wiednich podstaw praw-nych, zostało szybko uznane za powszechny obowiązek. Obowiązy-wało nie tylko urzędni-ków oraz przedstawicieli władz i ich pracowników na służbie, lecz również w kontaktach poza służ-bowych. Także publicz-na i biznesowa kore-spondencja musiała się kończyć formułą: *Heil Hitler*. Pozdrowienie to stało się oznaką lojalno-ści wobec władz III Rze-szy i osobiście jej Führe-ra. W ówczesnej prasie pisano: *Słowa tego poz-drowienia [...] powin-ny nas ciągle wydoby-wać z małoduszności ży-cia codziennego i przy-*

Historia fatalnego gestu

pominać nam o wielkich celach i zadaniach, które postawił przed nami wszystkimi Adolf Hitler. To hitlerowskie pozdrowienie było rodzajem, ciągle odnawianego apelu, aby być gotowym do poważnej walki, a także zaprzysiężenia(zaklęcia) zobowiązującego do bezwarunkowej wierności, swemu Wodzowi, którego posłannictwo poniekąd było zesłane Niemcom przez Boga.

Stąd w 1937 roku wydano zakaz jego wykonywania przez Żydów. Przynależało, bowiem ono, wy-lącznie uprzywilejowanym, członkom wspólnoty narodowej, bo wy-rażało wiarę w misyjną moc Führe-ra. Rychło też (już w 1934 roku)

stworzono instytucjonalne podsta-wy wymuszania jego stosowania oraz ścigania, na drodze prawa kar-nego, przestępstw przeciwko hitle-rowskiemu pozdrowieniu, umożli-wiające skazywanie osób odma-wiających jego wykonywania, na więzienie i zamykanie w obozach koncentracyjnych.

Okazuje się, że historia tego fa-talnego dla Niemców pozdro-wienia nie zakończyła się wraz z upadkiem barbarzyńskiej epoki, jaką była III Rzesza. Autor pisze, że „długi cień tego fatalnego poz-drowienia i gestu”, nie zniknął, lecz znajduje ciągle jeszcze (co dokumentuje różnymi przykłada-mi) oddźwięk w środowisku spo-lecznym, które skupia ludzi zde-klasowanych i bez przyszłości, za-grożonych degradacją społeczną. Dziś ten, który decyduje się na użycie tego hitlerowskiego poz-drowienia zwraca na siebie uwa-gę, i ma – już tylko z tego powodu – zapewnioną obecność w me-diach żywiących się skandalami. Zna-ne też są przykłady „drugiego życia” pozdrowienia i gestu, wy-rażającego się jego kontynuowa-niem w bardziej zakamuflowanej

formie np. w literach „HH” na tablicach rejestracyjnych samochodów lub jako podwójnej ósemki (oznaczającej ósmą literę alfabetu, na-wiązującej do formuły „Heil Hitler”), która słu-ży do porozumiewa-nia się tajnych rasistow-skich wspólnot. Podwój-na ósemka trafia także np. na koszulki noszone przez nie zawsze świadom-ą ich znaczenia, mło-dzież. Także w geście stanowiącym element hitlerowskiego pozdro-wienia, to jest w wyciągnię-tej przed siebie ręki z otwartą dłonią, próbuje się doszukiwać, nie hitle-rowskiego, lecz staro-rzymskiego rodowodu. Z czym – dodajmy – ma-my także do czynienia, w jakże doświadczonej w drugiej wojnie świato-wej, Polsce.

Myślę więc, że warto sięgnąć po tę niewielką pouczającą książeczkę niemieckiego profesora.

Tilman Allert
**NIEMIECKIE
 POZDROWIENIE**
 Historia fatalnego gestu



Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR

JAN COFAŁKA

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Ferdynand Szypula – przedni grafik, scenograf (w szerszym znaczeniu) po pracowitym roku zapragnął wypoczynku w krajach ciepłych i południowych, do których w Minionym Ustroju Ludowym poza Jugosławią i Bułgarią się zaliczała. Do jednego z tych krajów zapragnął pomknąć swym czterokolowcem wraz z małżonką i radyjkiem „Selga” do utrzymywania kontaktów z ukochanym krajem.

Paszport odebrał w wyznaczonym terminie, pozostały jedynie formalności samochodowe do załatwienia w odpowiednim biurze związku motorowego. Bez tego ani się rusz, a termin wyjazdu zaczynał się zbliżać.

Denerwował się Ferdek i w geście desperacji dorwał się do kierownika z prośbą o przyspieszenie formalności w zamian za co obiecał podarować mu swoją grafikę.

No i stało się, że w przybiecanym terminie dokumenty były do odbioru. Pojawił się tedy w biurze i odbierając papiery prawą ręką, lewą wręczył Panu Kierownikowi rulon z przybiecaną gratyfikacją. I pojechał Ferdek na wyczekiwane wakacje.

Po powrocie spotkał na ulicy obdarowanego i dziękując jeszcze raz za doświadczoną przychylność, zapytał nieśmiało jak podobala się grafika.

No, wie Pan – myślałem, że da mi pan oryginał a dostałem reprodukcję...

NAGROBKI

KRYSTIAN PRYNDA

Biurokraty

Miał przez lata
spokojny kąt w biurze
Teraz spokojnie spoczywa
w tej dziurze

Beztroskiego

Żył jak niebieski ptak
ale niefortunnie z wysoka spadł
teraz leży głęboko na wznak

Lekarza

Mówił pacjentom:
Memento mori
I on odszedł ze świata,
choć nie był chory.

Estety

Uwielbiał Iona, nie tylko natury
Teraz na Ionie Abrahama
Patrzy na te cuda z góry

Nauczyciela

Życie minęło mu przy tablicy
Ilu wychował uczniów
– nikt nie zliczy.

Reportera

Pisywał reportaże
z dalekich stron
Ponoć w Afryce
przydepłtał go słoń

Zadłużonego

Z nie oddawania pożyczek
był znany
Toteż pod ziemię schował się
z długami



PODKOPKI

SATYRY

JULIUSZ WĄTROBA

Raap

To nie ludzie są to świnię
A tu panie naród ginie
Bo się nie chcą bzykać trutnie
Więc im utniesz by im smutniej
Było bo leniwi są
Wyciąg szkło rozgrzejmy ziąb

Dość już siostry tych narzekań
Życie żyje więc nie zdychaj
Forsa świeci więc nie ściemniaj
Róbmy dzieci w czasie M-jak
Miłość która po to jest
By był seks a potem chrzest

Dość już płynmy razem z prądem
Ja ci będę Jamesem Bondem
Tylko przy mnie będzie spoko
– kogut da popalić kwokom
aby nam rozkwitał kraj
grubych ryb i świeżych jaj

Tak będziemy wciąż swawolić
Jeśli unia nam pozwoli
Bo Stany nie będą w stanie
Dać na mordki nam kaganiec
No bo wolność po to jest
By niewolnik był! THE BEST!!!

Ciekawe czasy

W ciekawych czasach przyszło żyć
W ciekawych czasach wódkę pić

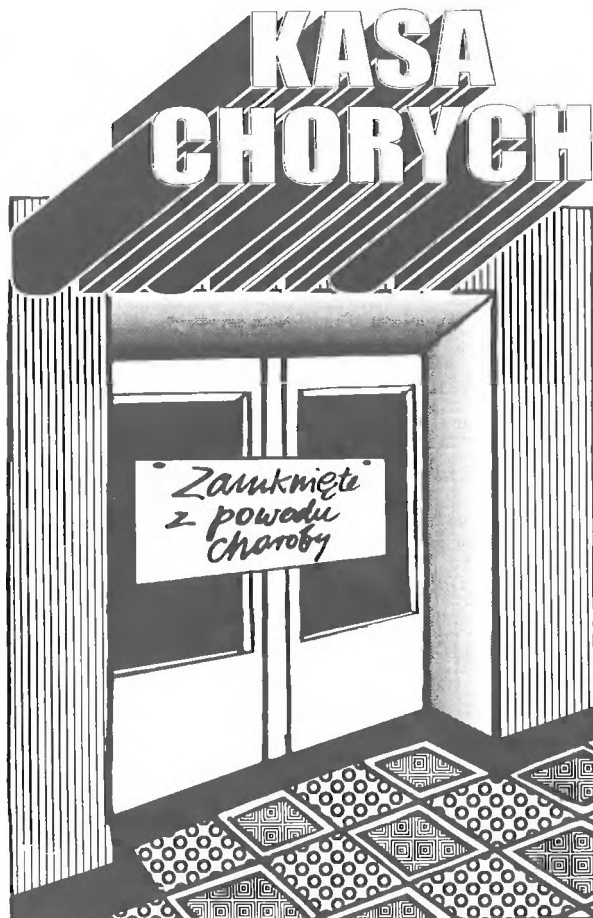
Bo polityk z politykiem
Są politowania godni
Kiedy patrzą na się bykiem
To się niesie odór zbrodni

Bo choć mówią o pokoju
Prezydenci i premierzy
To się wszyscy głupio zbroją
Że sam nie wiesz: żyć czy nie żyć

Bo choć wszystko się jednoczy
I globalnie się oblapia
Afer się lawina toczy
I z zawalem szlag cię trafia

Bo się u nas chłop powiesił
Ponoć czytał dużo książek
Bies nawrócił się ksiądz zbiesił
A kucharka zaszła w ciąży

Bo ten czas jest tak ciekawy
Z tego względu że nasz czas to
Wilk zaświecił księżyc zawył
A nam z wolna przyjdzie gasnąć



Rys. Ryszard Twardoch

Nagrody i wyróżnienia

Jury VIII Ogólnopolskiego Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” w składzie: Bogdan Ciosek, Krzysztof Domagalik, Krzysztof Karwat (przewodniczący) i Ingmar Villqist po obejrzeniu ośmiu przedstawień konkursowych postanowiło przyznać Medal im. Stanisława Bieniasza dla najlepszego dramaturgi festiwalu Władimirowi Zujewowi za sztukę pt. „Osaczeni”.

Jury przyznało następujące nagrody indywidualne: Dwie nagrody w wysokości 5.000 złotych każda otrzymali:

- Małgorzata Bogajewska za reżyserię spektaklu „Osaczeni” Władimira Zujewa w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi
- Monika Strzépka za reżyserię spektaklu „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł” w Teatrze Dramatycznym im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu

Trzy nagrody aktorskie w wysokości 4.000 złotych każda otrzymują:

- Sambor Czarnota za rolę Łarika w spektaklu „Osaczeni” z Teatru im. S. Jaracza w Łodzi
- Kamil Mackowiak za rolę Wesołego w spektaklu „Osaczeni” z Teatru im. S. Jaracza w Łodzi
- Piotr Wawer za rolę Dresiarza w spektaklu „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł” z Teatru Dramatycznego im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu

Wyróżnienie w wysokości 3.000 złotych za scenografię do spektaklu „Osaczeni” z Teatru im. S. Jaracza w Łodzi otrzymał Maciej Chojnacki

Ponadto Jury przyznało pięć wyróżnień aktorskich w wysokości 2.000 złotych każde. Otrzymali je:

- Kazimierz Czaplą za rolę Dyrektora w spektaklu „Żyd” z Teatru Polskiego w Bielsku-Białej
- Jadwiga Grygierczyk za rolę Polonistki w spektaklu „Żyd” z Teatru Polskiego w Bielsku-Białej
- Wiesław Kańtoch za rolę Sąsiada w spektaklu „Bardzo zwyczajna historia” z Teatru Nowego w Zabrzu
- Marian Kierycz za rolę Koguta w spektaklu „Bardzo zwyczajna historia” z Teatru Nowego w Zabrzu
- Sabina Tumidalska za rolę Staruszki w spektaklu „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł” z Teatru Dramatycznego im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu

Grand Prix Nagroda Publiczności – „Osaczeni” z Teatru im. S. Jaracza w Łodzi

Sporo publicystyki, artystycznych wypowiedzi na tematy, którymi żyją gazety, bezpośrednich komentarzy do współczesności, zaproponowano widzom w czasie VIII Ogólnopolskiego Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” w Zabrzu. Do tego dwa bardzo dobre przedstawienia zrealizowane w poetyce teatru brutalistycznego. Jury miało zapewne trudny orzech do zgryzienia, a zabrzański festiwal dobrze wyszedł z wirażu.



Medal im. Stanisława Bieniasza dla najlepszego dramaturgi festiwalu przyznano Władimirowi Zujewowi. „Osaczeni” to była najciekawsza propozycja konkursowa.

Publicystyka i brutalizm

FESTIWAL

O zakręcie, na którym znalazła się impreza, można mówić z powodu zmian personalnych, jakie dokonały się w Teatrze Nowym. Na zakończenie poprzedniej edycji festiwalu pożegnał się z tą placówką dotychczasowy dyrektor Andrzej Lipiński, zaś rezygnację z funkcji dyrektora artystycznego „Rzeczywistości przedstawionej” zapowiedział Bogdan Ciosek. Ciosek odnalazł się jednak w jury tegorocznej edycji, zaś nowa dyrekcja Teatru Nowego wykazała się dużą mądrością, nie próbując zbyt „majstrować” przy dobrej formule imprezy. Formule, która stwarza dwie możliwości naraz: zobrazowania i rozeznania kondycji nie tylko współczesnego teatru, ale równocześnie najnowszego dramaturgii (przypomnijmy, że do konkursu dopuszczane są inscenizacje tekstów, które powstały po 1989 roku).

W tym roku w Zabrzu królowała publicystyka. Nie jest to chyba najlepsze. Tym bardziej że można było odnieść wrażenie, iż twórcy zamiast samemu diagnozować problemy – powielali gazetowe tezy i opinie. Tak było w przypadku co najmniej trzech dobrych spektakli zrealizowanych na

renomowanych (choć niestołecznych) scenach. I tak nagradzany już gdzie indziej Żyd Artura Pałygi wyreżyserowany przez Roberta Talarczyka w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej to swoiste „pogrossie”, czyli efekt dyskusji nad książkami Jana Tomasa Grossa. Talarczyk ten spektakl (recenzowany już na łamach „Śląska”) bardzo dobrze zainscenizował, jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób Pałyga napisał tekst „na obstalunek”. Jest zapotrzebowanie na udowadnianie, że Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki (choć to kraj „Żegoty” i sprawiedliwych wśród narodów świata), więc młody dramaturg tezę taką ochoczo potwierdzi. Podobnie rzecz ma się w przypadku *Lustracji* – autorskiego dzieła (tekst i reżyseria) Krzysztofa Kopki z Teatru im. Modrzejewskiej w Legnicy. Tu z kolei zrealizowany został antyIPN-owski obstalunek, bo w publicznym dyskursie modnie jest mówić o IPN-ie źle. Tymczasem, i owszem, można mieć do lustracji stosunek różny, można być do niej nastawionym krytycznie, można uważać, że służy ona doraźnym politycznym gierkom. Jednak trudno już zgodzić się na tak jednostronny obraz

Foto: G. Nowak

świata, jaki zaproponował Kopka: w IPN-ie pracujący historycy przypominający sowieckich archiwistów oraz kanalie, karierowicze i szuje; kanalami i manipulatorami są również dziennikarze, piszący teksty na podstawie IPN-owskich archiwaliów; IPN ludzi niszczy, „zabija powtórnie” i doprowadza do alkoholizmu. Tekst Kopki to już nie dramatopisarstwo, nie publicystyka nawet – lecz propagandowa agitka; inscenizacyjnie zrealizowana dobrze, ale chyba niezadowolająca widzów, którzy od teatru oczekują inteligentnego stawiania pytań, a nie nachalnego stawiania odpowiedzi.

W nurt teatru publicystycznego wpisuje się także sztuka związanej ze środowiskiem tzw. „nowej lewicy” i redakcja „Krytyki Politycznej” Pawła Demirskiego *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł, czyli w walkach narodu polskiego wszystkie sztachety zostały zużyte* (Teatr Dramatyczny im. Szaniawskiego w Wałbrzychu). Reżyserka Monika Strzępka zrealizowała widowisko pachnące postmodernizmem, co ma zresztą uzasadnienie w tekście Demirskiego. Jest on o tyleż samo zbiorem fabularnych historii, co skeczy – część z nich zaprawiona jest humorem o dość dyskusyjnym poziomie. Kto jednak lubi patrzeć na robienie dobrego teatru nie tyle z niczego, co z dość „postrzępionego” tekstu – mógł się nie nudzić w czasie tego spektaklu, którego atutem było naprawdę dobre aktorskie rzemiosło. Nudą wiało za to chwilami z innej festiwalowej propozycji – *Nowonarodzonego* zrealizowanego w częstochowskim Teatrze im. Mickiewicza przez Łukasza Wylężalka (tekst i reżyseria). Teoretycznie historia mężczyzny, wywodzącego się ze śląskiej rodziny na polsko-niemieckim pograniczu (miasteczko Gutentag, czyli Dobrodzień) może okazać się „samograjem”. W rzeczywistości – więcej prawdy i dramatyzmu jest w komediowym przeciwieństwie czytaniu *Cholonka* przez Neinerta i Talarczyka niż w wypowiedzi Wylężalka na ten sam w gruncie rzeczy temat.

Przyznam, iż obawiałem się, że jurorzy uniosą się poczuciem poprawności politycznej i nagrodzą któryś z publicystycznych spektakli, powielających gazetowe sądy. Nic takiego nie nastąpiło – to (miłe) zaskoczenie pierwsze. Zaskoczenie drugie: gusta jurorów, przyznających medal im. Stanisława Bieniasza oraz widzów, których glosy zdecydowały o przyznaniu Grand Prix, pokryły się, choć w czasie dotychczasowych edycji publiczność zdawała się preferować spektakle lżejszego kalibru. Tym razem i jurorzy, i widzowie wskazali kawał prawdziwego, żywego teatralnego mięsa. Wybrali spektakl przywracający wiarę w to, że teatr może

boleć, krzyczeć, krwawić, porażać. Wybór padł na *Osaczonych* rosyjskiego dramaturga Władimira Zujewa, zrealizowanych w Teatrze im. Jaracza w Łodzi przez Małgorzatę Bogajewską. Ten spektakl zagrany został poza teatrem – w postindustrialnej sali „Kopalni Sztuki Demex”.

Osaczeni to sztuka o „syndromie czeczeńskim”, ale także szerszej – o tym jak piękno rosyjskiej duszy zamieniło się w piekło. Do mieszkania Łarika przychodzi jego kolega Wesoly (kreujący te role Sambor Czarnota i Kamil Maćkowiak otrzymali aktorskie nagrody festiwalu). Wesoly to weteran wojny w Czeczenii – tylko on przeżył z całego plutonu. Niesie w sobie śmierć. Tę traumę zalewa alkoholem, zasypuje prochami, zachowuje się jakby wciąż był na wojnie – na klatce schodowej wykręca żarówki (w ciemności czuje się bezpiecznie), kochance kradnie kostki cukru. Ta wojna dla niego wcale się nie skończyła – wciąż trwa w jego głowie, więc obsesyjnie powtarza swoje credo: Nie myśl, kieruj się instynktem, ci, którzy myśleli, zginęli. Wesoly to alkoholik-psychopata, Łarik to „tylko” zwyczajny alkoholik. Kiedy zaczynają pić – ozywają demony, choć Wesoly chciał uciec przed demonami, dręczącymi go w przebłyskach trzeźwości. Spektakl zaczyna się w zwykłym pokoju, kończy w błocie – autentycznym, w którym nurzają się bohaterowie, które przyska na publiczność siedzącą w pierwszym rzędzie. Spektakl okrutny, wulgarny – ale okrucieństwo, wulgarność czemuś tu służą. Spektakl porażający.

Nie sądzę jednak, by dla rosyjskiej świadomości ta sztuka okazała się tym, czym – zachowawszy wszystkie proporcje – dla kultury amerykańskiej były

takie filmy jak *Czas apokalipsy* i *Lowca jeleni*. O ile bowiem dla społeczności amerykańskiej doświadczenie „brudnej wojny” w Wietnamie stało się zbiorową traumą i szansą samooczyszczenia, o tyle w warunkach rosyjskich doświadczenie „brudnej wojny” w Czeczenii spychane jest na margines i pokrywane, owijane watą propagandy. Rosjanie zapewne nie oglądają sztuk Zujewa (to zajęcie elit), Rosjanie oglądają kremlowską telewizję, będą glosować na Putina i jego pomazańców – głos na nich oddadzą nawet (przede wszystkim) tacy jak Łarik i Wesoly. Zujew woła (wyje) na puszczy.

Jeśli jakiś spektakl wydaje się niedoszacowany przez jurorów i widzów, to jest to zapewne sztuka autora z Chicago Adama Rappa *Poważny jak śmierć, zimny jak głaz* (Teatr Ludowy w Krakowie, reżyseria Tomasz Obara). Również ona wpisuje się w nurt teatru brutalistycznego, choć jest zapewne delikatniejsza (czy aby na pewno?) od *Osaczonych*. Historia amerykańskiej rodziny jakże dalekiej od spełnienia „american dream”: ojciec schorowany lekoman uzależniony od telewizji, matka harująca na dwie zmiany w restauracji, córka narcomanka i prostytutka, syn zanurzony w świecie gier komputerowych, mający kłopoty z odróżnieniem rzeczywistości wirtualnej od realnej. Przewrotnie jednak – nawet w takiej sytuacji możliwy jest na powrót do normalności. Czy gdyby Wesoly ze swoim bagażem traumy wrócił do amerykańskiego domu z wojny w Iraku – miałby szansę na powrót do normalnej egzystencji? Czy gdyby rodzina Cliffa i Lindy żyła na przedmieściach Moskwy, a nie Chicago – to zostałaby jej tylko dogorywanie w stanie delirium tremens? Do takiej cywilizacyjnej refleksji na marginesie obejrzanych przedstawień skłania nas zestawienie tych spektakli.

Bardzo dobrze, że zabrzański festiwal nie zamyka się „tylko” do tekstów polskich. Bo w końcu dramaty polskich autorów pisane mogą być „chińszczyzną”, zaś sztuki rosyjskie, czy amerykańskie mogą nam sporo powiedzieć o nas, Polakach. „Rzeczywistość przedstawiona” to festiwal o jasnej formule, przynoszący widzom sporą dawkę wiedzy o kondycji najnowszej dramaturgii i współczesnego teatru zarazem. Jest przy okazji szansą dla organizującej go instytucji – Teatru Nowego w Zabrzu (o jego spektaklach napiszemy oddzielnie), wymuszając niejako na jego dyrekcji i zespole wystawienie jednego współczesnego dramatu w sezonie. Chodzi nie tylko o wystawienie takiego tekstu, ale także jego inteligentny wybór. A na to, mimo iż żyjemy w czasach współczesnych, wciąż nie stać wielu miejskich teatrów w naszym kraju.



Marian Kierycz za rolę Koguta w spektaklu „Bardzo zwyczajna historia” z Teatru Nowego w Zabrzu otrzymal jedno z wyróżnień.

Foto: ARC Festiwalu

Gloria Montero jest autorką u nas nieznaną. Mieszka w Hiszpanii, choć ukształtowała się w Australii i Kanadzie. Na Małą Scenę Teatru Polskiego w Bielsku-Białej trafiła... przez Pragę, gdzie od dwóch sezonów grany jest jej monodram *Frida K.* (napisany dla Allegry Fulton, kanadyjskiej aktorki, córki pisarki). Tam właśnie wypatrzone rzecz o Fridzie Kahlo, kontrowersyjnej malarce meksykańskiej, której sława urosła zwłaszcza w ostatnich latach dzięki filmowi biograficznemu z Selmą Hayek i hucznie obchodzonym w różnych zakątkach świata stuleciu jej narodzin. W ostatnim czasie także wiele gazet i magazynów w naszym kraju poświęciło Kahlo artykuły biograficzne. Jej surrealistyczne obrazy, zwłaszcza liczne autoportrety, uzyskują astronomiczne ceny na aukcjach sztuki, a krytycy nie szczędzą pochwał, zwracając uwagę na związek Kahlo z dziełami wielu innych mistrzów europejskich. Bo w jej twórczości, a i w życiu prywatnym, wątki południowoamerykańskie zrosły się w całość z europejskimi.

Za życia jednak Kahlo pozostawała w cieniu sweego sławnego męża, także malarza, Diego Riverę. Dopiero przed śmiercią doczekała się ważnych wystaw. Na scenie poznajemy ją, gdy przygotowuje się do wernisażu. To dobry pretekst do wędrówki pamięci i ułożenia serii retrospektywnych przeżyć, wrywanych jakby z podświadomości, bez dbałości o kolejność wydarzeń. Ale ten punkt wyjścia jest słabo zaznaczony w sztuce Glorii Montero. Mam nawet podejrzenie, że nie wszyscy widzowie zdołali wychwycić ten moment. Zresztą o malarstwie i sztuce Fridy Kahlo niewiele się dowiemy. Wprawdzie na scenie stoi sztaluga, a Frida przypomni, że to Diego umocnił ją w przekonaniu, że warto malować, to jednak jej filozofii twórczenia nie zgłębimy. No, chyba że od razy zgodzimy się, iż sztuka stanowiła dla niej rodzaj ucieczki przed bólem i kalectwem, samotnością i seksualnymi problemami. Ale to trochę mało i podaje się to nam „na wiarę”.

Fridę gra Katarzyna Skrzypek. Z pasją, wielką energią i głębokim przekonaniem, że ekstrawagancką malarzkę współczesne feministki nie przypadkiem traktują jak bohaterkę. Ale ten feministyczny rys, który łatwo wylowić z biografii Kahlo, jest trochę dwuznaczny.



Fridę gra Katarzyna Skrzypek. Z pasją, wielką energią i głębokim przekonaniem, że ekstrawagancką malarzkę współczesne feministki nie przypadkiem traktują jak bohaterkę.

Foto: ARC Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

Ekstrawagancka Frida K.

TEATR

Bielskiej aktorce udało się owo pięknie uwiarygodnić, skoro najsilniej wyeksponowała swoje ambivalentne związki z mężczyznami. Z ojcem, niemieckim Żydem, za którym gotowa byłaby skoczyć w ogień albo i – dosłownie – z okna, no i przede wszystkim z Diego Riverą, jej protektorem i późniejszym mężem. Diego jest niemal cały czas obecny w jej myślach. Determinuje każdy jej krok.



Scena finałowa. Frida zakłada jedną z sukni i energicznie tańczy w rytm klasycznych taktów ludowej muzyki meksykańskiej.

To rodzaj związku toksycznego – miłość miesza się z głęboką niechęcią, zauroczenie i podziw z upokorzeniem, bo Diego zdradza żonę chętnie i często (nawet z jej młodszą siostrą). Czy dlatego Frida nie pozostaje mu dłużna? To nie jest w tym spektaklu jasne. Wydaje się, że do zdrady, także z kobietami, pcha ją poczucie niższej wartości, zaś jej źródło tkwi w tajemnicach dzieciństwa, kalectwie i przekonaniu, że establishment kulturalny czy polityczny – tak jak kiedyś jej dzielnicy rówieśnicy – pogardza nią, w najlepszym przypadku nie docenia, nie mogąc pojąć, co sławnego malarza łączyć może z kobietą, która swą chromą nogę musi skrywać pod szerokimi i długimi sukniami (one stanowią stały element scenograficzny; w interesującym finale Frida zakłada jedną z sukni i energicznie tańczy w rytm klasycznych taktów ludowej muzyki meksykańskiej). Skrzypek chętnie przekracza granice konwencjonalnego zachowania, eksponuje seksualność Fridy, jej drażliwość i skłonność do swoistego ekshibicjonizmu. Mam obawy, że to

część publiczności może nawet drażnić, bo aktorka używa silnych środków wyrazu, czasem chyba nadekspresyjnych. Innym zaś razem opowieść jakby zamiera, zapada się w narracyjnej pustce, choć wspomaga spektakl skromna, lecz ciekawa scenografia. Pole gry bywa ograniczane do otwartego prostopadłościanu – rodzaju klatki, z której nie może wyrwać się niepokorna dusza i natura artystki. Skrzypek zręcznie ogrywa też ortopedyczną kulę, którą niekiedy jednak porzuca jakby na fali rewolucyjnej energii. Bo Frida jest też rewolucjonistką, osobą, która chce szczęśliwszego losu dla swej ukochanej meksykańskiej ojczyzny. Szkoda jednak, że hiszpańska autorka czegoś istotniejszego tu nie dodała, bo na przykład związek z Trockim sprowadzony został tylko do romansu, ledwie zasygnalizowanego. Pojawia się też wspomnienie romansu z Picassem. Ale i ono nie wzbogaca artystycznej biografii Kahlo. Jest tylko ciekawostką.

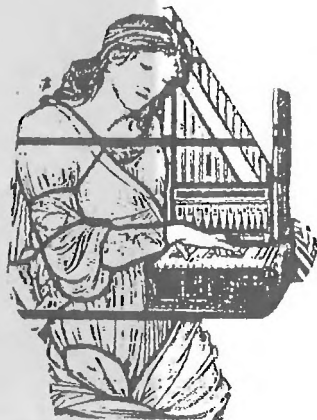
KRZYSZTOF KARWAT

Gloria Montero: *Frida K.* Przekład: Natalia Legoń. Reżyseria: Bartłomiej Wyszoмирski. Scenografia: Izabella Toroniewicz. Muzyka: Krzysztof Maciejowski. Choreografia: Iberszer. Prapremiera polska 6 września 2008 roku na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

Z nowym sezonem muzyka polska wkroczyła w nową erę: zmienił się redaktor naczelny najbardziej opiniotwórczego czasopisma muzycznego – „Ruchu Muzycznego”. Odszedł na emeryturę Ludwik Erhardt, który piastował to stanowisko od 1968 roku (tak, tak, od kwietnia). Przed nim był Zygmunt Mycielski, który zarządzał piśmie od 1956 roku, a jeszcze wcześniej – Stefan Kisielewski, który założył „Ruch” w 1945 roku w Krakowie i Bronisław Rutkowski, któremu przypadło wydać ostatni numer mutacji krakowskiej, zmiecionej przez stalinizm w roku 1949. Zmiana, która teraz nastąpiła, nie jest rewolucją – nowym naczelnym „Ruchu Muzycznego” mianowano Olgierda Pisarenkę, długoletniego członka zespołu Erhardta. Chwila jest jednak odpowiednia, by zamknąć krótką refleksją okrągłe czterdziestolecie Erhardta, ważne także dla muzyki na Śląsku – wszak „Ruch Muzyczny” był do niedawna jedynym piśmie środowiskowym dla muzyków profesjonalnych, szacownym, w porównaniu do bliźniaczych pism branżowych, np. „Teatru”. W 1949 roku „Ruch” zamknięto za to, że drukował teksty sprzeciwiające się naporowi socrealizmu. Za Mycielskiego politykowanie odbywało się między wierszami i nie dotyczyło spraw personalnych; za Erhardta początkowa ostrożność ustępowała miejsca coraz dobitniej demonstrowanemu niezadowoleniu z biegu spraw muzycznych w Polsce, by w epoce Solidarności wybuchnąć reformistycznym ogniem. Nie był to bynajmniej efektowny ogień fajerkwerku – „Ruch”, będąc oczywiście po właściwej stronie, udowodniał, że nic nie jest proste ani jednoznaczne. Mam przed sobą marcowy numer pisma z 1981 roku, z artykułem redakcyjnym umieszczonym na okładce. Czytam tam: „Daremnie pytać, ku czemu to zmierza. Historia jest procesem, który toczy się nieustannie i nigdy nie można będzie powiedzieć, że dotarliśmy do kresu, la commedia e finita. Ale trzeba przyznać, że ten proces stał się ostatnio jakby bardziej uciążliwy. Nie przez to, że brak tego i owego, że teraźniejszość jest niejasna, a przyszłość niepewna. Ale dlatego, że po zdarciu zasłon pracowicie utkanych z krzepiących sloganów, ujrzeliśmy rzeczywistość trudną, niejednoznaczną, wymagającą nieustannej aktywności psychicznej (...). W rzeczywistości wolność jest najbardziej niebezpieczna dla samej siebie. Stąd męczące napięcie, w jakim żyjemy”.

Przeżywaaliśmy w „Ruchu” boje odbywające się na walnych spotkaniach Związku Kompozytorów, przyglądaliśmy się bardziej lub mniej energicznym działaniom instytucji muzycznych, z zapartym tchem śledziliśmy kampanie o stolki dyrektorskie w operach i filhar-

MIĘDZY NUTAMI



Koniec epoki

moniach. kibicowaliśmy strajkowi studentów wrocławskiej Akademii Muzycznej, witaliśmy powstanie festiwali muzycznych w miastach prowincjonalnych, czytaliśmy polemiki wzniecane przez działaczy muzycznych i kompozytorów. „Ruch” raczył nas stale doniesieniami o życiu muzycznym za granicą; przypadek chciał, że mieliśmy w małym palcu działalność opery w Lyonie, natomiast niewiele wiedzieliśmy o działalności sceny paryskiej. Pismo miało oczywiście tylko takich korespondentów zagranicznych, którzy z własnej inicjatywy pisywali z tego lub owego miasteczka – nie było w tym żadnego porządku ani hierarchii. Natomiast totalny, niezniszczalny porządek obowiązywał w dziale sprawozdań z życia muzycznego w kraju. Ten dział przesądzał o prestiżu pisma i tu panowała wzorowa hierarchia. Na jej szczycie były omówienia prestiżowych konkursów, przede wszystkim Konkursu Chopinowskiego (stale okraszane gwałtownymi kłótniami o słusność ocen oraz o kondycję polskiej „szkoły chopinowskiej”) oraz wiadomości o działalności polskich kompozytorów. Drukowano stałą rubrykę „zagraniczne wykonania utworów polskich kompozytorów”, dopóki było ich na tyle mało, że mieściły się na jednej szpalcie. Publikowano też listy utworów wydanych przez Państwowe Wydawnictwo Muzyczne (jedyne, jakie istniało) i zawiadamiano o nagrodach uzyskanych przez twórców. W okresie żelaznej kurtyny szczególnie rozgłos nadano nagrodzie Międzynarodowej Trybuny Kompozytorów UNESCO, przyznawanej przez redaktorów muzycznych różnych radiostacji.

Kulminacyjnym punktem propagandy osiągnięć „polskiej szkoły kompozytorów” były doroczne sprawozdania z „Warszawskiej Jesieni”, bardzo szczegółowe, zajmujące zwykle 2-3 numery pisma, podzielone na dwie części: analizującą dokonania twórców polskich (entuzjastyczną) i obcych (malkontencką). Nielatwe zadanie ma ten, kto z tego nawalał informacji i opinii chce wydobyć racjonalny obraz ewolucji poglądów polskiej krytyki na muzykę współczesną. Sami recenzenci „Warszawskiej Jesieni” publicznie rozkładali ręce, zdradzając, że nie są w stanie skosztować i właściwie ocenić tłumy warszawskojesiennych zjawisk (było to w czasach, kiedy partytury i nagrania najnowszej muzyki zachodniej były w Polsce niedostępne). Redakcja wprowadziła zatem stały cykl poważnych studiów o kompozytorach i ich dziełach. Studiów o kompozytorach obcych powstawało mało, natomiast łamy „Ruchu” przepelniały drobniagowe analizy dzieł twórców rodzimych. Każde z nich witano jako widomy znak potęgi muzyki polskiej. Z czasem tego rodzaju literatura znikła z lamów pisma i jakoś nieprzypadkowo chyba zbiegło się to z końcem propagandy „szkoły polskiej” w muzyce. Z tej propagandy dużo zostało – podobnie, jak dziełem wychodzącej od roku 1908 „Młodej Muzyki” była mityczna formacja Młodej Polski w muzyce, owocem działalności krytyków „Ruchu” stało się „pokolenie stalowowskie”. W tym pokoleniu było aż trzech Ślązaków: Eugeniusz Knapik, Aleksander Lasoń i Andrzej Krzanowski.

Śląsk prezentował w „Ruchu Muzycznym” działalność swoich czołowych instytucji muzycznych: WOSPR-u, Filharmonii i Opery Śląskiej, piórami stałych sprawozdawców. Przed długie lata entuzjastyczne teksty o katowickich kompozytorach i wykonawcach nadsyłał Leon Markiewicz (z jego recenzji Warszawa dowiedziała się m.in. o kilku kielkujących talentach Henryka Mikołaja Góreckiego i Witolda Szalonek). W latach 70. stałymi dostarczycielami recenzji z opery, filharmonii, Śląskich Trybun Kompozytorów i innych koncertów byli: Eugenia Wybraniec (w latach 80. wyjechała do Niemiec), Marian Wallek-Walewski (zmarł w 1982 roku) i Adam Rozlach (przeniósł się do Warszawy), a z WOSPR-u – Karol Bula. Później pisali z rzadka m.in. Ryszard Gabryś, Bogumiła Mika i niżej podpisana. „Pisywali”: obecnie recenzje z życia muzycznego na Śląsku prawie się w „Ruchu Muzycznym” nie ukazują. Nie jest to ewenement: w obecnej sytuacji, gdy młodzi mają swoje własne periodyki („Twoja Muza”, „Glissando”), a starsi rzadko zajmują się krytyką, trudno podtrzymać tradycję prezentowania regionalnych osiągnięć w prasie ogólnopolskiej.

Jestem ciekawa, jaki będzie „Ruch” Pisarenki. Lepszy niż Erhardta? – chyba nie.

MAGDALENA DZIADEK

Wyznam od razu, tak bez ogródek i mitygowania się – drogi czytelniku – *Senność* wzbudziła we mnie niejednoznaczne odczucia, lecz nie zraża się, że recenzent nie namawia cię pełen entuzjazmu, tylko skieruj swe kroki do księgarni. Przystępując do lektury książki Wojciecha Kuczoka miałam pewne wyobrażenie o jego dotychczasowej twórczości, ugruntowane przede wszystkim przez sławny *Gnój*. Określone oczekiwania wobec twórcy, jakkolwiek każda kolejna powieść powinna być przyjmowana bez uprzedzeń, są nieuniknione. Zwłaszcza, gdy wcześniej dołączyliśmy do grona wielbicieli autora, chcemy utwierdzić się w wyborze tegoż nazwiska, nawet być może poczuć się odrobinę lepiej, bo tak doskonale utrafiłszy w nową literaturę, znaleźliśmy od razu, bez narazania się na lekturę grafomańskich tekstów, doskonałego pisarza. Zarówno mnie, jak i innych czytelników *Senność* zbytnio nie zawiedzie, gdy chciwie przerzucić będziemy strony, lecz czy grono oddanych odbiorców powiększy się – oto kwestia otwarta.

Tym razem Kuczok bohaterami powieści uczynił trzy, na pozór odmienne osoby. Pierwszą z nich jest młody, rozpoczynający pracę w zawodzie lekarza Adam, kolejną – Robert, znany niegdyś pisarz, uwikłany w nieudane małżeństwo i w dodatku przeżywający kryzys twórczy oraz Róża, odnosząca znaczne sukcesy aktorka, odsunięta obecnie z życia publicznego. Każda z tych postaci cierpi na tytułową senność, czyli rodzaj apatii, bezradności lub zawieszenia między złudzeniami a prawdziwym życiem. Ich losy dzięki pisarskiemu *deus ex machina* splótł się ze sobą, a niespodziewane sytuacje zmuszą do podjęcia działań. Nie są to jednak zwykli ludzie, autor obdarzył ich ponadprzeciętną inteligencją i wrażliwością, która dotychczas powodowała ich wycofanie.

Adam chce wyzwolić się z domu rodzinnego, zakończenie studiów ma być okazją do rozpoczęcia samodzielnego życia, rozwijania własnej osobowości, czemu do tej pory na przeszkodzie stał ojciec. Ojciec jest despotą, co łączyłoby go ze Starym z *Gnoju*, który uważa, że dorosłość polega jedynie na zgadzaniu się i realizowaniu jego planów, zaś jeśli delikwent się opiera, to skutecznie jego opór skruszy zamknięcie w komórce. Konflikt nasila się, gdy Adam odrzuca prezent rodziców i przeprowadza się do mieszkania w podłej dzielnicy. Zależy mu zwłaszcza na życiu zgodnie z orientacją seksualną, choć planowany *coming out* nie będzie całkowity, skoro rodzice mają pozostać nieświadomi, że marzenie o synowej nie ma szans na spełnienie. Zwłaszcza że w dniu, w którym wraca z ostatniego egzaminu poznaje obiekt swoich uczuć. Piękniś wykorzystuje bohatera w zamian za na-



Kłopot z *Sennością*

miastkę uczuć i zaspokojenia pragnień cielesnych. Adam wie, że tak naprawdę nie jest to związek, o którym marzył, ale zadowala się namiastką. Podobnie jak Robert, który również potrafi trzeźwo ocenić sytuację – pisarza na żalostnej posiadce w archiwum, pozostającego na utrzymaniu teścia – cynicznego polityka. Żona przybrała niewdzięczną rolę sekretnicy, teściowa – ogarniętej dewocją zwolenniczki pewnego radia, teść – lubiącego się w własnym głosie zwolennika młodych sekretarek. Jednym słowem – rodzina rodem z farsy albo Gombrowicza, w tle nieustannych monologów Robert wycofujący się do swojego gabineczku, do którego żona cierpiąca na alergię nie wchodzi. Pewnego dnia Robert dowie się, że nie może już marnować więcej czasu.

Piękna Róża zaś to Śpiąca Księżniczka, najzupełniej dosłownie traktując to określenie, która w chwilach poruszeń i gwałtownych emocji zapada w narkolepsję. Po obudzeniu nie pamięta chwil następujących bezpośrednio przed zaśnięciem, niezwykła przypadłość uaktywniła się po zawarciu małżeństwa z rzutkim, ambitnym biznesmenem. Mąż traktuje ją jak kolejny punkt w realizacji życiowego planu, jednak inwestycja nie spełnia wszystkich oczekiwań i Pan Mąż szuka zaspokojenia potrzeb poza domem, czego Róża może się jedynie domy-

ślać. Szczęśliwie znajdzie się Książę, który pomoże zdjąć złe zaklęcie.

Powieść czyta się gładko, sprawnie podążając za autorem. Zgadzam się z entuzjastyczną opinią Kazimierza Kutza, że „Wojciech Kuczok obdarzony jest słuchem absolutnym do polszczyzny”. Uwiódł mnie już pierwsze strony książki – monolog autobusowy narratora, jak i potoczne frazy, które włożył w usta Roberta, cytowanie fragmentów pozbawione jest sensu, gdyż autor preferuje długie zdania, które układają się monologi wewnętrzne, podziwiam szczerze żonglowanie motywami, nadawanie im nowych znaczeń, jak i krzyżowanie dróg postaci. Wydawało mi się parokrotnie, że powinno dojść do ich spotkania, że za chwilę się poznają, w rezultacie parokrotnie przeczucia mnie zawiodły, a przecięcie ich losów nastąpiło później niż się tego spodziewałam. Podobnie zaskoczenia są cenne, gdyż jakże często zawodzi nas rutyna rozwiązań. Z niechęcią wspominam o topornej i czasem niesmacznej erotyce, która daje o sobie znać w paru miejscach, sceny erotyczne zwłaszcza w wydaniu męsko-męskim są po koszarowemu dosłowne. Nie zamierzam zasłaniać się obyczajnością, raczej kryterium gustu. Zdecydowanie nie poruszają mnie wulgarne opisy czynności seksualnych. Poczuję autora jeszcze jedną łyżką dziegciu – odniosłam wrażenie, że pomysłu na fabułę jest nieco zbyt mało na powieść, potencjał tkwiący w bohaterach został rozciągnięty do granic możliwości. Być może adaptacja filmowa w reżyserii Magdaleny Piekorz czyli przełożenie języka literackiego na język obrazu nada im głębi.

Powieść Wojciecha Kuczoka budzi zainteresowanie i ma szansę być często komentowana – jedną z interpretacji przedstawiła w *Wysokich Obcasach* Kinga Dunin. W felietonie zatytułowanym *Jak po masle ghi* Dunin poddała *Senność* ostrej krytyce, nazywając ją nowoczesną powieścią dla kucharek, zaznaczając jednocześnie, że nie jest to pejoratywne określenie: „I nic w tym złego, że Kuczok napisał powieść dla kucharek (kucharki nie mają pleci), tym bardziej, że pod względem literackim jest to robota na prawdę wysokiej próby. Poza tym nie dla zwykłych kucharek przeznaczona, ale dla kucharek smakoszek”. Fabuła posiłkuje się chwytliwymi elementami takimi jak akceptacja dla homoseksualnej tożsamości, cyniczny polityk, mąż – karierowicz. Zdaniem krytyczki ten zestaw uzupełnia „trochę ironii i lekkich oznak postmodernistycznego dystansu, żeby było wiadomo, że autor wie, co robi”. Zgodnie z jej diagnozą jestem na trwale przypisana do powieści dla kucharek.

MIRELLA
SIEDLACZEK-MIKODA

Zbieg okoliczności sprawił, że książka ta nabrała dodatkowych walorów i aktualnych kontekstów. Oto bowiem katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej wszczął śledztwo w sprawie tragicznej śmierci generała Władysława Sikorskiego. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że szczątki generała, sprowadzone w roku 1993 z Anglii do krypty św. Leonarda na Wawelu, zostaną ponownie ekshumowane i poddane badaniom, choć rodzina Sikorskiego raczej się przed tym wzbrania. Niemal w tym samym czasie ukazała się, także w Katowicach, wspomnieniowa praca Karola Popiela – bliskiego współpracownika i przyjaciela premiera, członka jego emigracyjnego rządu, prezesa Stronictwa Pracy. Popiel zapewne byłby zadowolony z decyzji IPN-u, choć skądinąd wiemy, że wielu historyków podważa zasadność śledztwa, uznając, że nie ma nowych dowodów w sprawie wypadku pod Gibraltarem. Wypadku? No, właśnie – jakże wielu Polaków nadal wierzy, że tamta katastrofa lotnicza nie była dziełem przypadku. Miałyby za nim stać tajne służby sowieckie, a może nawet brytyjskie, bo i takie sugestie się pojawiały. A może zamachu dokonali Polacy, oponenti generała, którzy nie mogli mu wybaczyć, że 30 lipca 1941 roku podpisał ze Związkiem Sowieckim układ o współpracy i nawiązał z niedawnym najeźdźcą stosunki dyplomatyczne? Popiel chyba żadnej z tych możliwości nie wyklucza, choć nie może uwierzyć, by to rodacy zgładzili Sikorskiego. Jest jednak przeświadczony, że „śmierć gen. Sikorskiego nie była dziełem nieszczęśliwego wypadku. Była ona uplanowana i miała nastąpić w drodze na Bliski Wschód. Z nieznanых przyczyn plan w tym punkcie nie dopisał. Udał się natomiast w 6 tygodni potem”.

Ostatnie zdania wymagają wyjaśnienia i komentarza, bo stanowią najbardziej sensacyjną część książki. Popiel przypomina relację płk. Leona Miłkiewicza, szefa II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza. Dotyczyła ona lotu premiera ze Szkocji do Ameryki w marcu 1942 roku. Do dziś nie jest jasne, jaką rolę odegrał w tej historii ppłk Bohdan Kleczyński, attaché wojskowy w Waszyngtonie. Czy jego rolę było samobójcze sprowokowanie wybuchu na pokładzie samolotu? (Kleczyński zginął w roku 1944 w wypadku ulicznym). W każdym razie już po wylądowaniu to właśnie Kleczyński – notabene dziwnie zachowujący się podczas lotu – ujawnił, że odnalazł przedmiot przypominający bombę. Późniejsze śledztwo potwierdziło, że była to bomba zapalająca, używana w lotnictwie brytyjskim do niszczenia własnych samolotów, które musiałyby lądować na terenie nieprzyjaciela. Śledztwo toczono w największej tajemnicy, ale nie doprowadziło



Sikorski w Katowicach

do rozwikłania zagadki. Niewątpliwie jednak wskazało na „polski ślad”.

Równie niejasne okoliczności towarzyszyły późniejszej wizycie Naczelnego Wodza na Bliskim Wschodzie, właśnie tej poprzedzającej o sześć tygodni katastrofę samolotową. Karol Popiel tuż przed powrotem generała na Gibraltar odebrał tajemniczy telefon. Anonimowy rozmówca w nienagannej polszczyźnie pytał, „czy pan minister już słyszał o tym, że samolot gen. Sikorskiego w drodze do Gibraltaru uległ wypadkowi i wszyscy pasażerowie ponieśli śmierć?”. Popiel nie wierzył i zdenerwowany szukał kontaktu z przełożonymi. Okazało się, że „dowcipniś” dotarł także do innych oficjeli. Podobną informację miał przekazać m.in. wicepremierowi Stanisławowi Mikołajczykowi. Niebawem okazało się, że sensacyjna wiadomość nie była prawdziwa. Kto ją rozpuszczał? W jakim celu? Czy była skutkiem niesprawdzonych zawczasu faktów i nieudanego zamachu? Czy rozgłaszał ją agent obcego wywiadu? Którego? No i czy Popiel był świadkiem wiarogodnym? Zapewne historycy IPN-u i na te pytania będą szukali odpowiedzi...

Karol Popiel – aż trudno w to uwierzyć – książkę tę kończył pisać w Rzymie w roku 1977, gdy miał lat 90. Tuż przed śmiercią. Ale jego sędziwy wiek nie podważa historii z tajemniczymi i złowróżbnymi telefonami, bo emigracyjny polityk dzielił się

tymi rewelacjami wiele lat wcześniej, bo już w roku 1959 pisał o nich w prasie. Książka *General Sikorski w mojej pamięci* ukazała się w Londynie w roku 1977. W latach 80. miała kilka ocenzurowanych wydań krajowych w jednej z mniejszych oficyn katolickich. Rzecz jasna, tym razem ukazała się w całości, a dawne ingerencje (i tak dziwnie niewielkie) zostały w tekście zaznaczone. Dotyczyły głównie Katynia, a raczej wskazania autorów mordu. Niemniej sprawa Katynia została ujawniona także przed krajowym czytelnikiem a Popiel pokazał, że miała decydujący wpływ na decyzje Moskwy i zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem Sikorskiego.

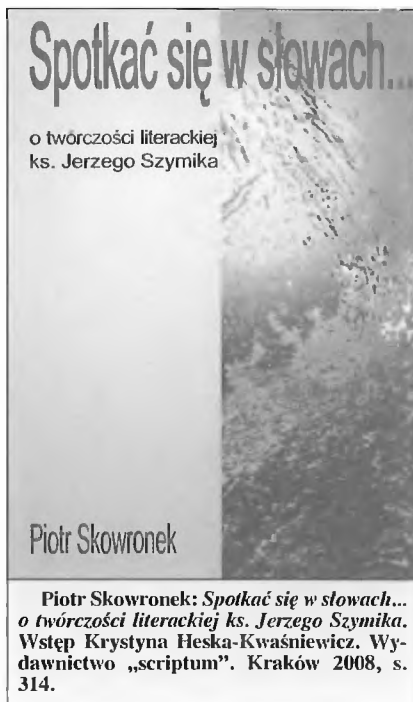
To jasne, po czyjej stronie jest sympatia autora, gdy przychodzi mu pisać o ostrych konfliktach politycznych okresu międzywojennego (ale także czasów okupacji i życia emigracyjnego, co nawet po latach nie jest budujące). Popiel przedstawia generała jako polityka realistycznego, trzeźwego, umiarkowanego i dalekowzrocznego. Przypomina przy tym, że jego konflikt ze środowiskiem Piłsudskiego nastąpił dopiero po zakończeniu I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Wcześniej obaj politycy dość blisko z sobą współpracowali. Ale dystans był. Wydłużył się zwłaszcza po krótkich rządach Sikorskiego, a zwłaszcza po zamachu majowym, choć byłby premier nie wziął bezpośredniego udziału w obronie rządu Wincentego Witosa (wcześniej nie wszedł do tego gabinetu, gdyż sprzeciwili się temu prezydent Stanisław Wojciechowski i Piłsudski). Tej dwuznacznej postawie generała Popiel poświęca w książce wiele uwagi, nie tylko w tym miejscu ostro polemizując przede wszystkim z ustaleniami Stanisława Cata-Mackiewicza, który urósł tutaj do roli głównego „czarnego charakteru”. Sikorski uratował wtedy swą pozycję w wojsku, ale na krótko. Po dwóch latach odsunięto go od armii i polityki. Sikorski poświęcił się pisaniu cenionych, nie tylko w kraju, książek z zakresu historii i przyszłości wojskowości (po latach podczas pierwszego spotkania z rządem sowieckim Stalin komplementował polskiego generała, twierdząc, że prace Sikorskiego stanowiły lekturę obowiązkową dla wyższych dowódców Armii Czerwonej).

Ale Popiel stara się być obiektywny. O Piłsudskim pisze mimo wszystko jako o „wielkim patriocie”. Krytykuje późniejszych „sanatorów”. Najbardziej – spośród prominentnych polityków – ministra Józefa Becka, Edwarda Rydza-Śmigłego, prezydenta Władysława Raczkiewicza i jego prawnego następcę generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Krytycy opisujący zjawiska współczesnej literatury polskiej używają różnych określeń na nazwanie poezji wychodzącej spod piór duchownych. Terminy poezja kapłańska, religijna, teologiczna, jak sami badacze podkreślają, nie oddają w pełni istoty tej twórczości, nie klasyfikują jej w sposób jednoznaczny, a raczej wskazują na jej wielowymiarowość i wieloaspektowość. Tę cechę, zwłaszcza tekstów poetyckich, zauważają także sami czytelnicy, poszukując w utworach, np. Wacława Oszajcy, Janusza Pasierba, Jana Twardowskiego, Jana Sochonia czy wreszcie Karola Wojtyły, odpowiedzi na nurtujące pytania lub potwierdzenia własnych odczuć i przemyśleń. Jak wiele jest powodów sięgania przez odbiorców po książki tych autorów, tak i piszący recenzje, popularne omówienia lub opracowania o charakterze naukowym koncentrują się na różnych zagadnieniach, kwestiach obecnych w analizowanych publikacjach.

Krytykom, naukowcom wybór konkretnej perspektywy badawczej, właśnie ze względu na ową wielowymiarowość poezji, czy szerzej twórczości, kapłańskiej, nastrocza niejednokrotnie niemało problemów, o czym też wspomina Piotr Skowronek w swojej pracy poświęconej księdzu Jerzemu Szymikowi – twórcy, którego dorobek w znaczący sposób wzbogaca obszar polskiej literatury religijnej. Autor opracowania już w tytule sygnalizuje sposób, w jaki odczytuje i interpretuje piśmiennictwo ks. Szymika. *Spotkać się w słowach...* to cytat z wypowiedzi kapłana, motto przyświecające nie tyle pracy twórczej, ile w ogóle życiu śląskiego duchownego. Dla ks. Szymika bowiem każdy tekst, bez względu na przyjętą formę, to świadectwo doświadczeń i jednocześnie zapis refleksji, jakie towarzyszą codziennemu przeżywaniu wiary – owemu codziennemu spotkaniu ze Słowem, które, jak czytamy w Ewangelii św. Jana, było na początku wszystkiego.

Piotr Skowronek w swojej książce stara się, rozpoczynając lekturę od poezji (analizuje właściwie wszystkie tomiki ks. Szymika, opublikowane do 2006 r.) poprzez eseje, reportaże, a kończąc na wywiadach, odnaleźć w twórczości ks. Szymika i opisać owe miejsca „spotkania” nie tylko z Bogiem, ale też pisarza z samym sobą, z bliskimi, z czytelnikami. Klucz, jaki wybiera badacz, do interpretacji tekstów to biografia śląskiego kapłana. Jak zaznacza P. Skowronek, „z zakotwiczenia w bio-



Powiekszyć obszar, gdzie dociera światło

grafii biorą się wszystkie ważne elementy Szymikowej pracy w słowie”. Codzienne życie staje się osnową wszelkich zabiegów literackich, umożliwia pisarzowi poszukiwanie odpowiedzi na pytania o to, co jest najważniejsze, o wartości kształtujące człowieka i tym samym świat, którego integralną część stanowi każda istota ludzka.

Autobiografizm uznaje P. Skowronek za jedną z ważniejszych cech twórczości ks. Szymika zarówno poetyckiej, jak i publicystycznej. Umiejętnie wyciąga z bogatym i różnorodnym gatunkowo dorobku kapłana obszary współtworzące życiową przestrzeń autora *Dziennika pszowskiego*. Przez pryzmat biografii ks. Szymika interpretuje więc w rozdziale trzecim jego poezję, a następną część opracowania poświęca szczegółowemu omówieniu sposobów literackiej kreacji tematu dzieciństwa z tak charakterystycznymi motywami, jak dom, ogród, najważniejsze rodzinne uroczystości i święta. W kolejnych partiach książki badacz analizuje obecność i funkcje motywu podróży, organi-

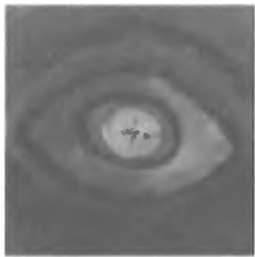
zującego konstrukcję zbioru relacji pt. *Między ziemią a niebem*. Szczególną uwagę jednak P. Skowronek zwraca na literacki obraz Śląska stworzony przez ks. Szymika. Wskazuje na charakterystyczne wyznaczniki topografii najbliższej kapłanowi okolicy, na portrety ludzi, tych z przeszłości i teraźniejszości, wplecione w dyskurs nad tożsamością Śląska. Rozważania bowiem o miejscu i roli regionu w dawnym, ale i współczesnym świecie, to istota tekstów ks. Szymika poruszających ten temat. Interpretując wykorzystywaną przez autora *Akropolu z hotdy* symbolikę Śląska, P. Skowronek trafnie przywołuje Henryka Mühlpfera, który w XVII w. metaforycznie nazywa tę ziemię „szmaragdem Europy”. W konkluzji swoich dociekań badacz stwierdza, że w Szymikowej twórczości Śląsk jawi się właśnie jako ów szmaragd. Region mający bogatą i burzliwą historię, charakteryzujący się wielokulturowością. Region specyficzny, odrębny, ale i otwarty przypomina przywołany już wcześniej klejnot o niejednorodnej, lecz zwartej budowie, tym cenniejszy im więcej można w nim dostrzec refleksów.

Rozważania tworzące książkę *Spotkać się w słowach... o twórczości literackiej ks. Szymika* objęły również wywiady-rzeki (rozdział siódmy), jakie kapłan przeprowadził z abp. abp. Alfonsem Nossolem i Damianem Zimoniem i jakich też sam udzielił do 2006 r. W tej partii opracowania P. Skowronek koncentruje się na właściwości literackich wypowiedzi ks. Szymika, którą obszernie omawia już na początku pracy, analizując dorobek poetycki autora *Błękitu*. Chodzi o dialog, rozmowę prowadzoną przez Jerzego Szymika kapłana, poetę, teologa, o dialog z drugim człowiekiem. Każdy bowiem tekst księdza z Pszowa, bez względu na swoją formę, jest też pomyślany jako miejsce spotkania z czytelnikiem, miejsce niejednokrotnie ułatwiające kontakt z wartościami najważniejszymi w życiu każdego człowieka, w tym przede wszystkim z Bogiem.

Piotr Skowronek, respektując i zachowując wymogi stawiane pracom naukowym, pisze emocjonalnie i z pasją, dzięki czemu dostajemy do rąk książkę interesującą, poruszającą zagadnienia interdyscyplinarne – z zakresu literaturoznawstwa i teologii – skłaniającą do refleksji oraz dyskusji.

UTA PRZYBÓŚ

nad wyraz



Uta Przyboś: *Nad wyraz*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2007, s. 120.

Powidok

Córka Juliana Przybosia, Czarna malarka, Uta Przyboś wydała tom wierszy pod tytułem *Nad wyraz*, w którym wchodzi w polemiczny dialog ze swoim ojcem, a zarazem pisze jego metaforami, językiem i całą poetyką. Już sam tytuł wskazuje na korzenie tej poezji, dla której przekraczanie słowa, burzenie tradycyjnych związków i budowanie nowych było najważniejsze.

Uta przyszła na świat, gdy współtwórca Awangardy miał już 55 lat, i być może z tej perspektywy dostrzegł, jakim cudem jest dziecko. W jego gaworzeniu dostrzegł ludzką promowę, rdzeń wszystkich języków świata, rozmowy z córeczką były inspiracją do wielu znakomych wierszy, których adresem mógł być zarówno mały jak i dorosły czytelnik, by wspomnieć tylko *Telefon dwuletniej Uty* czy *Czarymary*. W 1970 roku wydał Przyboś książkę poetycką dla dzieci pod tytułem *Wiersze i obrazki*, którą ilustrowała Uta. Nie sposób nie zauważyć że tomik *Nad wyraz*, także ilustrowany przez Utę Przyboś do tamtego wydarzenia nawiązują, ale nie tylko do dziedzictwa ojca-poety, ale i matki, Danuty Kuli-malarki.

Dialog z autorem *Najmniej słów* przejawia się głównie w warstwie tematycznej. Wiersze katedralne, ruchome pejzaże, fascynacja linią widnokręgu, refleksje nad przemijaniem i sensem życia, ale ukazywane inaczej, nie tyle przeciw ojcu, ile z innej perspektywy egzystencjalnej. W wierszu *Zyciorys* czytamy:

„Julian: mowo niesłowną
jasność ocal”

Jan chciał zaufać
w bezsłownej modlitwie”

Jan, to książdż Jan Twardowski („dojrzałą ochrzcił książdż-poeta”), a Julian, to ojciec i jego wiersz. To polemika z nim, programowym ateistą, spięta kłamrą słowa, które łączy i godzi wszystko. On widział w Notre Dame odwróconą przepaść, ona idąc na mszę wieczorną, przypomina jak pokazywał dwunastoletniej rozety i witraże. On pisał o powidokach, ona ogląda widoki. Ale oboje są tak samo zafascynowani lirykami lozańskimi Mickiewicza.

Przyboś nie znosił gór, z jego tragedii osobistej narodził się słynny wiersz *Z Tatry*, a jego córka głosi pochwałę wspinaczki, nart, cieszy ją wysokość i pęd. A przecież w wierszu *** pisze słowami *Z Tatry* i z *Nocy*:

Martwa otchłań
przerażenia ostatecznego
rozwiera się w nocy nad
czaszka.
Mroźna cisza czarnej pustki
lat świetlnych
oglusza.

(s. 60)

I tak jest w całym tomie, pełno w nim aluzji, śmiałych metafor, czasem jest to prawie naśladowanie, ale nie przypadkowe, lecz zamierzone, bywa i tak, że figury poetyckie ojca stają się ornamentem w poezji córki. Uta Przyboś „pisze” Julianem Przybosiem, ale jest to oczywiście tylko dla wyrobionego czytelnika i widoczne w zbiorze, gdyż w pojedynczych tekstach ogłaszanych już od roku 2005 w czasopiśmie było mniej zauważalne.

Jest też taki wiersz, który ma charakter nadzwyczaj osobisty, poświęcony dojrzewaniu Uty do poezji ojca, tłumaczący, że dla czterastoletniej (tyle miała lat, gdy umarł Julian Przyboś) jego poezja to były tylko kartki papieru, że trzeba było dorastania, zmagania z życiem, „otulaniem w pojęcia i znaczenia”, by zrozumieć ojca-poetę. To bardzo piękne i wzruszające wyznanie:

Wreszcie czytam jego
wiersze,
biorę z półki jedną
z książek
i otwieram księgę życia
pulsującą słowem
na początku
i na końcu...
(*Naprzemienne światy*,
s.101)

KRYSTYNA HESKA-
KWAŚNIEWICZ

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

DUCHOWIEŃSTWA METROPOLII LWOWSKIEJ
DIECEZJI LUBELSKIEJ
DIECEZJI KRAKOWSKIEJ
DIECEZJI KATOWICKIEJ
DIECEZJI WARSZAWSKIEJ
DIECEZJI WILNIEJSKIEJ
DIECEZJI WROCLAWSKIEJ
DIECEZJI ZAKOPANSKIEJ
DIECEZJI ZAMOJSKIEJ
DIECEZJI ZIELONOGÓRSKIEJ
DIECEZJI ZIEMICKIEJ
DIECEZJI ZYCKIEJ
OPOLSKIE 2007

Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939-1945.
Red. J. Krętosz, M. Pawłowiczowa, Wydawnictwo i Drukarnia Świętego Krzyża, Opole 2007, ss. 427 + 24, ilustr.

Męczennicy

Zagłada Polaków w czasie II wojny światowej na Kresach Wschodnich jest wciąż mało zbadana. Wprawdzie czas, w którym o tym głośno mówić nie wolno było, minął dawno, ale wciąż stan badań i zakres publikacji budzi niedosyt.

Są jednak książki, które starają się zapelnąć te luki, a przy najmniej uporządkować znane fakty. Jedną z nich jest wydany w 2007 w Opolu przez Wydawnictwo i Drukarnię Świętego Krzyża *Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939-1945*.

Opracowania i koordynacji prac związanych ze słownikiem podjęli się ks. prof. dr hab. Józef Krętosz oraz niestrudzona prof. dr hab. Maria Pawłowiczowa, związani z środowiskiem Uniwersytetu Śląskiego. Kierowany przez nich zespół liczący 23 historyków i archiwistów opracował 255 biogramów: 167 księży diecezjalnych z archidiecezji lwowskiej, diecezji łuckiej oraz przemyskiej, a także 29 kapelanów wojskowych oraz 59 zakonników. Autorzy wykorzystali w pracy materiały źródłowe z archiwów kościelnych, schematyzmy, a także różnorodne opracowania naukowe. Niezwykle ważną okazała się *Lista strat* wydana w Opolu dwa lata wcześniej. Redaktorzy tomu we wstępie zaznaczają, że *Słownik* jest jej uzupełnieniem i rozwinięciem.

Słownik składa się z trzech części. Każda ma układ alfabetyczny. Całość została uzupełniona fotografiami wybranych postaci, ich grobów czy korespondencji, a także wykazem dekanatów i parafii w poszczególnych diecezjach na rok 1939. Kluczem doboru biogramów były okoliczności śmierci w trakcie wojny. W zamysłu chciano ukazać martyrologię duchowieństwa polskiego na Kresach. Nie uwzględniono postaci zmarłych śmiercią naturalną lub które przeżyły represje, lecz w słowniku znalazły się także osoby, które zmarły w wyniku tyfusu (Józef Rafa) czy choroby serca (Bronisław Antoni Reroń).

Biogramy są przygotowane sumiennie. Dzięki podaniu bogatej bibliografii czytelnik może również w łatwy sposób odnaleźć więcej informacji na interesujący go temat.

Wśród duchownych opisanych w *Słowniku* nie zabrakło również śląskich akcentów. Możemy znaleźć między innymi zyciorys ks. Ludwika Wrodarczyka, obłata urodzonego w Radzionkowie, który posługiwał w parafii w Okopach na Wołyniu. Został on zamordowany przez UPA, podczas przesłuchania zmasakrowany, a następnie nagi wyrzucony na śnieg, gdzie kat z rozrabanej piersi wyrwał mu serce.

Powyszy przykład nie jest najdramatyczniejszym opisem katuszy, jakim poddawano duchownych. Byli oni rozstrzelani, zamęczani czy zagładzani, często dochodziło do profanacji zwłok jak w przypadku ks. Tomasza Borsuka – bernardyna, któremu po śmierci ucięto głowę.

Z przytoczonych we wstępie książki statystyk wynikają następujące proporcje, Ukraińcy zamordowali 74. duchownych, Niemcy 60., a Sowietci 62., na froncie uginęło ich 24., a przy 6. nie udało się ustalić sprawców.

Obraz wylaniający się ze *Słownika* jest dość czytelny, zagłada księży nie była przypadkowa, byli oni świadomym celem eliminacji. Nie sposób tu nie zaznaczyć, że największym okrucieństwem wykazywały się bojówki UPA.

Książka jest bardzo ważnym dokonaniem naukowym i Autorom należą się najwyższe wyrazy uznania za podjęcie się zadania i trud włożony w pracę, a zwłaszcza pani prof. dr hab. Marii Pawłowiczowej, która stała się spiritus movens dla zespołu.

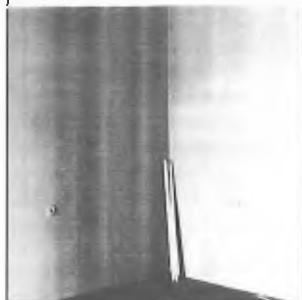
JAN KWAŚNIEWICZ

Książki

91

Kazimierz Hoffman

A-dur



Kazimierz Hoffman: *A-dur*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2007, s. 52.

„Nie pytaj, nie wypada. Dar”

O Kazimierzu Hoffmanie – poecie i eseście urodzonym w 1928 r., autorze wielu tomów wierszy – krytycy wypowiadają się, używając kategorii *poety osobnego*. Oczywiście, jest to kategoria niezwykle umowna, można bowiem retorycznie pytać, czy nie każdy wybitny poeta jest w pewnym sensie osobny, czy literatura jako przestrzeń doświadczenia i artystycznego zapisu nie opiera się na swoistej konfiguracji samotności, odrębności, obcości. Jednak owa „osobność” w przypadku autora tomu *A-dur* nabiera jeszcze jednego wymiaru: nie wynika bowiem tylko i wyłącznie z odrębnego, ascetycznego i zdyscyplinowanego języka, czerpiącego siłę z fragmentarycznej kondensacji, czystości formy. Tu osobna okazuje się całościowa wizja: rzeczywistości, człowieka i sztuki. Ponadto zwraca uwagę zakodowana w tej twórczości konfrontacja ze śmiercią poprzez (intuicyjny) nadawanie jej wartości, egzystencjalnego miejsca i roli. Ale, mimo to, trudno traktować poezję Kazimierza Hoffmana jako lirykę stricte religijną, to twórczość otwarta na mistykę, poszukująca jej przejawów – przede wszystkim w doświadczonej stracie i przemijaniu, ale bazuje ona raczej na intuicji a nie dogmacie, bardziej na przypuszczeniu niż radykalnej pewności. I to właśnie dzięki temu poezja ta okazuje się niezwykle otwarta na czytelnika, zarówno poszuku-

jącego, jak i tego, który znalazł sens bądź przeciwnie – jest przekonany, że go po prostu nie ma i nigdy nie było.

W swoim najnowszym tomie Hoffman przygląda się problemowi śmierci z różnych perspektyw, zestawiając świat przyrody i kultury – a tym samym ukazując śmierć jako mechanizm wspólny, oparty na tajemnicy, właśnie na symbolicznym „sensie”, który nas, żyjących, przekracza, obywatelnie bądź najczęściej – pozostaje obok, nie ocalając. W jednym z najpiękniejszych wierszy z tego tomu poeta, przyglądając się tej tajemnicy z bardzo bliska, pyta:

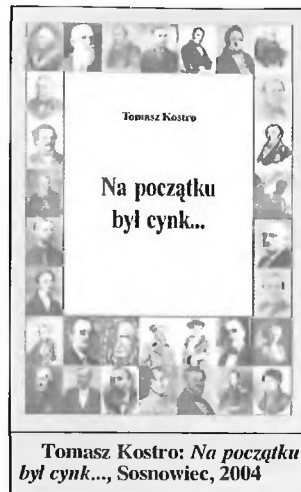
„Skąd jest to piórko
z tą nikiłą pozłótką,
czarne?”

Z trafienia –
z chwili, gdy ptak długo
spada przez bór
w nagłym storcu”.

Ta dwuznaczna relacja życia i śmierci, piękna i okrucieństwa, a także wpisana w ową więź zależność, cykliczność, kreacyjno-destrukcyjna moc (tak doskonale widoczne w przyrodzie), w przypadku człowieka budzą nieraz rozpacz, strach i zdecydowany bunt, ale też uczyć. Otwierają na tajemnicę. W wierszu z tomu *A-dur* czytamy: „*mężczyzna w dniu zgonu / matki swojej dopiero staje się mężczyzną; gdy / trzeba przez to przejść w kpinach czy też / w lasce losu. To nieopajęte, ale tak / po prostu jest: dojrzałość przez śmierć / dopiero, wtedy*”. W egzystencjalnym osamotnieniu, pożegnaniu – zaczynamy rozumieć, iż nie należymy do drugiego człowieka, ani on nie należy do nas.

Ale ten tom można odczytać w wielu płaszczyznach: zarówno jako erudycyjny, intertekstualny dialog z wybranymi twórcami, liryczny rejestr pamięci, jak i opowieść o darze pisania, posługiwania się językiem, który w tym jednym momencie staje się narzędziem tajemnicy. Jednak to, co w twórczości Kazimierza Hoffmana najbardziej przekonuje – to rzadka umiejętność – nie tylko poruszania się w obszarze wzniosłości i mistyki – bez popadnięcia w pułapkę patosu, formalnego chłodu, ale również umiejętność uświadamiania czytelnika, w pewnym sensie uczenia go, odkrywania w nim (przed nim) wartości i przeczuć – bez poczucia wyższości i moralistyki. I to jest niezaprzeczalny dar tego poety.

KATARZYNA
ZDANOWICZ-
CYGANIAK



Tomasz Kostro: *Na początku był cynk...*, Sosnowiec, 2004

Nie tylko cynk

Sięgając po książkę Tomasa Kostro *Na początku był cynk...* miałam, muszę przyznać, mieszane uczucia. Cynk? Jaki cynk? Ktoś dał komuś cynk? Puścił farbę? Czy to jakiś więzienny gryps? Czemu cynk? Przecież na początku było słowo... Czemu ten tytuł ma niby służyć?

Na szczęście dziwny tytuł został wyjaśniony na początku: „Tropiąc ślady początków wielkiej kariery naszego regionu – pisze Kostro – niezmiennie spotykam cynk. Ten metal stał się zacząłkiem rozwoju, legł u progu wielkich fortun, powodował wzmoczone zainteresowanie węglem i przez długie lata warunkował poziom wydobycia. Od cynku wszystko się zaczęło. O Śląsku i Zagłębiu winno się pisać, że w mijającej epoce były krainą cynku, węgla i żelaza. W takiej właśnie kolejności.” Zatem za uprzemysłowieniem regionu śląsko-dąbrowskiego stoi właśnie cynk. A cały proces zaczął się aż w XVII wieku za sprawą niejakiego pana Jerzego Giesche, który stworzył gigantyczny, na europejską wręcz skalę koncern, zrzeszający kopalnie, huty czy zakłady produkujące porcelanę i wyroby chemiczne. Od jego nazwiska wziął się potem Giszowiec, podobno najpiękniejsze w Polsce osiedle-ogród.

Na Śląsk przybywali biznesmeni i przedsiębiorcy z całej niemalże Europy, przyciągani bogatymi złożami rud

i węgla. To dzięki nim powstawały przykopalniane osiedla robotnicze, które z czasem zmieniały się w miasta. Nie wystarczyło przecież postawić paru budynków dla górników i ich rodzin, potrzebni byli piekarze, masażerzy, szewcy, krawcy, nauczyciele, lekarze. I tak wszystko zaczęło się rozwijać i nabierać niezwykłego tempa. Dzięki przemysłowi, który teraz przeklinamy ze względu na zanieczyszczenie środowiska, szkody górnicze, tąpnięcia, hałdy, nasz krajobraz wyglądał tak jak wygląda: gęsta sieć dróg, kolei, zabudowań miejskich. Wystarczy pojechać na północ kraju, by zobaczyć różnicę – hipermarket co kilka minut, multikina, ośrodki kultury, szpitale, szkoły.

Wiele w tej książce ciekawostek, opisanych ze swadą anegdot, historyjek, a wszystko w gawędziarskim stylu, którego miło by się słuchało, a i czyta równie przyjemnie. Nawet nagromadzenie technicznych szczegółów nie przeszkadza, a wręcz pozwala lepiej zrozumieć, co tu się tak naprawdę działo w ciągu ostatnich stuleci. Tomasz Kostro zebrał w jednym miejscu opowieści, legendy, fakty dotyczące regionu śląsko-dąbrowskiego i związanego z nim ściśle przemysłu, ale nie zapomniał o najważniejszym – jego twórcach. Starał się pokazać ich walkę o postępek, sposoby robienia kariery w nowym biznesie, targające nimi emocje i ambicje.

Dzięki tej publikacji dociera do nas, że kopalnie i huty nie powstały same z siebie, a ich nazwy nie są przypadkowe. O dzisiejszym kształcie regionu zadecydował upór wybitnych jednostek, które dzięki swemu talentowi i szczęściu budowały swoje fortuny dając zatrudnienie tysiącom ludzi przez dziesiątki lat. Tomasz Kostro zalicza do nich Stanisława Staszica (swoją drogą ciekawy tekst odtwarzający nieco tę postać), Michała Scypio del Campo (pioniera lotnictwa, mieszkającego w Katowicach), Henryka Segno z Czeladzi, rodzinę Schönów, Dietlów, hrabiego Renarda i wielu, wielu innych.

Opowieść Tomasa Kostro zatacza szerokie kręgi, choć ich centrum jest nieodmiennie Sosnowiec.

KATARZYNA KRZAN

Na pytanie, czy Anna Kowalska zdolałaby zainteresować nas pozostawionymi zapiskami, gdyby historia literatury nie znalazła dzienników Marii Dąbrowskiej, powstających równocześnie, przez długie okresy w tym samym mieszkaniu, pokój w pokój, być może o tej samej godzinie – nigdy nie padnie odpowiedź prosta, bezspornio oczywista.

Nikt nigdy nie namawiał mnie do czytania jej książek. Zwróciła moją uwagę w r. 1959, z okazji przyznania jej nagrody Hemingwaya (a przyznawało ją zacne grono, naturalnie bez udziału Hemingwaya!), za *Opowiadania greckie*, wydane pierwotnie w r. 1949, wznowione w r. 1956. Nagroda dzielona zresztą z J.J. Szczepańskim (za tom *Buty*). Niebawem przeczytałem *Safonę*, a potem *Otarze i Ptasznika*. Miałem uczucie, że czytam autorkę nie tylko współczesną, ale że to jest proza nowoczesna, zwięzła, z wyrazistą wykreowaną rzeczywistością, nie gadatliwa, skupiona na temacie, z silnym wyczuciem miar moralnych.

Stąd też dla mnie nie jest Anna Kowalska „tą przyjaciółką Dąbrowskiej”, przy czym słowo „przyjaciółka” towarzyszy perskie oko. Jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte. W czyścju literatury, z którego okrojony, ale jednak zwycięski wychodzi powoli Jarosław Iwaszkiewicz, gdzie jednak wciąż jeszcze czeka na wyrok Jerzy Andrzejewski, karta może się odwrócić. Dwie, trzy cienkie na palec książki Anny Kowalskiej mogą zaświecić intensywnym blaskiem, a ciężkie tomy *Nocy i dni* mogą dawny blask, dla mnie: zimny blask, utracić. Sprawa jest otwarta. Anna Kowalska była osobą doskonale wykształconą, Europejką w nie mniejszym stopniu niż równie świetnie wykształcona Maria Dąbrowska. Dzienniki – pani Marii i pani Anny świadczą dobitnie o tym, że te dwie kobiety przyciągała ku sobie nie tylko magia miłości, nie tylko cielesne pożądanie, ale i piękny umysł. Dla Anny Kowalskiej Maria Dąbrowska była indywidualnością wyjątkowego formatu, z intelektem pracującym na najwyższych obrotach, z jasnym wyczuciem granicy między Dobrem a Złem.

Otóż i problem! Jak te dwie niepospolite mądre kobiety radziły sobie z Historią, spuszczoną – jak to powiedział był doskonale znany obu paniom Jerzy Stempowski – z łańcucha? Okupację niemiecką przeżyły w Warszawie, dzieląc los jej mieszkańców. Anna Kowalska nie jest tak drobniągowa w zapiskach jak Zofia Nałkowska, ale to, co pisze na gorąco o powstaniu, ma rangę poważnego świadectwa serca i rozumu. Zupełnie czymś niebywałym są natomiast słowa Marii Dąbrowskiej, przytoczone w cudzysłowie przez Annę Kowalską: „Jak oni mogli wywołać powstanie, nie pomysłówszy o tym jak mnie ocalić?” Ów niespotykany, w każdym razie nieczęsto, stopień egotyizmu, w sytuacji powszech-



Przyjaciółka Dąbrowskiej

nego zagrożenia, daje wyobrażenie o skali wielkości jaką w dwudziestoleciu międzywojennym zastosowano do Marii Dąbrowskiej, co więcej: świadczy o tym, jak bardzo w tę swoją wielkość autorka *Nocy i Dni* uwierzyła. Kimże wobec takiej Marii Dąbrowskiej była, mogła być Anna Kowalska?

Dziennik pisany systematycznie do śmierci pisarki w roku 1969 jest dokumentem zmagania się z własną drugorzędnością wobec osoby, której pierwszorzędną Anna Kowalska nie tylko uznaje, lecz zgola ją wyznaje. Uznać swoją gorszość (pisarską, i w jakimś stopniu intelektualną) wobec osoby wielbionej i kochanej, miłością trudną, przeciwko której było wszystko, przede wszystkim, jak podkreśla to sama Anna Kowalska, pleć! To właśnie, co można nazwać psychologią miłości, jest najciekawsze w zapiskach Anny Kowalskiej. To nie są zapiski ekshibicjonistyczne, ani pikantne. Nie tak wtedy pisano, nawet w dziennikach, o sprawach orientacji seksualnej (vide: kamuflaż Jana Lechonia, który nie waży się użyć słowa „kochanek”, czy bodaj tylko „ukochany”, ograniczając się do „najdroższej osoby”), ale trudno być obojętnym na żar, jaki bije ze zdań Anny Kowalskiej, gdy jedynie na kartach owego dziennika pozwala sobie na chwilę bezwzględnej szczerości wobec własnego serca. Bo wiem zachowanie Marii Dąbrowskiej jest zagadkowe. Dzielać mieszkanie –

cokolwiek to znaczy – z przyjaciółką (i jej córką, której wedle słów Anny Kowalskiej, nie znosi!), łaknąc nieustającej adoracji, manifestuje zastanawiającą wyniosłość, nieomal chłód.

Wiek (przede wszystkim Marii Dąbrowskiej, starszej o piętnaście lat), wyłączył ze sfery wzajemnych relacji seksualność – o czym pisze Anna Kowalska – całą przestrzeń przeznaczoną dla miłości, wypełniając wyłącznie sztuką, pisarstwem, doskonaleniem się w sztuce. I tutaj te dwie niepospolite kobiety natrafiają na dziwny opór! Podziw Anny Kowalskiej dla Marii Dąbrowskiej jako pisarki, przede wszystkim jako autorki *Nocy i dni*, był rozległy i głęboki, gdy stanowił dopełnienie miłości najzwyczajniej ludzkiej, lecz zamienił się w mędrca szkiełka i oko, gdy przestrzeń zarezerwowaną dla serca, przyszło oddać we władztwo mózgu. I nagle lektura „arcydzieła literatury polskiej” toczy się jak po grudzie, zdanie po zdaniu, z wielkim mozolem, ta proza najwyraźniej nie jest zdolna poruszyć uważnej i wymagającej lektorki... A cóż dopiero Maria Dąbrowska postawiona wobec prozy swej przyjaciółki, czy może już w większym stopniu współlokatorki? Cóż ona patrząca na książki Anny Kowalskiej z wysokości cokołu, na którym postawiono jej pomnik? „Jak ci to w ogóle przyszło do głowy?” To świadectwo Anny Kowalskiej. Lecz w dzienniku Marii Dąbrowskiej, tam, gdzie oczekivalibyśmy czegoś w rodzaju okrzyku radości, bo oto świat, mały bo mały, bo polski, ale jakiś tam świat, w którym i jej „wielkiej Maryjce” wyznaczono miejsce, chwali osobę szczególnie jej przecież bliską, zdobywa się na gładkie słowa akceptacji, zakończone – w zapisie najbardziej przytaknym – pozbawionym wyższej temperatury: „Bardzo się cieszę”.

Co gorsza, ten ton wyższości objawia się w epoce, gdy Maria Dąbrowska nie jest w stanie dać prozy choćby na poziomie *Nocy i dni*, ponieważ *Przygody człowieka myślącego* przynoszą wielkie rozczarowanie, a Anna Kowalska, ze swoją przenikliwością i inteligencją, wie, że to, co miało być arcydziełem, jest pisarską klęską.

Historia, zdarzenia, tak zwana epoka, ze Stalinem i bez (Anna Kowalska: „Umarł człowiek zaiste nieludzkiego formatu”!!!) Stalina, kłopoty z papierem (na druk książek i w rolkach, czyli toaletowym), stenogramy, plotki i informacje z zebrań, posiedzeń i kawiarni Związku Literatów Polskich, to są rzeczy, ludzie i sprawy spotykane i u innych, niczym specjalnym się nie wyróżniające, owszem, ciekawe, nic ponadto.

Dzienniki 1927-1969 Anny Kowalskiej mają swoje miejsce w polskiej memuarystyce, ponieważ jak *Dzienniki* młodego Stefana Żeromskiego, są księgą namiętności. Namiętności, w której wszystko było skierowane, by użyć słów Anny Kowalskiej: „przeciw sobie”.

FELIKS NETZ

Danuta Lubina-Cipińska: *Śląsk jak Ameryka. Rozmowy. Portrety. Reportaże. Eseje.* Wyd. Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, Koszęcin 2008, s. 276.

Przeczytałem, spojrzałem na tytuł i pomyślałem, że równie dobrze mógłby brzmieć *Ślązacy jak Amerykanie*. Bo choć nas śmieszy ekstrawertyczny patriotyzm obywateli USA (te flagi, parady), to Ślązacy – niby oszczędni w okazywaniu uczuć – w gruncie rzeczy są tak samo dumni ze swojej „małej” ojczyzny, świadomi własnej odrębności (powinienem napisać: wyższości) a także sentymentalni w traktowaniu przeszłości, symboli, wartości. Autorka rozmawia z artystami, naukowcami, „zwykłymi” ludźmi. Przybliża postacie związane ze Śląskiem niekoniecznie urodzeniem. Przypomina historię, pokazuje nie zawsze wesołe „dzis” (życie po likwidacji kopalni – nie tylko miejsca pracy, ale też czegoś tak magicznego jak morze, bo integrującego ludzi, tworzącego ład). Odkrycie osobiste: znam Dankę od lat, ale dopiero dzięki „autobiograficznemu” szkicowi o Katowicach dowiedziałem się, że byliśmy sąsiadami – ona z Plebiscytowej, ja – z Kochanowskiego. Gorąco polecam.

Ks. Jerzy Szymik: *Miłość.* [Seria: Wartości Śląska] Wyd. Stowarzyszenie Wychowanków VIII LO im. Marii Skłodowskiej-Curie, Katowice 2007, s. 26.

Projekt Bernadetty Szymik-Kozaczko, objęty mecenatem miasta Katowice, był prosty: przekazywać młodzieży licealnej wiedzę o Katowicach, o Śląsku, o wielokulturowości, wielowyznaniowości, różnorodności tradycji, które złożyły się na to, czym dziś jest nasz region. Broszurki wydawane w tej serii są pokłosem spotkań z młodzieżą, małymi „cegiełkami” do budowy „domu” – swojego miejsca na Ziemi. Ks. Szymik za „wartość” (nie lubię tego słowa, bo zdevaluowane przez polityków) uznaje miłość. Mówi o specyfic regionu, w którym „myśli się sercem, a kocha rozumem”. Ten cytat z arcybiskupa Alfonsa Nossola interpretującego tak właśnie wiersz Dolnoślązaka Gryphiusa jest dla autora kluczem do miłości do własnej ziemi, ale też punktem wyjścia do rozważań już czysto teologicznych. Śląska pobożność jest dzięki temu osadzona w refleksji szerszej, zaś tytułowa miłość jawi się jako centrum chrześcijańskiej antropologii.

Ks. bp Tadeusz Szurman: *Ewangelicy w życiu Katowic.* [Seria: Wartości Śląska] Wyd. Stowarzyszenie Wychowanków VIII LO im. Marii Skłodowskiej-Curie, Katowice 2007, s. 22.

Kolejna książeczka z serii popularyzującej śląską historię. Tym bardziej godna uwagi, że opowiada o sprawach „za komuny” przemilczanych. Śląsk był wtedy – za sprawą propagandy – siedzibą absolutnie wypranej z jakiegokolwiek religijności „wielkoprzemysłowej klasy robotniczej”. Polskiej. Fakt, że Katowice swoją miejscowość zawdzięczają Niemcom był niewygodny, więc przemilczany. Szurman wspomina ewangelików niemieckich – ojców miasta, ale też burzy stereotyp, że wyznanie w jakiś sposób determinowało narodowościowe preferencje. Przypomina międzywojnie, kiedy to ze Śląska Cieszyńskiego masowo przybywali wyznawcy Kościoła ewangelicko-augsburskiego – czysti Polacy, którzy dzięki wykształceniu zdobytemu w monarchii Austro-Węgierskiej mogli na wolnym, polskim Górnym Śląsku wspomóc administrację państwową, szkolnictwo itd. Cenne uzupełnienie wiedzy o naszym regionie, który nadal czeka na solidną monografię.

***Cieszyniacy na Warmii i Mazurach* (z kart historii).** Red. Andrzej Faruga, Stanisław Achremczyk. Wyd. Warmińsko-Mazurskie Koło Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 2008, s. 228.

Przedziwna książka. Wydana „na północy”, w Olsztynie, jednocześnie zaś bardzo mocno usytuowana nad Olzą. Wiersze pisane „cieszynką”, teksty dotyczące Zaolzia, autochtonów polskich mieszkających w Czechach, PZKO – to wszystko wydaje się tak odległe od warmińsko-mazurskich rubieży. I nagle okazuje się, że te południowe i północne „kresy” Rzeczypospolitej, oddzielone od siebie setkami kilometrów, łączą swoisty most – ludzie. Cieszyniacy, którzy związali swoje życie z Olsztynem i okolicą. Imponująca prezentuje się „słownik biograficzny” cieszyniaków, którzy w swojej nowej, „małej ojczyźnie” tworzyli wyższe uczelnie, działali społecznie, włączali się w życie kulturalne. Czytałem z wielkim zainteresowaniem, przekonując się znowu, że prawdziwe jest przysłowie, iż „swego nie znamy”.

Marcin Boratyn, Justyna Ciałoń, Marek Gałuszka, Alina Kuboszek, Bożena Muszalska, Katarzyna Pomykoł: *Nasza Solidarność Jastrzębie rok 1988.* Wyd. Zarząd Regionu i Biuro Terenowe „Solidarności”, Jastrzębie Zdrój 2008, s. 304.

Jastrzębie (i okolice – dla ścisłoci) było kolebką „Solidarności” na Śląsku w roku 1980. Tamtejsze kopalnie zaciekłe pacyfikowano po ogłoszeniu stanu wojennego. I wreszcie tam właśnie, dokładnie 20 lat temu („okrągła” rocznica), wybuchły strajki, które doprowadziły do upadku komunizm. Dobrze, że ten jubileusz doczekał się takiej książkowej dokumentacji. Szkoda tylko, że zadział w tym przypadku „klucz polityczny”. W sylwetkach działaczy „S” pominięto tych dziś „niewygodnych”. Nie dowie się więc czytelnik z leksykonu osobowego, że w 80. roku porozumienia z rządem podpisywał Sienkiewicz, że w 89. posłem został przywódca strajku w 88. Piętrzyk. Może niektórzy ludzie nie zapisali się najlepiej w historii Panny „S”. Ale przecież byli „tam i wtedy”. Ciekawe wspomnienia, kawał historii Śląska, szkoda, że tylko „wybiórcze”.

Herbert Soyka: *Pan, Incognito; Ewa, Liwia, Plurabelle.* Wys. SCRIBA, Racubórz 2008, s. 82.

Na czwartej stronie okładki tego tomu poetyckiego ktoś napisał: „Niebanalne aluzje do mitologii, biblijne odniesienia, nawiązanie do plejady postaci historycznych, symboli religijnych, a także wątków autobiograficznych, nadają całości specyficzny, głęboki wymiar.” Poloniści z pewnością doszukaliby się jeszcze „intertekstualności”. Myślę, że niektórych czytelników mogą te wiersze cieszyć. Ja jestem na nie głuchy. Są dla mnie właśnie za „intertekstualne”, za wyrozumowane, przez co autor – dla racjonalnego, logicznego wywodu – wpada w pułapkę prozaizmów. Np. *Upojeni kształtem oczywistości* albo *Drażenia poruszeń sił wzrostu*. Szkoda, bo po lekturze odnoszę wrażenie, że gdyby tylko wyzwolił się z gorsetu tradycji poetyckiej (np. Herberta – ten „Pan incognito”) a także trochę odkrył (otwarł się?), to przy swoim bogactwie leksykalnym mógłby naprawdę czytelnika wzruszyć, rozśmieszyć, zdenrować. *Czucie i wiara* – rzeczywiście więcej niż szkiełko mędrca.



Połowa życia na Śląsku

– Najwcześniejsze zapamiętane?

– Obraz. To pewnie brzmi nieszczerze, ale naprawdę, ale właśnie obraz zapamiętałem z najwcześniejszych lat. W moim rodzinnym domu w Moskwie przy prospekcie Gorkiego wisiał w jadalni pejzaż Isaaka Lewitana, jedna z wersji jego słynnych „Jesieni”. Ciepłe cynobrazy, łagodny kontur, nostalgia... Ktoś go zawiesił jakoś wyżej niż powinien wisieć, więc zawsze mimo upływu czasu trochę zadzierałem głowę. Piękny obraz. No, to był w końcu klasyk rosyjskiego malarstwa.

– Reprodukacja?

– Najprawdziwszy oryginał. Dostyc sporych rozmiarów.

– Dom zatem miałeś zasobny?

– Jak na tamte czasy w ZSRR. Choć oczywiście powiedziałem, że nie pamiętam żadnych luksusów. A co znaczy luksus wiedziałem i to nie najgorzej, bo wujek ze strony ojca miał wtedy w centrum Moskwy jedną z najlepszych restauracji. Ale mogłem się tylko przyglądać.

– Kto w domu był ci najbliższy?

– Naturalnie mama. Przede wszystkim i najbardziej. Pochodziła z mniejszej zamożnej rodziny niż ojciec, za to zdecydowanie bardziej inteligentnej, wysublimowanej. Wrażliwość to ona. Od początku popierała mnie w młodszych marzeniach związanych ze sztuką, bo ojciec jak słyszał „artysta malarz” to zaraz odwracał głowę. „Niepoważne!

Niepewne!”, oczekiwał, że skończę politechnikę.

– Ale dzieciństwo pod tym obrazem Lewitana upływało, jak słyszę, raczej błogo?

– Nie do końca, bo ja chorowałem często. Na szczęście w domu panowała najprawdziwsza harmonia i łagodność, nigdy nie słyszałem żeby ojciec na mamę podniósł głos, a dzisiaj także z perspektywy własnego życia, w którym bywało różnie, oceniam ich związek jako idealny. Kochali się. Pamiętam też jak często i długo rozmawiali ze sobą, zresztą rozmowy to był prawie domowy rytuał. Na przykład przy kolacji, kiedy rodzice wrócili już z pracy każdy opowiadał jak minął dzień, z czym się zetknął, co o tym myśli. Cieszyłem się na te chwile. No i częste wizyty w miejscach związanych z kulturą, a w Moskwie bez względu na czasy i polityczne klimaty naprawdę jest gdzie pójść. Ja do Filharmonii zaglądałem po kilka razy w miesiącu, przepiękna sala, znakomitem wprowadzeniem do koncertów, pamiętam do dziś recital Palecznego, no słowem dbano żebym jak najwięcej mógł zobaczyć i przeżyć.

– Talent objawiłeś wcześniej?

– Od wczesnych lat rysowałem, lepiłem, malowałem i śpiewałem.

– ?

– Tak, głos miałem ponoć niezły, a jako 16-latek byłem w nie lada rozterce czy nie wybrać się na wydział wokalny Aka-

demii Muzycznej. Ci którzy mnie znali twierdzili, że grzech taką szansę marnować. Nieoczekiwanie mama wybiła mi to wszystko z głowy, „słaby jesteś, ciągle chorujesz, a to są wieczne wyjazdy, po nocach powroty, nie dasz rady”... No i nie odznaczałem się niestety szczególną urodą czy jakąś estradową prezencją. Koniec końców wybrałem malarstwo.

– Czasy o których rozmawiamy to przełom lat 50. i 60. Twoja młodość z Chruszczowem w tle.

– Ja jeszcze Stalina pamiętam! Miałem 6 lat i to było chyba jego ostatnie publiczne wystąpienie, manifestacja z okazji rocznicy rewolucji. Ojciec zabrał mnie na plac Czerwony i niósł „na barana” przez cały pochód, szliśmy z jego zakładem pracy, morze ludzi, ogłuszająca muzyka z głośników, krzyki, ja pod trybuną zacząłem z całych sił też machać i krzyczeć, bo mi się udzieliło to całe szaleństwo. I zdawało mi się, że on mi nagle odpowiedział, „odmachal”... Ale to pewnie dziecięca wyobraźnia, ciśnienie tej całej sytuacji.

– A potem Stalin umarł.

– To też zapamiętałem wyraźnie, ten autentyczny płacz. Płacz dorosłych na ulicach, w sklepach, dziecko czegoś takiego nie rozumie, dziwi się, a potem boi. Syreny wyły, ludzie mieli ściągnięte twarze, rozmawiali nagle bardzo cicho. To też szybko minęło, nastawał Chruszczow. Powroty z gulagów, coś się zmieniło, jakby na lepsze. W naszej kamienicy mieszkał pewien człowiek, kucharz lepszej restauracji w śródmieściu, i nigdy nie zapomnę jak mówił na klatce schodowej półgłosem; „Stalin zabijał ludzi... ciitichoo... Stalin zabijał naszych, mnóstwo ludzi... tylko nikomu o tym nie mówcie... nie wolno!”. No więc takie zdarzenia jak to, dręczyły mnie i nie dawały spokoju. Długo, bo strach nie minął i za Chruszczowa. Pamiętaj że żyło wciąż pokolenie, które przeżyło niewyobrażalne. No więc takie jest to moje dzieciństwo i dojrzewanie w Moskwie. Dobry, bezpieczny dom, a na zewnątrz dużo groźnego i często niepojętego. Przynajmniej dla mnie.

– Pierwsze kontakty z Polską?

– Tania, moja kuzynka, kończyła wówczas studia na uniwersytecie w Moskwie, a w 1957 odbywał się u nas Światowy Festiwal Młodzieży. Ona tam ostro działała organizacyjnie, miała mnóstwo przyjaciół wśród studentów z różnych krajów, oczywiście także Polaków. Kręciłem się przy nich. To była jednak nie lada atrakcja, jakiś powiew innego świata, a do Polaków ciągnęło tym bardziej, że lubiłem wasz język. Regularnie kupowałem sobie „Kobietę i Życie”, wiem że to zabawne, ale na ostatniej stronie, świetnie zresztą redagowanej, była pretekcyjna „Satyra w krótkich majteczkach”, zaraz obok „Plotki o Paniach i Panach” naprawdę z wielkiego świata, więc czytałem coraz więcej i coraz więcej z tych tekstów łapałem. Potem naturalnie „Przekrój”, coraz większa fascynacja Polską, tym jakimś luzem, oryginalnością. U nas tego nie było.

– A Polacy, których poznawałeś w Moskwie?

– Pomijam już naprawdę znakomite rozmowy, rodzaj dowcipu i poziom.

Ważne było jeszcze coś. Otóż często przywozili ze sobą książki, o których my nawet nie słyszeliśmy, a kończyły się już lata 60., zaczynały 70. Na przykład Latynosi, Marquez, Cortazar, Fuentes, cała ta polska świetnie redagowana seria, no i paradoksem największy czyli nasza rosyjska literatura. U was jak się to mówi już kultowa, a tutaj niedostępna, albo zakazana. Ja w ten sposób przeczytałem, po polsku, „Mistrza i Małgorzatę”. Podobna sprawa z malarstwem. My na przykład o Modiglianin dowiedzieliśmy się dopiero w latach siedemdziesiątych! Ja co prawda coś niecoś już liźnąłem, m.in. z „Przekroju”, ale kiedy w Moskwie pokazano jego dwa obrazy /73? 74? / to w kolejce stało się po 4-5 godzin. Dłuższa była niż te do Mauzoleum Lenina. Tak, apetyt na poznanie czegoś nowego był w Rosji kolosalny, a obcowanie z Polakami i wszystkie rozmowy po nocach, to naprawdę rodzaj uczt.

– Twoje studia?

– Oczywiście w Moskwie. Wyższa Szkoła Poligraficzna, prawdziwa wylegarnia niepokornych i niespokojnych jak na tamte czasy artystów. Nikt nas tam nie ograniczał, nie naciskał ani ideologicznie ani estetycznie, natomiast na innych uczelniach wciąż panował niepodzielnie realizm.

– Z wyraźnym socjalistycznym obrazowaniem.

– W takim czy innym ujęciu Lenin, sierp i młot plus proletariacka tężyzna. My mogliśmy inaczej. Przede wszystkim istniała ta wspaniała odskocznia, czyli wielka rosyjska literatura jako super temat do ilustracji. Puskin, Lermontow... Zatem coś nie do podważenia, a my mogliśmy urwać się ze smyczy. Naturalnie wykładano historię WKP(b), odbębnić trzeba było, ale właśnie odbębnić. Tak to traktowali też wykładowcy, natomiast sprawy artystyczne sumiennie oddzielano.

– Kto cię wtedy najmocniej fascynował?

– Przede wszystkim Falk. To był rosyjski Żyd, wspaniała, mądry i niezależny artysta, chociaż zafascynowany francuską sztuką XIX i XX wieku. Była taka głośna wystawa w Maneżu, m.in. pokazywano też Falka i tę wystawę zwiedzał Chruszczow. „Afera! Skandal!”... Chruszczow tupal, krzyczał i wściekał się, że takie obrazy w ogóle ktoś ośmiela się pokazywać, że to są obce i wredne bohomyzy a nie sztuka. Przy okazji dostało się jeszcze kilku innym artystom tam wystawiającym, cała prasa, radio i telewizja tym się zachlustywały, taakie nagłówki: „Chruszczow w Maneżu! Oburzenie! Ideologiczna walka o umysł człowieka radzieckiego!”... Dzisiaj to już trudno wytłumaczyć czy nawet pojąć. Więc dla mnie ten Falk od razu był kimś ważnym, intrygującym. Zacząłem się nim interesować, na ile jego poglądy na sztukę są do przyjęcia, jakie drzwi otwierają. I tak, to było to! On jest podobny do Cezanne’a, uwielbiałem jego obraz „Czerwone meble”, też wtedy, nie wiedzieć czemu, zakazany... Dzisiaj możesz go sobie obejrzeć w Galerii Trietiakowskiej.

– Kto cię uczył?

– Wielkie nazwiska. Malarstwa Zacharow, Gonczarow grafiki. Postaci z podręczników i encyklopedii.

– Fascynacji artystycznych w życiu miałeś sporo. Ale „twardy dysk” twojej sztuki jest chyba jednak mocno rosyjski?

– Pamiętasz początek naszej rozmowy? Ten obraz Lewitana w naszej jadalni w Moskwie? No więc to jest właśnie ta „pestka”, to centralne, co zostało w podświadomości. Czyli spojrzenie na świat i na sztukę oczami, jednak, realisty. Kiedyś, będąc we Francji, zwiedzałem słynne dzieła impresjonistów miasteczko Saint Paul Provançe. Oczywiście muzeum, galeria, świetna kolekcja z Picassem i najlepszymi abstrakcjonistami, a na podłodze siedzą albo leżą 5-6-letnie dzieciaki. I słuchają. Wychowawca czy nauczyciel opowiada im o tych obrazach, o malarzach, a ci słuchają z otwartą buzią... Widocznie jest jakiś sposób trafiania do dziecka z takimi zjawiskami, albo facet miał po prostu talent, nieważne. Co innego jest istotne w tej anegdocie. Otóż myśmy tego w ogóle nie znali, ba! nie wiedzieli, że coś takiego istnieje. Druga połowa XX wieku, Moskwa, artystyczne kręgi – i zero wiedzy. Założono kląpki na oczy, idź tylko prosto, czyli realistyczne spojrzenie na świat, najlepiej przez szkiełko ideologii... Akceptowano ewentualnie część impresjonizmu i tylko dlatego, że z politycznych względów twórcy byli jakos do zaakceptowania. A tutaj, w tym Saint Paul Provançe, od szczeniących lat najbardziej wysublimowane formy sztuki podawano na tacy! Mnie na tacy podano Lewitana. I dobrze, że akurat jego, bo artystycznie to jest jednak wysoki poziom. Wszystko, co działo się potem, wszystkie ambicje, moje spóźnione fascynacje, nadrabianie zaległości zawierało w sobie już ten „grzech pierworodny” ograniczenia. Każdy czerpie ze swoich zapasów i to go wyposaża na dalszą drogę.

– Uważasz, że twoje zapasy były marnie?

– To chyba nie najlepsze słowo. Ważną częścią tego „posagu” był przecież wściekły głód nowego, innego. Czegoś pod prąd. Dlatego jak dzisiaj patrzę na swoje obrazy, nawet najnowsze, to ciągle widzę napięcie między czymś co już wiem i pewnie jakoś umiem, co już „nadrobiłem”, a najwcześniejszym i jednak bliskim sercu realizmem. Czyli ten Lewitan tam wysoko, na ścianie dzieciństwa, ciągle się mocno trzyma.

– Kiedy przyjechałeś do Polski?

– W 1978 roku. Do tego czasu zdążyłem być tu kilkakrotnie, no wiesz, z jednej strony dżinsy, buty, skórzane kurtki, a z drugiej nieobecne u nas filmy, książki, wystawy. Wszystko zdawało się takie kolorowe i optymistyczne, bo Moskwa była szara. Naturalnie Wysocki, Okudźawa, znakomici artyści, niektóre teatry, ale codzienność, czyli coś najbardziej dojmującego, była szara i szorstka. Przyjechałem do Polski na stałe. Miałem już żonę Polkę, która studiowała w Moskwie na Uniwersytecie Łomonosowa i robiła doktorat, w Moskwie uro-

dziła nam się córeczka, zatem klasyczne „łączenie rodzin”.

– Masz dokładnie 60 lat. Połowę życia przeżyłeś w Polsce, na Śląsku. Jubileusz, seria wystaw, z tą najważniejszą, czyli retrospektywą w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. I imponujący katalog, prawdziwa artystyczna dokumentacja twojej twórczości. To sprzyja refleksjom bilansującym...

– Dzięki Marszałkowi Województwa Śląskiego i Fundacji dla Śląska mam katalog naprawdę porządną. To dla każdego malarza jest bardzo istotne, ważniejsze nawet niż same wystawy, które powisną, powisną i znikną. To wydawnictwo zawsze mi zależało: wierność kolorowi. Kolor, kolor i jeszcze raz kolor. W malarstwie najważniejszy. Tak mnie uczyli w Moskwie Gonczarow i Zacharow, tak też to czuję dzisiaj. Rysunek jest cieniutką linią, pajęczynką, najczęściej precyzyjną i jednoznaczną, a kolor, plama, która się rozlewa, przyjmuje różne formy. Różnie brzmi. Ież w tym może być smaku, światła, nawet zapachów. Cezanne, Falk, też Picasso, albo w rosyjskiej tradycji Wróbel czy Lewitan. Jak oni kochali kolor! Dostrzegam też u siebie, w tym „bilansującym” nastroju, nutę typowo rosyjskiego realizmu. Musiał się we mnie załęgnać i zostać, bo to jest jednak coś nieodpartego, to idzie od prawosławia, od ikon, od tych przestrzeni naprawdę nie do ogarnięcia. I ich spokoju.

– Dużo jeździsz po świecie. Najczęściej jeździsz po sztalgami i pudłem farb.

– Bywam często we Francji, we Włoszech, w Niemczech i Hiszpanii. Kocham Pragę, 4-5 razy w roku muszę tam być i malować. Udaje mi się też wystawiać za granicą w niezłych galeriach. Ale moje podróże to także Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, codziennie rano tam chodzę i fotografuję. Tysiące zdjęć. Ja wiem, że większości nie wykorzystam, ale to silniejsze ode mnie: złapać, zatrzymać przemijanie na moich oczach liści, szronu, albo mgły nad stawem.

– Od kilku lat masz, chyba jedyną w Katowicach, autorską galerię przy Kochanowskiego. Przychodzą...

– Najmniej przychodzi tutejszych artystów. Odczuwam ich niechęć. Przykre, bo nikomu przecież nie zagrażam ani nie zawadam. Ja sprzedaję tylko swoje prace. Szukam środków na przeżycie, jak każdy.

– Jak ci idzie?

– Pierwszy rok był najlepszy, teraz jako tako. Zaglądają ci, którym wciąż jest bliska, przynajmniej jako punkt wyjścia, szkoła realistycznego malarstwa. Albo ci którzy lubią akwarelę, chociaż znakomitych akwarelistów tutaj jest wielu.

– Największy sukces?

– To że wciąż mogę malować. Od paru lat poważnie choruję, było już źle. Profesor Sieroń z Bytomia wyciągnął mnie jakimś cudem z tej strasznej sytuacji w jakiej się znalazłem i – dosłownie odzylem. Na tyle, że prowadzę samochód i maluję. A był moment że dosłownie połamałem pędzle. Więc to jest mój największy sukces, największa radość. Zrobię wszystko, żeby to trwało jak najdłużej.



90. rocznica odzyskania niepodległości

BIELSKO-BIAŁA
Zjednoczona, Wolna
i Niepodległa

Naszym obowiązkiem jest pamiętać o niezwykle cennym przesłaniu mówiącym: **Pokolenia, które nie mają szacunku dla przeszłości – będą zagrożone w swej przyszłości.** Państwo Polskie w bieżącym roku obchodzi 90. rocznicę odzyskania niepodległości, po 123 latach niewoli i upokorzenia.

Dla upamiętnienia tych ważnych historycznych wydarzeń, Mu-

zeum w Bielsku-Białej zorganizowało wystawę **Zjednoczona, Wolna i Niepodległa. 1918-2008.**

W *sali pierwszej* znajdują się pamiątki, archiwalia ilustrujące



awers

wydarzenia I wojny światowej w skali Europy i wydarzeń lokalnych tj. faktów związanych z organizowaniem Legionów Pol-

skich i udziałem w nich społeczeństwa naszego miasta a także pamiątkowe odznaki, odznaczenia i medale wybite staraniem NKN, a upamiętniające rocznice wydarzeń zrywów narodowych, bitew, wydarzeń państwowych, z których dochód przeznaczano na rzecz legionistów.

Sala druga poświęcona jest wydarzeniom z lat 1916-17, tj. próby powołania Królestwa Polskiego u boku monarchii austro-węgierskiej, powołania Rady Regencyjnej, także formowania się Legionu Pułaskiego w Rosji. W *trzeciej sali* zgromadzono pamiątki związane z wydarzeniami przejścia władzy w naszym mieście oraz postaciami zaangażowa-



rewers

nymi, do których należeli m.in.: por. B. Kański, por. K. Matusiak (obraz), dr D. Gross, dr W. Seidl, dyr. I. Stein, gen. F. Aleksandrowicz (obraz). Wyeksponowana została tu również unikatowa rzeźba wykonana w Bielsku, przedstawiająca Józefa Piłsudskiego.

Marek Matlak

12.11. - luty 2009

VIII Ogólnopolski Festiwal Sztuki Kameralnej

KATOWICE, SOSNOWIEC,
CHORZÓW, BYTOM...
Ogród Ziemskich Rozkoszy

Listopad na Górnym Śląsku po raz kolejny przebiegał będzie pod znakiem Festiwalu Ars Cameralis. Począwszy od 7 aż do 30 listopada w Katowicach, Sosnowcu, Chorzowie, Bytomiu oraz kilku innych miastach regionu przetrną się linie wiodące ku teatralnym inscenizacjom, alternatywnym krainom nietaw-

go piękna, klasycznym pejzażom, niepokojącym fotografiami, obrazom i dźwiękiem dobiegającym z Wielkiego Ogrodu. Motywem przewodnim tegorocznego festiwalu jest **Ogród Ziemskich Rozkoszy**, hasło zaczerpnięte z głośnego tryptyku Boscha, odsyłające ku



Roger Ballen portret

sztuce niejednoznacznej i niepokojąco rozkosznej. Zawsze wybitnej i zjawiskowej. Przez ponad trzy tygo-



zespół LOW (USA)

dnie odbędzie się ponad dwadzieścia festiwalowych imprez. Zapraszamy m.in. na koncerty zespołu Mercurij Rev, Low, Efterklang oraz I Am Kloot. To i tak jedynie małe fragmenty ogrodu. Bramę do niego uchylił się już 7 listopada.

7.11.-30.11.

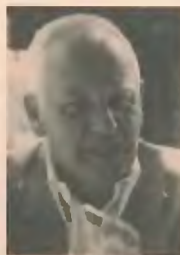
Festiwal Górecki • Penderecki – w 75. rocznicę urodzin

KATOWICE
Festiwal największych

Świętujemy 75. urodziny krakowianina Krzysztofa Pendereckiego (23 listopada) i katowiczanki Henryka Mikołaja Góreckiego (6 grudnia). Swego czasu tysiąc wykonawców jednocześnie grało w Katowicach muzykę Wojciecha Kilara, który z trójki najwybitniejszych polskich kompozytorów współczesnych wyłamuje się wcześniejszym rokiem urodzenia (1932). Przed laty

z inicjatywy NOSPR w ciągu jednego dnia wykonano w Katowicach niemal wszystkie dzieła Henryka Mikołaja Góreckiego. Piękna tegoroczna rocznica skłoniła NOSPR do wspólnego święta dwóch jubilatów – Jak na muzyczny region przystało, włączyli się do niego i inni:

Filharmonia Śląska, katowicka Akademia Muzyczna wspólnie z jej czeską partnerką z Pragi, Orkiestra Kameralna Miasta Tychy AU-KSO, Zespół Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” oraz krakowski Chór Polskiego Radia. Tak



Henryk Mikołaj Górecki
fot. Z. Sawicz

owocna współpraca to silny argument dla decydentów, którzy niebawem podejmować będą decyzje o unijnym wsparciu finansowym modernizacji i rozbudowy zabytkowego gmachu Filharmonii Śląskiej oraz budowy nowej siedziby NOSPR. Obie inwestycje są niezwykle potrzebne, zarówno samym instytucjom, jak i odwiedzającym je melomanom. Konkretna współpraca tych instytucji gwarantuje, że planowane inwestycje nie będą tworzyć pola



Krzysztof Penderecki
fot. Z. Sawicz

konkurencji, ale arenę jeszcze ciekawszej i twórczej współpracy, bogatszej ich oferty. Program sześciu festiwalowych koncertów od 28 listopada do 9 grudnia zestawiono ogromnie interesująco. Szykuje się wydarzenie. Niechby po nich nastąpił czas budowania, byśmy kompozytorskie osiemdziesiątki mogli świętować we wnętrzach nowych, na miarę XXI wieku, w którym już dawno tkwimy.

Marek Skocza

28.11.- 9.12.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ZAMEK
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR
DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
ul. 1 Maja
tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Rynek 26
tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12
www.muzeum.bytom.pl

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA

sala górna
6.11. czwartek
Karolina Zdunek
Utopie obrazu
artystka tworzy sztuczny świat
wyidealizowanej architektury
modernistycznej



z cyklu *Schody*, 2007.
olej na płótnie

czynna do 30 listopada

sala dolna
6.11. czwartek
Joanna Stańko
Kolory



Joanna Stańko, bez tytułu, 2007.
akryl na płótnie

artystka skupiła się
na malarstwie, intensywnie
pracując nad szkicami
do obrazów. podczas których
eksperymentowała
z formami i kolorami...
czynna do 30 listopada

klub Aquarium
6.11. czwartek
Tadeusz Moskała
Przestrzenie
urojone w grafice
czynna do 30 listopada

Iluzja
jako źródło cierpień
kurator
Agnieszka Żechowska
czynna do 2 listopada

BYTOM
GALERIA KRONIKA
Dbaj
o estetykę wyglądu
Paweł Kulczyński
czynna do 15 listopada

Film noir
Łukasz Jastrubczak
czynna do 15 listopada

CIESZYN

GALERIA SZARA
Magda Jańczuk
There is no final fantasy.
Twilight Zone
pokaz dyplomowy



czynna do 5 listopada

Barbara Kubániová
Body in space
...to śnienie na jawie,
rzeczywistość sennych marzeń



czynna do 5 listopada

CHORZÓW

GALERIA MM
3.11. poniedziałek
Sity grawitacji
Jacek Joostberens
grafika
czynna do 24 listopada

CZELADŹ

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
„ELEKTROWNIA”
Cyganie śląscy
wystawa fotografii
Stanisława Michalskiego



czynna do 21 listopada

CZESTOCHOWA

MIEJSKA
GALERIA SZTUKI
SALE: ŚLĄSKA,
POPLENEROWA,
GOBELINOWA
30-lecie
Instytutu Plastyki
Akademii
im. Jana Długosza
w Częstochowie
wystawa jubileuszowa
czynna do 16 listopada

Hol galerii
Dokąd zmierzasz?
Figuratywna
instalacja plastyczna
Elżbiety Chodorowskiej
czynna do 16 listopada

SALA ŚLĄSKA
28.11. piątek
Nacht Ekspresjonista
Artur Nacht-Samborski
(1898-1974)
czynna do 4 stycznia 2009 r.

Regionalny Ośrodek Kultury
GALERIA ART-FOTO
wystawa fotografii
Katarzyny Widmańskiej
Anatomia melancholii



JASTRZĘBIE ZDRÓJ

GALERIA
HISTORII MIASTA
1988 – strajk,
który przyniósł wolność
czynna do 28 listopada

GALERIA EPICENTRUM
14.11. piątek, godz. 18.00
Grafiki

Michał Minora
artysta zajmuje się malarstwem,
grafiką, plakatem oraz działaniami
interdyscyplinarnymi skupionymi
wokół teatru, muzyki i edycji
artystycznej

KATOWICE

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA
21.11. piątek, 18.00
Roger Ballen

wystawa współorganizowana
z *Ars Cameralis Silesiae*
Roger Ballen urodził się w Nowym
Jorku w 1950 roku. Wiele z po-
wtarzanych na swoich fotografiach
motywów Ballen widział w odwie-
dzanych domach mieszkańców
głuszy. Jego zdjęcia sytuują się na
skraju fotografii dokumentalnej,
malarstwa, teatru i rzeźby
czynna do 30 stycznia 2009 r.

Paweł Warchoń
czynna do 16 listopada

GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY
SEKTOR I
8.11. sobota, godz. 18.00
wernisaż

Wojna i pokój
J. Robakowski, J. Surówka,
T. Bajer, S. Drózd, G. Kłaman,
L. Lewandowski,
J. Truszkowski, M. Brillowska,
zespół DAF

GALERIA PUSTA
Halina Morcinek
Autoportret
fotografie
czynna do 30 listopada

GALERIE

**CENTRUM SCENOGRAPHII
POLSKIEJ**
Wystawa kostiumów
teatralnych i filmowych
Barbary Ptak

GALERIA SZYB WILSON
wystawy w ramach
Litwa OD NOWA:
Wojna po wojnie
antysowiecki opór zbrojny
na Litwie w latach 1944-1953

**Współczesna sztuka Litwy
OD NOWA**

Wystawa fotografii pejzażowej
Stanisława Żvirgždasas
czynne do 30 listopada

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
Galeria Holu Głównego
17.11. poniedziałek, godz. 9.00
otwarcie
Listy na lewą rękę
wystawa grafik
Tadeusza Michała Siary

MIKOŁÓW

GALERIA MDK
29.11. sobota, godz. 18.00
wernisaż

IMPRESJE MIKOŁOWSKIE
uczestnicy:

R. Bonczar, B. E. Bialecka,
I. Birkenmajer, A. Bochenek,
I. Cur, F. Dziedek, Z. Gortak,
B. Kasperczyk, M. Kolpanowicz,
K. Pasztula, R. Rogala,
A. Romaniuk, E. Rutkowska,
K. Rzeźniczek, C. Sijstema,
M. Skoczek-Wojnicka,
P. Snellaars, J. Stolorz,
S. Tabisz, A. Tejcherowa,
J. Trzebiatowski, M. Węg,
J. Wisławska, L. Żegalski

MYSŁOWICE

Miejskie Centrum Kultury
GALERIA
Emocjonalne impresje zjawisk
naturalnych

Adama Plackowskiego
czynne do 21 listopada

SOSNOWIEC

**SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZUKI
ZAMEK SIELECKI**
Zagłębiaka Portret Własny
wystawa historyczna
czynna do marca 2009 r.

TYCHY

Teatr Mały
14.11. piątek, godz. 18.00
Jarosław Korczak
wystawa grafiki i plakatów
czynna do 8 grudnia

GALERIA OBOK
27.11. czwartek, godz. 18.00
otwarcie Świątecznego
Kiermaszu Sztuki
czynna do 20 grudnia

Henryk Bzdok
Grafika digitalna
czynna do 14 listopada

MUZEA

BĘDZIN

**MUZEUM ZAGŁĘBIA
ZAMEK**
Początki Będzina
wystawa historyczna

PAŁAC
Poczet leszczyńskich
królów kurkowych
ze zbiorów
Muzeum Okręgowego
w Lesznie
czynna do końca listopada

BIELSKO-BIAŁA

MUZEUM
Muzeum pozyskało do swoich
zbiorów nowy eksponat, którym
jest akwarela Juliana Fałata
z 1916 roku. zatytułowana
Kłęczący chłopiec
przedstawiająca postać starszego
syna artysty Lucjana zw. Mimi
czytającego książkę

18.11. wtorek
Francuska stara „nowa fala”

BYTOM

MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
remont Muzeum

FILIA MGB
Obszar Warowny
„Śląsk” 1933-1939
czynna do listopada

CHORZÓW

MUZEUM W CHORZOWIE
Kościół św. Wawrzyńca
– 70 lat w Chorzowie

CZĘSTOCHOWA

**MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE**
Ratusz
Gabinet wybitnych
częstochowian
Bronka Idzikowskiego
przerwany wyścig
Muzeum Pielgrzymowania
Częstochowa
wśród europejskich ośrodków
pielgrzymkowych

**1966-Milenium
kontra 1000-lecie**
wystawa z IPN,
oddz. w Katowicach

Lourdes 150-lecie objawień

Święty Franciszek
na Kaszubach.
Malarstwo Józefy Wnukowej
cykl obrazów poświęconych
św. Franciszkowi z Asyżu

Impresje watykańskie
wystawa fotografii
Adama Bujaka
z Katolickiego
Centrum Kultury
w Krakowie

Zagroda Włościańska
Kultura ludowa
okolic Częstochowy

wystawa ze zbiorów Muzeum
Częstochowskiego
Koziegłowy – zapomniany
ośrodek twórczości
rękodzielniczej

Pawilon Etnograficzny w Parku
im. Stanisława Staszica
XIX wieczna Azja Środkowa
w obiektywie
Leona Barszczewskiego
wystawa ze zbiorów rodziny
Igora Strojckiego
oraz Muzeum Włókiennictwa
w Łodzi

Pawilon „A” w Parku
im. Stanisława Staszica
Ogólnopolska Wystawa
Rzemiosła Artystycznego
wystawa Cechu Rzemiosł
Artystycznych przy współpracy
Muzeum Częstochowskiego

Galeria Malarstwa i Rzeźby
Sztuka Art Deco
wystawa ze zbiorów Muzeum
Mazowieckiego w Płocku

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE
„SZTYGARKA”
Viva l'arte
czynna do 15 listopada

Z Domu Pamiątek
i Przeszłości Zofii
i Stanisława Bocianowskich

Koksownia „Przyjaźń”
w fotografii Andrzeja Kryzy

W fotograficznym atelier
Romana Radzikowskiego
i Piotra Paska

GLIWICE

MUZEUM
III Gliwicki Miesiąc Fotografii
Willa Caro

Piotr Janik. Fotografie
artysta należał w latach 50.-70.
do Gliwickiego Towarzystwa
Fotograficznego, w jego twórczości
można odnaleźć prace
z kręgu neorealizmu, abstrakcjoni-
zmu, a także reportaży foto-
graficznego



Piotr Janik, z cyklu Ręce,
fot. arch. Muzeum w Gliwicach

Utrwalanie.
Z archeologii fotografii
Jerzego Lewczyńskiego
wystawa stanowi
próbę przeciwstawienia się
biernemu przechodzeniu obok
wielu obrazów fotograficznych
bez komentarza

CHORZÓW

**MIEJSKA
GALERIA SZUKI „MM”**
ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

MUZEUM
ul. Powstańców 25
tel. 241-31-04
www.muzeum.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI
ul. M. Konopnickiej 1
tel. 346-19-30
www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

GALERIA SZARA
ul. Srebrna 1
tel. 602-64-54-89
www.galeriaszara.pl

TEATR
IM. ADAMA MICKIEWICZA
plac Teatralny 1
tel. 033 858-16-52
www.teatr.cieszyn.art.pl

CZELADŹ

**GALERIA SZUKI
WSPÓŁCZESNEJ
„ELEKTROWNIA”**
teren kopalni „Saturn”
ul. Dehnelów
www.galeria-elektrownia.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZUKI
aleja NMP 64
tel. 034 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

**MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE**
aleja NMP 45 A
tel. 034 360-56-31
www.muzeumczestochowa.pl

TEATR IM. A. MICKIEWICZA
ul. J. Kilińskiego 15
tel. 034 360-56-50
www.teatr-czestochowa.pl

**FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA**
ul. Wilsona 16
tel. 034 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE

„SZTYGARKA”

ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95
www.muzeum-dabrowa.pl

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA

Pl. Wolności 1, tel. 262-20-63
www.palac.art.pl

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH

WILLA CARO
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY

ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

MIEJSKI

OSRODEK KULTURY
GALERIA EPICENTRUM
tel. 473-10-12
www.mokjastrzebie.pl

KATOWICE

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA
al. Korfantego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GALERIA RONDO SZTUKI
Rondo im. gen. J. Ziętka

GALERIA SZYB WILSON
ul. Oswobodzenia 1
tel. 730-32-20
www.szybwilson.org.pl

GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06
www.gck.org.pl

MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE
Galeria Sztuki Współczesnej
FRA ANGELICO
ul. Wita Stwosza 16
tel. 519-546-023
www.kuria.katowice.pl

O fotografii bez fotografii
możliwość wysłuchania taśm
z archiwum J. Lewczynskiego.
nagrywanych przez fotografa od
lat 50. do dzisiaj

wystawy czynne
do końca listopada

Oddział Odlewnictwa
Artystycznego
Wielcy artyści
w odlewach gliwickiej huty
czynna do końca grudnia

Hutnicza nekropolia
w Gliwicach
czynna do końca grudnia

Willi Caro
16.11. niedziela, godz. 12.00
Spotkanie z Obrazem
Portret ukochanej królowej
portret królowej Luizy,
żony króla pruskiego
Fryderyka Wilhelma III,
namalowany przez
P. Krawutschke w 1882 roku



KATOWICE
MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE
Ks Biskup Herbert Bednorz
(1908-1989)

Świadek Chrystusa
w trudnych czasach
wystawa historyczna w stulecie
urodzin biskupa katowickiego
czynna do 7 grudnia

Romuald Oramus
Pomiędzy obrazem i grafiką
prace z lat 1981-2006
czynna do 9 listopada

MUZEUM ŚLĄSKIE
Malarz Nitka
malarstwo, grafika, rysunek
dynamiczne, pulsujące żywym
kolorem obrazy Zdzisława Nitki
to połączenie fascynacji pracami



Zdzisław Nitka, Kirchner i Marcella,
2004, ole j. akryl, płótno, kolekcja
prywatna Andrzeja Kwanika

mistrzów ekspresjonizmu z
pragnieniem wyrażenia indywidual-
nych wizji. Kilkadziesiąt obra-
zów i tyleż samo rysunków „ma-
larza z Obornik” można zobac-
zyć w Muzeum Śląskim w Ka-
towicach

czynna do 30 listopada

Nauka Śląska dla Polski,
nauka polska dla Śląska



Bartosz Jan Płachno. Powierzchnia
kwiatu *Boucaerosia in dica* (Rowley)
Meve & Liede

wystawa fotograficzna zrealizo-
wana w ramach drugiej edycji
konkursu „Nauka w obiektywie”
czynna do 9 listopada

Ballada o żołnierzu.
Wojna w polskim
plakacie filmowym

ponad sto plakatów przygotowa-
nych do filmów o II wojnie
światowej. wybranych z kolek-
cji Muzeum Śląskiego
czynna do końca grudnia

Inspiracje archeologiczne
w sztuce współczesnej
wystawa obrazów, rysunków
i grafik, których powstanie zain-
spirowało bogactwo form i ma-
terii przedmiotów z dalekiej
przeszłości. Autorami prac są ar-
tyści, absolwenci oraz pedago-
dzy, z Akademii Sztuk Pięknych
w Poznaniu
czynna do końca grudnia

GALERIA SZTUKI
POGRANICZA
„Gwarek 58” – Powroty
czynna do 15 grudnia

MUZEUM
HISTORII KATOWIC
Nikiszowiec 1908-2008.
Z dziejów osiedla i parafii

MYSŁOWICE
MUZEUM
MIASTA MYSŁOWICE
Miasto Mysłówice w świetle
badań archeologicznych
wystawa przygotowana przez
Muzeum Miasta Mysłówice oraz
Fundację „Zamek Chudów”.
prezentuje wynik badań arche-
ologicznych prowadzonych na
mysłowickim Rynku oraz w cią-
gu ul. Grunwaldzkiej w latach
2001-2003. m.in.: zrekonstru-
owane fragmenty ceramiki no-
wożytniej, fragmenty naczyń
szklanych, porcelanę (fragmenty
fajek zdobionych kolorowymi
malunkami, kubki, talerze), czy
srebrne monety, które odnalezio-
no na nysłowickim Rynku
czynna do 3 listopada

RACIBÓRZ

MUZEUM

Wystawy z okazji obchodów
900-lecia pierwszej pisanej
wzmianki o Raciborzu
(1108 r.)

Raciborski strój ludowy
wystawa przygotowana
w ramach *Europejskich*
Dni Dziedzicwa
czynna do końca listopada

Racibórz
na dawnej pocztówce
czynna do końca listopada

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA
7.11. piątek, godz. 16.00
Urodziny Karola Goduli
i Muzeum Miejskiego
w programie m.in.: wręczenie
wyróżnienia „Przyjaciel Mu-
zeum”, odczyt Antoniego Ralki
Wokół miejsca urodzenia Karola
Goduli, monolog Norberta Klosy
Karol Godula

19.11. środa, godz. 17.00
otwarcie
wystawy pokonkursowej
XLI Konkursu Plastyków
Nieprofesjonalnych
Rudzka Jesień
czynna do 29 grudnia

100 plakatów
Romana Kalarusa
czynna do 11 listopada

Mój Śląsk – Moje Miasto
wystawy pokonkursowa
czynna do 30 listopada

4.11. wtorek, godz. 17.00
Wokół książki
W pana dworakowym
rudzkim kalejdoskopie
historycznym
spotkanie dyskusyjne
z B. Dworak
i B. Wystyrk-Benigier

RYBNIK

MUZEUM
Rybnik Art Festiwal
do 21.11
tematem przewodnim festiwalu
jest
Rzeźba w mieście

„2/2”
Wiesław Koronowski
rzeźba

Henryk Fojcik
rzeźba

Aleksander Ostrowski
rysunek

Wiesława Ostrowska
grafika

Powiatowa i Miejska Biblioteka
Publiczna w Rybniku
„2x2”

prezentacja twórczości artystów – pedagogów Katedry Wýtvarné Výchovy Uniwersytetu w Ostrawie i Instytutu Sztuki PWSZ w Raciborzu

Klub Energetyka „Student2”

prezentacja prac studentów Katedry Wýtvarné Výchovy Uniwersytetu w Ostrawie, Instytutu Sztuki PWSZ w Raciborzu oraz asystentów Katedry Rzeźby ASP w Poznaniu

Rybnickie Centrum Kultury „2x1”

prezentacja prac Alojzego Gryta Parkowe stawy – prezentacja koncepcji zagospodarowania terenów zielonych przy Kampusie w Rybniku

SOSNOWIEC

MUZEUM

7.11. piątek

Trójkąt Trzech Cesarzy

wystawa z okazji 90. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości dokumenty, fotografie, wido-kówki, mapy ukazujące obszar „Trójkąta” i jego okolic na przełomie XIX i XX wieku m.in.: makieta (o wymiarach 1,5 x 2 m) przedstawiająca to miejsce przed wybuchem I wojny światowej oraz repliki mundurów żołnierzy: austriackiego, niemieckiego i rosyjskiego
czynna do 31 stycznia 2009 r.

27.11. czwartek

Spotkania Artystyczne Sosnowiec 2008

pokłosie plenerów: plastycznego i fotograficznego
czynna do 31 stycznia 2009 r.

Świat małych samochodów. Mercedes-benz W miniatuże



kilkaset modeli samochodów pochodzących z kolekcji prywatnej i ze zbiorów Mercedes-Benz Sosnowiec
czynna do 16 listopada

6.11. czwartek, godz. 9.00-14.00

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA

Granice w Europie. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do traktatu w Schengen

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM

Wystawy jubileuszowe 50 lat temu w Tarnowskich Górach

Skarby Muzeum w Tarnowskich Górach

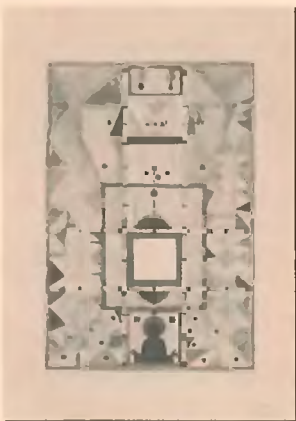
TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

Mieszkańcy Tychów i okolic. Ich życie i praca na przestrzeni wieków
wystawa pokonkursowa
czynna do 15 listopada

Zbiory Działu Sztuki Muzeum Miejskiego w Tychach powiększyły się o projekty siedmiu polichromii autorstwa

Jerzego Nowosielskiego zrealizowane w kościele p.w. Ducha Świętego w Tychach. Zakupione projekty polichromii Jerzego Nowosielskiego będzie można oglądać w muzeum na specjalnie przygotowanej ekspozycji



Jerzy Nowosielski, projekt polichromii do kościoła p.w. Ducha Świętego w Tychach; fot. Galeria Starmach

czynna do 15 listopada

ZABRZE

MUZEUM MIEJSKIE

Z dziejów kin Zabrze
wystawa z okazji **100. lecia kina Roma w Zabrzu**
czynna do końca grudnia

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE KLUB SPINOZA

Tybetańskie inspiracje
zdjęcia wykonano podczas wyprawy naukowo-badawczej „Yatra 2007” realizowanej przez Polską Akademię Nauk w Poznaniu



czynna do końca grudnia

BĘDZIN

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA

8.11. sobota, godz. 17.00

premiera!

Śpiąca królewna

scenariusz Marta Guśniewska
reżyseria Ireneusz Maciejewski
scenografia Michał Golubowski
muzyka Piotr Klimek

BIELSKO-BIAŁA

TEATR POLSKI

Duża scena

8.11. sobota, godz. 19.00

premiera!

9.11. niedziela, godz. 19.00

premiera!

11.11. wtorek, godz. 19.00

12.11. środa, godz. 19.00

18.11. wtorek, godz. 19.00

20.11. czwartek, godz. 19.00

Napis

reż. Waldemar Patlewicz

16.11. niedziela, godz. 16.00

Szalone nożyczki

17.11. poniedziałek, godz. 19.00

Kamienie w kieszeniach

gościnnie:

Teatr Scena Graffiti w Lublinie

21.11. piątek, godz. 19.00

23.11. niedziela, godz. 19.00

Szwejk

25.11. wtorek, godz. 19.00

Bielska Scena Kabaretowa

28.11. piątek, godz. 19.00

Mayday

30.11. niedziela, godz. 19.00

Igraszki z diabłem

gościnnie:

Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie

Mała Scena

6.11. czwartek, godz. 19.00

Fabryka Sensacji

– Proszyk i Spółka

premiera nowego odcinka!

8.11. sobota, godz. 19.00

9.11. niedziela, godz. 19.00

30.11. niedziela, godz. 19.00

Frida K.

monodram w wykonaniu

Katarzyny Skrzypek

15.11. sobota, godz. 19.00

19.11. środa, godz. 19.00

27.11. czwartek, godz. 19.00

Utarczki

16.11. niedziela, godz. 19.00

Ja w podróży

18.11. wtorek, godz. 19.00

Fabryka Sensacji

– Proszyk i Spółka

Przedwojenne Bielsko i Biała na taśmie filmowej

23.11. niedziela, godz. 17.00

Piaskownica

25.11. wtorek, godz. 19.00

26.11. środa, godz. 20.00

Żyd

MUZEUM ŚLĄSKIE

al. Korfantego 3

tel. 258-56-61 do 63

www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM

HISTORII KATOWIC

ul. Ks. J. Szafranka 9

tel. 256-18-10

www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI

Rynek 2, tel. 258-72-51

www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ

GCK, plac Sejmu Śl. 2

tel. 209-00-88

www.korez.art.pl

ŚLĄSKI TEATR LALKI

I AKTORA „ATENEUM”

ul. św. Jana 10

tel. 253-82-21

www.ateneum.art.pl

IPIMUM „SILESIA”

ul. 3 Maja 31a

tel. 259-84-83

www.silesia.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA

ul. Sokolska 2

tel. 258-62-61

www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA

ul. T. Kościuszki 88/90

tel. 032 251-93-38

www.estradaslaska.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

pl. Rady Europy 1

tel. 208-37-00

www.bs.katowice.pl

MIEJSKA BIBLIOTEKA

PUBLICZNA

ul. Kossutha 11

tel. 254-60-98

www.mbp.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO

ul. św. Jana 24

tel. 251-04-31

www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI

I TAŃCA „ŚLĄSK”

ul. Zamkowa 3

tel. 034 357-63-40

www.slask.art.pl

MIKOŁÓW

**MIĘJSKI DOM KULTURY
GALERIA MDK**
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikołow.eu

MYSŁOWICE

**MUZEU MIASTA
MYSŁOWICE**
ul. Stadionowa 7a
tel. 222-36-12 w. 51
www.muzeummyslowic.pl

RACIBÓRZ

MUZEU W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15
tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RUDA ŚLĄSKA

**MUZEU MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA**
ul. Wolności 26
tel. 248-44-57

RYBNIK

**RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1
tel. 42-22-132
www.kultura.rybnik.pl

MUZEU W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

SOSNOWIEC

MUZEU
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 266-04-94
www.teatrzagłębia.pl

**MIĘJSKI KLUB
IM. JANA KIEPURY**
ul. Będzińska 6, tel. 291-39-48
www.kiepura.pl

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEU
Rynek 1, tel. 285-26-07
www.muzeumtg.art.pl

**TEATR LALEK
BANIALUKA**
2.11. niedziela, godz. 11.00
23.11. niedziela, godz. 11.00
Tomcio Paluszek

9.11. niedziela, godz. 11.00
Czerwony Kapturek

16.11. niedziela, godz. 11.00
Alicja w krainie czarów

30.11. niedziela,
godz. 11.00 i 16.00
premiera!
Ferdynand Wspaniały
reżyseria Lucyna Sypniewska
scenografia Jan Polivka
muzyka Krzysztof Maciejowski

BYTOM
OPERA ŚLĄSKA
20.11. czwartek, godz. 20.00
Halka

23.11. niedziela, godz. 11.00
sala im. A. Didura
Salon poezji i muzyki
Anny Dymnej

23.11. niedziela, godz. 18.00
Aleksander Maceradi
recital

27.11. czwartek, godz. 18.00
Księżniczka czardasza

28.11. piątek, godz. 18.00
Aida

30.11. niedziela, godz. 18.00
Gala Straussowska

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
7.11. piątek, godz. 19.00
Compagnie Linga „Speed”
(Szwajcaria)

21.11. piątek, godz. 19.00
Panopticon
albo/i **Przypowieść o maku**

29.11. sobota, godz. 19.00
Laboratorium
choreograficzne ŚTT
Przelotnie

CHORZÓW
TEATR ROZRYWKI
Duża scena

3.10. poniedziałek, godz. 19.00
z cyklu **Górny Śląsk**
– **świat najmniejszy**
Zagraj mi śląski Cyganie
Wieczór muzyki,
tańca i poezji romskiej

4.11. wtorek, godz. 19.00
5.11. środa,
godz. 16.00 i 19.00
6.11. czwartek,
godz. 16.00 i 19.00
Jesus Christ Superstar

7.11. piątek, godz. 19.00
Trzy siostry
gościnnie Teatr
im. A. Mickiewicza
w Częstochowie

10.11. poniedziałek, godz. 19.00
O co biega?

12.11. środa, godz. 19.00
13.11. czwartek, godz. 19.00
Krzyk wg J. Kaczmarskiego

18.11. wtorek, godz. 18.30
19.11. środa, godz. 18.30
20.11. czwartek, godz. 18.30
23.11. niedziela, godz. 18.30
Skrzypek na dachu

22.11. sobota, godz. 19.00
Pod Budą

25.11. piątek, godz. 19.00
26.11. środa, godz. 19.00
Spin

29.11. sobota, godz. 19.00
Jaromir Nohavica

Mała Scena
5.11. środa, godz. 19.30
6.11. czwartek, godz. 19.30
7.11. piątek, godz. 19.30
Czarodziejki z Harlemu

9.11. niedziela, godz. 19.30
11.11. wtorek, godz. 19.30
Shirley Valentine

13.11. czwartek, godz. 19.30
14.11. piątek, godz. 19.30
Lady Day – Billie Holiday

17.11. poniedziałek, godz. 19.30
Entrée
Maszynopis
Bez Paniki

18.11. wtorek, godz. 19.30
19.11. środa, godz. 19.30
Pomalu, a jeszcze raz!

CIESZYN
TEATR IM. A. MICKIEWICZA

5.11. środa, godz. 18.00
Koncert
Orkiestry Symfonicznej
im. Janáčka z Ostrawy

15.11. sobota, godz. 16.00
Zofia Kossak-Szczucka
Gość oczekiwany

24.11. poniedziałek, godz. 16.30
Koncert
PSM w Cieszynie

28.11. piątek, godz. 18.00
Spotkania nad Olzą
Waldemar Malicki

CZĘSTOCHOWA
TEATR IM. A. MICKIEWICZA
Duża scena
TEATROBRANIE
6.11. czwartek, godz. 18.00
Trzy siostry

7.11. piątek, godz. 19.00
O co biega?
Teatr Rozrywki w Chorzowie

8.11. sobota, godz. 19.00
Brell
Teatr im. J. Kochanowskiego
w Opolu

9.11. niedziela, godz. 18.00
Trans-Atlantyk
Teatr im. S. Żeromskiego
w Kielcach

14.11. piątek, godz. 19.00
16.11. niedziela, godz. 19.00
Mayday

29.11. sobota, godz. 19.00
30.11. niedziela, godz. 19.00
Andzejki w Teatrze
Testosteron
gościnnie
Teatr Polski w Bielsku-Białej

Scena kameralna
22.11. sobota, godz. 19.00
premiera!
23.11. niedziela, godz. 19.00
26.11. środa, godz. 18.00
27.11. czwartek, godz. 19.00
Pierwszy raz
Michał Walczak
reżyseria Tomasz Man

Foyer
15.11. sobota, godz. 16.00
Salon poezji

GLIWICE
GLIWICKI TEATR
MUZYCZNY
4.11. wtorek, godz. 12.00
Chłopcy z placu Broni
spektakl muzyczny GTM Junior

5.11. środa, godz. 18.00
JAZZ SASSIONS
w programie:
projekt
Mateusza Pospieszalskiego
EMPE3
i **Stanisław Sojka**

7.11. piątek, godz. 18.30
8.11. sobota, godz. 18.30
Kraina uśmiechu

9.11. niedziela, godz. 17.00
Wybory
„Miss Nowin Gliwickich”
koncert

11.11. wtorek, godz. 18.00
Koncert z okazji
Święta Niepodległości
wystąpi ZPiT ŚLĄSK

13.11. czwartek, godz. 19.00
14.11. piątek, godz. 19.00
Footloose – wrzuć luz!

15.11. sobota, godz. 18.30
Dajcie mi tenora!

21.11. piątek, godz. 18.30
22.11. sobota, godz. 18.30
Ragtime

23.11. niedziela, godz. 12.00
Pezja
Krzysztofa Kamila
Baczyńskiego

28.11. piątek, godz. 18.30
29.11. sobota, godz. 18.30
30.11. niedziela, godz. 18.00
Księżniczka czardasza

TEATRY

KATOWICE
TEATR SŁĄSKI
 Duża scena
 6.11. czwartek, godz. 18.00
Król Edyp
 7.11. piątek, godz. 18.00
 8.11. sobota, godz. 18.00
 9.11. niedziela, godz. 18.00
Polterabend
 10.11. poniedziałek, godz. 18.00
Straszny dwór
 gościnnie: Opera Śląska
 11.11. wtorek, godz. 18.00
Póki żyjemy...
 wieczór wspomnień z udziałem
 b. więźniów KL Auschwitz
 15.11. sobota, godz. 18.00
 16.11. niedziela,
 godz. 17.00 i 20.00
Mayday
 20.11. czwartek, godz. 18.00
Nie teraz kochanie
 22.11. sobota, godz. 18.00
 23.11. niedziela, godz. 18.00
Mayday 2
 24.11. poniedziałek, godz. 18.00
Królewna Śnieżka
 29.11. sobota, godz. 18.00
 30.11. niedziela, godz. 18.00
Wieczór kawalerski
 Scena kameralna
 6.11. czwartek, godz. 18.30
 7.11. piątek, godz. 18.00
Sinobrody...
 14.11. piątek, godz. 17.00
 promocja książki
 I. Gogolewskiego
**Od Gustawa-Konrada
 do Antka Boryny**
 15.11. sobota, godz. 18.30
 16.11. niedziela, godz. 18.30
Oskar i Róża
 23.11. niedziela, godz. 18.30
**Pogranicza –
 Dialekty – Tożsamość
 Dyptyk Chasydzki**
 29.11. sobota, godz. 18.30
 30.11. niedziela, godz. 18.30
Zdobycie bieguna...
 Scena w Malarni
 8.11. sobota, godz. 19.00
 9.11. niedziela, godz. 19.00
Czaszka z Connemary
 13.11. czwartek, godz. 19.00
 14.11. piątek, godz. 19.00
 27.11. czwartek, godz. 19.00
 28.11. piątek, godz. 19.00
Mateczka
 16.11. niedziela,
 godz. 17.00 i 19.00
Bobok
 wg F. Dostojewskiego
 Teatr Polski w Poznaniu

20.11. czwartek, godz. 19.00
 21.11. piątek, godz. 19.00
Underground
 8.11. sobota, godz. 19.00
 23.11. niedziela, godz. 19.00
Mleczarnia
TEATR KOREZ
 2.11. niedziela, godz. 15.00
 10.11. poniedziałek, godz. 19.00
 23.11. niedziela, godz. 14.30
Cholonek
 2.11. niedziela, godz. 19.00
 15.11. sobota, godz. 19.00
 29.11. sobota, godz. 18.00 i 21.00
Scenariusz dla 3 aktorów
 7.11. piątek, godz. 19.00
 23.11. niedziela, godz. 19.00
Kolega Mela Gibsona
 8.11. sobota, godz. 19.00
Kabaret To Za Duże Słowo
 9.11. niedziela, godz. 18.00
Kometa...
 11.11. wtorek, godz. 19.00
Sztuka
 12.11. środa, godz. 19.00
 13.11. czwartek, godz. 19.00
Zwykłe potrzeby
 14.11. piątek, godz. 19.00
Nie wszystko o mojej matce
 21.11. piątek, godz. 19.00
Dom o Zielonych Progach
 22.11. sobota, godz. 19.00
 koncert zespołu
Kompilacja
 24.11. poniedziałek, godz. 20.00
Zwierzenia pornogwiazdy
 Teatr Ludowy w Krakowie
 26.11. środa, godz. 19.00
**Krzysztof Daukszewicz, śpiew
 Iza Marcińczak (goście)
 Kabaret Długi (gospodarze)**
 28.11. piątek, godz. 19.00
Percival, koncert
 30.11. niedziela, godz. 19.00
Homlet
TEATR ATENEUM
 Galeria Ateneum
 14.11. piątek, godz. 13.00
 28.11. piątek, godz. 13.00
Jama
 Scena Ateneum
 8.11. sobota, godz. 16.00
O Czerwonym Kapturku...
 9.11. niedziela, godz. 16.00
 11.11. wtorek, godz. 16.00
O Smoku Grubeloku
 15.11. sobota, godz. 16.00
Pinokio
 16.11. niedziela, godz. 16.00
Wesołe historie

22.11. sobota, godz. 16.00
premiera!
 23.11. niedziela, godz. 16.00
 30.11. niedziela, godz. 16.00
Klonowi bracia
 29.11. sobota, godz. 16.00
Pchła Szachrajka
RYBNIK
TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ
 7.11. piątek, godz. 20.00
Stanisław Sojka
 8.11. wtorek, godz. 18.00
Magiczny Hollywood
 wystąpią:
 Grażyna Brodzińska i jej goście
**XXIII
 SILESIA JAZZ MEETING**
 21.11. piątek, godz. 19.00
Maciek Obara Trio
Peter Beets Trio
 (Holandia)
 22.11. sobota, godz. 19.00
**Paulina Kujawska
 Quintet**
**Urszula Dudziak
 & Superband**
 29.11. sobota, godz. 17.00
**Wielka Gala Gawędziarzy
 Rybnik' 2008**
SOSNOWIEC
TEATR ZAGŁĘBIA
 7.11. piątek, godz. 19.00
premiera!
 8.11. sobota, godz. 18.00
 16.11. niedziela, godz. 18.00
 28.11. piątek, godz. 18.00
Cyrano de Bergerac
 reżyseria: Dariusz Wiktorowicz
 scenografia: Paweł Hubicka
 9.11. niedziela, godz. 18.00
 23.11. niedziela, godz. 18.00
Miłość to takie proste
 11.11. wtorek, godz. 18.00
Niech żyje bal
 15.11. sobota, godz. 18.00
Biznes
 21.11. piątek, godz. 18.00
 22.11. sobota, godz. 18.00
Bóg
 29.11. sobota, godz. 18.00
Mayday
 gościnnie
 Teatr im. A. Mickiewicza
 w Częstochowie
 30.11. niedziela, godz. 18.00
Sztuka kochania...
TYCHY
TEATR MAŁY
 4.11. wtorek, godz. 18.30
**Funk De Nite
 & Bryan Corbett**
 koncert

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
 ul. Katowicka 9
 tel. 327-18-20

**TEATR MAŁY
 GALERIA OBOK**
 ul. kard. A. Hłonda 1
 tel. 227-20-67
www.teatrmaly.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY
 pl. Teatralny 1
 tel. 271-32-56
www.teatrnowywzabrze.art.pl

**FILHARMONIA
 ZABRZAŃSKA**
 ul. Wolności 325
 tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM MUZYKI I TAŃCA
 ul. Gen. de Gaulle'a 17
 tel. 271-56-41 w. 47
www.dmit.com.pl

**MUZEUM GÓRNICICTWA
 WĘGLOWEGO**
 ul. 3 Maja 19
 tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE
 ul. 3 Maja 91
 tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

KOPALNIA SZTUKI
 ul. Hagera 43
 tel. 271-24-49 wew. 10
www.kopalniasztuki.com.pl

ZORY

MUZEUM MIEJSKIE
 ul. Dolne Przedmieście 1
 tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

ZYWIEC

**MIEJSKIE
 CENTRUM KULTURY**
 al. Wolności 4
 tel. 033 475-11-60
www.mck.zwicz.pl

5.11. środa, godz. 19.30
Cavewoman
– **kohieta jaskiniowa**
wystąpi
Hanna Śleszyńska oraz Pan X

7.11. piątek, godz. 18.30
Spotkania Poetyckie OBOK
Adam Wiedemann
laureat Nagrody Literackiej
Gdynia 2008

8.11. sobota, godz. 16.00
Wesołe historie
Teatr Ateneum w Katowicach

10.11. poniedziałek, godz. 18.30
Koncert Zespołu
Muzyki Dawnej
Scandicus

16.11. niedziela, godz. 18.00
Nabucco
Opera Śląska w Bytomiu

21.11. piątek, 22.11. sobota
II Tyski
Festiwal Monodramu
„MoTyF”

28.11. piątek, godz. 18.00
Kabaret Łowcy. B

30.11. niedziela, godz. 17.30
Krzak
Extrim Tour 2008
promocja najnowszej płyty

ZABRZE

TEATR NOWY

2.11. niedziela, godz. 18.00
11.11. wtorek, godz. 18.00
16.11. niedziela, godz. 18.00
23.11. niedziela, godz. 18.00
Bardzo zwyczajna historia

7.11. piątek, godz. 19.00
21.11. piątek, godz. 19.00
Mój boski rozwód

8.11. sobota, godz. 18.00
9.11. niedziela, godz. 18.00
Tutam

14.11. piątek, godz. 19.00
28.11. piątek, godz. 19.00
30.11. niedziela, godz. 18.00
Wszystko o kobietach
– **Wszystko o mężczyznach**

15.11. sobota, godz. 18.00
Podwójna rezerwacja

17.11. poniedziałek, godz. 18.00
Czytanie dramatu

22.11. sobota, godz. 18.00
Porucznik z Inishmore

23.11. niedziela, godz. 15.00
Bajkowa niedziela
Wróżby,
wróżki i czarodzieje

29.11. sobota, godz. 18.00
Niech żyje bał gościnnie
Teatr Zagłębia w Sosnowcu

BĘDZIN

Muzeum Zagłębia
23.11. niedziela, godz. 16.00
W świecie gitary
koncert kameralny

CZĘSTOCHOWA

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
7.11. piątek, godz. 19.00

koncert
Monika Stefaniak – dyrygent
wystąpi Janusz Radek

14.11. piątek
Serenady Polskie
Jerzy Salwarowski – dyrygent

21.11. piątek
Koncert
w ramach **X Święta Muzyki**
Tomasz Bugaj – dyrygent

25.11. wtorek
Wieczór kameralny
Koncert dedykowany
rosyjskiemu skrzypkowi
Dawidowi Ojstrachowi
w **100. rocznicę urodzin**
Kaja Danczowska – skrzypce
Justyna Danczowska – fortepian

28.11. piątek
Muzyka polska wczoraj i dziś
Roman Lasocki – skrzypce
Kamila Wąsik – skrzypce
J. Salwarowski – dyrygent

KATOWICE

FILHARMONIA ŚLĄSKA
7.11. piątek, godz. 19.00
Pasja z pasją
Wielkie dzieła
– **wielkie interpretacje**
B. Gola – dyrygent
E. Biegas – sopran
A. Lubańska – mezzosopran
K. Szmyt – tenor
C. Galka – bas

8.11. sobota, godz. 18.00
Rodzinną wirtuozeria
Śląska Orkiestra Kameralna
J. Stanienda – dyrygent, skrzypce
K. Stanienda – fortepian

10.11. poniedziałek, godz. 18.00
Sosnowiec,
Klub im. Jana Kiepury
Carmen uwodzicielska
Śląska Orkiestra Kameralna
M. Walewska – mezzosopran
M. Caldi – dyrygent

11.11. wtorek, godz. 10.30
Katowice, archikatedra
oprawa muzyczna
Mszy św. z okazji
Święta Niepodległości
Chór Filharmonii Śląskiej
W. Sutryk – dyrygent
w programie:
M. Leopolda – Missa paschalis

11.11. wtorek, godz. 19.00
Giszowice, DK
Filharmonia Śląska
dla Giszowca
Śląska Orkiestra Kameralna
M. Caldi – dyrygent

14.11. piątek, godz. 19.00
Wielkie dzieła
– **wielkie interpretacje**
Spod znaku Wieniawskiego
J. W. Hawel – dyrygent
A. M. Staśkiewicz – skrzypce

15.11. sobota, godz. 18.00
95 lat „Ogniwa”
Chór Mieszany „Ogniwo”
M. J. Błaszczyk – dyrygent
M. Muszyńska – sopran
E. Nowak – tenor

21.11. piątek, godz. 19.00
Muzyczne podróże
J. Salwarowski – dyrygent
Jean-Marc Fessard – klarnet

28.11. piątek, godz. 19.00
W 75. urodziny
Festiwal Górecki – Penderecki
M. Caldi – dyrygent
R. Kwiatkowski – wiolonczela
A. Szerszeń – baryton

30.11. niedziela, godz. 19.30
Katowice, kościół Mariacki
Muzyka w kościele Mariackim
Śląska Orkiestra Kameralna
M. Caldi – dyrygent

IPiUM SILESIA
9.11. niedziela, godz. 17.00
MDK Koszutka
Muzyka – moja miłość
Ze skarba muzyki polskiej
wystąpi: P. Banasik – fortepian

20.11. czwartek, godz. 18.00
Muzeum Archidiecezjalne
Laureaci międzynarodowych
konkursów muzycznych
wystąpi: M. Lisak

27.11. czwartek, godz. 18.00
Akademia Muzyczna
Młode gwiazdy
pianistyki rosyjskiej
wystąpi:
S. Solowiew – fortepian

GCK
JAZZ I OKOLICE
Międzynarodowy Festiwal
Nowej Muzyki
Improwizowanej
8.11. sobota, godz. 20.00
Kino Muza Sosnowiec
Bill Frisell

16.11. niedziela, godz. 20.00
Jazz Club Hipnoza
The Claudia Quintet

30.11. niedziela, godz. 20.00
sala koncertowa
Herbie Hancock Sextet

KOSZĘCIN

ZESPOŁ PIESNI I TANCA
„ŚLĄSK”
9.11. niedziela, godz. 17.30
Zabrze, DMiT
11.11. wtorek, godz. 18.00
Gliwice, GTM
koncert z okazji
Święta Niepodległości
A to Polska właśnie

19.11. środa, godz. 18.00
Dąbrówka Wielka
Santo Subito

23.11. niedziela, godz. 16.00
Chorzów, kościół Jezusa
Chrystusa Dobrego Pasterza
Bogurodzica

29.11. niedziela, godz. 18.00
Cieszyn, Teatr
Mistrzowskie
Spotkania nad Olzą

SOSNOWIEC

MIEJSKI KLUB
IM. J. KIEPURY
10.11. poniedziałek, godz. 18.00
Carmen uwodzicielska
koncert galowy
z okazji 25. lecia Miejskiego
Klubu J. Kiepury
wystąpi:
Małgorzata Walewska
i Śląska Orkiestra Kameralna
pod dyr. M. Caldi

17.11. poniedziałek, godz. 18.00
Pieśni legionowe i patriotyczne

TARNOWSKIE GÓRY

Muzeum
9.11. niedziela, godz. 11.00
Koncert pod renesansowym
stropem
Śpiewające puzyry
Śląski Kwartet Puzonowy

ZABRZE

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA
7.11. piątek, godz. 18.00
Gala Operowa
S. Chrzanowski – dyrygent
wystąpi:
Aleksandra Kubas – sopran
Albin Bodakowski – tenor
21.11. piątek, godz. 18.00
Vabank
koncert Muzyki Filmowej
Henryka Kuźniaka
J. Powolny – dyrygent

DOM MUZYKI I TAŃCA
8.11. sobota, godz. 20.00
Gaelforce Dance
taniec nowoczesny z celtyckimi
rytmami, balet ze stepowaniem,
tradycja i nowoczesność

29.11. sobota, godz. 19.00
Electric Light Orchestra

30.11. niedziela, godz. 18.00
Sukhishvili Georgian
State Dance Company



Największe widowisko Gruzji
blisko stu artystów,
piosenkarzy i muzyków

ARS CAMERALIS
7.11. piątek, godz. 19.30
kościół pw. św. Piotra i Pawła
Koncert inauguracyjny
Chapelle Rhénane
(Francja)
w programie:
Pasja wg św. Jana
J.S. Bacha
dyrygent Benoit Haller

8.11. sobota, godz. 20.00
Art Cafe Muza w Sosnowcu
Koncert Billa Frisella
(USA)

9.11. niedziela, godz. 19.00
Klub Hipnoza
Wieczór Muzyki Alternatywnej
I Am Kloof (Wielka Brytania)
Whip with
Summer Morgan Dance
(USA)
Muariolanza

12.11. środa, godz. 18.00
Rondo Sztuki
Jorn spotyka Deborda
i Dubuffet
wystawa litografii
Asgera Jorna
i pokaz filmów Guy Deborda

13.11. czwartek, godz. 17.00
Teatr Śląski
Skórzane oblicza
wystawa masek
do komedii dell'arte autorstwa
Stefano Perocco di Meduna

13.11. czwartek, godz. 18.00
Teatr Śląski
Wokół komedii dell'arte
spotkanie z reżyserem
Roberto Cuppone

14.11. piątek, godz. 19.00
Teatr Śląski
Arlekin / Don Giovanni
Teatr Pantakin da Venezia
(Włochy)

15.11. sobota, godz. 19.00
Teatr Rozrywki w Chorzowie
Koncert zespołu
LOW (USA)

16.11. niedziela, godz. 19.30
kościół pw. św. Piotra i Pawła
Koncert
muzyki dawnej
Venice Baroque Orchestra
(Włochy)
w programie: A. Vivaldi
i G. F. Haendel
dyrygent Andrea Marcon

18.11. wtorek, godz. 18.00
Teatr Korez
Śniącym
wg Calderona
Teatr Remedium
III LO w Chorzowie

19.11. środa, godz. 18.00
Rondo Sztuki
Jean-Michel Alberola
Echa i fantomy 1968
20.11.-22.11.
Uniwersytet Śląski,
Akademia Sztuk Pięknych,
Rondo Sztuki, Kinoteatr Rialto
Dni Nowych Mediów
z udziałem

Derricka de Kerckhove
wykłady, panele, seminaria,
wystawa

20.11. czwartek, godz. 19.00
Rondo Sztuki
Koncert zespołu
Real Tuesday Weld
(Wielka Brytania)

21.11. piątek, godz. 18.00
BWA
Roger Ballen
Smutek śmierci
retrospektywna
wystawa fotografii
czynna do 30 stycznia

21.11. piątek, godz. 20.00
Kinoteatr Rialto
Koncert zespołu
Efterklang (Dania)

22.11. sobota, godz. 19.00
Klub Electro
Zbieg Poetycki Na Dziko

23.11. niedziela, godz. 19.00
kościół pw. św. Piotra i Pawła
The Hilliard Ensemble
(Wielka Brytania)
oraz

Orkiestra Kameralna Miasta
Tychy AUKSO

24.11. poniedziałek, godz. 19.00
Bytomskie Centrum Kultury
Dwie godziny
i trzynaście minut później
wg *Śmierć wierniejsza*
niż miłość

Marqueza
Teatr Poddańczy
Absolwentki
Akademii Teatralnej
w Białymstoku

27.11. czwartek, godz. 20.00
Kinoteatr Rialto
The Complainer
&
The Complainers
oraz Artur Rojek
i kwartet smyczkowy

28.11. piątek, godz. 19.00
Archikatedra
Koncert
Orkiestra Kameralna Miasta
Tychy AUKSO
oraz Zespół Śpiewaków miasta
Katowice Camerata Silesia

w programie:
Veni Creator
Wojciecha Kilara
polskie prawykonywanie

28.11. piątek, godz. 19.00
Chorzów, Teatr Rozrywki
Sen nocy letniej
Teatr Oskarasa Koršunovasa
(Litwa)

29.11. sobota, godz. 19.00
Galeria Kronika w Bytomiu
Camping
Joanna Rajkowska
wystawa
czynna do 31 stycznia

30.11. niedziela, godz. 20.00
Sosnowiec, Art Cafe Muza
Koncert finałowy
Mercury Rev (USA)

Międzynarodowe
Targi Katowickie
14.11.-16.11.
ŚLĄSKIE TARGI KSIĄŻKI
Książka dla każdego

CHORZÓW

Muzeum
26.11. środa, godz. 17.00
Wiersze na każdą pogodę
XV Spotkanie
poetycko-muzyczne
Pokochać jesień
wiersze zaprezentują:
Romana Jegor
Jacek Kurek
Barbara Dziekańska
Weronika Górka

DĄBROWA GÓRNICZA

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
8.11. sobota, godz. 18.00
Michał Bajor
koncert

9.11. niedziela, godz. 18.00
Ptasznik z Tyrolu
Teatr Muzyczny w Gliwicach

21.11. piątek, godz. 19.00
Kabaret Łowcy.B

29.11. sobota, godz. 15.30 i 19.00
Goło i wesolo
spektakl teatralny
występują:
Radosław Pazura,
Paweł Królikowski,
Tomasz Sapryk,
Miroslaw Zbrojewicz,
Andrzej Andrzejewski,
Henryk Gołębiowski,
Dorota Deląg,
Jacek Lenartowicz

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
13.11. czwartek, godz. 17.00
Ligota, Filia nr 7
Fajfy w Bibliotece

Magiczny Tybet
spotkanie z Markiem Górnym

27.11. czwartek, godz. 17.00
Dąbrowka Mała, Filia nr 20
Czwartek w bibliotece
Spotkanie
z **Tomaszem Rzeczyckim**,
satyrykiem, poetą
połączone z prezentacją
multimedialną

Mistrz słowa
prowadzi **Marta Fox**
3.11. poniedziałek, godz. 17.00,
Filia nr 14, Os. Tysiąclecia
Feliks Netz
poeta, prozaik, felietonista,
tłumacz, krytyk filmowy

17.11. poniedziałek, godz. 17.00
Ligota, Filia nr 32
Barbara Ptak
wybitny scenograf
i kostiumolog filmowo-teatralny

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
11.11. wtorek, godz. 18.00
Wieczornica Listopadowa
Obchody rocznicy Odzyskania
Niepodległości
koncert fortepianowy

14.11. piątek, godz. 17.00
Rynek i sala widowiskowa
Marcinowe Święto

18.11. wtorek, godz. 18.00
Galeria 33

Galeria Podróżnicza
Bogusław Magrel
Kamczatka
Zaginiony świat wulkanów

19.11. środa, godz. 18.00
Kolega Mela Gibsona
monodram
Teatr Korez

24.11.-25.11
godz. 16.00
sala widowiskowa
Koncert

śluchaczy mikołowskiego
Studium Muzycznego

MYSŁOWICE

MIEJSKIE
CENTRUM KULTURY
W ramach obchodów
Roku Herberta
18.11. wtorek, godz. 17.00
Finał
konkursu recytatorskiego
Przesłanie Pana Herberta

godz. 19.00
Uroczyste zakończenie
obchodów Roku Herberta
Siódmy Anioł
koncert Dominiki Świątek
z zespołem

Pod patronatem „Słaska” CAMERA SILESIA zakończona

W Gliwicach zakończyła się znacząca dla kultury filmowej regionu impreza: V Międzynarodowy Festiwal Filmowy CAMERA SILESIA. Program festiwalu stwarzał okazję do obejrzenia różnorodnych propozycji filmowych. Organizatorzy wybierali do prezentacji obrazy tworzone przez pochodzących ze Śląska reżyserów, filmy o Śląsku, a także archiwalne dokumenty. W ramach każdej edycji festiwalu starano się prezentować sylwetki artystów pochodzących z naszego regionu. W bieżącym roku byli to Tadeusz Bradecki, ukazywany w swoich filmowych rolach. Przypomniane zostały filmy K. Kieślowskiego „Amator”, K. Zanussiiego „Constans” i „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” oraz „Wielki bieg” w reż. J. Domaradzkiego. Odbyło się także spotkanie z Tadeuszem Bradeckim aktorem i reżyserem, obecnie dyrektorem Teatru im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Kolejnym artystą, przywołanym w filmowych obrazach był Gerard Wilk, nieżyjący już, pochodzący z Gliwic wybitny tancerz. Była to okazja do przypomnienia kilku znanych polskich filmów z lat 60., w tym obrazu A. Wajdy „Przekładaniec”, a także dokumentu filmowego „Gerard Wilk – kilka razy zaczynałem od zera” w reż. Bogdana Łoszewskiego.

Podczas każdej edycji festiwalu prezentowane są filmy archiwalne. Tym razem był to film z 1929 roku „Żelazny Hindenburg w czasie wojny i pokoju” w reż. Johannesha Hausslera oraz bogaty w cytaty z archiwalnych obrazów film Kordiana Maugga z 2005 roku „Zeppelin”.

Premierowymi pokazami były dwa interesujące filmy powstałe dla Czeskiej Telewizji ukazujące „katyńską” historię mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. Film „Zbrodnia katyńska” z 2007 oraz „Czaszka” z 2008 w reż. Petry Všelichovej.

Uczestnicy festiwalu mogli poznać także dwa obrazy opowiadające historie osób pochodzenia żydowskiego, związanej z Chorzowem Maji Gordon w filmie Joanny Rajkowskiej „Maja Gordon jedzie do Chorzowa” oraz film B. Łoszewskiego „Kto zna człowieka ukrytego w szafie” o Shevachu Weissie, którego los na krótki czas związał z Gliwicami.

W ramach inauguracji festiwalu pokazano powstały w 2007 roku obraz Roberta Glińskiego „Benek”. Film jak dotąd pozostający poza szeroką dystrybucją. W 2007 r. na PFFP w Gdyni, jury przyznało nagrodę za drugoplanową rolę męską w tym filmie Zbigniewowi Stryjowi.

Uwagę festiwalowej publiczności zwróciła znakomita gra aktorów i gwara, która w naturalny sposób buduje klimat, tego w pewien sposób śląskiego filmu. Poza Zbigniewem Stryjem w filmie zagraли młodzi wywodzący się z naszego regionu artyści.

Festiwalowi, jak co roku towarzyszyły spotkania z twórcami filmów i aktorami.

Festiwal odbywał się od 17 do 23 października 2008, a jego organizatorem było Kino Studyjne Amok oraz Muzeum w Gliwicach.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Koncert w rocznicę Odsieczy Wiedeńskiej

12 września na Jasnej Górze w Częstochowie odbył się zorganizowany przez Jana Miluna – dyrektora Bostońskiego Towarzystwa Muzycznego im. Stanisława Moniuszki koncert dla uczczenia 325. rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej.

Podczas koncertu wystąpiły połączone chóry Opery Śląskiej pod dyrekcją Anny Tarnowskiej. Politechniki Wrocławskiej, św. Maksymiliana z Brzegu, „Talis Cantus” z Otmuchowa oraz chór męski „Pochodnia” z Częstochowy, które wykonały pieśń „Gau-de Mater Polonia”. Z kolei w części artystycznej wystąpili również soliści związani z Operą Śląską: Justyna Dyla, Halina Fulara-Duda, Anna Kutkowska, Małgorzata Pańko, Włodzimierz Skalski i Feliks Widera oraz orkiestra Opery Śląskiej pod dyrekcją Andrzeja Knapa i Tadeusza Serafina. Wykonali oni m.in. utwory Moniuszki, Szymanowskiego, Mozarta, Haendla i Kilara oraz utwory specjalnie skomponowane na tę okazję, tj. „Gloria op.95 for Pope Jon Paul II – 2005” Jarosława Gołębiewskiego, „Agnus Dei” oraz „Deus Vicit” Henryka Jana Batora.

W koncercie, któremu patronował prezydent RP Lech Kaczyński, uczestniczyli przedstawiciele ambasad Austrii, Polski, Niemiec, Turcji i Stanów Zjednoczonych.

Czytając Herberta

Pod takim tytułem odbywała się 9 października w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu konferencja poświęcona twórczości Zbigniewa Herberta. W programie znalazły się wystąpienia Józefa Marii Ruszara dyrektora Warszawskiego Festiwalu Poezji („W poszukiwaniu Curati Dionizi”), dr Małgorzaty Mikołajczyk z Uniwersytetu Zielonogórskiego (Ukrzuty rytm wierszy Zbigniewa Herberta), prof. zw. Mariana Kisiela z Uniwersytetu Śląskiego (Herbert i krytycy), prof. UŚ dr. hab. Dariusza Pawelca (Kim jest adresat „Przesłania Pana Cigoty”), prof. UJ dr hab. Anny Czabanowskiej-Wróbel („Piękno i groza zawsze razem...”). O poezji Zbigniewa Herberta oraz dr hab. Danu-

ty Opackiej-Walasek z Uniwersytetu Śląskiego („więc przy mnie bądź pamięci krucho...”). Poetyckie testamenty Zbigniewa Herberta).

Z okazji Roku Herberta ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego również w sosnowieckiej MBP



można oglądać wystawę „Przesłanie pana Cogito. Twórczość Zbigniewa Herberta”, a w dniu wernisażu towarzyszyło jej spotkanie z Joanną Siedlecką eseistką, dziennikarką, autorką reportażu biograficznego o Zbigniewie Herbercie „Pan od poezji”.

Konferencję przygotowała MBP w Sosnowcu przy współudziale Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Katowice tematem „Pleneru 2008”

Plon tegorocznego „Pleneru” zorganizowanego przez Okręg Katowicki ZPAP można było oglądać w galerii ZPAP Art. Nova 2 w Katowicach.

Artyści: malarze i graficy na przełomie czerwca i lipca związani nie tylko z Okręgiem Katowickim ZPAP wyruszyli by poznać miasto Katowice inaczej, aniżeli czyni się to przechodząc głównymi arteriami. Odwiedzili Muzeum Historii Katowic. Zespół Szkół Artystycznych (który był ich bazą wypadową „w miasto”), byli w Akademii Muzycznej, na Nikiszowcu, po drodze widzieli osiedle Tysiąclecia, rodno, nową i zabytkową zabudowę Katowic. Każdy z artystów przygotował prace, które w jakiś sposób nawiązywały do wizyty w niezwykłych miejscach Katowic. Efekty ich pracy pokazano w katowickiej Art. Nowej 2.



Michał Kotula, Superjednostka, akryl 100x130

Jednym zdaniem

■ Przedpremierowy pokaz spektaklu Teatru Telewizji pt. „Rodzinny show” w reżyserii Macieja Pieprzycy, z udziałem twórców, odbył się w Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach.

■ Również w Centrum Sztuki Filmowej pokazano filmy „A ty?” oraz „Jak żyć?” zrealizowane przez Szymona Jakubowskiego absolwenta Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego i filmoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

■ Wystawę „Ballada o żołnierzu. Wojna w polskich plakacie filmowym” pokazało Muzeum Śląskie.

■ Spotkanie z aktorem, reżyserem i dyrektorem Teatru Polskiego w Bielsku Białej, laureatem „Złoty Masek” Robertem Talarczykiem przygotował katowicki Oddział Towarzystwa Kultury Teatralnej.

■ W Galerii Sztuki Pogranicza Muzeum Śląskiego otwarta została wystawa „Gwarek '58. Powrót”, z której II część wystawy jest dostępna dla zwiedzających na terenie dawnej kopalni „Katowice”.

■ XVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Kameralnej i Organowej organizowany przez Instytucje Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach odbywa się tradycyjnie w dniach 17 sierpnia do 21 września w skansenie w Wygłozowie – Lipowcu.

■ „Opowiem Wam o pewnej dzielnicy” to tytuł telenoweli dokumentalnej (11 odcinków), wyprodukowanej przez Telewizję Polską w Katowicach, przedstawiającej jedną z najstarszych dzielnic Katowic – Szopienice, a zaprezentowanej podczas specjalnego pokazu w Miejskim Ośrodku Kultury Szopienice-Giszowice.

■ Na konferencję naukową zatytułowaną „Karol Godula 1781-1848” zorganizowaną w Roku Karola Goduli w Rudzie Śląskiej, zapraszało Muzeum Miejskie w Rudzie Śląskiej, a jej uczestnikami, którzy wygłosili wykłady byli m.in. bp prof. Jan Kopiec, dr Piotr Greiner, dr Arkadiusz Kuzio-Podrucki, dr Marian G. Gerlich, dr Izabela Kaczmarzyk i Krystian Galuszka.

■ Na wystawę prac Aleša Rezlera – absolwenta Uniwersytetu Karola w Pradze, członka

Uczestnikami pleneru, który odbywał się pod przewodnictwem prezesa ZPAP Okręg Katowicki Henryka Bzdoka, byli: Jerzy Beceła, Jerzy Dobrzyniecki, Włodzimierz Piętał, Helena Golda-Blahut, Emilia Wąż, Marzena Kuczera, Michał Kotula, Marlena Promna, Aneta Kukulska, Aneta Jurczyńska., zaś komisarzem pleneru była Agata Sobczyk.

Plener zorganizowano przy udziale miasta Katowice.



Foto: Zbigniew Sawicz

Nagrodzona biblioteka w Jaworznie.

Nagradzani w kraju i w Europie

Troje wykładowców Wydziału Artystycznego katowickiej ASP zostało nagrodzonych podczas X International Engraving Biennale Caixanova w hiszpańskim Orense. Grand prix za pracę zatytułowaną „Transport” zdobył Grzegorz Hańderek, od niedawna pierwszy dziekan Wydziału Artystycznego katowickiej ASP. Trzecią nagrodę przyznano Dorocie Nowak. Nagrodzono jej grafikę zatytułowaną „Where do we come from? Where are we? Where are we going?”. Honorowe wyróżnienie otrzymał Marcin Białas i jego praca „Blok 2”. Wszyscy laureaci są młodymi wykładowcami Wydziału Artystycznego katowickiej ASP. Na konkurs nadesłano 1080 grafik z 56 krajów. Do wystawy zostało zakwalifikowanych 80 prac.

Dorota Nowak otrzymała także Wyróżnienie Honorowe w konkursie graficznym INGRAFICA 08 Primer Festival International de Grabado Contemporaneo w hiszpańskim Cuenca, gdzie nagrodzono grafikę z cyklu: „Skąd pochodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?” – Kobieta”.

Z kolei Michał Minor, również wykładowca katowickiej ASP, podczas XXII Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie otrzymał wyróżnienie za obraz „Niedostrzeżone szczegóły” ironicznie nawiązujący do nowych trendów, ukazujący generała Jaruzelskiego w chwili ogłaszania stanu wojennego.

Najlepsza przestrzeń publiczna 2008

8 października odbyło się w Urzędzie Marszałkowskim w Katowicach ogłoszenie wyników konkursów *Architektura Roku 2007 i Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego 2008*.

Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w kategorii *Urbanistyka* przyznano za *Rewitalizację Zespołu Akwenu Poprzemysłowych*

Amelung w Chorzowie. Nagrodę przyznano „za wzorowy, godny naśladowania przykład rewitalizacji terenu poprzemysłowego; za stworzenie w centrum miasta nowej przestrzeni, która mimo że nie jest przestrzenią komercyjną, daje radość mieszkańcom” – napisano w uzasadnieniu decyzji. Rozstrzygnięto również doroczny konkurs *Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego 2008*. Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w kategorii *Obiekt Architektoniczny Użyteczności Publicznej* otrzymała Centrala Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jaworznie (na zdjęciu). Nagrodę przyznano za wykreowanie ważnego punktu integracji kulturalnej mieszkańców, powszechnie przez nich akceptowanego i cieszącego się dużą popularnością; za wysoki poziom architektoniczny obiektu i jego harmonijne wpisanie się w kompozycję urbanistyczną centrum miasta.

Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w kategorii *Modernizacja* wyróżniono Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej Symfonia Akademii Muzycznej w Katowicach. Nagrodę przyznano za udaną rozbudowę zabytkowych obiektów Akademii Muzycznej o nowy budynek i stworzenie zintegrowanego kompleksu, stanowiącego programowo-przestrzenną całość; za harmonijne łączenie tradycji z nowoczesnością, a także za powściągliwą, elegancką formę i dbałość o detal architektoniczny.

W czasie uroczystości wręczono także nagrody w konkursie *Architektura Roku Województwa Śląskiego 2007* organizowanym przez Stowarzyszenie Architektów Polskich. Grand Prix *Architektura Roku* dla najlepszego obiektu zrealizowanego w województwie śląskim w 2007 roku przyznano budynkowi Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej Symfonia w Katowicach autorstwa: Tomasza Koniora, A. Krzysztofa Barysza, Andrzeja Witkowskiego i Aleksandra Nowackiego.

Laureatami nagrody *Młody Twórca Śląskiej Architektury* zostali architekci z grupy SLAS – Aleksander Bednarski, Mariusz Komraus, Tomasz Pokropowicz. W tej kategorii przyznano także wyróżnienia dla Rafała Paszندی i Roberta Skitka.

Uroczystości rozpoczęła doroczne Śląskie Dni Architektury.

związku skupiającego profesjonalnych artystów w Czechach, zapraszał do swojej galerii Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach.

■ Stanisława Lopuszańska – aktorka Teatru Śląskiego w Katowicach, należąca do grona najbardziej zasłużonych aktorów polskich, czynna zawodowo od ponad 60 lat, była bohaterką kolejnego spotkania z cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy” organizowanego przez Teatr Rozrywki w Chorzowie.

■ Sesja naukowa pt. „W przestrzeni dotyku” odbyła się w MDK „Batory” w Chorzowie Batorym, a towarzyszyła jej wystawa fotografii Macieja Niesłonego pt. „Rozmowy”.

■ Bytomska galeria „Kronika” zapraszała na spotkanie z twórczością Pawła Kulczyńskiego („Dbał o estetykę wyglądu”) Eukasza Jastruczaka („Film noir”).

■ Galeria „Kronika” uruchomiła pierwszą na Górnym Śląsku księgarnię artystyczną, w której można nabyć wydawnictwa i pozycje z szeroko pojętej humanistyki z uwzględnieniem nauk społeczno-politycznych, a także katalogi wystaw z najważniejszych instytucji sztuki w Polsce i pisma społeczno-kulturalne.

■ W Gliwicach otwarto zrewitalizowany Oddział Muzeum w Gliwicach – Zamek Piastowski.

■ Na cykl warsztatów pt. „Katowice na warsztacie – warsztaty urbanistyczne” z udziałem architektów i mieszkańców Katowic zapraszało katowickie Rondo Sztuki.

■ W Galerii Architektury SARP wykład wygłosił portugalski architekt Gonalo Byrne – jeden z najwybitniejszych współczesnych architektów o światowej renomie, projektant obiektów użyteczności publicznej, kulturalnych, sportowych, muzealnych, dydaktycznych, sakralnych, konserwatorskich restauracji zabytków, jak i budownictwa mieszkaniowego wielorodzinnego i indywidualnego.

■ Na wykłady o sztuce, warsztaty twórcze dla dzieci oraz spotkania z artystami, zatytułowane „Dzień sztuki...” zaprasza od października w każdy wtorek Muzeum Śląskie.

■ Obrazy i grafiki Romualda Ramusa z lat 1981 – 2006 pokazało Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach.

■ Muzeum w Sosnowcu było organizatorem „Wieczoru z Wojciechem Weissen”, w ramach którego Ewa Chmielewska wygłosiła wykład „Wojciech Weiss i jego sztuka”, odbyła się projekcja filmu „Piękno do mnie przyszło” oraz wysłuchano koncertu „W młodo-

Literatura polska w Kanadzie

To temat konferencji zorganizowanej w dniach od 16 do 18 września przez Zakład Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opaczkiego Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego międzynarodowej konferencji naukowej. Okazuje się, że w kraju „kłonowego liścia” Polacy są trzecią, po angielsko- i francuskojęzycznej, grupą twórców piśmiennictwa „etnicznego”. Dokonania polskich literatów (zwłaszcza poetów) znane są m.in. dzięki dr Bożenie Szalaście-Rogowskiej z Uniwersytetu Śląskiego oraz rzszowskiemu pismu *Fraza*, któremu szefuje dr Magdalena Rabizo-Birek. Po referatach obrazujących stan badań nad literaturą polską w Kanadzie odbył się prowadzony przez prof. Mariana Kisielę wieczór poezji Andrzeja Buszy i Romana Sabo. Ten ostatni dzieciństwo i młodość spędził w Gliwicach. Ze Śląskiem związani są także Florian Śmieja – nestor wśród polsko-kanadyjskich poetów oraz Edward Zyman.

Premiera Kafki w „Ateneum”

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach przygotował premierę spektaklu „Jama” wg Franza Kafki. W przekładzie Jarosława Ziółkowskiego, w adaptacji i reżyserii Karela Broška. Prapremiera miała miejsce 3 października 2008 r. w katowickiej Galerii Ateneum. Tą inscenizacją Teatr „Ateneum” rozpoczyna cykl przedstawień realizowanych w Galerii Ateneum z myślą o młodzieży i widzach dorosłych. Jest to opowiadanie, a właściwie napisana w formie monologu przypowieść, poruszająca ważne problemy egzystencjalne. W przedstawieniu nie ma lalek – są głosy, przedmioty, światło i mrok, intrygujące w swych kształtach i dźwiękach instrumenty didgeridoo. Przestrzeń wypełnia gęszcz drewnianych krzeseł, wśród których aktorzy poruszają się niczym w korytarzach tytułowej jamy – w labiryncie myśli i otaczającej współczesnego człowieka wielkomięskiej dżungli. Na potrzeby spektaklu zaanektowana została właściwie cała dwupoziomowa Galeria.



polskim nastroju” i zwiedzono wystawę Wojciecha Weissa i Ireny Aneri Weissowej.

■ Śląski Teatr Tańca w Bytomiu przygotował premierę spektaklu „Panopticon albo/ przypowieść o naku” w choreografii Jacka Lumińskiego.

■ Prof. Erika Fischer – *Lichte* z Freie Universität w Berlinie wygłosiła w Instytucie Nauk o Kulturze PAN w Katowicach wykład nt. „Czym jest przedstawienie w kulturze performansów? Próba definicji.”

■ W Muzeum Śląskim można oglądać dwie wystawy: „Malarz Nitka” prezentującą malarstwo, grafikę i rysunek z lat 1986-2008 Zdzisława Nitki oraz „Inspiracje archeologiczne w sztuce współczesnej”.

■ We foyer Teatru Śląskiego pokazano instalację i performance Aleksandra Gabryela i Stanisława Mutza „Nieodwracalność”.

■ Konferencja „Kultura w tworzeniu wizerunku nowoczesnego miasta/metropolii” połączona z warsztatami odbyła się w Górnośląskim Centrum Kultury, a patronowali jej minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski, wicemarszałek Senatu Krystyna Bochenek, marszałek Województwa Śląskiego Bogusław Śmigiełski i prezydent Katowic Piotr Uszok.

Sztuki na premierę

Od wielu lat artystka Teatru Polskiego Małgorzata Kozłowska 1 listopada odwiedza bielskie nekropolie. Na każdym z ośmiu cmentarzy składa kwiaty i zapala znicze pamięci na grobach artystów scen bielskich i pracowników obu teatrów. Z każdym rokiem przybywa miejsc ostatniego spoczynku.

Na cmentarzu w Białej pochowano jednego z pierwszych, legendarnych artystów przedwojennej amatorskiej polskiej sceny Rudolfa Luszczaka. W pobliżu spoczywa inna legenda polskiego teatru, założyciel Baniuluki Jerzy Zitzman. Jest tam grób aktora Zdzisława Tymnego oraz Łukasza Tarnawy, młodego entuzjasty teatru, który zmarł przed osiągnięciem pełnoletniości. Na cmentarzu na Złoty Łanach swój kres znalazły do-
czesne szczątki Pawła Podoska, wszechstronnie wykształconego aktora, który zmarł nagle, nie wróciwszy z urlopu na scenę. W Mikuszowicach Krakowskich nieopodal przepięknego drewnianego kościółka p.w. św. Barbary spoczywa Józef Chrobak, notabene w pobliżu grobu znanego piosenkarza Jacka Lecha. Na cmentarzu ewangelickim w Starym Bielsku pochowano Władysława Konickiego.

Coraz bardziej zapelnia się szczątkami bielskich aktorów i ludzi teatru nekropolia przy najstarszym bielskim kościele pod wezwaniem św. Stanisława. Leżą tam w swych ostatnich kwaterach Janusz Walesiak, organizatorka widowni Irena Paluch i jej małżonek, powszechnie znany charakterystyczny i perkuszkarz Ryszard Paluch, a także inspicjent Antoni Ponimasz. Na cmentarzu ewangelickim przy ul. Listopadowej pochowano Mariana Koniecznego, artystę Baniuluki. Na kirkucie w Bielsku spoczywa reżyser Henryk Lotar-Lufi. Dzięki staraniom Małgorzaty Kozłowskiej i plastyka Wojciecha Goldy ten zapomniany twórca ma od kilkunastu lat piękny, rzeźbiony nagrobek.

Na cmentarzu przy ul. Grunwaldzkiej znalazł swój grób aktor i wychowawca kilku pokoleń artystów Mieczysław Dembowski, dzięki któremu mógł się rozwinąć talent takich twórców, jak Jerzy Stuhr czy Jan Peszek. Spoczywają tam także aktorzy Mieczysław Poplawski i jego towarzyszka życia Jadwiga Karcewska, pracownik techniczny Alfons Kwoka, artyści Janina Widuchowska i Mieczysław Kornecki i garderobiana Gienia Gonciarz. Ostatnio pochowano tam doczesne szczątki – ekszhumowane z cmentarza pod Kaliszem – aktora Aleksandra Sokolowskiego. Są tam groby oświetleniowca Stefana Pajka, garderobianej Hanny Kreczmer i kierownika technicznego Tadeusza Kochańskiego.

Na cmentarzu komunalnym w Kamienicy spoczywają susterka Natalia Wojtas, aktor Adam Rokossowski i artysta Leszek Poplawski z Baniuluki. Tam też leżą znani nie tylko w Beskidach artyści Marian Szczerki i Stanisław Nosowicz. Pochowano tam ponadto Karola Soltysika – legendarnego brygadiera sceny. Bez takich jak on nie można sobie wyobrazić teatru. Kiedy nie działa się dobrze na „generalce”, mawiał: „To nie jest sztuka na premierę...”

Wszyscy przebywają nareszcie w miejscu, w którym wystawia się tylko dobre sztuki.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Wyższy poziom „Lipy”

W Spółdzielczym Centrum Kultury „Best” ogłoszono wyniki XII Ogólnopolskiego i XXVI Wojewódzkiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa 2008” pod patronatem prezydenta Bielska-Białej. W imprezie wzięło udział 483 autorów z niemal wszystkich województw. Jurorzy – Tomasz Jastrun (przewodniczący), Jan Picheta i Juliusz Wątroba – przeczytali 1158 tekstów poetyckich, prozatorskich i dramatycznych uczniów ze szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich. Utwory stu laureatów opublikowano w specjalnie wydanej antologii najcenniejszych tekstów.

„Lipa” obrodziła w tym roku wieloma smakowitymi „owocami”. Jak stwierdził Tomasz Jastrun, choć w tym roku przybyło mniej wierszy i opowiadań, niż w latach poprzednich, więcej było tekstów na dobrym poziomie. Jego zdaniem, dzieje się tak m.in. dzięki Internetowi, który jest polem treningowym dla sztuki słowa. Tegoroczny przegląd zrealizowano ze środków ministra kultury i dziedzictwa narodowego, UM w Bielsku-Białej, SM Złote Łany i innych sponsorów. Główny ciężar organizacyjny przeglądu spoczął jak zwykle na barkach dyrektorki „Bestu” Ireny Edelman. W gronie laureatów znaleźli się uczniowie z województwa śląskiego – Tomasz Gowin i Julia Jura z Żywca, Adrianna Krystek z Lindowa w pow. kłobuckim, Lidia Kupiec z Buczkowic, Konstancja Olma z Kóz, Iga Maria Walaszczyk z Bielska-Białej, Gabriela Żegiel z Wilkowic (ze szkół podstawowych), Anna Barcik, Nadia Gontard, Justyna Klejdysz, Magdalena Konop, Weronika Lewandowska, Monika Michalska, Maciej Pluzek i Zuzanna Supińska z Bielska-Białej, Magda Malejko z Wilkowic, Anna Ślezińska z Jaworza, i Agata Tracz z Katowic (z gimnazjów) oraz Michał Bąk, Arkadiusz Gladysz, Roksana Obuchowska, Mateusz Szabla i Anna Wrzosek z Bielska-Białej, Magdalena Drab z Katowic, Marta Dziedzina z Porajna w pow. myszkowskim, Katarzyna Gąsiorek z Lipowej w pow. żywieckim, Mieszko Hajkowski z Tych, Aleksandra

Jednym zdaniem

■ Poświęcony Ignacemu Janowi Paderewskiemu i Henrykowi Nikolajowi Góreckiemu XIII Festiwal Kompozytorów Polskich odbył się od 2 do 4 października w Bielsku-Białej.

■ Z okazji siódmej rocznicy śmierci Andrzeja Szewczyka 26 września w Galerii Bielskiej BWA zaprezentowano film o cieszyńskim artyście „Wierząc w przeżycie” autorstwa Alfreda Kuli.

■ „Iluzja jako źródło cierpień” to tytuł wystawy kuratorskiej Agnieszki Zechowskiej, która odbyła się w październiku w Galerii Bielskiej BWA.

■ Absolwenci bielskiego PLSP wystawiali swe prace w październiku w DK Włókniarzy.

■ Nakładem kępeckiego wydawnictwa Marek Derewiecki ukazała się biografia kpt. Henryka

Kil z Bystrej, Dzewanna Jagoda Kusińska ze Skoczowa, Joanna Łaski z Żor, Dominika Pisanko z Dankowic w gminie Wilamowice i Aleksander Stankiewicz z Żywca (ze szkół średnich).

70 lat „Groni”

W tym roku minęło 70 lat od ukazania się pierwszego numeru żywieckiego kwartalnika naukowego „Gronie”. Pomyślnymi pismami wydawanego w ilości 400 egzemplarzy byli Michał Jeziorski i Stanisław Szczotka. Po wojnie tradycje pisma kontynuowali – dopiero od 1968 roku – członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej, którzy wydawali czasopismo „Karta Groni”. Od 2006 roku periodyk, dzięki socjologowi dr. Ireneuszowi Jeziorskiemu, wrócił do pierwotnej nazwy.

Z okazji 70-lecia powstania kwartalnika w Muzeum Miejskim odbyła się promocja reprints przedwojennych „Groni” oraz książki „Inwentarz rękopisów Muzeum w Żywcu” autorstwa dra Rafała Kosińskiego. Reprint „Groni” zawiera osiem numerów kwartalnika z lat 1938-1939. Wydawnictwo przygotowali do druku Ireneusz Jeziorski i Rafał Kosiński.

Wiśniówka dla Wiśni

Wśród przyjaciół z nielicznego grona bielskiej bohemy funkcjonuje pod wiśniewskim pseudonimem Wiśnia. Za wykonanie swych autorskich propozycji została uhonorowana wieloma nagrodami na tak prestiżowych festiwalach, jak FAMA, Olsztyńskie Spotkania Zamkowe, Festiwal Piosenki Artystycznej w Rybniku czy Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie. W czasach studiów w krakowskiej AP była gwiazdą „Zielonego Szkiełka” i tamtejszej telewizji. Większość laurów zebrała pod koniec lat 90. Później poświęciła się macierzyństwu.

28 września powróciła na bielską estradę. Wraz z towarzyszącymi jej muzykami (Markiem Bazylakiem – piano, Rafałem Drewnianym – gitara akustyczna i Piotrem Ryncarzem – instrumenty perkusyjne) dała godzinny koncert w bielskiej Sephii. Znów pokazała, że potrafi bawić się polszczyzną i wykorzystywać śpiewność rodzimej mowy, aczkolwiek – zagrypiona – dzielnie walczyła z niedyspozycją głosową. Życzliwa widownia radziła, aby Wiśnia napila się wiśniówki. Kiedy jednak artystka obniżała tonację, kłopoty nie były widoczne. To niechybny znak, że czas definitywnego powrotu bielskiej artystki na krajowe estrady właśnie nastal...

Flamego-Bartka pióra Tomasza Greniucha p.t. „Król Podbeskidzia”.

■ W Galerii Środowisk Twórczych w Bielsku-Białej zaprezentowano w październiku wystawę „Bielski design”.

■ W Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej zaprezentowano w październiku wystawę malarstwa Jagody Adamus.

■ 6 października w Galerii Wzgórze Franciszka Kukioly w Bielsku-Białej odbyła się promocja tomiku „Poetyckie Podbeskidzie” grupy twórczej „Podbeskidzie”.

■ 10 i 11 października w Żywcu zorganizowano Złote Gody Grupy Literackiej „Gronie” im. E. Żegadłowicza.

Teatr zaangażowany

We wrześniu odbył się w Częstochowie II Międzynarodowy Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez Dotyk”. Gospodarzem i organizatorem tego przedsięwzięcia niezmiennie jest Teatr im. Adama Mickiewicza kierowany przez Roberta Dorosławskiego i Piotra Machalię. Dla publiczności częstochowskiej to nie lada wydarzenie; „nie ruszając się z miejsca” można obejrzeć głośne, dyskutowane przez krytykę spektakle. Już podczas pierwszej edycji przeglądu organizatorzy chcieli pokazać przede wszystkim przedstawienie odważnie mocujące się z aktualnymi problemami życia społecznego. „Przez dotyk”, to wszystko, co jest w stanie dotknąć – wzruszyć, zbulwersować, sprowokować, przerazić współczesnego człowieka. Ze wszech miar słuszne okazało się założenie, iż to właśnie teatr może wstrząsnąć ludzką wrażliwością, która codziennie „hartowana” jest przez media donoszące o wszelkich okrucieństwach naszej rzeczywistości.

Tegoroczny przegląd opatrzony został dodatkowo hasłem „pol. his. wos.” zaczerpniętym z polskiej szkoły, w której używany jest jako popularna nazwa głównych przedmiotów humanistycznych – języka polskiego, historii i wiedzy o społeczeństwie. Organizatorzy, posługując się szkolnym skrótem, sugerowali odbiorcy: „Zamierzamy bowiem poprzez wybór prezentowanych spektakli dotknąć problemu człowieka uwikłanego w meandry współczesnej historii. Tej dziejącej się tu i teraz, ale i tej obok, pozornie tylko niewpływającej na nasze życie, nasz system wartości czy postrzegania świata” (cyt. za „Przez Dotyk” Gazeta Festiwalowa). I rzeczywiście, zaproszone do Częstochowy spektakle doskonale wypełniły zadania, które w szkole życia spełniają „pol. his. wos.”. Warto wymienić choć kilka przedstawień z 10, które zaprezentowano w trakcie trwania przeglądu. Przyjechał Teatr na Woli z prowokującym spektaklem „Ostatni Żyd w Europie” oraz Teatr Montowania z przedstawieniem „Kamienie w kieszeniach” w reżyserii Krzysztofa Stelmachczyka. Nie zabrakło warszawskiego Teatru Polonia i głośnego monodramu założycielki tej sceny, Krystyny Jandy, opartego na powieści chorwackiej pisarki Vedrany Rudan z roku 2002 „Ucho, gardło, nóż”, w którym z kobiecej perspektywy ukazane zostały absurdu wojny w byłej Jugosławii. Z Warszawy przyjechała z równie znakomitym monodramem Małgorzata Różniatowska „Uwaga! Złe psy” (produkcja Agencja Grami), opartego na losach małżeństwa Jerzego Szaniawskiego z chorą psychicznie Anitą Szatkowską. A spektakl „Teremin” – scenariusz i reżyseria Petr Zelenka – przyjechał z Pragi, z najsłynniejszego teatru czeskiego Dejvické Divadlo. Warto dodać, że na każdym spektaklu był komplet publiczności, mimo iż bilety nie były wcale tanie, ale publiczność nigdy nie zawodzi, gdy otrzymuje wszystko to, co stanowi siłę teatru – znakomite aktorstwo, interesujące pomysły inscenizacyjne i doskonałą literaturę.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Najlepsi nagrodzeni

W Filharmonii Częstochowskiej podczas koncertu inauguracyjnego nowego sezonu artystycznego odbyło się wręczenie nagród Prezydenta Miasta w dziedzinie kultury. W tym roku nagrodzono w dziedzinie literatury Krzysztofa Seweryna Wronskiego, poetę posiadającego w swoim dorobku artystycznym cztery zbiory wierszy: „Słowa wierszy” (1998), „Boso w bezsenność” (1999), „Trzecie rodzenie” (2000), „Dojrzewanie do milczenia” (2003). W dziedzinie teatru nagrodę za całokształt działalności artystycznej otrzymał Marian Florek, aktor i reżyser, choć w uzasadnieniu szczególnie uwzględniono spektakle o znanych częstochowianach; m.in. spektakl „Haśka”, poświęcony Halinie Poświętowskiej. W dziedzinie sztuk plastycznych nagrodą za całokształt pracy twórczej wyróżniono Elżbietę Chodorowską i Tomasza Sętowskiego. Także dwie osoby wyróżniono nagrodą w dziedzinie muzyki: Ludomirę Gładman, pianistkę, zasłużonego pedagoga fortepianu i publicystkę muzyczną oraz Tadeusza Erhardta Orgielewskiego, muzyka i niezmordowanego popularyzatora jazzu tradycyjnego. W dziedzinie promocji i ochrony kultury nagrodę wręczono Stowarzyszeniu Przyjaciół „Gaude Mater” oraz Annie Maciejewskiej – historykowi sztuki, dyrektorowi Zespołu Szkół Plastycznych im J. Malczewskiego w Częstochowie, inicjatorce wielu ważnych artystycznych przedsięwzięć. Tytuł Mecenasa Kultury za rok 2008 przyznano Częstochowskiemu Przedsiębiorstwu Komunalnemu, sponsorującemu największe imprezy kulturalne w mieście.

Obrazy Tadeusza Paszki

W Miejskiej Galerii Sztuki obyla się wystawa malarstwa Tadeusza Paszki. Artysta – rocznik 1949 – urodzony w Szczebrzeszczynie. W roku 1974 ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, broniąc z wyróżnieniem

dyplom z malarstwa w pracowni profesora Michała Byliny. Przez blisko trzydzieści lat nauczał rysunku w Państwowym Liceum Plastycznym w Nałęczowie, jednocześnie malując i pokazując swoje prace na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych.

Do Częstochowy Paszko przywiózł jeden z najważniejszych cykli malarzkich, jakie stworzył – „Święci pańscy”. Jest on silnie związany z biografią artysty, pragnącego na swych płótnach zrekonstruować świat dzieciństwa. Jego realistyczne i pełne liryzmu obrazy ukazują wieś, która obecnie już nie istnieje. Izby wiejskie z niezbędnymi do życia sprzętami i świętymi obrazkami, ludzie odpoczywający po pracy, sceny zaślubin i rytuał śmierci, to wszystko znalazło się na obrazach artysty.

Bluesowe klimaty

Już po raz trzeci Klub Muzyczny „ASK” zorganizował Festiwal Blue Blues Częstochowa. Grand Prix zdobył częstochowski zespół Break Maszyna w składzie: Paweł Stomma, Jacek Lewandowski, Sławek Sz wajkowski. Ważną propozycją dla młodych muzyków okazały się także warsztaty. Tajniki gry na harmonijce ustnej zdradzał sam Bartosz Łęczycycki, kilkakrotnie wybrany głosami czytelników „Twój Blues” na najlepszego harmonijkarza w Polsce, a ostatnio laureata platynowej płyty za udział w projekcie Maleńczuk & Waglewski „Koledzy”. W arkana fachu gitarowego wprowadzał jeden z najbardziej znanych gitarzystów bluesowych młodego pokolenia, Jacek Jaguś, który dwa razy pod rząd (w 2006 i 2007 roku) zdobył tytuł „Gitarzysty roku”.

Na festiwalu częstochowskim nie zabrakło gwiazd. Imprezy zainaugurował Atma Anur, znakomity perkusista brytyjski, który współpracował m.in. z takimi muzykami jak: Jason Becker, Greg Allman, Billy Shehan czy Tony McAlpine. Jest to muzyk doskonale poruszający się w różnych muzycznych klimatach, od jazzu do punk rocka. W Częstochowie wystąpił wraz z krakowskim Blues Mobile Band z Tadeuszem Pociężyńskim na czele. Wśród zaproszonych gwiazd znaleźli się „Gang Olsena”, Sławek Wierzecholski z Nocną Zmianą Bluesa, J. J. Band oraz świetny gitarzysta i kompozytor Romek Puchowski. Koncerty odbywały się w klubie „ASK” oraz w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”.

Jednym zdaniem

- Na inaugurację nowego sezonu artystycznego Filharmonia Częstochowska zaproponowała melomanom spotkanie z muzyką Mieczysława Karłowicza i Grażyny Bacewicz.
- W galerii Regionalnego Ośrodka Kultury można było obejrzeć pastele Czesława Tarczyńskiego.
- W Jazz klubie Paradoks odbył się koncert związany z Częstochową zespołu Los Blues Tabakos.
- IX Dni Europejskiej Kultury Ludowej towarzyszyły Krajowej Wystawie Rolniczej.

- W ramach festiwalu „42-200 Monodram” w Galerii Teatru From Poland została zaprezentowana sztuka Anny Mentlewiec „Kochany synu”, w wykonaniu Elżbiety Czerwińskiej.
- W Poraju k. Częstochowy odbył się już po raz drugi Festiwal Piosenek Janusza Gniatkowskiego.
- W Miejskiej Galerii Sztuki zaprezentowana wystawa zatytułowana „Stady – dotyk czasu”, w której pokazano prace m.in. Jaceka Waltośia, Jacka Sempolińskiego, Wojciecha Prazmowskiego, Gustawa Zemly, Leszeka Sobockiego, Adama Patrzyka.

Dym z cygara

Benedyktynka w środku Biblioteki Śląskiej zapelniała się o zmierzchu gośćmi z Łużyc. Kilkunastu poetów, dziennikarzy, muzyków mówiących językami górno- i dolnołużyckimi, m.in. Benedikt Dyrlich, Beno Budar, Christiana Piniekowa, Ludmila Budarjowa, Werner i Jan Meškankowie, Monika Klesec, Alfons Wicz, przybyło ze słowiańskiej wysepki, którą nie zatopily fale dziejowych burz obcego oceanu. Ten fenomen trwa przez kilkanaście wieków w okolicach Budziszyna i Chociebuża. Serbołużyczanie przetrwali dzięki kulturze, zachowaniu wiary i języka ojców. Tak wielu zapewne ich tu nie było, od czasów, kiedy przybywali do Katowic na zaproszenie Wilhelma Szewczyka. Teraz stoją przed jego popiersiem, czytają i śpiewają wiersze swojego barda Jakuba Barta-Cišińskiego, poety zwanego Mickiewiczem z Łużyc. Minęło już blisko pół wieku od kiedy w wydawnictwie „Śląsk” (Katowice, 1960) ukazała się Antologia Poezji Łużyckiej, plon pracy dwudziestu dwóch tłumaczy sięgających po teksty autorów od późnego baroku po wybuch drugiej wojny światowej. W gronie tłumaczy są nazwiska po latach zapomniane, ale też takie, które nadal mają swoją rangę i znaczenie w najnowszych dziejach Śląska – m.in. oprócz Szewczyka, Edmund Osmańczyk, Tadeusz Kijonka.

Po latach zdaje się, że to już tylko kłęby wspomnień ulatują ze słynnego cygara rektora Szewczyka. Co się stało z przyjaciółmi najmniejszego słowiańskiego narodu, czyżby nikogo nie było, kto byłby kontynuatorem w Katowicach tamtej pięknej przyjaźni Polaków i Serbołużyczan, która kwitła nawet w najgorszych czasach hitlerowskich prześladowań? Obecnie to Opola nie są w Polsce liderami wszechstronnej współpracy z Serbołużyczanami. Dni Łużyckie organizowane są co roku przez opolskie stowarzyszenie „Pro Lusatia”, artyści z Łużyc prezentują swoją twórczość w opolskich instytucjach kultury, organizowane są konferencje naukowe, publikuje się zeszyty studiów lużyckoznawczych. Tak też było podczas XIX Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich, podczas którego twórcy i dziennikarze z Łużyc spotkali się ze studentami i profesorami Uniwersytetu Opolskiego, a także wzięli udział w Misterium Chleba, gdzie przy wielkim stole z wypiekami mistrza Józefa Kostrzewy zabrzmiały wiersze i pieśni Międzynarodowego Chóru Młodzieżowego „Silesia Cantat” w kilkunastu językach europejskich.

Radio Opole wiosną obszernie relacjonowało demonstracje w Berlinie i w Budziszynie przeciw drastycznemu obniżeniu finansowania organizacji narodowych oraz instytucji najmniejszego narodu słowiańskiego Europy, pomimo gwarancji ustawowych na poziomie federalnym i landowym. Obecnie na antenie rozgłośni stale gości program informacyjno-edukacyjny, dzięki któremu słuchacze dowiadują się o dorobku kulturowym i codziennych problemach Łużyczan. Kiedy powracam do spotkania w Benedyktynie, wspominam życzynie wypowiedziane przed popiersiem Wilhelma Szewczyka – oby udało się nam przygotować nową antologię poezji lużyckiej, tym razem wydaną w Opolu, antologię pokoleń tworzących po II wojnie światowej.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Ławeczka Marka Grechuty

Uroczystość rozpoczęła się od chwili wzruszeń. Z głośników popłynął „Korowód” a żona artysty Danuta Grechutowa ze Izami, łamiącym się głosem, dziękowała za wzniesienie pomnika na Wzgórzu Uniwersyteckim przed Collegium Maius, gdzie kilkuset opolan przybyło oddać hołd bardowi Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Pomysłodawcą i patronem budowy pomnika był prof. Stanisław Nicieja, autorem opolski rzeźbiarz Wit Piechurski a mecenasami Andrzej Duda przez Polbau i Władysław Bartkiewicz przez Estrady Polskiej.

Trębacz w galowym stroju odegrał hejnał Opola a spod żółto-niebieskiej flagi, okrywającej pomnik, ukazała się na ławce postać Marka Grechuty z młodych lat, kiedy występował legendarnym „Korowodem” Grand Prix KFPP w 1971 roku. Symbolicznego odsłonięcia dokonali wspólnie – wymienieni powyżej – oraz rektor UO prof. Krystyna Czaja, marszałek województwa Józef Sebesta oraz wojewoda Ryszard Wilczyński. Następnie na dziedzińcu uniwersyteckim w okolicznościowym koncercie wystąpili laureaci krakowskiego Festiwalu Twórczości Marka Grechuty – Hanna Holec, Joanna Kondrat oraz bisujący zespół „Dzień Dobry”. Jednak gwiazdą wieczoru był następca artysty Grzegorz Turnau, wspominający w anegdocie i piosenkach swojego mistrza.

Mistrzowie perkusji

W Opolu zakończył się XVII Międzynarodowy Festiwal Perkusyjny z udziałem muzyków zagranicznych i krajowych. Liczna opolska publiczność i adepci perkusji mogli wysłuchać koncertów a także wziąć udział

w warsztatach muzycznych z udziałem takich wykonawców jak: Johnny Rabb, Chester Thomson, Mark Ford, Bernard Maseli, Nick D'Virgilio, Tery Lyne Carrington, Nebojsa Živković, Irek Głyk, Rod Morgenstein, Radosław Szarek. Koncerty odbywały się w salach Państwowej Szkoły Muzycznej i Filharmonii Opolskiej, a jam sessions w klubie festiwalowym „Szara Willa”.

Wśród publiczności festiwalowej spore grono stanowią co roku uczniowie i nauczyciele szkół muzycznych, którzy przyjeżdżają z różnych miejscowości kraju posłuchać mistrzów perkusji. Pomysłodawca i organizator Festiwalu Wojciech Lasek (nauczyciel w klasie perkusji opolskiej przed Collegium Maius, który w 1988 roku zainaugurował tę imprezę jeszcze jako szkolny przegląd, dziś myśli o organizacji przyszłej edycji festiwalu w formule dużego międzynarodowego festiwalu muzycznego, którego gwiazdami byłiby Phil Collins (Genesis), Roger Taylor (Queen), Nick Mason (Pink Floyd).

Czeski film w Paczkowie

W niewielkim opolskim miasteczku odbył się V Festiwal Filmowy – Spotkanie z kinem czeskim. W kinie „Kopernik” widzowie obejrżeli trzynaście filmów w tym także pięć dla dzieci. Największy aplauz wzbudził obraz „Obsługiwałem angielskiego króla” Jiřego Menzla, sławnego reżysera i twórcy kina czeskiego, ale wyświetlono również filmy Jana Sveraka, Petera Koliha, Bohdana Slamy.

Dyrektor Ośrodka Kultury i Rekreacji Henryk Romańczyk, główny organizator festiwalu rozproszony w miejscowych instytucjach, urzędach i szkołach blisko trzy tysiące bezpłatnych wejściówek, co zapewniło na seansach dużą frekwencję. Oprócz miejscowych obecni byli sąsiedzi zza miedzy z czeskiego Jawornika, studenci z Wrocławia oraz goście z Opola. Przed projekcjami słowo o poszczególnych obrazach wygłaszał Piotr Szymański (Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych), co pozwoliło na lepsze wprowadzenie publiczności w tematykę wyświetlanych filmów.

Jednym zdaniem

■ Blisko trzydziestu poetów z Opolszczyzny, Łużyc, Czech, Litwy oraz Krakowa uczestniczyło w spotkaniach i koncertach podczas XIX Najazdu Poetów, który gościł m.in. na Uniwersytecie Opolskim, w Zamku Piastów Śląskich, Bibliotece Śląskiej i w krakowskim ratuszu na Podgórzu.

■ XII Międzynarodowy Festiwal Twórczości Dziecięcej i Młodzieżowej gościł w Ośrodku Kultury i Rekreacji w Paczkowie. w koncertach konkursowych wystąpiły dziecięce zespoły chóralskie, instrumentalno-wokalne i taneczne z Polski, Ukrainy, Rosji i Białorusi.

■ Podczas spotkania w Muzeum Śląska Opolskiego gościł filozof – prof. Iwona Alchnowicz, która wygłosiła wykład „O skromności” oraz architekt Andrzej Hanada, który opowiadał o architekturze powojennej Opola.

■ W holu Urzędu Marszałkowskiego zorganizowano wystawę rzeźby, malarstwa, ceramiki, stanowiącą plon artystycznych plenerów ogólnopolskich i międzynarodowych, zorganizowanych przez opolski oddział ZPAP. m.in. w Paczkowie, Glucholazach, Górze św. Anny, Nysie i Dyłakach.

■ Muzycy związani z Akademią Muzyczną w Katowicach, oleski Big Band oraz zespół Globetrotters wystąpili w Miejskim Domu Kultury w Olesnie podczas Festiwalu „Jazzobranie 2008”.

■ Teatr Ekostudio wystawił na terenach pobozowych w Łambinowicach sztukę „Życie za wszelką cenę” w reżyserii Andrzeja Czernika przy współpracy z Centralnym Muzeum Jęńców Wojennych, w spektaklu wykorzystano wspomnienia byłych jeńców wojennych stalagu Lamsdorf z czasów II wojny światowej.

Cieszyn był pierwszy

– Tu, nad Olzą, warto zawsze pamiętać, że tutaj ludzie najpierw myśleli, a potem dopiero działali – powiedział 18 października w Teatrze Adama Mickiewicza eurodeputowany Jan Olbrycht podczas uroczystości upamiętniających 90. rocznicę powołania Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego (RNKC). Rady założonej 19 października 1918 r., która stała się pierwszą zorganizowaną i niezależną polską władzą na ziemiach zamieszkiwanych przez Polaków, powstała jeszcze przed zakończeniem I wojny światowej.

Obchody 90-lecia RNKC, które zorganizowały wspólnie Urząd Miasta Cieszyna oraz Kongres Polaków w RC, rozpoczęły się pod tablicą pamiątkową na Domu Narodowym na Rynku w Cieszynie. – Spotykamy się, aby oddać hołd bohaterom patriotom, którzy 90 lat temu wywalczyli niepodległość tej ziemi. W tym miejscu powołana została do życia Rada Narodowa, na której czele stanęli cieszyńscy patrioci: ks. Józef Londzin, Tadeusz Reger i dr Jan Michejda – stwierdził burmistrz Bogdan Ficek.

Z kolei prezes Kongresu Józef Szymczek przypomniał, że Cieszyn był pierwszym autentycznie wolnym polskim miastem. – Rada Narodowa naszkicowała schemat, według którego do niepodległości wykroczyły Kraków i Warszawa. Wojsko polskie objęło w posiadanie miasta i większej części Śląska Cieszyńskiego. Reprezentanci RNKC starali się też podpisać 5 listopada 1918 roku w Orłowej umowę uregulować stosunki z Czechami. Za to większe rozczarowanie nastąpiło po napadzie na Śląsk Cieszyński wojsk czeskich w styczniu 1919 r. oraz po ostatecznym podziale tego regionu. Polakom z lewego brzegu Olzy nie umożliwiono wstąpienia do wymarzonej wolnej Polski. Zaolziańscy Polacy zostali w marszu... Prezes Szymczek podkreślił, że Polacy w RC nadal pozostają wierni tradycjom swoich przodków. – Naszą opieczną stała się mowa polska, honor przodków, tradycje i kultura.

Po złożeniu pod tablicą kwiatów uczestnicy uroczystości udali się do Książnicy Cieszyńskiej, gdzie odbył się wernisaż dwóch wystaw. Pierwszą – pn. „W drodze do Ziemi Obiecanej. Cieszyńscy Polacy 1848-1918” – przygotowali pracownicy Książnicy: Anna Rusnok i Krzysztof Kleczek (czynna będzie do końca stycznia 2009 r.). Druga wystawa – pn. „Trzy miesiące samostanowienia – Śląsk Cieszyński od października 1918 do stycznia 1919” – nawigując do ekspozycji prezentowanej przed 10 laty w Książnicy (autorzy Krzysztof Szeląg, A. Rusnok i Stefan Król). – Poszerzyliśmy ją jednak o kilkadziesiąt dokumentów i zdjęć, a wypracowania nowego układu graficznego podjął się Marian Siedlaczek – powiedział „Głosowi” autor nowego scenariusza, Marian Steffek, szef Ośrodka Dokumentacji Kongresu Polaków. Tę wystawę można od dzisiaj do 28 listopada br. oglądać w siedzibie KP.

Punktem kulminacyjnym sobotnich obchodów była uroczystość w Teatrze im. A. Mickiewicza. Jej uczestnicy wysłuchali wykładu historyka Krzysztofa Nowaka o roli RNKC w życiu Śląska Cieszyńskiego i przemówienia eurodeputowanego J. Olbrychta. Aktorzy Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego odwzorowali też na scenie wydarzenia sprzed 90 lat. Ostatnim punktem programu była prapremiera kompozycji Wiesława Cieniały „Dwa psalmy dla Cieszyna” w wykonaniu Orkiestry Smyczkowej Euroregionu Śląsk Cieszyński oraz Chóru Akademickiego „Harmonia”.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Prezydenci nad Olzą

To była historyczna wizyta – zgodnie twierdzili mieszkańcy nadolziańskiego grodu i przedstawiciele władz obu Cieszynów. W niedziele, 12 października bowiem w samo południe na Moście Przyjaźni spotkali się prezydenci Polski i RC, Lech Kaczyński i Václav Klaus. Powitali ich burmistrzowie – Bogdan Ficek i Vít Slováček.

– Tak się złożyło, że jestem w Cieszynie pierwszy raz, dlatego cieszę się, że mogę być od razu w obu miastach, które historia rozdzieliła, a które stoją się obecnie – w coraz większym stopniu – ponownie jednym organizmem – powiedział L. Kaczyński, który przed spotkaniem na nioście wziął udział w nabożeństwie ekumenicznym w kościele Jezusowym w Cieszynie oraz złożył kwiaty pod Pomnikiem Legionistów Polskich. Także V. Klaus przyznał, że chociaż bywa w Cz. Cieszynie stosunkowo często, i on miał po raz pierwszy okazję zwiedzić polską część miasta.

Z mostu obaj prezydenci udali się na pierwsze spotkanie z mieszkańcami miasta do Domu Narodowego i na Rynek w Cieszynie. Przed godz. 15.00 goście z Warszawy i Pragi przekroczyli granicę. Najpierw spotkali się w czeskieścieszyńskim ratuszu z przedstawicielami władz miasta, szkół i działających w Cz. Cieszynie organizacji miejskich. Nie zabrakło reprezentantów polskich organizacji, m.in. prezesów Kongresu Polaków i ZG PZKO – Józefa Szymczka i Zygmunta Stopy, którzy przekazali prezydentowi Kaczyńskiemu liczne zaolziańskie wydawnictwa.

Przed ratuszem czekały już na prezydentów tłumy, witał ich zaś tańcem i muzyką ludową zespół „Slezan”. V. Klaus w swoim krótkim przemówieniu podkreślił, że z żadnym prezydentem na świecie nie spotyka się tak często, jak z polskim. – A dlaczego mielibyśmy się ciągle spotykać w jednej albo drugiej stolicy, a nie na granicy? I tu wybór od razu padł na Cieszyn. I jak powiedział heiman Evžen Tošenovský, wybraliśmy tu miasto jako symbol, przykład tego, jak dwa narody potrafią z sobą współżyć i współpracować.

Natomiast L. Kaczyński stwierdził z zadowoleniem, że istotnym momentem było dla niego przejście przez dawny most graniczny, na którym nie ma już szlabanu. – Ale ciągle jest tu granica polityczna – mówił prezydent RP. – Zgadamy się bowiem z prezydentem Klausem, że dobrze jest, że Europa się jednoczy. Że jesteśmy w Unii Europejskiej i że istnieje tu Euroregion Śląsk Cieszyński. Ale dobrze też, byśmy pozostali sobą – Czesi Czechami a Polacy Polakami. Między nami nie ma żadnych sprzeczności interesów. Więcej nas łączy niż dzieli.

Zaolziańskim akcentem spotkania na czeskieścieszyńskim Rynku był występ chóru „Trallala” z miejscowej PSP pod dyr. Beaty Brzóska.

Cztery dni z filmem

W dniach 9-12 października Trzyniec zmienił się w miasto festiwalowe. Odbywało się tu bowiem 16.

■ Scena Polska wystawiła jako polską prapremię najnowszą sztukę Václava Havla „Odejścia” (tłum. Andrzej Jagodziński, reż. Józef Czerniecki).

■ Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne zaprosiło na październikowe spotkanie w Gutach sławnego czeskiego fotografa Jindřicha Štreita.

■ Jabłonkowska PSP im. H. Sienkiewicza nawiązała współpracę z „sienkiewiczowską” podstawową z Gogolina.

■ Pomoc dzieciom z Czarnohyła – taki cel przyświecał karwińskiemu chórowi „Przyjaźni” na koncercie charytatywnym zorganizowanym przy współpracy ze Śląskimi Kościołem Ewangelickim A.W.

■ Polskim kandydatem nie udało się – poza komunistą Henrykiem Małyszem – zdobyć mandatów w wyborach do samorządu wojewódzkiego, które odbyły się w RC 17 i 18 października.

już Trzynieckie Babie Lato Filmowe. – Myślę, że festiwal już się w Trzyniecu zamowił na dobre – przyznał dyrektor festiwalu Tadeusz Wantuła.

W tym roku widzowie mogli obejrzeć prawie trzydzieści polskich, słowackich i czeskich filmów w komfortowych warunkach wyremontowanej właśnie sali kinowej. Oprócz tego pojawił się również jeden film węgierski – „Taxidermia” w reż. György Pálfi. Najwięcej widzów ściągnęły hity minionego sezonu: „Nestyda” Jana Hřebejka i „Bathory” Juraja Jakubiska.

Triumfy w Trzyniecu święciła kinematografia słowacka. Dziewięć filmów zgłoszonych w Konkursie Debiutów ubiegało się o trzy nagrody. Nagrodę główną otrzymał słowacki film „Démoni” w reż. Roberta Svědy. – *Braliśmy pod uwagę trzy filmy* – uchylił rąbka tajemnicy przewodniczący obradującej komisji Milan Lička z Narodowego Archiwum Filmowego. Szczęśliwym trafem pozostałe dwa filmy również zostały nagrodzone na festiwalu. Jednym z nich był film Rafała Kapelińskiego „Ballada o Piotrowskim”, który uzyskał nagrodę Gabinetu Cieni, czyli jury złożonego ze zwycięzców konkursu na Złotą Recenzję. Drugi to polsko-słowacka produkcja pt. „Wino bruszkawkowe” w reż. Dariusza Jabłońskiego, którą nagrodziła publiczność.

Nie przyznano natomiast nagrody w konkursie na film – wizytówkę Trzynieca i okolicy. Jury doszło do wniosku, że żaden z nadesłanych filmów nie spełniał odpowiednich wymogów.

Korona dla Izy z Olbrachcie

Izabela Kapias, 25-letnia mieszkanka zaolziańskich Olbrachcie i świeża absolwentka praskiej uczelni teatralnej DAMU, zdobyła koronę i tytuł Miss Superpiękności Rzeczywspolitej Polskiej w Konkursie Superpiękności 2008, który odbył się 27 września w kompleksie hotelowym „Avalanche” w Morawicach Dolnych w Jesionikach. Konkurs ten jest międzynarodowy, organizowany przez kraje Czwórki Wyszehradzkiej. Oprócz Izy nagrodzone więc tytułami Miss także przedstawicielki RC (Veronika Kozielová z Ostrawy), Słowacji (Nikola Mikulcová z Ružomberoka) i Węgier (Noemi Cap z Nagykapos).

Konkurs, który odbył się już po raz czwarty, jest – jak informują organizatorzy – międzynarodowym festiwalem kol zainteresowania i drużyny narodowych Superpiękności, za pośrednictwem których poszczególnie kraje przedstawiają swoje tradycje, historię, zabytki i ciekawostki, pomniki przyrody i inne atrakcje turystyczne, które warto polecić przyjacielom z pozostałych państw Czwórki Wyszehradzkiej. Chodzi o połączenie kobiecej urody z urokami natury, kultury i historii tych czterech państw. Uwieńczeniem całej imprezy jest zaś międzynarodowy wieczór galowy z wyborem najpiękniejszych, w którym biorą udział zaproszone osobistości ze świata polityki, kultury, biznesu.

W tym roku casting do Konkursu Superpiękności odbył się 21 sierpnia, w tydzień później odbył się półfinał, w którym wyłoniono 12 finalistek – po trzy z każdego kraju. Te zaś zmierzyły siły właśnie w sobotę w hotelu „Avalanche”. Oceniało je jury, w której zasiadli np. Monika Zidková – Miss RC i Europy z 1995 r., aktorka Jiřka Astorová czy poseł Vlastimil Tlustý. Wieczór galowy prowadziła Soňa Suláková. A że wieczór przebiegał pod znakiem Jamesa Bonda, wspomagał ją w roli słynnego agenta aktor Jiři Pomeje. Nie zabrakło też innych gwiazd – zaśpiewali m.in. Iveta Bartošová oraz dwaj finaliści czeskiej wersji Idol... Imprezę zakończyła koronacja najpiękniejszych oraz huczny bal z pokazem fajerwerków i innymi atrakcjami.

Nie było chętnych, co by chcieli je namalować. Był jeden malarz, drugi. Pytał ich. A oni: „Co ja będę jeździł po całym Śląsku? Mowaj nie ma”. Aż któregoś dnia spotkał Jerzego Koziółka. On te wieże w obrazach ocalił. Rozwiane wiatrem trawy. Wśród nich otulony mchem kamień. Na kamieniu siedzi człowiek. Ze szkicownikami i ołówkiem w ręku. Obok niego czarna torba. Z boku torby kieszeń. W kieszeni mapa.

– Przez dwa lata jeździłem po całym Śląsku i tropiłem wieże ciśniń. Przed każdym wyjazdem brałem mapę. Wiedziałem tylko, że znajduję je w okolicy dworców kolejowych, zakładów pracy. One są wysokie, więc można je było dostrzec z okien pociągu czy autobusu. Niektóre stoją w lasach, za hałdami. Trzeba było iść kilka kilometrów, bo nie było czym dojechać – opowiada Jerzy Koziółek. Ma 76 lat. Talent odziedziczył po ojcu. Był świetnym portrecistą. Malował też pejzaże, sceny rodzajowe. – Miałem 6 lat, gdy zacząłem rysować. Nudziłem się i wtedy tata powiedział: „Weź kartkę i rysuj”. Przyglądałem się, jak maluje. Nie było możliwości, by iść do szkoły plastycznej. Nie było takich na Śląsku – dodaje, kreśląc ołówkiem zarys wieży.

Ukończył szkołę energetyczną i w wyuczonym zawodzie zaczął pracować w Gliwicach. W dalszym ciągu nie rozstawał się z farbami i pędzlem. Brał udział w różnych konkursach organizowanych przez zakład pracy. – Poznałem profesora Paprockiego, który uczył architektury na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Prowadził zajęcia z malarstwa, głównie rysowaliśmy portrety. Potem związałem się z zabrzańską grupą twórców nieprofesjonalnych „18 Obsydian” – opowiada pan Jerzy.

Jako pierwszą namalował wieżę znajdującą się na terenie dawnej huty Donnersmarcka w Zabrze. Wzniesiono ją w 1871 roku we wschodniej części zakładu. Swoją wykładnię – styl uproszczonego neogotyku – zawdzięcza prawdopodobnie architektowi zatrudnionemu w hucie. Wieże należały do systemu miejskich, przemysłowych i kolejowych sieci wodociągowych, których zadaniem było stworzenie wysokiego stałego ciśnienia oraz gromadzenie zapasów wody. Budowano je, w miarę możliwości, na najwyższym, dostępnym miejscu. W okresie plebiscytowym wieże pełniły rolę militarną, jako dogodne punkty obserwacyjne, z których wykonywano fotografie obiektów znajdujących się po stronie polskiej.

– W większości budowle, które namalowałem, powstawały w latach 1920-1930. Niestety, nie są uznawane za zabytki i może dlatego niszczeją. Ponad połowa z nich znajduje się w fatalnym stanie technicznym. To ruiny. Wyjątki można policzyć na

palcach jednej ręki. Ta koło dworca w Tarnowskich Górach została zagospodarowana i jest w niej kawiarnia, odnowiono też tą w centrum w Rudzie Śląskiej – opowiada.

Malarza wież mijają przechodnie. Przystają, patrzą z ciekawości. – Nieraz ludzi pytałem, gdzie w ich okolicy stoi wieża. A i oni pytali, po co to maluję? Byli ciekawi, dlaczego to robię. Wtedy mówiłem, że są potrzebne, to nasza historia – kończy swój szkic, odkłada ołówek. Wkłada kartkę do torby. Idzie na dworzec. Bilet. Stacja. Pociąg do Katowic. – Dla mnie malowanie wież to była wielka przygoda, to jakbym znalazł jakiś skarb w ziemi ukryty. A skąd ten pomysł był? Nie mój, przyjaciela malarzy Gerarda Trefonia – nim padnie sygnał odjazdu uśmiecha się na do widzenia.

Szlakiem 116 wież

– Lata powojenne? Nuda. Nie było co robić. Nie było radia, nie było telewizora, nic nie było. Grało się w „ping-pong” na monety. Człowiek szukał rozrywki. Znaczkę zbierał, monety. Interesowało mnie wszystko, jak srokę, co świecące. W latach 1947-1948 jeden, drugi, trzeci wyrzucał z domu święte obrazy. Wyprowadzali się z familków do bloków. I ja te obrazy zbierałem i w chlewiku na węgiel trzymałem – opowiada Stanisław Gerard Trefon. Urodził się w 1933 roku w Świętochłowicach. W 1939 roku jego rodzina przeniosła się do Starej Kuźnicy, do babci co gospodarstwo rolne miała. A po wojnie do Halemby, dzielnicy Rudy Śląskiej. Jego ojciec był stolarzem. Kolekcjonował zegarki i obrazy. – Pierwszy obraz dał mojemu ojcu piekarz z Orzegowa – dodaje przyjaciel malarzy.

Początki były trudne. Trzeba było najpierw dowiedzieć się, kto obraz maluje, potem gdzie mieszka, no i pojechać pod wskazany adres. – Dziś jest łatwiej, są telefony. Można zapytać, umówić się na spotkanie, a wtedy? Dopytać się, gdzie kto mieszka, było trudno. Jak już zdobyłem adres i tam pojechałem, to się nieraz okazało, że nikt tu już nie mieszka, nikogo nie ma w domu, ktoś do Niemiec wyjechał. Straciło się cały dzień i człowiek nic nie załatwił – opowiada Trefon.

Pojechał w czasy do Krynicy. Tam poznał Nikifora. Kupił od niego

akwarelkę. W latach 70. wziął ich dziesięć. Za każdy obraz dał wówczas 500 zł. – Dałem też ogłoszenie do gazet lokalnych, że kupuję obrazy. Zgłosiła się kobieta z Pszowa. Pojechałem do niej ze szwagrem. Miała obraz Holesza. Wisiał w przedpokoju. Jej się nie podobał, chciała go sprzedać. Kiedy wychodziliśmy do samochodu spojrzaliśmy na obraz drobną kreską malowany i wybuchałem śmiechem. Wiedziałem już czemu chciała się go pozbyć. On wisiał do góry nogami! – wspomina kolekcjoner.

Swą pasję pielęgnuje już od ponad pół wieku. Jego kolekcja śląskiej sztuki nieprofesjonalnej składa się z około 3 tysięcy obrazów, kuflów, rzeźb, grafik. Są tu dzieła m.in. Teofila Ociepki, Erwina Sówki, Ludwika Holesza, Emila Brzeziny, Jerzego Secowa, braci Wróblów, Ewalda Gawlika, twórców Grupy Janowskiej, Bielszowickiej czy 18 – Obsydian.

W większości pracowali na kopalniach, byli górnikami. Jeden po szychcie kupił sobie piwo albo grał w karty, a oni malowali, rysowali, rzeźbili. Zakładali też swoje grupy. – Wróbel, to był malarz propagandy, partii. Ociepka częściowo, Gawlik może mniej. Oni byli na Śląsku znani, mieli organizowane wystawy. W latach komuny o amatorów się lepiej dbało niż teraz. Każda kopalnia czy huta dawała jakiś pieniądz, to też był dla nich zysk. Dostawali pieniądze i musieli rocznie oddać 10-20 obrazów czy rzeźb na kopalnię. Nieraz taki dyrektor był dumny, gdy prace jego pracowników wisiały w gabinecie.

Kiedyś w gazecie wyczytał, że powoli znikają z krajobrazu wieże ciśniń. Wtedy to wpadł na pomysł, by je uwiecznić pędzlem na płótnie. Pytał malarzy amatorów, czy nie zechcieliby się podjąć tego dzieła. Nie byli jednak zainteresowani. – Na jednej z wystaw spotkałem Jerzego Koziółka. Zgodził się. On to wszystko namalował. Niektóre z tych wież wodnych już nie istnieją. Ocalały w jego obrazach. Każda wieża jest inna, nie ma dwóch identycznych. Muszę przyznać, że nie wiedziałem, że tych zabytków architektury jest tak dużo. Myślałem 20, góra 30. A tu namalował 116 obrazów! – dodaje Gerard Trefon.

A jakie plany? Jest już pomysł, by uwiecznić całoroczne obyczaje na Śląsku, zanikające zawody, obrzędy. – Muszę znaleźć dwunastu malarzy. Każdy uwieczni jeden miesiąc. Czy ich znajdzie? Młodzi się nie garną, śląskie tradycje zanikają – urywa swą wypowiedź właściciel niepowtarzalnej kolekcji, którą można zobaczyć w jego Galerii „Barwy Śląska” w Zamku w Nakle Śląskim.



Stanisław Gerard Trefoń



Wieża Zabrze



Józef Koziołek



Wieża Zabrze



Wieża Katowice



Wieża Huta Zabrze

351706 III

2008

DUBLET

B

czytam tam

**Biblioteka
Śląska**

V Katowickie
Prezentacje Biblioteczne
spotkanie z Wandą Chotomską,
Joanną Papuzińską
i Edwardem Lutczynem
14 listopada 2008 r.

Międzynarodowe Targi
Katowickie, ul. Bytkowska 1B

 Śląskie. Pozytywna energia

Guliwer